

STEVE BERRY

# TRZECIA TAJEMNICA

*THE THIRD SECRET*

Z języka angielskiego przełożył

Cezary Murawski



*Dla Dolores Murad Parrish,  
która odeszła z tego świata zdecydowanie za wcześnie  
1930-1992*

*Ten Kościół potrzebuje wyłącznie prawdy.*

Papież Leon XIII (1881)

*Nie ma nic wspanialszego niż ta fascynująca i słodka tajemnica fatimska, która towarzyszy Kościołowi i rodzajowi ludzkiemu w ciągu tego długiego stulecia pełnego odstępstw. Nie ulega wątpliwości, że sekret ten będzie im towarzyszył aż po ostateczny upadek i ponowne powstanie.*

ks. Georges de Nantes (1982)

Z okazji pierwszej pielgrzymki papieża Jana Pawła II do Fatimy

*Wiara jest cennym sojusznikiem w poszukiwaniu prawdy.*

Papież Jan Paweł II (1998)

# PROLOG

FATIMA, PORTUGALIA

13 LIPCA 1917 ROKU

Łucja skierowała wzrok ku niebu i patrzyła, jak jasna Pani zstępuje na ziemię\*. Postać nadchodziła od wschodu, podobnie jak za pierwszym i drugim razem, początkowo pojawiając się pośród zasnutego chmurami nieba w formie mieniącego się punktu. Zbliżała się, nawet na moment nie zatrzymując się po drodze. Na koniec postać zawisła na tle dębu ostrolistnego, na wysokości około dwóch i pół metra nad ziemią.

Pani stała prosto, jej sylwetkę otaczała światłość, która zdała się jaśniejsza od słońca. Łucja opuściła wzrok, onieśmielona niewypowiedzianą urodą niebiańskiej istoty.

Wokół Łucji zgromadził się spory tłum ciekawskich, inaczej niż za pierwszym razem, dwa miesiące wcześniej. Wtedy byli na łące tylko we troje: ona, Hiacynta oraz Franciszek. Wypasali owce należące do ich rodzin. Jej cioteczne rodzeństwo liczyło sobie odpowiednio siedem i dziewięć lat. Ona, dziesięciolatka, była najstarsza, i tak też się czuła. Po jej prawej stronie klęczał Franciszek, w długich spodniach oraz wełnianej czapce. Po lewej klęczała Hiacynta, w czarnej spódnicy i chustce zawiązanej na czarnych włosach.

Łucja podniosła wzrok i ponownie rozejrzała się po zebranych. Ludzie gromadzili się już od poprzedniego wieczora, wielu z nich przybyło z sąsiednich wiosek, niektórzy przyprowadzili ze sobą kalekie dzieci w nadziei, że Matka Boska je uzdrowi. Administrator Fatimy uznał objawienia za oszustwo i wezwał wszystkich, by trzymali się z daleka od miejsca cudownych wizji. „To dzieło szatana”, zawyrokował. Ludzie nie dawali mu jednak posłuchu, a jeden z parafian nazwał nawet administratora głupcem, bo przecież szatan nie namawiałby ludzi do modlitwy.

Jakaś kobieta z tłumu zaczęła wykrzykiwać, nazywając Łucję i jej kuzynostwo oszustami i przysięgając, że Bóg ukarze dzieci za ich świętokradztwo. Manuel Marto, wuj Łucji, ojciec Hiacynty i Franciszka, stał za nimi. Łucja słyszała, jak upomina tę kobietę, by

---

\* Teksty pierwszej i trzeciej tajemnicy fatimskiej zostały zaczerpnięte z książki: A. A. Borelli, *Fatima: orędzie tragedii czy nadziei*, przeł. A. Baryga, S. Olejniczak, L. Przybysz, Warszawa 2001. Tekst trzeciej tajemnicy fatimskiej pochodzi z pisma „Rycerz Niepokalanej”, nr 9/2000 [przyp. tłum.].

zamilkła. Mieszkańcy kotliny darzyli go szacunkiem, gdyż widział nieco więcej świata niż pobliskie Serra da Aire. Spokojne zachowanie oraz bystre spojrzenie brązowych oczu dodawały jej otuchy. Dobrze, że był w pobliżu, w tłumie obcych.

Starła się nie zwracać uwagi na słowa wykrzykiwane pod jej adresem. Nie dopuszczać do świadomości zapachu mięty, aromatu sosen i ostrej woni dzikiego rozmarynu. Jej myśli, a teraz także i oczy skoncentrowały się na sylwetce Matki Boskiej, unoszącej się tuż przed nią.

Jedynie ona, Hiacynta i Franciszek dostąpili przywileju widzenia Matki Boskiej, lecz tylko dziewczynki słyszały jej słowa. Łucji wydało się dziwne, że Franciszka pozbawiono tego przywileju, ale podczas pierwszej wizyty Madonna dała do zrozumienia, że Franciszek pójdzie do nieba pod warunkiem, że odmówi bardzo dużo różańców.

Po rozległej kotlinie zwanej Cova da Iria, o krajobrazie w szachownicę, hulał wesoły wietrzyk. Część tej ziemi należała do rodziców Łucji; gdzieś tam widniały drzewka oliwne i kępy roślin wiecznie zielonych. Trawy rosły wysoko i dawały doskonałe siano, a na tutejszej glebie udawały się ziemniaki, kapusta i zboża.

Poszczególne poletka oddzielone były od siebie prostym murem z kamienia. Większość tych murków rozsypywała się, za co Łucja była wdzięczna, gdyż dzięki temu owce mogły paść się do woli. Jej obowiązkiem było pilnowanie rodzinnego stadka. Podobnymi obowiązkami Hiacyntę i Franciszka obarczyli ich rodzice. Od kilku lat razem spędzali dnie na łąkach i pastwiskach. Czas mijał im po części na zabawie, po części na modlitwie, niekiedy dziewczynki słuchały, jak Franciszek gra na piszczałce.

Wszystko to uległo zmianie przed dwoma miesiącami, kiedy doszło do pierwszego objawienia.

Od tamtej pory dzieci nie mogły opędzić się od nieustannie zadawanych pytań. Stały się też obiektem drwin ze strony osób niewierzących. Matka Łucji zaprowadziła nawet córkę do miejscowego proboszcza, nakazując jej wyznać, że wszystko to było jej wymysłem. Ksiądz wysłuchał, co miała do powiedzenia, i oświadczył, iż nie jest możliwe, by Matka Boska zstąpiła z niebios wyłącznie z poleceniem codziennego odmawiania różańca. Jedyne ukojenie przynosiły Łucji chwile samotności, kiedy mogła do woli wypłakać żal nad sobą i nad światem.

Niebo zaciągnęło się chmurami, parasole otwarte dla osłony przed skwarem zaczęły się zamykać.

Łucja stanęła wyprostowana.

- Zdejmijcie nakrycia z głów. Widzę naszą Panią.

Zgromadzeni natychmiast posłuchali, niektórzy żegnali się, jakby łaknęli przebaczenia za niewłaściwe zachowanie.

Obróciła się ku świetlanej postaci i uklękła.

- *Vocemecê que me quere?* - zapytała. „Czego sobie życzysz ode mnie, pani?”

- Nie obrażajcie więcej Pana Boga naszego, gdyż wycierpiał już zbyt wiele. Chcę, abyście przyszli tu trzynastego dnia nadchodzącego miesiąca i nadal codziennie odmawiali po pięć dziesiątków różańca na cześć Matki Boskiej Różańcowej, aby prosić o pokój dla świata i koniec wojny. Ona jedna będzie mogła wam pomóc.

Łucja spojrzała odważnie na jasną Panią. Jej postać była przejrzysta, w barwach od żółtej przez białą po niebieską. Twarz miała niebiańsko piękną, lecz osobliwie spowitą smutkiem. Szata sięgała Jej do kostek, głowę okrywała chusta. Między palcami zwisały perły podobne do różańca. Głos Pani był łagodny i miły, nie unosił się ani nie opadał, kojąco niezmienny, niczym lekki wietrzyk, który wciąż powiewał nad głowami zebranych.

Łucja zebrała się na odwagę.

- Chciałabym Cię prosić, abyś powiedziała nam, kim jesteś, i abyś uczyniła jakiś cud, żeby wszyscy inni uwierzyli, że rzeczywiście nam się objawiasz.

- Przychodźcie tutaj co miesiąc tego dnia. W październiku powiem wam, kim jestem i czego chcę, oraz dokonam cudu, który każe wszystkim uwierzyć.

W ciągu minionego miesiąca Łucja zastanawiała się nad tym, co powinna powiedzieć. Wiele osób zwracało się do niej z prośbami dotyczącymi ich bliskich oraz tych, którzy nie mieli sił przemówić w swoim imieniu. Jedna z tych osób przyszła jej wtedy na myśl.

- Czy możesz uzdrowić kalekiego syna Marii Carreiry?

- Nie uzdrowię go. Ale zapewnię mu środki do życia pod warunkiem, że codziennie będzie odmawiał różaniec.

Wydało się jej dziwne, że niebiańska Pani przedstawia warunki udzielenia łaski, lecz rozumiała potrzebę modlitwy. Miejscowy proboszcz zawsze głosił, że to jedyny sposób pozyskania łaski Bożej.

- Poświęćcie się za grzeszników - powiedziała Pani - i odmawiajcie wielokrotnie, zwłaszcza kiedy składacie ofiarę: „O, Jezusie, robię to z miłości dla Ciebie, w imię nawrócenia grzeszników oraz jako zadośćuczynienie za grzechy popełnione przeciwko Niepokalanemu Sercu Maryi”.

Pani rozchyliła złożone dłonie i rozpostarła ramiona. Wyłynęło z niej światło, które skąpało Łucję ciepłem niczym zimowe słońce w chłodny dzień. Było to bardzo miłe uczucie. Dziewczynka dostrzegła, że promienie nie zatrzymały się na niej i jej cioteczonym

rodzeństwie, że wniknęły w ziemię, a ta się rozstała.

To było coś nowego, innego. I przerażającego.

Dostrzegła coś w rodzaju wielkiego morza ognia. W tym ogniu były zanurzone demony i dusze, jak rozżarzone do czerwoności węgle, przezroczyste i czarne lub brązowe, o kształtach ludzkich, unoszące się w poździe, kołysane płomieniami, które pełzały wokół wraz z kłębamii dymu unoszącymi się na wszystkie strony, podobne do rozpryskujących się w wielkich pożarach iskier, chwiejne i lekkie. Wszystko to pośród jęków rozpaczii i krzyków, które przerażały i zmuszały człowieka do wzdrygnięcia się ze strachu i zgrozy. Diabły wyróżniały się przerażającymi i ohydnyymi kształtami zwierząt, Strasznyymi i nieznanymi, lecz przezroczystymi jak czarne węgle rozżarzone do czerwoności. Była przerażona i dostrzegła, iż Hiacynta i Franciszek byli w równym stopniu zdjęci grozą. W ich oczach wezbrały łzy, ona zaś zapragnęła pocieszyć cioteczną siostrę i brata. Gdyby nie bliskość Pani unoszącej się przed nimi, ona również nie powstrzymałaby się od płaczu.

- Spójrzcie na Nią - wyszeptała do kuzynostwa.

Posłuchali, wszyscy troje odwrócili wzrok od straszliwej wizji i złożyli dłonie, palce kierując ku niebu.

- Widzieliście piekło, do którego idą dusze nieszczęsnych grzeszników. Aby je zbawić, Bóg chce ustanowić na świecie nabożeństwo do mego Niepokalanego Serca. Jeżeli świat zrobi, co wam powiem, wiele dusz zostanie zbawionych i nastanie pokój. Wojna niedługo się skończy. Ale jeśli ludzie nie przestaną obrażać Boga, wybuchnie druga, jeszcze gorsza, za pontyfikatu Piusa XI.

Wizja piekła zniknęła, a ciepłe światło powróciło między złożone dłonie Pani.

- Gdy zobaczycie nieznanne światło płonące w nocy, wiedzcie, że to wielki znak od Boga dla was. Znak, że Bóg ukarze świat za jego zbrodnie przez wojny, głód i prześladowanie Kościoła oraz Ojca Świętego.

Słowa Matki Boskiej zatroskały Łucję. Wiedziała o wojnie, która od kilku lat szalała w niemal całej Europie. Mężczyźni z okolicznych wiosek wyruszyli na front, wielu z nich nie powróciło. W kościele słyszała lamenty rodzin. Teraz miała się dowiedzieć, jak można położyć kres cierpieniom.

- Aby temu zapobiec - powiedziała Pani - przychodzę prosić o poświęcenie Rosji mojemu Niepokalanemu Sercu oraz o przyjmowanie komunii świętej przebłagalnej w pierwsze soboty miesiąca. Jeżeli świat usłucha moich prośb, Rosja nawróci się i pokój zapanuje na całej Ziemi. Jeżeli nie, kraj ten rozpowszechni swoje błędy na świat, wywołując wojny i prześladowanie Kościoła świętego. Dobrzy będą umęczeni. Ojciec Święty będzie

musiał znieść wiele cierpień, wiele narodów zostanie całkowicie zniszczonych. Na koniec jednak moje Niepokalane Serce zatriumfuje. Ojciec Święty poświęci mi Rosję, która zostanie nawrócona, i przez pewien czas zapanuje na Ziemi pokój.

Łucja zastanawiała się, co to jest Rosja. Może to jakaś osoba? Grzeszna kobieta, która potrzebuje zbawienia? A może to jakieś miejsce? Poza Galicią i Hiszpanią nie знаła nazw innych państw. Jej świat ograniczał się do wioski Fatimy, w której mieszkała jej rodzina, pobliskiej osady Aljustrel, gdzie mieszkali Franciszek i Hiacynta, kotliny Cova da Iria, w której wypasali owce i gdzie rosły warzywa, oraz groty Cabeco, w której poprzedniego roku i przed dwoma laty objawił się jej Anioł, zapowiadając nadejście Matki Boskiej. Najwidoczniej ta Rosja była ważna, skoro tak bardzo zajmowała uwagę Pani. Łucja chciała wiedzieć jedno.

- Co z Portugalią?

- W Portugalii dogmat wiary zostanie zawsze utrzymany

Uśmiechnęła się. Świadomość, że niebiosa spoglądają łaskawym okiem na jej ojczyznę, była pocieszająca.

- Gdy odmawiacie różaniec - znów przemówiła Matka Boska - powtarzajcie po każdej tajemnicy: „O, mój Jezu, przebacz nam i zachowaj nas od ognia piekielnego. Weź wszystkie dusze do nieba, zwłaszcza te, które najbardziej potrzebują Twojego miłosierdzia”.

Dziewczynka przytaknęła.

- Mam wam więcej do powiedzenia...

Kiedy Matka Boska obwieściła trzecią tajemnicę, poczyniła zastrzeżenie.

- Nie wolno ci tego powtarzać nikomu.

- Nawet Franciszkowi? - zapytała Łucja.

- Jemu możesz powtórzyć.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy. Nikt z tłumu nie wydał nawet najcichszego głosu. Wszyscy zgromadzeni, mężczyźni, kobiety i dzieci, stali lub klęczeli, zdjęci zachwytem wobec tego, co robiła trójka widzących - tak określali ich ludzie. Wielu ścisnęło paciorki różańca i modliło się żarliwie. Wiedziała, że nikt z przybyłych nie widzi ani nie słyszy Matki Boskiej - ich przeżycia opierają się wyłącznie na wierze.

Przez chwilę rozkoszowała się ciszą. Całą Cova da Iria spowiała głęboka powaga. Nawet wiatr ustał. Łucji zrobiło się zimno i po raz pierwszy pojęła brzemię odpowiedzialności. Wzięła głęboki oddech.

- Pani, nie chcesz już nic ode mnie?

- Nie, dziś nic już od ciebie nie chcę.

Postać zaczęła unosić się ku niebu po wschodniej stronie. Gdzieś z oddali dobiegł



odgłos jakby gromu. Łucja stała, drżąc.

- Tam idzie Pani! - wykrzyknęła, wskazując ku niebu. Zebrani zrozumieli, że wizja już przeminęła i zaczęli przepychać się w stronę dzieci.

- Jak wyglądała?

- Co powiedziała?

- Dlaczego jesteś taka smutna?

- Czy przyjdzie ponownie?

Ludzie napierali coraz mocniej w kierunku dębu, a Łucję ogarnął nagły strach.

- To jest tajemnica - wykrzyknęła. - To tajemnica.

- Dobra czy zła? - wrzasnęła jakaś kobieta.

- Dla jednych dobra, dla innych zła.

- Nie wyjawisz nam jej?

- To tajemnica, a Pani zabroniła nam ją powtarzać.

Manuel Marto podniósł Hiacyntę i zaczął torować sobie drogę przez tłum. Łucja podążyła za nim, trzymając Franciszka za rękę. Niektórzy z przybyłych ruszyli w ślad za nimi, nie przestając zasypywać ich gradem pytań. Na wszystkie jednak miała tylko jedną odpowiedź.

- To tajemnica. To tajemnica.

# CZEŚĆ PIERWSZA

WATYKAN

ŚRODA, 8 LISTOPADA, TERAŹNIEJSZOŚĆ 6.15

Monsignore Colin Michener znów usłyszał ten odgłos i zamknął księgę. Ktoś tam był. Wiedział to.

Jak poprzednim razem.

Wstał od stolika w czytelni i rozejrzał się po rzędach barokowych regałów. Wiekowe półki na książki sięgały wysoko ponad jego głowę, większość stała równo wzdłuż wąskich korytarzy, które odchodziły w obu kierunkach. W ogromnym pomieszczeniu panowała specyficzna atmosfera, pełna tajemniczości, którą po części miejsce to zawdzięczało swej nazwie: *L'Archivio Segreto Vaticano*. Tajne Archiwum Watykańskie.

Zawsze uważał tę nazwę za osobliwą, ponieważ w zgromadzonych woluminach niewiele było tajemnic. Zdecydowaną większość zbiorów tworzyły drobiazgowo sporządzone w ciągu dwóch tysięcy lat istnienia kościelnej organizacji, sprawozdania pochodzące z czasów, kiedy papieże byli królami, rycerzami, politykami i kochankami. *Summa summarum* mieściło się tu blisko czterdzieści kilometrów półek, które mogły zaoferować wiele badaczowi, o ile ten wiedział, gdzie szukać.

Michener z pewnością wiedział.

Skoncentrował uwagę na usłyszonym odgłosie, wzrokiem przebiegł pomieszczenie, mijając po drodze freski z wizerunkami Konstantyna, Pepina i Fryderyka II, zanim wreszcie spojrzął na ozdobną żelazną kratę po przeciwległej stronie. Za nią panowała ciemność i cisza. Wstęp do Riservy dozwolony był jedynie za osobistą zgodą papieża, klucze zaś do okratowanych wrót znajdowały się w posiadaniu watykańskiego archiwisty. Michener nigdy nie przekroczył progu tej sali, chociaż stał posłusznie na zewnątrz, gdy jego pryncypał, papież Klemens XV, śmiało wchodził do środka. Mimo to zdawał sobie sprawę z istnienia pewnych cennych dokumentów zgromadzonych w pomieszczeniu bez okien. Ostatni list Marii, królowej Szkocji, zanim została ścięta z rozkazu Elżbiety I. Petycja siedemdziesięciu pięciu angielskich lordów proszących papieża o unieważnienie pierwszego małżeństwa Henryka VIII. Zeznanie Galileusza z jego własnoręcznym podpisem. Traktat z Tolentino zawarty z

Napoleonem.

Przyglądał się grzebieniom i łukom zdobitym żelazną kratę oraz połączanemu fryzowi z wykutymi w metalu ornamentami w postaci motywów roślinnych i zwierzęcych. Te wrota strzegły wejścia już od czternastego wieku. W całym Watykanie nie było ani jednej zwyczajnej rzeczy. Wszystko nosiło charakterystyczny znak sławnego artysty lub znamienitego rzemieślnika. Kogoś, ktoś poświęcił lata pracy, by zadowolić zarówno swego Boga, jak i papieża.

Ruszył pospiesznie na drugą stronę czytelnicy, słysząc, jak odgłosy jego stąpień odbijają się echem w chłodnym powietrzu. Zatrzymał się przy żelaznych wrotach. Poczłł strumień cieplejszego powietrza płynący zza kraty. Po prawej stronie wejścia najbardziej rzucał się w oczy ogromny skobel. Michener sprawdził zasuwę. Zamknięta i zabezpieczona.

Zawrócił, zastanawiając się, czy ktoś z personelu Kurii wszedł do archiwum. Dyżurnego skrybę odprawiono wcześniej, od jego zaś wejścia nikt nie miał prawa wstępu, jako że osobisty sekretarz papieża nie potrzebuje piastunki. Do pomieszczenia archiwum i z niego prowadziło jednak wiele drzwi, zastanawiał się więc, czy usłyszany kilka chwil wcześniej odgłos nie był skrzypieniem zawiasów otwieranego, a później delikatnie zamykanego skrzydła. Trudno powiedzieć. Źródło dźwięku w tej ogromnej przestrzeni również trudno było znaleźć co pisma.

Ruszył w prawo, w stronę jednego z długich korytarzy - Sali Pergaminów. Dalej mieściła się Sala Katalogowa. W miarę jak szedł, żarówki przed nim zapalały się, po czym gasły, rzucając serię plam światła. Czuł się więc jak w podziemiach, chociaż znajdował się dwie kondygnacje ponad poziomem gruntu.

Pokręcił się tylko przez chwilę, nic nie usłyszał i ponownie zawrócił.

Dzień dopiero się zaczynał, był środek tygodnia. Michener z rozmysłem wybrał tę porę na dociekania - teraz miał większą szansę nie przeszkodzić innym, którzy również mieli dostęp do archiwum, a mniejsze było prawdopodobieństwo ściągnięcia uwagi pracowników Kurii. Wypełniał misję powierzoną mu przez Ojca Świętego, prowadził prywatne poszukiwania, lecz nie był sam. Ostatnim razem, przed tygodniem, miał podobne wrażenie.

Wszedł ponownie do sali głównej i skierował się do stolika, przy którym wcześniej pracował, wciąż bacznie obserwując całe pomieszczenie. Posadzkę zdobiła meridiańska zorientowana na słońce, której promienie mogły docierać tu dzięki szczelinom skrupulatnie rozmieszczonym wysoko na ścianach. Wiedział, że przed wiekami kalendarz gregoriański obliczano właśnie w tym miejscu. Dziś jednak do wnętrza nie wpadało żadne światło. Na zewnątrz było zimno i mokro, jesienna ulewa zmywała ulice Rzymu.

Woluminy, którym poświęcał uwagę przez minione dwie godziny, spoczywały starannie ułożone na pulpicie. Liczne spośród nich powstały w ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci. Cztery były znacznie starsze. Dwa spośród najbardziej wiekowych spisano w języku włoskim, jeden w hiszpańskim, a ostatni w portugalskim. Umiał odczytać każdy z nich bez wysiłku - to jeszcze jeden powód, dla którego Klemens XV tak bardzo pragnął jego usług.

Tomy napisane w językach hiszpańskim i włoskim miały raczej niewielką wartość, wszystkie bowiem stanowiły przeróbkę dzieła portugalskiego: *Obszerne i szczegółowe studium zrelacjonowanych objawień Matki Boskiej w Fatimie - od 13 maja do 13 października 1917 roku.*

Papież Benedykt XV w ramach kościelnego dochodzenia, zalecił szczegółowe przebadanie tego, co stało się w dalekiej portugalskiej kotlinie. Atrament rękopisu wyblakł, nabierając barwy ciepłej żółci; można było odnieść wrażenie, że słowa zapisane są złotem. Biskup Leirii przeprowadził gruntowne dochodzenie, poświęcając na to osiem lat, a zebrane informacje zdecydowały o uznaniu w 1930 roku przez Watykan za wiarygodne sześciokrotnego objawienia Matki Boskiej w Fatimie. Trzy apendyksy, dołączone obecnie do oryginału, powstały kolejno w piątej, szóstej i dziewiątej dekadzie XX wieku.

\*

Michener studiował ich zawartość ze skrupulatnością prawnika, na którego wykształcił go Kościół. Po siedmiu latach studiów w Monachium uzyskał dyplom, nigdy jednak nie praktykował prawa w konwencjonalnym rozumieniu. Należał do świata kościelnych orzeczeń i dekretów kanonicznych. W tym wypadku precedens obejmował dwa tysiąclecia i w większym stopniu opierał się na zrozumieniu rzeczywistości niż na prawniczej formule *stare decisis*. Żmudne studia prawnicze okazały się bezcenne w służbie Kościołowi, gdyż logika prawa wielokrotnie spieszyła mu z pomocą na grząskim gruncie boskiej polityki. Co ważniejsze, pomogła mu odnaleźć w tym labiryncie zapomnianych informacji to, czego chciał Klemens XV

Znów usłyszał ten odgłos.

Ciche skrzypnięcie, jak dwie gałęzie pocierające się o siebie na wietrze albo jak mysz manifestująca swoją obecność.

Ruszył pędem w kierunku źródła dźwięku, rozglądając się na obie strony.

Nic.

Piętnaście metrów od niego po lewej stronie znajdowały się drzwi wychodzące z archiwum. Zbliżył się do wejścia i nacisnął klamkę. Ustąpiła. Wytężając siły, pchnął ciężkie wrota z rzeźbionego dębu, powodując skrzypienie zawiasów.

Rozpoznał ten odgłos.

Korytarz za drzwiami był pusty, lecz uwagę Michenera przyciągnął refleks światła na marmurowej posadzce.

Przyklęknął.

Przezroczyście mokre plamy ciągnęły się w regularnych odstępach. Ślady prowadziły wzdłuż korytarza do drzwi wejściowych do archiwum. W niektórych plamach dostrzegł resztki błota, liści i trawy.

Podążył wzrokiem za śladami i dobiegł do rzędu regałów. Deszcz nie przestawał bębnić w dach.

Wiedział, czym są kałuże na posadzce.

To ślady stóp.

7.45

Cyrk medialny zaczął się wcześniej, czego zresztą Michener się spodziewał. Stał przy oknie i obserwował, jak wozy transmisyjne i przyczepy, które wpuszczono na plac Świętego Piotra, zajmują wyznaczone stanowiska. Biuro Prasowe Watykanu poinformowało go wczoraj, że zatwierdzono siedemdziesiąt jeden podań o akredytację przy Trybunale, złożonych między innymi przez dziennikarzy z Ameryki Północnej, Anglii i Francji, chociaż zgłosił się też z tuzin Włochów oraz trzech Niemców. W większości byli to przedstawiciele mediów pisanych, ale zgłosiło się też kilka stacji telewizyjnych, którym zezwolono na robienie bezpośrednich relacji na miejscu. BBC starało się nawet o zgodę na umieszczenie kamery w sali papieskiego Trybunału, w ramach przygotowywanego filmu dokumentalnego, ale prośbę odrzucono.

Cały proces miał być swego rodzaju show - lecz taką cenę trzeba było zapłacić za pogoń za sławami.

Penitencjaria Apostolska była najwyższym rangą spośród trzech watykańskich trybunałów i zajmowała się wyłącznie kwestiami ekskomuniki. Prawo kanoniczne wymienia pięć powodów, dla których można kogoś obłożyć ekskomuniką: naruszenie tajemnicy spowiedzi, użycie siły fizycznej wobec papieża, udzielenie i przyjęcie sakry biskupiej bez zgody Stolicy Apostolskiej, znieważenie eucharystii. Oraz przypadek rozpatrywany tego dnia - rozgrzeszenie przez kapłana współnika grzechu nieczystości. Ojciec Thomas Kealy z parafii św. św. Piotra i Pawła z Richmond w stanie Wirginia dopuścił się czynu nie do pomyślenia. Przed trzema laty zaangażował się w jawny związek z kobietą, później zaś na oczach własnej kongregacji rozgrzeszył siebie i ją. Ten wyczyn, a także zjadliwe komentarze na temat nieugiętego stanowiska Kościoła w kwestii celibatu przyciągnęły wiele uwagi. Pojedynczy księża i teologowie od dawna wnosili pod adresem Kurii zastrzeżenia co do celibatu, lecz Rzym przyjmował strategię na przeczekanie, większość bowiem protestujących rezygnowała albo padała w boju. Ojciec Kealy jednak przeniósł to wyzwanie na wyższy poziom, publikując trzy książki, z których jedna stała się międzynarodowym bestsellerem. Książki w otwarty sposób sprzeciwiały się katolickiej doktrynie. Michener dobrze znał instytucjonalne

obawy dotyczące zbuntowanego kapłana. Duchowny stawiający wyzwanie Stolicy Piotrowej to jedno, czym innym natomiast była sytuacja, gdy ludzie zaczynają słuchać jego słów.

A ludzie słuchali Thomasa Kealy.

Natura obdarzyła go urodą i bystrym umysłem, posiadał też godny pozazdroszczenia dar przekazywania własnych myśli w sposób jasny i treściwy. Pojawiał się w różnych miejscach globu i zyskiwał coraz większą liczbę popleczników. Każdy ruch potrzebuje przywódcy i najwyraźniej zwolennicy reform w łonie Kościoła znaleźli lidera w osobie odważnego księdza. Jego witryna internetowa, wedle wiedzy Michenera skrupulatnie i codziennie monitorowana przez Penitencjarię Apostolską, odnotowywała ponad dwadzieścia tysięcy wejść dziennie. Przed rokiem Kealy założył ruch o światowym zasięgu, Catholics Rallying for Equality Against Theological Eccentricities (Katolicki Ruch Równości Przeciw Teologicznym Anomaliom) - w skrócie CREATE - którego liczba członków przekroczyła już milion, przede wszystkim w Ameryce Północnej oraz w Europie.

Śmiałe przywództwo Kealy'ego zasiało nawet ziarno odwagi w sercach amerykańskich biskupów; w ostatnim roku powstał spory blok otwarcie popierający poglądy buntownika i podający w wątpliwość słuszność stanowiska Stolicy Apostolskiej, która obstawała przy archaicznej filozofii średniowiecznej. Jak wielokrotnie oświadczał Kealy, Kościół w Ameryce znajdował się w kryzysie, a to na skutek przestarzałych dogmatów, skompromitowanych księży i aroganckich przywódców. Jego argument - „Watykan kocha amerykańskie pieniądze, ale nie kocha amerykańskich wpływów” - budził oddźwięk. Kealy prezentował ten rodzaj populistycznego zdrowego rozsądku, o którym Michener wiedział, że stanowi obiekt pożądania umysłów ludzi Zachodu. Buntownik w sutannie stał się postacią sławną. Teraz pretendent stawał do pojedynku z mistrzem, a przebieg ich starcia miała relacjonować prasa z różnych stron świata.

Wcześniej jednak Michener musiał stoczyć własny pojedynek.

Odwrócił się od okna i spojrzał na Klemensa XV oczyszczając umysł z uporczywej myśli, że jego stary przyjaciel niedługo zakończy ziemski żywot.

- Jak się dzisiaj miewasz, Ojciec Święty? - zapytał po niemiecku.

Kiedy byli sami, zawsze rozmawiali w ojczystym języku Klemensa. Mało kto spośród służby pałacowej mówił po niemiecku.

Papież sięgnął po porcelanową filiżankę z kawą, upił łyk espresso i delektował się jej smakiem.

- To zdumiewające, że przy takim majestacie można być tak niezadowolonym.

Cynizm tych słów nie był niczym nowym, lecz ostatnio sarkastyczne tony przybrały



na sile.

Klemens odstawił filiżankę na stół.

- Czy znalazłeś te informacje w archiwum?

Michener odsunął się od okna i przytaknął.

- Czy oryginalny raport fatimski okazał się przydatny?

- Ani trochę. Odnalazłem inne dokumenty, z których dowiedziałem się więcej.

Kolejny raz zastanawiał się, dlaczego to takie ważne, lecz powstrzymał się od komentarza.

- Nigdy nie zadajesz pytań, prawda? - papież zdawał się czytać w jego myślach.

- Powiedziałbyś mi, gdybyś chciał, żebym wiedział.

W ciągu minionych trzech lat wygląd tego człowieka zmienił się bardzo - papież z dnia na dzień stawał się bledszy i słabszy, zamykał się też w sobie coraz bardziej. Wprawdzie zawsze był niski i szczupły, lecz można było odnieść wrażenie, że ostatnio jego ciało niemal zapadało się w sobie. Głowę, niegdyś ozdobioną gęstą brązową czupryną, teraz pokrywał siwy meszek. Pełna życia twarz, która zdobiła okładki dzienników i czasopism, gdy stał na balkonie Bazyliki św. Piotra w dniu, w którym ogłoszono jego wybór, teraz wychudła w stopniu niemal karykaturalnym, rumiane policzki gdzieś znikły, znamię w kolorze brunatnym, kiedyś ledwo widoczne, teraz stało się na tyle wyraziste, że Biuro Prasowe Watykanu rutynowo dokonywało retuszu każdego zdjęcia. Ciężary i trudy sprawowania władzy papieskiej zbierały swoje żniwo, powodując, że człowiek, który jeszcze niedawno regularnie przemierzał szlaki bawarskich Alp, bardzo się posunął.

Michener wskazał na tacę z kawą. Przypomniał sobie czasy, kiedy śniadanie składało się z kiełbasy, jogurtu i ciemnego chleba.

- Dlaczego nic nie jesz? Służący powiedział mi, że wczoraj wieczorem w ogólnie nie tknąłeś kolacji.

- Co za troska.

- Dlaczego nie odczuwasz głodu?

- I jaki upór.

- Unikanie odpowiedzi na moje pytanie w żaden sposób nie uspokoi moich obaw.

- A jakież są twoje obawy, Colinie?

Chciał wspomnieć o głębokich bruzdach przecinających czoło papieża, o niepokojącej bledości cery, o żyłach widocznych na dłoniach i nadgarstkach starego człowieka.

- Dotyczą twojego zdrowia, Ojciec Święty - odparł, zdobywając się tylko na te słowa.

Klemens się uśmiechnął.

- Potrafisz zręcznie unikać drwin z mojej strony.
- Spieranie się z Ojcem Świętym to daremny trud.
- Ach, cały ten dogmat o nieomyślności. Zapomniałem. Mam zawsze rację.

Postanowił podjąć rękawicę.

- Nie zawsze.

Klemens zachichotał cichutko.

- Znalazłeś w archiwach to nazwisko?

Michener sięgnął do sutanny i wyciągnął notatkę sporządzoną na chwilę przed tym, zanim usłyszał tamten odgłos. Podał ją papieżowi.

- Ktoś znowu tam był - dodał.
- Co zresztą nie powinno cię dziwić. Nic nie dzieje się tu prywatnie.

Klemens przeczytał tekst, potem powtórzył na głos to, co było napisane.

- Ojciec Andriej Tibor.

Papieski sekretarz wiedział, czego zwierzchnik od niego oczekuje.

- Jest emerytowanym duchownym, mieszka w Rumunii. Sprawdziłem w naszych rejestrach. Czeka z emeryturą wciąż jest przesyłany na tamtejszy adres.

- Chcę, żebyś pojechał tam i spotkał się z nim.
- Możesz mi wyjawić, z jakiego powodu?
- Nie teraz.

Od trzech miesięcy Klemens był czymś głęboko zatroskany. Starzec usiłował to ukryć, ale po dwudziestu czterech latach przyjacielskich więzów niewiele uchodziło uwagi Michenera. Przypominał sobie dokładnie, kiedy ten niepokój pojawił się po raz pierwszy. Tuż po wizycie w archiwum - w Riserva - tam, gdzie za zamkniętymi okratowanymi wrotami czekał wiekowy sejf.

- Czy mogę wiedzieć, kiedy powiesz mi, dlaczego?

Papież wstał z fotela.

- Po modlitwie.

\*

Opuścili gabinet, przeszli w milczeniu przez trzecie piętro i zatrzymali się przy otwartych drzwiach. Znajdująca się za progiem kaplica wyłożona była białym marmurem, jaskrawe witraże w oknach przedstawiały stacje drogi krzyżowej. Każdego ranka Klemens przychodził tu na kilka chwil medytacji. Nikt nie miał prawa mu wtedy przeszkadzać. Wszystko mogło poczekać do chwili, kiedy skończy rozmowę z Bogiem.

Michener służył Klemensowi od najdawniejszych dni, kiedy Niemca wyniesiono

najpierw do godności arcybiskupa, później kardynała i potem sekretarza stanu w Watykanie. Piął się w górę wraz ze swym mentorem - od seminarzysty, przez kapłana, po monsiniora - a kulminacyjny etap tej kariery zaczął się trzydzieści cztery miesiące wcześniej, kiedy Święte Kolegium Kardynałów wybrało kardynała Jakoba Volknera na dwieście sześćdziesiątego siódmego następcę św. Piotra. Volkner natychmiast mianował Michenera swoim osobistym sekretarzem.

Michener wiedział, komu ma służyć - osobie wykształconej w powojennym niemieckim społeczeństwie, targanym licznymi konfliktami i protestami, która uczyła się dyplomatycznego rzemiosła w tak burzliwych miejscach jak Dublin, Kair, Kapsztad i Warszawa. Jakob Volkner był człowiekiem niezwyklej cierpliwości, przyciągającym fanatyczne wręcz uwielbienie. W ciągu wspólnie spędzonych lat Michener ani razu nie zwątpił w wiarę czy siłę charakteru swego mentora. Już dawno temu doszedł do wniosku, że gdyby choć w połowie był podobny do Volknera, uważałby swoje życie za udane.

Klemens skończył modlitwę, przeżegnał się, potem ucałował pektorał, zdobiący przód białej papieskiej szaty. Dzisiejsza medytacja była krótka. Papież wstał z klęcznika, ale zatrzymał się dłużej przed ołtarzem. Michener stał w milczeniu w progu, czekając aż zwierzchnik podejdzie do niego.

- Zamierzam przedstawić swoje stanowisko w liście do ojca Tibora. Z polecenia papieża będzie zobowiązany przekazać ci określone informacje.

Wciąż brakowało mu odpowiedzi, dlaczego podróż do Rumunii jest konieczna.

- Kiedy zamierzasz wysłać mnie w drogę?

- Jutro. Najdalej pojutrze.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł. Czy nie można by zlecić tego zadania któremuś z naszych legatów?

- Zapewniam cię, Colinie, że nie umrę, kiedy wyjedziesz. Być może wyglądam źle, ale czuję się dobrze.

Co zresztą potwierdzili lekarze Klemensa nie dawniej, jak tydzień temu. Po przeprowadzeniu kompleksowych badań oznajmiono, iż zwierzchnik Kościoła nie cierpi na żadną osłabiającą fizycznie chorobę. Prywatnie papieski medyk ostrzegł jednak, że śmiertelny wróg Klemensa to stres, a powodem nagłego pogorszenia się jego kondycji w ciągu paru ostatnich miesięcy jest coś, co rozdziera jego duszę.

- Nigdy nie mówiłem, że Wasza Świątobliwość źle wygląda.

- Nie musiałeś - odparł stary człowiek wskazując na jego oczy. - Widać to w nich. A ja nauczyłem się w nich czytać.

Michener podniósł karteczkę.

- Dlaczego chcesz się skontaktować z tym księdzem?

- Powinienem uczynić to już po tym, jak po raz pierwszy udałem się do Risery. Ale wtedy się powstrzymałem - wyjawiał, potem na chwilę zamilkł. - Nie mogę już dłużej się opierać. Nie mam wyboru.

- Dlaczego najwyższy hierarcha Kościoła katolickiego nie ma wyboru?

Papież odszedł na kilka kroków i stanął twarzą do krucyfiksu zawieszzonego na ścianie. Dwie okazałych rozmiarów świece paliły się jaskrawymi płomykami po obu stronach marmurowego ołtarza.

- Czy wybierasz się dziś na posiedzenie trybunału? - zapytał Klemens, wciąż odwrócony do niego plecami.

- To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

- Najwyższy hierarcha Kościoła katolickiego może sam zdecydować, na które pytania chce odpowiadać.

- O ile się orientuję, poleciłeś mi uczestniczyć w posiedzeniach trybunału. A zatem tak, wybieram się. Będę tam razem z tłumem dziennikarzy i reporterów.

- Czy ona też tam będzie?

Wiedział doskonale, o kim mówi starzec.

- Poinformowano mnie, że złożyła podanie o akredytację, by móc relacjonować przebieg procesu.

- Wiesz, czy interesuje ją ta sprawa?

Pokręcił głową.

- Jak mówiłem wcześniej, dowiedziałem się o jej obecności zupełnie przypadkiem.

Klemens obrócił się twarzą do niego.

- Ale cóż to za szczęśliwy przypadek.

Zastanawiał się, skąd bierze się zainteresowanie ze strony papieża.

- Dobrze, że leży ci to na sercu. Ona jest częścią twojej przeszłości. Częścią, której nie powinieneś zapomnieć.

Jedynie Klemens znał całą historię, gdyż Michener potrzebował spowiednika, a arcybiskup Kolonii był mu wówczas najbliższym towarzyszem. To jedyny przypadek złamania kościelnych ślubów, którego się dopuścił w ciągu dwudziestu pięciu lat kapłańskiego życia. Zastanawiał się wtedy nad zrzuceniem sutanny, ale Klemens wyperswadował mu ten pomysł, tłumacząc, iż jedynie przez okazanie słabości dusza zyskuje moc. Odchodząc, niczego nie zyska. Teraz, gdy minęło już kilkanaście lat, był przekonany o

słuszności argumentów Jakoba Volknera. Piastował obecnie urząd papieskiego sekretarza. Od blisko trzech lat pomagał Klemensowi XV trzymać na wodzy szydercze połączenie katolickiej osobowości i kultury. Fakt, że jego udział wypływał ze złamania przysięgi złożonej Bogu i Kościołowi, nigdy chyba nie przestał trapić sumienia Michenera. A ta świadomość, zwłaszcza ostatnio, stała się bardzo kłopotliwa.

- Nie zapomniałem niczego - szepnął.

Papież podszedł do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

- Nie oplakuj tego, co straciłeś. To niezdrowe i destrukcyjne.

- Kłamanie przychodzi mi z trudem.

- Twój Bóg już ci wybaczył. To wszystko, czego potrzebujesz.

- Skąd możesz mieć pewność?

- Mam. Jeśli nie jesteś w stanie uwierzyć nieomylnemu zwierzchnikowi Kościoła katolickiego, to komu dasz wiarę?

Dowcipnemu komentarzowi towarzyszył uśmiech, który podpowiadał Michenerowi, że ma nie traktować tego tematu nazbyt poważnie.

Odwzajemnił się uśmiechem.

- Jesteś nieznośny.

Klemens zdjął dłoń z jego ramienia.

- To prawda, ale jestem również uroczy.

- Postaram się o tym pamiętać.

- Lepiej to zrób. Ja szybko przygotuję list dla ojca Tibora. Poproszę w nim o pisemną odpowiedź, ale jeśli zechce odpowiedzieć słowami, wysłuchaj go, zapytaj, o co zechcesz, potem wszystko mi powtórzysz. Zrozumiałeś?

Zastanawiał się, skąd ma niby wiedzieć, o co pytać, skoro zupełnie nie zna sensu swej podróży, ale zdobył się jedynie na proste słowa.

- Zrozumiałem, Wasza Świątobliwość. Jak zawsze.

Klemens uśmiechnął się szeroko.

- Masz rację, Colinie. Jak zawsze.

11:00

Michener wszedł do pomieszczenia Trybunału. Sala dla publiczności była wysokim pomieszczeniem wyłożonym białym i szarym marmurem, ozdobiony dodatkowo kolorowymi mozaikami w geometryczne wzory - świadkami czterech wieków historii Kościoła.

Dwóch szwajcarskich gwardzistów ubranych po cywilnemu strzegło drzwi odlanych z brązu. Gdy rozpoznali papieskiego sekretarza, ukłonili się z szacunkiem. Michener celowo odczekał godzinę, zanim pojawił się w sali. Wiedział, że jego obecność wywoła dyskusję - rzadko bowiem ktoś z bezpośredniego otoczenia głowy Kościoła uczestniczył w posiedzeniach Trybunału.

Wskutek nalegań papieża Michener przeczytał wszystkie trzy książki Kealy'ego i prywatnie streścił mu ich prowokacyjną treść. Klemens nie przeczytał ich osobiście, gdyż czyn ten mógłby wywołać nazbyt wiele spekulacji. Papież świadomie jednak interesował się tym, co napisał ojciec Kealy. Gdy Michener wsunął się na miejsce w głębi sali, po raz pierwszy ujrzał na własne oczy Thomasa Kealy

Oskarżony siedział przy stole w pojedynkę. Wyglądał na trzydzieści kilka lat, miał bujną czuprynę kasztanowych włosów i miłą, młodą twarz. Szeroki uśmiech, który pojawiał się w regularnych odstępach, wydawał się wykalkulowany - wygląd i zachowanie miały sprawiać zapewne wrażenie zagadkowych. Michener zapoznał się ze wszystkimi materiałami przygotowanymi przez Trybunał; niemal w każdym Kealy określany był mianem osoby zadowolonej z siebie i nonkonformistycznej. „Z całą pewnością oportunistą”, jak napisał jeden z kościelnych śledczych. Niemniej jednak nie potrafił odeprzeć od siebie myśli, że argumenty wysunięte przez buntownika w sutannie były w wielu punktach przekonujące.

Kealy'ego przesłuchiwał kardynał Alberto Valendra, watykański sekretarz stanu, i Michener nie chciałby znaleźć się na miejscu podsądnego. Trafił mu się zespół twardych watykańskich sędziów. Wszyscy biskupi i kardynałowie Trybunału według opinii Michenera zaliczali się do zdecydowanych konserwatystów. Żaden z nich nie był nastawiony pozytywnie do nauk Soboru Watykańskiego II i żaden nie popierał Klemensa XV. W szczególności Valendra znany był z niewzruszonego przywiązania do dogmatów. Członkowie Trybunału

odziani w uroczyste szaty liturgiczne - kardynałowie w stroje ze szkarłatnego jedwabiu, a biskupi z czarnej wełny - zasiadali za rzeźbionym stołem z marmuru pod jednym z obrazów Rafaela.

- Nikt jeszcze tak daleko nie odszedł od Boga w swej herezji - powiedział kardynał Valendrea. Jego głęboki głos odbijał się echem, nie potrzebując wzmocnienia.

- Wydaje mi się, Eminencjo - rzekł Kealy - że im mniej jawnie postępuje heretyk, tym bardziej okazuje się niebezpieczny. Nie ukrywam się ze swoim sprzeciwem. Jestem wręcz przekonany, że otwarta debata wpłynie korzystnie na stan Kościoła.

Valendrea trzymał w dłoniach trzy książki, a Michener rozpoznał okładki publikacji Kealy'ego.

- To herezja. Nie sposób postrzegać tych książek inaczej.

- Dlatego, że opowiadam się za tym, by księża mogli zawierać związki małżeńskie? By kobiety mogły uzyskiwać święcenia kapłańskie? By ksiądz mógł kochać żonę, dziecko i swego Boga tak, jak inni wierni? Że ośmielam się głosić, iż może papież nie jest nieomylny? Jest przecież człowiekiem, istotą omylną. Czyż jest to herezja?

- Nie sądzę, by ktokolwiek w tym Trybunale miał inne zdanie.

I rzeczywiście nikt nie miał.

Michener obserwował Valendrę, gdy ten przesunął się w fotelu. Kardynał był niski i przysadzisty jak strażacki hydrant. Zmierzwione białe włosy opadały mu na czoło, przyciągając wzrok dzięki kontrastowi z oliwkową cerą. Mając sześćdziesiąt lat, Valendrea cieszył się pozycją stosunkowo młodego w Kurii, zdominowanej przez mężczyzn odeń starszych. Obca była mu również powaga, którą ludzie z zewnątrz przypisywali księżom Kościoła. Wypalał codziennie niemal dwie paczki papierosów, posiadał własną piwnicę z winem, której wielu mu zazdrościło, i regularnie obracał się we właściwych kręgach europejskich elit społecznych. Jego rodzina była zamożna, a znaczną część majątku dysponował on sam jako najstarszy członek rodu w linii męskiej.

Prasa już dawno nadała mu przydomek *papabile*, który to tytuł oznacza, że jako kandydat do papieskiej tiary spełnia warunek wieku, rangi i wpływów. Michener słyszał pogłoski, że watykański sekretarz stanu przygotowuje się do następnego konklawe, że układa się z niezdecydowanymi i zastrasza potencjalną opozycję. Klemens został zmuszony do mianowania go sekretarzem stanu, piastującym drugi po papieżu urząd co do rangi i wpływów, gdyż znaczący blok kardynałów nalegał na przydzielenie Valendrei tego stanowiska, Klemens zaś był dostatecznie przebiegły, by zadowalać ludzi, którzy wynieśli go do władzy. Poza tym, jak sam papież od czasu do czasu przyznawał, lepiej trzymać przyjaciół

blisko siebie, a wrogów jeszcze bliżej.

Valendrea położył ręce na stole. Nie miał przed sobą żadnych dokumentów. Słyszał z tego, że rzadko musi posiłkować się dokumentacją.

- Ojciec Kealy, w łonie naszego Kościoła wielu jest takich, których zdaniem eksperymentu z Soborem Watykańskim II nie da uznać się za sukces. Osoba ojca stanowi jaskrawy przykład naszej porażki. Duchowni nie dysponują swobodą wypowiedzi. Zbyt wiele jest sądów i opinii na tym świecie, by pozwolić na dysputę. Ten Kościół musi przemawiać jednym głosem: głosem Ojca Świętego.

- I wielu jest dzisiaj takich, którzy uznają celibat i papieską nieomyślność za błędne doktryny pochodzące z czasów, gdy świat był jeszcze niepiśmienny, a Kościół zepsuty.

- Nie mogę się zgodzić z ojca wnioskami. Ale jeśli nawet istnieją tacy duchowni, zatrzymują swoje poglądy dla siebie.

- Strach potrafi zamykać usta, Eminencjo.

- Tu nie ma się czego obawiać.

- Z tego miejsca pozwalam sobie wyrazić odmienną opinię w tej kwestii.

- Kościół nie karze swych duchownych za poglądy, ojciec, jedynie za czyny. Takie jak wasze. Organizacja prowadzona przez ojca jest obrazą wobec Kościoła, którego służą jesteście.

- Gdybym nie darzył szacunkiem Kościoła, Eminencjo, po prostu zrzuciłbym sutannę bez słowa. Lecz ja miłuję mój Kościół na tyle głęboko, by stawić wyzwanie polityce przezeń prowadzonej.

- Sądziłicie, ojciec, że Kościół będzie przyglądał się biernie, jak łamiecie śluby, romansujecie jawnie z kobietą i odpuszczacie sobie oraz jej grzech nieczystości? - zapytał Valendrea, ponownie unosząc książki. - A potem o tym piszecie?! Dosłownie prosiliście się o ten proces.

- Czy Eminencja szczerze wierzy w to, że wszyscy duchowni żyją w celibacie? - zapytał Kealy.

To pytanie przyciągnęło uwagę Michenera. Zauważył, że reporterzy również się ożywili.

- Nie ma znaczenia, w co wierzę - odparł kardynał. - Ta kwestia dotyczy każdego duchownego z osobna. Każdy z nich złożył ślubowanie wobec Boga i Kościoła. Spodziewam się, że przysięga ta jest dotrzymywana. Każdy, kto zawiedzie w tym względzie, musi odejść sam lub pod przymusem.

- Czy wy, Eminencjo, dochowaliście przysięgi?



Zuchwałość Kealy'ego zdumiała Michenera. Być może zrozumiał, co go czeka, i było mu już wszystko jedno.

Valendrea pokręcił głową.

- Czy waszym zdaniem, ojcze, osobisty atak na moją osobę dobrze przysłuży się waszej obronie?

- To proste pytanie.

- Tak, ojcze. Dochowałem przysięgi.

Kealy zdawał się niewzruszony.

- Jakąż inną odpowiedź moglibyśmy usłyszeć?

- Chce ojciec powiedzieć, iż jestem kłamcą?

- Nie, Eminencjo. Jedynie to, że żaden ksiądz, biskup czy kardynał nie zdobędzie się na wyznanie tego, co czuje w głębi serca. Wszyscy jesteśmy zobligowani do mówienia tego, co nakazuje nam Kościół. Nie mam pojęcia, co Eminencja czuje naprawdę, i to jest przygnębiające.

- Moje odczucia nie mają żadnego związku z herezją, której się dopuściliście.

- Wydaje się, że Eminencja już mnie osądził.

- W nie większym stopniu niż wasz Bóg. Który niewątpliwie jest nieomylny. Chyba że zamierzacie podać w wątpliwość również ten dogmat?

- Kiedyż to Bóg nakazał, że księża nie mogą poznać miłości życiowego towarzysza?

- Towarzysza? Dlaczego nie po prostu kobiety?

- Ponieważ miłość nie zna granic, Eminencjo.

- A zatem staje ojciec również w obronie homoseksualizmu?

- Opowiadam się jedynie za tym, by każdy człowiek mógł podążać za głosem serca.

Valendrea pokręcił głową.

- Czyżbyście zapomnieli, ojcze, że wasze święcenia oznaczają zjednoczenie z Chrystusem? Prawda o tożsamości ojca, która w oczach członków Trybunału jest odczytywana jednoznacznie, pochodzi z pełni tego zjednoczenia. Wasza powinność to być żywym i przejrzystym wizerunkiem Chrystusa.

- Lecz skąd mamy wiedzieć, jaki jest ten wizerunek? Nikt z nas nie żył w czasach Chrystusa.

- Kościół prezentuje ten wizerunek.

- Czyż nie jest jednak tak, że to człowiek dopasowuje Boga do swoich potrzeb?

Valendrea uniósł prawą brew z niedowierzaniem.

- Arogancja ojca jest zdumiewająca. Czy kwestionujecie fakt, że Chrystus Pan żył w

celibacie? Czyż Syn Boży nie stawiał Swego Kościoła ponad wszystko? Czyż Jezus nie był zjednoczony ze Swym Kościołem?

- Nie mam najmniejszego pojęcia, jakie były preferencje seksualne Chrystusa. Wy, Eminencjo, również tego pojęcia nie macie.

Valendrea zawahał się przez chwilę, zanim znowu zabrał głos.

- Wasz celibat, ojcze, to ofiara, którą z siebie składacie. To wyraz waszej wiernej służby. Tak głosi doktryna Kościoła. Lecz wydaje się, że tej ofiary nie jesteście w stanie pojąć albo pojąć jej nie chcecie.

Kealy odpowiadał, cytując kolejne dogmaty, a po jakimś czasie Michener odwrócił uwagę od przebiegu ich dyskusji. Nie chciał się rozglądać, powtarzając sobie, że nie po to tu przyszedł, lecz jego wzrok w szybkim tempie omiótł niemal setkę zgromadzonych i w końcu natrafił na kobietę siedzącą dwa rzędy za Kealym.

Jej włosy miał kolor nocy, były bardzo gęste i błyszczące. Przypominał sobie czasy, kiedy te pasma tworzyły ciężką grzywę i pachniały świeżą cytryną. Teraz były przycięte krótko, wycieniowane i zaczesywane palcami. Mógł tylko rzucić okiem na jej profil z ukosa, ale za każdym razem widział małe nos i wąskie usta. Cera ciągle miała odcień kawy z dużą dozą śmietanki, odziedziczony po matce, rumuńskiej Cygance, i ojcu, węgierskim Niemcu. Jej imię i nazwisko - Katerina Lew - znaczyło „prawdziwy lew”. To określenie zawsze wydawała mu się odpowiednie do jej ognistego temperamentu oraz fanatycznych przekonań.

Spotkali się w Monachium. Miał wtedy trzydzieści trzy lata i kończył studia prawnicze. Ona liczyła sobie dwadzieścia pięć wiosen i stała przed dylematem, czy wybrać dziennikarstwo, czy też rozpocząć karierę powieściopisarki. Wiedziała, że jest duchownym, spędzili razem blisko dwa lata, zanim doszło do ostatecznej rozgrywki. „Twój Bóg albo ja”, oświadczyła wtedy.

Wybrał Boga.

- Ojcze Kealy - podjął Valendrea - w naturze naszej wiary leży to, iż nic nie można do niej dodać, ani nic od niej ująć. Musi ojciec przyjąć nauki naszego Kościoła w całości albo je odrzucić. Nie istnieje coś takiego, jak częściowy katolicyzm. Nasze zasady, czego wykładnię dał Ojciec Święty, nie są bezbożne i nie można ich rozmieniać na drobne. Są czyste jak Bóg.

- O ile dobrze pamiętam, to słowa papieża Benedykta XV - ripostował Kealy.

- Widzę, że ojciec jest dobrze zorientowany. Co jeszcze powiększa moje przygnębienie z powodu herezji ojca. Osoba o takiej inteligencji powinna zrozumieć, dlaczego ten Kościół nie może i nie będzie tolerował otwartego odstępstwa. Zwłaszcza w stopniu, jaki zaprezentował ojciec.

- Słowa Eminencji wskazują, że Kościół obawia się debaty.

- Twierdzą jedynie, że Kościół ustala reguły. Jeśli nie podobają się wam te prawa, musicie zebrać dostateczną liczbę głosów, by wybrać papieża, który je zmieni. A wobec braku tych głosów, musicie postępować zgodnie z nakazami tych reguł.

- Ach, zapomniałem. Ojciec Święty jest nieomylny. Wszystko, co powie na temat wiary, jest absolutnie słuszne. Czy teraz formułuję poprawny dogmat?

Michener zwrócił uwagę, że żaden z pozostałych członków Trybunału nie odezwał się ani słowem. Najwidoczniej sekretarz stanu miał pozostać inkwizytorem przez całe posiedzenie. Papieski powiernik wiedział, że reszta hierarchów w Penitencjarii Apostolskiej należy do lojalnych popleczników Valendrei i niewielka jest szansa, że którykolwiek z nich sprzeciwi się swemu patronowi. Ale Thomas Kealy ułatwiał Trybunałowi zadanie, robiąc sam sobie więcej szkody, niż wyrządziłyby najbardziej nawet dociekliwe pytania.

- Zgadza się - odparł Valendrea. - Papieska nieomylność ma istotne znaczenie dla Kościoła.

- Kolejny dogmat sformułowany przez człowieka.

- Kolejny dogmat, na którego straży stoi ten Kościół.

- Jestem kapłanem miłującym swego Boga i swój Kościół - oznajmił Kealy. - Nie widzę powodu, dla którego niegodzenie się z jednym z nich miałoby skończyć się moją ekskomuniką. Dyskusja i debata mogą jedynie wspierać rozsądną politykę. Dlaczego Kościół boi się tego?

- Ojczy, to przesłuchanie nie dotyczy wolności wypowiedzi. Nie mamy amerykańskiej konstytucji, która gwarantuje taką wolność. To jest przesłuchanie w sprawie bezwstydnego związku z kobietą, waszego, ojczy, rozgrzeszenia siebie i współnika w grzechu nieczystości oraz waszego jawnego sprzeciwu. Każdy z tych czynów stoi w otwartej sprzeczności z zasadami Kościoła, do którego przystąpiliście.

Wzrok Michenera znów podążył w stronę Kate. Takie imię nadał jej, narzucając odrobinę swego irlandzkiego dziedzictwa jej wschodnioeuropejskiej osobowości. Siedziała wyprostowana z notebookiem na kolanach, w pełni skupiona na toczącej się debacie.

Jego myśli pobiegły ku ostatniemu latu spędzonemu wspólnie w Bawarii, kiedy wykorzystał trzy wolne tygodnie między semestrami. Pojechali do pewnej alpejskiej wioski i zamieszkali w pensjonacie otoczonym ośnieżonymi górskimi szczytami. Wiedział, że nie powinien tego czynić, ale wtedy ona dotarła już do tej części jego tożsamości, o której istnieniu nie wiedział. Słowa wypowiedziane przed chwilą przez kardynała Valendrea na temat zjednoczenia Chrystusa i kapłana z Kościołem w istocie stanowiły fundament celibatu

duchowieństwa. Kapłan powinien poświęcić się całkowicie Bogu i Kościołowi. Ale od tamtego lata wciąż trapił go dylemat, dlaczego nie wolno mu jednocześnie kochać kobiety, swego Kościoła i swego Boga. Jakich słów użył Kealy? „Jak inni wierni”.

Poczuł na sobie czyjeś spojrzenie. Kiedy znów skupił myśli, zorientował się, że Katerina odwróciła głowę i patrzy teraz prosto na niego.

Dostrzegł w jej twarzy tę samą nieustępliwość, która tak bardzo go pociągała. Nieco azjatyckie oczy, usta ściągnięte w dół, zuchwa delikatna i kobieca. W jej rysach nie było żadnej ostrości. Ta, jak wiedział, kryła się w jej osobowości. Szacował wyraz jej twarzy i starał się ocenić stan jej emocji. Żadnego gniewu. Ani niechęci. Ani sympatii. Jej twarz nie wyrażała nic. Nawet powitania. Poczuł się zażenowany tym, że tak łatwo przywołał wspomnienia. Być może spodziewała się jego obecności i nie chciała dać mu satysfakcji, że wciąż jej na nim zależy. W końcu ich rozstanie przed laty wcale nie miało pokojowego charakteru.

Odwróciła się z powrotem ku Trybunałowi, a jego niepokój natychmiast osłabł.

- Ojciec Kealy - powiedział Valendrea. - Zadam proste pytanie. Czy wyrzekacie się herezji, której się dopuściliście? Czy przyznajecie, że wasze uczynki były sprzeczne z prawami tego Kościoła i waszego Boga?

Ksiądz przysunął się do stołu.

- Nie wierzę, że miłość do kobiety jest sprzeczna z prawami Boskimi. Wybaczenie tego grzechu byłoby zatem sprzeczne z logiką. Mam prawo głosić własne poglądy, nie przepraszam więc za ruch, na czele którego stoję. Nie uczyniłem nic złego, Eminencjo.

- Jesteście głupcem, ojciec. Dałem wam wszelką sposobność, byście mogli prosić o przebaczenie. Kościół może i powinien przebaczać. Ale żal za grzechy obowiązuje obie strony Grzesznik musi okazać skruchę.

- Nie szukam waszego przebaczenia.

Valendrea pokręcił głową.

- Moje serce boleje nad wami, ojciec, i nad waszymi wyznawcami. Najwyraźniej wszystkich was opętał diabeł.

13.05

Kardynał Alberto Valendra stał w milczeniu, w nadziei, że euforia, której doznał wcześniej w trakcie posiedzenia Trybunału, okiełzna narastające rozdrażnienie. To zdumiewające, jak szybko negatywne przeżycie całkowicie unicestwiało to o pozytywnym charakterze.

- Jak sądzisz, Alberto? - zapytał Klemens XV. - Czy już nadszedł czas, bym pokazał się zgromadzonym tłumom?

- Papież wskazał gestem na niszę i otwarte okno.

Valendrea irytował fakt, że papież marnuje czas, stojąc w otwartym oknie i machając ręką do ludzi zebranych na placu św. Piotra. Służby bezpieczeństwa Watykanu ostrzegały przed tym gestem, lecz niemądry starzec ignorował te ostrzeżenia. Prasa rozpisywała się na ten temat, nieustannie porównując Niemca do Jana XXIII. I rzeczywiście, podobieństwa nasuwały się same. Obaj zasiedli na papieskim tronie, dochodząc do osiemdziesiątki. Obaj mieli krótko pełnić swój urząd. I obaj zaskoczyli wszystkich.

Valendra nienawdził, kiedy watykańscy obserwatorzy wykazywali analogię między papieżem stojącym w otwartym oknie a „jego ożywionym duchem, bezpretensjonalną otwartością i charyzmatycznym ciepłem”. W papieżstwie nie chodziło o popularność. Chodziło o konsekwencję, dlatego niechęć budziła w Valendrei łatwość, z którą Klemens rezygnował z tytułu uświęconych tradycją zwyczajów. Bliscy współpracownicy nie musieli już przyklękać w obecności papieża. Niewielu całowało papieski pierścień. Rzadko też Klemens zabierał głos w pierwszej osobie liczby mnogiej, co papieże czynili przez wieki. „To jest dwudziesty pierwszy wiek”, lubił powtarzać Jakob Volkner, zarządzając kres kolejnego wielowiekowego zwyczaju.

Valendra pamiętał czasy, wcale nie tak odległe, kiedy papieże nigdy nie pojawiali się w otwartym oknie. Pominąwszy względy bezpieczeństwa, to pozostawanie w półcieniu potęgowało atmosferę tajemniczości. Nic zaś nie wzmacniało wiary i posłuszeństwa lepiej niż atmosfera cudu.

Służył papieżom od blisko czterdziestu lat, szybko pnąc się w Kurii po szczeblach

kariery. Sięgając po kardynalski kapelusz przed pięćdziesiątką, został jednym z najmłodszych purpuratów w czasach nowożytnych. Obecnie piastował drugie pod względem potęgi stanowisko w Kościele katolickim - sekretarza stanu. Ta pozycja pozwalała mu na ingerencję w każdy aspekt działań Stolicy Apostolskiej. Lecz on pragnął więcej. Pragnął pozycji najpotężniejszej. Kiedy ją zajmie, nikt nie będzie kwestionował jego decyzji. A jego słowa będą nieomyślne i niepodważalne.

Chciał być papieżem.

- Taki piękny dziś dzień - podjął rozmowę Klemens. - Chyba na dobre przestało padać. Powietrze jest jak w moich stronach, w niemieckich górach. Ma w sobie świeżość Alp. To wstyd, że siedzimy w środku.

Papież podszedł do wnęki, lecz nie na tyle, by widziano go z zewnątrz. Miał na sobie sutannę z białego płótna, pelerynkę na ramionach oraz tradycyjną białą kamizelkę. Na stopach nosił szkarłatne pantofle, a łysiejącą głowę wieńczyła piuska. Spośród rzeszy katolickich duchownych tylko on jeden mógł nosić taki strój.

- Może Wasza Świątobliwość zajmie się tym uroczym popisem już po zakończeniu naszej odprawy. Mam umówione inne spotkania, a posiedzenie Trybunału zajęło całe przedpołudnie.

- To zajmie tylko parę chwil - odparł Klemens.

Wiedział, że Niemiec uwielbia drwić sobie z niego. Przez otwarte okno dobiegał szum rzymskiej aglomeracji, niepowtarzalny odgłos wydawany przez trzy miliony dusz oraz ich maszyny, sunące po ulicach z porowatej wulkanicznej skały.

Klemens zdawał się również słyszeć ten dźwięk.

- To miasto wydaje dziwny odgłos.

- Nasz odgłos.

- Ach, niemal zapomniałem. Jesteś Włochem, a my wszyscy nie.

Valendrea stał obok łóżka z baldachimem wyrzeźbionym w ciężkim drewnie dębu. Cery i łąty były tak liczne, że zdawały się częścią rękodziela. Poprzecierana szydełkowa kapa zdobiła jeden koniec łoża, w drugim natomiast leżały dwie ogromne poduszki. Pozostałe meble również pochodziły z Niemiec - szafa, komoda i stoły, wszystko pomalowane radośnie w bawarskim stylu. Od połowy jedenastego stulecia na papieskim tronie nie zasiadał Niemiec. Klemens II stanowił źródło inspiracji dla panującego obecnie Klemensa XV - z tego faktu papież nie czynił tajemnicy. Lecz ten wcześniejszy Klemens najprawdopodobniej zakończył żywot otruty Valendrea często sobie myślał, że tej lekcji Niemiec nie powinien zapomnieć.

- Być może masz rację - podjął Klemens. - Pozdrowienie może poczekać. Mamy

sprawy do załatwienia, prawda?

Podmuch wiatru wpadł do wnętrza i poderwał dokumenty na biurku. Valendrea sięgnął w ich stronę i przytrzymał je, zanim zdołały dolecieć do komputerowego terminala. Klemens nie zdążył jeszcze włączyć maszyny. Był pierwszym papieżem, który w pełni potrafił posługiwać się komputerem osobistym - to kolejny fakt uwielbiany przez prasę - ale Valendrea nie miał nic przeciwko tej zmianie. Monitorowanie komputerów i telefaksów było znacznie łatwiejsze niż podsłuchiwanie telefonów.

- Powiedziano mi, że dzisiejszego ranka byłeś pełen werwy i polotu - powiedział Klemens. - Jaki wyrok wyda Trybunał?

Doszedł do wniosku, że Michener zdążył już zdać raport. Widział osobistego papieskiego sekretarza wśród publiczności.

- Nie miałem świadomości, że Wasza Świątobliwość jest do tego stopnia zainteresowany materiałem rozprawy

- Trudno nie być zainteresowanym. Plac jest zastawiony wozami transmisyjnymi. Proszę zatem, byś odpowiedział na moje pytanie.

- Ojciec Kealy nie pozostawił nam dużego wyboru. Zostanie obłożony ekskomuniką. Papież założył dłonie na plecach.

- Nie zdobył się na skruchę?

- Był arogancki do granic obrazy i ośmielił się wezwać nas do dysputy

- Może powinniśmy to zrobić.

Ta sugestia zupełnie zaskoczyła Valendrea, ale dziesiątki lat służby dyplomatycznej nauczyły go maskować zdziwienie w zadawanych pytaniach.

- Jakież miałby być cel tak niekonwencjonalnego działania?

- Czy wszystko musi służyć jakiemuś celowi? Być może powinniśmy po prostu wysłuchać poglądów przeciwnej strony

Kardynał nawet nie drgnął.

- Nie istnieje żaden sposób prowadzenia otwartej debaty w sprawie celibatu. Ten zwyczaj liczy sobie kilkaset lat. Co będzie następne? Kobiety wyświęcane na duchownych? Małżeństwa dla księży? Zgoda na regulację urodzin? Czy wszystkie zakazy zostaną całkowicie uchylone?

Klemens podszedł do łoża i spojrzał na zawieszony na ścianie średniowieczny konterfekt z podobizną Klemensa II. Valendrea wiedział, że portret wyciągnięto z jakiejś ciemnej, zapomnianej piwnicy, gdzie spoczywał setki lat.

- Był biskupem Bambergu. Prostym człowiekiem, który nie pragnął papieskiej tiary.

- Był zaufanym cesarza - wtrącił Valendrea. - Człowiekiem o politycznych powiązaniach. We właściwym miejscu i we właściwym czasie.

Klemens obrócił się twarzą do niego.

- Podobnie jak ja, prawda?

- Wyboru Waszej Świątobliwości dokonała przytłaczająca większość kardynałów, z których każdego natchnął Duch Święty.

Na ustach Klemensa pojawił się irytujący uśmiech.

- Albo być może kierowali się faktem, że żaden z pozostałych kardynałów, wliczając ciebie, nie był w stanie zebrać liczby głosów dającej zwycięstwo?

Najwyraźniej dzisiaj mieli wcześniej rozpocząć właśnie.

- Jesteś ambitnym człowiekiem, Alberto. Trwasz w przekonaniu, że noszenie tej białej sutanny w jakiś sposób da ci szczęście. Mogę cię zapewnić, że jesteś w błędzie.

Podobne rozmowy prowadzili wcześniej, ale w ostatnim czasie ich spory przybrały na intensywności. Każdy z nich wiedział, co czuje i myśli drugi. Nie byli przyjaciółmi i nigdy nie mieli nimi być. Valendrea rozbawiali ludzie, którzy sądzili, że łączy go z papieżem święta więź dwóch pobożnych dusz, stawiających najwyżej potrzeby Kościoła, tylko dlatego, że on jest kardynałem, a Klemens papieżem. W rzeczywistości różnili się bardzo, ich zjednoczenie zaś było rezultatem całkowicie sprzecznych politycznych interesów. Na ich korzyść należało zaliczyć to, że żaden nigdy otwarcie nie zaatakował drugiego. Valendrea był na to zbyt przebiegły - papież nie miał potrzeby spierać się z kimkolwiek - Klemens zaś najwyraźniej zdawał sobie sprawę, że wielu kardynałów stoi po stronie sekretarza stanu.

- Nie pragnę niczego, Ojczy Świąty, oprócz tego, byś wiódł długi i pomyślny żywot.

- Nie potrafisz dobrze kłamać.

Zmęczyło go już przesłuchanie starca.

- Czy ma to jakieś znaczenie? Kiedy zostanie zwołane następne konklawe, ciebie już tu nie będzie. Nie troskaj się więc o potencjalnych kandydatów.

Klemens wzruszył ramionami.

- To bez znaczenia. Otoczony wciąż będę spoczywał w krypcie pod Bazyliką św. Piotra, wraz z pozostałymi, którzy zasiadali na tym tronie. Nic mnie nie obchodzi mój następca. Ale ten człowiek? Tak, ten człowiek ma się czego obawiać.

Co właściwie wiedział leciwy hierarcha? Wydawało się, że ostatnio wpadł w nawyk mówienia rzeczy dwuznacznych.

- Czy jest coś, co wywołuje niezadowolenie Ojca Świętego?

W oczach Klemensa pojawił się błysk ożywienia.



- Jesteś oportunistą, Alberto. Knującym intrygi politykiem. Mogę cię bardzo rozczarować i żyć jeszcze następne dziesięć lat.

Postanowił odrzucić wszelkie pozory

- Wątpię.

- Mówiąc prawdę, mam nadzieję, że to ty przejmiesz po mnie schedę. Przekonasz się, że będzie zupełnie inaczej, niż sobie to wyobrażałeś. Może to ty powinieneś zostać wybrany.

Zapraǳnął zaspokoić ciekawość.

- Wybrany do czego?

Papież przez kilka chwil zachowywał milczenie. Potem znów się odezwał.

- Wybrany na Piotrowy tron, rzecz jasna. Cóż innego wchodziłoby w grę?

- Co tak bardzo niepokoi duszę Waszej Świątobliwości?

- Jesteśmy głupcami, Alberto. Wszyscy, w naszym majestacie, jesteśmy wyłącznie głupcami. Bóg jest o wiele mądrzejszy niż każdy z nas może sobie to wyobrazić.

- Nie sądzę, by ktokolwiek wierzący podawał to w wątpliwość.

- Dokonujemy wykładni kościelnego dogmatu i czyniąc to, rujnujemy życie ludzi takich jak ojciec Kealy. On jest po prostu kapłanem, który podąża za własnym sumieniem.

- Bardziej wygląda na oportunistę, jeśli posłużyć się twoim określeniem. To człowiek, który lubi stać w świetle jupiterów. Mimo to z pewnością rozumiał politykę Kościoła, kiedy ślubował, że będzie przestrzegać naszych nauk.

- Ale czyich nauk? To ludzie tacy jak ty i ja głoszą tak zwane Słowo Boże. To ludzie tacy jak ty i ja wymierzają innym karę za złamanie tych nauk. Często zastanawiam się, czy nasze cenne dogmaty są tym, co myśli Wszechmogący, czy też po prostu odzwierciedlają poglądy zwykłych duchownych?

Valendrea uznał tę dociekliwą rozmowę za jeszcze jeden przejaw dziwnego ostatnio zachowania papieża. Zastanawiał się w duchu, czy nie sondować dalej, ale doszedł do wniosku, że to on jest testowanym obiektem, udzielił zatem jedynej w tej sytuacji możliwej odpowiedzi.

- Uważam Słowo Boże i dogmaty tego Kościoła za jedno i to samo.

- Dobra odpowiedź. Słownikowa pod względem stylu i składni. Niestety, Alberto, to przekonanie doprowadzi w końcu do twojej zguby.

Papież odwrócił się i podszedł do okna.

Michener przechadzał się w promieniach słońca wczesnego popołudnia. Poranny deszcz ustał, niebo usiane było teraz cętkowanymi chmurami. Połacie błękitu przecinała smuga kondensacyjna samolotu sunącego na wschód. Na bruku placu św. Piotra wciąż widniały ślady wcześniejszej ulewy, kałuże powstałe to tu, to tam, wyglądały niczym liczne jeziora porozrzucane na rozległym obszarze. Załogi stacji telewizyjnych wciąż jeszcze tu pracowały, a wielu reporterów przekazywało teraz relacje do macierzystych stacji.

Opuścił salę Trybunału, zanim ten przerwał posiedzenie. Jeden ze współpracowników poinformował go później, że konfrontacja między ojcem Kealym a kardynałem Valendrea ciągnęła się jeszcze przez niemal dwie godziny. Zastanawiał się nad sensem przesłuchania. Decyzja o obłożeniu zbuntowanego księdza ekskomuniką z pewnością została podjęta na długo, zanim kapłana z Richmond wezwano do Rzymu. Niewielu oskarżonych duchownych stawało faktycznie przed Trybunałem, Kealy przybył tu więc zapewne w nadziei ściągnięcia jeszcze większej uwagi na swój ruch. W ciągu paru tygodni zapadnie wyrok, że duchowny „nie jest już członkiem wspólnoty Stolicy Apostolskiej”, że to kolejny wygnaniec, który obwieszcza, że Kościół jest dinozaurem i należy do gatunku skazanego na wymarcie.

I czasem Michener wierzył, że krytycy, tacy jak Kealy, mogą mieć rację.

Niemal połowa katolików żyła obecnie w Ameryce Południowej. Jeśli doda się do tego Afrykę i Azję, ta część rośnie do trzech czwartych. Udobruchanie tej wyłaniającej się międzynarodowej większości bez jednoczesnego odsunięcia na bok Europejczyków i Włochów było codziennym wyzwaniem. Żadna głowa państwa nie stała dotąd przed tak skomplikowanym zadaniem. Ale Kościół katolicki nie czynił nic innego od dwóch tysięcy lat - z takim wyzwaniem nie poradziłaby sobie żadna inna instytucja. Michener miał przed sobą jeden z najwspanialszych przejawów istnienia Kościoła.

Widok na plac w kształcie klucza, otoczony dwiema wspaniałymi półkolistymi kolumnadami Berniniego wprost zapierał dech. Michener zawsze był pod wrażeniem Watykanu. Pierwszy raz przybył tu przed dwunastoma laty jako kapłan asystujący arcybiskupowi Kolonii - już po ciężkiej próbie cnót, na którą wystawiła go Katerina Lew, ale z jeszcze większą determinacją. Przypominał sobie, jak po raz pierwszy zgłębiał niespełna pół kilometra kwadratowego enklawy otoczonej z trzech stron murem, zachwycając się

wspaniałością, którą mogą stworzyć dwa tysiąclecia nieustającej budowy

Maciupenkie państwko nie zajmowało jednego ze wzgórz, na których posadził się Rzym, lecz zwieńczało Mons Vaticanus. Ta nazwa była jedyną spośród nazw siedmiu wzgórz wciąż jeszcze pamiętaną. Liczba mieszkańców nie przekraczała dwóch tysięcy, a jeszcze mniej było tych, którzy posiadali tutejsze paszporty. Nikt nigdy się tu nie urodził, niewielu oprócz papieży wydało tu ostatnie tchnienie, a jeszcze mniej spoczęło w grobie. Rząd tego państwa był jedną z ostatnich na świecie monarchii absolutnych. Michener zawsze myślał z rozbawieniem o tym, że przedstawiciel Stolicy Apostolskiej przy Organizacji Narodów Zjednoczonych nie może podpisać deklaracji praw człowieka, ponieważ w granicach Watykanu nie istnieje wolność wyznania.

Rozejrzał się po skąpanym w słońcu placu, mijając wzrokiem las rozstawionych anten, i zauważył, że ludzie tu zgromadzeni spoglądają w górę na prawo. Kilka osób wykrzykiwało *Santissimo Padre*. Ojciec Święty. Jego spojrzenie podążyło za podniesionymi głowami w stronę trzeciego piętra Pałacu Apostolskiego. Pomiędzy drewnianymi żaluzjami narożnego okna pojawiła się twarz Klemensa XV

Wielu ludzi machało rękoma. Papież odwzajemniał gest pozdrowienia.

- Wciąż cię fascynuje, prawda? - powiedział kobiecy głos.

Obrócił się. Katerina Lew stała o parę metrów od niego.

Podświadomie czuł, że ona go odnajdzie. Podeszła blisko do miejsca, w którym stał, w cieniu jednej z kolumn Berniniego.

- Nie zmieniłeś się ani trochę. Wciąż jesteś zakochany w swoim Bogu. Widziałam to w twoich oczach w trakcie posiedzenia Trybunału.

Starał się uśmiechnąć, lecz nakazał sobie skupienie na zadaniu, które przed nim stało.

- Co u ciebie słyhać, Kate? - zapytał, a rysy jej twarzy złagodniały - Czy życie spełniło twoje oczekiwania?

- Nie mogę narzekać. Nie, nie będę narzekać. To bezproduktywne. Tak określiłeś kiedy narzekanie.

- Dobrze to słyszeć.

- Skąd wiedziałeś, że będę tam dzisiaj rana?

- Przed paroma tygodniami widziałem twój wniosek o akredytację. Mogę zapytać, jaki jest powód twojego zainteresowania ojcem Kealy?

- Nie rozmawialiśmy od piętnastu lat, a ty chcesz teraz mówić o tym?

- Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, zakazałaś mi kiedykolwiek mówić o nas. Stwierdziłaś wtedy, że nie ma żadnego „nas”. Tylko ja i Bóg. Dlatego też nie uznałem tego za

dobry temat.

- Ale powiedziałam to dopiero wtedy, gdy oznajmiłeś, że wracasz do arcybiskupa i całkowicie poświęcasz się służbie innym. Pełnieniu duszpasterskiej posługi w łonie Kościoła katolickiego.

Stali odrobinę zbyt blisko siebie, odszedł więc parę kroków wstecz, kryjąc się głębiej w cieniu kolumnady Dostrzegł refleks światła z wysuszonej już w jasnym jesiennym słońcu kopuły projektu Michała Anioła, wieńczącej Bazylikę św. Piotra.

- Jak widzę, wciąż masz talent unikania odpowiedzi na pytania - wytknął jej.

- Jestem tutaj, gdyż prosił mnie o to Tom Kealy. On nie jest głupcem. Zdaje sobie sprawę, jaki będzie werdykt Trybunału.

- Dla kogo teraz piszesz?

- Jestem wolnym strzelcem. On i ja piszemy wspólnie książkę.

Była dobrą pisarką, a jeszcze lepszą poetką. Zawsze zazdrościł jej talentu i rzeczywiście chciał się dowiedzieć, co wydarzyło się po Monachium. Znał tylko oderwane epizody. Wiedział, że pracowała w kilku europejskich dziennikach, nigdy na długo, a nawet w Ameryce. Od czasu do czasu natykał się na jej nazwisko pod tytułem artykułu - lecz nie było to publikacje ani ważne, ani obszerne, najczęściej religijne eseje. Kilka razy omal jej nie wytropił, tęskniąc za wspólną filiżanką kawy, ale wiedział, że to niemożliwe. Dokonał wyboru i nie było już odwrotu.

- Nie zdziwiłam się, gdy przeczytałam o papieskiej nominacji - odparła. - Pomyślałam, że skoro Volkner został wybrany, nie zapomni o tobie.

Pochwyił spojrzenie jej szmaragdowych oczu i dostrzegł, że zmaga się z uczuciami, tak jak przez piętnastoma laty. Wtedy on był kapłanem u progu kariery, niespokojnym i ambitnym, wiążącym swe losy z niemieckim biskupem, któremu wielu przepowiadało godność kardynała. Teraz mówiło się o nim z kolei, że dołączy do kolegium kardynalskiego. Awans papieskiego sekretarza z Pałacu Apostolskiego do pozycji pozwalającej nosić szkarłatny kapelusz nie byłby wcale precedensem. Michener pragnął być księciem Kościoła, uczestniczyć w kolejnym konklawe w Kaplicy Sykstyńskiej, pod sufitem ozdobionym freskami Michała Anioła i Botticellego, z prawem oddawania głosu.

- Klemens jest dobrym człowiekiem - wyznał.

- Jest durniem - stwierdziła spokojnie. - Po prostu kimś, kogo świątobliwi kardynałowie wynieśli na tron, w chwili gdy zdołał zdobyć wymaganą liczbę głosów.

- Na jakiej podstawie wysuwasz tak stanowczy wniosek?

- Czyżbym się myliła?

Odwrócił się od niej, aby ukoić wzburzenie, i obserwował grupę sprzedawców suvenirów stojących na skraju placu. Jej poglądy wciąż były stanowcze, słowa zjadliwe i gorzkie, takie jak zapamiętał. Dobiegała czterdziestki, ale dojrzałość w niewielkim stopniu okiełznała jej wybuchową osobowość. Była to jedna z niewielu cech, których nigdy w niej nie lubił, i jedna z tych, za którymi tęsknił. W jego świecie szczerłość nie istniała. Otaczali go ludzie, którzy z przekonaniem mówili to, czego nigdy nie myśleli, za prawdę uchodziły więc wypowiedzane słowa. Przynajmniej człowiek wiedział, na czym stoi. Na stałym gruncie. Nie zaś na ruchomych piaskach, z którymi nauczył się radzić sobie.

- Klemens jest dobrym człowiekiem, który ma zadanie niemal niemożliwe - powiedział.

- Oczywiście, jeśli kochany Kościół ugnie się odrobinę, zadanie może się okazać łatwiejsze. Z pewnością trudno jest rządzić miliardem wiernych, kiedy każdy musi zaakceptować fakt, iż papież jest jedyną na ziemi osobą, która nie popełnia błędów.

Nie chciał się z nią spierać o dogmaty, zwłaszcza na środku placu św. Piotra. Dwóch szwajcarskich gwardzistów, w hełmach z pióropuszcami, z uniesionymi halabardami, przemaszerowało o kilka metrów od nich. Spoglądał za nimi, jak zmierzali do głównego wejścia bazyliki. Sześć potężnych dzwonów zawieszonych wysoko pod kopułą milczało, zdawał sobie jednak sprawę, że chwila, kiedy ich głos obwieści światu odejście Klemensa XV z ziemskiego padole, jest nieodległa. Wiedział, co musi zrobić.

- Miło było cię znowu widzieć, Kate. Odwrócił się, żeby odejść.

- Sukinsyn.

Wypowiedziała obelgę cichym głosem, tak by tylko on ją usłyszał.

Zwrócił się ku niej ponownie, zastanawiając się, czy rzeczywiście tak o nim myśli. Klótnia zmąciła rysy jej twarzy. Podszedł do niej.

- Nie rozmawialiśmy od lat, a ty chcesz mi tylko powiedzieć, jak bardzo zły jest Kościół. Jeśli darzysz go taką pogardą, dlaczego marnujesz czas na pisanie o tym? Weź się za pisanie książki, którą zawsze zamierzałaś wydać. Sądziłem, że może, tylko może, nieco złagodniałaś. Ale jak widzę, tak się nie stało.

- Jak cudownie wiedzieć, że to rzeczywiście cię obchodzi. Nie liczyłeś się w ogóle z moimi uczuciami, gdy oznajmiałeś, że z nami koniec.

- Czy musimy znowu przez to przechodzić?

- Nie, Colinie. Nie ma takiej potrzeby - odparła i cofnęła się. - Najmniejszej potrzeby. Jak powiedziałaś, miło było cię znowu widzieć.

Przez moment widział jej ból, lecz najwyraźniej szybko potrafiła radzić sobie z każdą

słabością.

Spojrzał znów w stronę pałacu. Teraz dużo więcej zgromadzonych wznosiło okrzyki i machało rękoma. Klemens wciąż odwzajemniał gest pozdrowienia. Kilka telewizyjnych ekip filmowało te chwile.

- Chodzi o niego, Colinie - odezwała się Katerina. - On jest twoim problemem. Tylko że ty o tym nie wiesz.

Zanim zdążył odpowiedzieć, odeszła.

15.00

Valendrea nałożył słuchawki na uszy, wcisnął klawisz PLAY na magnetofonie szpulowym i zaczął słuchać rozmowy Colina Michenera z Klemensem XV. Urządzenia podsłuchowe zainstalowane w papieskich apartamentach znów zadziałały niezawodnie. W Pałacu Apostolskim rozmieszczonych było wiele takich pluskiew. Dopilnował tego tuż po wybraniu Klemensa, co wcale nie było trudne, gdyż jako sekretarz stanu odpowiadał za zapewnienie bezpieczeństwa w Państwie Watykańskim.

To, co mówił wcześniej Klemens, było prawdą. Valendrea pragnął, by obecny pontyfikat jeszcze nieco potrwał, na tyle długo, by on zdążył przeciągnąć na swoją stronę kilku opornych, których głosów potrzebował na konklawe. Spośród obecnych stu sześćdziesięciu członków kolegium jedynie czterdziestu siedmiu przekroczyło osiemdziesiąty rok życia, tracąc prawo głosowania, gdyby konklawe odbyło się w ciągu następnych trzydziestu dni. Wedle ostatnich rachunków mógł być raczej pewien czterdziestu pięciu głosów. Dobry początek, ale jeszcze daleko do elekcji. W trakcie poprzedniego konklawe zignorował porzekadło „Kto idzie na konklawe jako papież, wychodzi jako kardynał”. Tym razem nie zda się na los i przypadek. Urządzenia podsłuchowe stanowiły tylko jeden aspekt jego strategii, która miała zapewnić, że włoscy kardynałowie nie dopuszczą się rejterady, jak ostatnim razem. Codziennie poznawał zdumiewające niedyskrecje, na które pozwalali sobie książęta Kościoła.

Grzech nie był im obcy, ich dusze potrzebowały oczyszczenia, jak dusze każdego śmiertelnika. Valendrea wiedział jednak, że niekiedy pokutę trzeba nakładać siłą na skruszonych grzeszników.

„Dobrze, że leży ci to na sercu. Ona jest częścią twojej przeszłości. Częścią, której nie powinieneś zapomnieć”.

Valendrea zdjął słuchawki i spojrzał na człowieka siedzącego obok. Ojciec Paolo Ambrosi służył u jego boku od ponad dziesięciu lat. Był mężczyzną niskim i szczupłym z mizerną czupryną posiwiałych włosów. Grzbiet nosa oraz rysunek zuchwy kojarzyły się kardynałowi z jastrzębiem. Analogia ta trafnie oddawała również charakter i osobowość

duchownego. Uśmiech rzadko pojawiał się na jego twarzy, szczery śmiech jeszcze rzadziej. Nieustannie otaczała go atmosfera powagi, lecz Valendrea nie przejmował się tym, gdyż jego zaufany cechował się żarliwą pasją oraz ambicją, które to cechy kardynał wysoce cenił.

- To zabawne, Paolo, jak oni rozmawiają bez wahania po niemiecku, jakby jedyni władali tym językiem - westchnął Valendrea i wyłączył magnetofon. - Nasz papież wydaje się być zatroskany sprawą tej kobiety, która najwyraźniej jest znajomą ojca Michenera. Opowiedz mi o niej.

Siedzieli w apartamencie bez okien na drugim piętrze Pałacu Apostolskiego, stanowiącym część rozległej powierzchni przeznaczonej do dyspozycji Sekretariatu Stanu. Magnetofony i odbiorniki radiowe ukryte były we wnętrzu zamykanej szafy. Valendrea nie obawiał się, że ktokolwiek znajdzie sprzęt. Wobec ponad dziesięciu tysięcy komnat, sal audiencyjnych i korytarzy, w większości zamkniętych na klucz, niewielkie było zagrożenie, że ktoś zainteresuje się powierzchnią niespełna dziesięciu metrów kwadratowych.

- Nazywa się Katerina Lew. Jej rumuńscy rodzice uciekli z kraju, kiedy miała kilkanaście lat. Ojciec był profesorem prawa. Zrobiła dyplom na Uniwersytecie w Monachium i drugi w Belgijskim Kolegium Narodowym. Powróciła do Rumunii pod koniec lat osiemdziesiątych i była tam, gdy obalano Ceaușescu. Jest zagorzałą rewolucjonistką.

Wyczuł nutkę rozbawienia w głosie Ambrosiego.

- Z Michenerem spotkała się w Monachium, kiedy oboje studiowali. Mieli romans, który ciągnął się parę lat.

- Skąd wiesz to wszystko?

- Michener i papież rozmawiali o tym niejednokrotnie.

Valendrea wiedział, że gdy on studiował jedynie najważniejsze taśmy, Ambrosi rozkoszował się wszystkimi.

- Nie wspominałeś o tym wcześniej.

- Wydawało się to nieistotne do czasu, gdy Ojciec Święty zainteresował się posiedzeniem Trybunału.

- Być może nie doceniałem ojca Michenera. Wydaje się, że jest jednak człowiekiem. Człowiekiem z przeszłością. I z błędami na koncie. Prawdę mówiąc, podoba mi się ta jego strona. Opowiedz mi więcej.

- Katerina Lew pracowała dla wielu tytułów prasowych w Europie. Uważa siebie za dziennikarkę, lecz jest raczej wolnym strzelcem i pisarką. Okresowo współpracowała z takimi tytułami, jak „Der Spiegel”, „Herald Tribune” oraz londyński „The Times”. Nigdzie nie zagrzała miejsca. Jej zapatrywania można określić jako lewicowe w obszarze polityki oraz



radykałne w kwestii religii. Pisane przez nią artykuły nie odnoszą się pochlebnie do zorganizowanych form praktyk religijnych. Jest współautorką trzech publikacji książkowych, dwóch na temat Partii Zielonych w Niemczech i jednej o Kościele katolickim we Francji. Nie sprzedawały się za dobrze. Jest bardzo inteligentna, ale niezdyscyplinowana.

Valendrea wyczuł to, co było mu potrzebne.

- Zapewne również ambitna.

- Po rozstaniu z Michenerem dwukrotnie wychodziła za mąż. Za każdym razem na krótko. Związek z ojcem Kealy to bardziej jej inicjatywa niż jego. Ostatnie kilka lat spędziła w Stanach. Pewnego dnia pojawiła się w jego biurze i od tamtej pory są razem. Zainteresowanie Valendrei wzrosło.

- Czy są kochankami?

Ambrosi wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Ale ona chyba gustuje w duchownych, więc pewnie tak.

Kardynał ponownie założył słuchawki na uszy i włączył magnetofon. Jego uszy wypełnił głos Klemensa XV „Ja szybko przygotuję list dla ojca Tibora. Poproszę w nim o pisemną odpowiedź, ale jeśli zechce odpowiedzieć słowami, wysłuchaj go, zapytaj, o co zechcesz, potem wszystko mi powtórzysz”. Ściągnął słuchawki.

- Co ten stary głupiec zamierza? Wysłał Michenera, by odnalazł osiemdziesięcioletniego księdza? Czemu miałyby to służyć?

- To ostatnia żyjąca osoba, oprócz Klemensa, która widziała zawartość sejfu w Risende traktującą o tajemnicy fatimskiej. Ojciec Tibor otrzymał od Jana XXIII do przełożenia oryginalny tekst siostry Łucji.

Na sam dźwięk słowa „fatimska” poczuł mdłości.

- Zdołałeś go zlokalizować?

- Mam adres w Rumunii.

- To wymaga bliższego sprawdzenia.

- Tyle rozumiem. Zastanawiam się, dlaczego.

Kardynał nie miał zamiaru wyjaśniać. Przynajmniej dopóki nie będzie miał innego wyboru.

- Sądzę, że pomoc pewnej osoby w śledzeniu poczynań Michenera mogłaby okazać się przydatna.

Ambrosi uśmiechnął się szeroko.

- Wierzy Eminencja, że Katerina Lew będzie skłonna nam pomóc?

Rozważał to pytanie w myślach po wielokroć, oceniając potencjalną odpowiedź na

podstawie tego, co wiedział na temat Colina Michenera i co teraz podejrzewał w odniesieniu do Kateriny Lew.

- Przekonamy się, Paolo.

8:30

Michener stał przed ołtarzem głównym Bazyliki św. Piotra. Kościół był już zamknięty dla zwiedzających, ciszę zakłócał jedynie personel polerujący hektary mozaikowej posadzki. Pochylił się nad grubą balustradą i obserwował, jak sprzątacze przejeżdżają mopami po marmurowych schodach, zmywając brud zgromadzony w ciągu dnia. Teologiczne centrum chrześcijaństwa i artystyczne arcydzieło znajdowało się tuż pod nim w grobie świętego Piotra. Odwrócił się i zadarł głowę ku pełnemu zakrętasów *baldacchino* Berniniego, potem spojrział ku niebu na kopułę Michała Anioła nad ołtarzem, chroniącą go „niczym złożone dłonie Boga”, jak ktoś zauważył.

W myślach przywołał Sobór Watykański II, wyobrażając sobie nawę z otaczającymi go rzędami ławek, w których pomieściło się trzy tysiące kardynałów, księży, biskupów i teologów, reprezentujących niemal każde religijne wyznanie. W 1962 roku był po sakramencie pierwszej komunii, a przed bierzmowaniem, jako młody chłopiec uczęszczał do szkoły katolickiej nad brzegiem rzeki Savannah w południowo-wschodniej Georgii. To, co działo się w oddalonym o pięć tysięcy kilometrów Rzymie, nie znaczyło dla niego nic. W ciągu upływających lat oglądał dokumentalne filmy z sesji otwierającej obrady, gdy Jan XXIII, przygarbiony w papieskim tronie, błagał tradycjonalistów i zwolenników postępu, by pracowali w zgodzie i harmonii, żeby „ziemskie miasto mogło znów przypominać niebiańskie miasto, w którym rządzi prawda”. Było to przedsięwzięcie bez precedensu. Monarcha absolutny zawezwał swych poddanych, by doradzili mu, jak zmienić wszystko. Przez trzy lata delegaci debatowali o wolności, judaizmie, laickości, małżeństwie, kulturze i stanie kapłańskim. Gdy Sobór dobiegał końca, Kościół był odmieniony fundamentalnie. Jedni argumentowali, że w stopniu niedostatecznym, inni uważali, że zmiany zaszły za daleko.

W dużym stopniu jak jego własne życie.

Chociaż miejscem jego urodzin była Irlandia, wychował się w Georgii. Edukację rozpoczął w Ameryce, a ukończył w Europie. Mimo tego europejskiego etapu w zdominowanej przez Włochów Kurii był postrzegany jako Amerykanin. Na szczęście całkowicie rozumiał zmienną atmosferę, która go otaczała. W ciągu trzydziestu dni po

przyjeździe do papieskiego pałacu opanował cztery podstawowe watykańskie zasady przetrwania. „Zasada pierwsza - nigdy nie wymyślaj oryginalnej idei. Zasada druga - jeśli z jakichś powodów taka idea się narodzi, nie wygłaszaj jej. Zasada trzecia - absolutnie nigdy nie przelewaj myśli na papier. I zasada czwarta - w żadnych okolicznościach nie podpisuj niczego, co lekkomyślnie postanowiłeś zapisać”.

Znów spoglądał na wnętrze bazyliki, zachwycając się bliskimi ideału proporcjami architektonicznego arcydzieła. Stu trzydziestu papieży spoczywało pogrzebanych wokół niego, on zaś miał nadzieję na znalezienie odrobiny spokoju pośród grobowców.

Ale niepokój o Klemensa nie przestawał go nękać.

Sięgnął do kieszeni sutanny i wyciągnął dwie złożone kartki papieru. Dociekliwe śledztwo w sprawie Fatimy koncentrowało się na trzech przesłaniach przekazanych przez Matkę Boską. Wydawało się, że właśnie te słowa tak bardzo przygnębiały papieża. Rozłożył kartkę i przeczytał tekst.

*Nasza Pani rozchyliła dłonie i ujrzeliśmy coś w rodzaju wielkiego morza ognia, które zdawało się przenikać ziemię. W tym ogniu były zanurzone demony i dusze, jak rozżarzone do czerwoności węgle, przezroczyste i czarne lub brązowe, o kształtach ludzkich. [...] Wizja trwała tylko chwilę.*

Druga tajemnica wypływała bezpośrednio z pierwszej.

*Widzieliście piekło, dokąd idą dusze biednych grzeszników, powiedziała nam Pani. Aby zbawić dusze, Bóg zechce zaprowadzić w świecie nabożeństwo do mego Niepokalanego Serca. Jeśli świat zrobi, co wam powiem, wiele dusz będzie zbawionych i nastanie pokój. Wojna niebawem się skończy, ale jeżeli ludzie nie przestaną obrażać Boga, wybuchnie druga, jeszcze gorsza, za panowania papieża Piusa XI. Gdy zobaczycie nieznanie światło płonące w nocy, wiedźcie, że jest to wielki znak od Boga dla was. Znak, że Bóg ukarze świat za jego zbrodnie przez wojny, głód i prześladowanie Kościoła i Ojca Świętego. Aby do tego wszystkiego nie doszło, przyjdę prosić o poświęcenie Rosji memu Niepokalanemu Sercu oraz o przyjmowanie komunii świętej przebłagalnej w pierwsze soboty miesiąca. Jeśli świat usłucha moich prośb, Rosja nawróci się i pokój zapanuje na całej Ziemi. Jeżeli nie, kraj ten rozpowszechni swoje błędy na świat, prowokując wojny i prześladowanie Kościoła świętego. Dobrzy będą umęczeni, Ojciec Święty będzie musiał znieść wiele cierpień, wiele narodów zostanie całkowicie zniszczonych. Na koniec jednak moje Niepokalane Serce zatryumfuje.*

*Ojciec Święty poświęci mi Rosję, która zostanie nawrócona i przez pewien czas zapanuje na Ziemi pokój.*

Trzecia tajemnica była najbardziej zagadkowa.

*Po dwóch częściach, które już przedstawiłam, zobaczyliśmy po lewej stronie Naszej Pani, nieco wyżej, Anioła, trzymającego w lewej ręce ognisty miecz. Iskrząc się, wyrzucał języki ognia, które zdawało się, że podpalą świat; ale gasły w zetknięciu z blaskiem promieniującym z prawej ręki Naszej Pani w jego kierunku. Anioł, wskazując prawą ręką na ziemię, powiedział mocnym głosem: „Pokuta, Pokuta, Pokuta!” I zobaczyliśmy w nieogarnionym świetle, którym jest Bóg ‘coś podobnego do tego, jak widzi się osoby w zwierciadle, kiedy przechodzą przed Nim’, Biskupa odzianego w biel „mieliśmy przecucie, że to jest Ojciec Święty”. Widzieliśmy innych biskupów, kapłanów, zakonników i zakonnice wchodzących na stromą górę, na której szczycie znajdował się wielki Krzyż zbudowany z nieociosanych belek, jak gdyby z drzewa korkowego pokrytego korą. Ojciec Święty, zanim tam dotarł, przeszedł przez wielkie miasto w połowie zrujnowane i na poły drżący, chwiejnym krokiem, udręczony bólem i cierpieniem, szedł, modląc się za dusze martwych ludzi, których ciała napotykał na swej drodze. Doszedłszy do szczytu góry, klęcząc u stóp wielkiego Krzyża, został zabity przez grupę żołnierzy, którzy kilka razy ugodzili go pociskami z broni palnej i strzałami z łuku i w ten sam sposób zginęli jeden po drugim inni biskupi, kapłani, zakonnicy i zakonnice oraz wiele osób świeckich, mężczyzn i kobiet różnych klas i pozycji. Pod dwoma ramionami Krzyża były dwa Anioły, każdy trzymający w ręce konewkę z kryształu, do których zbierali krew Męczenników i nią skrapiali dusze zbliżające się do Boga.*

Zdania te kryły w sobie sekretną tajemnicę objawienia, ich znaczenie pozostawało niejasne i pozwalało na szeroką interpretację. Teologowie, historycy i zwolennicy spiskowej teorii dziejów przez dziesięciolecia proponowali własne, odmienne analizy. Który z nich miał rację? A mimo to coś niepokoiło bardzo głęboko Klemensa XV

- Ojciec Michener.

Obrócił się.

Jedna z zakonnice, która przygotowywała papieską kolację, szła pospiesznie w jego stronę.

- Proszę o wybaczenie, ale Ojciec Święty pragnie widzieć się z wami.

Zazwyczaj Michener spożywał kolację z Klemensem, lecz dzisiaj papież wieczerzał w

Kolegium Północnoamerykańskim z grupą meksykańskich biskupów. Spojrzał na zegarek. Klemens wrócił szybko.

- Dziękuję, siostrze. Już idę do jego apartamentu.

- Papieża tam nie ma.

To było dziwne.

- Jest w L'Archivio Segreto Vaticano. W Riservie. Prosił, żeby ojciec dołączył do niego.

- W porządku. Już tam idę - odparł, ukrywając zaskoczenie.

\*

Szedł przez puste korytarze w stronę archiwum. Ponowna obecność Klemensa w Riservie oznaczała kłopoty. Wiedział doskonale, co papież tam robi. Nie wiedział jednak, dlaczego. Oddał się więc nieskrępowanym rozmyśleniom i raz jeszcze przeanalizował w myślach objawienia z Fatimy.

W 1917 roku Matka Boska objawiła się trójce chłopskich dzieci w niewielkiej kotlinie o nazwie Cova da Iria, w pobliżu portugalskiej wioski Fatima. Hiacynta i Franciszek Marto byli rodzeństwem. Dziewczynka miała siedem lat, a chłopiec dziewięć. Łucja dos Santos, ich siostra cioteczna, liczyła sobie lat dziesięć. Matka Boska objawiła się sześć razy, od maja do października, zawsze trzynastego dnia miesiąca, w tym samym miejscu i o tej samej porze. Podczas ostatniego objawienia zgromadziły się tysiące świadków, którzy na własne oczy widzieli słońce tańczące po nieboskłonie, co miało być znakiem niebios, że wizje są prawdziwe.

Musiałoby upłynąć z górą dziesięć lat, zanim Kościół usankcjonował objawienia, uznając je za wiarygodny cud. Dwoje spośród naocznych świadków nie dożyło jednak tej chwili. Hiacynta i Franciszek umarli na gripę w ciągu trzydziestu miesięcy od ostatniej maryjnej wizji. Z kolei Łucja dożyła sędziwego wieku i umarła dopiero niedawno, poświęciwszy życie Bogu jako siostra zakonna. Matka Boska również to przewidziała, kiedy oznajmiła: *Niedługo wezmę Hiacyntę i Franciszka do nieba, ale ty zostaniesz tu jeszcze jakiś czas. Jezus chce posłużyć się tobą, aby ludzie lepiej mnie poznali i pokochali.*

W trakcie lipcowej wizji Matka Boska obwieściła trzy tajemnice trójce pastuszków. W kolejnych latach po objawieniach Łucja wyjawiała dwie z nich, zapisując nawet ich treść w pamiętnikach opublikowanych na początku lat czterdziestych. Jedynie Hiacynta i Łucja słyszeli słowa zawarte w trzeciej tajemnicy. Z jakichś powodów Franciszek nie mógł tego usłyszeć, ale Łucja dostała pozwolenie, by mu powtórzyć. Miejscowy biskup silnie naciskał na ujawnienie treści trzeciego sekretu, dzieci solidarnie jednak odmówiły Hiacynta i

Franciszek zabrali tę wiedzę ze sobą do grobu, chociaż w październiku 1917 roku chłopiec wyjawiał pytającej go osobie, że trzecia tajemnica „służyła dobru dusz i dla wielu byłaby przygnębiająca, gdyby ją poznali”.

Na straży trzeciej tajemnicy wśród żywych pozostała jedynie Łucja.

Chociaż ogólnie cieszyła się dobrym zdrowiem, w 1943 roku zapadła na zapalenie opłucnej i wydawało się, że kres jej żywota jest bliski. Biskup jej rodzinnej diecezji, człowiek nazwiskiem da Silva poprosił ją, by zapisała trzecią tajemnicę, włożyła do koperty i zalakowała ją. Łucja początkowo odmawiała, ale w styczniu 1944 roku w klasztorze w Tuy, w którym przebywała, pojawiła się Matka Boska i obwieściła jej, iż Bóg życzy sobie, by trzecia tajemnica została przelana na papier.

Łucja zapisała tekst, włożyła do koperty i tę zamknęła lakową pieczęcią. Zapytana o to, kiedy treść objawienia może zostać ujawniona publicznie, odpowiedziała lakonicznie: „W 1960 roku”. Kopertę dostarczono biskupowi da Silva, włożono do większej koperty, zabezpieczonej woskiem, i złożono w diecezjalnym sejfie, gdzie pozostała przez trzynaście lat.

W 1957 roku Watykan zażądał, by dokumenty spisane ręką siostry Łucji przesłano do Rzymu, w tym również trzecią tajemnicę. Gdy dotarły na miejsce, papież Pius XII umieścił wszystko w drewnianej kasetce opatrzonej inskrypcją SECRETUM SANCTI OFFICIO - Tajemnica Świętego Oficjum. Kasetka pozostała na biurku papieża przez dwa kolejne lata, a Pius XII nigdy nie przeczytał jej zawartości.

W sierpniu 1959 roku kasetkę w końcu otworzono, i podwójną kopertę, wciąż zalakowaną pieczęciami, dostarczono Janowi XXIII. W lutym 1960 roku Watykan wydał lakoniczne oświadczenie, w którym stwierdzano, że trzecia tajemnica fatimska pozostanie dalej w zalakowanych kopertach. Nie podano żadnego wytłumaczenia. Z polecenia papieża rękopis Łucji wyciągnięto z drewnianej kasetki i umieszczono w sejfie w Riservie. Każdy z papieży od czasu Jana XXIII udawał się do archiwum i otwierał schowek, lecz żaden z nich nie ujawnił publicznie treści trzeciej tajemnicy.

Do czasu pontyfikatu Jana Pawła II.

Kiedy w 1981 roku kule zamachowca nieomal pozbawiły go życia, doszedł do przekonania, że pociskami musiała kierować dłoń Matki Boskiej. Dziewiętnaście lat później, wyrażając wdzięczność wobec Marii Dziewicy, zalecił podanie do wiadomości publicznej treści trzeciego sekretu. By uciszyć wszelkie dysputy ujawnieniu tekstu objawienia towarzyszyła czterdziestostronicowa dysertacja, która instruowała, jak należy interpretować zawile metafory ukryte w słowach Matki Boskiej. Opublikowano również zdjęcia

oryginalnego rękopisu siostry Łucji. Przez krótki okres prasa reagowała bardzo żywo, lecz potem sprawa spowszedniała.

Skończyły się spekulacje.

Niewielu tylko dywagowało jeszcze na ten temat.

Jedynie Klemens XV zdawał się mieć na tym punkcie obsesję.

\*

Michener wszedł do archiwum i minął nocnego prefekta, który tylko skinął mu lekko głową. Przepastna czytelnia przed nim pogrążona była w półmroku. Żółtawa poświata dobiegała z przeciwległej strony, gdzie znajdowały się żelazne wrota prowadzące do Riservy

Kardynał Maurice Ngovi ubrany w szkarłatną sutannę stał przed kratą z rękoma splecionymi na piersi. Był szczupłym mężczyzną o twarzy poznaczonej śladami trudnego życia. Szorstkie włosy przerzedły i posiwiały, okulary w drucianych oprawkach okalały oczy, których nie opuszczał wyraz głębokiej troski. Chociaż Ngovi miał dopiero sześćdziesiąt dwa lata, doszedł do godności arcybiskupa Nairobi i był najstarszym rangą wśród kardynałów z Afryki. Nie był tytularnym biskupem, któremu powierzono honorowe biskupstwo, lecz aktywnym duszpasterzem, kierującym największym katolickim narodem w regionie subsaharyjskim.

Codzienna praca na rzecz tej diecezji została przerwana, kiedy Klemens XV wezwał Ngoviego do Rzymu, by zawiadywał Kongregacją do spraw Wychowania Katolickiego. Kardynał zaangażował się w każdy aspekt katolickiej edukacji, wysforował się na czoło biskupów i duchownych, którzy starannie pilnowali, by katolickie szkoły, uniwersytety i seminaria stosowały się do nakazów Stolicy Apostolskiej. W minionych dziesięcioleciach postawa papieża była raczej konfrontacyjna, reagowano na nią z niechęcią poza Włochami, ale duch odnowy soboru watykańskiego II odmienił to wrogie podejście - podobnie jak czynili to ludzie pokroju Maurice'a Ngovi, którzy zdołali załagodzić napięcia, jednocześnie zapewniając wierność ośrodków katolickich wobec dogmatów.

Klemens wyniósł Ngoviego z uwagi na dwa jego przymioty: etykę pełnej zaangażowania pracy duchowej oraz przychylne usposobienie. Kolejnym argumentem było pragnienie, by więcej ludzi miało sposobność poznać tego błyskotliwego kardynała. Pół roku temu papież dodał kolejny tytuł - kamerlinga. Oznaczało to, że Ngovi będzie kierować Stolicą Apostolską po śmierci Klemensa, w ciągu dwóch tygodni do zwołania kanonicznych wyborów. Była to funkcja tymczasowa, głównie ceremonialna, niemniej jednak ważna, gdyż zapewniała Ngoviemu pozycję głównego rozgrywającego w następnym konklawe.

Michener i Klemens kilka razy dyskutowali na temat następnego papieża. Idealny



kandydat, jeśli uznać historię za dobrego nauczyciela, powinien być postacią niekontrowersyjną, znającą wiele języków, z doświadczeniem pracy w Kurii - najlepiej gdyby był to arcybiskup reprezentujący nację, która nie należy do światowych mocarstw. Po trzech owocnych latach spędzonych w Rzymie, Maurice Ngovi posiadał wszystkie wymagane cechy. Ponadto kardynałowie z krajów Trzeciego Świata raz za razem wysuwali to samo pytanie: „Czy nie nadszedł już czas na papieża o innym niż biały kolorze skóry?”

Michener zbliżył się do okratowanego wejścia do Riservy. W środku Klemens stał przed wiekowym sejfem, na którym widniały ślady włamania dokonanego przez Napoleona. Podwójne żelazne drzwiczki były szeroko otwarte, odsłaniając wykonane z brązu szuflady i półki. Papież wyciągnął jedną z szuflad. Ukazała się drewniana kasetka. W drżących dłoniach Klemens trzymał kartkę papieru. Michener wiedział, że oryginalny dokument z tajemnicą fatimską spisany ręką siostry Łucji wciąż przechowywany jest w szkatule, ale wiedział też, że znajduje się tam jeszcze jedna kartka. Przekład na język włoski oryginalnego portugalskiego tekstu objawienia, sporządzony w 1959 roku, kiedy Jan XXIII po raz pierwszy przeczytał te słowa. Duchownym, który wykonał to zadanie, był nowy młody pracownik Sekretariatu Stanu.

Ojciec Andriej Tibor.

Michener czytał zgromadzone w archiwum pamiętniki hierarchów zatrudnionych w Kurii, opisujących, jak ojciec Tibor osobiście przekazał ukończone przez siebie tłumaczenie Janowi XXIII, który przeczytał tekst, a potem nakazał ponowne zapieczętowanie szkatuły, wraz z przekładem.

Teraz Klemens XV pragnął odnaleźć ojca Andrieja Tibora.

- To niepokojące - odezwał się szeptem Michener, nie odrywając wzroku od sceny wewnątrz Riservy.

Kardynał Ngovi stał blisko, lecz nie odezwał się ani słowem. Wziął go natomiast pod ramię i odprowadził na bok w stronę szeregu regałów. Ngovi był jednym z nielicznych w Watykanie, którym Klemens ufał bez zastrzeżeń.

- Co ojciec tu robi? - zapytał kardynał.

- Zostałem wezwany.

- Sądziłem, że papież ma spędzić ten wieczór w Kolegium Północnoamerykańskim - Ngovi starał się mówić przyciszonym głosem.

- Tak było, ale wyszedł stamtąd nieoczekiwanie. Wezwał mnie przed półgodziną i powiadomił, że spotkamy się tutaj.

- Już trzeci raz w ciągu dwóch tygodni przebywa w tym miejscu. Z pewnością inni to

zauważyli.

Ngovi pokiwał głową.

- Dzięki Bogu w sejfie przechowywanych jest wiele dokumentów. Trudno powiedzieć z pewnością, co on tam robi.

- Niepokoję się tym, Maurice. Klemens zachowuje się dziwnie.

Tylko gdy byli sam na sam, papieski sekretarz omijał protokół i zwracał się do kardynała po imieniu.

- Jestem tego samego zdania. Zbývá zagadkami wszystkie moje pytania.

- Przez ostatni miesiąc zgłębiałem wszystkie przypadki maryjnych wizji i objawień, kiedykolwiek poddane wnikliwej analizie. Przeczytałem każdą relację sporządzoną przez bezpośrednich uczestników objawień oraz przez naocznych świadków. Wcześniej nie zdawałem sobie sprawy, że tak duża jest liczba niebiańskich odwiedzin na ziemi. Klemens życzył sobie poznać szczegóły każdego przypadku wraz z każdym słowem wypowiedzianym przez Matkę Boską. Nie chce jednak zdradzić, dlaczego. Tylko ciągle tu powraca - wyjaśnił, potem pokręcił głową. - Nie upłynie dużo czasu i dowie się o tym Valendrea.

- On i Ambrosi są dzisiaj wieczorem poza Watykanem.

- To bez znaczenia. I tak się dowie. Czasami zastanawiam się, czy aby wszyscy tu nie składają mu raportów.

Trzaśnięcie zamykanego wieka rozległo się echem po pomieszczeniu Risery, później dobiegło szcęknięcie zamykanych metalowych drzwi. Po chwili pojawił się Klemens.

- Trzeba odnaleźć ojca Tibora.

Michener wystąpił do przodu.

- W biurze spraw cywilnych znalazłem jego dokładny adres w Rumunii.

- Kiedy wyruszasz?

- Jutro wieczorem albo pojutrze rano, zależnie od połączeń lotniczych.

- Chcę, żeby o twojej podróży nie wiedział nikt oprócz nas trzech. Weź urlop.

Zrozumiałeś?

Michener wyczuł rozdrażnienie w jego głosie. Jak gdyby trzeba było podkreślać takie rzeczy

- Colinie, ty i Maurice jesteście jedynymi osobami, którym mogę ufać bezgranicznie. Obecny tu kardynał a mój drogi przyjaciel nie jest w stanie podróżować za granicę, nie ściągając na siebie uwagi. Cieszy się zbyt dużą popularnością i pełni zbyt ważne funkcje. Tylko ty więc możesz podjąć się wykonania tego zadania.

Michener wskazał na pomieszczenie Risery.

- Dlaczego wciąż tu przychodzisz?

- Te słowa mnie przyciągają.

- Na początku nowego tysiąclecia Jego Świątobliwość Jan Paweł II obwieścił światu treść trzeciej tajemnicy fatimskiej - zabrał głos Ngovi. - Wcześniej tekst analizował komitet złożony z duchownych i uczonych. Również ja pracowałem w tym gronie. Tekst uwieczniono na zdjęciach i opublikowano na całym świecie.

Klemens nie odpowiedział.

- Być może rada ze strony kardynałów pomoże rozwiązać problem, jeśli taki istnieje?

- podsunął kardynał.

- To właśnie kardynałów obawiam się najbardziej.

- Co masz nadzieję dowiedzieć się od starego księdza z Rumunii? - dopytywał się Michener.

- Przesłał na moje ręce coś, co wymaga mojej uwagi.

- Nie przypominam sobie, by nadeszła jakaś przesyłka od niego - zdziwił się papieski sekretarz.

- Znajdowała się w poczcie dyplomatycznej. Zalakowana koperta od nuncjusza w Bukareszcie. Nadawca przetłumaczył na życzenie papieża Jana oryginalne słowa wypowiedziane przez Matkę Boską.

- Kiedy ją odebrano? - zapytał Michener.

- Trzy miesiące temu.

Michener uświadomił sobie, że mniej więcej w tym samym czasie Klemens zaczął bywać w Riservie.

- Teraz wiem, że mówił prawdę, nie potrzebuję już zatem angażować w to nuncjusza. Chcę, żebyś pojechał do Rumunii i osobiście ocenił wiarygodność ojca Tibora. Twoja opinia będzie dla mnie ważna.

- Ojcie Świąty..

Klemens uniósł dłoń.

- Nie życzę sobie, by zadawano mi w tej sprawie dalsze pytania. - W słowach tych słyhać było gniew, a ten stan był w wypadku papieża niespotykany

- Jak sobie życzysz - odparł Michener. - Odnajdę ojca Tibora, Wasza Świątobliwość. I wypełnię misję.

Klemens zerknął ponownie ku wnętrzu Riservy.

- Moi poprzednicy tak bardzo się mylili.

- W jakim znaczeniu, Jakobie? - zapytał Ngovi.

Papież odwrócił się, jego wzrok był przygnębiony i nieobecny.

- W każdym.

20:45

Valendrea cieszył się wolnym wieczorem. Wraz z Ambrosim opuścili Watykan przed dwoma godzinami i pojechali oficjalną limuzyną do La Marcello, jednego z jego ulubionych bistro. Podawano tu serca cielęce z karczochami bez cienia wątpliwości najlepsze w całym Rzymie.

*Ribollita*, toskańska zupa z fasolą, jarzynami i chlebem, przypominała mu lata dzieciństwa. Natomiast cytrynowy sorbet na deser w dekadentkim sosie z mandarynek gwarantował, że każdy klient tu wracał. Valendrea jadał tu kolacje od lat, zwykle przy tym samym stole w głębi sali. Właściciel dobrze znał jego gusta do win i wymagania w kwestii zachowania całkowitej prywatności.

- Uroczy mamy dziś wieczór - rzucił Ambrosi.

Młodszy duchowny siedział twarzą do Valendrei w tylnej części przedłużonego mercedesa coupe, który woził licznych dyplomatów w Wiecznym Mieście - nawet prezydenta Stanów Zjednoczonych zeszłej jesieni. Część dla pasażerów oddzielała od kierowcy matowa szyba. Wszystkie zewnętrzne szyby były przyciemnione, a boki i podwozie wzmocnione stalą.

- Tak, w rzeczy samej.

Kardynał palił papierosa, rozkoszując się kojącym działaniem nikotyny przenikającej do krwioobiegu po smakowitym posiłku.

- Czego dowiedzieliśmy się o ojcu Tiborze?

Postanowił mówić w pierwszej osobie liczby mnogiej i miał nadzieję, że ta praktyka przyda mu się w następnych latach. Papieże wysławiali się w ten sposób od wieków. Jan Paweł II jako pierwszy porzucił ten zwyczaj, a Klemens XV wydał dekret kładący mu definitywny kres. O ile jednak obecny papież z determinacją zmierzał do wyeliminowania wielowiekowych tradycji, Valendrea planował z równą determinacją przywrócić je do życia.

Podczas kolacji nie wypytywał Ambrosiego o sprawę, która mocno zajmowała jego myśli, trzymając się własnej zasady omawiania spraw związanych z Watykanem jedynie i wyłącznie w Watykanie. Widział zbyt wielu ludzi, których kariera legła w gruzach, bo mieli

zbyt długie języki. W upadku kilku z nich osobiście dopomógł. Lecz jego służbowe auto kwalifikowało się do miana przedłużenia Watykanu, Ambrosi zaś sprawdzał codziennie, czy nie założono w nim pluskiew.

Z odtwarzacza CD dobiegały ciche tony utworu Chopina. Muzyka działała na Valendrę relaksująco, ale też chroniła rozmowę przed ruchomymi urządzeniami podsłuchowymi.

- Nazywa się Andriej Tibor - zaczął Ambrosi. - Pracował w Watykanie od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Później był niewiele znaczącym księdzem służącym w różnych parafiach, zanim dwadzieścia lat temu przeszedł na emeryturę. Obecnie mieszka w Rumunii, otrzymuje co miesiąc czek z należnością z tytułu owej emerytury i regularnie zamienia go na gotówkę, podpisując czek na odwrocie.

Valendrea z rozkoszą zaciągnął się głęboko papierosem.

- A zatem, na podstawie dzisiejszego dochodzenia, czego może chcieć Klemens od tego podstarzałego księdza?

- Z całą pewnością dotyczy to Fatimy.

Przed chwilą minęli Via Milazzo i teraz pędzili Via Dei Fori Imperiali w stronę Koloseum. Uwielbiał sposób, w jaki Rzym trzymał się swojej przeszłości. Przed oczyma wyobraźni bez trudu przywoływał cesarzy i papieży, którzy szczerze radowali się faktem panowania nad czymś tak spektakularnie pięknym. Pewnego dnia on również będzie delektował się tym uczuciem. Nigdy nie zamierzał zadowolić się kardynalskim szkarłatnym biretem. Pragnął nosić *camauro*, zarezerwowane wyłącznie dla papieży. Klemens odmówił noszenia staromodnego nakrycia głowy, uznając to za anachronizm. Ale czerwony aksamitny kapelusz z białym otokiem z futra gronostaja był tylko jednym z wielu znamion, wskazujących na powrót imperialnego papieństwa. Katolikom Zachodu i Trzeciego Świata już nie byłoby wolno kwestionować łacińskich dogmatów. Obecnie Kościół za bardzo zaangażował się w godzenie zwaśnionego świata, zamiast zajmować się obroną własnej wiary. Islam, hinduizm, buddyzm oraz niepoliczalna niemal liczba protestanckich odłamów w znaczącym stopniu odbierały wyznawców religii katolickiej. Wszystko to było dziełem szatana. Jedyne prawdziwie apostołskie Kościoły znalazły się w niebezpieczeństwie, lecz Valendrea wiedział, czego potrzeba osłabionemu korpusowi - silnej ręki. Takiej, która zatrzyma wiernych, zapewni posłuch księży i ponowny przyrost dochodów. Takiej, którą on nad wyraz gorliwie gotów był zapewnić.

Poczuł dotknięcie na kolanie i wyjrzał na zewnątrz przez szybę.

- Eminencjo, jest tuż przed nami - powiedział Ambrosi, wskazując ręką.

Patrzył przez okno, gdy limuzyna skręcała i mijała restauracje, bistra oraz migające światłami dyskoteki. Byli teraz na Via Frattina, jednej z mniej ruchliwych ulic, na której chodnikach tłoczyli się amatorzy wieczornej rozrywki.

- Zatrzymała się w hotelu, który jest przed nami - oznajmił Ambrosi. - Zdobyłem tę informację z jej podania o akredytację złożonego w biurze watykańskiej służby bezpieczeństwa.

Ambrosi, jak zwykle, był dokładny. Valendrea zamierzał spotkać się z Kateriną Lew bez uprzedzenia, ponadto żywił nadzieję, że wieczorny rejwach oraz późna godzina zapewnią mu dyskrecję. Musiał jeszcze zastanowić się, w jaki sposób nawiązać bezpośredni kontakt. Nie bardzo uśmiechała mu się perspektywa, że jawnie wparaduje do jej pokoju. Nie chciał też w tej sprawie zdawać się na Ambrosiego. Wtedy zrozumiał, że żaden pośrednik nie będzie potrzebny.

- Być może Bóg czuwa nad naszą misją - oznajmił, wskazując gestem na kobietę idącą chodnikiem w kierunku wejścia do hotelu, gęsto porośniętego bluszczem.

Ambrosi się uśmiechnął.

- Nie ma to jak wycucie czasu.

Polecono kierowcy, by przejechał obok hotelu i zwolnił, gdy dojedzie do kobiety. Valendrea nacisnął guzik, tylna szyba zjechała do dołu.

- Pani Lew. Jestem kardynał Alberto Valendrea. Być może przypomina sobie pani mnie z dzisiejszego posiedzenia Trybunału?

Przerwała niespieszny spacer i zatrzymała się, spoglądając w okno auta. Jej ciało było gibkie i filigranowe. Ale sposób, w jaki się poruszała, w jaki ustawiła stopy i jak zareagowała na zapytanie, splatając ręce przed sobą i nachylając się, sygnalizował solidniejsze cechy osobowości i temperamentu, niż wskazywałaby na to jej drobna figura. Było w niej coś leniwego, jak gdyby księżę Kościoła katolickiego - watykański sekretarz stanu we własnej osobie - kontaktował się z nią co dzień. Valendrea wyczuł coś jeszcze. Ambicję. To przecucie sprawiło, że natychmiast się odprężył. Wyglądało na to, że sprawa jest dużo łatwiejsza niż przewidywał.

- Czy nie ma pani nic przeciwko krótkiej rozmowie? Tu, w samochodzie?

Odwzajemniła się uśmiechem.

- Jak mogłabym odmówić tak uprzejmemu zaproszeniu ze strony sekretarza stanu Stolicy Apostolskiej?

Otworzył drzwi i przesunął się na skórzanym siedzeniu, robiąc jej miejsce. Ona

wsiadła do auta, rozpinając ocieplaną polarem kurtkę. Ambrosi zamknął drzwi. Kardynał dostrzegł, że sadowiąc się, podciągnęła nieco spódnicę.

Mercedes odjechał nieco do przodu i zatrzymał się w wąskiej uliczce. Wieczorny tłum i zgiełk został za nimi. Kierowca wysiadł i stanął u wylotu uliczki. Pilnował, żeby nie wjechało tu inne auto.

- To jest ojciec Paolo Ambrosi, mój główny asystent w Sekretariacie Stanu.

Katerina uścisnęła dłoń Ambrosiego. Kardynał zauważył, że wzrok jego asystenta mięknie na tyle, by gościowi przekazać sygnał, że nie ma powodu do obaw. Paolo wiedział dokładnie, jak zachować się w takiej sytuacji.

- Pragniemy porozmawiać z panią o pewnej ważnej sprawie. Mamy cichą nadzieję na pomoc z pani strony.

- Nie bardzo widzę, w jaki sposób byłabym w stanie pomóc osobie na pańskim stanowisku, Eminencjo.

- Uczestniczyła pani w porannym posiedzeniu Trybunału. Zakładam, że to ojciec Kealy poprosił o pani obecność?

- Czy chodzi o tę sprawę? Obawia się Eminencja o niepochlebne głosy prasy na temat tego, co się wydarzyło?

Jego twarz przybrała bardzo skromny wyraz.

- Uwzględniając wszystkich obecnych na sali reporterów, mogę panią zapewnić, że nie chodzi nam o negatywną reakcję prasy. Los ojca Kealy jest przesądzony, i jestem pewien, że pani, on oraz reszta przedstawicieli mediów zdaje sobie z tego sprawę. Chodzi o sprawę dużo większej rangi niż osądzenie jednego heretyka.

- Czy słowa Eminencji będzie można zacytować?

Pozwolił sobie na uśmiech.

- Nigdy nie zapomina pani o dziennikarskiej profesji. Nie, pani Lew, to, co powiem nie jest przeznaczone dla prasy. Wciąż jest pani zainteresowana?

- W porządku - odparła. - Nie dla prasy. Proszę kontynuować.

Odczuwał zadowolenie. Jak dotąd szło dobrze.

- Chodzi o Colina Michenera.

W jej oczach dostrzegł zdumienie.

- Tak, wiem o pani związku z osobistym sekretarzem papieża. Całkiem poważna sprawa jak na duchownego. Zwłaszcza duchownego na tym stanowisku.

- To było dawno temu.

W jej słowach dał się wyczuć ton zaprzeczenia. Pomyślał, że może teraz zdała sobie



sprawę, dlaczego tak bardzo nalegał, by zgodziła się na rozmowę o „poufnym” charakterze - dotyczyło to jej, nie jego.

- Dzisiejszego popołudnia Paolo był świadkiem pani spotkania z Michenerem na placu św. Piotra. Z pewnością nie było ono serdeczne. O ile się nie mylę, użyła pani wobec niego określenia „sukinsyn”.

Kobieta zmierzyła wzrokiem kardynalskiego asystenta.

- Nie przypominam sobie, że bym go tam widziała.

- Plac św. Piotra to rozległe miejsce - odezwał się cichym głosem Ambrosi.

- Zapewne zastanawia się pani, jak mogliśmy to usłyszeć? Wypowiedziała to pani szeptem. Paolo doskonale czyta z ust. Talent, który czasami bardzo się przydaje, nie sądzi pani?

Wyglądało na to, że Katerina Lew nie bardzo wie, co odpowiedzieć, wstrzymał się więc na chwilę, zanim ponownie zabrał głos.

- Pani Lew, nie zamierzam pani zastraszać. Mówiąc wprost, ojciec Michener wybiera się w podróż na polecenie papieża. Potrzebna jest nam pani pomoc w związku z tą podróżą.

- Co miałabym zrobić?

- Ktoś musi śledzić, dokąd on się uda i co będzie robić. Byłaby pani idealną osobą do wypełnienia tej misji.

- Dlaczego miałabym się jej podjąć?

- Ponieważ swego czasu jego los bardzo leżał pani na sercu. Być może nawet kochała go pani. Możliwie, że wciąż go pani kocha. Wielu księży podobnych do ojca Michenera wiązało się z kobietami. To hańba naszych czasów. Ludzie, którzy za nic mają przysięgę złożoną Bogu - zamilkł na chwilę. - Nie troszczą się o uczucia kobiet, które mogą zranić. Wydaje mi się, że nie pragnie pani, by ojca Michenera spotkało coś złego.

Pozwolił, by słowa te dotarły w pełni do jej świadomości.

- Jesteśmy przekonani, że szykują się komplikacje, które mogą mu poważnie zaszkodzić. Nie w sensie fizycznym, proszę zrozumieć, lecz poważnego szwanku może doznać jego pozycja w Kościele. Być może zagrożona jest jego kariera. Dokładam starań, by do tego nie doszło. Gdybym miał wyznaczyć kogoś z Watykanu do wypełnienia tej misji, fakt ten stałby się jawny w ciągu kilku godzin i misja zakończyłaby się fiaskiem. Lubię ojca Michenera. Nie chciałbym być świadkiem załamania jego kariery. Żeby go chronić, potrzebuję pełnej dyskrecji, którą pani jest w stanie zapewnić.

Wskazała gestem na Ambrosiego.

- Dlaczego nie wyśle Eminencja obecnego tu *padre*?

Jej spryt zrobił na nim wrażenie.

- Ojciec Ambrosi jest zbyt dobrze znany, by podjąć się tego zadania. Zbiegiem okoliczności misja powierzona ojcu Michenerowi prowadzi go do Rumunii, kraju dobrze pani znanego. Mogłaby pani zatem pojawić się tam, nie budząc w nim nadmiernych podejrzeń. Zakładając, że w ogóle dowie się o pani obecności.

- Jaki jest cel jego wizyty w mojej ojczyźnie?

Postanowił nie udzielać odpowiedzi na to pytanie.

- Ta wiedza mogłaby rzutować na pani relację. Proszę jedynie, by miała pani oczy szeroko otwarte. Z tego powodu nie chcemy też, żeby pani niepotrzebnie ryzykowała.

- Innymi słowy, Eminencja nie zamierza wyjawić mi szczegółów?

- Właśnie.

- Swoją drogą, jaką korzyść bym odniosła, gdybym wyświadczyła Eminencji tę uprzejmość?

Pozwolił sobie na stłumiony uśmiech, gdy wyciągał cygaro z bocznej kieszeni w drzwiach.

- To smutne, ale dni Klemensa XV są już policzone. Zbliża się następne konklawe. Mogę zapewnić, że wtedy będzie pani miała przyjaciela, który dopilnuje, by dysponowała pani informacjami zapewniającymi jej publikacjom duży rozgłos w kręgach dziennikarskich. Być może takimi, dzięki którym odzyska pani utracone miejsce u wydawców.

- Jestem pod wrażeniem, że Eminencje wie tyle na mój temat.

- Nie staram się zrobić na pani wrażenia, pani Lew, dążę jedynie do pozyskania pani współpracy w zamian za coś, za co każdy reporter wskoczyłby w ogień.

Zapalił cygaro i delektował się smakiem dymu. Nie spieszył się z opuszczeniem okna, dopóki nie wypuścił gęstej chmury

- Musi to być coś ważnego dla Eminencji.

Zwrócił uwagę na to, w jaki sposób sformułowała ostatnie zdanie. Nie powiedziała „coś ważnego dla Kościoła”, lecz „coś ważnego dla Eminencji”. Zdecydował, że dorzuci szczyptę prawdy do ich rozmowy

- Na tyle ważnego, że zdecydowałem się wyjechać na ulice Rzymu. Zapewniam panią, że ja wywiążę się z umowy. Następne konklawe będzie przełomowe, pani zaś zyska źródło informacji z pierwszej ręki.

Wyglądało na to, że żurnalistka wciąż zmagą się ze sobą. Być może sądziła, że tym zachowującym dyskrecję źródłem informacji w Watykanie będzie Colin Michener, na którego będzie mogła powoływać się, by nadać wiarygodność swoim artykułom. Tu jednak pojawiała

się inna jeszcze sposobność. Lukratywna oferta. A wszystko to za drobną w zasadzie przysługę. Nie oczekiwano od niej, że będzie kraść, kłamać czy oszukiwać. Miała udać się w podróż do ojczystego kraju i przez kilka dni obserwować dawnego przyjaciela.

- Potrzebuję czasu do namysłu - oznajmiła w końcu.

Kardynał znów głęboko zaciągnął się cygarem.

- Niech to nie trwa zbyt długo. Musi pani szybko rozstrzygnąć. Po odpowiedź zadzwonię do pani hotelu jutro, powiedzmy o drugiej po południu.

- Zakładając, że powiem tak, w jaki sposób przekażę relację z tego, co odkryję?

Wskazał na ojca Ambrosi.

- Mój asystent skontaktuje się z panią. Proszę nigdy nie dzwonić do mnie. Czy to jasne? On panią znajdzie.

Ambrosi założył ręce na przedzie czarnej sutanny, a Valendrea pozwolił mu nacieszyć się tą chwilą. Chciał, by Katerina Lew zrozumiała, że ten duchowny nie jest osobą, której ona może się przeciwstawić, a surowy wyraz na twarzy Ambrosiego miał posłużyć do przekazania jej tego komunikatu. Zawsze cenił tę cechę w ojcu Paolo. Pełen rezerwy na forum publicznym, niezwykle sugestywny i przekonujący na stopie prywatnej.

Valendrea sięgnął pod siedzenie, wyciągnął kopertę i wręczył swemu gościowi.

- Dziesięć tysięcy euro, które pomoże pani pokryć koszty przelotu, hotelu i inne wydatki. Jeśli zdecyduje się pani pomóc mi, nie oczekuję, że sfinansuje pani wyjazd z funduszy własnych. Jeśli pani odmówi, proszę zatrzymać te pieniądze za fatygę.

Sięgnął ręką przed kobietą i otworzył drzwi.

- Było mi miło porozmawiać z panią, pani Lew.

Z kopertą w dłoni zgrabnie wysiadła z auta. Kardynał spojrzał w mrok.

- Pani hotel jest niedaleko z tyłu, na lewo od głównej *via*. Życzę miłego wieczoru.

Nie odpowiedziała nic i odeszła. Valendrea zamknął drzwi.

- Tak przewidywalna - powiedział cichym głosem. - Chce, żebyśmy czekali. Ale nie ulega wątpliwości, że to robi.

- To było niemal za łatwe - ocenił Ambrosi.

- Dlatego właśnie chcę posłać ją do Rumunii. Ta kobieta urodziła się z darem obserwowania. Poza tym łatwiej będzie śledzić ją niż Michenera. Załatwiłem u jednego z prywatnych sponsorów prywatny odrzutowiec. Wylatujesz jutro rano. Ponieważ wiemy, kiedy Michener wyrusza w drogę, dotrzesz tam pierwszy i będziesz czekał. On powinien dojechać tam do jutrzejszego wieczora, najpóźniej pojutrze rano. Trzymaj się z dala, ale miej ją na oku i upewnij się, że pojęła, czego oczekujemy w zamian za wyłożone fundusze.

Ambrosi przytaknął.

Kierowca powrócił i siadł za kierownicą. Ambrosi zastukał w szybę i ruszyli z powrotem w kierunku *via*.

Valendra pozwolił sobie na chwilę odpoczynku od pracy.

- Skoro mamy już za sobą tę intrygę, proponuję kieliszek koniaku i muzykę Czajkowskiego przed udaniem się na spoczynek. Co ty na to, Paolo?

23:50

Katerina zsunęła się z Toma Kealy i odprężyła się. Czekał na nią, kiedy weszła na górę, i wysłuchał jej opowieści o niespodziewanym spotkaniu z kardynałem Valendrea.

- To było miłe, Katerino - skomentował. - Jak zwykle.

Spoglądała na zarys jego twarzy, oświetlony czerwoną poświatą przedostającą się przez częściowo tylko zasunięte zasłony.

- Rano zrywają mi koloratkę, a wieczorem zostaję zniewolony. I do tego przez najpiękniejszą z kobiet.

- Trochę jakby popsułam ci zabawę.

- Ty to powiedziałaś - odparł, dławiąc śmiech.

Kealy znał szczegóły jej związku z Michenerem. Właściwie dobrze jej zrobiło odsłonięcie duszy przed kimś, kto ją, jak sądziła, rozumie. Pierwsze spotkanie nastąpiło z jej inicjatywy, zjawiała się jak gdyby nigdy nic w jego parafii w Wirginii, żeby przeprowadzić z nim wywiad. Pracowała w Stanach jako wolny strzelec dla kilku periodyków zainteresowanych radykalnym podejściem do kwestii religijnych. Zarabiała nieduże pieniądze, które wystarczały na pokrycie kosztów, ale pomyślała sobie, że historia Kealy'ego może stać się przepustką do wielkości.

Tu był księdzem toczącym ze Stolicą Piotrową wojnę w sprawie, która przemawiała do serc katolików Zachodu. Kościół północnoamerykański rozpaczliwie usiłował utrzymać przy sobie wiernych. Skandale z udziałem księży pedofilów zrujnowały reputację Kościoła, a niefrasobliwa reakcja Watykanu przyczyniła się jedynie do pogorszenia już i tak trudnej sytuacji. Nakaz celibatu, potępienie praktyk homoseksualnych i antykoncepcji tylko powiększyły powszechne rozczarowanie.

Pierwszego dnia Kealy zaprosił ją na kolację i nie upłynęło wiele czasu, nim znalazła się w jego łóżku. Potyczki z nim sprawiały jej przyjemność, zarówno w sensie duchowym, jak i fizycznym. Jego związek z kobietą, która spowodowała całe zamieszanie, zakończył się rok wcześniej. Ona była zmęczona powszechnym zainteresowaniem i nie zamierzała stać się zarzewiem ewentualnej religijnej rewolty. Katerina nie zajęła jej miejsca, wołała trzymać się

w tle, ale nagrała dziesiątki godzin z wywiadami. Miała nadzieję, że staną się one doskonałymi podwalinami książki. *Sprawa przeciw celibatowi księży*, taki roboczy tytuł nosiła publikacja, ona zaś planowała przeprowadzenie populistycznego ataku na ideę, której zdaniem Kealy'ego Kościół potrzebował jak odyniec sutków. Ostateczny cios ze strony Kościoła, ekskomunika nałożona na zbuntowanego księdza, mógł posłużyć za trampolinę kampanii promocyjnej. „Duchowny obłożony kościelną karą za sprzeciw wobec Watykanu oskarża współczesny kler”. Z pewnością temat był poruszany już wcześniej, ale Kealy oferował nowe, śmiałe i swojskie spojrzenie. CNN negocjował z nim nawet powierzenie mu roli komentatora na czas następnego konklawe. Stacja uważała, że jako osoba dobrze poinformowana Kealy może wytoczyć argumenty przeciwne wobec konserwatywnych opinii pojawiających się zwykle w okresie wyborów nowego papieża.

Reasumując, ich związek był obopólnie korzystny. Ale stan ten trwał do chwili, gdy skontaktował się z nią watykański sekretarz stanu.

- Jakie masz zdanie na temat Valendrei? Co sądzisz o jego propozycji? - zapytała.

- To pompatyczny dupek, który ma duże szanse zostać kolejnym zwierzchnikiem Kościoła.

Słyszała tę samą przepowiednię od innych, a to tylko powiększało jej zainteresowanie propozycją kardynała.

- On interesuje się wszystkim, co robi Colin.

Kealy obrócił się na drugi bok i spojrzał na nią.

- Muszę przyznać, że ja również. Jaką sprawę do załatwienia może mieć papieski sekretarz w Rumunii?

- Sugerujesz, że nie ma tam nic ciekawego?

- Jaka drażliwa.

Chociaż nigdy nie uważała siebie za patriotkę, tak czy owak była Rumunką i odczuwała dumę z tego faktu. Jej rodzice uciekli z kraju, gdy miała kilkanaście lat, ale później powróciła, by dopomóc w obaleniu Ceașescu. Znalazła się w Bukareszcie w trakcie ostatniego przemówienia dyktatora przed frontem gmachu Komitetu Centralnego. Miał to być zainscenizowany spektakl, demonstracja rzekomego poparcia komunistycznej władzy przez robotników. Lecz teatralne widowisko przerodziło się w krwawe rozruchy. Wciąż miała w uszach krzyki, gdy wybuchło pandemonium, a kordony policji otworzyły ogień w akompaniamencie robotniczych wiwatów, nagranych wcześniej na taśmie puszcanych przez megafony

- Wiem, że z trudem przyjdzie ci w to uwierzyć - wyznała - ale prawdziwa rewolucja

to nie inscenizacja przed kamerami ani wysyłanie przez Internet prowokacyjnych słów, ani nawet pójście do łóżka z kobietą. Rewolucja to rozlew krwi.

- Czasy się zmieniły, Katerino.

- Kościoła nie zmienisz tak łatwo.

- Czy przeglądałaś dzisiejsze wydania dzienników i gazet? Relacje z przesłuchania obiegają cały świat. Ludzie dowiedzą się, jaka krzywda mi się dzieje.

- A jeśli nikogo to nie obejdzie?

- Codziennie notujemy ponad dwadzieścia tysięcy wejść na naszą stronę. To całkiem spore zainteresowanie. Słowa potrafią wywierać ogromny wpływ.

- Tak samo jak kule. Byłam tam na kilka dni przed Bożym Narodzeniem, kiedy Rumuni umierali po to, by dyktator i ta suka, jego żona, mogli stanąć przed plutonem egzekucyjnym.

- Pociągnęłabyś za spust, gdyby dano ci taką możliwość, prawda?

- Bez wahania. Oni zrujnowali moją ojczyznę. Żarliwe uczucia, Tom. To one doprowadzają do rewolucji. Głęboka, nieodparta namiętność.

- Jak więc odpowiesz na propozycję Valendrei?

- Nie mam wyboru. Muszę to zrobić - odparła, wzdychając.

Stłumił śmiech.

- Zawsze jest jakiś wybór. Niech zgadnę, ta sposobność może stworzyć kolejną szansę na związek z Colinem Michenerem?

Zdała sobie sprawę, że wyjawiała Tomowi Kealy zbyt wiele swoich sekretów. Zapewnił ją, że nigdy niczego nie ujawni, ale trochę się niepokoiła. To prawda, że Michener popełnił błąd dawno temu, ale jakkolwiek wzmianka na ten temat, prawdziwa lub nie, mogłaby zrujnować jego karierę. Ona publicznie nigdy nie przyzna się do niczego, bez względu na to, jak bardzo nienawidzi wyboru dokonanego przez osobistego sekretarza papieża.

Siedziała w milczeniu przez kilka chwil i wpatrywała się w sufit. Valendrea stwierdził, że rodzący się problem może zaszkodzić karierze Michenera. Jeśli więc mogła pomóc Colinowi, jednocześnie pomagając samej sobie, dlaczegoż nie miała tego zrobić?

- Jadę.

- Sama pakujesz się w kłopoty - odezwał się Kealy rozbawionym tonem. - Ale uważam, że masz dostateczne kwalifikacje, by zmierzyć się z tym szatanem. Valendrea jest diabłem wcielonym, jeśli mogę wyrazić swoje zdanie. To ambitny sukinsyn.

- Ty zaś masz dostateczne kwalifikacje, by go zidentyfikować - nie mogła

powstrzymać się od kąśliwej riposty.

Położył dłoń na jej obnażonych nogach.

- Być może mam. Oprócz wrodzonych talentów w innych dziedzinach.

Arogancja tego księdza była zdumiewająca. Wydawało się, że nic nie jest w stanie go speszyć. Ani przesłuchanie dzisiejszego ranka przed swoimi prałatami, ani też perspektywa utraty koloratki. Być może to jego brawura właśnie pociągnęła ją kiedyś ku niemu. Pomijając to, Kealy stawał się coraz bardziej męczący. Zastanawiała się, czy kiedykolwiek zależało mu na sutannie. O Michenerze można było powiedzieć jedno: jego oddanie religii budziło podziw. Tom Kealy bywał lojalny stosownie do okoliczności. Z drugiej strony, kim ona sama była, by to osądzać? Uczepiła się go z egoistycznych pobudek, które on z pewnością już rozpoznał i wykorzystał. Teraz jednak nadarzała się sposobność, by wszystko to odmienić. Przed chwilą rozmawiała z sekretarzem stanu Stolicy Apostolskiej. Ten człowiek wybrał ją do realizacji zadania, które mogło prowadzić do czegoś znacznie większego. Poza tym, jak stwierdził Valendrea, to mogło jej zapewnić powrót do pracy u wszystkich wydawców, którzy kiedyś zrezygnowali z jej usług.

Poczuła, jak przebiega ją dreszcz ekscytacji.

Niespodziewane wydarzenia tego wieczora działały na nią jak afrodyzjak. W jej głowie kłębiły się fascynujące perspektywy. To one sprawiły, że uprawiany seks dawał jej o wiele więcej satysfakcji, niż mógł to zapewnić sam akt fizyczny - rozgłos, który chciała zyskać, kusił ją o wiele bardziej.



TURYN, WŁOCHY  
CZWARTEK, 9 LISTOPADA  
10:30

Przez szybę helikoptera Michener spoglądał badawczo na miasto położone w dole. Turyn spowity był poszarpanym całunem, jaskrawe poranne słońce usiłowało rozproszyć mgłę. Dalej rozciągał się Piemont, region Włoch przytulony do Francji i Szwajcarii, żyzny, otoczony alpejskimi szczytami, lodowcami i morzem.

Klemens siedział obok niego, dwóch funkcjonariuszy służby bezpieczeństwa naprzeciwko nich. Papież jechał na północ, by pobłogosławić Całun Turyński, zanim ten ponownie zostanie zamknięty i schowany. Całun wystawiono na pokaz tuż po Wielkanocy, a Klemens powinien być obecny również w chwili odsłonięcia relikwii. Lecz wtedy ważniejsza była zaplanowana wcześniej oficjalna wizyta w Hiszpanii. Papież zdecydował więc, że pojawi się na zamknięciu ekspozycji, oddając cześć relikwii, jak czynili to przez wieki jego poprzednicy.

Helikopter przechylił się w lewo i zaczął schodzić w dół. Pod nimi ciągnęła się Via Roma zakorkowana przez poranny ruch, równie zatłoczony był Piazza San Carlo. Turyn to ośrodek produkcyjny, głównie samochodów, miasto spółek zupełnie odmienne od wielu zapamiętanych przez Michenera z dzieciństwa miast w południowej Georgii, w których dominował przemysł papierniczy

Dostrzegli Duomo San Giovanni Battista i jej wysokie wieże spowite mgłą. Katedra, której patronem był Święty Jan Chrzciciel, stała tu od piętnastego stulecia. Całun Turyński złożono w niej na stałe dopiero jednak w siedemnastym wieku.

Płozы helikoptera dotknęły miękko wilgotnej kostki brukowej.

Michener odpiął pasy bezpieczeństwa, gdy silnik zwalniał obroty. Dwaj funkcjonariusze ochrony otworzyli drzwi dopiero z chwilą, gdy łopaty wirnika całkowicie znieruchomiały.

- Wysiadamy? - zapytał Klemens.

Papież nie odzywał się często podczas lotu z Rzymu. Zwykle tak się zachowywał w

podróży, a Michener przyzwyczał się do nawyków starego człowieka.

Wysiadł na piazza, Klemens za nim. Wokół lądowiska zgromadziły się tłumy. Powietrze było rześkie, lecz papież uparł się, że nie założy płaszcza. Odziany w białą sutannę, ze złotym pektorałem na piersiach prezentował się imponująco. Papieski fotograf przystąpił do robienia zdjęć, które do końca dnia miały zostać udostępnione prasie. Zwierzchnik Kościoła pozdrowił zebranych, a oni w skupieniu odwzajemnili ten gest.

- Nie powinniśmy się ociągać - szepnął Michener do Klemensa.

Watykańska ochrona zdawała sobie sprawę, że plac nie należy do bezpiecznych miejsc. To miała być krótka wizyta, jak określili funkcjonariusze ochrony, tylko katedrę i kaplicę sprawdzono pod kątem ewentualnej obecności ładunków wybuchowych i tam od wczoraj stały posterunki. Ponieważ tę konkretną wizytę szeroko nagłośniono i szykowano ją od dawna, im mniej czasu papież pozostawał na otwartej przestrzeni, tym lepiej.

- Za chwilę - odparł Klemens, wciąż przesyłając ludziom pozdrowienia. - Przybyli tu zobaczyć swego papieża. Pozwólmy im.

Papieże zawsze podróżowali swobodnie na obszarze Półwyspu Apenińskiego. Była to dodatkowa korzyść dla Włochów w zamian za to, że od dwóch tysięcy lat gościli na swej ziemi Kościół, dlatego też Klemens wykorzystał chwilę i błogosławił zebrane tłumy.

Na koniec papież ruszył w kierunku katedralnej niszy. Michener podążył za nim, specjalnie zostając nieco z tyłu, by miejscowi duchowni mogli skorzystać z okazji i zrobić sobie zdjęcia z Ojcem Świętym.

Kardynał Gustavo Bartolo czekał przy wejściu do katedry. Miał na sobie szkarłatną sutannę z jedwabiu oraz pas w dobranym do niej kolorze, wskazujący na jego zwierzchni status w Kolegium Kardynałów. Był mężczyzną pełnym werwy, o białych, pozbawionych połysku włosach i gęstej brodzie. Michener często zastanawiał się, czy stylizacja na biblijnego proroka jest zamierzona, bowiem intelektualnej błyskotliwości oraz przymiotów ducha kardynała Bartolo nie ceniono zbyt wysoko, uznawano go raczej za lojalnego chłopca na posyłki. Na biskupa Turynu mianował go poprzednik Klemensa, potem przysłała kolej na godność kardynalską, co łączyło się z uzyskaniem tytułu prefekta Całunu Turyńskiego.

Klemens podtrzymał tę nominację, mimo iż Bartolo był jednym z najbliższych towarzyszy Alberta Valendrei. Ten ostatni mógł z pewnością liczyć na jego głos w następnym konklawe, Michener poczuł więc rozbawienie, kiedy papież ruszył wprost ku kardynałowi i wyciągnął prawą rękę dłonią do dołu. Bartolo pojął w mig, czego wymaga protokół, spoglądali na niego księża i zakonnice, podjął więc podaną dłoń, ukląkł i ucałował papieski pierścień. Najczęściej Klemens gestem ręki dawał znać, że ten gest pokory jest zbędny.

Zazwyczaj w takich sytuacjach jak tu, za zamkniętymi drzwiami, w obecności kościelnych hierarchów wystarczał uścisk dłoni. Upór papieża przy ścisłym dochowaniu protokołu to sygnał najwyraźniej dla kardynała zrozumiały, sądząc po nagłej irytacji, która pojawiła się w jego oczach, a którą starzec nieudolnie starał się ukryć.

Klemens zdawał się nie przejmować urażonym Bartolo i natychmiast przystąpił do wymiany uprzejmości z resztą obecnych. Po kilku minutach niezobowiązującej rozmowy papież pobłogosławił kilkunastu duchownych stojących wokół niego, potem poprowadził towarzyszącą mu świtę w głąb katedry.

Michener pozostał z tyłu i pozwolił, by ceremonia odbywała się bez niego. Jego zadaniem było przebywać w pobliżu, w gotowości do asysty; nie musiał uczestniczyć w uroczystościach. Zauważył, że jeden z miejscowych księży również czeka. Wiedział, że niski, łysawy duchowny to pomocnik Bartola.

- Czy Ojciec Święty zostanie na obiad? - zapytał ksiądz po włosku.

Nie spodobał mu się nieco butny ton. Prócz szacunku słyszał w nim rozdrażnienie. Lojalność tego duchownego zdecydowanie nie była ulokowana po stronie starzejącego się papieża. Nawet nie silił się, by ukryć niechęć do monsignore'a rodem z Ameryki, który z pewnością straci posadę z chwilą śmierci Klemensa. Ten człowiek z pewnością kierował się wizją tego, co jego zwierzchnik może dla niego uczynić, podobnie jak Michener dwie dekady wcześniej, kiedy niemiecki biskup obdarzył sympatią nieśmiałego seminarzystę.

- Papież zostanie na obiedzie, o ile rozkład dnia zostanie utrzymany. W tej chwili nawet wyprzedzamy nieco plan. Czy otrzymał ojciec wskazówki odnośnie do menu?

Duchowny skinął nieznacznie głową.

- Posiłek przygotowano zgodnie z zaleceniami.

Klemens nie przepadał za włoską kuchnią, który to fakt w Watykanie przez długi czas starano się ukryć. Oficjalnie stwierdzano, że papieskie upodobania kulinarne są jego prywatną sprawą, niezwiązaną z pełnionymi obowiązkami.

- Wejdziemy do środka? - zapytał Michener.

Ostatnio czuł mniejszą ochotę do żartów z polityki Kościoła - od momentu, gdy zrozumiał, że jego wpływy maleją wraz z pogarszającym się stanem zdrowia Klemensa.

Ruszył do wnętrza katedry, w ślad za nim zrobił to irytujący duchowny. Najwyraźniej miał to być jego anioł stróż na cały dzień.

Klemens stał na skrzyżowaniu naw w miejscu, gdzie stała prostokątna szklana gablota podwieszona pod sufitem. Wewnątrz niej, oświetlone matowym światłem, znajdowało się wyblakłe płótno koloru jasnobrazowego z żółtym odcieniem, długości około czterech metrów.

Na płótnie widniały niewyraźne zarysy ludzkiej postaci. Przednia i tylna połowa ciała łączyły się przy głowie, jak gdyby ciało zostało złożone na płótnie i potem nakryte nim od góry. Twarz pokrywała broda, zmierzwione włosy sięgały do ramion, dłonie wstydliwie zakrywały łono. Na głowie oraz nadgarstkach widoczne były ślady ran, również tors nosił ślady dźgnięć, a na plecach widniały szramy od batoga.

To, czy był to wizerunek Chrystusa, wciąż pozostawało wyłącznie kwestią wiary. Osobiście Michenerowi z trudem przychodziło zaakceptować fakt, że kawałek płótna tkanego w jodelkę mógł przetrwać bez szwanku dwa tysiące lat. Traktował tę relikwię jako obiekt pokrewny treściom, które z ogromnym zapałem studiował przez kilka ostatnich tygodni - związanym z maryjnymi objawieniami. Zgłębiał relację każdego potencjalnego świadka, który rzekomo doświadczył wizyty gościa z niebios. Papiescy badacze stwierdzali, iż większość z nich była pomyłką, halucynacją albo przejawem problemów natury psychicznej. Niektóre z relacji okazywały się zwykłymi mistyfikacjami. Ale dwudziestu kilku przypadków papiescy inkwizytorzy, mimo szczerych chęci, nie byli w stanie zdezwuować. Koniec końców stwierdzano, że nie da się znaleźć innego racjonalnego wyjaśnienia poza pojawieniem się na ziemi Matki Boskiej. Tego rodzaju objawienia uznawano za wiarygodne cuda.

Jak w Fatimie.

Lecz podobnie jak w wypadku całunu, który wisiał przed nim, ta wiarygodność również sprowadzała się, jak samo słowo wskazuje, do kwestii wiary.

Klemens od dziesięciu minut modlił się przed całunem. Michener zauważył, że teraz już nie nadążają za rozkładem dnia, ale nikt nie miał odwagi przerwać papieskich modłów. Zgromadzeni stali w milczeniu do chwili, gdy następcą Piotra powstał, przeżegnał się i podążył za kardynałem Bartolo do kaplicy wyłożonej czarnym marmurem. Kardynał-prefekt wydawał się zaniepokojony tym, że musi pokazać to niezwykle miejsce.

Przejście trwało niemal pół godziny. Przeciągnęły je pytania zadawane przez Klemensa oraz jego upór, by osobiście pozdrowić wszystkich zgromadzonych w katedrze. Harmonogram był już bardzo napięty, Michener odetchnął więc z ulgą, kiedy papież poprowadził całą świtę do przyległego budynku na obiad.

Klemens zatrzymał się tuż przed salą jadalną i odwrócił się do Bartolo.

- Czy jest tu jakieś miejsce, w którym mógłbym zamienić kilka słów ze swoim sekretarzem?

Kardynał szybko wypatrzył pomieszczenie bez okna, zapewne służące za przebieralnię. Gdy drzwi zamknięto, Klemens sięgnął do kieszeni sutanny i wyciągnął

jasnoniebieską kopertę. Michener rozpoznał papieską papeterię używaną do korespondencji prywatnej. Kupił ją w jednym z rzymskich sklepów i podarował Klemensowi w ostatnie Boże Narodzenie.

- To list, który zabierzesz ze sobą do Rumunii. Jeśli ojciec Tibor nie będzie w stanie lub nie zechce zrobić tego, o co go proszę, zniszcz ten list i wracaj do Rzymu.

Wziął kopertę.

- Zrozumiałem, Ojczy Święty.

- Dobry kardynał Bartolo jest nad wyraz przychylnie usposobiony, prawda? - zapytał papież, uśmiechając się przy tym.

- Wątpię, żeby zdołał zgromadzić trzysta odpustów gwarantowanych za ucałowanie papieskiego pierścienia.

Wedle starej tradycji ten, kto z pobożną czcią ucałuje papieski pierścień, otrzyma odpust trzystu grzechów. Michener często zastanawiał się, czy średniowieczni papieże, którzy wymyślili tę nagrodę, mieli na myśli wybaczenie grzechów, czy też pragnęli jedynie zapewnić sobie większą liczbę oddanych popleczników.

Klemens stłumił śmiech.

- Myślę, że kardynałowi trzeba odpuścić więcej niż trzysta grzechów. To jeden z najbliższych sojuszników Valendrei w Sekretariacie Stanu, odkąd Toskańczyk stoi na straży bezpieczeństwa papieżstwa. Lecz sama myśl o tym budzi trwogę. Kwalifikacje Bartola ledwo pozwalają mu być biskupem w tej katedrze.

Najwyraźniej miała to być szczerza rozmowa, Michener pozwolił sobie więc na odwagę.

- Potrzebujesz wszystkich przyjaciół, których zdołasz zebrać, żeby na następnym konklawe zapewnić, iż tak się nie stanie.

Klemens w lot zrozumiał jego intencje.

- Pragniesz szkarłatnego biretu, prawda?

- Wiesz, że tak.

Papież wskazał na kopertę.

- Załatw do dla mnie.

Zastanawiał się, w jaki sposób jego wyjazd do Rumunii może wiązać się z kardynalską nominacją, ale szybko odepchnął te myśli. Jakob Volkner nie postępował w ten sposób. Niemniej jednak papież mówił mało konkretnie, zresztą nie po raz pierwszy.

- Wciąż nie masz zamiaru wyjawić mi, co tak bardzo cię niepokoi?

Klemens ruszył w stronę szat liturgicznych.

- Uwierz mi, Colinie, z pewnością nie chcesz tego wiedzieć.

- Być może byłbym w stanie pomóc.

- Nie zdążyłeś opowiedzieć mi o swej rozmowie z Kateriną. Zmieniła się przez te wszystkie lata?

Kolejna próba zmiany tematu.

- Rozmawialiśmy krótko. To, co powiedzieliśmy, było wymuszone.

Klemens uniósł brwi w zdziwieniu.

- Dlaczego pozwoliłeś, by tak się stało?

- Ona jest nieprzejednana, a jej stanowisko wobec Kościoła bezkompromisowe.

- Ale trudno może ją obwiniać, Colinie. Prawdopodobnie darzyła cię miłością, lecz nie była w stanie poradzić sobie z waszą sytuacją. Utrata kochanego na rzecz innej kobiety, to jedno, ale na rzecz Boga... z tym trudno się pogodzić. Stłumiona miłość to nic przyjemnego.

Znów zastanowiło go, skąd bierze się zainteresowanie Klemensa jego prywatnym życiem.

- Teraz to już bez znaczenia. Ona ma swoje życie, a ja swoje.

- Ale nie znaczy to wcale, że nie możecie być przyjaciółmi. Dzielcie się ze sobą słowami i uczuciami. Doświadczaj bliskości, którą może zaoferować ktoś, komu bardzo zależy na tobie. Kościół z pewnością nie zabrania tego rodzaju przyjemności.

Samotność to ryzyko zawodowe każdego duchownego. Michenerowi się poszczęściło - kiedy rozstał się z Kateriną, pozostał mu Volkner, który wysłuchał jego spowiedzi i udzielił mu rozgrzeszenia. Jak na ironię, takiego samego czynu dopuścił się Tom Kealy i za to czekała go ekskomunika. Być może to właśnie ściągnęło uwagę Klemensa na zbuntowanego księdza?

Papież podszedł do jednego z wieszaków i wskazał na mieniące się kolorami liturgiczne szaty.

- W Bambergu jako dziecko byłem ministrantem. Wspominam tamte czasy z rozczuleniem. Wojna dobiegła końca i kraj się odbudowywał. Na szczęście katedry i kościoły ocalały. Bomby je ominęły. Zawsze uważałem to za Boskie zrządzenie. Nawet w obliczu tego, czego dopuścił się rodzaj ludzki, kościół w naszym mieście przetrwał.

Michener nie odpowiedział. Z pewnością Klemens miał w tym jakiś cel. Dlaczegoż bowiem opóźniałby wszystko, by przeprowadzić rozmowę, która mogła przecież poczekać?

- Kochałem tę katedrę - kontynuował papież. - Stanowiła część mojej młodości. Wciąż słyszę, jak chór śpiewa. To naprawdę inspirujące. Pragnąłbym, by tam mnie pochowano. Ale to niemożliwe, prawda? Papieże spoczywają w krypcie Bazyliki św. Piotra. Zastanawiam się, kto ustalił tę regułę.

Głos Klemensa był odległy Michener nie był pewien, do kogo tak naprawdę mówi jego mentor. Podeszedł bliżej.

- Jakobie, powiedz mi, co cię dręczy?

Klemens zdjął rękę z szaty i złożył przed sobą drżące dłonie.

- Jesteś bardzo naiwny, Colinie. Po prostu nie rozumiesz. Nawet nie jesteś w stanie zrozumieć.

Klemens mówił przez zęby, niemal nie poruszając ustami. Jego głos był bezbarwny i pozbawiony uczuć.

- Czy sądzisz, że w Watykanie możemy cieszyć się choćby odrobiną prywatności? Nie rozumiesz, jak daleko sięgają ambicje Valendrei? Toskańczyk wie o wszystkim, co robimy i zna każde nasze słowo. Pragniesz zostać kardynałem? By dostąpić tego zaszczytu, musisz pojąć miarę związanej z nim odpowiedzialności. Jak możesz spodziewać się, że wyniosę cię, jeśli nie dostrzegasz tego, co jest takie oczywiste?

Odkąd trwała ich więź, rzadko przemawiali w ostrych słowach, ale teraz papież udzielał mu reprimendy. Tylko za co?

- Jesteśmy tylko ludźmi, Colinie. Niczym więcej. Nie jestem bardziej nieomylny niż ty. A mimo to ogłaszamy siebie książętami Kościoła. Pobożnymi kapłanami, których wyłączną troską jest sprawianie przyjemności Bogu, choć w rzeczywistości sprawiamy przyjemność sobie. Ten głupiec Bartolo, który czeka na zewnątrz, to dobry przykład. Jedynym jego zmartwieniem jest termin mojego zejścia z tego świata. Jego los z pewnością ulegnie wtedy zmianie. Podobnie jak twój.

- Mam nadzieję, że nie mówiłeś takich rzeczy do innych.

Klemens łagodnie ujął w dłonie pectorał zawieszony na piersiach. Gest ten zdawał się uspokoić w nim drżenie.

- Martwię się o ciebie, Colinie. Jesteś jak delfin zamknięty w akwarium. Przez całe twoje życie pielęgniarze dbali o to, by woda była czysta i by nigdy nie zabrakło karmy, teraz jednak zamierzają wypuścić cię do morza. Czy zdołasz przetrwać?

Nie podobało mu się to, że Klemens mówi do niego protekcjonalnie.

- Wiem więcej, niż ci się wydaje.

- Nie masz pojęcia o głębi osobowości takich postaci jak Alberto Valendrea. To nie jest człowiek Boga. Wielu było papieży takich jak on: chciwych, zarozumiałych i głupich, przekonanych, że władza daje odpowiedź na wszystko. Sądziłem, że odeszli już do przeszłości. Ale myliłem się. Myślisz, że jesteś w stanie podjąć walkę z Valendrea?

Klemens pokręcił głową.

- Nie, Colinie. Nie stanowisz dla niego zagrożenia. Jesteś zbyt przyzwoity. I zbyt ufny

- Dlaczego mi to mówisz?

- Bo to trzeba powiedzieć.

Klemens podszedł bliżej. Teraz dzieliły ich centymetry, niemal stykali się stopami.

- Alberto Valendra zrujnuje ten Kościół, o ile nie uczyniłem tego ja i moi poprzednicy. Nieustannie wypytyjesz mnie, co mnie dręczy. Nie powinieneś jednak troskać się o przyczynę moich zmartwień, lecz robić to, o co cię proszę. Czy to jasne?

Oschłość tonu Klemensa odrzuciła go. Miał czterdzieści siedem lat i dosłużył się godności monsignora. Był osobistym sekretarzem papieża. Pobożnym sługą. Dlaczego więc wieloletni przyjaciel kwestionował zarówno jego lojalność, jak i zdolności? Zdecydował jednak, że nie będzie wdawał się w spór.

- Absolutnie jasne, Ojciec Święty.

- Maurice Ngovi jest najbliższym mi człowiekiem, jaki ci pozostanie. Pamiętaj o tym w niedalekiej przyszłości,

Klemens cofnął się i wydawało się, że jego nastrój uległ zmianie.

- Kiedy wyruszasz do Rumunii?

- Rankiem.

Papież przytaknął, potem znów sięgnął do kieszeni sutanny i wyciągnął drugą jasnyniebieską kopertę.

- Doskonale. Chciałbym, żebyś teraz wysłał pocztą ten list, dobrze?

Wziął kopertę i zauważył, że jest zaadresowana do Irmy Rahn. Ona i Klemens przyjaźnili się od dzieciństwa. Wciąż mieszkała w Bambergu, od lat regularnie korespondowali.

- Zajmę się tym.

- Stąd.

- Słucham?

- Wyślij to stąd. Z Turynu. Osobiście, proszę. Nie przekazuj tego innym.

Zawsze wysyłał osobiście papieskie listy i nigdy nie trzeba było mu o tym przypominać. Ale i tym razem postanowił się nie spierać.

- Oczywiście, Ojciec Święty Wyślę to stąd. Osobiście.



## WATYKAN, 13:15

Valendrea zmierzał wprost do biura naczelnego archiwisty Świętego Kościoła Rzymskiego. Kardynał zarządzający L'Archivio Segreto Vaticano nie należał do jego sojuszników, ale może okaże się na tyle przezorny, by nie zastąpić drogi komuś, kto już niedługo może zasiąść na Piotrowym tronie. Wszystkie nominacje dobiegały kresu wraz ze śmiercią papieża. Przedłużenie stanowiska leżało w wyłącznej gestii kolejnego Namiestnika Chrystusowego, a Valendrea wiedział, że obecny archiwista pragnie utrzymać posadę.

Archiwista siedział za biurkiem pochłonięty pracą. Sekretarz stanu wszedł cicho do rozległego pomieszczenia i zamknął za sobą dwuskrzydłowe drzwi z brązu.

Kardynał spojrział znad biurka, ale się nie odezwał. Dobiegał siedemdziesiątki, miał zapadnięte policzki i wysokie, pochylone czoło. Z pochodzenia Hiszpan, pracował w Rzymie całe życie od chwili wyświęcenia na kapłana.

Purpuraci wchodzący w skład zgromadzenia kardynałów dzielili się na trzy kategorie. Kardynałów biskupów, tytularnych zwierzchników podmiejskich diecezji Rzymu, kardynałów prezbiterów, czyli biskupów diecezjalnych podniesionych do godności kardynalskiej, którzy otrzymali od papieża jeden z kościołów w Rzymie, oraz kardynałów diakonów - urzędników zatrudnionych w Kurii w pełnym wymiarze, którzy jako tytuł otrzymali jedną z diakonii rzymskich. Archiwista był seniorem kardynałów dziekanów i z tego względu przypadał mu zaszczyt ogłoszenia z balkonu Bazyliki św. Piotra imienia nowo obranego papieża. Valendrea za nic miał ten li tylko formalny przywilej. Ten stary człowiek był ważny z uwagi na swoje wpływy wśród garstki kardynałów dziekanów wciąż jeszcze niezdecydowanych, kogo wstępnie poprzeć przed konklawe.

Podszedł do biurka i zwrócił uwagę, że gospodarz nie powstał i nie przywitał go.

- Nie jest aż tak źle - odezwał się w odpowiedzi na świdrujące go nieprzychylnie spojrzenie.

- Nie jestem pewien. Domniemywam, że papież wciąż jest w Turynie?

- Inaczej nie byłoby mnie tutaj.

Archiwista westchnął głośno.

- Chcę, żeby Eminencja otworzył dla mnie Riservę oraz sejf - oświadczył Valendrea.

Stary mężczyzna w końcu powstał.

- Muszę odmówić.

- To nie byłoby rozsądne.

Miał nadzieję, że archiwista zrozumie przesłany sygnał.

- Groźby ze strony Eminencji nie zastąpią bezpośredniego polecenia papieża. Jedynie głowa Kościoła może wejść do Riservy. Nikt inny Nawet Eminencja.

- Nikt nie musi wiedzieć. To nie potrwa długo.

- Przysięga złożona wobec tego urzędu i Kościoła więcej dla mnie znaczy, niż się Eminencji wydaje.

- Posłuchaj mnie, starcze. Wypełniam misję o najwyższej randze dla Kościoła. Wymaga ona podjęcia nadzwyczajnych działań.

Było to kłamstwo, ale brzmiało wiarygodnie.

- Nie będzie więc Eminencja mieć nic przeciwko temu, żeby Ojciec Święty wydał zezwolenie na wejście. Mogę zadzwonić do Turynu.

Nadeszła chwila na wyjawienie prawdy

- Jestem w posiadaniu zeznania twojej siostrzenicy złożonego pod przysięgą. Złożyła je bardzo ochoczo. Przysięgła na Wszechmogącego, że wybaczyła jej córce grzech aborcji nienarodzonego dziecka. Jak to jest możliwe, Eminencjo? To przecież herezja.

- Wiem o tych złożonych pod przysięgą zeznaniach. Udzieliłem kobiecie rozgrzeszenia, gdyż była na łożu śmierci i obawiała się wiekuistego potępienia w piekle. Pocieszyłem ją, dysponując łaską Bożą, jak przystało kapłanowi.

- Mój Bóg... Bóg waszej Eminencji nie wybacza aborcji. To jest morderstwo. Nie miałaś prawa jej wybaczyć. W tym względzie Ojciec Święty nie będzie miał innego wyboru niż zgodzić się ze mną.

Dostrzegł, że stary człowiek jest przygotowany na tę rozterkę i jego twarz nic nie wyraża, ale zauważył też drżenie lewej powieki - być może dokładnie w tym miejscu ulatywał z niego strach.

Odwaga kardynała archiwisty nie zrobiła wrażenia na watykańskim sekretarzu stanu. Człowiek ten spędził całe życie na przekładaniu akt z jednego segregatora do drugiego, stosował się do pozbawionych znaczenia reguł, stając na drodze każdemu, kto okazał się na tyle zuchwały, by rzucić wyzwanie Stolicy Apostolskiej. Kontynuował długi szereg *saittori*, którzy przez cały żywot dokładali wysiłków, by papieskie archiwa były bezpieczne. Kiedy już zasiadali na czarnym tronie, ich fizyczna obecność w archiwum stanowiła ostrzeżenie, że

zezwoleń na wejście nie oznacza zgody na swobodne szperanie po aktach. Podobnie jak w wypadku wykopalisk archeologicznych, jakiegokolwiek znaczące odkrycie wśród regałów jest rezultatem zgłębiania ich zawartości. Poza tym wymagało to czasu - towar ten Kościół katolicki zechciał udostępnić dopiero kilkadziesiąt lat wcześniej. Valendrea pojął, iż jedynym zadaniem powierzonym takim ludziom, jak kardynał archiwista, jest chronienie Kościoła nawet przed jego książętami.

- Rób, co chcesz, Alberto. Opowiedz światu, co uczyniłem. Ale ja i tak nie wpuszczę cię do Riservy. Musisz nosić papieską tiarę, żeby się tam dostać. A póki co tak nie jest.

Być może nie doceniał tego urzędasza od papierków. Widocznie miał on więcej hartu ducha, niż wskazywałyby na to jego powierzchowność. Postanowił odłożyć sprawę na później. Przynajmniej póki co. Być może w najbliższych miesiącach będzie potrzebował tego człowieka.

Obrócił się i ruszył ku podwójnym drzwiom.

- Z następną rozmową zaczekam do chwili, gdy zasiądę na Piotrowym tronie.

Zatrzymał się i spojrzał do tyłu.

- Wtedy przekonamy się, czy będziesz równie lojalny wobec mnie, jak teraz wobec innych.

RZYM, 16.00

Katerina czekała w hotelowym pokoju po skończonym niedawno lunchu. Kardynał Valendra powiadomił ją, że zadzwoni o drugiej po południu, lecz nie dotrzymał słowa. Może był zdania, że dziesięć tysięcy euro to kwota wystarczająca, by ona odczekała swoje przy telefonie. Albo trwał w przekonaniu, że jej wcześniejszy związek z Colinem Michenerem stanowi gwarancję wywiązania się z tego, o co ją prosił. Mimo wszystko nie podobał się jej fakt, że kardynał najwyraźniej okazał się biegły w odczytaniu jej intencji.

Co prawda kończyły się jej pieniądze zaoszczędzone w czasie, gdy pracowała w Stanach jako wolny strzelec. Odczuwała też zmęczenie pasożytowaniem na Tomie Kealym, zadowolonym chyba z sytuacji, w której jej los zależy od niego. Wiodło mu się nieźle po wydaniu trzech książek, a wkrótce miało mu się powodzić jeszcze lepiej. Satysfakcję sprawiał mu fakt, że uchodzi za najnowszą religijną osobowość Ameryki. Uzależnił się od publicznej uwagi. Co prawda zasługiwał na nią, lecz Katerina знаła te strony zbuntowanego kapłana, których jego zwolennicy nigdy nie widzieli. Uczuć nie umieszcza się na witrynie internetowej ani nie wzmiankuje się o nich w wywiadach dla szerokich rzesz. Ludzie naprawdę utalentowani mogli przekształcić te uczucia w słowa, ale Kealy nie miał talentów pisarskich, a wszystkie książki pisał za niego ktoś inny. Była to jedna z rzeczy, o których wiedziała jedynie ona oraz jego wydawca i których Kealy nie życzył sobie ujawniać. Ten człowiek po prostu nie był rzeczywisty. Stworzył iluzję, którą kilka milionów ludzi - w tym również on sam - zaakceptowało.

Zupełnie inaczej niż Michener.

Żałowała gorzkich słów wypowiedzianych dzisiaj. Przed przyjazdem do Rzymu obiecywała sobie, że jeśli ich ścieżki się skrzyżują, postara się zapanować nad słowami. W końcu upłynęło już dużo czasu - każde poszło swoją drogą. Kiedy jednak dostrzegła go w sali Trybunału, zdała sobie sprawę, że pozostawił w jej uczuciach niezatarty ślad, do którego istnienia musiała się przyznać i który pobudził w niej urazę z prędkością reakcji łańcuchowej.

Ostatniej nocy, kiedy Kealy spał obok niej, zastanawiała się, czy kręte meandry jej losów w ciągu ostatnich kilkunastu lat nie stanowiły jedynie preludium dla tej właśnie chwili.

Dziennikarskiej kariery z pewnością nie mogła uznać za sukces, życie prywatne układało się fatalnie, ale teraz wciąż czekała na telefon od drugiego pod względem wpływów hierarchy Kościoła katolickiego i na okazję do oszukania kogoś, kto wciąż był dla niej bardzo ważny.

Wcześniej zasięgnęła nieco informacji wśród znajomych przedstawicieli włoskiej prasy i dowiedziała się, że Valendra jest człowiekiem o skomplikowanej osobowości. Przyszedł na świat w jednym z najstarszych rodów włoskich patrycjuszy i od urodzenia był bogaty. Z jego linii wywodziło się co najmniej dwóch papieży i pięciu kardynałów, a wujowie i bracia uczestniczyli aktywnie w świecie włoskiej polityki lub międzynarodowego biznesu. Przedstawiciele klanu Valendra okopali się też w kręgach sztuki europejskiej, posiadali pałace oraz wielkie majątki ziemskie. Zachowali dystans wobec Mussoliniego i jeszcze większy wobec zmieniających się co chwila późniejszych włoskich rządów. O ich gospodarczy potencjał i pieniądze zabiegano ze wszystkich stron, dawniej i obecnie, byli więc wybredni w doborze popieranych ludzi i przedsięwzięć. Notatka w watykańskim „Annuario Pontificio” stwierdzała, że Valendra liczy sobie sześćdziesiąt lat i posiada dyplomy Uniwersytetu Florenckiego, Katolickiego Uniwersytetu Świętego Serca oraz Akademii Prawa Międzynarodowego w Hadze. Jest autorem czternastu traktatów. Jego styl życia wymagał o wiele większych funduszy niż skromne trzy tysiące euro, które Kościół wypłaca swoim księżętom. I chociaż Watykan wzdrygał się przed kardynałami angażującymi się w świeckie przedsięwzięcia, wiadomo było powszechnie, że Valendra jest akcjonariuszem kilku włoskich korporacji i zasiada w licznych radach nadzorczych. Stosunkowo młody wiek wydawał się jego mocną stroną, podobnie jak wrodzone zdolności polityczne oraz dominująca osobowość. Urząd sekretarza stanu piastował mądrze i stał się postacią dobrze znaną w świecie zachodnich mediów. Doceniał walory nowoczesnych środków przekazu oraz potrzebę prezentowania jednolitego publicznego wizerunku. Należał do teologicznych twardogłowych, którzy otwarcie przeciwstawiali się postanowieniom Soboru Watykańskiego II, a fakt ten stał się oczywisty w trakcie przesłuchania ojca Kealy w trybunale. Był też jednym z nieugiętych tradycjonalistów, których zdaniem Kościołowi najlepiej służy dawny liturgiczny rytuał.

Niemal wszyscy jej rozmówcy przyznawali, że Valendra jest głównym kandydatem do schedy po Klemensie. Niekoniecznie dlatego, że nadaje się idealnie na ten urząd, lecz z braku innego kandydata, który byłby na tyle silny, by z nim rywalizować. Wedle wszystkich źródeł Włoch był pewny siebie i szykował się do następnego konklawe.

Z drugiej strony był również faworytem trzy lata temu i przegrał.

Dzwonek telefonu wyrwał ją z przemyśleń.

Spojrzała na słuchawkę, przez moment walczyła z impulsem, by od razu odebrać. Chciała, żeby Valendrea przez chwilę się poccił, jeśli to on dzwoni.

Podniosła słuchawkę dopiero po szóstym dzwonku.

- Chciała pani, żebym czekał? - usłyszała głos kardynała.

- Nie bardziej, niż sama czekałam.

Ze słuchawki dobiegł stłumiony śmiech.

- Lubię panią, pani Lew. Ma pani charakter. Proszę mi powiedzieć, jaka jest pani decyzja?

- Jakby musiał pan pytać.

- Sądziłem, że tak będzie uprzejmie.

- Nie robi Eminencja na mnie wrażenia osoby troszczącej się o takie szczegóły

- Nie okazuje pani zbyt wielkiego szacunku kardynałowi Kościoła katolickiego.

- Każdego ranka wkłada pan ubranie tak samo jak każdy inny

- Wyczuwam, że nie jest pani osobą religijną.

Teraz to ona roześmiała się.

- Nie chce mi Eminencja wmówić, że prowadząc politykę, jednocześnie nawraca zbłąkane owieczki.

- Postąpiłem mądrze, wybierając panią. Pani i ja dobrze się rozumiemy

- Na jakiej podstawie Eminencja sądzi, że nie nagrywam tej rozmowy?

- Marnując tym samym życiową okazję? Szczerze w to wątpię. Nie wspominając o szansie przebywania z szacownym ojcem Michenerem. A wszystko na mój koszt. Czegóż można chcieć więcej?

Irytujące podejście kardynała nie różniło się wiele od tego, co prezentował Tom Kealy. Zastanawiała się, co w niej takiego jest, że przyciąga takie zadufane w sobie osobowości.

- Kiedy wyjeżdżam?

- Osobisty sekretarz papieża wylatuje jutro rano i dotrze do Bukaresztu w porze lunchu. Pomyślałem, że poleci pani dziś wieczorem i wyprzedzi go.

- Dokąd mam się udać?

- Ojciec Michener zamierza spotkać się z duchownym nazwiskiem Andriej Tibor. To emerytowany ksiądz, który pracuje w sierocińcu położonym około sześćdziesiąt kilometrów na północ od Bukaresztu, w miasteczku Zlatna. Być może zna pani to miejsce?

- Słyszałam o nim.

- W takim razie nie powinna pani mieć trudności z ustaleniem, co Michener tam zrobi i powie. Ponadto Michener ma przy sobie list napisany przez papieża. Gdyby udało się pani

poznać jego treść, pani akcje w moich oczach wzrosłyby bardzo.

- Nie oczekuje Eminencja zbyt wiele?

- Jest pani zaradną kobietą. Sugeruję posłużenie się tymi samymi urokami, którymi wciąż chyba cieszy się Tom Kealy. W takim wypadku pani misja z pewnością zakończy się pełnym sukcesem.

I w tym momencie Valendrea się rozłączył.

WATYKAN, 17:30

Valendrea stał w oknie swego biura usytuowanego na drugim piętrze. Na zewnątrz, w watykańskich ogrodach wysokie cedry, pinie oraz cyprysy uparcie trzymały się lata. Od trzynastego stulecia papież spacerowali po ceglanych ścieżkach, wzdłuż których rosły wawrzyny i mirty, znajdując spokój ducha wśród klasycznych posągów, popiersi oraz reliefów z brązu.

Przywołał w pamięci czasy, kiedy on również rozkoszował się pięknem ogrodów. Świeżo po seminarium, trafił do jedynego miejsca na ziemi, w którym pragnął służyć. W tamtym czasie po ścieżkach ogrodów przechadzali się licznie młodzi księża, pogrążeni w rozważaniach o swojej przyszłości. Pochodził z epoki, w której w papieżstwie dominowali Włosi. Ale sobór watykański II odmienił wszystko, a Klemens XV oddalał się od tego stanu jeszcze bardziej. Każdego dnia wychodziły kolejne polecenia dotyczące odwołania księży, biskupów i kardynałów urzędujących na trzecim piętrze. W ich miejsce do Rzymu powoływani byli duchowni z krajów Zachodu, Afrykanie oraz Azjaci. Zmęczył się już odwlekaniem każdej kolejnej nominacji, w nadziei, że Klemens opuści w końcu ziemski padół. Koniec końców nie miał jednak innego wyboru, jak posłusznie wykonać każdą decyzję personalną.

Włosi już stanowili mniejszość w kolegium kardynałów; być może Paweł VI był ostatnim wybranym z ich grona. Valendrea znał kardynała Mediolanu i miał szczęście spędzić w Rzymie kilka ostatnich lat pontyfikatu Pawła. W 1983 roku Valendrea wyniesiono do godności biskupa. Jan Paweł II nałożył mu szkarłatny biret, który to krok przyniósł Polakowi uwielbienie mieszkańców Toskanii.

Ale być może nie tylko to?.

Konserwatywne poglądy Valendrei były legendarne, podobnie jak jego reputacja niezwykle sumiennego pracownika. Jan Paweł mianował go prefektem Kongregacji do spraw Ewangelizacji Narodów. Na tym stanowisku koordynował działalność misyjną na całym świecie, nadzorował wznoszenie kościołów, wytyczał granice diecezji oraz sprawował pieczę nad kształceniem katechetów i księży. Angażował się we wszystkie dziedziny aktywności



Kościół i po cichu budował potężne poparcie wśród ludzi, którzy pewnego dnia mogli zostać wyniesieni do kardynalskiej godności. Nigdy nie zapomniał nauki wpojonej mu przez ojca: „Przysługa wyświadczona to przysługa odwzajemniona”.

Jakie to prawdziwe.

I wkrótce miało się urzeczywistnić.

Ambrosi wyjechał już do Rumunii. Brakowało mu Paola, gdy ten ruszał w podróż. Tylko przy nim Valendrea czuł się w pełni komfortowo. Ambrosi zdawał się rozumieć jego naturę. I jego dążenia. Tyle należało zrobić we właściwym czasie i w odpowiedniej skali, a ryzyko porażki było o wiele większe niż szansa na sukces.

Nie pozostało mu wiele sposobności, by sięgnąć po papieską tiarę. Uczestniczył już w jednym konklawe, drugie było chyba niezbyt odległe. Jeśli tym razem nie zostanie wybrany, następny papież, o ile nie umrze nagłą śmiercią, może panować tak długo, że Valendrea nie będzie mógł już kandydować. Prawo stawania w wyborach przysługiwało osobom, które nie ukończyły osiemdziesiątego roku życia. Wciąż żałował, że Paweł nie uległ presji w tym punkcie, a żadna liczba taśm zawierających wstydlive sekrety hierarchów nie była w stanie pokonać tej urzędowej przeszkody.

Spojrzał na portret Klemensa XV zawieszony na przeciwległej ścianie jego gabinetu. Protokół wymagał, by ten irytujący konterfekt znajdował się tutaj, ale gdyby mógł wybierać, zawiesiłby fotografię Pawła VI. Ten był Włochem z urodzenia i Rzymianinem z ducha. Paweł był błyskotliwy, ustępował tylko przy drobiazgach, zawierał kompromisy jedynie na tyle, by zadowolić wybitnych teologów. On również zamierzał kierować Kościołem w ten sposób. Dawać mało, zyskiwać więcej. Od wczoraj nie przestawał myśleć o Pawle. Co powiedział Ambrosi o ojcu Tiborze? „To ostatnia żywa osoba, oprócz Klemensa, która widziała zawartość sejfu w Riserva traktującą o tajemnicy fatimskiej”.

Nie było to zgodne z prawdą.

Cofnął się w myślach do 1978 roku.

\*

- Chodź, Alberto. Podążaj za mną.

Paweł VI wstał i próbował oprzeć się na prawym kolanie. Stary papież wycierpiał wiele w ciągu ostatnich kilku lat. Przechodził zapalenie oskrzeli i grypę, miał problemy z pęcherzem i nerkami, usunięto mu prostatę. Potężne dawki antybiotyków powstrzymywały infekcje, ale lekarstwa osłabiały system odpornościowy, podkopując życiowe siły. Szczególnych cierpień przysparzało mu zapalenie stawów i Valendrea współczuł bardzo staremu człowiekowi. Koniec nadchodził, lecz z okrutną powolnością.

Powłóczęc nogami, papież wyszedł z apartamentu i ruszył ku prywatnej windzie na trzecim piętrze. Był późny i burzowy majowy wieczór, w Pałacu Apostolskim panowała cisza. Paweł skinął ręką funkcjonariuszom ochrony, informując, że on i jego młody asystent wkrótce wrócą. Nie ma potrzeby wzywać dwóch papieskich sekretarzy

Siostra Giacomina wyszła ze swego pokoju. Była odpowiedzialna za służbę domową, pełniła też funkcję pielęgniarki Pawła. Kościół już dawno zadekretował, że kobiety pełniące służbę w kościelnych gospodarstwach muszą być w wieku kanonicznym. Valendrea uznawał tę regułę za zabawną. Innymi słowy, musiały być stare i brzydkie.

- Dokąd się wybierasz, Ojczy Święty? - zapytała zakonnica, jak gdyby papież był dzieckiem opuszczającym pokój bez zezwolenia.

- Niech się siostra nie martwi. Mam sprawę do załatwienia.

- Powinieneś odpoczywać. Wiesz o tym.

- Niedługo wrócę. Ale czuję się dobrze i muszę dopilnować pewnej sprawy. Ojciec Valendrea zatroszczy się o mnie.

- Nie dłużej niż pół godziny Rozumiemy się?

Paweł uśmiechnął się.

- Obiecuję. Pół godziny i kładę się do łóżka.

Zakonnica powróciła do swego pokoju, oni zaś ruszyli w stronę windy. Na parterze Paweł posuwał się powoli ciągiem korytarzy w kierunku wejścia do archiwum.

- Zwlekałem z pewną sprawą przez wiele lat, Alberto. Sądzę, że dziś wieczorem nadeszła pora, by to naprawić.

Paweł VI szedł dalej, podpierając się laską, a Valendrea zwołał kroku, by dostosować się do tempa papieża. Widok tego kiedyś wielkiego człowieka był przygnębiający. Giovanni Battista Montini był synem znanego włoskiego prawnika. W Kurii przechodził przez wszystkie szczeble kariery, aż zyskał stanowisko w Sekretariacie Stanu. Później został arcybiskupem Mediolanu i rządził diecezją wprawna ręką, ściągając na siebie uwagę zdominowanego przez Włochów Kolegium Kardynałów, jako naturalny kandydat do objęcia schedy po Janie XXIII. Był wyśmienitym papieżem, choć piastował swój urząd w trudnych latach po soborze watykańskim II. Kościół z pewnością głęboko odczuje jego stratę, podobnie jak sam Valendrea. Ostatnio spędzał z Pawłem wiele czasu. Stary wojownik zdawał się cieszyć jego towarzystwem. Była nawet mowa o rychłym wyniesieniu do godności biskupa, miał tylko nadzieję, że papież przekaze mu biskupią sakrę, zanim Bóg wezwie go do siebie.

Weszli do archiwum, na widok Pawła prefekt ukląkł.

- Co cię sprowadza, Ojczy Święty?

- Otwórz, proszę, Riservę.

Podobało mu się, że papież odpowiada na pytania, wydając polecenie. Prefekt wyciągnął pospiesznie pęk ogromnych kluczy, potem poprowadził ich do ciemnego wnętrza archiwum. Paweł szedł powoli. Gdy dotarli do wejścia, prefekt zdołał już otworzyć zakratowane wejście i zapalił kilka lamp z żarówkami. Valendra wiedział o istnieniu Riservy i o tym, że aby do niej wejść, trzeba mieć zgodę papieża. Było to archiwum zastrzeżone wyłącznie dla Namiestnika Chrystusa. Jedynie Napoleon pogwałcił święty charakter tego miejsca, a w końcu zresztą zapłacił za tę zniewagę.

Paweł wszedł do pomieszczenia bez okien i wskazał na czarny sejf.

- Otwórz to.

Prefekt wykonał polecenie, ustawiając odpowiednią kombinację liczb i zwalniając zapadki. Potem otworzył podwójne drzwi. Mosiężne zawiasy nawet nie zaskrzypiały.

Papież usiadł na jednym z trzech krzesel.

- To wszystko - oznajmił Paweł, a prefekt wyszedł.

- Mój poprzednik pierwszy przeczytał tekst trzeciej tajemnicy fatimskiej. Powiedziano mi, że zaraz potem polecił zamknąć w sejfie zalakowaną kopertę. Przez piętnaście lat odpychałem pragnienie, by tu przyjść.

Valendra czuł się nieco zakłopotany.

- Czy w 1967 roku Watykan nie wydał oświadczenia, że tajemnica pozostanie w zamknięciu? Czy nie przeczytałeś jej treści, Ojczy Świąty, zanim to uczyniono?

- Kuria czyni w moim imieniu wiele rzeczy, o których niewiele wiem. O tej jednak powiadomiono mnie. Po fakcie.

Valendra zastanawiał się, czy może zadawać dalsze pytania. Postanowił przezornie dobierać słowa.

- Cała ta sprawa zdumiewa mnie - podjął Paweł. - Matka Boska objawiła się trójce chłopskich dzieci; nie kapłanowi, biskupowi czy papieżowi. Wybiera trójkę dzieci, które nie potrafią jeszcze pisać. Wydaje się, że zawsze wybiera potulne baranki. Być może niebo chce nam coś przez to powiedzieć?

Valendra znał drogę, którą przeszedł tekst spisany przez siostrę Łucję, zanim dotarł z Portugalii do Watykanu.

- Nigdy nie uważałem słów bogobojnej siostry Łucji za godne mojej uwagi - kontynuował Paweł. - Spotkałem się z nią w Fatimie podczas pielgrzymki do Portugalii w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku. Krytykowano mnie za tę podróż. Zwolennicy postępu twierdzili, że cofałem osiągnięcia soboru watykańskiego II, przywiązując

zbyt dużą wagę do nadnaturalnego zdarzenia. Otaczając Matkę Boską większą czcią niż Jezusa i Boga Ojca. Ale ja wiedziałem lepiej.

Dostrzegł w oczach papieża żarliwy blask. Być może w starym wojowniku tliła się jeszcze wola walki.

- Wiedziałem, że młodzi ludzie kochają Matkę Boską. Ciągnęli masowo do maryjnych sanktuariów. To, że tam pojechałem, było dla nich bardzo ważne. Otrzymywali dowód, że papieżowi na nich zależy. Miałem rację, Alberto. Kult Matki Boskiej jest dziś rozpowszechniony bardziej niż kiedykolwiek.

Wiedział, że Paweł darzy miłością Madonnę, w trakcie pontyfikatu wzmagając świadomie jej kult, nadając Jej tytuły i oddając Jej cześć. Być może za bardzo, zdaniem niektórych.

Paweł wskazał na sejf.

- Czwarta szuflada po lewej, Alberto. Otwórz ją i przynieś mi jej zawartość.

Zrobił to, co polecił mu Paweł, i wyciągnął ciężką żelazną szufladę. W środku spoczywała drewniana kasetka; na umieszczonej z wierzchu lakowej pieczęci widniał papieski herb Jana XXIII. Wieko kasetki ozdabiała inskrypcja SECRETUM SANCTIOFFICIO. Zaniósł kasetkę Pawłowi, a ten dotknął jej drżącymi dłońmi.

- Podobno Pius XII zalecił wykonanie inskrypcji na wieku, a Jan osobiście zalecił zabezpieczenie koperty Teraz nadeszła moja kolej, by zajrzeć do jej wnętrza. Możesz złamać pieczęć, Alberto?

Rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu jakiegoś narzędzia. Nie znalazłszy niczego, docisnął pieczęć do jednego ze skrzydeł drzwi sejfu i złamał ją. Ponownie podał kasetkę Pawłowi.

- Sprytnie - pochwalił papież.

Przyjął pochwałę skinieniem głowy.

Paweł balansował kasetką na kolanach, z kieszeni sutanny wyciągnął okulary do czytania. Umieścił je na nosie, otworzył wieko pudełka i wyciągnął dwa złożone pakiety papieru. Jeden odłożył na bok, drugi rozwinął. Valendrea dostrzegł nowszą kartkę papieru owiniętą arkuszem zdecydowanie starszym. Obie były zapisane.

Papież rozpoczął od lektury starszego arkusza papieru.

- To oryginał napisany ręką siostry Łucji po portugalsku - wyjaśnił Paweł. - Niestety, nie potrafię czytać w tym języku.

- Ja również nie, Ojcze Święty

Papież podał mu kartkę. Dostrzegł tekst obejmujący około dwudziestu linii,

zapisany czarnym atramentem, który wyblakł i zrobił się szary. Czuł się podekscytowany faktem, że wcześniej arkusza tego dotykała jedynie siostra Łucja, uznana przez Kościół za świadka objawienia Matki Boskiej oraz papież Jan XXIII.

Paweł VI wskazał gestem na nowszy i bielszy papier.

- To tłumaczenie.

- Tłumaczenie, Ojcie Świąty?

- Jan również nie znał portugalskiego. Polecił więc przełożyć tekst na włoski.

Valendrea nie wiedział o tym. Dodał zatem trzeci dotyk - jakiegoś urzędnika Kurii wezwanego, by dokonał przekładu, później z pewnością zaprzysiężonego do zachowania tajemnicy, a dziś zapewne nieżyjącego.

Paweł rozłożył drugą kartkę i zaczął czytać. Na jego twarzy pojawił się dziwny wyraz.

- Nigdy nie byłem dobry w zagadkach.

Papież złożył ponownie kartki papieru i sięgnął po drugi pakiet.

- Wydaje się, że objawienie kończy się na drugiej stronie.

Paweł VI rozpostarł złożone strony. Znowu pojawiły się dwie kartki, jedna nowsza, druga zdecydowanie starsza.

- Portugalski, jak poprzednio.

Paweł spojrzał na drugą kartkę.

Ach, włoski. Ciąg dalszy przekładu.

Obserwował, jak papież czyta, a wyraz jego twarzy zmieniał się od zakłopotania po głęboką troskę. Oddech Pawła VI zrobił się płytki, brwi zbiegły się razem, a czoło zryły głębokie zmarszczki, gdy po raz drugi zgłębił się w lekturze tłumaczenia.

Papież nie odezwał się słowem. Podobnie jak Valendrea. Nie ośmielił się prosić o zgodę na przeczytanie tych słów.

Papież przeczytał tekst po raz trzeci.

Zwilżył językiem spierzchnięte usta i przesunął się na krześle. Rysy jego twarzy wyrażały jedynie zdumienie. Przez moment Valendrea poczuł strach. Przed nim siedział papież, który jako pierwszy pielgrzymował po całym świecie. Człowiek, który zmuszał do odwrócenia wzroku armię zwolenników postępu w łonie Kościoła i łagodził ich rewolucyjne zapędy, nakazując umiarkowanie. Stał na forum Zgromadzenia Ogólnego Organizacji Narodów Zjednoczonych i deklarował „Nigdy więcej wojny”. Potępił antykoncepcję, uznając ją za grzech, i bronił wytrwale tego stanowiska mimo gwałtownych protestów, które wstrząsnęły podwalinami Kościoła. Potwierdził tradycję pozostawiania duchownych w celibacie i obłożył ekskomuniką religijnych odszczepieńców. Uskoczył przed zamachowcem

na Filipinach, potem nie ugiął się przed żądaniem terrorystów i przewodniczył uroczystościom żałobnym w trakcie pogrzebu Aldo Moro, swojego przyjaciela i premiera Włoch. Był kapłanem pełnym determinacji, którym niełatwo było wstrząsnąć. A mimo to coś, co kryło się w dopiero co przeczytanych słowach, bardzo go poruszyło.

Paweł złożył ponownie kartki, umieścił oba pakiety w drewnianej kasetce i zamknął wieko.

- Odstaw to z powrotem - wymamrotał, nie podnosząc wzroku.

Okruchy złamanej pieczęci widniały na jego białej sutannie. Paweł strzepnął je, jakby stanowiły chorobliwe wypryski.

- Popełniłem błąd. Nie powinienem był tu przychodzić.

Potem papież najwidoczniej wziął się w karby. Znowu był spokojny i opanowany.

- Kiedy wrócimy na górę, wykonasz moje polecenie. Chcę, żebyś tu wrócił, osobiście zamknął kasetę i zapieczętował. Zakazuję też dalszego dostępu do niej pod karą ekskomuniki. Bez żadnego wyjątku.

\*

Nakaz ten nie dotyczył jednak papieża, pomyślał Valendrea. Klemens XV mógł tu przychodzić, kiedy tylko miał na to ochotę.

I Niemiec nie robił nic innego.

Valendrea znał od dawna włoski przekład tekstu napisanego przez siostrę Łucję, lecz dopiero wczoraj poznał nazwisko osoby, która wykonała tłumaczenie.

Ojciec Andriej Tibor.

W głowie kłębiły mu się trzy pytania.

Co przyzywało Klemensa XV do Risery? Dlaczego papież pragnął nawiązać kontakt z Tiborem? Oraz, co najważniejsze, ile wiedział ten tłumacz?

W tej chwili nie znał ani jednej odpowiedzi.

Być może jednak w ciągu kilku następnych dni, dzięki Colinowi Michenerowi, Katerinie Lew oraz Ambrosiemu, pozna odpowiedzi na wszystkie trzy zapytania.

# CZEŚĆ DRUGA

BUKARESZT, RUMUNIA

PIĄTEK, 10 LISTOPADA 11:15

Michener zszedł po metalowych stopniach na pobrudzoną olejem płytę lotniska Otopeni. Samolot rejsowy linii British Airways, którym przybył z Rzymu, leciał z połową miejsc pustych i był jednym z czterech samolotów korzystających z tego lotniska.

Wcześniej odwiedził Rumunię tylko jeden raz, kiedy pracował jeszcze w Sekretariacie Stanu jako podwładny ówczesnego kardynała Volknera, przydzielony do Sekcji do spraw Stosunków Międzypaństwowych i działu spraw międzynarodowych, który zajmował się kontaktami dyplomatycznymi.

Watykan oraz rumuński Kościół przez całe dziesięciolecie po II wojnie światowej znajdowały się w stanie konfliktu, którego źródłem było przekazanie własności Kościoła katolickiego Kościołowi prawosławnemu, w tym również klasztorów należących od wieków do Rzymu. Wolność wyznania przywrócono po upadku komunistów, ale spory na temat własności ciągnęły się latami i kilka razy doszło do gwałtownych starć pomiędzy katolikami a wyznawcami prawosławia. Jan Paweł II zainicjował dialog z rządem Rumunii, już po obaleniu Ceaușescu, odbył nawet oficjalną wizytę. Postęp był jednak powolny. Michener brał po części udział w późniejszych negocjacjach. Ostatnio pojawiły się nawet pewne inicjatywy ze strony rządu w Bukareszcie. Katolików w Rumunii było niecałe dwa miliony w porównaniu z dwudziestoma dwoma milionami wyznawców prawosławia, a mimo to doszli do głosu. Klemens dał jasno do zrozumienia, że również pragnie złożyć wizytę, ale spory własnościowe blokowały powodzenie rozmów na temat papieskiej pielgrzymki.

Cała sprawa stała się raczej skomplikowaną polityką, która w dużym stopniu pochłaniała czas Michenera. Tak naprawdę nie był już księdzem, tylko rządowym ministrem, dyplomatą oraz osobistym powiernikiem - każda z tych ról miała się skończyć dopiero z chwilą, gdy Klemens wyda ostatnie tchnienie. Być może mógłby wtedy powrócić do pełnienia kapłańskich obowiązków. Właściwie nigdy nie był duszpasterzem. Praca misjonarza stanowiłaby z pewnością wyzwanie. Kardynał Ngovi rozmawiał z nim na temat Kenii. Afryka byłaby idealnym azylem dla papieskiego ekssekretarza, zwłaszcza jeśli Klemens odejdzie z



tego świata, zanim wyniesie go do godności kardynała.

W miarę jak zbliżał się do terminalu, oddalał rozważania o niepewnościach swojego życia. Czuł, że znalazł się na większej wysokości. Wilgotne powietrze było chłodne - temperatura sięgała kilku stopni Celsjusza, o czym pilot poinformował, zanim wylądowali. Niebo zasnuwała gęsta warstwa niskich chmur, niedających promieniom słońca najmniejszej szansy dotarcia do ziemi.

Wszedł do budynku i skierował się ku stanowiskom kontroli paszportowej. Spakował się pobieżnie, zabierając ze sobą tylko torbę na ramię, spodziewał się bowiem, że wyjazd potrwa dzień, najwyżej dwa. Ubrał się na sportowo w dżinsy, sweter oraz kurtkę, spełniając prośbę Klemensa o zachowanie dyskrecji.

Dzięki watykańskiemu paszportowi przekroczył granicę kraju bez uiszczania opłaty wizowej. Wynajął poobijanego forda fiestę ze stoiska firmy Eurodollar, ulokowanego tuż za stolikami celników. Od pracownika wypożyczalni dowiedział się, jak ma dojechać do Zlatnej. Rozumiał język na tyle dobrze, by pojąć większość z tego, co powiedział mu rudowłosy mężczyzna.

Nie był szczególnie zachwycony wizją samotnego podróżowania przez jeden z najuboższych krajów Europy. Poprzedniego wieczoru zasięgnął informacji w kilku oficjalnych źródłach, które ostrzegały przed złodziejami i zalecały ostrożność, zwłaszcza nocą i na prowincji. Z pewnością wolałby poprosić o pomoc papieskiego nuncjusza w Bukareszcie. Jeden z pracowników nuncjatury mógłby służyć za kierowcę i przewodnika, ale Klemens zdecydowanie odrzucił ten pomysł. W tej sytuacji Michener wsiadł do wynajętego auta i wyjechał z lotniska; po jakimś czasie dotarł do autostrady i ruszył na północny zachód w kierunku miejscowości Zlatna.

\*

Katerina stała po zachodniej stronie rynku. Kostka brukowa była w dużym stopniu wykoślawiona, wielu kamieni brakowało, jeszcze więcej było skruszonych na żwir. Ludzie chodzili tu i tam, lecz ich troski miały bardziej egzystencjalny charakter - jedzenie, ciepło, woda. Zniszczony chodnik stanowił najmniejsze z codziennych zmartwień.

Dotarła do Zlatnej przed dwoma godzinami, z czego pierwsza upłynęła jej na zdobywaniu informacji na temat ojca Andrieja Tibora. Wypytywała ostrożnie, ponieważ Rumuni z natury są co najmniej nadzwyczaj ciekawscy. Zgodnie z informacją otrzymaną od Valendrei, samolot Michenera lądował tuż po jedenastej przed południem. Pokonanie stu czterdziestu kilometrów z Bukaresztu mogło mu zająć nieco ponad dwie godziny. Zegarek wskazywał godzinę pierwszą dwadzieścia. Zakładając zatem, że samolot wylądował planowo,

papieski sekretarz niedługo powinien się tutaj pojawić.

I dziwnie, i miło było wrócić do ojczyzny. Urodziła się i wychowała w Bukareszcie, ale dużą część dzieciństwa spędziła za pasmem Karpat, gdzieś głęboko w Transylwanii. Znała ten region nie jako opisywany w powieściach rewir wampirów i wilkołaków, ale jako Erdely, krainę lasów, warownych zamków oraz serdecznych ludzi. Tutejsza kultura stanowiła mieszaninę tradycji węgierskiej i niemieckiej, doprawionej folklorem cygańskim. Jej ojciec był potomkiem saksońskich kolonistów, którzy zostali ściągnięci tutaj w dwunastym wieku, by bronić górskich przełęczy przed inwazją Tatarów. Potomkowie tego europejskiego narodu przetrwali dynastie węgierskich despotów i rumuńskich królów, a w końcu wycięli ich w pień komuniści po II wojnie światowej.

Rodzice jej matki byli *Tigani*, Cyganami, a komuniści nie darzyli ich specjalną sympatią, aranżowali zbiorową nienawiść, podobnie jak Hitler postępował z Żydami. Widok Zlatnej z jej drewnianymi domami, rzeźbionymi werandami i stylową stacją kolejową przypominał jej wioskę dziadków. O ile Zlatna zdołała ująć lokalnym trzęsieniom ziemi i przetrwała systemowe wynaradawianie czasów Ceașescu, to dom jej dziadków nie. Podobnie jak dwie trzecie wiosek w kraju, tę dziadków zniszczono w sposób niemal rytualny, a mieszkańców przymusowo przesiedlono do komunalnych bloków. Rodzice matki zaznali nawet takiego upokorzenia, że burzyli własny dom. „Połączenie chłopskiego doświadczenia z marksistowską efektywnością” - tak nazwano ten plan. A niestety, niewielu Rumunów żałowało likwidacji cygańskich wiosek. Katerina przywołała w pamięci wizytę u dziadków złożoną już w ich pozbawionym duszy mieszkaniu, w szarych pokojach, w których zabrakło ciepłych duchów przodków, kiedy w ich życiu zabrakło prawdziwej duszy. Taki zresztą cel przyświecał pomysłodawcom tej akcji. Po latach w Bośni podobne działania nazwano czystkami etnicznymi. Ceașescu wołał twierdzić, że to przejście do „lepszego życia”. Ona nazywała to szaleństwem. Obrazy i odgłosy życia Zlatnej obudziły w niej te koszmarne wspomnienia.

Od właściciela sklepu dowiedziała się, że w okolicy znajdują się trzy państwowe sierocińce. Ten, w którym pracował ojciec Tibor, uważano za najgorszy. Przytułek mieścił się w zachodniej części miasta i dawał dach nad głową dzieciom nieuleczalnie chorym - jeszcze jedno z nieszczęść, których przyczyną był Ceașescu.

Dyktator zakazał stosowania antykoncepcji i wydał dekret, że kobiety poniżej czterdziestego piątego roku życia muszą wydać na świat co najmniej pięcioro potomstwa. W rezultacie dzieci było tak dużo, że rodzice nie mogli ich wyżywić. Porzucanie niemowląt na ulicy stało się nagminne. AIDS, gruźlica, żółtaczką oraz syfilis zbierały obfite żniwo. Koniec

końców zaczęły masowo powstawać sierocińce, niewiele różniące się od śmietnisk, a zadanie opieki nad niechcianymi dziećmi powierzono obcym.

Dowiedziała się też, że Tibor jest z pochodzenia Bułgarem i dobiega już osiemdziesiątki - może jest jeszcze starszy, lecz tego nikt nie wiedział dokładnie. Znano go jako pobożnego człowieka, który zrezygnował z księżej emerytury, by pomagać śmiertelnie chorym dzieciom. Zastanowiło ją, jak wielką odwagę trzeba mieć, by pocieszać umierające niemowlę albo tłumaczyć dziesięciolatkowi, że wkrótce znajdzie się w miejscu znacznie lepszym niż ziemski padół. Ona nie wierzyła w takie rzeczy. Była ateistką od zawsze. Religię stworzył człowiek - podobnie zresztą jak Boga. Polityka, a nie wiara, wyjaśniała w jej oczach wszystko. Czyż istnieje lepszy sposób sterowania masami niż straszenie ich zemstą wszechpotężnej istoty. Lepiej jednak ufać samemu sobie, wierzyć we własne zdolności, kierować swoim losem w doczesnym świecie. Modły zostawiała słabym i leniwym. Ona nigdy ich nie potrzebowała.

Spojrzała na zegarek. Minęła pierwsza trzydzieści.

Pora wyruszyć do sierocińca.

Przeszła przez plac. Kwestię tego, co powinna zrobić, gdy przybędzie Michener, pozostawiała na później.

Z pewnością uda się jej coś wymyślić.

\*

Michener zwolnił, gdy jego auto podjechało pod sierociniec. Część drogi z Bukaresztu prowadziła autostradą, czteropasmowym szlakiem komunikacyjnym, zaskakująco dobrze utrzymanym, ale drugorzędna droga, którą jechał na ostatnim odcinku, daleko odbiegała od standardów. Pobocze było wyboiste, a powierzchnia przypominała krajobraz księżycowy. Wzdłuż drogi ustawiono mylące znaki drogowe, dzięki którym dwa razy się pogubił. Kilka minut wcześniej przekroczył rzekę Alutę, przejeżdżając przez urokliwą krainę między dwoma zalesionymi łańcuchami górskimi. Im dalej na północ, krajobraz stawał się rolniczy, potem wyżynny, wreszcie górski. Daleko na horyzoncie widział snujące się czarne nitki fabrycznych dymów.

Informacje na temat ojca Tibora zdobył już w Zlatnej od masarza, który powiedział mu, gdzie może znaleźć duchownego. Sierociniec mieścił się w dwukondygnacyjnym budynku z czerwonej cegły. Dziury i plamy na dachu z terakoty świadczyły o dużej zawartości siarki w powietrzu, drażniącym gardło Michenera. W oknach były kraty, a większość szyb zaklejono na całej długości. Wiele z nich pobiałkowano i zastanawiał się, czy miały chronić przed patrzeniem na zewnątrz, czy też przed zaglądnieniem do środka.

Wjechał na teren ogrodzonego murem obiektu i zaparkował.

Ubitą ziemię porastało gęste zielsko. Po jednej stronie stała zardzewiała zjeżdżalnia oraz huśtawka. W głębi podwórka pod ścianą leżała sterta czegoś czarnego i mazistego, wydzielająca obrzydliwy odór, który dotarł do wysiadającego z samochodu Michenera. Z frontowych drzwi budynku wyszła zakonnica odziana w brązowy habit do kostek.

- Dzień dobry, sestro. Jestem ojciec Colin Michener. Przyjechałem tu, by porozmawiać z ojcem Tiborem - mówił po angielsku, mając nadzieję, że zostanie zrozumiany, i okraszył swoje słowa uśmiechem.

Starsza kobieta złożyła dłonie i ukloniła się lekko w geście powitania.

- Witamy, ojcze. Nie wiedziałam, że jest pan księdzem.

- Przebywam na urlopie i postanowiłem zostawić sutannę w domu.

- Czy jest ojciec przyjacielem ojca Tibora? - Jej angielszczyzna była wyborna i pozbawiona akcentu.

- Mówiąc szczerze, nie. Proszę mu powiedzieć, że jestem jego kolegą.

- Jest w środku. Proszę za mną - zawahała się na chwilę.

- Ojcze, czy kiedykolwiek wcześniej odwiedzał ojciec miejsca takie jak to?

Uznał to pytanie za dosyć dziwne.

- Nie, proszę siostry

- Niech więc ojciec okaże cierpliwość dzieciom.

Skinął głową na znak, że rozumie jej intencje, i wszedł po pięciu rozwalających się stopniach. Zapach w środku stanowił obrzydliwą mieszaninę uryny, kału oraz zapomnienia. Michener oddychał płytko, zwalczając narastające nudności. Chciał nawet zatkać nos, ale pomyślał, że byłby to akt obrazy. Pod podszewami zgrzytały okruchy szkła, zauważył też farbę złuszczającą się ze ścian niczym skóra poparzona słońcem.

Dzieci sunęły strumieniem z pokoi. Była ich prawie trzydziestka, sami chłopcy, od szkrabów do nastolatków. Zgromadzili się wokół niego. Ogolono im głowy, by łatwiej zwalczać wszy, jak wyjaśniła zakonnica. Niektórzy chodzili o kulach, podczas gdy inni nie potrafili zapanować nad mięśniami. Przypadłością wielu z nich było leniwe oko, inni z kolei cierpieli na zaburzenia mowy. Dotykali go niesprawnymi dłońmi, starając się przyciągnąć jego uwagę. Głosy mieli słabe, słyszał różne dialekty, a przeważały języki rosyjski i rumuński. Kilku chłopców zapytało, kim jest i po co tu przyjechał. W mieście dowiedział się, że większość z nich jest nieuleczalnie chora lub poważnie upośledzona. Wyglądali surrealistycznie, bo nosili sukienki, niektórzy włożone na spodnie, inni mieli gołe nogi. Najwidoczniej na ich ubranie składało się wszystko, co można było znaleźć i co jako tako

pasowało na ich wychudzone ciała. Wszyscy byli zabiedzeni. Większość nie miała zębów. Na ich rękach, nogach i twarzach widniały otwarte rany. Starał się zachować ostrożność. Ostatniej nocy czytał o tym, jak bogate żniwo zbiera wirus HIV wśród zapomnianych rumuńskich dzieci.

Chciał im powiedzieć, że Bóg zatroszczy się o nich, że kiedyś nadejdzie kres ich cierpienia. Zanim jednak zdołał otworzyć usta, w korytarzu zjawił się wysoki mężczyzna odziany w czarną sutannę bez koloratki. Mały chłopiec rozpaczliwie obejmował go za szyję. Włosy starszego mężczyzny były krótko przycięte, wszystko w nim - twarz, sposób bycia oraz krok - zdradzało łagodne usposobienie. Na nosie miał okulary w chromowanych oprawkach, spod których spoglądały duże brązowe oczy, ocienione krzaczastymi białymi brwiami. Był chudy jak tyczka, ale ramiona miał mocne i muskularne.

- Ojciec Tibor? - zapytał po angielsku.

- Podobno ojciec jest moim kolegą. - W jego angielszczyźnie brzmiał wschodnioeuropejski akcent.

- Nazywam się Colin Michener.

Stary ksiądz postawił na podłodze dziecko.

- Dumitru powinien teraz odbyć codzienny zabieg. Proszę mi powiedzieć, dlaczego mam z tym zwlekać, by z ojcem porozmawiać?

Zastanowiła go wrogość w głosie starego człowieka.

- Twój papież, ojciec, potrzebuje pomocy.

Tibor wziął głęboki oddech.

- Czy w końcu zamierza dostrzec sytuację, w której się znaleźliśmy?

Chciał porozmawiać na osobności i nie życzył sobie tej widowni, zwłaszcza w obecności zakonnic. Dzieciaki wciąż szarpały go za ubranie.

- Musimy porozmawiać na osobności.

Twarz ojca Tibora nie zdradzała specjalnych emocji, gdy ten taksował gościa obojętnym wzrokiem. Zdumiewająca była jego kondycja fizyczna. Michener mógł jedynie żywić nadzieję, że chociaż w połowie pozostanie tak sprawny, gdy sam będzie dobiegać osiemdziesiątki.

- Proszę zabrać dzieci, sestro. I zająć się zabiegiem Dumitru.

Zakonnica wzięła chłopca na ręce i poprowadziła całą trzódkę w głąb korytarza. Ojciec Tibor wydał polecenie po rumuńsku, z czego część Michener zrozumiał, chciał jednak wiedzieć więcej.

- Jaki terapii poddawany jest chłopiec?

- Po prostu masujemy mu nogi i staramy się, by mógł chodzić. Prawdopodobnie jest to bezcelowe, ale to wszystko, co możemy zrobić.

- Żadnych lekarzy?

- Jesteśmy szczęśliwi, jeśli możemy te dzieci nakarmić.

O pomocy medycznej nikt tu nie słyszał.

- Dlaczego ojciec to robi?

- Dziwne pytanie w ustach księdza. Te dzieci nas potrzebują.

Ogrom nieszczęścia, które miał przed oczyma, całkowicie zawładnął jego myślami.

- Czy tak jest w całym kraju?

- Mówiąc prawdę, to jedno z lepszych miejsc. Pracowaliśmy ciężko, żeby wszystko tu zadziało. Ale, jak ojciec widzi, mamy jeszcze przed sobą długą drogę.

- Żadnych pieniędzy?

Tibor pokręcił przecząco głową.

- Jedyne organizacje charytatywne rzucają nam jakieś ochłapy. Rząd czyni niewiele, Kościół tyle co nic.

- Czy ojciec jest wolontariuszem?

Stary człowiek przytaknął.

- Po rewolucji czytałem na temat sierocińców i zdecydowałem, że to miejsce przeznaczone dla mnie. Było to dziesięć lat temu. Nigdy stąd już nie wyjechałem.

W głosie starego księdza wciąż wyczuwał niechęć, dlatego też zapytał.

- Skąd w ojcu tyle wrogości?

- Zastanawiam się, czego może chcieć papieski sekretarz od starego człowieka.

- Wie ojciec, kim jestem?

- Coś tam wiem o tym świecie.

Zorientował się, że ojciec Andriej Tibor nie jest głupcem. Papież Jan XXIII dokonał mądrego wyboru, kiedy poprosił tego człowieka o przetłumaczenie tekstu siostry Łucji.

- Mam ze sobą list od Ojca Świętego.

Ojciec Tibor ujął delikatnie Michenera za ramię.

- Obawiałem się tego. Chodźmy do kaplicy

Zeszli na dół i podążyli korytarzem w stronę wyjścia z budynku. Za kaplicę służyło niewielkie pomieszczenie, którego podłogę pokrywały niewielkie kawałki tektury. Ściany tworzył nagi kamień, sufit łuszczące się deski. Jedynym elementem przypominającym o pobożności było samotne okno z witrażem i kolorową mozaiką przedstawiającą Madonnę z rozpostartymi ramionami, które zdawały się obejmować wszystkich szukających pocieszenia.

Tibor wskazał na wizerunek.

- Znalazłem to niedaleko stąd, w kościele przeznaczonym do rozbiórki. Jeden z wolontariuszy, którzy przebywają tu latem, zainstalował to dla mnie. Dzieci ciągną tu do Matki Boskiej jak pszczoły do miodu.

- Ojciec wie, dlaczego tu przyjechałem, prawda?

Tibor nie odpowiedział.

Michener sięgnął do kieszeni, wyciągnął niebieską kopertę i przekazał ją staremu księdzu. Ten wziął przesyłkę i podszedł do okna. Rozerwał kopertę i przeczytał list Klemensa. Trzymał kartkę papieru z dala od oczu, usiłując czytać w przyciemnionym świetle.

- Ułynęło już sporo czasu, odkąd czytałem po niemiecku - powiedział Tibor. - Ale wciąż jeszcze pamiętam.

Skończył lekturę.

- Kiedy po raz pierwszy napisałem do papieża, miałem nadzieję, że zrobi po prostu to, o co go prosiłem, bez dalszej zwłoki.

Michener chciał wiedzieć, o co kapłan prosił zwierzchnika Kościoła, ale powstrzymał ciekawość.

- Czy ma ojciec odpowiedź dla Ojca Świętego? - zapytał.

- Mam wiele odpowiedzi. Którą z nich mam przekazać?

- Jedynie ojciec może to rozstrzygnąć.

- Chciałbym, żeby to było takie proste - odparł i skierował głowę w stronę okna z witrażem.

- Ona sprawiła, że sprawy tak bardzo się skomplikowały - wyznał Tibor i stał chwilę w milczeniu, potem odwrócił się twarzą do Michenera. - Czy zostaje ojciec w Bukareszcie?

- Czy ojciec życzy sobie, żebym został?

Tibor przekazał mu kopertę.

- Jest tam restauracja, Café Krom, niedaleko Piąta Rewolucji. Łatwo ją znaleźć. Proszę przyjść o ósmej. Pomyślę o tym i przygotuję odpowiedź.

Michener jechał na południe w stronę Bukaresztu, nie mogąc odpędzić z myśli scen widzianych w sierocińcu.

Jak wiele spośród tych dzieci, również on nigdy nie poznał naturalnych rodziców. Dopiero po latach dowiedział się, że jego biologiczna matka mieszkała w Clogheen, małym irlandzkim miasteczku na północ od Dublina. Była niezamężna i kiedy zaszła w ciążę, nie miała jeszcze dwudziestu lat. Biologiczny ojciec pozostał nieznany - przynajmniej tak zeznała jego matka, kiedy się urodził. W tamtych czasach o aborcji nie słyszano, a irlandzkie społeczeństwo obchodziło się z niezamężnymi matkami w sposób graniczący z barbarzyństwem.

W tej sytuacji wyrwę wypełniał Kościół.

„Ośrodki narodzin”, tak nazywał je arcybiskup Dublina, ale były to raczej miejsca porzucenia, jak to, które przed chwilą opuścił. Każdy z przybytków prowadziły zakonnice - nie troskliwe i oddane istoty jak siostra ze Zlatnej, lecz niewiasty o twardym charakterze, które traktowały niezamężne ciężarne kobiety niemal jak kryminalistki.

Zmuszano je do wykonywania poniżających prac, po urodzeniu dzieci wciąż pracowały w okropnych warunkach za symboliczną zapłatę lub nawet bez niej. Niektóre z nich bito, inne głodzono, większość traktowano nieludzko. W oczach Kościoła uchodziły za grzesznice, dlatego też skrucha i pokuta była jedyną drogą prowadzącą do wybawienia. Większość z nich stanowiły jednak wiejskie dziewczyny, które nie mogły nawet pozwolić sobie na urodzenie i wychowanie dziecka. Niektóre z kolei padły ofiarą chorych relacji rodzinnych, kiedy ojciec nie chciał dziecka albo pragnął utrzymać rzecz w tajemnicy. Jeszcze inne były pechowymi żonami, które zaszły w ciążę wbrew woli męża. Wspólnym mianownikiem był wstyd. Żadna z nich nie chciała ściągać na siebie uwagi, ani na swoją rodzinę, w imię dobra niepożądanego dziecka.

Po urodzeniu niemowlęta pozostawały w ośrodku przez rok albo dwa i stopniowo oddzielano je od matek, co dzień spędzały z nimi coraz mniej czasu. Ostateczną decyzję przekazywano wieczorem w przeddzień. Małżeństwo z Ameryki pojawiała się rankiem. Jedynie katolicy uzyskiwali przywilej adoptowania, wyrażali też zgodę na wychowanie dziecka w wierze katolickiej oraz przyrzekali dochować tajemnicy co do pochodzenia



dziecka. Datek w gotówce na rzecz Towarzystwa Adopcyjnego Świętego Serca, organizacji stworzonej do zarządzania tym przedsięwzięciem, był ceniony wysoko, chociaż nie niezbędny. Dzieciom przybrani rodzice mogli powiedzieć o adopcji, ale mieli dodać, że naturalni rodzice umarli. Większość matek godziła się na takie rozwiązanie - w nadziei, że wstyd, którym się okryły, z czasem przeminie. Nikt nie musiał wiedzieć, że one oddały swoje dzieci.

Michener przypominał sobie dobrze dzień, kiedy odwiedził ośrodek, w którym przyszedł na świat. Budynek z szarego piaskowca stał w zalesionym wąwozie zwanym Kinnegrad, niedaleko od brzegu Morza Irlandzkiego. Spacerował po opustoszałym budynku, wyobrażając sobie matkę krzątającą się po pokoju dziecinnym tuż przed tym, jak dziecko odebrano jej na zawsze. Jak usiłowała zebrać odwagę do pożegnania, zastanawiając się, dlaczego Kościół i Bóg pozwalają na takie męczarnie. Czy jej grzech był aż tak wielki? Jeśli tak, dlaczego kary nie poniósł ojciec? Dlaczego ją obarczono całą winą?

I całym bólem.

Stał przed oknem na górnym piętrze i spoglądał w dół na morwę. Ciszę przerywał jedynie powiew wiatru niosącego się po pustych pomieszczeniach niczym płacz niemowlaków, które kiedyś tutaj przebywały. Czuł, jak wzbierają w nim mdłości, jak przenika go strach, kiedy matka usiłuje po raz ostatni spojrzeć na swoje dziecko, niesione do samochodu. Jego biologiczna matka była jedną z tych kobiet. Nigdy nie poznał jej tożsamości. Dzieciom rzadko dawano nazwiska, dlatego też żaden ślad nie prowadził do naturalnych matek. Dowiedział się jedynie tyle, co sam wiedział o sobie, ponieważ zakonnica zasłaniała się niepamięcią.

Irlandzką ziemię opuściło w ten sposób ponad dwa tysiące dzieci, jednym z nich był malutki chłopczyk o jasnobrązowych włosach i zielonych oczach, którego miejscem na ziemi okazało się miasto Savannah w stanie Georgia. Przybrany ojciec był prawnikiem, matka zaś poświęciła się całkowicie nowemu synkowi. Dorastał na wybrzeżu Atlantyku w środowisku ludzi z wyższej warstwy klasy średniej. Uczył się doskonale, został księdzem i prawnikiem, sprawiając tym ogromną satysfakcję przybranym rodzicom. Później wyjechał do Europy i znalazł zrozumienie u biskupa samotnika, który pokochał go jak własnego syna. Teraz służył człowiekowi wyniesionemu do godności papieża, stał się częścią tego samego Kościoła, który w tak sromotny sposób zawiódł go w Irlandii.

Przybranych rodziców darzył głęboką miłością. Wywiązali się ze swojej części umowy, informując go niezmiennie o tym, że naturalni rodzice zginęli. Dopiero na łożu śmierci matka powiedziała prawdę. Było to wyznanie świętej kobiety wobec syna,

duchownego, w nadziei, że zarówno on, jak i Bóg jej wybaczą.

„Przez wiele lat oczyma wyobraźni wciąż ją widziałam, Colinie. Jak musiała się czuć, kiedy cię odebraliśmy. Usiłovali mnie przekonać, że było to najlepsze rozwiązanie. Wmawiałam sobie, że postąpiłam słusznie. Ale wciąż ją widzę”.

Nie wiedział, co ma powiedzieć.

„Tak bardzo pragnęliśmy mieć dziecko. Biskup powiedział nam, że bez nas twoje życie będzie ciężkie. Nikt by się o ciebie nie zatroszczył. A mimo to wciąż mam ją przed oczyma. Chciałabym jej powiedzieć, że tak mi przykro. Że wychowaliśmy cię dobrze. Kocham cię tak, jak ona by cię kochała. Może dzięki temu ona zdoła nam wybaczyć”.

Nie było jednak komu wybaczyć. Winą należało obarczyć społeczeństwo. Winny był również Kościół. Nie córka farmera z południowej Georgii, która nie mogła mieć dzieci. Ona nie zrobiła niczego złego. On zaś gorąco błagał Boga, by pozwolił matce zaznać spokoju.

Rzadko kiedy kierował myśli ku swej przeszłości, ale sierociniec znów przywołał wszystkie te wspomnienia. Odór powietrza z wnętrza budynku wciąż czuł wokół siebie; chciał się go pozbyć, opuszczając nisko szyby w samochodzie.

Dzieci ze Zlatnej nigdy nie zaznają radości podróży do Ameryki, nigdy nie doświadczą miłości rodziców, którzy ich pragną. Ich świat został ograniczony do szarych, zapuszczonych ścian w budynku z kratami w oknach, bez światła, z ledwością ogrzewanym. Są skazane na śmierć w samotności i zapomnieniu, obdarzane miłością jedynie przez kilka zakonnic i starego księdza.

Michener znalazł hotel usytuowany na tyłach Piąta Rewolucji i ruchliwej uniwersyteckiej dzielnicy. Wybrał skromny obiekt przylegający do uroczego parku. Pokoje były małe i czyste, urządzone meblami w stylu art deco, nie bardzo pasującymi do tego miejsca. W pokoju znajdowała się umywalka z - o dziwo - ciepłą wodą. Prysznic oraz toaleta były wspólne i znajdowały się w głębi korytarza.

Przysiadłszy obok jedyne okna, kończył ciastko i dietetyczną colę, które kupił, by przetrwać do kolacji. W oddali rozległy się kuranty zegara wybijającego siedemnastą.

Koperta od Klemensa leżała na łóżku. Wiedział, czego od niego oczekiwano. Teraz, gdy ojciec Tibor przeczytał list, jego obowiązkiem jest zniszczyć pismo, nie czytając treści. Klemens ufał mu, że postąpi zgodnie z poleceniem. On zaś nigdy nie zawiódł swego mentora, chociaż zawsze uważał, że związek z Kateriną był zdradą. Złamał kościelne śluby, sprzeciwił się Kościołowi i obraził Boga. Dlatego też nie spodziewał się przebaczenia. Klemens patrzył na to inaczej.

„Czy sądzisz, że jesteś jedynym kapłanem, który uległ pokusie?”

„Takie myślenie niczego nie zmieni”.

„Colinie, przebaczenie to jeden z najważniejszych elementów naszej wiary. Zgrzeszyłeś i teraz powinieneś odczuwać skruchę. Ale nie znaczy to wcale, że musisz odrzucić własne życie. I czy tak naprawdę uczyniłeś coś złego?”

Wciąż pamiętał, jak wtedy dziwnym wzrokiem spojrzął na arcybiskupa Kolonii. Czy te słowa naprawdę padły z jego ust?

„Czy czułeś się z tym źle, Colinie? Czy twoje serce mówiło, że czynisz zło?”

Odpowiedź na obydwa pytania, wtedy i teraz, brzmiała: „Nie”. Kochał Katerinę. Temu nie mógł zaprzeczyć. Przyszła do niego w czasie, kiedy tuż po śmierci matki zagmatwał się w swojej przeszłości. Pojechała z nim do ośrodka narodzin w Kinnegad. Później spacerowali po skalistym klifie, wznoszącym się wysoko ponad falami Morza Irlandzkiego. Trzymała go za rękę i przekonywała, że adopcyjni rodzice kochali go i że miał szczęście, gdyż trafił na dwoje ludzi, którzy tak bardzo o niego się troszczyli. I miała rację. On jednak nie mógł opędzić się od myśli o biologicznej matce. Dlaczego społeczna presja była tak wielka, że kobiety dobrowolnie poświęcały swoje dzieci po to, by żyć dalej bez

piętna?

Dlaczego w ogóle to musiało się stać?

Wypił resztę coli i ponownie skierował wzrok na kopertę. Jego wieloletni i najdroższy przyjaciel, człowiek, który stał u jego boku przez niemal połowę jego życia, wpadł w tarapaty.

Podjął decyzję. Czas, by coś zrobić.

Sięgnął po kopertę i wyciągnął niebieską kartkę. Słowa napisał odręcznie po niemiecku sam Klemens.

*Ojczye Tibor!*

*Jestem świadom zadania, które wykonaliście dla wielkiego i wielbego Jana XXIII. Pierwszy list od Was wzbudził moje głębokie zaniepokojenie. „Dlaczego Kościół kłamie?” - takie było Wasze pytanie. Naprawdę nie miałem pojęcia, co macie na myśli. Kiedy nawiązaliście kontakt ze mną po raz drugi, zdałem sobie sprawę z dylematu, przed którym stanęliście. Czytałem kopię przekładu trzeciej tajemnicy, którą przesłaliście mi w pierwszym liście, i czytałem też wielokrotnie Wasze tłumaczenie. Dlaczego trzymaliście ten dowód tylko dla siebie? Dlaczego po tym, jak Jan Paweł ujawnił trzecią tajemnicę, wciąż zachowywaliście milczenie? Jeśli to, co napisaliście, jest prawdą, dlaczego nie zabraliście głosu wtedy? Znaleźliby się tacy, którzy by twierdzili, że jesteście oszustem niegodnym wiary, ale wiem, że te oskarżenia byłyby fałszywe. Skąd wiem? Nie jestem w stanie tego wyjaśnić. Wiem, że Wam wierzę. Posyłam mojego sekretarza. Jest człowiekiem godnym zaufania. Możecie powiedzieć msgr Michenerowi wszystko, co uznacie za stosowne. On przekaze Wasze słowa jedynie mnie. Jeśli nie macie nic do przekazania, proszę go o tym poinformować. Zrozumiem, jeśli czujecie odrazę do swego Kościoła. Ja również miałem podobne myśli. Ale rozwagi wymaga wiele spraw, o czym dobrze wiecie. Proszę też, żebyście, ojczye, zwrócili ten list i kopertę msgr Michenerowi. Dziękuję za każdą pomoc, którą zechcecie zaoferować. Niech Bóg ma Was w swej opiece.*

*Klemens*

*P.P. Servus Servorum Dei.*

Ten podpis był oficjalnym znakiem papieża. Pasterz Pasterzy, Sługa Sług Bożych. W ten sposób Klemens podpisywał każdy oficjalny dokument.

Michener odczuwał skrupuły, że zawiódł zaufanie, którym darzył go Klemens. Z pewnością jednak coś tu się działo. Ojciec Tibor najwyraźniej zrobił na papieżu wrażenie na

tyłe silne, że papieski sekretarz został wysłany z misją, by ocenić sytuację. „Dlaczego trzymaliście te dowody dla siebie?”

Jakie dowody?

„Czytałem kopię przekładu trzeciej tajemnicy, którą przesłaliście mi w pierwszym liście, i czytałem też wielokrotnie Wasze tłumaczenie”.

Czy oba te dokumenty wciąż znajdowały się w archiwum? W drewnianej kasetce, którą ostatnio Klemens często otwierał?

Nie był w stanie tego rozstrzygnąć.

Wciąż nie wiedział nic.

Włożył więc niebieską kartkę z powrotem do koperty, poszedł do łazienki w głębi korytarza, podarł wszystko na strzępy i spuścił je razem z wodą.

\*

Katerina słuchała jak Colin Michener stąpał po deskach podłogi nad jej głową. Śledziła wzrokiem trasę tych kroków, aż oddaliły się na korytarz.

Jechała za nim ze Zlatnej do Bukaresztu, doszedłszy do wniosku, że ważniejsza jest informacja, gdzie się zatrzyma, niż próba zyskania relacji ze spotkania z ojcem Tiborem. Nie była zdziwiona, kiedy przejechał przez śródmieście i skierował się prosto do jednego z pomniejszych hoteli. Ominął również siedzibę papieskiego nuncjusza w pobliżu Centru Civic - znów się nie zdziwiła, ponieważ Valendrea dał jasno do zrozumienia, że jego wizyta nie ma charakteru oficjalnego.

Gdy przejeżdżała przez centrum, z przygnębieniem stwierdziła, że orwellowska jednostajność wciąż przenika budynku z żółtej cegły, blok po bloku, powstałe po tym, jak Ceaușescu zniweczył buldożerami historię miasta, by zrobić miejsce dla swych wielce ambitnych osiedli mieszkaniowych. Ogrom miał mu jakoś przemienić się w świetność, i nie miało przy tym znaczenia, że bloki są niepraktyczne, drogie i niechciane. Państwo ustaliło, że ludność powinna odczuwać wdzięczność - niewdzięczni trafiali do więzienia, szczęściarzy zabijano.

Opuściła Rumunię sześć miesięcy po dniu, w którym Ceaușescu stanął przed plutonem egzekucyjnym. Została tu tylko tak długo, by wziąć udział w pierwszych wolnych wyborach w historii kraju. Gdy okazało się, że zwycięzcą został komunista, zrozumiała, że w krótkim czasie niewiele się zmieni. Wcześniej też zdała sobie sprawę, jak słuszne było to przewidywanie. Rumunię wciąż wypełniał smutek. Poczula to w Zlatnej i teraz na ulicach Bukaresztu. Jak przebudzenie po pogrzebie. I rozumiała to. Cóż stało się z jej własnym życiem? Przez ostatnie dwanaście lat uczyniła niewiele. Ojciec nalegał, by pozostała i

pracowała dla nowej wolnej rumuńskiej prasy, lecz ona czuła zmęczenie całym tym zamieszaniem. Fascynacja rewolucją stała w jawnej sprzeczności z marazmem tego, co działo się później. Niech inni szlifują surowy beton - ona wolała chrzęst żwiru, piasku i huk moździerzy. Wyjechała z kraju i tułała się po Europie, znalazła i potem utraciła Colina Michenera, w końcu ruszyła na spotkanie Ameryki i Toma Kealy.

Teraz wróciła.

Człowiek, którego kiedyś kochała, stąpił po pokoju piętro wyżej.

W jaki sposób miała się dowiedzieć, co zamierza? Jak to powiedział Valendrea? „Sugeruję posłużenie się tymi samymi urokami, którymi wciąż chyba cieszy się Tom Kealy. W takim wypadku pani misja z pewnością zakończy się pełnym sukcesem.”

Dupek.

Być może jednak w słowach kardynała kryła się jakaś racja. Bezpośrednie podejście wydawało się jej najlepszym sposobem. Z pewnością знаła słabości Michenera i już nienawidziła siebie za to, że chce je wykorzystać.

Pozostawał jej jednak niewielki wybór.

Wstała i ruszyła ku drzwiom.

WATYKAN, 17:30

Piątkowe spotkania Valendrei zakończyły się wcześniej. Późniejsza kolacja, zaplanowana we francuskiej ambasadzie, została nieoczekiwanie odwołana z powodu kryzysu w Paryżu, który zatrzymał ambasadora - w rezultacie kardynał miał wolne popołudnie, co zdarzało się rzadko.

Tuż po obiedzie spędził męczącą godzinę z Klemensem. Mieli omówić sprawy zagraniczne, ale jedynie się spierali. Stosunki między nimi pogarszały się gwałtownie, a ryzyko publicznej konfrontacji rosło z dnia na dzień. Gdyby do tego doszło, oczekiwano by od niego rezygnacji. Klemens z pewnością miał nadzieję, że watykański sekretarz stanu powoła się wówczas na względy natury duchowej i po prostu zrezygnuje.

Ale on nie miał zamiaru nigdy do tego dopuścić.

Jednym z punktów ich wcześniejszego spotkania była informacja poświęcona wizycie sekretarza stanu USA za dwa tygodnie. Waszyngton usiłował pozyskać wsparcie Stolicy Apostolskiej w kwestii inicjatyw podejmowanych w Brazylii i Argentynie. W Ameryce Południowej Kościół był siłą polityczną, a Valendrea zasygnalizował gotowość użycia wpływów Watykanu po myśli Waszyngtonu. Ale Klemens nie chciał, żeby Kościół się angażował. W tym względzie stanowił zupełne przeciwieństwo Jana Pawła II. Polak publicznie wyznawał tę samą filozofię, ale na osobności czynił coś wręcz przeciwnego. Valendrea często myślał, że ten manewr uspił Moskwę i Warszawę i koniec końców rzucił komunizm na kolana. Na własne oczy widział, co moralny i duchowy przywódca miliarda wiernych jest w stanie zrobić z rządami lub dla nich. To wstyd marnować ten potencjał, lecz Klemens zakazał zawiązania sojuszu między Stanami Zjednoczonymi a Stolicą Apostolską. Argentyńczycy i Brazylijczycy sami będą musieli rozwiązać swoje problemy.

Dobiegło go pukanie do drzwi apartamentu.

Był sam, posłał bowiem wcześniej szambelana po dzbanek kawy. Przeszedł przez gabinet do przylegającego przedpokoju i otworzył podwójne drzwi wychodzące na korytarz. Dwaj szwajcarscy gwardziści, stojąc plecami do niego, pełnili straż po obu stronach drzwi. Pomiedzy nimi stał kardynał Maurice Ngovi.

- Zastanawiałem się, Eminencjo, czy moglibyśmy przez chwilę porozmawiać. Zaszedłem do gabinetu Eminencji, ale powiedziano mi, że Eminencja udał się na spoczynek.

Głos Ngoviego był niski i spokojny. Valendrea zwrócił uwagę na formalny tytuł „Eminencja”, z pewnością przeznaczony dla uszu gwardzistów. Podczas gdy Colin Michener przecierał szlaki w Rumunii, Klemens wykorzystał kardynała Ngovi w charakterze chłopca na posyłki.

Zaprosił kardynała do środka i polecił gwardzistom, by nikt im nie przeszkadzał. Potem wprowadził Ngoviego do gabinetu i zaoferował mu miejsce na kanapie, której obicie przetykane było złotą nitką.

- Poczęstowałbym cię kawą, ale posłałem właśnie po nią służącego.

Ngovi uniósł dłoń.

- Nie ma potrzeby, przyszedłem porozmawiać.

Valendrea usiadł.

- Czegóż więc chce Klemens?

- To ja czegoś chcę. Jaki był cel twojej wczorajszej wizyty w archiwum? Zastraszenie kardynała archiwisty? To było zupełnie nie na miejscu.

- Nie przypominam sobie, żeby archiwum znajdowało się w jurysdykcji Kongregacji do spraw Wychowania Katolickiego.

- Odpowiedz na pytanie.

- A zatem Klemens czegoś jednak chce.

Ngovi nie odpowiedział nic, którą to irytującą strategię często stosował - niekiedy sprawiała ona, że Valendrea mówił zbyt wiele.

- Powiedziałeś archiwście, że wypełniasz misję o największym znaczeniu dla Kościoła. Która wymaga nadzwyczajnych działań. Co właściwie miałeś na myśli?

Zastanawiał się, ile tchórzliwy łotr z archiwum powiedział. Z pewnością nie wyznał swojego grzechu nieuprawnionego rozgrzeszenia aborcji. Stary dureń z pewnością nie był na tyle lekkomyślny A może był? Zdecydował, że najlepszą obroną będzie atak.

- Ty i ja dobrze wiemy, że Klemens ma obsesję na punkcie tajemnicy fatimskiej. Ostatnio bywa w archiwum bardzo często.

- To przywilej papieża. Nie nam to kwestionować.

Valendrea pochylił się do przodu.

- Dlaczegoż to nasz dobry niemiecki papież cierpi takie katusze z powodu sekretu, który świat już poznał?

- Tego również nie mamy prawa kwestionować, ani ty, ani ja. Jan Paweł II zaspokoił



moją ciekawość, ujawniając trzecią tajemnicę.

- Byłeś członkiem tej komisji, prawda? Tej, która studiowała tajemnicę i napisała interpretację towarzyszącą jej publicznemu ogłoszeniu.

- Miałem ten zaszczyt. Długo zastanawiałem się nad tym, co Matka Boska pragnęła przekazać.

- A jednak było to wielkie rozczarowanie. Na dobrą sprawę, tekst ten mówił niewiele, poza zwykłym wezwaniem do pokuty i wytrwania w wierze.

- Ale przepowiadał zamach na papieża.

- Co wyjaśnia, dlaczego Kościół ukrywał tajemnicę przez wszystkie te lata. Żeby nie dawać jakiemuś szaleńcowi boskiego argumentu do tego, by strzelać do papieża.

- Jesteśmy przekonani, że tak właśnie sądził Jan XXIII, kiedy przeczytał treść tajemnicy i zalecił ponownie ją zapieczętować.

- I stało się to, co przepowiedziała Matka Boska. Ktoś usiłował zastrzelić Pawła VI, potem Turek strzelał do Jana Pawła II. Ja zaś chcę wiedzieć, dlaczego Klemens odczuwa potrzebę nieustannego czytania oryginalnego tekstu?

- Raz jeszcze powtarzam, nie tobie i mnie podawać to w wątpliwość.

- Chyba, że któryś z nas byłby papieżem - odparł i czekał, czy jego adwersarz połknie haczyk.

- Ale ani ty nie jesteś papieżem, ani ja. To, co próbowałeś uczynić, było złamaniem prawa kanonicznego - głos Ngoviego pozostawał chłodny, a Valendrea zastanawiał się, czy ten niezwykle opanowany człowiek kiedykolwiek puszcza wodze nerwom.

- Zamierzasz mnie oskarżyć?

Ngovi nawet się nie zachnął.

- Gdyby była najmniejsza szansa powodzenia, uczyniłbym to.

- W takim razie może powinienem zrezygnować ze stanowiska, a ty zostałbyś sekretarzem stanu. Z pewnością życzyłbyś sobie tego, prawda, Maurice?

- Życzyłbym sobie jedynie, żeby odesłano cię z powrotem do Florencji, gdzie miejsce twoje i twoich przodków z rodu Medici.

Valendrea wzmógł ostrożność. Afrykanin był mistrzem prowokacji. Ich starcie to dobry test przed konklawe, a Ngovi zapewne chce sprowokować go do gwałtownej reakcji.

- Nie jestem Medici. Jestem Valendrea. Byliśmy przeciwnikami Medicich.

- Zapewne wtedy, gdy ich ród upadł. Przypuszczam, że twoi przodkowie również byli oportunistami.

Zdał sobie sprawę, co się dzieje - konfrontacja dwóch wiodących rywali o godność

papieża twarzą w twarz. Wiedział dobrze, że Ngovi będzie jego najgroźniejszym konkurentem. Wysłuchał już taśm nagranych z rozmów między kardynałami, gdy byli pewni, że są bezpieczni w watykańskich biurach. Ngovi to jego najsilniejszy przeciwnik, tym groźniejszy, że nie zabiegał aktywnie o papieski tron. Gdy go pytano, chytry drań zawsze przerywał wszelkie spekulacje gestem dłoni i obwieszczał swój szacunek wobec Klemensa XV. Te manewry nie wyprowadzały jednak w pole Valendrei. Przedstawiciel Czarnego Łądu nie zasiadał na Piotrowym tronie od pierwszego stulecia naszej ery Cóż to byłby za triumf. Ngovi, mówiąc oględnie, był zagorzałym nacionalistą. I trwał w przekonaniu, że Afryka zasługuje na lepszy los niż ten, który obecnie przypada jej w udziale - a jakaż może być lepsza odskocznia do popierania reform społecznych niż pozycja głowy Stolicy Apostolskiej?

- Zrezygnuj, Maurice - poradził Valendrea. - Dlaczego nie przejdziesz do zwycięskiej drużyny? Nie wyjdiesz z następnego konklawe jako papież. To mogę ci zagwarantować.

- Bardziej niepokoi mnie fakt, że ty zostaniesz papieżem.

- Wiem, że trzymasz w ryzach afrykański blok. Ale to jedynie osiem głosów. Zbyt mało, by mnie powstrzymać.

- Ale wystarczająco dużo, by rozstrzygnąć sytuację, gdy wybory będą się przedłużać.

To pierwsza wzmianka Ngoviego o konklawe. Czyżby jakiś przekaz?

- Gdzie jest ojciec Ambrosi? - zapytał kamerling.

Teraz zdał sobie sprawę, jaki jest cel wizyty. Klemens chciał zdobyć informacje.

- A gdzie przebywa ojciec Michener?

- Powiedziano mi, że wyjechał na urlop.

- Tak samo jak Paolo. Być może wyjechali razem - pozwolił sobie okraszyć ten sarkazm stłumionym chichotem.

- Mam nadzieję, że Colin dobiera sobie lepszych przyjaciół.

- To samo mogę powiedzieć o Paolu.

Zastanawiał się, dlaczego papież kłopotczy się tym, co robi Ambrosi. Jakie to miało znaczenie? Być może jednak nie doceniał Niemca.

- Wiesz, Maurice, wcześniej sobie żartowałem, ale naprawdę byłbyś znakomitym sekretarzem stanu. Twoje poparcie na konklawe zapewniłoby ci tę posadę.

Ngovi siedział z dłońmi założonymi na sutannie.

- Ilu jeszcze purpuratów próbowałeś skusić tą kostką cukru?

- Tylko tych, którzy nadawali się na to stanowisko.

Jego gość wstał z otomany

- Pragnę ci przypomnieć Apostolską Konstytucję, która zabrania kampanii na rzecz

urzędu papieskiego. Obaj jesteśmy związani tym zakazem.

Ngovi ruszył w stronę przedpokoju.

Valendrea nie wstał z fotela, ale zawołał w stronę wychodzącego kardynała.

- Nie trzymałbym się tak bardzo protokołu, Maurice. Już wkrótce wszyscy będziemy w Kaplicy Sykstyńskiej, a twój los może się drastycznie zmienić. A na co się zmieni, to zależy tylko od ciebie.

BUKARESZT, 17:50

Pukanie do drzwi zaskoczyło Michenera. Poza Klemensem i ojcem Tiborem nikt nie wiedział, że jest w Rumunii. A już absolutnie nikt nie wiedział, że jest w tym hotelu.

Wstał, przeszedł przez pokój i otworzył drzwi. Stała w nich Katerina Lew.

- Jak, na Boga, odnalazłaś mnie tutaj?

- To ty mówiłeś, że w Watykanie wszystko jest tajemnicą poliszynela - odparła z uśmiechem.

Nie spodobało mu się to, co usłyszał. Klemens na pewno nie życzyłby sobie, żeby jakiś reporter wiedział, co porabia papieski sekretarz. Kto mógł zdradzić informację o jego wyjeździe z Rzymu?

- Czuję wyrzuty z powodu naszego spotkania na placu - wyznała. - Nie powinnam tak mówić.

- Więc przyjechałaś do Rumunii, żeby mnie przeprosić?

- Musimy porozmawiać, Colinie.

- To nie jest najlepszy moment.

- Powiedziano mi, że wyjechałeś na urlop. Sądziłam, że to najlepszy moment.

Zaprosił ją do środka i zamknął drzwi, przypominając sobie, że upłynęły całe wieki odkąd po raz ostatni był sam na sam z Kateriną Lew. Potem przyszła mu do głowy nieco kłopotliwa myśl. Skoro ona wie tyle na jego temat, to mógł sobie tylko wyobrażać, ile wie Valendrea. Chyba powinien zadzwonić do Klemensa i poinformować go o przecieku w papieskich apartamentach. Ale wtedy przypomniał sobie, co papież powiedział mu wczoraj w Turynie na temat Valendrei: „On wie o wszystkim, co robimy, i zna każde nasze słowo” i zdał sobie sprawę, że papież już wie.

- Colinie, nie ma powodu byśmy byli wobec siebie wrogo nastawieni. Dziś rozumiem o wiele lepiej to, co stało się przed laty. Jestem nawet gotowa przyznać, że zachowałam się wtedy niewłaściwie.

- To po pierwsze.

Nie zareagowała na przyganę w jego głosie.

- Tęskniłam za tobą. Dlatego właśnie przyjechałam do Rzymu. Chciałam cię zobaczyć.

- A Tom Kealy?

- Byłam z nim związana, to prawda - odparła i zawahała się. - Ale on to nie ty - Podeszła bliżej. - Nie wstydzę się tego, że z nim byłam. Sytuacja Toma jest bardzo stymulująca dla dziennikarza. Stwarza wiele możliwości. - Spojrzała mu w oczy. - Ale chcę wiedzieć. Dlaczego pojawiłeś się w sali Trybunału? Tom mówił, że papiescy sekretarze zwykle nie zajmują się takimi sprawami.

- Wiedziałem, że tam będziesz.

- Czy poczułeś radość na mój widok?

Zastanawiał się nad odpowiedzią i w końcu zdecydował.

- Ty nie wyglądałaś na zbyt ucieszoną moim widokiem.

- Usiłowałam jedynie ocenić twoją reakcję.

- O ile sobie przypominam, nie dałaś niczego po sobie poznać.

Odeszła od niego w stronę okna.

- Kiedyś łączyło nas coś wyjątkowego, Colinie. Nie ma powodu temu zaprzeczać.

- Nie ma też powodu przerabiać tego jeszcze raz.

- To ostatnia rzecz, jakiej pragnę. Jesteśmy starsi. I mam nadzieję, że mądrzejsi. Czy nie możemy być przyjaciółmi?

Przyjechał do Rumunii jako papieski posłaniec. Teraz uwikłał się w pełną emocji rozmowę z kobietą, którą kiedyś kochał. Czy Bóg ponownie wystawiał go na próbę? Nie mógł zaprzeczyć, że kiedyś byli sobie bliscy. Jak powiedziała, łączyło ich wszystko. Była cudowna, gdy zmagał się z poznaniem swojej przeszłości, była cudowna, gdy mówił, co przydarzyło się jego biologicznej matce i gdy zastanawiał się, dlaczego biologiczny ojciec nie przyznał się do niego. Z jej pomocą zdołał okiełznać wiele z gnębiących go demonów, choć wciąż nowe podnosiły głowę. Być może rozejm z własnym sumieniem byłby rzeczą odpowiednią. W czym mogłoby to im zaszkodzić?

- Chciałbym tego.

Miała na sobie czarne spodnie przylegające do smukłych nóg. W dobranym do nich żakiecie w jodełkę oraz w czarnej skórzanej kamizelce wyglądała trochę na rewolucjonistkę, którą kiedyś przecież była. W jej oczach nie było już marzycielskiego blasku. Spoglądała na świat trzeźwo. Może nawet za bardzo. Ale gdzieś w głębi kłębiły się prawdziwe uczucia, on zaś za tym tęsknił.

Przeniknął go osobliwy dreszcz.

Przypomniał sobie, jak przed wieloma laty schronił się w Alpach, by tam zyskać czas na przemyślenia, i podobnie jak dzisiaj ona pojawiła się w drzwiach, powodując w jego głowie jeszcze większy zamęt.

- Co właściwie robiłeś w Zlatnej? - zapytała. - Dowiedziałam się, że sierociniec jest trudnym miejscem, którym kieruje stary ksiądz.

- Byłaś tam?

Przytaknęła.

- Śledziłam cię.

Znowu kłopotliwe realia, ale nie skomentował tego.

- Byłem tam, by porozmawiać z tym księdzem.

- Czy możesz mi o tym opowiedzieć?

Sprawiała wrażenie zainteresowanej, on zaś czuł potrzebę porozmawiania o tym. Może ona okaże się pomocna. Lecz jeszcze jeden aspekt należało uwzględnić.- Prywatnie, między nami? - zapytał.

Jej uśmiech sprawił, że poczuł ulgę.

- Oczywiście, Colinie. Prywatnie, nie dla prasy.

20:00

Michener zaprowadził Katerinę do Café Krom. Całe dwie godziny przegadali w jego pokoju. Opowiedział jej w skróconej wersji o tym, co przydarzyło się Klemensowi XV w ciągu ostatnich kilku miesięcy i wyjaśnił powody, dla których przyjechał do Rumunii. Ominął jedynie fakt przeczytania listu Klemensa do Tibora. Poza kardynałem Ngovim papież nie miał z kim rozmawiać o swoich troskach. A nawet rozmawiając z nim, wiedział, że dyskrecja jest lepszą taktyką. Watykańskie sojusze były nietrwałe. Dzisiejszy przyjaciel jutro mógł być zatwardziałym wrogiem. Katerina nie była sprzymierzona z nikim w obrębie Kościoła, nie była też ignorantką w kwestii trzeciej tajemnicy fatimskiej. Opowiedziała mu o artykule, który napisała dla duńskiego magazynu w 2000 roku, kiedy Jan Paweł II objawił światu jej treść. Publikacja dotyczyła pewnej skrajnej grupy przekonanej, że trzecia tajemnica fatimska jest wizją apokaliptyczną, złożoną metaforą, którą Dziewica Maria posłużyła się, by w czytelny sposób przepowiedzieć bliski już koniec świata. Katerina uznała te poglądy za szalone, a jej artykuł dotyczył obłędu propagowanego przez tego rodzaju kultury. Zobaczywszy jednak reakcję Klemensa w archiwum, Michener nie był już tak pewny, czy rzeczywiście nie wiąże się to z obłędem. Żywił tylko nadzieję, że ojciec Andriej Tibor pomoże położyć kres całemu zamieszaniu.

Duchowny czekał przy stoliku obok przeszklonego okna. Na zewnątrz bursztynowa poświata rozświetlała ludzi i uliczny ruch. W powietrzu unosiła się wieczorna mgła. Bistro znajdowało się w sercu miasta, blisko Piąta Rewolucji, po ulicach krążył zabiegany tłum, typowy dla piątkowego wieczoru. Tibor przebrał się zamieniając czarną sutannę na parę dżinsów oraz sweter z golfem. Wstał, gdy Michener przedstawiał mu Katerinę.

- Pani Lew pracuje w moim biurze. Wziąłem ją ze sobą, by robiła notatki ze wszystkiego, co ojciec zechce powiedzieć.

Wcześniej zdecydował, że chce, by Katerina wysłuchała tego, co powie Tibor. Doszedł też do wniosku, że kłamstwo będzie lepsze niż prawda.

- Jeśli papieski sekretarz życzy sobie tego - odezwał się z przekąsem Tibor - kimże jestem, by to kwestionować?

Ksiądz mówił teraz swobodnie i Michener miał nadzieję, że wcześniejsze zgorzknienie zniknęło bezpowrotnie. Tibor dał znak kelnerce i zamówił jeszcze dwa piwa. Potem przesunął kopertę po stole.

- To moja odpowiedź na pytanie Klemensa.

Papieski sekretarz nie sięgnął po kopertę.

- Myślałem o tym przez całe popołudnie - podjął Tibor - chciałem sformułować myśli precyzyjnie, dlatego przelałem je na papier.

Kelnerka postawiła przed nimi dwa kufle ciemnego piwa. Michener upił spienionego napoju. Katerina poszła w jego ślady. Tibor opróżnił już jeden kufel, który stał na stole.

- Przez bardzo długi czas nie myślałem o sprawie Fatimy - wyznał cicho ojciec Andriej.

- Czy ojciec długo pracował w Watykanie? - wtrąciła Katerina.

- Przez osiem lat, zacząłem za Jana XXIII, skończyłem za Pawła VI. Później powróciłem do pracy misyjnej.

- Czy ojciec był obecny, gdy Jan XXIII czytał trzecią tajemnicę? - zapytał Michener, łagodnie sondując i usiłując nie ujawnić tego, czego dowiedział się z listu Klemensa.

Przez dłuższą chwilę Tibor spoglądał przez okno.

- Byłem tam.

Michener wiedział, o co Klemens prosił Tibora, naciskał zatem dalej.

- Ojcze, papież jest bardzo czymś zatroskany. Czy pomoże mi ojciec zrozumieć?

- Potrafię zrozumieć jego cierpienia.

Starał się sprawiać wrażenie beztroskiego.

- Jakaś odpowiedź?

Stary człowiek pokręcił przecząco głową.

- Po czterdziestu latach wciąż siebie nie rozumiem - spoglądał gdzieś, gdy to mówił, jak gdyby nie był pewien tego, co mówi. - Siostra Lucja była świętą kobietą. Kościół obszedł się z nią bardzo źle.

- Co ojciec ma na myśli? - zapytała Katerina.

- Rzym dopilnował, żeby wiodła klasztorny żywot. Trzeba pamiętać, że w 1959 roku tylko Jan XXIII i ona znali trzecią tajemnicę. Wtedy też Watykan zalecił, że odwiedzać ją może jedynie najbliższa rodzina, zakazał jej również wszelkich rozmów na temat objawień.

- Ale przecież ona brała udział w uroczystości, w czasie której Jan Paweł ujawnił sekret w 2000 roku - zdziwił się Michener. - Siedziała na podium, kiedy w Fatimie czytano tekst całemu światu.



- Liczyła sobie wtedy ponad dziewięćdziesiąt lat. Podobno niedowidziała i niedosłyszała. I nie można zapominać, że zakazano jej mówić na ten temat. Z jej strony nie padł żaden komentarz. Ani jedno słowo.

Michener pociągnął następny łyk piwa.

- Jaki właściwie problem miał Watykan w związku z siostrą Łucją? Czyż nie chciano jej po prostu uchronić przed maniakami wszelkiej maści, którzy nieustannie zasypywaliby ją pytaniami?

Tibor założył ręce na piersi.

- Nie spodziewałem się, że ojciec zrozumie. Jest ojciec typowym wytworem Kurii.

Michener poczuł się urażony tą opinią, ponieważ można było o nim powiedzieć wszystko, tylko nie to.

- Mój papież nie jest przyjacielem Kurii.

- Watykan wymaga absolutnego posłuszeństwa. W przeciwnym wypadku Penitencjaria Apostolska wysyła stosowny list i wzywa delikwenta do Rzymu, by się wytłumaczył. Mamy robić to, co się nam każe. Siostra Łucja była lojalną sługą. Robiła to, co jej nakazano. Uwierzcie mi, ostatnia rzecz, której życzyłaby sobie Stolica Piotrowa, to dostęp prasy światowej do Łucji. Jan nakazał jej milczenie, ponieważ nie miał innego wyboru, a każdy następny papież utrzymywał w mocy ten zakaz, ponieważ również nie miał innego wyboru.

- O ile sobie przypominam, Paweł VI i Jan Paweł II złożyli jej wizytę. Jan Paweł konsultował się nawet z nią, zanim treść trzeciej tajemnicy została ujawniona. Rozmawiałem z biskupami i kardynałami, którzy brali udział w akcji ujawnienia. Łucja poświadczyła autentyczność rękopisu.

- Którego rękopisu? - zapytał Tibor.

Dziwne pytanie.

- Czy chce ojciec przez to powiedzieć, że Kościół kłamał w kwestii tej tajemnicy? - zapytała Katerina.

Tibor sięgnął po kufel z piwem.

- Tego nigdy się nie dowiemy. Pobożnej siostry, Jana XXIII, Pawła VI ani Jana Pawła II nie ma już między nami. Wszyscy odeszli, prócz mnie.

Michener postanowił zmienić temat.

- Niech więc ojciec wyjawi nam to, co wie. Co się wydarzyło, kiedy Jan XXIII przeczytał trzecią tajemnicę?

Tibor rozsiadł się na rozchwierutanym krześle i zdawał się z zainteresowaniem

rozważać pytanie. W końcu przemówił.

- Dobrze, opowiem wam ze szczegółami, co się wtedy wydarzyło.

\*

- *Czy ojciec zna portugalski? - zapytał monsignore Capovilla.*

*Tibor podniósł wzrok Od dziesięciu miesięcy pracował w Watykanie i po raz pierwszy odezwał się do niego ktoś, kto urzędował na trzecim piętrze papieskiego pałacu, i to nie kto inny, jak osobisty sekretarz Jana XXIII.*

- *Tak, ojcze.*

- *Ojciec Święty potrzebuje waszej pomocy. Czy możecie wziąć ze sobą notatnik oraz pióro i pójść ze mną?*

*Podążył za kapłanem do windy, w milczeniu wjechał na trzecie piętro, gdzie zaprowadzono go do papieskiego apartamentu. Jan XXIII siedział za biurkiem. Na blacie stała niewielka drewniana kasetka ze złamaną pieczęcią. Papież trzymał w dłoniach dwie kartki papieru.*

- *Ojcze Tibor, czy potraficie to przeczytać? - zapytał Jan.*

*Tibor wziął kartki i przebiegł po nich wzrokiem, właściwie nie zdając sobie sprawy ze znaczenia słów, a jedynie z tego, że są dlań zrozumiałe.*

- *Tak, Ojcze Święty.*

*Na twarzy korpulentnego mężczyzny pojawił się uśmiech. Ten sam, który elektryzował katolików z całego świata. Prasa obdarzyła go przydomkiem Papa Jan, on zaś ten przydomek chętnie przyjął. Przez długi czas, kiedy Pius XII leżał zdjęty niemocą, okna papieskiego pałacu były pograżone w ciemności, a zasłony zaciągnięto na znak symbolicznej żałoby. Teraz kotary odsunięto, a włoskie słońce wlewało się do pałacowych pomieszczeń. Był to sygnał dla wszystkich wchodzących na plac św. Piotra, że wenecki kardynał jest szczerze oddany sprawie religijnej odnowy.*

- *Zechce ojciec usiąść przy oknie i przełożyć ten tekst na język włoski - powiedział Jan.*

- *Strona po stronie, oddzielnie, tak jak w oryginale.*

*Przez niemal godzinę Tibor sporządzał tłumaczenie, upewniając się, że jest precyzyjne.*

*Oryginał napisano wyraźnie kobiecym charakterem, a język trącił myszką i wskazywał, że źródło pochodzi z przelomu wieków. Języki, podobnie jak ludzie i kultury, miały to do siebie, że zmieniały się z czasem, lecz Tibor posiadał gruntowne wykształcenie, a zadanie było stosunkowo proste.*

*Kiedy pracował, Jan nie zwracał na niego specjalnej uwagi, rozmawiając cicho ze*

swym sekretarzem. Tłumacz skończył i przekazał efekt pracy w ręce papieża. Patrzył na Jana, gdy ten czytał pierwszą stronę; wypatrywał jego reakcji. Nic. Następnie papież przeszedł do drugiej strony. Nastąpiła chwila ciszy.

- To nie dotyczy mojego pontyfikatu - powiedział cicho Jan.

Jak na słowa zawarte na tej stronie, był to raczej dziwny komentarz, lecz Tibor się nie odezwał.

Jan złożył każdą stronę oryginału razem z przekładem, tworząc oddzielne pakiety. Przez kilka chwil siedział w milczeniu, Tibor zaś nie ruszał się z miejsca. Ten papież, który zasiadał na Piotrowym tronie zaledwie od dziewięciu miesięcy, już w głębokim stopniu zmienił katolicki świat. Chęć wzięcia udziału w tych przemianach to jedna z przyczyn, dla których Tibor przybył do Rzymu. Świat był już gotów na nowe, a Bóg najwyraźniej temu dopomagał.

Jan przyglądał się pulchnym palcom i w milczeniu kołysał się na krześle.

- Ojciec Tibor, chcę, żebyście przysięgli przed swym papieżem i przed Bogiem, że tego, co ojciec przeczytał, nie wyjawisz nigdy nikomu.

Tibor zrozumiał rangę tego zobowiązania.

- Masz moje słowo, Ojciec Święty.

Jan spojrzał na niego wilgotnymi oczyma, wzrokiem, który przenikał do głębi jego duszy. Poczul, jak w żyłach zastyga mu krew. Musiał zwalczyć impuls, by nie paść na kolana.

Wyglądało na to, że papież czyta w jego myślach.

- Bądź pewien - odezwał się Jan ledwo słyszalnym szeptem - że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by spełnić wolę Najświętszej Marji Dziewicy.

\*

- Nigdy więcej nie rozmawiałem z Janem XXIII - oznajmił Tibor.

- I nie kontaktował się z ojcem inny papież? - spytała Katerina.

Tibor zaprzeczył ruchem głowy

- Aż do dzisiejszego dnia. Dałem słowo Janowi i dotrzymałem go. To się zmieniło trzy miesiące temu.

- Co było w liście przesłanym do papieża?

- Nie wie tego ojciec?

- Nie znam szczegółów.

- Być może Klemens nie chciał, aby ojciec je poznał.

- Gdyby tak było, nie przysłałby mnie tutaj.

Tibor wskazał gestem na Katerinę.

- Czy chciał, żeby ona również poznała prawdę?

- Ja tego chcę - odparł Michener.

Tibor spojrział na niego surowym wzrokiem.

- Obawiam się, że jednak nie, ojciec. To, co napisałem, dotyczy tylko mnie i papieża Klemensa.

- Powiedział ojciec, że Jan XXIII nigdy z ojcem więcej nie rozmawiał. Czy ojciec próbował skontaktować się z nim? - chciał wiedzieć Michener.

Tibor znów pokręcił głową.

- Po zaledwie kilku dniach Jan zwołał Sobór Watykański II. Pamiętam dobrze chwilę, kiedy to ogłoszono. Sądziłem, że to jego odpowiedź.

- Zechce ojciec to wyjaśnić?

I znów przeczenie głową.

- Niekoniecznie.

Michener dopił piwo i chciał zamówić następne, ale wiedział, że lepiej tego nie robić.

Przyglądał się kilku twarzom ludzi dookoła i zastanawiał się, czy ktoś z nich może być zainteresowany jego poczynaniami, ale szybko odepchnął tę myśl.

- No a kiedy Jan Paweł II ujawnił trzecią tajemnicę?

Mięśnie twarzy ojca Tibora napięły się.

- Co w związku z tym?

Szorstkość starego człowieka zaczynała drażnić papieskiego sekretarza.

- Świat zna już słowa Matki Boskiej.

- Wiadomo też, że Kościół potrafi przekłamywać prawdę.

- Czy sugeruje ojciec, że Ojciec Święty oszukał świat? - zapytał Michener.

Tibor nie udzielił odpowiedzi natychmiast.

- Nie wiem, co sugeruję. Matka Boska pojawiała się na tej ziemi wielokrotnie. Nie sądzi ojciec, że powinniśmy w końcu zrozumieć jej przekaz?

- Jaki przekaz? Spędziłem kilka miesięcy, studiując każde objawienie, sięgając dwa tysiące lat wstecz. Każde z nich wydaje się zupełnie unikatowym wydarzeniem.

- W takim razie nie badał ojciec tematu zbyt skrupulatnie - skomentował Tibor. - Ja również spędziłem na tym lata. W każdym objawieniu można znaleźć deklaracje z nieba postulujące, żebyśmy postępowali zgodnie ze słowem Bożym. Matka Boska jest posłańcem niebios. Przekazuje nam wskazówki i wiedzę, my zaś niemądrze Ją ignorujemy. We współczesnych czasach ten błąd rozpoczął się w La Salette.

Michener znał wszystkie szczegóły dotyczące objawień w La Salette, niewielkiej

wiosce położonej we francuskich Alpach. W 1846 roku dwójka dzieci pasących owce, chłopiec Maksym i dziewczynka Melania, miała rzekomo doznać objawienia. Zdarzenie to pod wieloma względami przypomina Fatimę - sielska sceneria, światło, które spływa z nieba, i wizerunek przemawiającej do dzieci niewiasty

- O ile sobie przypominam - podjął Michener - dzieciom przekazano tajemnice, które w końcu spisano, a potem tekst dotarł do Piusa IX. Świadkowie objawień opublikowali później własne wersje. Pojawiły się też oskarżenia o ubarwienie. Skończyło się tym, że objawienia splamił skandal.

- Czy chce ojciec powiedzieć, że istnieje związek między La Salette a Fatimą? - zapytała Katerina.

Na twarzy Tibora pojawiło się rozdrażnienie.

- Niczego nie chcę powiedzieć. Ojciec Michener ma dostęp do archiwum. Czy stwierdził jakieś związki?

- Studiowałem objawienia w La Salette - potwierdził Michener. - Pius IX nie skomentował ich po lekturze, ale też nie pozwolił nigdy ogłosić ich publicznie. I chociaż oryginalne teksty znajdują się w indeksie dokumentów pozostawionych przez Piusa IX, nie ma ich w archiwum.

- W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku również szukałem tajemnic z La Salette i nic nie znalazłem. Ale są pewne przesłanki odnośnie do ich treści.

Wiedział dokładnie, co Tibor ma na myśli.

- Czytałem relacje naocznych świadków, którzy byli przy tym, jak Melania zapisywała treść objawienia. Pytała wtedy, jak się pisze „nieomylny”, „zepsuty” i „Antychryst”, o ile dobrze pamiętam.

Tibor przytaknął.

- Pius IX również podał kilka wskazówek. Po przeczytaniu tekstu Maksyma powiedział: „Jest w tym szczerłość i prostota dziecka”. Kiedy jednak przeczytał słowa Melanii, zapłakał i rzekł: „Mniej się obawiałem otwartej bezbożności niż obojętności. Nie bez przyczyny ten Kościół nazywany jest wojującym, a przed wami stoi jego dowódca”.

- Ma ojciec dobrą pamięć - pochwalił Tibor. - Melania nie była tak uprzejma, gdy usłyszała reakcję papieża. „Ta tajemnica powinna sprawić papieżowi przyjemność - oświadczyła wtedy dziewczynka - papież powinien cierpieć z lubością”.

Michener przypomniał sobie kościelne dekryty wydane w tamtym czasie, zalecające wiernym powstrzymanie się od dyskusji na temat La Salette w każdej formie, pod groźbą kościelnych sankcji.

- Ojciec Tibor, objawieniom w La Salette nigdy nie dawano takiej wiary jak tym z Fatimy.

- Ponieważ oryginalne teksty sporządzone przez świadków objawień zaginęły. Pozostały tylko spekulacje. Nie było na ten temat dyskusji, bo Kościół jej zakazał. Tuż po objawieniach Maksym oświadczył, że przekaz Matki Boskiej będzie dla jednych dobry, dla innych nie. Takie same słowa Łucja wypowiedziała siedemdziesiąt lat później w Fatimie. „Dobre dla jednych, dla innych złe”. - Duchowny dopił piwo. Wydawało się, że picie alkoholu sprawia mu przyjemność. - I Maksym, i Łucja mieli rację. Dobre dla jednych, dla innych złe. Nadszedł czas, by przestać ignorować słowa Matki Boskiej.

- O czym ojciec mówi? - zapytał Michener zdenerwowany.

- W Fatimie żądania niebios zostały wyrażone bardzo precyzyjnie. Nie czytałem treści objawień z La Salette, ale mogę sobie wyobrazić, o czym mówią.

Michener miał już dość tych zagadek, ale uznał, że stary kapłan powinien się wypowiedzieć.

- Jestem świadom tego, co Matka Boska oznajmiła w Fatimie w tym, co nazywamy drugą tajemnicą, o poświęceniu Rosji oraz o tym, co się stanie, jeśli tego się nie dokona. Zgadza się, że są też konkretne wskazówki...

- A jednak żaden papież - przerwał mu Tibor - nigdy nie poświęcił Rosji, uczynił to dopiero Jan Paweł II. Biskupi tego świata razem wzięci nigdy nie poświęcili Rosji, aż do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego czwartego. Spójrzcie, co się działo między rokiem tysiąc dziewięćset siedemnastym a tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym. Komunizm kwitł. Zginęły miliony ludzi. Rumunia została splądrowana i zagrabiona przez potwory. Jakie były słowa Marii Dziewicy? „Dobrzy będą umęczeni. Ojciec Święty będzie musiał znieść wiele cierpień, wiele narodów zostanie całkowicie zniszczonych”. Wszystko dlatego, że następcy Piotra postanowili postępować wedle własnej woli, sprzeciwiając się woli niebios.

W słowach księdza brzmiał gniew, on zaś nie czynił nawet żadnych prób ukrycia go.

- A przecież w ciągu sześciu lat po poświęceniu Rosji komunizm upadł - przekonywał Tibor, pocierając czoło. - Watykan nigdy formalnie nie uznał maryjnych objawień. Zdobył się jedynie na to, żeby uznać objawienia za wiarygodne. Kościół nie chce się przyznać, że świadkowie objawień mają coś ważnego do powiedzenia.

- Ale to tylko przejaw roztropności - powiedział Michener.

- Jakże to? Kościół uznaje prawdziwość maryjnych objawień, zachęca wiernych, by wierzyli w te zdarzenia, a potem dyskredytuje wszystko to, co powiedzą uczestnicy objawień? Czy nie dostrzega w tym ojciec sprzeczności?

Michener nie odpowiedział.

- Proszę, żeby ojciec to wyjaśnił - kontynuował Tibor.

- Od tysiąc osiemset siedemdziesiątego roku i soboru watykańskiego pierwszego papież jest uznany za nieomylnego w kwestiach doktryny. Co zdaniem ojca by się zdarzyło, gdyby przeważała teza, iż słowa prostych wiejskich dzieci należy uznać za ważniejsze?

Michener nigdy nie spoglądał na tę kwestię z takiej perspektywy.

- Zwierzchnictwo Kościoła w kwestii nauki wiary dobiegłoby końca - kontynuował Tibor. - Wierni szukaliby przewodnictwa gdzie indziej. Rzym przestałby być centrum. A na to nigdy nie może sobie pozwolić. Kuria przetrwa bez względu na wszystko. Zresztą zawsze tak było.

- Ależ, ojcze Tibor - wtrąciła Katerina - tajemnice fatimskie mówią precyzyjnie o miejscach, datach i epokach. Mówią o Rosji i wymieniają papieży z imienia. Przepowiadają zamachy na papieży. Czy Kościół nie był po prostu ostrożny? Tak zwane tajemnice różnią się w sposób tak bardzo istotny od treści Ewangelii, że każda z nich musi budzić podejrzenia.

- Trafne spostrzeżenie. My, ludzie, mamy tendencję do ignorowania tego, z czym się nie zgadzamy. Ale być może niebo postanowiło, że potrzebne są bardziej konkretne wskazania. „Szczegóły”, o których pani mówi.

Michener dostrzegł wzburzenie na twarzy Tibora i nerwowe ruchy dłoni, którymi obejmował pusty już kufel. Nastąpiło kilka chwil nerwowej ciszy, potem stary człowiek pochylił się i wskazał gestem na kopertę.

- Niech ojciec przekaze Ojcu Świętemu, by uczynił to, co zaleciła Madonna. Niech się nie spiera i nie ignoruje tego, lecz uczyni tak, jak Ona nakazała - mówił Tibor głosem beznamytnym i bezbarwnym. - Proszę mu powiedzieć, że jeśli tego nie uczyni, on i ja spotkamy się niedługo w niebie, a wtedy będę oczekiwał, że weźmie całą winę na siebie.

22:00

Michener i Katerina wysiedli z pociągu metra i wyszli z podziemnej stacji na mroźny wieczór. Przed nimi stał dawny rumuński pałac królewski, zniszczona kamienna fasada skąpana była w świetle sodowych latami. Z Piața Revoluției ulice rozchodziły się we wszystkich kierunkach, po mokrym bruku przechadzali się ludzie opatuleni w ciężkie wełniane płaszcze. Ruch rozpełzł się na dalsze ulice. Zimne powietrze pozostawiało w gardle posmak węgla.

Patrzył na Katerinę, gdy obserwowała uważnie plac. Jej oczy pobiegły ku dawnej komunistycznej kwaterze głównej, stalinowskiemu monolitowi, i skupiły się na balkonie budynku.

- Stamtąd Ceaușescu przemawiał tamtej nocy - powiedziała i wskazała na północ. - Ja stałam tam. To było naprawdę coś. Ten pompacyjny dupek stał tam w świetle reflektorów i obwieszczał, jak bardzo jest przez nich wszystkich kochany.

Budynek stał w mroku, najwyraźniej nie zasługiwał już na iluminację.

- Kamery telewizyjne przekazywały przemówienie na cały kraj. Był taki dumny z siebie, dopóki nie zaczęliśmy wszyscy skandować „Timișoara, Timișoara”.

Wiedział o Timișoarze, mieście na zachodzie Rumunii, gdzie samotny ksiądz opowiedział się przeciw władzy Ceaușescu. Kiedy kontrolowany przez rząd reformowany Kościół prawosławny usunął go, wybuchły zamieszki, które objęły cały kraj. Sześć dni później tu, na tym placu, doszło do krwawych rozruchów.

- Powinieneś widzieć twarz Ceaușescu, Colinie. To jego niezdecydowanie, chwila szoku, stała się dla nas sygnałem do działania. Przerwaliśmy policyjne kordony i nie było już odwrotu - ściszyła głos. - Po jakimś czasie pojawiły się czołgi, potem armatki wodne i zaczęto do nas strzelać. Tamtego wieczora straciłam wielu przyjaciół.

Stał z rękoma wciśniętymi w kieszenie płaszcza i patrzył, jak przed oczyma unosi mu się para z ust. Pozwolił jej na chwilę wspomnień, gdyż wiedział, że jest dumna z tego, czego dokonała. On również odczuwał dumę.

- Dobrze, że tu znowu jesteś - wyznał.



Obróciła się ku niemu. Po placu ramię w ramię spacerowało kilka innych par.

- Tęskniłam za tobą, Colinie.

Przeczytał kiedyś, że w życiu każdego człowieka jest ktoś, kto sięgnął tak głęboko i dotknął miejsca tak ważnego, że w razie potrzeby umysł zawsze powraca do tego umiłowanego miejsca, szukając pociechy we wspomnieniach, które nigdy nie rozczarowują. Kimś takim była dla niego Katerina. Niepokoiło go jednak, dlaczego Kościół, czy też jego Bóg, nie dają mu takiej samej satysfakcji.

Podeszła bliżej.

- Te słowa, które wypowiedział ojciec Tibor, że trzeba wykonać polecenia Matki Boskiej. Co miał na myśli?

- Chciałbym wiedzieć.

- Możesz się dowiedzieć.

Wiedział, co jej chodzi po głowie, i wyciągnął z kieszeni kopertę z odpowiedzią ojca Tibora.

- Nie mogę jej otworzyć. Wiesz o tym.

- Dlaczego nie? Znajdziemy inną kopertę. Klemens nigdy się nie dowie.

Tego dnia pozwolił sobie na zbyt wiele nieuczciwości, czytając list napisany ręką papieża.

- Ja będę wiedział. Zdawał sobie sprawę, jak nieszczerze brzmi jego odmowa, ale mimo to wsunął kopertę z powrotem do kieszeni.

- Klemens wychował sobie lojalnego służącego - zakpiła Katerina. - Muszę to przyznać temu starcowi.

- To mój papież. Jestem mu winien szacunek.

Jej usta i policzki przybrały wyraz, który widywał już wcześniej.

- Czy twoje życie ma polegać jedynie na służeniu papieżom? A co z tobą, Colinie Michener?

Zastanawiał się nad tym samym wiele razy w ciągu minionych paru lat. Co z nim? Czy na kardynalskim birecie ma się zamknąć jego życie? Czy ma się zadowolić prestiżem purpurowej szaty? Ludzie tacy jak ojciec Tibor czynili to, do czego kapłani byli powołani. Znów poczuł na skórze niedawny dotyk dzieci, w nozdrzach odór ich rozpaczy

Przeniknęło go na wskroś głębokie poczucie winy

- Chcę, żebyś to wiedział, Colinie. Ja nie powiem nawet słowa nikomu innemu.

- Nawet Tomowi Kealy?

Natychmiast pożałował tego pytania.

- Zazdrosny?

- A powinienem być?

- Wydaje się, że mam słabość do sutanny

- Bądź ostrożna z Tomem Kealy. Odniosłem wrażenie, że ten człowiek uciekłby z tego placu przy pierwszych strzałach. - Dostrzegł, jak jej szczęki zaciskają się. - Nie tak jak ty

Uśmiechnęła się.

- Stałam przed czołgiem razem z setką innych.

- Ta myśl mnie przeraża. Nie chciałbym, żeby ktoś cię zranił.

Spojrzała na niego dziwnym wzrokiem.

- Bardziej niż już mnie zraniono?

\*

Katerina zostawiła Michenera w jego pokoju i zeszła na dół po skrzypiących schodach. Powiedziała mu, że porozmawiają rano podczas śniadania, zanim odleci do Rzymu. Nie był zaskoczony, gdy dowiedział się, że mieszka piętro niżej, a ona nie wspomniała, że również wybiera się z powrotem do Rzymu następnym samolotem. Poinformowała go jedynie, że nie jest jeszcze pewna, dokąd się wybierze.

Żałowała już, że zaangażowała się w misję zleconą przez kardynała Alberto Valendree. To, co początkowo wyglądało na krok do przodu w karierze zawodowej, przerodziło się w oszukiwanie człowieka, którego wciąż kochała. Czuła się źle, okłamując Michenera. Gdyby jej ojciec się dowiedział, co ona robi, wstydziłby się za nią. Myśl ta również była uciążliwa, ponieważ w ciągu ostatnich paru lat nie raz rozczarowała rodziców.

Otworzyła drzwi i weszła do swojego pokoju.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyła, była uśmiechnięta twarz ojca Paolo Ambrosiego. Ten widok nieco ją zaskoczył, ale szybko opanowała emocje wyczuwając, że okazywanie strachu przed tym człowiekiem byłoby błędem. Prawdę mówiąc, spodziewała się wizyty, ponieważ Valendrea mówił, iż Ambrosi ją odnajdzie. Zamknęła drzwi, zdjęła płaszcz i podeszła do lampki przy łóżku.

- Dlaczego nie zostawimy zgaszonego światła? - zapytał Ambrosi.

Zauważyła, że jest ubrany w czarne spodnie i ciemny golf. Stał w rozpiętym płaszczu. Żaden element tego stroju nie pasował do duchownego. Wzruszyła ramionami i rzuciła płaszcz na łóżko.

- Czego się pani dowiedziała?

Zastanowiła się przez chwilę, po czym opowiedziała mu w skrócie o sierocińcu oraz o tym, czego dowiedziała się od Michenera na temat Klemensa, ale zachowała dla siebie kilka

kluczowych faktów. Zakończyła relacją o ojcu Tiborze, znów ograniczając się do skróconej wersji, i na koniec powtórzyła ostrzeżenie starego księdza nawiązujące do słów Matki Boskiej.

- Musi pani dowiedzieć się, co znajduje się w odpowiedzi ojca Tibora - oznajmił Ambrosi.

- Colin nie chce otworzyć koperty

- Proszę znaleźć jakiś sposób.

- Jak mam tego dokonać pańskim zdaniem?

- Niech pani pójdzie na górę. Uwiedzie go. A potem, gdy zaśnie, przeczyta pani list.

- Dlaczego ojciec tego nie zrobi? Jestem pewna, że księża interesują ojca bardziej niż mnie.

Ambrosi rzucił się do przodu, chwycił ją za szyję długimi cienkimi palcami i przewrócił na łóżko. Jego chwyt był zimny i śliski. Przyłożył kolano do jej piersi i docisnął mocno do materaca. Był silniejszy niż sobie wyobrażała.

- W odróżnieniu od kardynała Valendrei nie mam tyle cierpliwości do pani ładnej buźki. Przypominam pani, że jesteśmy w Rumunii, nie w Rzymie, i że ludzie znikają tu nieustannie. Chcę, by dowiedziała się pani, co napisał ojciec Tibor. Niech pani się dowie, bo kiedy następnym razem spotkamy się, mogę się nie powstrzymać. - Kolano Ambrosiego docisnęło mocniej jej tors. - Odnajdę panią jutro, tak jak znalazłem panią tego wieczora.

Chciała plunąć mu w twarz, ale coraz silniej zaciskające się palce zniechęciły ją do tego.

Ambrosi zwolnił uścisk i skierował się do drzwi.

Trzymała się za szyję i chwytała ciężko oddech, potem zerwała się z łóżka. Ambrosi odwrócił się w jej stronę, z pistoletem w dłoni.

Zatrzymała się w miejscu.

- Ty... pieprzony... oprychu.

Wzruszył ramionami.

- Historia uczy nas, że granica między dobrem a złem jest w rzeczy samej niezauważalna. Miłych snów.

Otworzył drzwi i wyszedł.

WATYKAN, 23:40

Valendrea dusił niedopałek papierosa w popielniczce, gdy dosłyszał stukanie do drzwi do komnaty sypialnej. Od niemal godziny był pochłonięty lekturą powieści. Uwielbiał amerykańskie thrillery z akcją pełną napięcia. Stanowiły miłą ucieczkę od codziennego życia pełnego wyważonych słów i sztywnego protokołu. Tej cowieczomej ucieczki w świat pełen tajemnic i intryg wypatrywał zawsze z utęsknieniem, Ambrosi zaś dbał, by kardynał miał zawsze do czytania nową powieść.

- Wejść - wykrzyknął.

Dostrzegł twarz szambelana.

- Przed chwilą odebrałem telefon, Eminencjo. Ojciec Święty jest w Riservie. Eminencja życzył sobie, żeby go poinformowano, gdy to się stanie.

Zdjął okulary do czytania i zamknął książkę.

- To by było wszystko.

Szambelan się wycofał.

Włożył szybko koszulę z dzianiny, nasunął buty do biegania i opuścił apartament, kierując się do prywatnej windy. Mijał puste korytarze Pałacu Apostolskiego. Ciszę zakłócał jedynie cichy pisk kamer obracających się pod sufitem oraz pisk gumowych podeszew na marmurowej posadzce. Żadnego ryzyka, że ktoś go zobaczy - pałac był już zamknięty na noc.

Wszedł do archiwum, zignorował nocnego prefekta i ruszył przez labirynt regałów w kierunku okratowanego wejścia do Riservy. Klemens XV stał w oświetlonej przestrzeni, plecami do niego, ubrany w białą płócienną sutannę.

Drzwi do wiekowego sejfu były otwarte. Valendrea nie starał się ukryć swej obecności. Nadszedł czas na konfrontację.

- Wejdz, Alberto - odezwał się papież, wciąż stojąc do niego plecami.

- Skąd wiedziałeś, że to ja?

Klemens odwrócił się.

- Któż inny mógłby to być?

Wszedł w krąg światła, po raz pierwszy od 1978 roku przekraczając próg Riservy

Wtedy wewnątrz pomieszczenia bez okien oświetlało jedynie kilka żarówek. Teraz fluorescencyjne świetlówki rzucały na wszystko perlistą poświatę. Ta sama drewniana kasetka leżała w tej samej szufladzie, jej wieko było otwarte. Pozostałości lakowej pieczęci, którą złamał i odcisnął ponownie, ozdabiały zewnętrzną stronę koperty

- Powiedziano mi o twojej wizycie tutaj razem z Pawłem - oznajmił Klemens, wskazując gestem na kasetkę. - Byłeś tu, kiedy to otworzył. Powiedz mi, Alberto, czy był wstrząśnięty? Czy ten stary głupiec wzdygał się ze zgrozy i strachu, kiedy czytał słowa Matki Boskiej?

Nie miał zamiaru dawać Klemensowi satysfakcji i wyjawiać prawdy.

- Paweł był większym papieżem, niż ty byłeś kiedykolwiek.

- Był upartym i nieustępliwym człowiekiem. Miał szansę coś zrobić, ale pozwolił, żeby zawładnęła nim duma i arogancja. - Klemens podniósł rozłożoną kartkę papieru, która leżała obok kasetki. - Przeczytał to, ale postawił siebie przed Bogiem.

- Umarł zaledwie trzy miesiące później. Cóż więc mógł uczynić?

- Mógł zrobić wszystko, o co prosiła Matka Boska.

- Zrobić co, Jakobie? Cóż jest takie ważne? Trzecia tajemnica fatimska nawołuje jedynie do głębokiej wiary i pokuty. Cóż więc miał uczynić Paweł?

Klemens wciąż utrzymywał obcesowy ton.

- Kłamanie idzie ci całkiem nieźle.

Szarpnęła nim ślepa furia, lecz szybko się opanował.

- Czyżbyś oszalał?

Papież zrobił krok w jego stronę.

- Wiem o twojej drugiej wizycie w tym pomieszczeniu.

Valendra nie odpowiedział.

- Archiwiści prowadzą szczegółowe rejestry. Przez całe stulecia notowali wejście każdej osoby, która kiedykolwiek znalazła się w tym pomieszczeniu! Wieczorem dwudziestego maja tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku byłeś tu razem z Pawłem VI. Po godzinie powróciłeś. Tym razem sam.

- Wypełniałem misję powierzoną przez Ojca Świętego. On polecił mi tu powrócić.

- Niewątpliwie, zważywszy, co wtedy znajdowało się wewnątrz drewnianej kasetki.

- Wysłano mnie, bym zapieczętował kasetkę i szufladę.

- Ale wcześniej, zanim zapieczętowałeś kasetkę, przeczytałeś to, co było w środku.

Któż jednak mógłby cię obwiniać? Byłeś młodym kapłanem, wyznaczonym do służby w papieskim obejściu. Twój papież, którego darzyłeś nabożną czcią, przed chwilą przeczytał

słowa świadka maryjnego objawienia, a słowa te wstrząsnęły nim do głębi.

- Tego nie możesz wiedzieć.

- Gdyby tak nie było, znaczyłoby to, że jesteś większym głupcem, niż dotąd uważałem.

Klemens spojrział na niego ostrym wzrokiem.

- Przeczytałeś ten tekst, a potem wyjąłeś jego fragment. Wiesz, że w tej kasecie były kiedyś cztery kartki papieru. Dwie zapisane ręką siostry Łucji, kiedy w 1944 roku uwieczniła treść trzeciej tajemnicy. Oraz dwie sporządzone ręką ojca Tibora, który w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku sporządził przekład. Ale po tym, jak Paweł otworzył kasetkę, a ty ją ponownie opatrzyłeś pieczęcią, nikt inny nie otwierał kasetki, aż do tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku, kiedy to Jan Paweł II po raz pierwszy przeczytał tekst tajemnicy. Odbędzie się to w obecności kilku kardynałów. Ich relacje potwierdzają, że pieczęć papieża była nienaruszona. Wszyscy obecni tego dnia oświadczyli również, że w kasecie były jedynie dwie kartki papieru, jedna zapisana przez siostrę Łucję i druga z tłumaczeniem ojca Tibora. Później, w dwutysięcznym roku, kiedy Jan Paweł ogłosił tekst trzeciej tajemnicy całemu światu, wciąż były w kasecie tylko te dwie kartki papieru. Jak to wytłumaczysz, Alberto? Gdzie się podziały dwie pozostałe kartki, które znajdowały się w środku w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku?

- Niczego nie wiesz.

- Niestety, dla nas obu, ciebie i mnie, wiem. Jest coś, o czym ty nie wiedziałaś. Ojciec Andriej Tibor, który przetłumaczył tekst dla Jana XXIII, zrobił kopię całego dwustronicowego tekstu trzeciej tajemnicy w notatniku, potem sporządził również dwustronicowe tłumaczenie. Przekazał papieżowi swą oryginalną pracę, ale później zauważył, że na kartkach jego notatnika zostały ślady tego, co napisał. On, podobnie jak ja, miał drażniący nawyk zbytniego dociekania rzeczy. Wziął więc ołówek, zamalował tekst i odczytał go na obu stronach. Na jednej były oryginalne słowa siostry Łucji. Na drugiej jego przekład. - Klemens podniósł kartkę papieru trzymaną w dłoni. - Jedno z tych faksymiliów, które ojciec Tibor ostatnio przesłał do mnie, znajduje się tu.

Twarz Valendrei wciąż nie wyrażała niczego.

- Czy mogę je zobaczyć?

Klemens uśmiechnął się.

- Jeśli chcesz.

Wziął kartkę do ręki. Nagły atak strachu ścisnął mu żołądek. Słowa były zapisane tym kobiecym pismem, które zapamiętał, około dziesięciu linijek po portugalsku. Nadal ich nie

rozumiał.

- Język portugalski był ojczystym językiem siostry Łucji - oznajmił Klemens. - Porównałem styl, formę oraz krój liter z faksymile ojca Tibora z pierwszą częścią tekstu trzeciej tajemnicy, którą tak wspaniałomyślnie pozostawiłeś w kasecie. Są identyczne pod każdym względem.

- Czy jest tu też tłumaczenie? - zapytał, skrywając emocje.

- Jest, gdyż dobrotliwy ojciec przesłał mi również to faksymile - odparł Klemens. - Ale znajduje się w kasecie. Tam, gdzie powinno.

- Zdjęcia oryginalnego tekstu siostry Łucji zostały opublikowane na całym świecie w roku dwutysięcznym. Ten ojciec Tibor mógł po prostu skopiować jej charakter pisma - odparł Valendrea wskazując na kartkę. - To może być falsyfikat.

- Dlaczego wiedziałem, że to właśnie powiesz? Mógłby być, ale nie jest. I obaj o tym wiemy

- Z tego powodu przychodzisz tutaj ostatnio? - zapytał kardynał.

- Cóż chciałbyś, żebym zrobił?

- Zignoruj te słowa.

Klemens pokiwał przecząco głową.

- To jedyna rzecz, której nie mogę zrobić. Wraz z reprodukcją rękopisu, ojciec Tibor przesłał mi proste pytanie. „Dlaczego Kościół kłamie?” Ale ty znasz odpowiedź. Nikt nie kłamie. Zanim Jan Paweł II ogłosił przed światem treść trzeciej tajemnicy, nikt nie wiedział, poza ojcem Tiborem i tobą, że istniała jeszcze druga część tego objawienia.

Valendrea cofnął się, wsunął dłoń do kieszeni i wyciągnął z niej zapalniczkę, którą wyczuł, gdy schodził na dół. Podpalił kartkę i upuścił na podłogę, kiedy zajęła się płomieniami.

Klemens nie uczynił nic, by go powstrzymać.

Valendrea deptał po poczerniałych popiołach, jak gdyby właśnie toczył walkę z diabłem. Potem skierował wzrok na Klemensa.

- Daj mi tłumaczenie tego przeklętego księdza.

- Nie, Alberto. Ono pozostanie w kasecie.

Instykt podpowiadał kardynałowi, że powinien odepchnąć starca i zrobić to, co należy. Ale na progu Risery zjawił się nocny prefekt.

- Zamknij ten sejf - nakazał Klemens strażnikowi archiwum, a ten pospiesznie ruszył wykonać polecenie.

Papież wziął Valendree pod ramię i wyprowadził z Risery Kardynał chciał się

wyrwać, ale w obecności strażnika musiał okazać respekt głowie Kościoła. Gdy znaleźli się między regałami, z dala od prefekta, wyrwał się z uchwytu Klemensa.

- Chciałem, żebyś wiedział, co cię czeka - oznajmił papież.

Coś jednak nie dawało Valendrei spokoju.

- Dlaczego nie powstrzymałeś mnie przed spaleniem tego dokumentu?

- To był perfekcyjny ruch, czyż nie, Alberto? Usunięcie tych dwóch stron z zasobów Risery. Nikt nie miał się o tym dowiedzieć. Dni Pawła były już policzone, wkrótce też złożono go w krypcie. Siostrze Łucji zakazano rozmawiać na ten temat z kimkolwiek, później również zmarła. Nikt inny nie wiedział, co znajdowało się w kasecie, poza być może zapomnianym bułgarskim kapłanem, który dokonał przekładu. Ale od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego ósmego roku upłynęło tyle lat, że nie stanowił on już problemu w twoim umyśle. Tylko ty mogłeś wiedzieć, że te dwie strony kiedykolwiek istniały. A nawet gdyby ktokolwiek je zauważył, to z naszych archiwów zawsze zniknęły jakieś dokumenty. Gdyby tłumacz tekstu zabrał głos publicznie, nie posiadając tych stron, nie byłoby dowodu. Tylko ciche gadanie.

Valendrea nie miał zamiaru reagować na żadną z rzeczy, które właśnie usłyszał.

Wciąż jednak pragnął wiedzieć.

- Dlaczego nie powstrzymałeś mnie przed spaleniem tego dokumentu?

Papież zawahał się, zanim udzielił odpowiedzi.

- Sam się przekonasz, Alberto.

Potem Klemens odszedł, powłócząc nogami, gdy prefekt zamykał kratę Risery.



BUKARESZT

SOBOTA, 11 LISTOPADA 6.00

Katerina spała kiepsko. Dokuczał jej ból szyi po ataku Ambrosiego, czuła też wściekłość na Valendrę. W pierwszym odruchu chciała powiedzieć sekretarzowi stanu, żeby się pieprzył, a potem wyjawić Michenerowi prawdę. Wiedziała jednak, że pokój zawarty z takim trudem poprzedniego wieczora zostanie obrócony w perzynę. Michener nigdy nie uwierzy, że głównym motywem zawiązania sojuszu z Valendrą była szansa na ponowne zbliżenie między nimi. Z pewnością widziałby tylko jej zdradę.

Tom Kealy miał rację co do kardynała. „To ambitny sukinsyn”. I to bardziej ambitny niż Kealy przypuszczał, pomyślała, spoglądając ponownie w sufit ciemnego pokoju i masując posiniaczone mięśnie. Kealy miał rację również co do innej rzeczy. Powiedział kiedyś, że istnieją dwie kategorie kardynałów - ci, którzy chcą zostać papieżem, oraz ci, którzy naprawdę chcą zostać papieżem. Ona dodała teraz trzecią kategorię - ci, którzy nad życie pragną zostać papieżem.

Tacy jak Alberto Valendrea.

Czuła do siebie nienawiść. W jakimś sensie pogwałciła niewinność, którą cechował się Michener. Nie mogła nic poradzić na to, kim on jest oraz w co wierzy. Może to właśnie ciągnęło ją ku niemu. Niestety, Kościół nie pozwalał duchownym na osobiste szczęście. Te sprawy zawsze kontrolowano pod kątem tego, co może się stać. Niech szlag trafi Kościół katolicki. I do diabła z Alberto Valendrą.

Spała w ubraniu i przez ostatnie dwie godziny cierpliwie czekała. Teraz skrzywienie desek podłogowych nad jej głową obudziło jej czujność. Wzrokiem śledziła przesuwające się odgłosy, gdy Colin Michener chodził po pokoju. Usłyszała szum wody spływającej do umywalki i czekała na to, co musiało się stać. Po kilku chwilach odgłosy kroków poprowadziły na korytarz i usłyszała, jak drzwi nad nią się zamykają.

Wstała, wyszła z pokoju i ruszyła w stronę klatki schodowej w chwili, gdy zamknęły się drzwi od łazienki na korytarzu na górze. Skradała się po schodach i odczekała chwilę na ich szczycie, czekając, aż usłyszy szum wody z prysznica. Wtedy pobiegła po wydeptanym

chodniku ułożonym na nierównych deskach podłogowych do pokoju Michenera, w nadziei, że jak zawsze niczego nie zamknął.

Otworzyła drzwi.

Weszła do środka, szukając wzrokiem torby podróżnej. Były w niej też jego rzeczy z wczorajszego wieczora oraz kurtka. Przeszukała kieszenie i znalazła kopertę, którą przekazał ojciec Tibor. Przypomniała sobie, że Michener ma zwyczaj brać krótkie natryski i bez wahania rozerwała kopertę:

*Ojcze Święty,*

*Przysięgi złożonej wobec Jana XXIII dotrzymywałem długo z uwagi na miłość do Boga. Ale kilka miesięcy temu pewne wydarzenie sprawiło, że pomyślałem inaczej o podjętym zobowiązaniu. Jedno z dzieci w sierocińcu umarło. W ostatnich chwilach, gdy chłopiec płakał z bólu, zapytał mnie o niebo i chciał wiedzieć, czy Bóg mu wybaczy. Nie byłem w stanie wyobrazić sobie, co można wybaczać tej niewinnej istocie, ale zapewniłem go, że Bóg wybaczy mu wszystko. Chciał, żebym mu to wytłumaczył, lecz śmierć była niecierpliwa i zabrała go, zanim zdążyłem to zrobić. Wtedy zdałem sobie sprawę, że ja również muszę prosić o wybaczenie. Ojcze Święty, przysięga wobec papieża znaczy dla mnie wiele. Dotrzymywałem jej przez ponad czterdzieści lat, ale nie można stawiać wyzwania niebiosom. Z pewnością nie jestem godzien, by mówić Tobie, Namiestnikowi Chrystusa, co trzeba zrobić. Musisz o tym postanowić Ty sam we własnej błogosławionej świadomości, kierując się wolą naszego Pana i Zbawiciela. Muszę jednak zapytać, na ile jeszcze nietolerancji pozwolą niebiosy? Nie chcę okazać braku szacunku, ale to Ty zwróciłeś się do mnie z prośbą o opinię. Więc pokornie przekazuję ją na Twe ręce.*

Katerina przeczytała tekst ponownie. Ojciec Tibor na papierze wyrażał się zagadkowo, podobnie jak mówił tylko zagadkami, kiedy się spotkali poprzedniego wieczora.

Złożyła list i wsunęła do białej koperty, którą znalazła wśród swoich rzeczy. Była nieco większa niż oryginalna, ale nie na tyle inna, by wzbudzić podejrzenia.

Wsunęła kopertę z powrotem do kieszeni kurtki i wyszła z pokoju. Gdy mijala drzwi łazienki, szum wody z prysznicą ustał. Oczyma wyobraźni zobaczyła, jak Michener się wyciera, nieświadom jej ostatniej zdrady. Zawahała się przez chwilę, potem zeszła po schodach, nie oglądając się za siebie i czując do siebie coraz większą pogardę.

## WATYKAN, 7.15

Valendrea odsunął śniadanie na bok. Nie miał apetytu. Spał bardzo marnie, a sen był na tyle realny, że wciąż nie mógł odpędzić go z myśli.

We śnie widział własną koronację, gdy niesiono go do Bazyliki św. Piotra w ceremonialnych *sedia gestatoria*. Ośmiu monsiniorów trzymało nad nim jedwabny baldachim, który rzucał cień na wiekowy złoty tron. Otaczała go papieska świta, każdy z hierarchów odziany był z ceremonialnym majestatem. Z trzech stron wachlarze ze strusich piór podkreślały jego wyniesioną pozycję przedstawiciela Chrystusa na ziemi. Chór śpiewał pieśń, gdy milion wiernych zgromadzonych na placu wiwatował, a dziesiątki milionów obserwowały relację w telewizji.

O dziwo jednak był nagi.

Nie miał na sobie żadnych szat. Ani papieskiej korony. Całkowicie nagi. Nikt zdawał się tego nie zauważać, tylko on sam miał bolesną świadomość tej nagości. Czuł dziwny dyskomfort, gdy pozdrawiał gestem zebrany tłum. Dlaczego nikt tego nie dostrzegł? Chciał zakryć nagość, ale strach przykuł go do tronu. Gdyby powstał, ludzie mogliby rzeczywiście dostrzec jego nagość. Czy śmialiby się z niego? Wysztydziłoby go? Wtedy wśród miliona tych, którzy go otaczali, dostrzegł tę jedną twarz.

Twarz Jakoba Volknera.

Niemiec był ubrany w ceremonialny strój papieski. Miał na sobie uroczyste szaty, mitrę i paliusz - wszystko to, co powinien mieć na sobie Valendrea. Ponad wiwatami, muzyką i śpiewem chóru słyszał wyraźnie każde słowo Volknera, tak wyraźnie jakby obaj stali obok siebie.

„Jestem zadowolony, że to ty, Alberto.”

„Co masz na myśli?”

„Przekonasz się.”

Zbudził się lepki od potu, później znowu zapadł w sen, ale tamten koszmar powrócił. W końcu uwolnił się od napięcia, biorąc gorący natrysk. Zadrasnął się dwa razy podczas golenia i poślizgnął się na podłodze łazienki. Niepokoił go fakt wytrącenia z równowagi. Nie

przywykł do niepokoju.

„Chciałem, żebyś wiedział, co cię czeka, Alberto.”

Przeklęty Niemiec, był tak bardzo zadowolony z siebie.

Teraz go zrozumiał.

Jakob Volkner wiedział dokładnie, co wydarzyło się w 1978 roku.

\*

*Valendrea ponownie wszedł do Risery. Paweł polecił mu wrócić tu, archiwista zaś otrzymał osobiste polecenie, by otworzyć sejf oraz zapewnić mu dyskrecję.*

*Sięgnął do szuflady i wyciągnął kasetkę z drewna. Przyniósł ze sobą wosk, zapalniczkę oraz pieczęć papieską Pawła VI. Podobnie jak kiedyś na zewnątrz kasetki przyłożona została pieczęć Jana XXIII, teraz pieczęć Pawła miała oznaczać, że kasetki nie wolno otwierać, chyba że na polecenie papieża.*

*Otworzył wieko i upewnił się, że wciąż są tam dwa pakiety, cztery złożone arkusze papieru. Wciąż widział twarz Pawła, gdy czytał pakiet leżący na wierzchu. Twarz ta wyrażała szok, uczucie rzadko widywane na obliczu Pawła VI. Było też coś jeszcze, choć tylko przez moment, Valendrea dostrzegł to wyraźnie.*

*Strach.*

*Wpatrywał się w kasetkę. Wciąż znajdowały się tu dwa pakiety zawierające treść trzeciej tajemnicy fatimskiej. Wiedział, że nie powinien tego robić, ale nikt nigdy się nie dowie. Podniósł ten pakiet, który wywołał tak gwałtowną reakcję.*

*Rozłożył kartki i ułożył obok siebie oryginalną stronę zapisaną po portugalsku, potem przejrzał wzrokiem włoskie tłumaczenie.*

*Zrozumiał niemal w mgnieniu oka. Wiedział, co musi zrobić. Być może właśnie dlatego Paweł go wysłał. Być może stary człowiek zdał sobie sprawę, że jego posłaniec przeczyta te słowa i zrobi to, czego papieżowi uczynić nie wolno.*

*Wsunął do kieszeni sutanny tekst z przekładem, a po sekundzie umieścił tam drugą stronę oryginalnego tekstu siostry Łucji. Potem rozwinął pozostały pakiet i przeczytał.*

*Nie było tam nic, co mogłoby przynieść ważne konsekwencje.*

*Ponownie złożył obie kartki, umieścił je w środku i zalakował kasetkę woskową pieczęcią.*

Valendrea wstał od stołu i zamknął drzwi wejściowe swego apartamentu. Następnie ruszył w stronę sypialni i wyciągnął z szafki małą szkatułkę z brązu. Dostał ją od ojca na siedemnaste urodziny. Od tamtej pory trzymał w niej wszystkie wartościowe rzeczy, wśród

nich fotografie rodziców, akty własności, certyfikaty posiadanych akcji, pierwszy mszał oraz różaniec otrzymany od Jana Pawła II.

Sięgnął pod sutannę i namacał kluczyk zawieszony na szyi. Otworzył szkatułkę i zaczął grzebać w jej zawartości. Dwie złożone kartki papieru, zabrane z Risery tamtego wieczora w 1978 roku, wciąż tu spoczywały. Jedna zapisana po portugalsku, druga po włosku. Połowa całej trzeciej tajemnicy fatimskiej.

Wyciągnął obie kartki.

Nie mógł się zmusić do ponownego przeczytania tych słów. Jeden raz był aż nadto. Poszedł do łazienki, porwał obie kartki na drobne kawałeczki, potem pozwolił, by opadły niczym deszcz do muszli klozetowej.

Nacisnął spłuczkę.

Popłynęły.

Ostatecznie.

Musiał jeszcze wrócić do Risery i zniszczyć faksymile nadesłane przez ojca Tibora. Ale jakakolwiek wizyta tam mogła nastąpić dopiero po śmierci Klemensa. Musiał też porozmawiać z ojcem Ambrosim. Starał się nawiązać z nim kontakt przez telefon satelitarny przed godziną, ale bez powodzenia. Teraz chwycił słuchawkę na blacie w łazience i ponownie wybrał numer.

Ambrosi odebrał.

- Czy coś się wydarzyło? - zapytał swojego asystenta.

- Rozmawiałem z naszym aniołem wczorajszego wieczora. Nie dowiedziała się zbyt wiele. Ale dzisiaj bardziej się postara.

- Zapomnij o tym. To, co pierwotnie planowaliśmy, jest teraz bez znaczenia.

Potrzebuję czego innego.

Musiał uważać na słowa, gdyż użycie telefonu satelitarnego nie gwarantowało żadnej dyskrecji czy poufności.

- Posłuchaj mnie - zaczął.

BUKARESZT, 6.45

Michener skończył ubierać się, potem wrzucił przybory toaletowe oraz brudne rzeczy do torby podróżnej. Kusiło go, żeby pojechać z powrotem do Zlatnej i spędzić z dziećmi więcej czasu. Nadchodziła zima, a ojciec Tibor opowiedział mu wczoraj wieczorem, jak wielkim wysiłkiem było dla nich choćby utrzymanie w sprawności bojlera do wody. Zeszłej zimy przez dwa miesiące musieli przetrwać przy zamrożonych rurach, używając prowizorycznego pieca i paląc w nim wszystko, co udało im się wyszabrować w lesie. Ojciec Tibor miał nadzieję, że tej zimy wszystko powinno być w porządku dzięki pracownikom organizacji humanitarnej, którzy spędzili w sierocińcu całe lato, naprawiając stary bojler.

Ojciec Tibor powiedział, że jego najgorętszym życzeniem jest to, żeby w ciągu najbliższych trzech miesięcy żadne z dzieci nie odeszło z tego świata. W zeszłym roku umarła trójka, pochowano je na cmentarzu tuż za murem. Michener zastanawiał się, jaki cel może być w takich cierpieniach. Jemu się poszczęściło. Celem istnienia ośrodków narodzin w Irlandii było znalezienie dzieciom domów. Ale matki oddzielano na zawsze od dzieci. Wiele razy przywoływał oczyma wyobraźni watykańskiego biurokrate, który zatwierdzał tak niedorzeczny plan, nigdy nie zastanawiając się nad związanymi z nim cierpieniami. Jakąż bezduszną polityczną machiną jest Kościół katolicki. Jego tryby obracają się niewzruszone od dwóch tysięcy lat, ich biegu nie zakłóciła reformacja, niewierni ani schizmy, które rozdarły machinę na części, ani grabieże Napoleona. Dlaczego więc Kościół miał się obawiać słów małej wieśniaczki z Fatimy? Jakże to mogło mieć znaczenie?

A jednak najwyraźniej miało.

Zarzucił na ramię torbę podróżną i zszedł na dół do pokoju Kateriny. Uzgodnili, że spotkają się na śniadaniu, zanim on odjedzie na lotnisko. Między drzwiami a framugą wsunięta była karteczka. Wyciągnął ją.

*Colinie,*

*Doszłam do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli nie zobaczymy się tego ranka. Chciałam, żebyśmy rozstali się w nastroju, który ogarnął nas wczorajszego wieczora. Dwoje*

*dawnych przyjaciół, którzy cieszyli się wzajemnie swoim towarzystwem. Życzę ci wszystkiego najlepszego w Rzymie. Zaslugujesz na sukces.*

*Zawsze Twoja Kate.*

Po części poczuł ulgę. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedział, co ma jej powiedzieć. Nie mieli żadnej możliwości kontynuować tej przyjaźni. Najmniejsze podejrzenie o niestosowność zrujnowałoby jego karierę. Cieszył się jednak, że rozstali się w zgodzie. Być może w końcu zawarli pokój. Miał przynajmniej taką nadzieję.

Podarł kartkę na kawałeczki, zszedł na dół, potem spuścił je do muszli klozetowej. Wydawało mu się dziwne, że było to konieczne. A jednak nie mógł pozostać nawet najmniejszy strzęp tej wiadomości. Nic, co wiązałoby ją i jego. Wszystko należało unicestwić.

Dlaczego?

To oczywiste. Protokół i wizerunek.

Mniej oczywiste było już jednak to, że czuł narastającą niechęć wobec obu tych przyczyn.

\*

Michener otworzył drzwi swojego apartamentu na trzecim piętrze Pałacu Apostolskiego. Jego pokoje znajdowały się w pobliżu papieskich, tam gdzie z dawien dawna zamieszkiwali osobiści sekretarze. Kiedy po raz pierwszy przeprowadził się tu trzy lata temu, naiwnie sądził, że duchy poprzednich mieszkańców mogą w jakiś sposób go poprowadzić. Od tamtej jednak pory nauczył się, że nie znajdzie tu żadnej duszy, żadnego przewodnictwa, a wskazówki, jeśli ich potrzebuje, musi odnaleźć w sobie.

Z lotniska w Rzymie przyjechał taksówką zamiast wezwać samochód z watykańskiego biura, konsekwentnie stosując się do zalecenia Klemensa, żeby jego podróż pozostała niezauważona. Na teren Watykanu wszedł od strony placu św. Piotra, ubrany zwyczajnie, jak jeden z tysięcy turystów.

Sobota nie była w Kurii pracowitym dniem. Większość personelu miała wolne, a wszystkie biura, z wyjątkiem kilku w Sekretariacie Stanu, były zamknięte. Zaszedł do swojego gabinetu i dowiedział, że Klemens wyleciał wcześniej do Castel Gandolfo i ma wrócić dopiero w poniedziałek. Rezydencja leżała jakieś dwadzieścia pięć kilometrów na południe od Rzymu i od czterystu lat służyła za papieski azyl. Współcześni papieże wykorzystywali tamtejszą swobodę, by uniknąć uciążliwego lata w Rzymie i aby urządzać sobie weekendowe wycieczki. Transport tam i z powrotem zapewniał helikopter.

Michener wiedział, że Klemens lubi przebywać w rezydencji, ale niepokoił się, gdyż wyjazd nie był umieszczony wcześniej w papieskim rozkładzie zajęć. Jeden z jego asystentów znalazł tylko takie wytłumaczenie, że papież wyraził chęć spędzenia kilku dni na wsi, harmonogram został więc zmieniony. W biurze prasowym pojawiło się kilka pytań na temat stanu zdrowia papieża, co było normą przy takich zmianach. Szybko wydano standardowe w takich sytuacjach oświadczenie: „Ojciec Święty cieszy się doskonałym zdrowiem, wszyscy życzymy mu długiego życia”.

Michener był jednak zatroskany, dodzwonił się więc do jednego z asystentów, którzy towarzyszyli papieżowi.

- Co on tam robi? - zapytał Michener.

- Chciał po prostu popatrzeć na jezioro i pospacerować w ogrodzie.

- Pytał o mnie?

- Ani słowem.

- Powiedz mu, że wróciłem.

Po godzinie w apartamencie Michenera zadzwonił telefon.

- Ojciec Święty chce cię widzieć, monsignore. Powiedział, że przejażdżka na południe bocznymi drogami będzie wspaniała. Czy monsignore rozumie, co on miał na myśli?

Uśmiechnął się i spojrzął na zegarek. Była trzecia dwadzieścia po południu.

- Powiedz mu, że będę tam przed zapadnięciem zmroku.

Klemens najwyraźniej nie chciał, żeby jego sekretarz przyleciał helikopterem, mimo że szwajcarscy gwardziści preferowali ten środek transportu. Zadzwonił więc do garażu i poprosił o przygotowanie samochodu bez oficjalnych insygniów.

\*

Droga na południowy wschód wśród oliwkowych sadów wiodła przez Góry Albańskie. Papieska rezydencja w Castel Gandolfo składała się z Villa Barberini, Villa Cybo oraz przepięknych ogrodów, a wszystko przycupnięte na brzegu jeziora Albano. To sanktuarium, wolne od nieustannego szumu miejskiej aglomeracji, stanowiło odpowiednie miejsce na chwilę samotności w ustawicznym rozgardiaszu spraw Kościoła.

Odnalazł Klemensa w szklanym ogrodzie. Michener już znowu wyglądał na papieskiego sekretarza, miał na sobie koloratkę i czarną sutannę z fioletowym pasem. Papież siedział na drewnianym krześle w otoczeniu ogrodowych roślin. Wysokie tafle okien zewnętrznej ściany wychodziły na popołudniowe słońce, ciepłe powietrze przesiąknięte było zapachem kwiatowego nektaru.

- Colinie, przysuń tu jedno z tych krzeseł. - Powitaniu papieża towarzyszył uśmiech.



- Dobrze wyglądasz - rzucił, wykonując polecenie.

Klemens uśmiechnął się szeroko.

- Nie wiedziałem, że kiedykolwiek wyglądałem źle.

- Wiesz, co mam na myśli.

- Naprawdę czuję się dobrze. Będziesz ze mnie dumny, jeśli ci powiem, że zjadłem śniadanie i obiad. A teraz opowiedz mi o eskapadzie do Rumunii, ze wszystkimi szczegółami.

Zdał relację ze wszystkiego, co się zdarzyło, omijając jedynie chwile spędzone z Kateriną. Następnie przekazał Klemensowi kopertę, a papież przeczytał odpowiedź ojca Tibora.

- Co dokładnie powiedział ci ojciec Tibor? - zapytał Klemens.

Udzielił wyczerpującej odpowiedzi.

- Mówił zagadkami, nigdy nie ujawnił zbyt wiele. Chociaż nie wyrażał się pochlebnie na temat Kościoła - zakończył relację.

- To akurat rozumiem - wymamrotał Klemens. - Wzburzyło go to, w jaki sposób Stolica Apostolska potraktowała trzecią tajemnicę. Sugerował, że słowa Matki Boskiej świadomie zignorowano. Powtarzał po wielokroć, żebyś uczynił to, co Ona nakazuje. Bez spierania się, bez zwłoki.

Wzrok starego człowieka dłużej się na nim zatrzymał.

- Opowiedział ci o Janie XXIII, prawda?

Przytaknął.

- Ty opowiedz mi.

Michener powtórzył relację starego księdza, a Klemens zdawał się nią zachwycony.

- Ojciec Tibor to jedyna żyjąca osoba spośród tych, które były w Riservie tamtego dnia - oznajmił papież, gdy jego sekretarz skończył. - Co o nim sądzisz?

Obrazy z sierocińca znów przemknęły mu przed oczyma.

- Sprawia wrażenie człowieka szczerego. Ale jest również uparty - odrzekł, powstrzymując się od powiedzenia na głos tego, co pomyślał: „Tak jak ty, Ojczy Świąty”. - Jakobie, czy teraz nie możesz mi wyjawić, o co w tym wszystkim chodzi?

- Muszę cię wysłać w jeszcze jedną podróż.

- Jeszcze jedną?

Klemens przytaknął.

- Tym razem do Medjugorie.

- Do Bośni? - zapytał z niedowierzaniem.

Temat Medjugorie był mu znany Dwudziestego czwartego czerwca 1984 roku na

szczycie góry w południowo-zachodniej Jugosławii dwójka dzieci miała doznać wizji z udziałem pięknej postaci kobiecej z dzieciątkiem na ręku. Następnego wieczora przybyli tu ponownie wraz z czworgiem przyjaciół i doznali podobnej wizji. Od tamtej chwili szóstka dzieci miała objawienia codziennie, każde z nich odbierało jakieś przesłanie. Miejscowe władze komunistyczne uznały te zdarzenia za antyrewolucyjny spisek i usiłowały nie dopuścić do dalszych objawień, ale ludzie już gromadzili się w tym miejscu. W ciągu kilku miesięcy pojawiły się doniesienia o cudownych uzdrowieniach oraz o różańcach przemieniających się w złoto. Objawienia nie ustały nawet w trakcie wojny domowej, nie przestały również napływać tłumy pielgrzymów. Obecnie dzieci były już dorosłymi ludźmi, kraj nazywał się Bośnia i Hercegowina, tylko jedno z sześciorga widzących wciąż jeszcze doznawało maryjnych objawień. Podobnie jak w wypadku Fatimy, tu również treść objawień okryta była tajemnicą. Pięcioro świadków objawień poznało dziesięć tajemnic wyjawionych przez Matkę Boską. Szósty świadek znał tylko dziewięć sekretów. Treść dziewięciu tajemnic została ogłoszona publicznie, dziesiąta wciąż pozostawała zagadką.

- Ojczy Święty, czy podróż ta jest konieczna?

Nie bardzo podobała mu się perspektywa tułania się po rozdartej wojną Bośni. Siły pokojowe Stanów Zjednoczonych oraz NATO wciąż musiały pilnować tam porządku.

- Muszę poznać treść dziesiątej tajemnicy z Medjugorie - oznajmił Klemens, a ton jego wypowiedzi wykluczał wszelką dyskusję. - Przygotuj mi list z nakazem dla świadków objawień. Mają obowiązek wyjawić ci treść przesłania. Nikomu innemu. Jedynie tobie.

Chciał się spierać, ale był zbyt zmęczony przelotem i wczorajszym gorączkowym dniem, by angażować się w sprzeciw, o którym wiedział, że będzie daremny.

- Kiedy, Ojczy Święty? - zapytał tylko.

Wierny przyjaciel zdawał się dostrzegać jego zmęczenie.

- Za kilka dni. To wzbudzi mniejszą ciekawość. I, jak poprzednim razem, wszystko musi zostać między nami.

BUKARESZT, RUMUNIA 21.40

Valendrea odpiął pasy bezpieczeństwa, gdy maszyna Gulfstream zeszła w dół z zasnuteego chmurami wieczornego nieba i wylądowała na lotnisku Otopeni. Pasażerski odrzutowiec należał do jednej z włoskich korporacji, której interesy związane były silnie z rodem Valendrea w Toskanii. Kardynał regularnie z niego korzystał, gdy musiał udać się w szybką podróż poza Rzym.

Ojciec Ambrosi, ubrany po cywilnemu, czekał na płycie lotniska. Czarny płaszcz opinał jego szczupłą sylwetkę.

- Witam, Eminencjo.

Wieczór na rumuńskiej ziemi był chłodny, dlatego Valendrea cieszył się, że ma na sobie palto z grubej wełny. Podobnie jak Ambrosi, on również ubrał się w cywilny strój. Nie składał oficjalnej wizyty, a ostatnią rzeczą, której sobie życzył, było rozpoznanie go. Przylatując tu, podejmował ryzyko, ale musiał osobiście ocenić stopień zagrożenia.

- Co z odprawą celną? - zapytał.

- Załatwiona. Watykańskie paszporty znaczą tutaj wiele.

Wsiadli do sedana, którego silnik pracował na jałowym biegu. Ambrosi prowadził, Valendrea natomiast zajął w pojedynkę miejsce z tyłu. Opuścili Bukareszt i jechali na północ, w stronę gór, drogami pełnymi kolein. To był pierwszy pobyt kardynała w Rumunii. Wiedział, że Klemens usilnie stara się przybyć tu z oficjalną pielgrzymką, ale papieska wizyta w tym targanym konfliktami kraju musiała zaczekać, aż on sam zasiądzie na Piotrowym tronie.

- W każdą sobotę przyjeżdża tam na modły - informował Ambrosi z przedniego siedzenia. - Bez względu na pogodę. Aura nie ma znaczenia. Robi tak od wielu lat.

Skinął głową, usłyszawszy tę informację. Ambrosi jak zwykle wykazał się skrupulatnością.

Od niemal godziny jechali w milczeniu. Teren stopniowo się wznosił, w końcu wjechali w serpentynę wijącą się po stromym zalesionym zboczu. Ambrosi zwolnił, gdy zbliżyli się do szczytu, zjechał na nierówne pobocze i zgasił silnik.

- To jest tam, trzeba iść tą ścieżką - wyjaśnił Ambrosi, przez pokryte mgiełką szyby wskazując dróżkę ledwo widoczną między drzewami.

Valendrea dostrzegł oświetlony reflektorami ich auta drugi samochód, zaparkowany z przodu.

- Dlaczego tu przyjeżdża?

- Z tego, co się dowiedziałem, uważa to miejsce za święte. W średniowieczu ten kościółek służył miejscowej szlachcie. Kiedy te tereny najechali Turcy, spalili w jego wnętrzu wszystkich mieszkańców wioski. Chyba czerpie siłę z ich męczeństwa.

- Musisz o czymś wiedzieć - powiedział Valendrea. Ambrosi wciąż siedział za kierownicą, w bezruchu wpatrując się w przednią szybę. - Wkrótce przekroczymy linię, ale musimy to zrobić. Stawka jest wysoka. Nie prosiłbym cię o to, gdyby nie było to takie ważne dla Kościoła.

- Nie trzeba nic wyjaśniać - odparł cicho Ambrosi. - Wystarczy, że Eminencja tak powie.

- Twoja wiara budzi podziw. Ale jesteś Bożym wojownikiem i musisz wiedzieć, za co walczysz. Powiem ci, co wiem.

\*

Wysiedli z samochodu. Ambrosi prowadził, drogą pod aksamitnym niebem rozjaśnionym blaskiem księżycy w fazie bliskiej pełni. Po pięćdziesięciu metrach wśród drzew pojawił się ciemny kształt kościółka. Gdy podeszli bliżej, Valendrea dostrzegł wiekowe rozety oraz dzwonnice; kamienie tworzące mur nie był już oddzielone, lecz złane w jedno, gdyż fugi zanikły. Wewnątrz nie paliło się żadne światło.

- Ojciec Tibor - zawołał po angielsku Valendrea.

Ciemna sylwetka stanęła w progu.

- Kto tu jest?

- Jestem kardynał Alberto Valendrea. Przybywam z Rzymu, żeby porozmawiać z ojcem.

Tibor wyszedł z kościółka.

- Najpierw osobisty sekretarz papieża. Teraz sekretarz stanu. Wysocy dostojnicy jak na skromnego księdza.

Kardynał nie był w stanie rozstrzygnąć, czy ton wypowiedzi bardziej skłania się ku sarkazmowi, czy też raczej wyraża szacunek. Wyciągnął rękę dłonią obróconą do dołu, a Tibor ukląkł i ucałował pierścień, który hierarcha nosił od dnia, gdy Jan Paweł II wyniósł go do kardynalskiej godności. Uległość duchownego sprawiła mu satysfakcję.

- Proszę, ojcze, wstań. Musimy porozmawiać.

Tibor powstał.

- Czy mój list dotarł już do rąk Klemensa?

- Tak, i papież wyraża wdzięczność. Wysłał mnie jednak, żebym dowiedział się więcej.

- Eminencjo, obawiam się, że nie jestem w stanie powiedzieć więcej, niż dotąd wyjawilem. Wystarczającym złem jest to, że złamałem przysięgę milczenia złożoną Janowi XXIII.

Kardynałowi spodobało się to, co usłyszał.

- Więc nie rozmawiałeś o tym wcześniej z nikim, ojcze? Nawet ze spowiednikiem?

- Tak właśnie, Eminencjo. Nie wyjawilem nikomu tego, co wiem, prócz Ojca Świętego.

- Czy papieski sekretarz nie przybył tu wczoraj?

- Owszem. Ale zasugerowałem mu prawdę jedynie mgliście. On niczego nie wie. Zakładam, Eminencjo, że widziałeś moją pisemną odpowiedź?

- Widziałem - skłamał.

- W takim razie wiesz również, że wyjawilem niewiele.

- Czym się kierowałeś, tworząc kopię dokumentu spisanego przez siostrę Łucję?

- Trudno to wyjaśnić. Kiedy tamtego dnia powróciłem do siebie po wykonaniu papieskiego polecenia, zauważyłem na papierze odcisnięte ślady liter. Pomodliłem się w tej intencji i usłyszałem głos, który polecił mi zamalować kartki ołówkiem i ujawnić te słowa.

- Po co trzymałeś je przez tyle lat?

- Sam zadawałem sobie to pytanie. Nie mam pojęcia dlaczego, wiem jedynie, że to zrobiłem.

- Dlaczego w końcu zdecydował się ojciec nawiązać kontakt z Klemensem?

- To, co stało się z trzecią tajemnicą fatimską, nie było słuszne. Kościół nie postąpił uczciwie wobec wiernych. W głębi duszy czułem potrzebę, by zabrać głos. Impuls, którego nie mogłem zignorować.

Valendrea pochwycił krótkie spojrzenie Ambrosiego i dostrzegł delikatny ruch jego głowy w prawą stronę. Tędy.

- Przejdźmy się, ojcze - powiedział, łagodnie biorąc Tibora pod ramię. - Opowiedz mi, dlaczego przyjeżdżasz w to miejsce?

- Mówiąc prawdę, Eminencjo, zastanawiałem się, jak mnie znaleźliście.

- Twoje oddanie modlitwie jest szeroko znane. Mój asystent rozpytał się w okolicy i

powiedziano mu, że jest to twój cotygodniowy zwyczaj.

- To miejsce jest święte. Katolicy odprawiają tu modły od pięciuset lat. Tu doznają ukojenia - wyznał i przerwał na chwilę. - Przychodzę tu również z powodu Matki Boskiej.

Szli wąską ścieżką, prowadził Ambrosi.

- Wyjaśnij to, ojcze.

- Matka Boska poleciła dzieciom w Fatimie, żeby w każdą pierwszą sobotę miesiąca przyjmować komunię świętą przebłagalną. Przychodzę tu każdego tygodnia i osobiście błagam o przebaczenie.

- O co się modlisz?

- Żeby na świecie zapanował pokój, który zwiastowała Matka Boska.

- Ja również wnoszę modły o to samo. Podobnie czyni Ojciec Święty.

Dróżka kończyła się przy skraju urwiska. Przed nimi rozciągał się widok na górskie pasmo i gęste lasy, pogrążone w szaroniebieskiej księżycowej poświacie. Pejzaż zdobiło niewiele światła, w oddali płonęło kilka ognisk. Nad południowym horyzontem jaśniała luna, wskazująca oddalony o sześćdziesiąt kilometrów Bukareszt.

- Cóż za majestat - odezwał się Valendrea. - Niezwykły widok.

- Przychodzę tu często po modlitwie - wyznał Tibor.

Kardynał ściszył głos.

- Co zapewne pomaga ojcu znieść umieranie dzieci w sierocińcu.

Tibor przytaknął.

- Znajduję tu spokój i ukojenie.

- Którego ojciec potrzebuje.

Dał znak Ambrosiemu, w którego dłoni pojawił się nóż o długim ostrzu. Pomocnik kardynała zamachnął się i ciął przez gardło Tibora. Gdy ksiądz zachłysnął się pierwszą strugą krwi, jego oczy wyrażały bezgraniczne zdumienie. Ambrosi opuścił nóż, chwycił Tibora od tyłu i pchnął starca w głęboką przepaść.

Ciało duchownego zniknęło w ciemnościach.

Chwilę później usłyszeli odgłos uderzenia o skały, potem kolejne i jeszcze jedno, na koniec nastąpiła cisza.

Valendrea stał w milczeniu z Ambrosim przy boku. Wciąż spoglądał w przepaść.

- Czy są tam skały? - zapytał cicho.

- Wiele oraz wartki górski strumień. Upłynie kilka dni, zanim ktoś odnajdzie ciało.

- Czy trudno go było zabić? - Bardzo chciał to wiedzieć.

- To była konieczność.

W ciemności wpatrywał się w wiernego przyjaciela, potem wyciągnął rękę i zrobił znak krzyża na czole, ustach i sercu.

- Wybaczam ci w imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Ambrosi pochylił głowę w geście podziękowania.

- Każda religia musi mieć swych męczenników. Właśnie byliśmy świadkami zrodzenia najnowszego męczennika tego Kościoła - oznajmił i ukląkł na ziemi. - Dołącz do mnie, pomodlimy się razem za duszę ojca Tibora.

CASTEL GANDOLFO

NIEDZIELA, 12 LISTOPADA 12:00

Michener stał za Klemensem we wnętrzu papamobile, gdy pojazd wyjeżdżał z terenu posiadłości w stronę miasteczka. Specjalnie skonstruowane auto było zmodyfikowanym mercedesem kombi, w którego wnętrzu dwie osoby mogły stać, chronione przez kokon przezroczystych, kuloodpornych osłon. Pojazdu używano za każdym razem, kiedy papież przemieszczał się przez duże tłumy wiernych.

Klemens wyraził zgodę na niedzielną wizytę. Miasteczko, które przylegało do papieskiej rezydencji, liczyło zaledwie około trzech tysięcy mieszkańców, ale ludzie ci byli nadzwyczaj oddani zwierzchnikowi Kościoła. Odbywając takie przejazdy, papież po prostu im dziękował.

Po rozmowie wczoraj po południu nie widział papieża aż do dzisiejszego ranka. Klemens XV, chociaż z natury kochał ludzi i lubił z nimi dyskutować, wciąż pozostawał Jakobem Volknerem, samotnym człowiekiem, niezwykle ceniącym swoją prywatność. Nic więc dziwnego, że wczorajszy wieczór spędził w pojedynkę, poświęcając czas na modły i lekturę, a potem położył się wcześniej.

Godzinę temu Michener przygotował list, w którym papież instruuje jednego ze świadków objawienia w Medjugorie, by uwiecznił na papierze tak zwaną dziesiątą tajemnicę, a Klemens opatrzył epistolę podpisem. Papieski sekretarz wciąż nie miał ochoty na podróż po Bośni i żywił nadzieję, że eskapada będzie krótka.

Dojazd do miasteczka zajął zaledwie kilka minut. Na rynku zgromadziły się już tłumy wznoszące wiwaty na widok papieskiego wehikułu. Klemens sprawiał wrażenie ożywionego tym widokiem i również machał, pozdrawiając z osobna ludzi, których rozpoznawał.

- To dobrze, że kochają swego papieża - cicho rzekł Klemens po niemiecku, wciąż kierując swą uwagę ku tłumom, i trzymając się kurczowo uchwytu z nierdzewnej stali.

- Nie dałeś im powodu, żeby cię nie kochali - odparł Michener.

- To powinno być celem każdego, kto nosi tę szatę.

Samochód objeżdżał placyk dookoła.



- Każ kierowcy się zatrzymać - poprosił papież.

Michener zastukał dwa razy w szybę. Samochód stanął,

Klemens otworzył drzwi z pancernego szkła. Zszedł na brukowaną nawierzchnię, a czwórka ochroniarzy, którzy z czterech stron obstawiali pojazd, natychmiast wzmogła czujność.

- Uważasz, że to rozsądne? - zapytał Michener.

Klemens uniósł wzrok.

- Najrozsądniejsze.

Procedura nakazywała, żeby papież nigdy nie opuszczał pojazdu. Chociaż tę wizytę uzgodniono dopiero wczoraj, z niewielkim wyprzedzeniem, upłynęło dostatecznie dużo czasu, by pojawiły się powody do niepokoju.

Klemens podszedł do tłumu z rozpostartymi ramionami. Dzieci chwytały jego starcze dłonie, on zaś brał maluchy na ręce i przytulał mocno. Michener wiedział, że jedno z wielkich rozczarowań w życiu Klemensa to niemożność bycia ojcem. Bardzo kochał dzieci.

Ludzie z ochrony otoczyli papieża, ale mieszkańcy miasteczka pomogli w rozładowaniu napięcia, zachowując spokój i okazując szacunek, gdy Klemens przechodził przed nimi. Wielu spośród nich wykrzykiwało „*Viva, viva!*”, który to okrzyk papieża słyszeli od stuleci.

Michener tylko obserwował. Klemens XV czynił to, co wszyscy papieże od dwóch tysięcy lat. „Ty jesteś Piotr, czyli Skała, i na tej Skale zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą. I tobie dam klucze królestwa niebieskiego; cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane w niebie, a co rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane w niebie.”\*

Dwustu sześćdziesięciu siedmiu mężczyzn wybierano jako ogniwa w nieprzerwanym łańcuchu, poczynając od Piotra, a na Klemensie XV kończąc. Miał przed sobą przykład idealnego pasterza strzegącego stada.

Przez myśl przebiegła mu część trzeciej tajemnicy fatimskiej.

*Ojciec Święty przeszedł przez wielkie miasto w połowie zrujnowane i na poły drżący, chwiejnym krokiem, udręczony bólem i cierpieniem, szedł, modląc się za dusze martwych ludzi, których ciała napotykał na swej drodze. Doszedłszy do szczytu góry, klęcząc u stóp wielkiego Krzyża, został zabity przez grupę żołnierzy, którzy kilka razy ugodzili go pociskami z broni palnej i strzałami z łuku.*

Być może ta zapowiedź zagrożenia wyjaśnia, dlaczego Jan XXIII oraz jego następcy

---

\* Wszystkie cytaty biblijne pochodzą z Biblii Tysiąclecia.

zdecydowali się utajnić treść trzeciej tajemnicy. Ale w 1981 roku kierowany przez Rosjan zamachowiec podjął próbę zabicia Jana Pawła II. Wkrótce potem, gdy wracał do zdrowia, Jan Paweł przeczytał trzecią tajemnicę fatimską. Dlaczego jednak czekał aż dziewiętnaście lat, zanim wreszcie ujawnił światu słowa Matki Boskiej? Dobre pytanie. Kolejne, które trzeba dodać do długiej listy pytań bez odpowiedzi. Postanowił nie zastanawiać się nad żadnym z nich. Zamiast tego skoncentrował uwagę na Klemensie, gdy ten bratał się z tłumem, i wszystkie jego obawy znikły.

Intuicja podpowiadała mu, że tego dnia nikt nie wyrządzi krzywdy jego drogiemu przyjacielowi.

Była druga po południu, kiedy dotarli do rezydencji. W szklanym ogrodzie czekał na nich lekki lunch; Klemens poprosił Michenera, by dotrzymał mu towarzystwa. Jedli w milczeniu, ciesząc oczy kwiatami i wyjątkowo ładnym listopadowym popołudniem. Basen znajdujący się tuż za szklanymi ścianami stał pusty. Był to jeden z niewielu luksusów, przy których upierał się Jan Paweł II, odpowiadając narzekającej na koszty Kurii, że to o wiele tańsze od wybrania nowego papieża.

Lunch składał się z pożywnego rosółu wołowego z warzywami, jednego z ulubionych dań Klemensa, i z razowego chleba. Michener miał słabość do pieczywa. Przywodziło mu na myśl Katerinę. Podczas obiadów i przy kawie często dzielili się chlebem. Zastanawiał się, gdzie teraz jest i dlaczego postanowiła wyjechać z Bukaresztu bez słowa pożegnania. Miał nadzieję, że któregoś dnia znowu ją zobaczy, być może wtedy, gdy jego służba w Watykanie dobiegnie końca. W miejscu, w którym nie istnieją tacy ludzie jak Alberto Valendra, gdzie nikogo nie będzie obchodzić, kim on jest i jakie czyny popełnił. Gdzie, być może, będzie mógł podążyć za głosem serca.

- Opowiedz mi o niej - przerwał milczenie Klemens.

- Skąd wiedziałeś, że myślę o niej?

- To nietrudne.

Właściwie pragnął o niej porozmawiać.

- Ona jest inna. Znam ją, ale trudno mi ją opisać.

Klemens upił łyk wina z pucharu.

- Nic na to nie poradzę - podjął Michener - ale sądzę, że byłbym lepszym kapłanem, gdybym nie musiał tłumić swoich uczuć.

Papież odstawił kielich na stół.

- Zamęt, który czujesz, jest zrozumiały. Celibat to błąd.

Papieski sekretarz przestał jeść.

- Mam nadzieję, iż nie wygłaszałeś tego poglądu w obecności nikogo innego.

- Jeśli nie mogę być szczery z tobą, to z kim?

- Kiedy doszedłeś do takiego wniosku?

- Sobór w Trydencie odbył się bardzo dawno temu. My zaś żyjemy tu w dwudziestym pierwszym wieku, przywiązani siłą do dogmatu uchwalonego w szesnastym stuleciu.

- Taka jest natura katolicyzmu.

- Sobór Trydencki zwołano, by przeciwstawić się protestanckiej reformacji. Przegraliśmy bitwę, Colinie. Protestanci mają prawo istnieć.

Rozumiał, co Klemens do niego mówi. Sobór trydencki potwierdził konieczność celibatu dla dobra tego, co głosiły Ewangelie, ale nie potwierdził boskiego pochodzenia tego dogmatu. To oznaczało możliwość jego zmiany, gdyby Kościół tego sobie życzył. Jedyne sobory, które odbyły się po trydenckim, watykański I oraz II, postanowiły jednak nie czynić nic w tej kwestii. Teraz zaś następca Piotra, człowiek, który mógł zrobić coś w tym względzie, kwestionował sensowność tego zaniechania.

- Co ty mówisz, Jakobie?

- Nic nie mówię. Po prostu rozmawiam ze starym przyjacielem. Dlaczego kapłanom nie wolno się żenić? Dlaczego muszą żyć w cnocie? Jeśli mogą żenić się inni, dlaczego nie duchowni?

- Osobiście zgadzam się z tobą, ale obawiam się, że Kuria by tego nie zrobiła.

Przesunął ciężar ciała do przodu, gdy odstawiał na bok pustą kokilkę po zupie.

- I to właśnie jest problem. Kuria zawsze przeciwstawi się temu, co może zagrozić jej przetrwaniu. Wiesz, co jeden z urzędników Kurii powiedział mi przed paroma tygodniami?

Michener pokręcił przecząco głową.

- Oznajmił, że celibat należy utrzymać, ponieważ koszty utrzymania duchowieństwa skoczyłyby drastycznie w górę. Musielibyśmy skierować dziesiątki milionów na zwiększone pensje dla księży z żonami i dziećmi. Wyobrażasz sobie? Taką logiką posługuje się Kościół.

Przytaknął, ale nie mógł się powstrzymać od komentarza.

- Gdybyś tylko napomknął o tej zmianie, dostarczyłbyś Valendrei broń, którą wykorzystałby razem z kardynałami. Mogłoby dojść do jawnej rewolty.

- Na tym polega korzyść zasiadania na tronie Piotrowym. Jestem nieomylny w kwestii kościelnej doktryny. Moje słowo jest ostateczne. Nie potrzebuję przyzwolenia i żaden urząd nie może mi się przeciwstawić.

- Dogmat nieomylności także został stworzony przez Kościół - przypomniał Michener.

- Może go zmienić, wraz ze wszystkim, co zrobisz, następny papież.

Klemens nerwowo skubał miękką poduszkę dłoni, który to nerwowy nawyk papieski sekretarz widywał już wcześniej.

- Miałem wizję, Colinie.

Musiła minąć chwila, by słowa te, wypowiedziane niemal szeptem, dotarły do jego świadomości.

- Co miałeś?

- Matka Boska do mnie przemówiła.

- Kiedy?

- Wiele tygodni temu, tuż po tym, jak ojciec Tibor skontaktował się ze mną po raz pierwszy. Dlatego poszedłem do Risery. To ona mi kazała.

Wcześniej zwierzchnik Kościoła mówił o zniesieniu zwyczaju, który liczył sobie pięćset lat. Teraz obwieszczał, że doznał maryjnego objawienia. Michener zrozumiał, że ich rozmowa musi się odbyć w tym miejscu, gdzie niemymi świadkami są jedynie rośliny, ale w uszach wciąż brzmiały mu słowa wypowiedziane wczoraj przez Klemensa w Turynie. „Czy sądzisz, że w Watykanie możemy cieszyć się choćby odrobiną prywatności?”

- Czy rozsądnie jest mówić o tym? - Miał nadzieję, że w jego tonie słychać ostrzeżenie. Ale Klemens zdawał się go nie słyszeć.

- Wczoraj Matka Boska objawiła mi się w kaplicy. Podniosłem oczy, a Ona unosiła się nade mną, otoczona niebieską i złotą poświatą, ujętą w aureolę - wyznał i przerwał na moment. - Powiedziała mi, że na Jej serce nałożono cierniową koronę, ludzie zadają Jej cierpienia, dopuszczając się bluźnierstw i okazując niewdzięczność.

- Jesteś pewien tych określeń? - zapytał.

Klemens przytaknął.

- Wypowiedziała je wyraźnie - odparł i zacisnął mocno palce. - Nie zdzieciniałem na starość, Colinie. To była wizja, nie mam co do tego wątpliwości.

Papież przerwał na chwilę.

- Jan Paweł II doświadczył tego samego.

Michener wiedział o tym, ale nie odezwał się słowem.

- Jesteśmy durniami - podjął Klemens.

Męczyła go mnogość zagadek.

- Matka Boska nakazała pojechać do Medjugorie.

- Dlatego właśnie tam mnie posyłasz?

Papież przytaknął.

- Zgodnie z jej słowami, wtedy wszystko się wyjaśni.

Upłynęło kilka chwil w milczeniu. Nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Trudno spierać się z niebem.

- Pozwoliłem Valendrei przeczytać treść tego, co znajduje się w kasetce z tajemnicą fatimską - wyszeptał Klemens.

Michener poczuł zamęt.

- Co tam jest?

- Część tekstu, który przesłał mi ojciec Tibor.

- Powiesz mi, jaka jest jego treść?

- Nie mogę.

- Dlaczego pozwoliłeś, żeby Valendrea przeczytał dokument?

- Żeby zobaczyć jego reakcję. Usiłował nawet zastraszyć kardynała archiwistę, żeby pozwolił mu zajrzeć do środka. Teraz on dokładnie wie, co wiem ja.

Już zamierzał zadać kolejne pytanie, by dowiedzieć się więcej, kiedy lekkie stukanie do drzwi przerwało ich rozmowę. Do środka wszedł jeden ze służących, trzymając złożoną kartkę papieru.

- Kilka minut temu przesłano to telefaksem z Rzymu, monsignore Michener. W nagłówku napisano, by dostarczyć to natychmiast do rąk własnych.

Wziął kartkę i podziękował służącemu, który szybko opuścił pomieszczenie. Michener rozłożył arkusz i przeczytał wiadomość. Potem spojrzął na Klemensa.

- Dzwonił nuncjusz w Bukareszcie. Ojciec Tibor nie żyje. Dzisiaj rano znaleziono jego ciało wyrzucone na brzeg rzeki na północ od miasta. Ktoś poderznął mu gardło i najprawdopodobniej zepchnął go z wysokiego urwiska. Jego samochód znaleziono w pobliżu starego kościółka, w którym często się modlił. Policja podejrzewa napad na tle rabunkowym. W tamtym rejonie roi się od złodziei. Powiadomiono mnie, ponieważ jedna z sióstr w sierocińcu powiedziała nuncjuszowi o mojej wizycie. Nuncjusz zastanawia się, dlaczego moja wizyta nie była zapowiedziana.

Z twarzy papieża odpłynęły wszelkie kolory. Wykonał znak krzyża i złożył dłonie do modlitwy. Michener patrzył, jak papież zaciska mocno powieki, a potem mamrocze coś do siebie.

Po twarzy Niemca spłynęły łzy.

16:00

Przez całe popołudnie Michener myślał o ojcu Tiborze. Spacerował po ogrodach rezydencji i starał się pozbyć z oczu wizji zakrwawionego ciała starego Bułgara, wyławianego z rzeki. Na koniec poszedł do kaplicy, w której od wieków papieże i kardynałowie stawali przed ołtarzem. Upłynęło już ponad dziesięć lat, odkąd po raz ostatni celebrował mszę świętą. Był zbyt zajęty zaspokajaniem świeckich potrzeb innych, ale teraz poczuł nagłą potrzebę poprowadzenia mszy żałobnej w intencji starego księdza.

W milczeniu wkładał szaty liturgiczne. Wybrał czarną stulę i założył ją na szyję, po czym podszedł do ołtarza. Zwykle składano tu ciało zmarłego, a w ławkach zasiadali bliscy i przyjaciele. Nabożeństwo miało podkreślić zjednoczenie z Chrystusem, komunie ze świętymi, którą zmarły już się raduje. Na koniec, w dzień Sądu Ostatecznego, wszyscy znów będą mogli się połączyć i zamieszkają na wieki w domu Boga.

Przynajmniej tak głosił Kościół.

Kiedy jednak wygłaszał wymagane liturgią modły, naszły go wątpliwości, czy aby nie czyni tego na próżno. Czy rzeczywiście istnieje Najwyższa Istota, która oferuje wiekuiste zbawienie? I czy na tę nagrodę można zasłużyć, czyniąc to, co nakazuje Kościół? Czy kilka chwil skruchy wystarcza na zabawienie życia pełnego złych uczynków? Czy Bóg nie pragnie więcej? Czy nie pragnął życia wypełnionego poświęceniem? Nikt nie jest idealny, człowiek zawsze popełnia błędy, ale do zbawienia z pewnością trzeba więcej niż kilka aktów pokuty

Nie wiedział, kiedy zaczął wątpić. Być może już przed laty, kiedy związał się z Kateriną. A może przebywając w otoczeniu ambitnych hierarchów, którzy otwarcie głosili miłość do Boga, ale w cichości kierowali się chciwością i ambicją. Jaki cel miało padanie na kolana i całowanie papieskiego pierścienia? Chrystus nigdy nie usankcjonował takich pokazowych gestów. Dlaczego więc Jego dzieci dozwalały na ten przywilej?

Czy jego wątpliwości to po prostu znak czasu?

Świat był zupełnie inny niż sto lat temu. Wszyscy zdawali się połączyć. Komunikacja była kwestią sekund. Nadmiar informacji stał się ewidentny. Bóg po prostu nie pasował do tej rzeczywistości. Może człowiek po prostu rodził się, żył i na koniec umierał, a jego ciało

ulegało rozkładowi i powracało do ziemi. „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz”, jak głosi Biblia. Nic poza tym. Jeśli jednak to prawda, to wszystko, co człowiek czyni w życiu, zasługuje zawsze na otrzymywaną nagrodę - pamięć egzystencji staje się zbawieniem.

Studiował dzieje Kościoła katolickiego dostatecznie długo, by zrozumieć, że większość nauk wiąże się bezpośrednio z jego własnymi interesami, a nie z interesami wiernych. Czas z pewnością zatarł wszystkie granice między aspektem pragmatycznym a boskim. Reguły stworzone niegdyś przez człowieka, stały się teraz prawami boskimi. Księża żyli w celibacie, ponieważ tak nakazał Bóg. Duchownymi byli mężczyźni, ponieważ Chrystus był mężczyzną. Adam i Ewa byli mężczyzną i kobietą, więc miłość może istnieć tylko między mężczyzną a kobietą. Skąd pochodziły te interpretacje? Dlaczego wciąż zachowywały ważność?

Dlaczego on podawał je w wątpliwość?

Usiłował zmienić bieg myśli i skupić się, ale nie zdołał. Być może wspólny pobyt z Kateriną sprawił, że ponownie zaczął wątpić. Być może bezsensowna śmierć starego człowieka w Rumunii uświadomiła mu, że ma już czterdzieści siedem lat i w swym życiu uczynił niewiele poza pięciem się na plecach niemieckiego biskupa po szczeblach kariery w Stolicy Apostolskiej.

Musiał zrobić coś więcej. Coś bardziej pożytecznego. Coś, co pomoże innym, nie tylko jemu.

Ruch przy drzwiach przyciągnął jego uwagę. Podniósł wzrok i zobaczył, że Klemens wchodzi wolnym krokiem do kaplicy i klęka w jednej z ławek.

- Kontynuuj, proszę. Ja również odczuwam taką potrzebę - powiedział papież, po czym pochylił głowę i pogrążył się w modlitwie.

Michener wrócił do celebrowania mszy i przygotowania komunii. Przyniósł tylko jedną hostię, podzielił więc opłatek na pół.

Podszedł do Klemensa.

Stary człowiek, pogrążony w modlitwie, podniósł wzrok. Jego oczy były czerwone od łez, rysy twarzy zniekształciło cierpienie i boleść. Zastanawiał się, co tak bardzo doskwiera Jakobowi Volknerowi. Śmierć ojca Tibora z pewnością głęboko go poruszyła. Podał mu hostię, a papież otworzył usta.

- Ciało Chrystusa - wyszeptał i położył opłatek na języku Klemensa.

Papież przeżegnał się, potem znów rozmodlony pochylił głowę. Michener cofnął się do ołtarza i przystąpił do celebrowania zakończenia mszy.

Przychodziło mu to z trudem.

Szloch Klemensa XV który odbił się echem po kaplicy, sprawiał mu głęboki ból.



RZYM, 20.30

Katerina nienawidziła samej siebie za to, że wróciła do Toma Kealy, ale przyleciała do Rzymu wczoraj, a kardynał Valendrea wciąż nie nawiązał z nią kontaktu. Polecono jej, żeby sama nie dzwoniła, co nawet jej odpowiadało, gdyż nie miała wiele do zrelacjonowania ponad to, co Ambrosi już wiedział.

Przeczytała, że papież wyjechał na weekend do Castel Gandolfo, zakładała więc, że Michener również tam jest. Wczoraj Kealy czerpał perwersyjną rozkosz z naśmiewania się z jej wypadu do Rumunii, sugerując przy okazji, że być może stało się tam dużo więcej, niż ona skłonna jest przyznać. Świadomie nie powiedziała mu wszystkiego, co wyjawiał ojciec Tibor. Michener nie mylił się co do Kealy'ego. Nie był to człowiek godny zaufania. Przekazała mu więc okrojoną wersję. Ta pozwoliła jej wyciągnąć z niego informacje, w co może być wplątany osobisty sekretarz papieża.

Siedzieli razem z Kealym w przytulnej osterii. Duchowny miał na sobie jasny garnitur i krawat, być może powoli przyzwyczajał się do faktu, że nie będzie już publicznie nosił koloratki.

- Nie rozumiem całego tego szumu - odezwała się. - Katolicy uczynili instytucję z maryjnych objawień. Dlaczego trzecia tajemnica fatimska jest taka ważna?

Kealy nalewał wino z butelki, za którą słono zapłacił.

- To było fascynujące, nawet dla Kościoła. Przesłanie pochodziło prosto z nieba, a mimo to kilku papieży pod rząd utrzymywało je w tajemnicy do chwili, gdy Jan Paweł II obwieścił ją światu w dwutysięcznym roku.

Mieszała łyżką w zupie i czekała na bliższe wyjaśnienia.

- W latach trzydziestych dwudziestego wieku Kościół uznał objawienia fatimskie za wiarygodne. Oznaczało to, iż katolicy mogli wierzyć w te wydarzenia, jeśli mieli taką wolę - wyjaśnił i uśmiechnął się. - Typowe podejście pełne hipokryzji. Watykan ogłasza jedno, a robi drugie. Nie protestuje przeciwko tłumom pielgrzymujących do Fatimy i łożeniu milionowych donacji, ale jednocześnie nie zdobywa się na oświadczenie, że objawienia rzeczywiście nastąpiły. Ponadto Watykan nie zamierza ujawnić rzeszom wiernych słów, które

wypowiedziała Matka Boska.

- Dlaczego je ukrywa?

Upił łyk burgunda, potem obracał w palcach nóżkę kieliszka.

- Od kiedy to Watykan okazuje wrażliwość? Tym ludziom wciąż się wydaje, że żyją w piętnastym stuleciu, kiedy każde ich słowo akceptowano bezkrytycznie. Jeśli w tamtych czasach ktokolwiek toczył dysputy, był obkładany papieską ekskomuniką. Ale żyjemy w nowych czasach, a ta kupa gnoju przestała już cuchnąć. - Kealy przywołał kelnera i poprosił o przyniesienie chleba. - Pamiętaj, że papież jest nieomylny, gdy zabiera głos w kwestiach wiary i moralności. Sobór Watykański I zatwierdził tę perelkę w tysiąc osiemset siedemdziesiątym roku. Co by się stało, gdyby przez jedną uroczą chwilę słowa Matki Boskiej okazały się sprzeczne z dogmatem? Prawda, że byłoby to nad wyraz kłopotliwe? - Zdawało się, że myśl ta sprawia Kealy'emu ogromną przyjemność.

- Może książka, którą mamy napisać, powinna o tym traktować? Wszystko na temat trzeciej tajemnicy fatimskiej. Możemy wyciągnąć na światło dzienne tę hipokryzję i przyjrzeć się z bliska kilku papieżom oraz kardynałom. Być może nawet samemu Valendrei.

- A twoja sytuacja? Przestała być dla ciebie ważna?

- Przyznaj szczerze, nie sądzisz, bym miał jakąkolwiek szansę na zwycięstwo przed Trybunałem.

- Może oni zadowolą się ostrzeżeniem. W ten sposób będą trzymali cię w garści, pod kontrolą, ty zaś zachowasz koloratkę.

Roześmiał się.

- Zdaje się, że ogromnie zależy ci na mojej koloratce. Brzmi to dziwnie w ustach ateistki.

- Odpieprz się, Tom.

Wyjawiała temu człowiekowi zdecydowanie za dużo na swój temat.

- Tyle w tobie ikry. To w tobie lubię, Katerino. - Przełknął kolejny łyk wina. - Zadzwonili wczoraj z CNN. Chcą wynająć mnie na kolejne konklawe.

- Cieszę się ze względu na ciebie. To wspaniała oferta.

Zastanawiała się, jakie skutki będzie to miało dla niej.

- Nie martw się, wciąż zamierzam zrobić tę książkę. Mój agent rozmawia z wydawcami o tej pozycji oraz o powieści. Ty i ja stworzymy wspaniały zespół.

W jej głowie zrodziło się postanowienie, którego nagłość ją zaskoczyła. Była to jedna z tych decyzji, które stają się jasne w ułamku sekundy. Nie stworzą razem zespołu. To, co kiedyś zapowiadało się obiecująco, stało się żałosne. Na szczęście miała jeszcze kilka tysięcy

euro od Valendrei, wystarczająco dużo, by powrócić do Francji lub Niemiec, gdzie mogłaby zatrudnić się w jakimś dzienniku lub czasopiśmie. Lecz tym razem utrzyma emocje na wodzy - będzie grać zgodnie z zasadami.

- Katerino, jesteś tu? - zapytał Kealy.

Oderwała się od rozmyślań.

- Sprawiasz wrażenie, jakbyś była o tysiące mil stąd.

- Byłam. Nie sądzę, żeby powstała jakakolwiek książka. Tom, jutro wyjeżdżam z Rzymu. Musisz znaleźć innego murzyna, który napisze ci tę książkę.

Kelner postawił na stole koszyk z jeszcze parującym Chlebem.

- To nie będzie trudne - nie owijał w bawełnę.

- Wcale tak nie sądziłam.

Sięgnął po kromkę.

- Na twoim miejscu nie wypręgałbym swego konia. Wygląda na to, że ten wóz rusza z miejsca.

Wstała od stołu.

- Powiem ci, dokąd ten wóz nie dojedzie.

- Wciąż zależy ci na nim, prawda?

- Na nikim mi nie zależy. A ciebie mam już dość. Ojciec powiedział mi kiedyś, że im wyżej małpa w cyrku wdrapie się na słup, tym lepiej widać jej dupę. Zapamiętałam to.

I wtedy wyszła. Od tygodni nie czuła się tak dobrze.

CASTEL GANDOLFO

PONIEDZIAŁEK, 13 LISTOPADA 6:00

Michener się obudził. Nigdy nie potrzebował budzika, jego organizm zdawał się być wyposażony w biologiczny zegar, i ten zawsze budził go o czasie, który sobie wyznaczył przed udaniem na spoczynek. Jakob Volkner, kiedy był arcybiskupem, a potem kardynałem i podróżował po całym globie, służąc w rozmaitych komisjach i komitetach, zawsze polegał na zdolnościach Michenera w tym zakresie, gdyż do mocnych stron Klemensa XV punktualność nie należała.

Podobnie jak w Watykanie, Michener zajmował sypialnię na tym samym piętrze co Klemens, w głębi korytarza, a ich pokoje łączyła bezpośrednia linia telefoniczna. Za dwie godziny mieli odlecieć helikopterem z powrotem do Watykanu. Papież miał więc czas na poranną modlitwę, śniadanie oraz szybkie przejrzenie spraw wymagających natychmiastowej uwagi, skoro właśnie uciał sobie dwa dni wolne od pracy. Wczorajszego wieczora przefaksowano kilka memorandów, a Michener przygotował je do przedyskutowania po śniadaniu. Wiedział, że harmonogram na resztę dnia jest napięty, gdyż na popołudnie i wieczór zaplanowano szereg papieskich audiencji. Nawet kardynał Valendrea prosił o całą godzinę przed południem na omówienie spraw zagranicznych.

Wciąż martwił się mszą żałobną. Klemens szlochał przez pół godziny, zanim wreszcie opuścił kaplicę. Nie rozmawiali ze sobą. Cokolwiek trapiło starego przyjaciela, nie miało być przedmiotem rozmowy. Być może kiedyś nadejdzie taka chwila. Miał tylko nadzieję, że powrót do Watykanu i intensywne prace oderwą myśli Klemensa od bolesnego problemu. Widok tak nagłego wybuchu emocji budził w Michenerze niepokój.

Wziął prysznic bez pośpiechu, potem włożył świeżą czarną sutannę i opuścił swój pokój. Ruszył korytarzem w kierunku papieskich apartamentów. Pod drzwiami stał szambelan wraz z jedną z sióstr przydzielonych do domowego gospodarstwa papieża. Michener zerknął na zegarek. Była szósta trzydzieści rano.

- Jeszcze nie wstał?

Szambelan pokręcił głową.

- Nie słysząc żadnego ruchu.

Wiedział, że papieska służba czeka każdego ranka, póki nie usłyszy zamieszania czynionego przez Klemensa, który zwykle budził się między szóstą a szóstą trzydzieści. Tuż po tym rozlegało się ciche stukanie do drzwi i zaczynała się poranna rutyna, w tym prysznic, golenie oraz ubieranie. Klemens nie życzył sobie, by ktokolwiek asystował mu przy natrysku. Robił to w samotności, a w tym czasie szambelan ścielił łóżko i szykował papieskie szaty. Do zadań zakonnic należały porządki w pokoju i przyniesienie śniadania.

- Być może po prostu zasnął - zasugerował Michener. - Nawet papież raz na jakiś czas ma prawo poleniuchować.

Dwoje słuchających uśmiechnęło się.

- Pójdę do swego pokoju. Zawołajcie mnie, kiedy go usłyszycie.

Upłynęło trzydzieści minut, kiedy dobiegło go pukanie do drzwi. Na zewnątrz stał szambelan.

- Wciąż nie dobiega żaden odgłos, monsignore - powiedział. Na jego twarzy malowała się głęboka troska.

Michener wiedział, że nikt poza nim nie ośmielił się wejść do papieskiej sypialni bez osobistego zezwolenia Klemensa. Pomieszczenie to uznawano za miejsce, w którym papież ma zapewnioną całkowitą prywatność. Ale dochodziła już siódma trzydzieści, on zaś wiedział, czego oczekuje od niego szambelan.

- W porządku - odparł. - Wejdę tam i zobaczę, co się dzieje.

Ruszył za szambelanem do miejsca, w którym na straży stała zakonnicą. Gestem dała znać, że ze środka wciąż nie dobiega żaden odgłos. Zastukał lekko w drzwi i odczekał. Nic. Zapukał ponownie, tym razem głośniejszym głosem. Wciąż nic. Chwycił gałkę i przekręcił. Ustąpiła. Pchnął drzwi do wewnątrz, wszedł do środka i zamknął drzwi za sobą.

W jednym końcu komnaty sypialnej znajdowały się strzeliste przeszklone drzwi wychodzące na balkon z widokiem na ogrody. Meble były antyczne. O wystrój apartamentów w Stolicy Apostolskiej dbał każdy papież, dostosowując styl do własnych gustów, ale pokoje w Castel Gandolfo nie zmieniały się i przesiąknięte były atmosferą Starego Świata oraz czasów, kiedy papieże byli rycerzami i królami.

Światło nie było zapalone, ale poranne słońce wlewało się przez zaciągnięte kotary, spowijając pomieszczenie stonowaną poświatą.

Klemens leżał na boku, przykryty prześcieradłami. Michener podszedł bliżej.

- Ojciec Święty - powiedział cicho.

Klemens nie odpowiedział.

- Jakobie.

Wciąż cisza.

Twarz papieża odwrócona była w drugą stronę, prześcieradła i koc zsunęły się częściowo z jego słabowitych członków. Michener dotknął ramienia starca i lekko potrząsnął. Natychmiast wyczuł wyziębienie ciała. Obszedł łóżko i spojrzał na twarz Klemensa. Skóra była wiotka i blada, usta otwarte, pod nimi na prześcieradle widniała zaschnięta plama śliny. Odwrócił papieża na plecy i ściągnął kołdrę. Ręce Klemensa leżały bezwładnie po bokach, klatka piersiowa nie unosiła się.

Sprawdził puls.

Brak.

W pierwszej chwili pomyślał o wezwaniu pomocy lub o sztucznym oddychaniu. Przeszedł odpowiednie przeszkolenie, podobnie zresztą jak reszta osobistego personelu, ale wiedział, że wszystko to nie zda się na nic.

Klemens XV nie żył.

Zamknął oczy i wypowiadał słowa modlitwy, targany nagłym porywem bóleści. Czuł się tak, jakby ponownie utracił matkę i ojca. Modlił się za duszę drogiego przyjaciela, potem pozbierał się w sobie. Pewne sprawy wymagały załatwienia. Należało stosować się do protokołu, którego zasady ustanowiono bardzo dawno, on zaś miał obowiązek dopilnować, by ściśle się go trzymać.

Coś jednak przykuło jego uwagę.

Na nocnym stoliku stała mała buteleczka w kolorze karmelu. Kilka miesięcy temu papieski lekarz przepisał Klemensowi lek pomagający w zaśnięciu. Michener osobiście dopilnował realizacji recepty i sam umieścił buteleczkę w łazience papieża. W środku znajdowało się trzydzieści tabletek. Kiedy kilka dni temu je liczył, wciąż było ich trzydzieści. Klemens miał do leków stosunek pogardliwy. Nakłonienie go do zażycia aspiryny wymagało stoczenia prawdziwej bitwy, a zatem widok fiołki obok łóżka wzbudził jego zdumienie.

Zajrzał do środka buteleczki.

Pusta.

W szklance stojącej obok fiołki było tylko kilka kropel wody

Implikacje były tak poważne, że Michener się przeżegnał.

Patrzył na Jakoba Volknera i zadumał się nad duszą drogiego przyjaciela. Jeśli istniało miejsce nazywane niebem, to wierzył dogłębnie, że stary Niemiec tam właśnie trafił. Drzemiący w duszy Michenera kapłan pragnął wybaczyć to, co najprawdopodobniej tu się stało, lecz teraz mógł uczynić to jedynie Bóg, o ile istniał.

Papieży katowano na śmierć, wieszano ich, truto, duszono, ginęli też z rąk oszalałych z zazdrości mężów.

Ale żaden z nich nigdy nie odebrał sobie życia.

Do tej chwili.

# CZEŚĆ TRZECIA



9.00

Michener stał w oknie komnaty i obserwował lądowanie watykańskiego helikoptera. Nie opuszczał Klemensa od chwili dokonania odkrycia, do kardynała Ngovi w Rzymie zadzwonił z aparatu znajdującego się obok łóżka.

Afrykanin był kamerlingiem, szambelanem Świętego Kościoła Rzymskiego, pierwszą osobą, którą należało poinformować o śmierci papieża. Prawo kanoniczne stanowiło, że na barki Ngoviego spada teraz administrowanie Kościołem w okresie *sede vacante*, sediswakancji, jak nazywano oficjalnie stan, gdy brakowało głowy Kościoła. Papież umarł. Ngovi, w porozumieniu ze Świętym Zgromadzeniem Kardynałów, miał kierować administracją przez dwa następne tygodnie, w trakcie przygotowań do pogrzebu oraz organizowania zbliżającego się konklawe. Pełniąc funkcję kamerlinga Ngovi nie występował jako papież, lecz tymczasowy administrator, niemniej jednak jego władza była oczywista. Michener uznał to zresztą za bardzo korzystne. W końcu ktoś musiał kontrolować Alberta Valendree.

Łopaty helikoptera zwalniały obroty, ktoś otworzył drzwi kabiny. Pierwszy wysiadł Ngovi, za nim Valendrea, obaj odziani w szkarłatne uroczyste szaty. Jako urzędujący sekretarz stanu Valendrea musiał tu być obecny. Za kardynałem podążało jeszcze dwóch biskupów wraz z osobistym lekarzem papieża, o którego obecność Michener specjalnie poprosił. Nie wprowadził Ngoviego w szczegóły dotyczące zgonu. Nie uczynił tego także w odniesieniu do personelu rezydencji, nakazując jedynie zakonniczy i szambelanowi dopilnowanie, żeby nikt nie wchodził do sypialni.

Po trzech minutach drzwi papieskiej sypialni otworzyły się, a do środka weszli dwaj kardynałowie oraz lekarz. Ngovi zamknął drzwi i zasunął rygiel. Lekarz podszedł do łóżka i badał ciało Klemensa. Michener pozostawił wszystko tak, jak zastał, w tym laptop papieża, wciąż jeszcze włączony i podpięty do linii telefonicznej. Na monitorze widać było wygaszacz ekranu zaprogramowany specjalnie dla Klemensa - tiarę ze skrzyżowanymi kluczami.

- Powiedz mi, co się stało - poprosił Ngovi, stawiając na łóżku niewielką torbę na ramię.

Michener opowiedział, co zastał, potem wskazał stolik. Żaden z kardynałów nie dostrzegł fiołki na tabletki.

- Jest pusta.

- Chce ojciec przez to powiedzieć, że zwierzchnik Kościoła katolickiego odebrał sobie życie? - zapytał Valendrea.

Nie miał nastroju do kłótni.

- Niczego nie chcę powiedzieć. Jedynie to, że w buteleczce było trzydzieści tabletek.

Sekretarz stanu zwrócił się do lekarza.

- Jakie jest pańskie zdanie, doktorze?

- Nie żyje już od jakiegoś czasu. Pięciu lub sześciu godzin, może dłużej. Brak śladów obrażeń, nie ma też zewnętrznych symptomów wskazujących na zatrzymanie akcji serca. Nie doszło do utraty krwi, brak śladów stłuczeń. Na pierwszy rzut oka wygląda na to, że zmarł we śnie.

- Czy przyczyną zgonu mogły być te tabletki? - zapytał Ngovi.

- Można to stwierdzić wyłącznie na podstawie autopsji.

- To nie wchodzi w grę - natychmiast zaoponował Valendrea.

Michener spojrzał na sekretarza stanu.

- Musimy to wiedzieć.

- Nie musimy niczego wiedzieć - podniósł głos Valendrea. - Mówiąc prawdę, nawet lepiej, że nie wiemy. Niech ojciec zniszczy tę fiołkę. Możecie sobie wyobrazić, jaki cios dla Kościoła będzie miało ujawnienie faktu, że papież odebrał sobie życie? Nawet cień takiej sugestii może spowodować niepowetowane szkody.

Michener już wcześniej się nad tym zastanawiał, ale był zdecydowany poradzić sobie z sytuacją lepiej, niż kiedy Jan Paweł I zmarł nagle w 1978 roku, po zaledwie trzydziestotrydniowym pontyfikacie. Późniejsze plotki oraz błędne informacje - mające na celu ukrycie faktu, że ciało zmarłego odkryła zakonnica, nie zaś ksiądz - jedynie dostarczyły zwolennikom spiskowej teorii dziejów koncepcji o mordzie dokonanym na papieżu.

- Zgadzam się - przyznał Michener. - Samobójstwo nie może wyjść na jaw. Ale my musimy znać prawdę.

- Żebyśmy potem mogli kłamać? - zapytał Valendrea. - A tak nie wiemy nic.

Skrupuły kardynała odnośnie kłamania były interesujące, ale Michener powstrzymał się od komentarza.

Ngovi spojrzał na lekarza.

- Czy próbka krwi wystarczy?

Doktor przytaknął.

- Proszę ją pobrać.

- Nie masz takiej władzy - zagrział Valendrea. - To wymaga uzgodnienia z kolegium kardynałów. Nie jesteś papieżem.

Twarz Ngoviego wciąż pozostawała bez wyrazu.

- Po pierwsze chcę wiedzieć, jak ten człowiek umarł. Troskam się o jego nieśmiertelną duszę - odparł, potem spojrzał na lekarza. - Proszę wykonać test osobiście, potem zniszczyć próbkę. O wynikach proszę powiadomić wyłącznie mnie. Czy to jasne?

Mężczyzna skinął głową.

- Przekraczasz swoje uprawnienia - zaperzył się Valendrea.

- Więc idź z tą sprawą do Zgromadzenia Kardynałów.

Dylemat Valendrei był zabawny. Nie mógł uchylić decyzji Ngoviego, a jednocześnie, z oczywistych przyczyn, nie mógł podzielić się tą sprawą z kardynałami. Stąd też Toskańczyk poszedł po rozum do głowy i zamilkł. Być może, obawiał się Michener, po prostu podawał Ngoviemu linę, na której ten później się powiesi.

Ngovi otworzył czarną teczkę, którą ze sobą przyniósł, i wyciągnął z niej srebrny młotek, potem podszedł do wezglowia łóżka. Michener uświadomił sobie, że kamerling musi odbyć rytuał, bez względu na to, jak bardzo pozbawione sensu byłoby to działanie.

Stuknął lekko młotkiem w czoło Klemensa, potem zadał pytanie, które stawiano zmarłym papieżom od stuleci.

- Jakobie Volkner. Czy jesteś martwy?

Upłynęła cała minuta w ciszy, potem Ngovi powtórzył pytanie. I znów nastąpiła minuta ciszy, po której pytanie padło po raz trzeci.

Kamerling wypowiedział na koniec wymaganą formułę.

- Papież umarł.

Wyciągnął rękę i podniósł prawą dłoń zmarłego. Na palcu serdecznym widniał Pierścień Rybaka.

- Dziwne - odezwał się. - Klemens zwykle tego nie nosił.

Michener wiedział, że to prawda. Nieporęczny złoty pierścień był raczej sygnetem niż ozdobnym klejnotem. Pierścień przedstawiał świętego Piotra Rybaka, na obrzeżu widniało imię Klemens oraz data ingresu. Został nałożony na palec nowo obranego papieża przez ówczesnego kamerlinga, służył do sygnowania papieskich listów. Rzadko go noszono, a już Klemens unikał go jak się da.

- Może wiedział, że będziemy go szukać - wysunął przypuszczenie Valendrea.

Ma rację, pomyślał Michener. Najwyraźniej desperacki akt był po części zaplanowany. To zresztą pasowało do Jakoba Volknera.

Ngovi zdjął pierścień i wrzucił go do czarnej aksamitnej torby. Później, na oczach zgromadzonych kardynałów, posługując się tym samym młotkiem, rozbija pierścień oraz ołowianą papieską pieczęć. Dzięki temu nikt nie będzie w stanie przypieczętować żadnego dokumentu do chwili wybrania nowego papieża.

- Skończone - oznajmił Ngovi.

Michener zdał sobie sprawę z faktu, że przeniesienie władzy zostało dokonane. Trwający trzydzieści cztery miesiące pontyfikat Klemensa XV dwieście sześćdziesiątego siódmego następcy św. Piotra, pierwszego Niemca zasiadającego na tronie od dziewięciuset lat, dobiegł końca. Od tej chwili on sam przestał być papieskim sekretarzem. Stał się jedynie monsignorem w przejściowej służbie kamerlinga Świętego Kościoła Rzymskiego.

\*

Katerina szła pospiesznie przez terminal portu lotniczego imienia Leonarda da Vinci, zmierzając do stanowiska biletowego Lufthansy. Miała zarezerwowane miejsce na lot do Frankfurtu o godzinie trzynastej. Nie bardzo wiedziała, dokąd uda się dalej, ale tym zamierzała się martwić jutro lub pojutrze. Najważniejsze, że Tom Kealy oraz Colin Michener należeli już do przeszłości i nadeszła pora, by zrobić coś dla samej siebie. Czuła się podle, oszukując Michenera, ale ponieważ nie skontaktowała się ani razu z Valendrea, a Ambrosiemu wyjawiała naprawdę niewiele, być może jej niegodny postępek zostanie wybaczony

Była zadowolona z rozstania się z Tomem Kealy, chociaż wątpiła, by on specjalnie się tym przejął. Piął się teraz w górę i nie potrzebował kobiety-bluszczu, ona zaś dokładnie tak się czuła. To prawda, że potrzebował kogoś, kto wykona całą pracę, której splendor spłynie na niego, ale na pewno szybko znajdzie się inna kobieta i zajmie jej miejsce.

W terminalu panował ożywiony ruch, ale dostrzegła, że pod telewizorami rozmieszczonymi na sali gromadzą się ludzie. Zauważyła, że jakaś kobieta płacze. W końcu skupiła wzrok na jednym z zawieszonych wysoko monitorów. Obraz przedstawiał plac św. Piotra widziany z lotu ptaka. Gdy podchodziła do monitora, usłyszała głos lektora: „Panuje tu głęboka żałoba. Śmierć Klemens XV dotknęła bardzo wszystkich, którzy darzyli miłością papieża. Wszystkim będzie go brakowało”.

- Papież nie żyje? - zapytała na głos.

- Zmarł ostatniej nocy w Castel Gandolfo, podczas snu - odparł mężczyzna w wełnianym płaszczu. - Niech Bóg weźmie do nieba jego duszę.

Odrzuciło ją do tyłu. Człowiek, którego od lat nienawidziła, odszedł z tego świata. W rzeczywistości nie spotkała się z nim nigdy - Michener chciał ich kiedyś przedstawić sobie, ale ona odmówiła. W tamtym czasie Jakob Volkner był arcybiskupem Kolonii. W jej oczach stanowił ucieleśnienie wszystkiego, czym pogardzała w zorganizowanej religii - nie wspominając już zaciętej rywalizacji między nią a Kościołem, która wciąż szarpała sumienie Colina Michenera. Przegrała tę bitwę i od tamtej pory żywiła do Volknera głęboką urazę. Nie z powodu tego, co uczynił lub nie uczynił, lecz z powodu tego, co swoją osobą symbolizował.

Teraz opuścił ziemski padół. Colin musiał czuć się zdruzgotany.

Coś w jej duszy szeptało, by podeszła do stanowiska biletowego Lufthansy i odleciała do Niemiec. Michener i tak przetrwa. Jak zawsze. Ale niebawem miał nastąpić nowy papież. I nowe nominacje. Świeża fala księży, biskupów i kardynałów napłynie do Rzymu. Orientowała się na tyle dobrze w scenie politycznej Watykanu, żeby wiedzieć, iż sojusznicy Klemensa znajdują się na przegranych pozycjach. Ich kariera dobiegała kresu.

Nie był to jednak jej problem. Ale jakaś jej częśćka obstawała przy zdaniu wręcz przeciwnym. Być może najtrudniej jest pozbyć się starych przyzwyczajęń.

Zawróciła z bagażem w rękę i skierowała się w stronę wyjścia z terminala.

CASTEL GANDOLFO, 14:30

Valendrea spoglądał na zebranych kardynałów. Atmosfera była napięta, wielu spośród hierarchów spacerowało po sali w niecodziennej manifestacji niepokoju. W jednej z komnat papieskiej rezydencji zgromadziło się czternastu purpuratów, głównie byli to kardynałowie przydzieleni do Kurii oraz kierujący diecezjami w pobliżu Rzymu, którzy przed trzema godzinami otrzymali depeszę, adresowaną do stu sześćdziesięciu członków kolegium o treści: KLEMENS XV NIE ŻYJE. PRZYBYWAJCIE NATYCHMIAST DO RZYMU. Ci, którzy znajdowali się w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od Watykanu, otrzymali też dodatkową informację, nakazującą im udział w spotkaniu w Castel Gandolfo o godzinie drugiej po południu.

Rozpoczęło się *interregnum*, okres między zgonem jednego papieża a wyborem następnego. Czas niepewności, kiedy wodze papieskiej władzy wiszą luźno. W minionych stuleciach w tym okresie stery przejmowali kardynałowie, kupując głosy na konklawe, szermując obietnicami lub groźbami. Valendrea tęsknił za tamtymi czasami. Na szczycie nie było miejsca dla słabych. Ale wybory papieży w czasach współczesnych przebiegały dużo łagodniej. Obecne bitwy toczono przy udziale telewizyjnych kamer oraz z uwzględnieniem sondaży opinii publicznej. Wybór papieża cieszącego się popularnością uważano za dalece ważniejszy niż postawienie na osobę kompetentną. Fakt ten, jak często myślał Valendrea, najlepiej wyjaśnia wybór Jakoba Volknera.

Był zadowolony z frekwencji. Niemal wszyscy purpuraci, którzy tu dotarli, należeli do jego popleczników. W trakcie ostatnio przeprowadzonego liczenia głosów wciąż brakowało mu sporo do progu dwie trzecie plus jeden, zapewniającego szybkie zwycięstwo w głosowaniu. Ale z pomocą własną, Ambrosiego oraz urządzeń podsłuchowych powinien w ciągu nadchodzących dwóch tygodni zdobyć wymagane poparcie.

Nie był pewien, co Ngovi zamierza powiedzieć. Nie rozmawiali ze sobą od czasu, gdy przebywali w komnacie sypialnej Klemensa. Żywił tylko nadzieję, że Afrykanin będzie kierował się trzeźwą oceną sytuacji. Ngovi stał w drugim końcu podłużnej sali przed misternie zdobionym kominkiem z białego marmuru. Wszyscy pozostali książęta Kościoła

również stali.

- Wasze Eminencje - przemówił Ngovi - później w ciągu dnia wyznaczę wam obowiązki w pogrzebie oraz konklawe. Najważniejsze moim zdaniem jest to, by pożegnać Klemensa z należną czcią. Ludzie darzyli go miłością, zatem należy dać im sposobność odpowiedniego pożegnania. Uwzględniając powyższe, dzisiaj wieczorem będziemy towarzyszyć zmarłemu w drodze do Rzymu. Potem w Bazylice św. Piotra odprawiona zostanie msza żałobna.

Wielu kardynałów przytaknęło z aprobatą.

- Czy wiadomo, jak zmarł Ojciec Święty? - zapytał jeden z purpuratów.

Ngovi spojrział na hierarchę, który postawił to pytanie.

- W tej chwili jest to ustalane.

- Czy są jakieś niejasności? - zapytał inny

Ngovi pozostał niewzruszony.

- Wydaje się, że zmarł we śnie, w spokoju ducha. Ale nie jestem lekarzem. Jego osobisty lekarz potwierdzi przyczynę zgonu. Wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że Ojciec Święty podupadał na zdrowiu, więc to, co się wydarzyło, nie jest zaskoczeniem.

Valendrecę ucieszył komentarz Ngoviego. Martwił go jednak inny aspekt. Kamerling zajął dominującą pozycję i wydawał się najwyraźniej zadowolony z tego statusu. W ciągu zaledwie kilku godzin zdążył już wydać polecenie papieskiemu mistrzowi ceremonii oraz Kameronie Apostolskiej, by zajęły się administrowaniem Stolicą Piotrową. Tradycyjnie obie struktury kierowały pracami Kurii w okresie sediswakancji. Objął także władzę nad Castel Gandolfo, nakazując gwardzistom, by nie wpuszczali nikogo, z kardynałami włącznie, bez jego wyraźnej zgody. Wydał też polecenie zaplombowania papieskich apartamentów w Pałacu Apostolskim.

Następnie porozumiał się z biurem prasowym Watykanu i dopilnował, by wydano przygotowane wcześniej oświadczenie o śmierci Klemensa. Oddelegował trzech kardynałów do osobistego kontaktowania się z mediami. Wszystkim pozostałym zakazał udzielania wywiadów. Watykański korpus dyplomatyczny na całym świecie otrzymał podobne ostrzeżenie co do kontaktów z prasą, z jednoczesną zachętą do nawiązania kontaktu z głowami goszczących nuncjuszy państw. Napłynęły już kondolencje ze Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji i Hiszpanii.

Żadne z podjętych działań nie wykroczało poza kompetencje kamerlinga, więc Valendrea nie mógł się sprzeciwić. Najmniej jednak życzył sobie sytuacji, w której kardynałowie czerpaliby otuchę z siły ducha Ngoviego. W epoce współczesnej jedynie dwóch

kamerlingów zostało wyniesionych na Piotrowy tron, pozycja ta nie stanowiła więc odskoczni do godności zwierzchnika Kościoła. Niestety, to samo odnosiło się do stanowiska sekretarza stanu.

- Czy konklawe rozpocznie się o czasie? - zapytał kardynał z Wenecji.

- Za piętnaście dni - odparł Ngovi. - Będziemy gotowi.

Valendrea wiedział, że zgodnie z zasadami wprowadzonymi przez Konstytucję Apostolską autorstwa Jana Pawła II był to najbliższy termin, w którym konklawe mogło się rozpocząć. Przygotowania znacząco ułatwiło wzniesienie Domu św. Marty, przestrzennej budowli o charakterze bursy, z której zwykle korzystali seminarzyści. Nie trzeba już było zmieniać każdego wolnego lokum na tymczasowe kwatery, a Valendrea cieszył się ze zmian. Nowe pokoje były przynajmniej wygodne. Obiekt wykorzystano po raz pierwszy w trakcie konklawe, na którym wybrano Klemensa, a Ngovi zalecił już, by w budynku przygotowano lokum dla stu trzynastu kardynałów poniżej osiemdziesiątego roku życia, którzy mieli tu kwatrować na czas głosowania.

- Kardynale Ngovi - zabrał głos Valendrea, przyciągając uwagę Afrykanina - kiedy zostanie wystawiony akt zgonu?

Miał nadzieję, że kamerling zrozumie intencję pytania.

- Poprosiłem mistrza papieskiej ceremonii liturgicznej, prałatów, sekretarzy oraz kanclerza Kamery Apostolskiej, żeby wieczorem byli w Watykanie. Powiedziano mi, że przyczyna zgonu zostanie do wieczora potwierdzona.

- Czy jest przeprowadzana autopsja? - zapytał któryś z kardynałów.

Valendrea zdawał sobie sprawę z faktu, że to delikatna kwestia. Jak dotąd autopsji poddano ciało tylko jednego papieża i wyłącznie dla upewnienia się, czy nie został otruty przez Napoleona. Zamierzano też przeprowadzić sekcję zwłok Jana Pawła I, kiedy tak nieoczekiwanie opuścił ziemski padół, lecz kardynałowie udaremniłi ten zamiar. Tym razem sytuacja była jednak inna. Jeden z tych dwóch papieży zmarł w podejrzanych okolicznościach, drugi nagle. Śmierć Klemensa nie była nieoczekiwana. Kiedy go wybrano, miał siedemdziesiąt cztery lata, a poza tym większość kardynałów wybrała go po prostu dlatego, że miał już długo nie pożyć.

- Autopsja nie zostanie przeprowadzona - oświadczył beznamiętnie Ngovi.

W jego głosie pobrzmiwała sugestia, że temat nie jest otwarty do dyskusji. W normalnych okolicznościach Valendrea zaproponowałby przeciw takiemu przekroczeniu prerogatyw, lecz nie tym razem. Wydał z siebie westchnienie ulgi. Najwyraźniej jego adwersarz zdecydował się na zgodną grę i dzięki Bogu żaden z kardynałów nie przeciwstawił



się temu rozstrzygnięciu. Kilku purpuratów spojrzło w jego kierunku, jak gdyby spodziewając się reakcji z jego strony. Milczenie posłużyło za sygnał, że sekretarz stanu jest zadowolony z decyzji podjętej przez kamerlinga.

Pominąwszy teologiczne implikacje wynikające z papieskiego samobójstwa, Valendra mógł obawiać się fali współczucia skierowanej ku osobie zmarłego biskupa Rzymu. Wszyscy wiedzieli, że stosunki między nim a Klemensem nie układały się dobrze. Dociekliwa prasa mogłaby postawić kłopotliwe pytania, on zaś nie chciał uchodzić za człowieka, który może doprowadzić papieża do samobójstwa. Kardynałowie drżący ze strachu o własne kariery mogliby wtedy wybrać innego hierarchę, jak choćby Ngoviego, który pozbawiłby Valendrę wszelkiej władzy - bez względu na jego taśmy. Podczas ostatniego konklawe nauczył się, że zawsze należy doceniać siłę koalicji. Na całe szczęście Ngovi najwidoczniej postanowił, iż dobro Kościoła jest ważniejsze niż wykorzystanie sposobności wysadzenia z siodła głównego rywala, a Valendrę ucieszyła ta ludzka słabość. Gdyby role się odwróciły, on zachowałby się zupełnie inaczej.

- I jeszcze słowo ostrzeżenia - oznajmił Ngovi.

Valendra znów się nie odezwał. Zauważył, że biskup Nairobi zdaje się odczuwać satysfakcję z narzuconej sobie powściągliwości.

- Przypominam każdemu z was o złożonej przysiędze powstrzymania się od dyskusji na temat konklawe do czasu, gdy wszyscy zostaniemy zamknięci w Kaplicy Sykstyńskiej. Zabraniam prowadzenia kampanii, udzielania wywiadów i wyrażania opinii. W żadnym wypadku nie pozwalam na dyskutowanie ewentualnych kandydatur.

- Nie potrzebuję pouczeń - dał jasno do zrozumienia jeden z purpuratów.

- Być może Eminencja nie, ale niektórzy potrzebują.

Po tych słowach Ngovi wyszedł z sali.

15:00

Michener siedział na krześle przy biurku i patrzył, jak dwie zakonnice obmywają ciało Klemensa. Przed godziną lekarz skończył obdukcję i odjechał do Rzymu z próbką krwi. Kardynał Ngovi ustalił już, że nie będzie sekcji zwłok, a ponieważ Castel Gandolfo stanowiło część Watykanu, suwerenne terytorium niepodległego państwa, nikt nie mógł zakwestionować jego decyzji. Poza bardzo nielicznymi wyjątkami, rządziło tu prawo kanoniczne - nie prawo włoskie.

Czuł się nieswojo, spoglądając na nagie ciało człowieka, którego znał przez ponad ćwierć wieku. Miał w pamięci wszystkie spędzone wspólnie lata. To Klemens dopomógł mu zrozumieć, że jego biologiczny ojciec po prostu bardziej myślał o sobie niż o dobru dziecka, tłumaczył irlandzkie społeczeństwo i presję, której z pewnością poddano jego matkę jako niezamężną kobietę z dzieckiem. „Jakim prawem ją obwiniasz?” - pytał Volkner. Przyznał mu wtedy rację. Nie miał prawa. Uraza mogła jedynie przesłonić miłość i poświęcenie przybranych rodziców. W końcu odrzucił gniew i przebaczył matce i ojcu, których nigdy nie dane mu było poznać.

Teraz spoglądał na pozbawione życia ciało człowieka, który pomógł mu zdobyć się na to przebaczenie. Był tu, ponieważ protokół wymagał obecności księdza. Zwykle zadanie to spadało na barki papieskiego mistrza ceremonii, ale ten nie mógł dojechać. Ngovi wyznaczył więc Michenera do wypełnienia tej roli.

Wstał z krzesła i chodził powolnym krokiem przed drzwiami na taras, kiedy zakonnice kończyły obmywanie i weszli specjaliści od pogrzebów. Przysłano ich z największej kostnicy w Rzymie, która zajmowała się balsamowaniem zwłok papieży, począwszy od Pawła VI. Przywieźli ze sobą pięć butelek z różowym roztworem i ostrożnie ustawili wszystkie na podłodze.

Jeden z techników podszedł do niego.

- Może ojciec woli poczekać na zewnątrz? Dla nieprzyzwyczajonych oczu nie będzie to przyjemny widok.

Wyszedł na korytarz, gdzie natknął się na kardynała Ngovi zmierzającego w kierunku

komnaty sypialnej.

- Czy oni tam są? - zapytał kamerling.

- Włoskie prawo wymaga upływu dwudziestu czterech godzin przed zabalsamowaniem. Jesteśmy wprawdzie na terytorium Państwa Watykańskiego, ale już wcześniej toczyliśmy podobne spory. Włosi będą żądać, byśmy poczekali.

- Rozumiem to - skinął głową Ngovi - ale zadzwonił papieski lekarz z Rzymu. W krwi Jakoba stwierdzono wysokie stężenie środka farmakologicznego. On popełnił samobójstwo, Colinie. Nie ma co do tego wątpliwości. Nie mogę pozwolić na to, by pozostały jakieś dowody. Lekarz zniszczył już próbkę. On nie może niczego ujawnić i nie zrobi tego.

- A kardynałowie?

- Oznajmię im, że Klemens zmarł z powodu zatrzymania akcji serca. Taka przyczyna zostanie wpisana do aktu zgonu.

Dostrzegł napięcie na twarzy kamerlinga. Klamanie przychodziło Afrykaninowi z trudem.

- Nie mamy wyboru, Colinie. Musimy zabalsamować ciało. Nie mogę zważać na wymogi włoskiego prawa.

Michener przeciągnął dłonią po włosach. Był to bardzo długi dzień, a jeszcze się nie skończył.

- Wiedziałem, że coś trapiło go głęboko, ale nic nie wskazywało na fakt, że zamierza porwać się własne życie. Jak się zachowywał, kiedy mnie tu nie było?

- Znów udał się do Riservy. Powiedziano mi, że Valendrea był tam razem z nim.

- Wiem o tym.

Potem poinformował kamerlinga o tym, czego dowiedział się od Klemensa.

- Pokazał mu dokument, który otrzymał od ojca Tibora. Nie powiedział mi jednak, jaka jest jego treść.

Potem podał Ngoviemu więcej szczegółów na temat ojca Tibora i opowiedział, jak papież zareagował na wieść o śmierci bułgarskiego księdza.

Kamerling pokręcił głową.

- Nigdy nie sądziłem, że jego pontyfikat skończy się w taki sposób.

- Musimy zadbać o to, by jego pamięć pozostała niepokalana.

- Z pewnością taka pozostanie. W tej sprawie nawet Valendrea będzie naszym sojusznikiem - skomentował Ngovi i ruszył ku drzwiom. - Nie sądzę, by ktokolwiek zakwestionował naszą decyzję o przyspieszonym zabalsamowaniu zwłok. Jedyne czworo ludzi zna prawdę, wkrótce też nie pozostanie żaden dowód, gdyby ktoś zechciał puścić parę z

ust. Jednak prawdopodobieństwo takiego zdarzenia jest niewielkie. Prawo zobowiązuje lekarza do zachowania tajemnicy, ty i ja kochaliśmy Klemensa, a Valendrea nie zrobi tego we własnym interesie. Tajemnica jest bezpieczna.

Drzwi komnaty sypialnej otworzyły się i jednej z pracowników kostnicy wyszedł na zewnątrz.

- Jesteśmy blisko końca.

- Czy płyny fizjologiczne zmarłego zostaną poddane kremacji? - zapytał kamerling.

- Zawsze tak postępujemy. Nasz dom pogrzebowy jest dumny ze świadczenia usług Stolicy Apostolskiej. Może Eminencja na nas polegać.

Ngovi podziękował mężczyźnie, który powrócił do komnaty.

- Co teraz? - zapytał Michener.

- Dowieziono z Rzymu jego papieskie szaty. My dwaj powinniśmy ubrać go do ceremonii żałobnej.

Zrozumiał znaczenie tego gestu.

- Sądzę, że byłby z tego zadowolony - powiedział.

\*

W strugach deszczu kawalkada samochodów sunęła powoli ulicami Rzymu w stronę Watykanu. Pokonanie dystansu niecałych trzydziestu kilometrów z Castel Gandolfo zajęło ponad godzinę, wzdłuż trasy przejazdu ustawiły się tysiące żałobników. Michener jechał w trzecim aucie wraz z Ngovim, reszta kardynałów zasiadała w żałobnym kondukcje aut, które pospiesznie ściągnięto z Watykanu. Na czele procesji sunął karawan z ciałem Klemensa ubranym w ceremonialne szaty oraz mitrę i oświetlonym tak, aby wierni mogli widzieć zmarłego. Gdy dotarli do miasta, dochodziła szóstka po południu i wydawało się, że wszyscy mieszkańcy Rzymu wylegli na ulice. Kordony karabinierów dokładały starań, by zapewnić samochodom swobodny przejazd.

Na placu św. Piotra zgromadziły się przeogromne rzesze, lecz w morzu parasoli utworzono aleję, która pomiędzy kolumnadami wiodła ku bazylice. Za samochodami podążali zapłakani i szlochający ludzie. Wielu spośród nich rzucało kwiaty na maski aut, a było ich tyle, że przednie szyby niemal nikły pod kwiecistymi girlandami, utrudniając jazdę kierowcom. W końcu jeden z funkcjonariuszy ochrony zaczął je zsuwać, ale w ich miejsce natychmiast pojawiły się nowe.

Auta przejechały pod Łukiem Dzwonów i zostawiły za sobą zgromadzone tłumy. Po objechaniu zakrystii Bazyliki św. Piotra kawalkada skręciła na plac Pierwszych Męczenników i skierowała się ku tylnemu wejściu do monumentalnego kościoła. Tu przez trzy następne dni

ciało Klemensa miało być wystawione na widok, bezpieczne za murami, a skrawek nieba nad nim stanowił zamkniętą przestrzeń powietrzną.

Lekki deszcz pogrążył ogrody w zwiewnej mgiełce. Latarnie zapalone przy chodnikach wyglądały jak słoneczne tarcze, które nie mogą przebić się przez grubą powłokę chmur.

Michener usiłował wyobrazić sobie, co dzieje się w budynkach znajdujących się dookoła niego. W warsztatach *sampietrini* szykowano już zapewne potrójną trumnę - wewnętrzną z brązu, środkową z cedru, a zewnętrzną z cyprysu. Katafalk, już zmontowany i ustawiony we wnętrzu bazyliki, z płonąca obok pojedynczą gromnicą, oczekiwał cierpliwie na ciało, które miało spoczywać na nim przez kilka następnych dni.

Kiedy sunęli powoli przez plac św. Piotra, papieski sekretarz zauważył, że telewizyjne ekipy montują kamery na balustradach, skwapliwie zajmując najlepsze miejsca między stu sześćdziesięcioma dwoma posągami. Biuro Prasowe Watykanu przeżywało teraz ciężkie chwile. Uczestniczył w poprzednim papieskim pogrzebie i widział już oczyma wyobraźni tysiące telefonów, które trzeba będzie odebrać w ciągu najbliższych paru dni. Wkrótce mieli tu przybyć mężowie stanu z całego świata; należało wyznaczyć legatów, którzy będą im towarzyszyć. Stolica Apostolska chlubiła się rygorystycznym przestrzeganiem protokołu, nawet wtedy, gdy pogrążona była w niewypowiedzianym bólu. Zapewnienie udanego przebiegu żałobnych uroczystości spoczywało na barkach kardynała o łagodnym głosie, siedzącego obok.

Samochody zatrzymały się, kardynałowie zaczęli gromadzić się w pobliżu karawanu. Księża chronili parasolami każdego z ksiąząt Kościoła. Kardynałowie mieli na sobie czarne sutanny przepasane purpurowymi pasami, jak wymagał tego protokół. Warta honorowa gwardzistów szwajcarskich w ceremonialnych strojach stała przy wejściu do bazyliki. Mieli towarzyszyć zmarłemu zwierzchnikowi Kościoła przez kilka kolejnych dni. Czterech z nich niosło na ramionach mary i podeszło do karawanu. Obok stał papieski mistrz ceremonii. Był nim brodaty holenderski duchowny o korpulentnej sylwetce. Wystąpił do przodu.

- Katafalk jest przygotowany - powiedział.

Ngovi skinął głową z aprobatą.

Mistrz ceremonii podszedł do karawanu i asystował pracownikom kostnicy, gdy ci wyjmowali ciało Klemensa. Gdy zwłoki ułożono na marach i poprawiono mitrę, Holender nakazał gestem personelowi kostnicy, by się oddalił.

Następnie udrapował pieczołowicie papieskie szaty, powoli układając każdą fałdę. Dwóch księży trzymało parasole nad ciałem zmarłego. Inny młody ksiądz wystąpił naprzód,

trzymając palusz. Wąski pas białej wełnianej tkaniny, ozdobiony sześcioma purpurowymi krzyżami był symbolem pełni papieskiej władzy. Mistrz ceremonii udrapował szeroki na siedem centymetrów palusz wokół szyi Klemensa, potem ułożył krzyże na piersi, ramionach i brzuchu. Poprawił jeszcze fałdy na ramionach i na koniec wyprostował głowę zmarłego. Potem uklęknął, sygnalizując, że jego rola dobiegła końca.

Na lekkie skinienie głowy Ngowiego gwardziści podnieśli mary. Księża z parasolami odstąpili na bok. Kardynałowie ustawili się w rzędzie.

Michener nie dołączył do procesji. Nie był księciem Kościoła, a przyszłość była zastrzeżona wyłącznie dla nich. Od niego oczekiwano, że opuści swój apartament w pałacu do następnego dnia. Pomieszczenie to również miało być zaplombowane w oczekiwaniu na konklawe. Musiał też uprzątnąć swój gabinet. Jego wpływy dobiegły kresu z chwilą, gdy Klemens wydał ostatnie tchnienie. Ci, którzy cieszyli się względami, musieli ustąpić miejsca tym, którzy mieli się nimi dopiero rozkoszować.

Ngovi czekał, aby dołączyć do orszaku zmierzającego do bazyliki dopiero na samym końcu. Zanim odszedł, odwrócił się na moment.

- Chcę, żebyś sporządził spis sprzętów w papieskim apartamencie i zabrał jego rzeczy osobiste. Klemens zapewne nie życzyłby sobie, żeby ktoś inny się tym zajął. Poinformowałem Szwajcarów, że mają wpuścić cię do środka. Zrób to teraz.

\*

Gwardzista otworzył Michnerowi apartament zmarłego papieża. Drzwi zamknęły się za nim, on zaś stał samotnie i czuł się jakoś nieswojo. W miejscu, w którym dawniej spędzał czas z lubością, teraz był intruzem.

W pokojach nic się nie zmieniło, odkąd papież wyszedł z nich w sobotę rano. Łóżko było pościelone, kotary rozsunięte, zapasowe okulary do czytania wciąż leżały na nocnym stoliku. Oprawna w skórę Biblia, która też zwykle tam spoczywała, znajdowała się teraz w Castel Gandolfo, na biurku obok laptopa; jedno i drugie miało wkrótce wrócić do Rzymu.

Na biurku przy desktopie znajdowało się jedynie kilka dokumentów. Postanowił, że najlepiej będzie rozpocząć od tego właśnie miejsca, włączył komputer i sprawdził zawartość folderów. Wiedział, że Klemens regularnie wymieniał e-maile z paroma członkami dalszej rodziny oraz niektórymi kardynałami, ale najwyraźniej nie zapisywał ich w pamięci - Michener nie znalazł takich plików. W książce adresowej znajdowało się dwadzieścia kilka nazwisk. Przejrzał po kolei wszystkie foldery na twardym dysku. W większości z nich znajdowały się raporty różnych sekcji Kurii, wcześniej w postaci tekstowej, lecz teraz zamienione na monitorze w ciągi jedynek i zer. Usunął wszystkie foldery, wykorzystując

specjalny program wymazujący z twardego dysku wszelkie ślady plików, potem wyłączył komputer, który miał tu pozostać i służyć kolejnemu zwierzchnikowi Kościoła.

Rozejrzał się dookoła. Powinien znaleźć jakieś kartony, w których pomieści rzeczy osobiste Klemensa, ale na razie zebrał wszystko pośrodku pokoju. Nie było tego wiele. Jakob Volkner prowadził skromny żywot. Parę mebli, kilka książek i wybranych rodzinnych pamiątek to wszystko, co posiadał.

Chrobotanie klucza w zamku u drzwi przyciągnęło jego uwagę.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Paolo Ambrosi.

- Zaczekaj na zewnątrz - polecił Ambrosi gwardziście, wchodząc, potem zamknął drzwi.

Michener spojrzał na niego.

- Co ojciec tutaj robi?

Asystent Valendrei podszedł do niego.

- To samo, co ojciec. Sprzątam apartament.

- Wykonanie tego zadania kardynał Ngovi powierzył mnie.

- Kardynał Valendrea powiedział, że może ojcu być potrzebna pomoc.

Najwyraźniej sekretarz stanu doszedł do wniosku, że potrzebna jest mu niańka, ale nie był w nastroju do sporów.

- Wynoś się stąd.

Duchowny ani drgnął. Michener był wyższy o głowę i ważył dobre dwadzieścia kilo więcej, lecz Ambrosi nie okazywał najmniejszych oznak lęku.

- Twój czas przeminął, Michener.

- Być może. Ale tam, skąd pochodzę, używa się pewnego przysłowia: „Kura nie gdacze, dopóki nie zniesie jajka”.

Ambrosi zachichotał.

- Będzie mi brakowało twoich amerykańskich dowcipów.

Zauważył, że gadzie oczy nieproszonego gościa lustrują wnętrze.

- Powiedziałem, żebyś się stąd wynosił. Ja nic nie znaczę, ale Ngovi wciąż jest kamerlingiem. Valendrea nie może mu się przeciwstawić.

- Jeszcze nie.

- Wyjdź albo przerwę mszę żałobną, żeby poprosić Ngoviego o dalsze instrukcje.

Zrozumiał, że ostatnią rzeczą, jakiej Valendrea sobie życzy, jest kompromitująca scena przed kardynałami. Jego zwolennicy mogliby się dziwić, dlaczego polecił swemu asystentowi wejść do papieskiego apartamentu, skoro obowiązek ten scedowano

jednoznacznie na barki osobistego sekretarza papieża.

Ambrosi wciąż jednak stał, jakby wrósł w ziemię.

W ten sytuacji ominął swego gościa i ruszył ku drzwiom.

- Jak powiedziałeś, mój czas już minął. Nie mam więc nic do stracenia.

Chwycił za klamkę.

- Zaczekaj - ustąpił w końcu Ambrosi. - Zostawię cię, byś dokończył swoją misję.

Mówił niemal szeptem, jego twarz nie wyrażała nic. Michener zastanawiał się, jak taka nikczemna kreatura mogła zostać duchownym.

Michener otworzył drzwi. Gwardziści stali po drugiej stronie korytarza, on zaś wiedział, że nieproszony gość nie wyjawi niczego, co mogłoby podsyć ich zainteresowanie. Zmusił się do uśmiechu.

- Życzę miłego wieczoru, ojczy.

Ambrosi otarł się niego, przechodząc, a Michener zatrzasnął za nim drzwi, lecz wcześniej uprzedził Szwajcarów, by nie wpuszczali do środka nikogo więcej.

Powrócił do biurka. Musiał dokończyć to, co rozpoczął. Smutek związany z rychłym opuszczeniem Watykanu osłabiała nieco ulga wynikająca ze świadomości, iż nigdy więcej nie będzie miał do czynienia z typami pokroju Paolo Ambrosiego.

Sprawdził zawartość szuflad. W większości znajdował się papier listowy, pióra, kilka książek oraz parę dyskietek. Nic ważnego, dopóki nie sięgnął do dolnej prawej szuflady, gdzie znalazł testament Klemensa. Papież, jak nakazywała tradycja, spisał ostatnią wolę samodzielnie, własną dłonią artykułując ostatnie życzenia oraz nadzieje w odniesieniu do przyszłości. Michener rozłożył pojedynczą kartkę i natychmiast zauważył datę, 10 października, nieco ponad trzydzieści dni temu.

*Ja, Jakob Volkner, w pełni władz umysłowych, pragnąc wyrazić ostatnią wolę i pozostawić testament, zapisuję w spadku Colinowi Michenerowi wszystko to, co w chwili mojej śmierci będzie moją własnością. Moi rodzice umarli dawno temu, w późniejszych latach ziemski padół opuściło również moje rodzeństwo. Colin służył mi długo i wiernie. Jest najbliższą osobą, jaka mi na tym świecie pozostała. Proszę więc, by uczynił z moimi osobistymi rzeczami to, co uzna za stosowne, posługując się mądrością i rozważą, na których polegałem w ciągu mego życia. Proszę, by mój pogrzeb był skromny i, o ile okaże się to możliwe, chciałbym zostać pochowany w Bambergu, w katedrze mojej młodości, chociaż rozumiem, że Kościół może zdecydować inaczej. Kiedy objąłem Tron Świętego Piotra, wzięłem na barki odpowiedzialność, w tym również obowiązek złożenia doczesnych szczątków*



*w krypcie bazyliki wraz z moimi braćmi. Proszę również o wybaczenie wszystkich tych, którzy mogli poczuć się dotknięci moimi słowami lub czynami, w szczególności zaś błagam o przebaczenie naszego Pana i Zbawiciela za słabości, które wykazałem. Oby okazał łaskę mej duszy.*

W oczach Michenera stanęły łzy. On również miał nadzieję, że Bóg okaże łaskę duszy jego serdecznego przyjaciela. Katolicka nauka nie pozostawiała wątpliwości. Ludzka istota zobowiązana jest utrzymać życie jako strażnik, nie właściciel tego, co powierzył mu Wszechmogący. Samobójstwo było sprzeczne z miłością do siebie samego i z miłością do żywego Boga. Zrywało więzy solidarności z rodziną i narodem. Krótko mówiąc, było grzechem. Ale wiekuiste zbawienie tych, którzy odebrali sobie życie, nie było do końca utracone. Kościół uczył, że sposobami znanymi jedynie Bogu okazja do odpokutowania mogła się nadarzyć.

Żywił jedynie nadzieję, że tak będzie w tym wypadku.

Jeśli niebo istniało rzeczywiście, Jakob Volkner zasługiwał na przekroczenie jego progów. Cokolwiek skłoniło go do popełnienia tego niewypowiedzianego czynu, nie powinien on przesądzić o skazaniu jego duszy na wiekuiste potępienie.

Odłożył testament i usiłował nie myśleć o wieczności. Dobiał pięćdziesiątki, nie był więc bardzo stary, lecz zdawał sobie sprawę, że życie nie będzie trwać bez końca. Potrafił sobie wyobrazić czasy, kiedy jego ciało lub umysł nie dadzą mu już radości z tego, czego oczekiwał. Jak długo jeszcze pożyje? Dwadzieścia lat? Trzydzieści? Czterdzieści? Klemens, dobiegając osiemdziesiątki, wciąż trzymał się dziarsko i pracował regularnie po szesnaście godzin na dobę. Michener mógł jedynie żywić nadzieję, że w tym wieku będzie miał choćby połowę jego sił życiowych. Lecz prędzej czy później jego życie również dobiegnie kresu. Zastanawiał się, czy wyrzeczenia i poświęcenia, których domaga się Kościół i Bóg, warte są swej ceny? Czy w życiu pozagrobowym spotka go nagroda? Czy będzie tam tylko nicość?

„Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz”.

Powrócił myślami do wypełnianej misji.

Ostatnią wolę papieża, która leżała przed nim, należało dostarczyć do watykańskiego Biura Prasowego. Ujawnienie treści testamentu to długa tradycja, lecz wcześniej kamerling musi go zatwierdzić, Michener wsunął więc złożony arkusz do kieszeni sutanny.

Zdecydował, że meble podaruje miejscowej organizacji charytatywnej, jako anonimowy darczyńca. Książki oraz rzeczy osobiste pozostawi sobie jako pamiątki po człowieku, którego kochał. Pod przeciwległą ścianą stał drewniany kuferek, który Klemens

zabierał ze sobą od lat. Michener wiedział, że wykonano go w Oberammergau, bawarskim miasteczku u podnóża Alp, słynącym ze znakomitych rzemieślników. Kufer miał wygląd i styl Riemenschneidera, zewnętrznej powierzchni nie pokryto żadną powłoką, a ozdobiono misternymi podobiznami apostołów, świętych i Matki Boskiej.

Przez wszystkie wspólnie spędzone lata nigdy nie wiedział, co Klemens trzyma w kuferku. Teraz należał do niego.

Podszedł i spróbował podnieść wieko. Zamknięte. Dostrzegł mosiężną dziurkę zamka. Nigdzie w apartamencie nie zauważył kluczyka, nie chciał jednak uszkadzać kuferka, wyważając zamek. Postanowił więc trzymać go z innymi rzeczami i zająć się jego zawartością w późniejszym czasie.

Cofnął się do biurka i dokończył robienie porządków w pozostałych szufladach. W ostatniej natrafił na pojedynczą kartkę papieskiego papieru listowego złożoną we troje. Zapisana była odręcznie.

*Ja, Klemens XV, tego dnia wynoszę wielebnego ojca Colina Michenera dogodności kardynała Eminencji.*

Nie dowierzał własnym oczom. Klemens skorzystał z przysługującej mu możliwości wyznaczenia kardynała *in petto* - w tajemnicy. Zazwyczaj kardynałów informowano o ich wyniesieniu oficjalnym pismem od urzędującego papieża, jawnie publikowanym, a potem papież wprowadzał ich na urząd w trakcie uroczystego konsystorza. Wyniesienia potajemne stały się powszechne w krajach komunistycznych albo w takich miejscach, gdzie dyktatorskie reżimy mogły zagrozić nowo mianowanemu purpuratowi. Zasady wyniesienia *in petto* stanowiły jednoznacznie, że piastowanie urzędu rozpoczyna się z datą wyniesienia, nie zaś z datą jego publicznego ogłoszenia, ale istniała jeszcze jedna reguła, która sprawiła, że radość Michenera uleciała. Jeśli papież umrze, zanim nominacja *in petto* zostanie ogłoszona publicznie, wyniesienie jest nieważne.

Trzymał kartkę w dłoni. Widniała na niej data sprzed sześćdziesięciu dni.

Był taki bliski otrzymania purpurowego biretu.

Te apartamenty najpewniej zajmie Alberto Valendra. Szansa na potwierdzenie nominacji Klemensa XV była niewielka. Ale po części Michener się tym nie przejął. Uwzględniając wszystko, co stało się w przeciągu ostatnich osiemnastu godzin, nie poświęcił nawet chwili refleksji ojcu Tiborowi, ale teraz znów zaczął myśleć o starym księdzu. Może powinien powrócić do Zlatnej i sierocińca, by dokończyć to, co zaczął Bułgar. Coś mu

mówiło, że jest to misja, której powinien się podjąć. Jeśli Kościół nie zatwierdzi nominacji, powie im wszystkim, by poszli do diabła, zaczynając od Alberto Valendrei.

„Pragniesz zostać kardynałem? By dostąpić tej godności, musisz pojąć miarę związanej z nim odpowiedzialności. Jak możesz spodziewać się, że wyniosę cię, jeśli nie dostrzegasz tego, co jest takie oczywiste?”

To słowa Klemensa wypowiedziane w Turynie w ostatni czwartek. Zastanawiał się nad ich ostrością. Teraz, gdy wiedział, że jego mentor postanowił uczynić go kardynałem, słowa te jeszcze bardziej go zdumiewały. „Jak możesz spodziewać się, że wyniosę cię, jeśli nie dostrzegasz tego, co jest takie oczywiste?”

Co miał dostrzec?

Wsunął kartkę do kieszeni, w której znajdował się już papieski testament.

Nikt nigdy nie dowie się, co uczynił Klemens. Nie miało to już żadnego znaczenia. Liczyło się jedynie to, że jego przyjaciel uznał go za godnego purpury. W zupełności mu to wystarczało.

20:30

Michener skończył pakowanie rzeczy papieża do pięciu kartonowych pudełek dostarczonych przez szwajcarskich gwardzistów. Szafa, komoda i nocne stoliki były już opróżnione. Personel pomocniczy wywiózł na wózkach te meble do magazynu w piwnicach, gdzie miały być trzymane do czasu załatwienia formalności związanych z ich przekazaniem organizacji charytatywnej.

Stał na korytarzu, gdy drzwi zostały zamknięte po raz ostatni i założono na nich ołowianą plombę. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa już nigdy więcej nie wkroczy do papieskich apartamentów. Niewielu sekretarzy pięło się dalej po szczeblach kościelnej kariery, jeszcze mniej powracało później do Watykanu. Ambrosi miał rację, mówiąc, że jego czas przeminął. Pokoje miały pozostać zamknięte do czasu, kiedy stanie przed nimi nowo obrany papież i plomby zostaną zerwane. Wzdrygnął się na myśl, że nowym lokatorem będzie Alberto Valendra.

Kardynałowie wciąż byli zgromadzeni w Bazylice św. Piotra, gdzie celebrowano żałobne requiem przy katafalku z ciałem Klemensa XV. Żałobnych mszy miało być odprawionych jeszcze wiele w ciągu następnych dziewięciu dni. Tymczasem jego czekało jeszcze jedno zadanie, zanim dopełni oficjalnych obowiązków.

Zszedł na drugie piętro.

Podobnie jak w wypadku apartamentów Klemensa, również w jego biurze niewiele było rzeczy do zabrania. Wszystkie meble stanowiły własność Watykanu, obrazy na ścianach, w tym portret Klemensa XV, należały do Stolicy Apostolskiej. Cały jego dobytek zmieścił się w jednym kartonie. Było to kilka przyborów biurkowych, bawarski zegar rocznicowy oraz trzy fotografie rodziców. Na wszystkich placówkach, na które trafiał z Klemensem, zapewniano mu podstawowe sprzęty. Nie posiadał nic oprócz kilku sztuk odzieży oraz laptopa. W ciągu minionych lat zdołał zaoszczędzić sporą część otrzymywanej pensji, potem skorzystał z paru dobrych rad inwestycyjnych i miał teraz odłożone na lokacie w Genewie kilkaset tysięcy dolarów - jego osobisty fundusz emerytalny - gdyż Kościół płacił duchownym raczej skromne uposażenia. Reforma funduszu emerytalnego była dyskutowana

od dawna, Klemens opowiadał się za zrobieniem czegoś w tym kierunku, ale przedsięwzięcie to musiało teraz poczekać do następnego pontyfikatu.

Usiadł przy biurku i po raz ostatni włączył komputer. Musiał przejrzeć pocztę elektroniczną i przygotować instrukcje dla swego następcy. W ciągu minionego tygodnia jego zastępcy zajęli się wszystkim, większość e-maili mogła poczekać do chwili, gdy konklawe zostanie rozstrzygnięte. W zależności od tego, na kogo padnie wybór, jego obecność będzie potrzebna jeszcze przez około tydzień, by ułatwić fazę przejściową. Jeśli jednak na tronie Piotrowym zasiądzie Alberto Valendrea, niemal na pewno Paolo Ambrosi zostanie mianowany papieskim sekretarzem i wtedy wszelkie watykańskie prerogatywy Michenera zostaną natychmiast odwołane, a jego usługi przestaną być potrzebne. Co mu zresztą nie przeszkadzało. Nie miał zamiaru robić niczego, by dopomóc Ambrosiemu.

Kontynuował sprawdzanie listy e-maili, przeglądając jeden po drugim i potem usuwając je. Zostawił tylko kilka, opatrując jej krótkimi komentarzami dla personelu. W trzech listach były kondolencje od biskupów, z którymi się przyjaźnił - na te odpowiadał krótko. Może któryś z nich zatrudni go na swego asystenta? Odrzucił jednak tę myśl. Nie miał zamiaru robić tego samego po raz drugi. Co powiedziała Katerina w Bukareszcie? „Czy twoje życie polega jedynie na służeniu innym?” Być może jeśli poświęci się czemuś tak ważnemu jak sprawa ojca Tibora, to zapewni zbawienie duszy Klemensa XV. Poświęcenie z jego strony mogłoby odkupić słabość przyjaciela.

Myśl ta sprawiła, że poczuł się lepiej.

Na ekranie pojawił się rozkład zajęć papieskich na zbliżające się Boże Narodzenie. Harmonogram przesłano do Castel Gandolfo do przeglądu, na dole widniały inicjały Klemensa, oznaczające zatwierdzenie. Papież miał celebrować tradycyjną pasterkę w Bazylice św. Piotra, na następny dzień zaplanowano wygłoszenie orędzia bożonarodzeniowego z balkonu. Michener zwrócił uwagę na porę nadejścia odpowiedzi z Castel Gandolfo. Sobota, dziesiąta piętnaście rano. Wtedy mniej więcej powrócił z Bukaresztu do Rzymu, jeszcze nie zdążył porozmawiać z Klemensem. A o wiele później papież dowiedział się o śmierci Tibora. Dziwne, że papież zamierzający dopełnić samobójstwo poświęcił czas na przeglądanie harmonogramu, którego i tak nie miał zamiaru realizować.

Michener przejrzał do końca listę wiadomości, przy ostatniej brakowało nadawcy. Sporadycznie otrzymywał anonimową korespondencję od ludzi, którym jakimś sposobem udało się zdobyć jego internetowy adres. W większości były to nieszkodliwe słowa oddania od ludzi, którzy pragnęli, by ich papież dowiedział się, że jego los leży im na sercu.

Kliknął dwa razy myszką i zobaczył list wysłany z Castel Gandolfo wczoraj wieczorem. Czas nadejścia wiadomości: dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt sześć.

*Wiesz już teraz, Colinie, czego się dopuściłem. Nie oczekuję, że zrozumiesz. Dowiedz się jedynie, że Matka Boska powróciła i oświadczyła, że mój czas nadszedł. Towarzyszył jej ojciec Tibor. Spodziewałem się, że zabierze mnie ze sobą, lecz Ona powiedziała, że muszę własną ręką przerwać swój żywot. Ojciec Tibor oznajmił, że to mój obowiązek, pokuta za okazane nieposłuszeństwo. Później wszystko miało stać się jasne. Zastanawiałem się, co spotka moją duszę, ale powiedziano, że Pan już czeka. Zbyt długo ignorowałem Jego wolę. Tym razem tego nie uczynię. Tyle razy pytałeś, co mnie trapi. Odpowiem ci teraz. W 1978 roku Valendrea wyciągnął z Riservy część trzeciej tajemnicy objawionej przez Matkę Boską w Fatimie. Tylko pięcioro ludzi знаło pierwotną zawartość kasetki. Czwooro z nich - siostra Łucja, Jan XXIII, Paweł VI i ojciec Tibor - odeszło już z tego świata. Pozostał jedynie Valendrea. Oczywiście, że wyprze się wszystkiego, a niniejsze słowa zostaną uznane za rojenia człowieka, który odebrał sobie życie. Wiedz jednak, że kiedy Jan Paweł II przeczytał treść trzeciej tajemnicy i ujawnił ją światu, nie dysponował całym tekstem. Do Ciebie należy naprawienie tego. Jedź do Medjugorie. To ważne. Nie tylko dla mnie, ale też dla Kościoła. Potraktuj to jako ostatnią wolę starego przyjaciela.*

*Jestem pewien, że Kościół szykuje już mój pogrzeb. Ngovi dobrze wywiąże się z tego obowiązku. Zróbcie z moim ciałem to, co uznacie za stosowne. Pompa i ceremoniał nie oznaczają pobożności. Jeśli chodzi o mnie, wolałbym świętość Bambergu, uroczego miasta nad rzeką i katedry, którą tak ukochałem. Żałuję jedynie, że nie udało mi się popatrzeć na to piękno jeszcze raz. Może jednak moja spuścizna nadal tam będzie. Ale wniosek ten pozostawiam innym. Niech Bóg będzie z Tobą, Colinie. Kochałem Cię szczerze, jak ojciec kocha syna.*

List samobójcy, zwykły i prosty, napisany dłonią człowieka najwyraźniej cierpiącego na urojenia. Zwierzchnik Kościoła katolickiego oświadczał, iż Matka Boska kazała mu odebrać sobie życie. Ale fragmenty odnoszące się do Valendrei i trzeciej tajemnicy były interesujące. Czy mógł zaufać tym informacjom? Zastanawiał się, czy powinien powiadomić Ngowiego, ale doszedł do wniosku, że im mniej osób dowie się o tym liście, tym lepiej. Ciało Klemensa było już zabalsamowane, płyny fizjologiczne pochłonięte przez płomień, a prawdziwa przyczyna nigdy nie zostanie ujawniona. Słowa wyświetlone na ekranie stanowiły jedynie potwierdzenie tego, że papież być może niedomagał umysłowo.

Nie wspominając o obsesji, która nim zawładnęła.

Klemens po raz kolejny nakazywał mu jechać do Bośni. Nie planował spełnienia tej prośby. Jaki miał być cel tej eskapady? Wciąż miał przy sobie list zmarłego papieża przeznaczony dla jednego ze świadków objawień, lecz władza, która mogła wyegzekwować ten nakaz, spoczywała teraz w rękach kamerlinga i zgromadzenia kardynałów. Nie było żadnej możliwości, żeby Alberto Valendrea pozwolił mu na wyprawę do Bośni w poszukiwaniu maryjnej tajemnicy. Byłoby to ustępstwo wobec papieża, którym jawnie gardził. Nie wspominając już o tym, że wydanie zgody na oficjalny wyjazd wymagało poinformowania kardynałów o ojcu Tiborze, papieskich objawieniach oraz obsesyjnym podejściu Klemensa do trzeciej tajemnicy fatimskiej. Te rewelacje wywołałyby przeogromną liczbę pytań. Reputacja Klemensa była zbyt cenna, by wystawiać ją na szwank. Sam fakt, że czterech ludzi wiedziało o papieskim samobójstwie, nie był korzystny. Z pewnością nie zamierzał stać się jednym z tych, którzy splamią pamięć wielkiego człowieka. Ale Ngovi powinien przeczytać ostatnie słowa Jakoba Volknera. Przypomniał sobie wyznanie Klemensa w Turynie. „Maurice Ngovi jest najbliższym mi człowiekiem, jaki ci pozostanie. Pamiętaj o tym w niedalekiej przyszłości”.

Wydrukował tekst listu.

Potem usunął plik i wyłączył laptop.

PONIEDZIAŁEK, 27 LISTOPADA 11:00

Michener wszedł do Watykanu od strony placu św. Piotra, podążając za chmurą turystów, którzy wysiedli z autobusów. Swoje apartamenty w Pałacu Apostolskim zwolnił przed dziesięcioma dniami, tuż przed pogrzebem Klemensa XV. Wciąż miał prawo wolnego wstępu, ale po załatwieniu ostatnich oficjalnych spraw administracyjnych jego obowiązki w Stolicy Apostolskiej dobiegną końca.

Kardynał Ngovi poprosił go o pozostanie w Rzymie do czasu zwołania konklawe. Zasugerował nawet, by dołączył do podległego mu personelu Kongregacji do spraw Wychowania Katolickiego, ale nie był w stanie zagwarantować utrzymania tej posady po konklawe. Nominacja Ngoviego również dobiegała końca wraz ze śmiercią Klemensa, ponadto kamerling zadeklarował zamiar powrotu do Afryki, jeśli Valendrea zasiądzie na Piotrowym tronie.

Pogrzeb Klemensa odbył się w skromnej oprawie, ciało wystawiono na widok publiczny przed frontem Bazyliki św. Piotra. Na placu zgromadził się milionowy tłum, płomykiem pojedynczej gromnicy ustawionej obok trumny szarpały nerwowe porywy wiatru. Michener nie zasiadł wraz z księżętami Kościoła, gdzie mógłby się znaleźć, gdyby sprawy potoczyły się inaczej. Zajął miejsce wśród personelu, który przez trzydzieści cztery miesiące służył wiernie swemu papieżowi. Na uroczystość przybyło ponad sto głów państw, ceremonię transmitowały stacje telewizyjne i radiowe z całego świata.

Ngovi nie prowadził ceremonii żałobnej. Przekazał innym kardynałom przywilej zabrania głosu. Było to mądre posunięcie, które z pewnością miało zapewnić kamerlingowi poparcie ze strony niektórych purpuratów. Być może nie w stopniu dostatecznym do zagwarantowania głosu podczas konklawe, ale z pewnością wystarczającym do zyskania chętnego słuchacza.

Nie dziwiło go wcale, że prawa do przemowy nie uzyskał Valendrea. Wytlumaczenie tego pominięcia było zresztą proste. W okresie *interregnum* sekretarz stanu koncentrował się na stosunkach Stolicy Apostolskiej z zagranicą. Całą jego uwagę pochłaniały sprawy zewnętrzne, a zadanie wychwalania zasług Klemensa oraz wypowiedzenia słów pożegnania



przekazywano tradycyjnie innym. Valendrea wziął sobie do serca własne obowiązki i w ciągu minionych dwóch tygodni niemal nie zniknął z łamów prasy, udzielając wywiadów znaczącym agencjom informacyjnym z całego świata. Toskańczyk mówił zwięźle i pieczołowicie dobierał słowa.

Kiedy ceremonia dobiegła końca, dwunastu żałobników poniosło trumnę przez Bramę Śmierci, a później zeszło z nią do podziemnej krypty. Na sarkofagu przygotowanym w pośpiechu przez kamieniarzy widniała podobizna Klemensa II, niemieckiego papieża z jedenastego wieku, którego Jakob Volkner tak bardzo podziwiał, oraz papieski emblemat Klemensa XV. Miejsce pochówku znajdowało się w pobliżu grobu Jana XXIII, co z pewnością spodobałoby się Klemensowi. W krypcie spoczywały doczesne szczątki stu czterdziestu ośmiu jego braci.

- Colinie.

Usłyszawszy swoje imię, zatrzymał się. Przez plac kroczyła Katerina. Nie widział się z nią od spotkania w Bukareszcie przed niemal trzema tygodniami.

- Jesteś znowu w Rzymie?

Teraz była ubrana inaczej. Na jej garderobę składały się spodnie khaki, zamszowa bluza z jagnięcej skóry w kolorze czekoladowego brązu oraz kurtka w kurzą stopkę. O ile pamiętał jej gust, ten strój był trochę za bardzo trendy, ale prezentował się atrakcyjnie.

- Wcale stąd nie wyjechałam.

- Przyleciałaś tu z Bukaresztu?

Przytaknęła. Wiatr rozwiewał jej hebanowe włosy, odgarnęła loki z twarzy

- Szykowałam się do drogi, kiedy dowiedziałam się o Klemensie. Wtedy postanowiłam zostać.

- Co robiłaś przez ten czas?

- Zebrałam parę zleceń na relacjonowanie papieskiego pogrzebu.

- Widziałem Kealy'ego w CNN. W ciągu minionego tygodnia pojawiał się regularnie na antenie, prezentując tendencyjne analizy sytuacji przed nadchodzącym konklawe.

- Ja również to robiłam. Ale nie spotkałam się z Tomem od chwili śmierci Klemensa. Miałaś rację. Bez niego radzę sobie lepiej.

- Postąpiłaś właściwie. Słuchałem, co ten dureń wygaduje w telewizji. Ma opinie na wszystkie tematy, a na ogół błędne.

- Być może CNN powinna wynająć ciebie.

Zachichotał.

- Akurat tego mi trzeba.

- Co zamierzasz robić, Colinie?
- Właśnie chcę powiadomić kardynała Ngoviego o zamiarze powrotu do Rumunii.
- By spotkać się ponownie z ojcem Tiborem?
- Nic nie wiesz?

Jej twarz wyrażała zaskoczenie. Opowiedział jej o zamordowaniu Tibora.

- Biedny człowiek. Nie zasłużył na to. I te dzieci. Miały tylko jego.
- Właśnie dlatego tam się wybieram. Czas coś zrobić.
- Wydajesz się zadowolony z tej decyzji.

Rozejrzał się dokoła placu, po miejscach, po których wcześniej spacerował bezkarnie jako osobisty sekretarz papieża. Teraz czuł się tu jak ktoś obcy.

- Czas się stąd ruszyć.
- Kończysz z życiem w oderwaniu od świata?
- Nie taka będzie moja przyszłość. Przez jakiś czas sierociniec w Zlatnej będzie moim domem.

Obróciła się na pięcie.

- Przeszliśmy długą drogę. Nie spieramy się. Nie dzieli nas gniew. W końcu jesteśmy przyjaciółmi.

- Po prostu drugi raz nie popełniamy tego samego błędu. To wszystko, na co każde z nas może mieć nadzieję. - Widział, że Katerina zgadza się z jego słowami. Cieszył się, że wpadli na siebie. Ale Ngovi czekał. - Uważaj na siebie.

- Ty też, Colinie.

Odszedł, walcząc zaciekle z impulsem, który nakazywał mu spojrzeć za siebie po raz ostatni.

\*

Odnalazł Ngoviego w jego biurze Kongregacji do spraw Wychowania Katolickiego. W labiryncie pokoi wrzało od intensywnej pracy. Konklawe miało zacząć się jutro, a zatem wszystkie sprawy wymagały doprowadzenia do końca.

- W zasadzie uważam, że jesteśmy gotowi - oznajmił kamerling.

Drzwi były zamknięte, personel został poinstruowany, by im nie przeszkadzać. Michener spodziewał się przydzielenia kolejnego zadania, gdyż to Ngovi wyznaczył spotkanie.

- Czekałem do tej chwili, by porozmawiać z tobą, Colinie. Jutro będę zamknięty w Kaplicy Sykstyńskiej - oświadczył kamerling i wyprostował się na krześle. - Chcę, żebyś pojechał do Bośni.

Prośba ta zaskoczyła go.

- Ale po co? Zgodziłeś się ze mną, że cała sprawa zakrawa na groteskę.

- Nie daje mi jednak spokoju. Klemens do czegoś zmierzał, ja zaś zamierzam spełnić jego życzenie. To obowiązek każdego kamerlinga. Pragnął poznać dziesiąty sekret. Ja również tego pragnę.

Nie wspomniał wcześniej Ngoviemu o ostatnim liście otrzymanym od Klemensa pocztą elektroniczną. Teraz więc sięgnął do kieszeni i wyciągnął wydruk.

- Powinieneś przeczytać to.

Kardynał założył okulary na nos i zagłębił się w lekturę.

- Przesłał to w tamtą sobotę, tuż przed północą. Maurice, on miał urojenia. Jeśli będziemy włóczyć się po Bośni, ściągniemy tylko na siebie uwagę. Dlaczego nie zostawimy tej sprawy w spokoju?

Kamerling zdjął okulary

- Po lekturze jeszcze bardziej pragnę, żebyś tam pojechał.

- Mówisz zupełnie jak Jakob. Co w ciebie wstąpiło?

- Nie wiem. Wiem tylko, że było to dla niego ważne, my zaś powinniśmy doprowadzić do końca jego zamiar. Ta nowa informacja o wykradzeniu przez Valendree części tajemnicy fatimskiej sprawia, że nasze dociekania nabierają znaczenia.

Wciąż nie był przekonany.

- Jak dotąd, Maurice, nikt nie podnosił kwestii przyczyny zgonu Klemensa. Masz zamiar podjąć to ryzyko?

- Rozważyłem to. Ale wątpię, żeby prasa wykazała zainteresowanie twoimi poczynaniami. Uwagę mediów pochłonie w całości konklawe. Chcę więc, żebyś tam pojechał. Wciąż jeszcze masz jego list do świadka objawień?

Skinął głową.

- Dam ci jeszcze jeden z moim podpisem. To powinno wystarczyć.

Poinformował Ngoviego, czemu zamierza poświęcić się w Rumunii.

- Czy ktoś inny nie może podjąć się tej misji?

Ngovi pokręcił głową.

- Znasz odpowiedź na to pytanie.

Widział, że Ngovi jest bardziej przestraszony niż zwykle.

- Jest jeszcze coś, o czym powinieneś wiedzieć, Colinie - oznajmił kamerling wskazując wydruk e-maila. - Ma to związek z listem. Powiedziałeś mi, że Valendrea poszedł do Risery razem z papieżem. Rejestr potwierdza ich wizytę w piątek wieczorem przed

śmiercią papieża. Nie wiesz jednak, że Valendrea opuścił Watykan w sobotę wieczorem. Wyjazd nie był zaplanowany. Odwołał nawet wszystkie spotkania, żeby znaleźć wolny czas. Powrócił dopiero w niedzielę rano.

Zasięg siatki informacyjnej Ngoviego zrobił na nim spore wrażenie.

- Nie wiedziałem, że obserwujesz go tak uważnie.

- Nie tylko Toskańczyk ma swoich szpiegów.

- Masz jakieś domysły, dokąd mógł się udać?

- Wiem jedynie, że odleciał przed zmrokiem prywatnym odrzutowcem z lotniska w Rzymie i powrócił tym samym samolotem następnego ranka.

Przypomniał sobie dziwne uczucie w bukaresztańskiej restauracji, kiedy on i Katerina rozmawiali z Tiborem. Czy Valendrea wiedział o istnieniu ojca Tibora? Czy on sam był śledzony?

- Tibor zginął w sobotnią noc. Co chcesz przez to powiedzieć, Maurice?

Ngovi podniósł dłonie w geście niezdecydowania.

- Relacjonuję jedynie fakty. Gdy byli w piątek w Riservie, Klemens pokazał Valendrei to, co przesłał mu ojciec Tibor. Następnej nocy ten ksiądz został zamordowany. Czy nieoczekiwana podróż Valendrei miała związek ze śmiercią Tibora, tego nie wiem. Ale stary ksiądz opuścił ziemski padół w dziwnym momencie, nie sądzisz?

- I twoim zdaniem odpowiedź na to wszystko znajduje się w Bośni?

- Klemens w to wierzył.

Teraz dopiero zrozumiał rzeczywiste motywy, którymi kierował się Ngovi. Chciał jednak wiedzieć więcej.

- A kardynałowie? Czy nie należy ich poinformować o moich działaniach?

- Misja, którą wypełniasz, nie ma charakteru oficjalnego. Wiemy o niej tylko ty i ja. To gest wobec naszego zmarłego przyjaciela. Poza tym od jutra będziemy już uczestniczyć w konklawe. Odcięci od świata. Nikogo nie będzie można o niczym poinformować.

Teraz zrozumiał, dlaczego kamerling tak długo zwlekał z tą rozmową. Przypomniał sobie również ostrzeżenie w odniesieniu do Alberto Valendrei i braku prywatności. Rozejrzał się po ścianach wzniesionych w czasie, kiedy toczyła się wojna o niepodległość Stanów Zjednoczonych. Czy ktoś mógł ich podsłuchiwać? Doszedł jednak do wniosku, że nie ma to już znaczenia.

- Dobrze, Maurice, zrobię to. Ale jedynie dlatego, że o to prosisz, a Jakob tego pragnął. Gdy misja dobiegnie końca, wycofuję się.

Miał nadzieję, że Valendrea dosłyszał te słowa.

16:30

Valendrea czuł się przytłoczony ogromem informacji ujawnionych przez urządzenia podsłuchowe. W ciągu minionych dwóch tygodni Ambrosi pracował każdego wieczora, sortując taśmy, oddzielając ziarno od plew. Skrócone wersje, podane na mikrokasetach, ujawniły bardzo wiele szczegółów na temat poglądów kardynałów, z przyjemnością też odkrył, że w oczach wielu stawał się *papabile*, chociaż w niektórych wypadkach musiał jeszcze potwierdzić do końca uzyskanie poparcia.

Przyjęta przezeń powściągliwa postawa przynosiła skutki. Tym razem, inaczej niż w trakcie konklawe zwycięskiego dla Klemensa XV okazał szacunek, którego oczekuje się od księcia Kościoła. Komentatorzy z miejsca umieścili jego nazwisko na krótkiej liście faworytów, obok Maurice'a Ngovi oraz czterech innych kardynałów.

Nieformalne liczenie dusz przeprowadzone poprzedniego dnia wykazało, że posiada czterdzieści osiem głosów na tak. Do szybkiego zwycięstwa w jednym z pierwszych głosowań potrzebował tych głosów aż siedemdziesiąt sześć, zakładając, że wszystkich stu trzynastu uprawnionych purpuratów pojawi się w Rzymie. Tak się zapewne stanie, chyba że któregoś powstrzyma obłożna choroba. Na szczęście reformy przeprowadzone przez Jana Pawła II pozwalały na zmianę formuły liczenia głosów po trzech dniach głosowań. Jeśli do tego czasu papież nie zostanie wybrany, przystępuje się do serii następujących po sobie głosowań, po których zarządzany jest dzień przerwy na modlitwę i dyskusję. Po dwunastu dniach konklawe, jeśli wciąż nie ma zwycięzcy, w kolejnym głosowaniu decyduje już zwykła większość. Oznaczało to, że czas działa na korzyść Valendrei, gdyż bez wątpienia on dysponuje taką większością, wraz z większą niż wymagana liczbą głosów, by zablokować wybór kogoś innego na początku konklawe. W razie potrzeby może więc doprowadzić do wyborczej obstrukcji - pod warunkiem, oczywiście, że utrzyma w całości własny blok przez dwanaście kolejnych dni.

Kilku kardynałów zaczynało stwarzać problemy. Na forum publicznym oświadczali mu jedno, gdy natomiast znaleźli się za zamkniętymi drzwiami, pewni dyskrecji, głosili coś zupełnie innego. Sprawdził więc dossier Ambrosiego i przekonał się, że jego asystent

zgromadził interesujące informacje na temat kilku zdrajców - więcej niż trzeba, by udowodnić życiowe błędy, które popełnili - i planował wysłanie do nich swego emisariusza, jeszcze przed jutrzejszym porankiem.

Począwszy od jutra, wywieranie presji w celu pozyskania głosów będzie trudne. W trakcie konklawe mógł wprawdzie naciskać na hierarchów, ale pokoje w bursie były zbyt ciasne, prywatność zbyt ograniczona, a nastrój Kaplicy Sykstyńskiej wpływał swoiście na kardynałów. Jedni nazywali to natchnieniem Ducha Świętego. Inni bez ogródek uznawali to za ambicje. Wiedział więc, że głosy musi sobie zapewnić teraz, by każdy z purpuratów wypełnił swoją część zobowiązania podjętego w trakcie politycznych targów.

Nie miał wątpliwości, że potrzebną liczbę głosów może sobie zapewnić jedynie uciekając się do szantażu. Większość popleczników zachowywała lojalność wobec niego z uwagi na jego pozycję w Kościele oraz pochodzenie i dokonania, co umacniało go w roli najpewniejszego *papabile* wśród faworytów. Lecz słowa, które Klemens skierował do niego przed trzema tygodniami w papieskim apartamencie, wciąż nie dawały mu spokoju. „Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że to ty przejmiesz po mnie schedę. Przekonasz się, że będzie zupełnie inaczej, niż sobie to wyobrażałeś. Może to ty powinieneś zostać wybrany.” Oraz słowa wypowiedziane przez papieża w tamten piątkowy wieczór, kiedy opuścili Riservę. „Chciałem, żebyś wiedział, co cię czeka.” I dlaczego Klemens nie powstrzymał go, kiedy palił kopię przekładu? „Sam się przekonasz.”

- Niech cię diabli, Jakobie - wymamrotał.

Usłyszał pukanie do drzwi biura. Do środka wkroczył Ambrosi i podszedł do biurka. W kieszeni trzymał magnetofon kasetowy.

- Niech Eminencja posłucha tego. Przed chwilą przegrałem to z innej taśmy. To rozmowa Michenera z Ngovim sprzed czterech godzin w gabinecie kamerlinga.

Nagranie trwało około dziesięciu minut. Valendra wyłączył magnetofon.

- Najpierw Rumunia. Teraz Bośnia. Oni nie zrezygnują.

- Najwyraźniej Klemens przesłał Michenerowi pożegnalny list pocztą elektroniczną.

Ambrosi wiedział o samobójstwie Klemensa. Valendra powiedział mu o tym i o kilku jeszcze sprawach, gdy byli w Rumunii, w tym również o tym, co wydarzyło się w Riservie, kiedy był tam razem w Klemenssem.

- Muszę poznać treść tego e-maila.

- Nie bardzo wiem, jakim sposobem mielibyśmy tego dokonać.

- Moglibyśmy skorzystać ponownie z usług przyjaciółki Michenera.

- Ja też o tym pomyślałem. Ale dlaczego to wciąż jest ważne? Konklawe zaczyna się

już jutro. Do jutrzejszego zachodu słońca będziesz, Eminencjo, papieżem. A z całą pewnością najpóźniej pojutrze.

To niewykluczone, ale równie dobrze mógł zostać zamknięty na wiele dni głosowań niedających szybkiego rozstrzygnięcia.

- Niepokoi mnie fakt, że nasz afrykański przyjaciel dysponuje własną siatką informatorów. Nie zdawałem sobie sprawy, że jest to dla niego takie ważne.

Oprócz tego martwił go fakt, że kamerling tak łatwo połączył jego wyjazd do Rumunii z zamordowaniem Tibora. To może przynieść komplikacje.

- Chcę, żebyś odnalazł Katerinę Lew.

Celowo nie rozmawiał z nią od powrotu z Rumunii. Nie było potrzeby. Dzięki Klemensowi wiedział wszystko, czego potrzebował. Ale irytował go fakt, że Ngovi wysłała emisariusza w prywatnej misji. Zwłaszcza w misji, która dotyczyła jego osoby. Niewiele jednak był w stanie zrobić, nie angażując w to Zgromadzenia Kardynałów. Padłoby wtedy zbyt wiele pytań, on zaś znał zbyt mało odpowiedzi. Przy okazji Ngovi mógłby zyskać formalny pretekst do podjęcia dochodzenia w sprawie jego wyjazdu do Rumunii, a sekretarz stanu nie miał zamiaru dawać kamerlingowi takiej sposobności.

Był jedyną żyjącą osobą, która znała całość słów wypowiedzianych przez Matkę Boską. Trzej zwierzchnicy Kościoła odeszli już z tego świata. Sam zdołał zniszczyć część przekłętą kopii tłumaczenia dokonanego przez ojca Tibora, zlikwidował też samego księdza i wrzucił oryginalny tekst siostry Łucji do muszli klozetowej, po czym spuścił wodę. Pozostało jedynie faksymile tłumaczenia, ulokowane w sejfie w Riservie. Nikt nie miał pozwolenia na przeczytanie tych słów. Zyskanie dostępu do kasetki wymagało objęcia tronu świętego Piotra.

Spojrzał na Ambrosiego.

- Niestety, Paolo, musisz pozostać tu w ciągu najbliższych dni. Muszę mieć cię pod ręką. Chcę jednak wiedzieć, co Michener porabia w Bośni. Odnajdź więc Katerinę Lew i ponownie postaraj się o jej pomoc.

- Skąd Eminencja wie, że ona przebywa w Rzymie?

- Gdzież indziej mogłaby być?

18:15

Uwagę Kateriny przyciągnęło stanowisko stacji CNN, na zewnątrz południowego krańca kolumnady otaczającej plac św. Piotra. Zobaczyła Kealy'ego na fragmencie brukowanej nawierzchni, w świetle reflektorów przed obiektywami trzech kamer. Na placu widać było wiele tymczasowych stanowisk transmisyjnych. Tysiące krzeseł oraz setki barierek, ustawionych na czas pogrzebu Klemensa, zniknęły z placu; ich miejsca zajęły stoiska z pamiątkami, pielgrzymi, manifestanci oraz dziennikarze, którzy przybyli gromadnie do Rzymu na czas konklawe, którego początek był zaplanowany na rano następnego dnia. Telewizyjne kamery ustawiano tak, by zyskać najlepszy widok na metalową rurkę usytuowaną wysoko nad Kaplicą Sykstyńską. Biały dym miał sygnalizować wybór kolejnego następcy świętego Piotra.

Podeszła do grupy ciekawskich zebranych wokół stanowiska stacji CNN, gdzie Kealy relacjonował do kilku kamer. Miał na sobie czarną sutannę oraz koloratkę i wyglądał jak prawomyślny duchowny. Jak na kogoś, kto tak niewiele wagi przykładął do kapłańskiego powołania, wydawał się całkowicie zadowolony zewnętrznymi atrybutami duchownego stanu.

- ...to prawda, w dawnych czasach głosy palono za każdym razem, gdy wrzucono je do urny, dodając suchą lub wilgotną słomę, by powstały dym miał kolor biały lub czarny. Teraz do uzyskania barwy dodaje się środek chemiczny. W trakcie poprzednich konklawe kolor dymu wywołał sporo zamieszania. Najwidoczniej nawet Kościół katolicki od czasu do czasu pozwala, by nauka uprościła pewne sprawy.

- Jakie głosy słyszał ojciec na temat jutrzejszego dnia? - zapytała korespondentka siedząca obok Kealy'ego.

Kealy skoncentrował uwagę na obiektywie kamery.

- Moim zdaniem wyłoniła się dwójka faworytów. Kardynałowie Ngovi oraz Valendra. Ngovi byłby pierwszym Afrykaninem na Piotrowym tronie od pierwszego wieku i mógłby uczynić bardzo wiele dla swego kontynentu. Wystarczy popatrzeć, ile Jan Paweł II uczynił dla Polski i Europy Wschodniej. Afryka mogłaby w podobny sposób wykorzystać



zwycięzcę.

- Ale czy katolicy są gotowi na czarnoskórego papieża?

Kealy wzruszył ramionami.

- Czy ma to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie? Większość współczesnych katolików zamieszkuje Amerykę Południową i Środkową oraz Azję. Kardynałowie z Europy nie Stanowią już większości. Dopilnowali tego kolejni papieże od pontyfikatu Jana XXIII, poszerzając grono Zgromadzenia Kardynałów i wprowadzając do niego osoby o innej narodowości niż włoska. Kościołowi powodziłoby się lepiej pod rządami Ngoviego niż Valendrei.

Uśmiechnęła się. Kealy najwyraźniej rozkoszował się zemstą na wielbnym kardynale Alberto Valendrei. Interesujące, jak fale zmieniły kierunek. Przed dziewiętnastu dniami to Kealy odbierał ciosy z rąk sekretarza stanu i był na prostej drodze do obłożenia ekskomuniką. Ale w okresie *interregnum* posiedzenia Trybunału, jak zresztą wszystko inne, zostały zawieszane. Teraz oskarżony pojawiał się na antenie telewizji o światowym zasięgu i dyskredytował głównego oskarżyciela, poważnego konkurenta do papieskiego tronu.

- Dlaczego zdaniem ojca Kościołowi wiodłoby się lepiej pod rządami Ngoviego? - zapytała korespondentka.

- Valendrea jest Włochem. Kościół wyzwolił się już spod dominacji Włochów. Jego wybór stanowiłby krok wstecz. Jest również zbyt konserwatystą jak na katolika dwudziestego pierwszego wieku.

- Niektórzy twierdzą, że powrót do korzeni dobrze przysłużyłby się Kościołowi.

Kealy pokręcił głową.

- Czterdzieści minionych lat upłynęło na reformach, dzięki czemu Kościół stał się instytucją o ogólnoświatowym charakterze, a teraz wszystko to miałyby zostać odrzucone? Papież nie jest już tylko biskupem Rzymu. Stoi na czele miliarda wiernych, z których przytłaczająca większość to nie są Włosi ani nawet Europejczycy, ani przedstawiciele rasy białej. Wybór Valendrei będzie drogą ku samounicestwieniu. Inaczej stanie się, kiedy wybór padnie na człowieka takiego jak Ngovi, który jest w równym stopniu *papabile* i o wiele bardziej atrakcyjny dla świata.

Katerina zdumiona poczuła czyjaś dłoń na ramieniu. Obróciła się i dostrzegła czarne oczy ojca Paolo Ambrosiego. Irytujący księżulo mikrego wzrostu znajdował się o kilkanaście centymetrów od jej twarzy. Wstrząsnął nią nagły poryw gniewu, ale zdołała się opanować.

- On chyba nie przepada za kardynałem Valendrea - wyszeptał ksiądz.

- Niech ojciec zabierze rękę z mego ramienia.

Kąćki ust Ambrosiego wykrzywiły się w uśmiechu, gdy zdejmował dłoń.

- Tak myślałem, że tu panią znajdę - podjął, wskazując gestem na Kealy'ego. - W pobliżu lubego.

Czuła, jak zbiera się jej na mdłości, ale postanowiła nie okazywać strachu.

- Czego ojciec chce?

- Z pewnością nie życzy sobie pani rozmawiać tutaj. Gdyby pani towarzysz odwrócił głowę, zdziwiłby się, że rozmawia pani z osobą tak bliską kardynałowi, którym on pogardza. Mogłaby ogarnąć go zazdrość, a nawet wściekłość.

- Nie sądzę, by Kealy miał się jeszcze obawiać czegokolwiek z waszej strony. Ja zaś sikam na siedząco, raczej więc nie jestem w typie ojca.

Ambrosi nic nie rzekł, ale chyba miał rację. Cokolwiek chciał powiedzieć, powinno to być wyartykułowane w pełnej dyskrecji. Odeszła więc z nim w kierunku kolumnady, mijając rzędy stoisk, na których handlowano znaczkami i monetami.

- To oburzające - odezwał się Ambrosi, wskazując na handlarzy. - Traktują to jak karnawał. Widzą w tym jedynie okazję do zarobienia pieniędzy.

- Niewątpliwie skarbonki na datki wiernych, wystawione w Bazylice św. Piotra, schowano po śmierci Klemensa.

- Ma pani ostry język.

- Co w tym złego? Prawda boli?

Byli już poza Watykanem, na rzymskiej ulicy, po której obu stronach znajdowały się modne apartamenty mieszkalne. Czuła, jak targają nią nerwy, gdy stara się zachować czujność. Zatrzymała się.

- Czego ojciec chce?

- Colin Michener wybiera się do Bośni. Jego Eminencja życzy sobie, żeby pojechała pani z nim i przekazywała relacje o jego poczynaniach.

- Nie pofatygowaliście się wysłuchać relacji z Rumunii. Nie skontaktowaliście się ze mną aż do tej chwili.

- Tamta sprawa straciła na ważności. Teraz ta jest ważna.

- Nie jestem zainteresowana. Poza tym Colin wyjeżdża do Rumunii.

- Nie teraz. Wybiera się do Bośni. Do kościółka w Medjugorie.

Wpadła w konsternację. Dlaczego Michener miałby odczuwać potrzebę tej pielgrzymki, zwłaszcza po tym, co usłyszała ostatnio z jego ust?

- Jego Eminencja polecił przekazać, że przyjaciel za murami Watykanu wciąż będzie do pani usług. Nie wspominając o dziesięciu tysiącach euro już wypłaconych.

- Eminencja oświadczył, że pieniądze są moje. Bez żadnych roszczeń.

- To ciekawe, najwyraźniej nie jest pani tanią dziwką.

Wymierzyła mu ostry policzek.

Ambrosi nie okazał zdziwienia. Patrzył na nią świdrującym wzrokiem.

- Na przyszłość odradzam takie gesty - w jego głosie pobrzmiwało coś, co absolutnie jej się nie podobało.

- Przestałam być zainteresowana szpiegowaniem dla was.

- Jest pani impertynencką suką. Mam jedynie nadzieję, że Jego Eminencja szybko się panią znuży. Wtedy, być może, złożę pani kolejną wizytę.

Cofnęła się o krok.

- Po co Colin jedzie do Bośni?

- By odnaleźć jednego ze świadków objawień w Medjugorie.

- O co chodzi z tymi świadkami i Matką Boską?

- Zakładam zatem, że temat objawień w Bośni jest pani znany?

- To nonsens. Chyba nie daje pan wiary, że Matka Boska objawiała się tym dzieciom codziennie przez tyle lat i wciąż objawia się jednemu z nich.

- Kościół wciąż jeszcze stoi przed zadaniem weryfikacji wiarygodności tych objawień.

- A kościelny stempel ma sprawić, że zyskają status zdarzeń rzeczywistych?

- Pani sceptycyzm staje się męczący

- Podobnie jak pan.

Ale w jej duszy zrodziło się zainteresowanie. Nie chciała robić niczego dla Ambrosiego ani Valendrei, pozostała w Rzymie jedynie z uwagi na Michenera. Dowiedziała się o jego wyprowadzce z apartamentów w Watykanie - Kealy wspomniał o tym, analizując wydarzenia, które nastąpiły po śmierci papieża - lecz nie podjęła żadnych działań, by dowiedzieć się, gdzie znalazł lokum. Mówiąc prawdę, po ich ostatnim spotkaniu zaczęła zastanawiać się nad ideą wspólnego wyjazdu do Rumunii. Teraz jednak pojawiła się inna sposobność. Bośnia.

- Kiedy on wyjeżdża? - zapytała, nienawidząc siebie za to, że jej głos zdradza zainteresowanie.

W oczach Ambrosiego błysnęły iskierki zadowolenia.

- Tego nie wiem.

Duchowny wsunął dłoń pod sutannę i wyciągnął skrawek papieru.

- Tu jest adres jego mieszkania. To niedaleko stąd. Mogłaby pani... pocieszyć go. Jego mentor opuścił ziemski padół, jego życie pogrążyło się w chaosie. Wróg wkrótce zostanie

papieżem...

- Valendra jest bardzo pewny siebie.

Zignorowała jego pytanie.

- Na czym polega problem?

- Czy sądzi pan, że Colin jest teraz w kryzysie? Że otworzy się przede mną... i nawet pozwoli mi jechać ze sobą?

- Na tym opiera się nasz zamysł.

- On nie jest taki słaby

Ambrosi uśmiechnął się.

- Idę o zakład, że jest.

RZYM, 19.00

Michener szedł spacerowym krokiem po Via Giotto w kierunku nowego mieszkania. Ta okolica stanowiła miejsce spotkań ludzi bywających w teatrach, pełno tu było tętniących życiem kafejek, goszczących w swych podwojach intelektualistów i politycznych radykałów. Wiedział, że gdzieś w pobliżu ukartowano wyniesienie do władzy Mussoliniego. Na całe szczęście większość budynków przetrwała architektoniczną czystkę zarządzoną przez duce i dalej tworzyła dziewiętnastowieczny klimat.

Gdy przybył do Pałacu Apostolskiego, przestudiował życiorys Mussoliniego przy okazji lektury kilku innych biografii. Duce był człowiekiem ambitnym, któremu marzyło się, że wszyscy Włosi będą nosić mundury, a stare kamienne budynki rzymskie z dachami z terakoty zostaną zastąpione budowlami o marmurowych fasadach oraz obeliskami upamiętniającymi jego militarne zwycięstwa. Lecz Mussolini skończył marnie, z kulą w głowie, powieszony za nogi i wystawiony na publiczny widok. Z jego megalomańskich planów nic nie wyszło. Michener obawiał się, że pontyfikat Valendrei może przynieść podobny los Kościołowi.

Megalomania to choroba umysłu, której nasilenie potęguje arogancja. Valendrea cierpiał niewątpliwie na tę dolegliwość. Sprzeciw sekretarza stanu wobec postanowień soboru watykańskiego II oraz wszystkich późniejszych reform nie stanowił żadnej tajemnicy. Szybki wybór Valendrei mógł przemienić się w mandat uprawniający do radykalnego zwrotu. Najgorszy w tym wszystkim był fakt, że Toskańczyk miał szansę z powodzeniem zasiadać na Piotrowym tronie przez następne dwadzieścia lub więcej lat. To oznaczało możliwość radykalnej zmiany składu kolegium kardynałów, czego zdołał dokonać Jan Paweł II w trakcie bardzo długiego pontyfikatu. Lecz Jan Paweł II był władcą łagodnym, dalekowzrocznym. Valendrea natomiast jest demonem i niech Bóg ma w opiece jego przeciwników. To jeszcze jeden argument, który przemawiał za jak najszybszym zniknięciem Michenera w Karpatach. Bez względu na to, czy istnieje Bóg i niebo, tamte dzieci go potrzebują.

Dotarł do celu i wszedł po schodach na piętro, wlokąc się noga za nogą. Jeden z biskupów służących w papieskim domostwie zaoferował mu wynajęcie na okres kilku

tygodni umeblowanego mieszkania z dwiema sypialniami, on zaś docenił ten gest. Kilka dni wcześniej przekazał meble Klemensa organizacji charytatywnej. Pięć pudeł z rzeczami osobistymi oraz kuferek Klemensa znajdowały się teraz w tym mieszkaniu. Początkowo planował opuścić Rzym do końca tygodnia. Teraz jednak wybierał się do Bośni następnego dnia, a bilet dostarczył mu Ngovi. Zanim nadejdzie następny tydzień, on znajdzie się w Rumunii, rozpoczynając nowe życie.

Jakaś część jego duszy wciąż nie mogła pogodzić się z tym, co uczynił Klemens. Historia знаła wielu papieży wybieranych z uwagi na to, że ich żywot miał w niedługim czasie dobiec końca, liczni z nich wyprowadzali jednak wszystkich w pole i zasiadali na Piotrowym tronie przez dziesięć lat lub nawet dłużej. Jakob Volkner mógł stać się jednym z nich. On rzeczywiście prowadził Kościół ku nowemu. Pogrzebał jednak wszelkie nadzieje, zażywając pigułki nasenne.

Michener również odczuwał senność. Kilka ostatnich tygodni, zaczynając od owego koszmarne go poniedziałkowego poranka, wydawało się snem. Jego życie, dawniej wzorcowo uporządkowane, pogrążyło się teraz w chaosie.

Potrzebował ładu.

Gdy dotarł na drugie piętro, zrozumiał, że czeka go jedynie coraz większy chaos. Pod drzwiami jego mieszkania siedziała Katerina Lew.

- Dlaczego mnie nie dziwi, że znowu cię spotykam? - zapytał. - Jak tym razem mnie odnalazłaś?

- To kolejny sekret, który znają wszyscy

Wstała i otarła kurz ze spodni. Była ubrana tak jak rano i wciąż wyglądała prześlicznie.

Otworzył drzwi mieszkania.

- Wciąż wybierasz się do Rumunii? - zapytała.

Rzucił klucz na stół.

- Zamierzasz pojechać za mną?

- Być może.

- Jeszcze nie zarezerwowałem miejsca w samolocie.

Opowiedział jej o Medjugorie i o prośbie Ngoviego, pominął jednak pożegnalny list papieża przesłany pocztą elektroniczną. Nie bardzo chciało mu się tam jechać i wyjawiał to Katerinie.

- Wojna się skończyła, Colinie - odparła. - Od lat jest tam już spokojnie.

- Dzięki żołnierzom amerykańskim i jednostkom NATO. To nie jest dobre miejsce na

wakacje.

- Dlaczego więc tam jedziesz?
- Jestem to winien Klemensowi i Ngoviemu.
- Nie uważasz, że spłaciłeś już swoje długi?
- Wiem, co zamierzasz powiedzieć. Ale zastanawiam się nad porzuceniem sutanny.

Nie ma to już dla mnie znaczenia.

Na jej twarzy pojawił się szok.

- Dlaczego?

- Mam dość. Nie chodzi o Boga, uczciwe życie czy wiekiustą szczęśliwość. Chodzi o politykę, ambicje i żądze. Za każdym razem, gdy myślę o miejscu swego urodzenia, zbiera mi się na wymioty. Jak ktoś mógł pomyśleć, że to, co tam robiono, było dobre? Pomocną dłoń można było wyciągnąć do tych matek zupełnie inaczej, ale nikt nawet nie spróbował. Po prostu wysyłali nas za ocean - wydusił z siebie, przesunął stopy i spojrzał na podłogę. - A te dzieci w Rumunii? Jestem przekonany, że nawet niebo o nich zapomniało.

- Nie znałam cię od tej strony.

Podszedł do okna.

- Są duże szanse na to, że Valendrea wkrótce zostanie papieżem. Wtedy wiele się zmieni. Być może Tom Kealy rzeczywiście miał rację.

- Nie przypisuj temu dupkowi żadnych zasług.

Wyczuł jakąś nutę w jej głosie.

- Cały czas rozmawiamy o mnie. Co robiłaś od czasu powrotu z Bukaresztu?

- Jak powiedziałam, napisałam kilka artykułów o pogrzebie dla pewnego polskiego czasopisma. Przygotowywałam również materiały na temat konklawe. Ten magazyn wynajął mnie do prowadzenia relacji.

- W takim razie jak zamierzasz pojechać do Rumunii?

Wyraz jej twarzy złagodniał.

- Nie mogę. To po prostu myślenie życzeniowe. Ale przynajmniej wiem, gdzie będę cię mogła znaleźć.

Ta myśl była pocieszająca. Zdawał sobie sprawę, że gdyby nie zobaczył już nigdy tej kobiety, byłoby mu smutno. Przypomniał sobie ostatni raz, przed wieloma laty, kiedy się rozstali. Było to w Monachium, niedługo przed jego ukończeniem studiów prawniczych i powrotem do służby u Jakoba Volknera. Wyglądała niemal tak samo, miała tylko nieco dłuższe włosy, twarz odrobinę świeższą i równie kuszący uśmiech. Był z nią i kochał ją dwa lata, wiedząc, że nadejdzie taki dzień, w którym będzie musiał dokonać wyboru. Teraz zdał

sobie sprawę, że wtedy popełnił błąd. Przyszły mu na myśl słowa wypowiedziane wcześniej na placu św. Piotra. „Po prostu drugi raz nie popełniamy tego samego błędu. To wszystko, na co każde z nas może mieć nadzieję.”

Cholerna racja.

Przeszedł przez pokój i wziął ją w ramiona.

Nie opierała się.

\*

Michener otworzył oczy i skoncentrował wzrok na zegarku obok łóżka. Dwudziesta druga trzydzieści. Katerina leżała obok niego. Przespali ostatnie dwie godziny. Nie czuł wyrzutów sumienia z powodu tego, co się stało. Kochał ją, a jeśli Bóg miał z tym problem, to niech już tak zostanie. Jego to już wcale nie obchodziło.

- Dlaczego nie śpisz? - usłyszał jej głos w ciemności.

Był przekonany, że ona śpi.

- Nie nawykłem do czyjejś obecności w łóżku.

Przytuliła głowę do jego torsu.

- Czy będziesz w stanie do tego przywyknąć?

- Zadawałem sobie to samo pytanie.

- Nie chcę tym razem odchodzić, Colinie.

Pocałował ją w czubek głowy.

- Kto powiedział, że musisz?

- Chcę pojechać z tobą do Bośni.

- A co z twoim zleceniem dla magazynu?

- Skłamałam. Nie mam żadnego zlecenia. Jestem w Rzymie tylko z twojego powodu.

Nie wahał się z udzieleniem odpowiedzi.

- W takim razie może wakacje w Bośni obojgu nam zrobią dobrze.

Przeszedł z oficjalnego świata Pałacu Apostolskiego do sfery, w której istniał tylko on. Klemens XV spoczywał już w potrójnej trumnie w podziemnej krypcie pod Bazyliką św. Piotra, on zaś leżał nagi w łóżku z kobietą, którą kochał.

Nie umiał odgadnąć, dokąd to wszystko go zaprowadzi.

Wiedział jedynie, że w końcu odczuwa zadowolenie.



MEDJUGORIE, BOŚNIA I HERCEGOWINA

WTOREK, 28 LISTOPADA

13:00

Michener wyglądał przez okno autobusu. Skaliste wybrzeże pozostawało z tyłu, wyjący wiatr powodował, że powierzchnia Adriatyku zryta była grzebieniami fal. Odbili wraz z Kateriną krótki lot z Rzymu i wylądowali w Splicie. Przy wyjściu z lotniska czekały w rzędzie autobusy turystyczne, kierowcy hałaśliwie zachęcali do wsiadania turystów wybierających się do Medjugorie. Jeden z mężczyzn wyjaśnił, że jest już po sezonie. Latem każdego dnia przybywało tu od trzech do pięciu tysięcy pielgrzymów. Ale liczba ta spadała do zaledwie kilkuset w miesiącach od listopada do marca.

W ciągu minionych dwóch godzin przewodniczka opowiedziała blisko pięćdziesiątce turystów w autokarze, że Medjugorie położone jest w południowej części Hercegowiny, niedaleko wybrzeża. Górski masyw rozciągający się od północy izoluje ten region, zarówno klimatycznie, jak i politycznie. Przewodnik wyjaśnił, że nazwa „Medjugorie” oznacza krainę między górami. Ludność stanowią w większości Chorwaci, a główną religią jest tu katolicyzm. Na początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku, kiedy upadł komunizm, Chorwaci zapragnęli niepodległości, ale Serbowie - którzy w byłej Jugosławii dzierżyli rzeczywistą władzę - najechali tę krainę, usiłując stworzyć Wielką Serbię. Krwawa wojna domowa ciągnęła się latami. Pochłonęła dwieście tysięcy ofiar, zanim wreszcie społeczność międzynarodowa powstrzymała ludobójstwo. Kolejny zbrojny konflikt rozgorzał między Chorwatami a muzułmanami, ale szybko dobiegł końca wraz z przybyciem sił pokojowych ONZ.

Medjugorie zdołało uniknąć terroru wojny. Większość walk toczyła się na północ i na zachód od osady. W miasteczku i okolicy mieszkało zaledwie około pięćuset rodzin, ale tutaj monumentalny kościół mieścił dwa tysiące wiernych. Zgodnie ze słowami przewodniczki, gęsta infrastruktura hoteli, lokali gastronomicznych i sklepów z pamiątkami przemieniła miasteczko w religijną Mekkę. Miejsce to odwiedziło już ponad dwadzieścia milionów ludzi z całego świata. Według ostatnich szacunków liczba cudownych widzeń

dochodziła już do dwóch tysięcy, co stanowiło precedens w dziejach objawień maryjnych.

- Czy wierzysz chociaż w jedno? - zapytała szeptem Katerina. - Wydaje się trochę naciągane, że Madonna pojawia się tutaj każdego dnia, by porozmawiać z kobietą z bośniackiego miasteczka.

- Świadkowie objawień wierzą w nie, Klemens również dawał im wiarę. Staraj się patrzeć na to bez uprzedzeń, dobrze?

- Staram się. Ale do którego z „widzących” mamy się udać?

Zastanawiał się nad tym już wcześniej. Poprosił więc przewodniczkę o podanie bardziej szczegółowych informacji na temat świadków objawień. Dowiedział się, że jedna z kobiet, licząca obecnie trzydzieści pięć lat, wyszła za mąż, ma syna i mieszka we Włoszech. Inna, obecnie trzydziestosemioletnia, również jest zamężna, doczekała się trójki potomstwa i nadal mieszka w Medjugorie, ale prowadzi życie na osobności i nie widuje się z pielgrzymami. Jeden z mężczyzn, u progu trzydziestki, próbował dwukrotnie wyświęcić się na kapłana, bez powodzenia, lecz wciąż ma nadzieję, że któregoś dnia uzyska kapłańskie święcenia. Dużo podróżował, niosąc światu posłanie z Medjugorie, trudno więc się z nim spotkać. Drugi z mężczyzn, najmłodszy z całej szóstki widzących ożenił się, doczekał się dwójki dzieci i niechętnie rozmawia z przybyszami. Inna kobieta, dobiegająca czterdziestki, wyszła za mąż i opuściła Bośnię. I wreszcie ostatnia z kobiet wciąż jeszcze doznaje objawień. Miała na imię Jasna i mieszkała samotnie w Medjugorie. Świadkami niektórych jej widzeń były tysiące wiernych zgromadzonych w kościele św. Jakuba. Przewodniczka wyjaśniła również, że Jasna to kobieta zamknięta w sobie i małomówna, ale poświęca czas na spotkania z pielgrzymami.

Spojrzał na Katerinę.

- Wygląda na to, że wybór mamy ograniczony. Zaczniemy od niej.

- Ale Jasna nie zna wszystkich dziesięciu sekretów, które Madonna wyjawiała innym widzącym - kontynuowała relację przewodniczka stojąca na przedzie autokaru, a Michener ponownie skupił uwagę na jej słowach.

- Pozostała piątka zna wszystkie dziesięć. Panuje przekonanie, że kiedy cała szóstka pozna dziesiąty, objawienia ustaną, a Matka Boska pozostawi widomy ślad swej obecności, by przekonać ateistów. „Ale ci, którzy wierzą, nie muszą czekać na ten znak, by się nawrócić. Teraz nadszedł czas łaski. Czas pogłębionej wiary. Czas nawrócenia. Albowiem gdy pojawi się znak, dla wielu będzie za późno.” Takie są słowa Matki Boskiej. Przepowiednia odnośnie do naszej przyszłości.

- O czym my już wiemy - szepnęła mu do ucha Katerina.

- Jestem zdania, że i tak powinniśmy złożyć jej wizytę. Nawet jeśli nic to nie da, jestem ciekaw. Z pewnością będzie w stanie odpowiedzieć na tysiące pytań, które przychodzą mi do głowy.

Przewodniczka wskazała przez okno autokaru na Górę Objawień.

- To w tym miejscu pierwsza dwójka widzących doznała objawień w czerwcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym roku; ujrzeli błyszczącą kulę światła, w której wnętrzu znajdowała się piękna niewiasta z dzieciątkiem na ręku. Następnego popołudnia do tej dwójki dołączyło czworo ich przyjaciół, a świetlana postać pojawiła się ponownie, tym razem w koronie z dwunastu gwiazd i w perłowszarej sukni. Wedle relacji widzących była odziana przez słońce.

Przewodniczka wskazała na stromą ścieżkę pnącą się z wioski Podbrdo do miejsca, w którym znajduje się krzyż. Nawet teraz pielgrzymi wspinali się na górę, nad którą wisiała gruba powłoka chmur sunących od morza.

Góra Krzyża pojawiła się parę chwil później, oddalona o niecałe półtora kilometra od Medjugorie. Jej zaokrąglony szczyt wznosił się na wysokość ponad pięciuset metrów.

- Krzyż na szczycie zbudowano w latach trzydziestych ubiegłego stulecia ze składek miejscowych parafian. Nie ma on związku z objawieniami, ale wielu pielgrzymów opowiadało, że widzieli świetlane znaki na krzyżu oraz wokół niego. Z tego względu miejsce to stało się częścią pielgrzymkowego szlaku. Wybierzcie się na szczyt tej góry.

Autokar zwolnił i wjechał do Medjugorie. Miasteczko różniło się bardzo od zacofanych miejscowości, które mijali po drodze ze Splitu. Niskie kamienne domy o ścianach w różnych odcieniach różu, zieleni i ochry ustąpiły miejsca wyższym budynkom - hotelom, jak wyjaśniła przewodniczka - które powstały tu ostatnio, wraz ze sklepami wolnocłowymi, agencjami wynajmu samochodów i biurami podróży, by obsłużyć tłumy pielgrzymów. Wśród transportowych ciężarówek pełno było połyskujących mercedesów-taksówek.

Autokar zatrzymał się przy kościele św. Jakuba, którego dwie wieże wcinają się w niebo. Tablica na frontowej ścianie informowała, że msze celebrowane w różnych językach odprawiane są przez cały dzień. Przed kościołem rozciągał się betonowy plac; przewodniczka wyjaśniła, że w tym miejscu wieczorem gromadzą się wierni. Michener zastanawiał się nad tym, co zrobi wieczorem, chociaż w dali rozległ się głos pioruna.

Plac patrolowali żołnierze.

- Wchodzą w skład hiszpańskiego kontyngentu sił pokojowych, pełniącego służbę w tym regionie - wyjaśniła przewodniczka.

Zabrali torby na ramię i wyszli z autokaru. Michener podszedł do przewodniczki.

- Przepraszam, gdzie możemy znaleźć Jasną?

Kobieta wskazała w dół jednej z uliczek.

- Mieszka w domu o jakieś cztery przecznice w tym kierunku. Każdego dnia o trzeciej po południu przychodzi do kościoła. Czasem także wieczorem na modlitwę. Będzie tu niedługo.

- A objawienia, gdzie do nich dochodzi?

- Najczęściej tu w kościele. Dlatego Jasna tu przychodzi. Muszę jednak uprzedzić, że bez wcześniejszego umówienia raczej się z wami nie spotka.

Zrozumiał, co ma na myśli. Prawdopodobnie każdy pielgrzym pragnął zobaczyć się z którymś z widzących. Przewodniczka wskazała na centrum informacji turystycznej usytuowane po drugiej stronie ulicy.

- Oni mogą zorganizować takie spotkanie. Zwykle odbywają się one późnym popołudniem. Porozmawiajcie z nimi o Jaśnie. Na pewno zainteresują się wami. Chętnie zaspokajają potrzeby pielgrzymów.

Podziękował jej, potem oddalili się z Kateriną.

- Musimy od czegoś zacząć, a ta Jasna wydaje się być najbliżej. Nie bardzo mam ochotę rozmawiać w obecności grupy pielgrzymów, nie mam też potrzeb, które należałoby zaspokajać. Chodźmy więc poszukać tej kobiety na własną rękę.

WATYKAN, 14:00

Procesja kardynałów opuściła Kaplicę Paulińską, śpiewając hymn *Veni Creator Spiritus*. Szli z dłońmi złożonymi do modlitwy i opuszczonymi głowami. Valendrea starał się nadążyć na Maurice'em Ngovi, który jako kamerling prowadził orszak do Kaplicy Sykstyńskiej.

Wszystko było przygotowane. Valendrea osobiście nadzorował dopełnienie jednego z ostatnich obowiązków, kiedy przed godziną dom krawiecki Gammarellich przywiózł pięć kartonów, w których znajdowały się białe sutanny z płótna, pantofle z czerwonej skóry, komże, uroczyste peleryny, bawełniane rajtuzy oraz piuski w różnych rozmiarach. Każda ze sztuk garderoby miała sfastrygowane szwy oraz niewykończone rękawy. Niezbędne poprawki miał wykonać sam mistrz Gammarelli, na chwilę przed tym, jak kardynał dopiero co wyniesiony na papieski tron pojawi się na balkonie Bazyliki św. Piotra.

Pod pozorem sprawdzenia każdego szczegółu Valendrea dopilnował, żeby dostarczono szaty w rozmiarze 42-44 w torsie oraz 38 w talii, a pantofle numer 10 - które wymagałyby jedynie drobnych poprawek. Później zleciłby Gammarellemu uszycie kompletu tradycyjnych szat z białego płótna oraz kilku nowych wzorów, o których marzył przez kilka minionych lat. Zamierzał być jednym z najlepiej ubranych papieży w historii.

Do Rzymu zjechało stu trzynastu kardynałów. Każdy z nich odziany był w szkarłatną sutannę z ceremonialną peleryną narzuconą na ramiona. Na głowach mieli czerwone birety, złote i srebrne pektorały wisiały im na piersiach. Gdy idąc gęsiego, zbliżali się powoli do wysokich wrót, kamery telewizyjne transmitowały tę scenę miliardom telewidzów na całym świecie. Valendrea zwrócił uwagę na powagę malującą się na obliczach purpuratów. Być może kardynałowie wzięli sobie do serca kazanie Ngoviego wygłoszone w trakcie południowej mszy. Wezwał w nim każdego z nich, by zostawili ziemskie sprawy na zewnątrz Kaplicy Sykstyńskiej oraz by z pomocą Ducha Świętego wybrali dobrego pasterza dla Kościoła.

Słowo „pasterz” mogło oznaczać komplikacje. W dwudziestym wieku rzadko który papież był duszpasterzem. Większość rekrutowała się spośród duchownych intelektualistów

albo watykańskich dyplomatów. Dopiero od kilku dni prasa wspominała o doświadczeniu duszpasterskim jako atrybucie, który winno wziąć pod uwagę zgromadzenie kardynałów. Z pewnością kardynał duszpasterz, który spędził dużą część życia pośród swych owieczek, bardziej przemawiał do wyobraźni niż zawodowy biurokrata. Z taśm dobiegły go nawet głosy wielu kardynałów wyrażających pogląd, że papież znający się na administrowaniu diecezją byłby pożyteczny. Niestety, on sam był wytworem Kurii, urodzonym administratorem i nie miał duszpasterskiego doświadczenia - w odróżnieniu od Ngoviego, który zaczynał jako misjonarz, a potem doczekał się godności arcybiskupa i wreszcie kardynała. Nie podobały mu się referencje kamerlinga, uznał te komentarze za cios we własną kandydaturę, co prawda delikatne szturchnięcie, ale wiele wskazywało na to, że w najbliższych godzinach Ngovi może okazać się groźnym przeciwnikiem.

Procesja zatrzymała się przy wejściu do Kaplicy Sykstyńskiej.

Z wnętrza dobiegł śpiew chóru.

Ngovi zatrzymał się na moment przy drzwiach, potem ruszył do przodu.

Na fotografiach Kaplica Sykstyńska wydaje się ogromna, w rzeczywistości jednak z trudem zmieściła stu trzynastu kardynałów. Zbudowano ją przed pięcioma wiekami jako prywatną papieską kaplicę, ściany ozdobiono szykownymi pilastrami i pokryto narracyjnymi freskami. Malowidła po lewej stronie prezentowały żywot Mojżesza, po prawej natomiast losy Chrystusa. Pierwszy z nich wyzwolił lud Izraela, drugi wybawił cały rodzaj ludzki. Fresk *Stworzenie świata* umieszczony na suficie przedstawiał przeznaczenie człowieka, a na koniec jego nieunikniony upadek. *Sąd Ostateczny* ponad ołtarzem stanowił zatrważającą wizję kary boskiej; Valendrea od dawna był tą wizją zauroczony.

Po bokach środkowego przejścia umieszczono dwa rzędy podestów. Plakietki wskazywały, kto które miejsce ma zająć, przy czym ich kolejność ułożono według rangi. Krzesła miały proste oparcia, a Valendrei nie uśmiechała się perspektywa dłuższego w nich zasiadania. Przed każdym krzesłem na małym stoliku znajdował się ołówek, bloczek z papierem oraz jedna karta do głosowania.

Hierarchowie rozeszli się do wyznaczonych im miejsc. Żaden nie odezwał się jak dotąd nawet słowem. Chór nadal śpiewał.

Valendrea spojrział na piecyk. Stał po przeciwległej stronie, na metalowej płycie położonej na mozaikowej posadzce. Przewód kominowy piął się w górę, potem zwiężał w rurę i uchodził jednym z okien. Kolor unoszącego się dymu oznajmi sukces lub porażkę starań elektorów. Miał nadzieję, że ogień w piecyku nie będzie rozpalany zbyt wiele razy. Im więcej skrutyńców, tym mniejsza szansa na zwycięstwo.

Ngovi stał we frontowej części kaplicy, z dłońmi splecionymi pod sutanną. Valendrea dostrzegł poważny wyraz twarzy Afrykanina, miał nadzieję, że kamerling cieszy się tą chwilą.

- *Extra omnes* - powiedział mocnym głosem Ngovi. Wszyscy pozostali mają wyjść.

Chórzyści, ministranci i ekipy telewizyjne zaczęli opuszczać salę. Pozwolono zostać jedynie kardynałom oraz trzydziestu dwóm księżom, zakonnicom i personelowi technicznemu.

W kaplicy zrobiło się cicho, gdy dwóch członków ekipy technicznej przeczesywało środkowe przejście. Ich zadaniem było dopilnowanie, by w sali nie pozostały żadne urządzenia podsłuchowe. Po dojściu do okratowanej bramy specjaliści od pluskiew dali znak, że nic nie znaleźli.

Valendrea skinął głową, a mężczyźni wyszli. Rytuał ten miał być powtarzany każdego dnia przed wznowieniem oraz po zakończeniu głosowań.

Ngovi opuścił ołtarz i ruszył środkowym przejściem między zgromadzonymi kardynałami. Minął marmurową przesłonę i zatrzymał się przy drzwiach z brązu, zamykanych teraz przez obsługę. W sali zapanowała kompletna cisza. Przed chwilą rozbrzmiewały tu jeszcze tony anielskiej muzyki, słychać było szuranie stóp na matach chroniących mozaikową posadzkę. Teraz zapadła głucha cisza. Z zewnątrz z drugiej strony drzwi dobiegł chrobot klucza wsuwanego do dziurki i przekręcanego w zamku.

Ngovi nacisnął klamkę u drzwi.

Zamknięte.

- *Extra omnes* - zawołał.

Nikt nie zareagował. Nikt nie powinien zareagować. Milczenie stanowiło oznakę, iż konklawe się rozpoczęło. Valendrea wiedział, że na zewnątrz przyłożono ołowiane plomby, symbolizujące zapewnienie całkowitej dyskrecji uczestnikom zgromadzenia. Istniała inna droga wejścia i wyjścia z Kaplicy Sykstyńskiej - szlak z Domu św. Marty, który purpuraci pokonywali każdego dnia rano i wieczorem - ale plombowanie drzwi stanowiło tradycyjny rytuał wskazujący na rozpoczęcie procesu wyboru następcy Piotra.

Ngovi powrócił do ołtarza i wypowiedział słowa, które Valendrea słyszał trzydzieści cztery miesiące temu z ust innego kamerlinga.

- Niech Bóg wszystkich was błogosławi. Zaczynamy.

## MEDJUGORIE, BOŚNIA I HERCEGOWINA 14:30

Michener patrzył badawczo na parterowy kamienny dom, pomalowany farbą w kolorze mchu. Uśpione winne latorośle oplatały ganek, a jedyny radosny motyw dostrzegł w drewnianych zawijasach nad okienną ramą. Ogródek warzywny z boku podwórza sprawiał wrażenie spragnionego deszczu. W oddali majaczyły górskie szczyty.

Odnaleźli ten dom, dwukrotnie zasięgając po drodze języka. Obie pytane osoby podchodziły niechętnie do udzielania informacji, dopóki Michener nie ujawnił, iż jest duchownym i musi porozmawiać z Jasną.

Podprowadził Katerinę do drzwi wejściowych i zastukał.

Otworzyła im wysoka kobieta o kremowej cerze. Była chuda jak szczapa, miała ładne rysy twarzy i ciepłe orzechowe oczy. Zmierzyła przybysza przenikliwym wzrokiem, aż poczuł się nieswojo. Mogła mieć ze trzydzieści lat, na szyi nosiła różaniec.

- Wybieram się teraz do kościoła i nie mam czasu na rozmowę - oznajmiła, posługując się niezłą angielszczyzną. - Z chęcią porozmawiam z wami po mszy.

- Nie przybyliśmy tu z powodu, o którym pani myśli - odparł.

Wyjaśnił jej, kim jest oraz dlaczego tu się zjawiał.

Nie zareagowała, jak gdyby watykański emisariusz kontaktował się z nią codziennie. W końcu zaprosiła ich do środka.

Dom był umeblowany skromnie, w nieokreślonym stylu. Słońce wlewało się przez uchylone okna, wiele szyb było pękniętych na całej długości. Nad kominkiem wisiał portret Matki Boskiej, otoczony zapalonymi świeczkami. W jednym z rogów pomieszczenia stała figura Dziewicy. Wyrzeźbiona w drewnie Madonna odziana była w szarą suknię z jasnoniebieskim oblamowaniem. Biała woalka ozdabiała twarz i podkreślała gęste sploty brązowych włosów. Niebieskie oczy pełne były wyrazu i emanowały ciepłem. Matka Boska Fatimska, o ile dobrze sobie przypominał.

- Dlaczego Fatimska? - zapytał, wskazując na posąg.

- To dar od jednego z pielgrzymów. Lubię tę figurę. Wydaje się żywa.

Zauważył u Jasny lekkie drganie powieki prawego oka, pozbawiony emocji wyraz



twarzy oraz bezbarwny głos niepokoiły go. Zastanawiał się, czy kobieta do czegoś aby nie zmierza.

- Ojciec stracił już wiarę, prawda? - zapytała cicho.

To pytanie zaskoczyło go całkowicie.

- Dlaczego to ma być ważne?

Znacząco skierowała wzrok na Katerinę.

- Ona powoduje w ojcu zamieszanie.

- Dlaczego pani to mówi?

- Księża rzadko przychodzą tu w towarzystwie kobiet. Zwłaszcza księża bez koloratki.

Nie miał zamiaru zaspokajać jej ciekawości. Wciąż wszyscy stali, a gospodyni nie zaprosiła ich, by usiedli. Sytuacja robiła się niezręczna.

Jasna obróciła się do Kateriny.

- Pani jest osobą niewierzącą. Od wielu lat. Pani dusza musi cierpieć katusze.

- Czy ten wgląd w nasze dusze ma wyrzeć na nas wrażenie?

Nawet jeśli uwaga Jasny poruszyła Katerinę, nie miała zamiaru dać tego po sobie poznać.

- Dla pani - podjęła Jasna - realne jest jedynie to, czego może pani dotknąć. Ale świat to dużo więcej. Dużo więcej niż jest pani w stanie sobie wyobrazić. Chociaż nie można tego dotknąć, jest to realne.

- Jesteśmy tutaj, wypełniając misję dla papieża - zmienił temat Michener.

- Klemens jest już razem z Matką Boską.

- Mam taką nadzieję.

- Ale brak wiary w ojcu sprawia, że sprzeniewierza się ojciec papieżowi.

- Jasna, wysłano mnie tutaj, bym poznał dziesiątą tajemnicę. Klemens oraz kamerling przekazali mi pisemne instrukcje, w których polecają ujawnienie sekretu.

Odwróciła się tyłem do nich.

- Nie znam jej. I nie chcę jej znać. Matka Boska przestanie przychodzić, kiedy poznam dziesiątą tajemnicę. Jej przesłania są bardzo ważne. Los świata zależy od nich.

Znał codzienne wiadomości z Medjugorie, przesyłane na cały świat faksem oraz pocztą elektroniczną. Większość przekazów zawierała prośby o krzewienie wiary oraz pokój na świecie, wezwania do poszczenia i modlitwy, które mają być drogą wiodącą do pierwszego i drugiego celu. Wczoraj w Bibliotece Watykańskiej przeczytał kilka ostatnich przesłań. Pobranie informacji z witryn internetowych wymagało jednak uiszczenia opłaty za zdobycie treści objawionych przez niebiosy, dlatego Michener powątpiewał w czystość intencji Jasny.

Uwzględniając jednak skromne wyposażenie domu i niezbyt schludny strój, doszedł do wniosku, że ona z pewnością na tym nie zarabia.

- Zdajemy sobie sprawę, że nie zna pani dziesiątej tajemnicy, ale czy może pani wyjawić nam, z którym z pozostałych widzających moglibyśmy porozmawiać, by ją poznać?

- Wszystkim nakazano utrzymanie objawień w tajemnicy do czasu, kiedy Matka Boska pozwoli na ich ujawnienie.

- Czy wezwanie podpisane ręką Ojca Świętego nie wystarczy?

- Ojciec Święty nie żyje.

Poczuł zmęczenie jej uporem.

- Dlaczego utrudnia pani wszystko?

- Niebo postawiło to samo pytanie.

Jej odpowiedzi przypomniały mu lamentowanie Klemensa w ciągu ostatnich tygodni przed śmiercią.

- Modliłam się za papieża - wyznała. - Jego dusza potrzebuje modlitwy.

Już miał zamiar zapytać, co Jasna ma na myśli, ale ona podeszła do figury w rogu pokoju. Jej wzrok błędził gdzieś daleko. Padła na klęcznik, nie wydając z siebie słowa.

- Co ona robi? - wyszeptwała Katerina.

Wzruszył ramionami.

Z oddali dobiegły trzy uderzenia dzwonu, on zaś przypomniał sobie, że Matka Boska objawiała się Jaśnie każdego dnia o trzeciej po południu. Kobieta dłonią wymacała różaniec na szyi. Zacisnęła palce na paciorkach i zaczęła mamrotać jakieś słowa, których nie mógł zrozumieć. Pochylił się w jej stronę i podążył za jej wzrokiem ku posągowi, lecz nie dostrzegł niczego poza niewzruszonym drewnianym obliczem Madonny.

Przypomniał sobie, jak studiował relacje świadków objawień w Fatimie, którzy opisywali, że słyszeli odgłos podobny do bzyczenia pszczoły oraz odczuwali ciepło w obecności gościa z niebios. Uważał jednak te opowieści za objaw masowej hysterii, której ulegali ludzie prości i niewykształceni, którzy desperacko pragnęli uwierzyć w cud. Zastanawiał się, czy teraz jest świadkiem maryjnego objawienia, czy tylko urojeń doświadczanych przez prostą kobietę.

Przysunął się bliżej. Wzrok kobiety zdawał się utknąć w jakimś punkcie poza ścianą. Nie była świadoma obecności księdza i nie przestawała mamrotać. Przez moment wydało mu się, że w jej oczach dostrzega refleks światła - dwa szybkie mignięcia odbitego obrazu - błysk barwy niebieskiej i złotej. Spojrzał w lewo, szukając źródła tego obrazu, lecz niczego tam nie dostrzegł. Jedynie róg pokoju oświetlony promieniami słońca oraz milcząca figura. Jeśli

cokolwiek się działo, było to jedynie doświadczenie Jasny.

W końcu opuściła głowę.

- Pani odeszła - powiedziała cicho.

Wstała i zbliżyła się do stołu, potem zapisywała coś na kartce. Kiedy skończyła pisać, podała kartkę Michenerowi.

*Moje dzieci, wielka jest miłość Boga. Nie zamykajcie oczu, nie zatykajcie uszu. Wielka jest Jego miłość. Wysłuchajcie mego wezwania i mojej prośby, które wnoszę do was. Poświęćcie wasze serca i zróbcie w nich miejsce dla Pana. Niech On zamieszka w nich na zawsze. Moje oczy i moje serce będzie tu z wami, nawet jeśli nie będę się więcej objawiać. Postępujcie we wszystkim tak, jak was proszę i prowadzę was do Pana. Nie odrzucajcie od siebie imienia Boga, wtedy nie zostaniecie odrzućeni. Przyjmijcie moje przesłanie, żebyście zostali przyjęci. Nadeszła pora na decyzję, moje dzieci. Niech wasze serca pozostaną sprawiedliwe i niewinne, żebym mogła zaprowadzić was do waszego Ojca. Moje wizyty składane tu na ziemi są bowiem wyrazem Jego wielkiej miłości.*

- To są słowa, które przekazała Matka Boska - oznajmiła Jasna.

Przeczytał maryjne przesłanie po raz drugi.

- Czy są skierowane do mnie?

- Jedynie ojciec może to rozstrzygnąć.

Podał zapisaną kartkę Katerinie.

- Wciąż nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Kto może nam wyjawiać dziesiątą tajemnicę?

- Nikt nie może.

- Jeszcze pięćoro świadków zna treść tej tajemnicy. Jeden z nich może nam ją wyjawiać. - Nie zrobią tego, dopóki Madonna nie wyrazi na to zgody, ja zaś jedyna doświadczam Jej objawień każdego dnia. Inni muszą czekać, aż dostaną pozwolenie.

- Ale pani przecież nie zna tajemnicy - wtrąciła się Katerina. - Nie ma więc znaczenia, że jako jedyna pani nie została wtajemniczona. Nie potrzebujemy Matki Boskiej, chcemy poznać dziesiątą tajemnicę.

- Jedno wiąże się z drugim - odparła Jasna.

Nie był w stanie rozstrzygnąć, czy ma do czynienia z religijną fanatyczką, czy może z kimś, kogo rzeczywiście pobłogosławiły niebiosy. Jej impertynenckie nastawienie w niczym nie pomagało. Budziło nawet w nim podejrzenia. Zdecydował, że powinni zostać w

miasteczku i spróbować na własną rękę porozmawiać z pozostałymi widzzącymi, którzy mieszkali w pobliżu. Jeśli nie dowiedzą się niczego, wróci do Włoch i odnajdzie widzącego, który tam mieszka.

Podziękował Jaśnie i ruszył ku drzwiom, w ślad za nim uczyniła to Katerina.

Ich gospodyni nie ruszyła się z krzesła, wyraz jej twarzy nie wyrażał niczego, podobnie jak na początku wizyty.

- Niech ojciec nie zapomni o Bambergu - rzuciła na pożegnanie.

Poczuł, że przechodzą go ciarki. Zatrzymał się i odwrócił. Czyżby się przesłyszał?

- Dlaczego pani to powiedziała?

- Tak mi kazano.

- Co pani wie o Bambergu?

- Nic. Nie wiem nawet, co to jest.

- Dlaczego więc powiedziała to pani?

- Nie stawiam pytań. Robię jedynie to, co mi nakazano. Być może dlatego właśnie Matka Boska wybrała mnie. Posłuszna służka musi przekazywać światu jej słowa.

WATYKAN, 17:00

Valendrea tracił cierpliwość. Ponure przewidywania co do twardych krzesel z prostymi oparciami okazały się najzupełniej usprawiedliwione. Spędził teraz dwie pełne męczarni godziny w dostojnej Kaplicy Sykstyńskiej, siedząc jak kołek. W tym czasie każdy z kardynałów podchodził do ołtarza i przysięgał przed Ngovim i Bogiem, że nie poprze żadnej ingerencji w wybór ze strony władz świeckich oraz że, o ile zostanie wybrany, stanie się *munus Petrinum* - pasterzem Kościoła powszechnego - i będzie stał na straży duchowych oraz doczesnych praw Stolicy Apostolskiej. On również musiał stanąć przed Ngovim, Afrykańczyk spoglądał na niego przenikliwym wzrokiem, gdy słowa przysięgi zostały wypowiedziane, a potem powtórzone.

Kolejne pół godziny zajęło odebranie przysięgi dochowania tajemnicy od tych, którzy mieli pozostać w sali i wziąć udział w konklawe. Następnie Ngovi polecił opuścić Kaplicę wszystkim pozostałym oprócz kardynałów, zamknięto też drugie drzwi. Kamerling stanął przed zgromadzeniem.

- Czy chcecie głosować już teraz?

Konstytucja Apostolska Jana Pawła II po raz pierwszy zezwalała na natychmiastowe oddawanie głosów, jeśli uczestnicy konklawe wyrazili takie życzenie. Jeden z francuskich kardynałów powstał i oznajmił, że chce głosować. Valendrea czuł zadowolenie. Francuz był jednym z jego popleczników.

- Jeśli ktoś jest przeciw, niech zabierze głos teraz - kontynuował Ngovi.

Na sali panowała cisza. Kiedyś wybór mógł nastąpić w drodze aklamacji, co rzekomo miało być rezultatem bezpośredniej interwencji Ducha Świętego. Ktoś spontanicznie wykrzykiwał imię kandydata, a reszta godziła się wynieść go do godności papieża. Jan Paweł II zlikwidował jednak ten sposób wyboru.

- Bardzo dobrze - podjął Ngovi. - A zatem zaczynamy

Najmłodszy z kardynałów diakonów, korpulentny Brazylijczyk o śniadej cerze poczłapał do przodu i wylosował ze srebrnego kielicha mszalnego trzy nazwiska. Ci wybrani mieli podjąć się obowiązków członków komisji skrutacyjnej, ich zadaniem będzie liczenie

wszystkich kartek do głosowania oraz rejestrowanie oddanych głosów. Jeśli papież nie zostanie wyłoniony, mieli spalić w piecu wszystkie karty wyborcze. Z kielicha wylosowano kolejne trzy nazwiska, tym razem rewidentów. Ich zadaniem miało być nadzorowanie działań członków komisji skrutacyjnej. Na koniec wylosowano jeszcze trzech *infirmarii*, którzy mieli odbierać głosy od kardynałów zdjętych ewentualną niemocą. Spośród dziewięciu wylosowanych tą drogą purpuratów jedynie czterech uchodziło za zdecydowanych stronników Valendrei. W szczególności niepokojący był fakt wyboru kardynała archiwisty na członka komisji skrutacyjnej. Stary drań mógł się teraz mścić.

Na stoliku przed każdym z kardynałów, obok ołówka i bloczku papieru leżała prostokątna kartka długości pięć centymetrów. U góry znajdował się napis nadrukowany czarnymi literami: ELIGO IN SUMMUM PONTIFICEM. *Wybieram na papieża*. Miejsce poniżej było puste; tu należało wpisać nazwisko kandydata. Valendrea podchodził z sentymentem do tych kart, gdyż ich wzór zaprojektował wielbiony przez niego Paweł VI.

Przy ołtarzu, poniżej scen agonii z fresku *Sąd Ostateczny* Michała Anioła, Ngovi opróżnił kielich, w którym znajdowały się pozostałe nazwiska. Fiszki miały być spalone wraz z kartami po pierwszym głosowaniu. Potem Afrykanin przemówił do purpuratów po łacinie, powtarzając szczegóły procedury wyborczej. Kiedy skończył, zszedł z ołtarza i zajął miejsce między kardynałami. Pełnione przez niego obowiązki kamerlinga powoli dobiegały końca, z godziny na godzinę będzie coraz mniej potrzebny. Teraz procedurą wyborczą będzie kierować komisja skrutacyjna do chwili, kiedy zajdzie potrzeba ogłoszenia drugiej tury głosowania.

Głos zabrał jeden z członków komisji, kardynał z Argentyny:

- Napiszcie na karcie, proszę, drukowanymi literami nazwisko. Napisanie więcej niż jednego nazwiska sprawi, że głos oraz liczenie głosów będzie nieważne. Kiedy skończycie, złożcie karty do głosowania i podejdźcie do ołtarza.

Valendrea spojrział na lewo, potem na prawo. Stu trzynastu kardynałów tłoczyło się w kaplicy. Pragnął rychłego zwycięstwa, nie chciał, by męczarnia ciągnęła się bez końca, ale wiedział też, że rzadko kiedy wybierano papieża już w pierwszej turze głosowania. Zazwyczaj elektorzy na początek oddawali głos na kogoś specjalnego - ulubionego kardynała, bliskiego przyjaciela, osobę z określonej części świata, chociaż żaden z nich nigdy do tego się nie przyznał. W ten sposób ukrywano prawdziwe zamiary i podnoszono stawki za ewentualne późniejsze poparcie, ponieważ nic nie skłaniało faworytów do większej szczodrości niż niepewność końcowego rozstrzygnięcia.

Valendrea nakreślił na kartce własne nazwisko drukowanymi literami, starając się

zmienić charakter pisma. Potem złożył kartę na pół i czekał, aż nadejdzie jego kolej na podejście do ołtarza.

Oddawanie głosów odbywało się wedle rangi. Kardynałowie biskupi przed kardynałami prezbiterami, na końcu szli kardynałowie diakoni, w obrębie każdej grupy obowiązywała kolejność według daty ingresu. Patrzył, jak kardynał biskup senior, Włoch z Wenecji o włosach białych jak śnieg, wchodzi po schodach ołtarza, unosząc wysoko złożoną kartę do głosowania, by wszyscy mogli ją widzieć.

Gdy nadeszła jego kolej, podszedł do ołtarza. Wiedział, że kardynałowie patrzą na niego, przyklękął więc na chwilę modlitwy, ale niczego Bogu nie powiedział. Odczekał jedynie stosowny czas, zanim podniósł się z klęczek. Potem powtórzył na głos to, co każdy z kardynałów przed nim zobowiązany był oświadczyć.

- Wzywam na świadka Chrystusa Pana, który będzie moim sędzią, że oddaję swój głos na tego, który moim zdaniem w obliczu Boga powinien zostać wybrany

Kartę do głosowania położył na patenie, uniósł błyszczącą pokrywę i wrzucił kartę z głosem do mszalnego kielicha. Ta niekonwencjonalna metoda oddawania głosów miała zapewnić, że każdy z elektorów wrzuci tylko jedną kartę. Odstawił patenę łagodnym ruchem, złożył dłonie do modlitwy i powrócił na swoje miejsce.

Dokończenie pierwszej tury głosowania zajęło niemal godzinę. Kiedy już ostatni głos znalazł się w kielichu, naczynie przeniesiono na drugi stół. Tam wymieszano zawartość, a trzech członków komisji skrutacyjnej przystąpiło do liczenia głosów. Rewidenci obserwowali ich poczynania, nie odrywając wzroku od stołu. Karty rozkładano po kolei, potem zapisywano odczytane na głos nazwisko. Każdy z członków komisji prowadził własny rejestr. Całkowita liczba oddanych głosów po zsumowaniu musiała dać wynik sto trzysta sześć, w przeciwnym razie kartki z głosami były niszczone, a głosowanie uznawano za nieważne.

Kiedy odczytano ostatnie nazwisko, Valendrea przystąpił do analizowania wyników. Otrzymał trzydzieści dwa głosy. Nieźle jak na pierwszą turę. Ale Ngovi zebrał ich aż dwadzieścia cztery. Pozostałe pięćdziesiąt siedem głosów rozłożyło się na ponad dwudziestu innych kandydatów.

Przyjrzał się badawczo zgromadzonemu.

Z pewnością wszyscy myśleli o tym samym, co on.

Szykował się wyścig dwóch koni.

## MEDJUGORIE, BOŚNIA I HERCEGOWINA 18:30

Michener wynajął dwa pokoje w jednym z nowszych hoteli. Zaczęło padać, gdy opuścili dom Jasny. Ledwo co zdążyli dotrzeć do hotelu, gdy na niebie rozpętało się piekło. Była to pora deszczu, jak poinformował ich recepcjonista. Ulewy nadchodziły szybko, zasilane ciepłym powietrzem znad Adriatyku, które mieszało się z chłodnymi wiatrami ciągnącymi od północy.

Na kolację udali się do pobliskiej restauracji, w której pełno było pielgrzymów. Rozmowy, głównie po angielsku, francusku i niemiecku, koncentrowały się na sanktuarium maryjnym. Ktoś zwrócił uwagę, że dwoje z widzających pojawiło się dziś w kościele św. Jakuba. Jasna również miała tam być, ale nie zdołała dotrzeć, a jeden z pielgrzymów zauważył, że raczej nie zwykła przebywać sama podczas codziennych objawień.

- Jutro odnajdziemy tę dwójkę widzających - powiedział do Kateriny, która raczyła się kolacją. - Mam tylko nadzieję, że z nimi łatwiej nawiążemy kontakt.

- Ona była jak nawiedzona, prawda?

- Albo jest znakomitą oszustką, albo to czego doświadcza, jest autentyczne.

- Dlaczego niepokoją cię jej słowa o Bambergu. Miłość papieża do rodzinnego miasta nie jest dla nikogo tajemnicą. Nie chce mi się wierzyć, iż nie wiedziała, co znaczy ta nazwa.

Powtórzył jej słowa Klemensa na temat Bambergu, zawarte w ostatnim jego e-mailu: Zróbcie z moim ciałem to, co uznacie za stosowne. Pompa i ceremoniał nie oznaczają pobożności. Jeśli chodzi o mnie, wolałbym świętość Bambergu, uroczego miasta nad rzeką, i katedry, którą tak ukochałem. Żałuję jedynie, że nie udało mi się popatrzeć na to piękno jeszcze raz. Może jednak moja spuścizna nadal tam będzie. Ominął jednak fakt, że było to ostatnie posłanie od papieża, który odebrał sobie życie. To z kolei nasunęło mu na myśl inne jeszcze słowa wypowiedziane przez Jasną: *Modliłam się za papieża. Jego dusza potrzebuje modlitwy*. Szaleństwem było sądzić, iż ona zna prawdę o śmierci Klemensa.

- Chyba nie wierzysz, że tego popołudnia byliśmy świadkami objawienia? - zapytała Katerina. - Ta kobieta uległa urojeniom.

- Sądzę, że to są jej własne wizje.



- Czy w ten sposób chcesz dać do zrozumienia, że Matki Boskiej dzisiaj tam nie było?
- Nie bardziej niż w Fatimie, Lourdes czy La Salette.

- Przypomina mi siostrę Łucję - wyznała Katerina. - Kiedy byliśmy z ojcem Tiborem w Bukareszcie, nic nie mówiłam. Ale z artykułu napisanego przed kilkoma laty przypominam sobie, że Łucja miała ciężkie dzieciństwo. Jej ojciec był alkoholikiem. Wychowywały ją starsze siostry. Siedmioro dzieci, a ona najmłodsza. Tuż przed objawieniami ojciec utracił część posiadanej ziemi, dwie siostry wyszły za mąż, a pozostałe najęły się do pracy poza domem. Została sama z bratem, matką i wiecznie pijanym ojcem.

- Niektóre z tych faktów podano w kościelnym raporcie - odparł. - Biskup odpowiedzialny za dochodzenie zignorował większość z nich, uznając je za powszechne w tamtym czasie. Bardziej jednak nie dają mi spokoju podobieństwa między Fatimą a Lourdes. Proboszcz z Fatimy zeznał nawet, iż niektóre słowa Matki Boskiej były identyczne ze słowami wypowiedzianymi w Lourdes. Objawienia z Lourdes były znane w Fatimie, Łucja wiedziała o nich.

Upił łyk piwa.

- Czytałem wszystkie relacje z objawień maryjnych spisane w ciągu setek lat. Wiele szczegółów się zgadza. Zawsze występują w nich pastuszkowie, zwłaszcza dziewczynki słabo wykształcone lub w ogóle niepiśmienne. Do wizji dochodzi w lesie. Z udziałem nadobnej niewiasty. Niebo przekazuje sekrety. Wiele zbiegów okoliczności.

- Nie wspominając o tym - podjęła Katerina - że wszystkie istniejące relacje zostały zapisane wiele lat po objawieniach. Nietrudno było dodać odpowiednie szczegóły, by przydać im autentyczności. Czy to nie dziwne, że żaden z widzających nie wyjawiał boskiego przesłania tuż po objawieniu? Zawsze upływają dekady, dopiero potem drobne strzępy wydostają się na światło dzienne.

Zgodził się z nią. Siostra Łucja przedstawiła szczegóły objawień fatimskich dopiero w 1925 roku i potem ponownie w roku 1944. Wielu domniemywało, że przyozdobiła teksty przesłania późniejszymi faktami, na przykład wspominając o pontyfikacie Piusa XI, II wojnie światowej i powstaniu Rosji Radzieckiej, co wydarzyło się długo po 1917 roku. Franciszek i Hiacynta dawno opuścili ziemski padół, nikt więc nie mógł zakwestionować jej wersji.

Jego prawniczy umysł koncentrował się w szczególności na jeszcze jednym fakcie.

W lipcu 1917 roku Matka Boska Fatimska w drugim sekrecie mówiła o poświęceniu Rosji Jej Niepokalanemu Sercu. Lecz wtedy Rosja była jeszcze krajem głęboko chrześcijańskim. Komuniści doszli do władzy dopiero kilka lat później. Czemuż więc miało służyć to poświęcenie?

- Relacje widzających z La Salette były bardzo sprzeczne - kontynuowała Katerina. - Maksyma, chłopca, osierociła matka w niemowlęcym wieku, macocha zaś nie żałowała mu razów. W trakcie pierwszej rozmowy po objawieniu interpretował wizję jako obraz matki skarżącej się, że jej synek jest karany cieleśnie; nie była to Matka Boska.

Przytaknął.

- Opublikowane wersje tajemnic z La Salette znajdują się w watykańskich archiwach. Maksym wspominał o mściwej Madonnie, która zapowiadała powszechny głód i przyrównywała grzeszników do psów.

- Takie rzeczy opowiadają ciemnione dzieci o rodzicach uciekających się do karania i przemocy. Macocha Maksyma morzyła go głodem, za karę.

- Ostatecznie umarł w młodym wieku, zgorzkniał i w nędzy - dodał. - Jedna z widzających w Bośni to podobny przypadek. Straciła matkę na kilka tygodni przed pierwszym objawieniem. Pozostali również borykali się z problemami.

- Wszystko to halucynacje, Colinie. Niezrównoważone emocjonalnie dzieci, które przeistoczyły się w dorosłych borykających się z problemami, przekonanych o autentycznym charakterze widzeń. Kościół nie życzy sobie, by życiorysy widzających upubliczniano. Wszystko prysłoby jak mydlana bańka. I sprowokowałoby do sceptycyzmu.

Krople deszczu dudniły o dach restauracji.

- Dlaczego Klemens przysłał tu ciebie?

- Chciałbym to wiedzieć. Owładnęła nim obsesja trzeciej tajemnicy fátimskiej, to miejsce ma z nią coś wspólnego.

Postanowił opowiedzieć jej o wizji Klemensa, pominął jednak wątek nakłaniania Klemensa przez Matkę Boską do odebrania sobie życia. Starł się mówić szeptem.

- Jesteś tu, ponieważ Matka Boska kazała Klemensowi przysłać tu ciebie? - zapytała.

Wychwycił wzrok kelnerki i wznosił dwa palce, zamawiając jeszcze dwa piwa.

- Moim zdaniem Klemens był bliski obłądu.

- Dlatego właśnie świat nigdy nie dowie się, co naprawdę się stało.

- Może powinien.

Nie spodobała mu się ta uwaga.

- Rozmawiam z tobą w zaufaniu.

- Wiem o tym. Twierdzę jedynie, że być może świat powinien dowiedzieć się o tym.

Zdał sobie sprawę, że w żaden sposób nie może do tego dojść, ze względu na samobójczą śmierć Klemensa. Spoglądał na ulicę płynącą w strugach deszczu. Pragnął wiedzieć coś jeszcze.

- A co z nami, Kate?

- Wiem, dokąd chcę pojechać.

- Co będziesz robić w Rumunii?

- Będę pomagać tym dzieciom. Mogę opisać nasze starania na łamach gazet. Pisać o tym dla świata. Przyciągnąć uwagę.

- Ciężki kawałek chleba.

- To mój dom. Nie mówisz mi niczego, czego bym już nie wiedziała.

- Byli księża nie zarabiają wiele.

- Nie trzeba wiele zarabiać, by tam żyć.

Przytaknął i zapragnął chwycić ją za rękę. Nie byłoby to jednak rozsądne. Nie tutaj.

Zdawała się wyczuć jego pragnienie.

- Poczekaj z tym, aż będziemy z powrotem w hotelu - odpowiedziała z uśmiechem.

WATYKAN, 19:00

- Zarządzam drugą turę głosowania - oznajmił kardynał z Holandii. Był arcybiskupem Utrechtu i jednym z najbardziej zagorzałych popleczników Valendrei. Sekretarz stanu dogadał się z nim poprzedniego dnia, iż w wypadku braku rozstrzygnięcia w pierwszych dwóch głosowaniach, natychmiast zarządzi trzecią turę.

Valendrea nie był w najlepszym nastroju. Dwadzieścia cztery głosy oddane na Ngowiego były sporą niespodzianką. Spodziewał się, że kamerling zgarnie może z tuzin głosów, nie więcej. Trzydzieści dwa głosy, które zdobył sam, to przyzwoity wynik, ale wciąż czekała go długa droga do pozyskania siedemdziesięciu sześciu gwarantujących papieski tron.

Wyniki drugiego liczenia głosów niemal go zszokowały i musiał użyć całych zapasów dyplomacji, by utrzymać nerwy na wodzy. Poparcie dla Ngowiego wzrosło do trzydziestu, on zaś zdołał przyciągnąć zaledwie czterdziestu jeden zwolenników. Pozostałe czterdzieści dwa głosy rozłożyły się na trzech innych kandydatów. Historia konklawe podpowiadała, że faworyt zdobywał znacząco większe poparcie w każdej następnej turze. Inna sytuacja była postrzegana jako znak słabości, a kardynałowie słynęli z porzucania słabnących kandydatów. Czarny koń pojawiał się często po drugim głosowaniu i zdobywał papieską tiarę. W ten sposób wyniesieni zostali Jan Paweł I i Jan Paweł II, a także Klemens XV. Valendrea nie życzył sobie powtórek z historii.

Wyobraził sobie ekspertów zgromadzanych na placu, dywagujących na temat smug czarnego dymu, które ukazały się już dwukrotnie. Irytujące dupki pokroju Toma Kealy'ego obwieszczały światu nowinę o niewątpliwych podziałach w łonie kardynalskiego zgromadzenia, w rezultacie których nie wyłonił się żaden zdecydowany faworyt. Valendrea spodziewał się kolejnych nagonek na swoją osobę. Przez ostatnie dwa tygodnie Kealy szkalował go bez zahamowań, znajdując w tym perwersyjną przyjemność. Musiał też przyznać, że zbuntowany ksiądz czyni to z dużym sprytem. Kealy nigdy nie posunął się do przytyków natury osobistej. Ani razu nie nawiązał do grożącej mu ekskomuniki. Zamiast tego szermował argumentem „Włosi kontra reszta świata”, najwyraźniej zyskującym aprobatę. Powinien wymusić na Trybunale wymierzenie Kealy'emu kary suspensy już kilka tygodni

temu. W takim wypadku byłby przynajmniej eks-księdzem o wątpliwej wiarygodności. Teraz jednak głupca postrzegano jako indywidualistę stawiającego czoło panującym hierarchom; jako Dawida walczącego z Goliatem.

Obserwował, jak kardynał archiwista rozdaje kolejne karty do głosowania. Stary człowiek przemieszczał się w milczeniu i rzucił Valendrei przelotne, lekceważące spojrzenie, gdy podawał mu czystą kartę. To kolejny problem, który należało rozwiązać już dawno temu.

Ołówki kolejny raz zaskrzypiały na papierze, potem po raz kolejny odbył się rytuał wrzucania głosów do srebrnego kielicha. Członkowie komisji skrutacyjnej wymieszali kartki i przystąpili do liczenia głosów. Jego nazwisko wyczytano pięćdziesiąt dziewięć razy Ngoviego powtórzono tylko czterdzieści trzy. Pozostałe jedenaście głosów było rozproszone.

Te głosy miały rozstrzygnąć.

Do zwycięskiego wyboru wciąż brakowało mu siedemnastu głosów. Nawet jeśli zdołałby przeciągnąć na swoją stronę każdego spośród tych jedenastu niezdecydowanych, wciąż potrzebne będą mu głosy sześciu popleczników Ngoviego, zaś Afrykanin zyskiwał siłę w niepokojącym tempie. Najbardziej niepokoiła Valendrę możliwość, że każdy z jedenastu niezdecydowanych głosów, których nie zdołał pozyskać, przejdzie w końcu na stronę Ngoviego, a wtedy stanie się to, co wydawało się niemożliwe. Po trzecim głosowaniu kardynałowie wykazywali skłonność do okopywania się we wcześniej zajętych pozycjach.

Miał już tego dość. Wstał z miejsca.

- Jestem zdania, Eminencje, że na dzisiaj mamy już dość. Sugeruję, żebyśmy spożyli wieczerzę, udali się na spoczynek i podjęli wybory jutro rano.

Nie była to prośba. Każdy z uczestników konklawe dysponował prawem przerwania procedury głosowania. Rozejrzał się surowym wzrokiem po kaplicy, od czasu do czasu zatrzymując wzrok na osobach tych hierarchów, których podejrzewał o zdradę.

Miał nadzieję, że wyraził się jasno.

Wkrótce czarny dym znów uniósł się nad Kaplicą Sykstyńską. Jego kolor współgrał z nastrojem watykańskiego sekretarza stanu.

## MEDJUGORIE, BOŚNIA I HERCEGOWINA 23:30

Michener zbudził się z głębokiego snu. Katerina leżała obok niego. Przenikało go jakieś niejasne uczucie, niezwiązane z fizyczną miłością, którą wcześniej uprawiali. Nie miał poczucia winy w związku z tym, że po raz kolejny złamał kościelne śluby, ale czuł lęk, że to, na co całe życie pracował, znaczyło dla niego tak niewiele. Być może kobieta leżąca obok znaczyła dlań więcej. Dwie dekady spędził, służąc Kościołowi i Jakobowi Volknerowi. Ale teraz jego drogi przyjaciel był martwy, a obraz przyszłości miał się zarysować w Kaplicy Sykstyńskiej. Przyszłości, w której nie będzie dla niego miejsca. Dwieście sześćdziesiąty ósmy następca św. Piotra zostanie wkrótce wybrany. I chociaż on sam bliski był założenia purpurowego kapelusza, tak się jednak nie stało. Najwyraźniej pisany był mu inny los.

Przeniknęło go jeszcze inne uczucie - osobliwe połączenie niepokoju i stresu. Wcześniej, we śnie usłyszał słowa Jasny. „Niech ojciec nie zapomni o Bambergu... Modliłam się za papieża. Jego dusza potrzebuje naszych modłów”. Czy usiłowała coś mu powiedzieć? Czy po prostu przekonać go?

Wstał z łóżka.

Katerina nie poruszyła się. W trakcie kolacji wypila kilka piw, alkohol zawsze sprawiał, że spała głębokim snem. Na zewnątrz wciąż szalała burza, krople deszczu waliły o szybę, a piorun rozjaśnił pokój jaskrawym światłem.

Podszedł do okna i wyjrzał na dwór. Woda tłukła o terakotowe dachy domów po drugiej stronie ulicy i spływała z rynien w wartkie strumienie. Po obu stronach spokojnej uliczki stały sznury zaparkowanych samochodów.

Pośrodku na zmoczoną chodniku stała samotna postać.

Skoncentrował wzrok na jej twarzy.

Jasna.

Z głową zadartą do góry patrzyła w okna jego pokoju. Na widok jej osoby poczuł zdumienie i chęć ukrycia swojej nagości, szybko jednak zdał sobie sprawę, że kobieta go nie widzi. Zasłony były częściowo zaciągnięte, poza tym w oknie były jeszcze koronkowe firanki, szybę obmywały zaś strugi deszczu. Stał nieco z tyłu w ciemnym pokoju, a na

zewnątrz było jeszcze ciemniej. Ale w świetle ulicznych latarni trzy piętra niżej dostrzegł, że Jasna spogląda w jego kierunku.

Poczuł jakiś impuls, który nakazał mu ujawnić swoją obecność. i

Odsunął firankę.

Jasna skinęła prawą ręką, pokazując mu, żeby zszedł. Nie wiedział, co ma robić. Jeszcze raz machnęła do niego. Miała na sobie to samo ubranie i tenisówki, co wcześniej. Sukienka przykleiła się do szczupłego ciała. Długie włosy były całkowicie przemoknięte, ale ona zdawała się nie zwracać uwagi na strugi deszczu.

Jeszcze raz przywołała go skinieniem.

Spojrzał na Katerinę. Czy powinien ją zbudzić? Potem znów wyrzwał przez okno. Jasna kręciła przecząco głową i ponownie machnęła ręką.

Cholera. Czy ona zna jego myśli?

Uznał, że nie ma innego wyboru i ubrał się po cichu.

\*

Wyszedł z hotelowego holu.

Jasna wciąż stała na ulicy.

Nad ich głowami rozbłysła błyskawica i kolejna struga rzęskiego deszczu runęła z nieba. Nie miał ze sobą parasola.

- Co pani tutaj robi? - zapytał.

- Jeśli chce ojciec poznać dziesiąty sekret, proszę iść ze mną.

- Dokąd?

- Czy musi ojciec o wszystko pytać? Czy nie może ojciec przyjąć czegoś na wiarę?

- Stoimy w rzęsim deszczu.

- To oczyszczenie dla duszy i ciała.

Ta kobieta wzbudzała w nim strach. Dlaczego? Tego nie był pewien. Może chodziło o jego wewnętrzny przymus, by robić to, co ona każe.

- Mój samochód stoi po drugiej stronie - powiedziała.

Poobijany ford fiesta coupe stał zaparkowany nieco dalej na tej ulicy. Jasna usiadła za kierownicą i wyjechali z miasta. Zatrzymała się u podnóża ciemnej góry na parkingu, na którym nie stały żadne inne samochody. W światłach reflektorów zobaczył tablicę z napisem GÓRA KRZYŻA.

- Dlaczego przyjechaliśmy tutaj? - zapytał.

- Nie mam pojęcia.

Chciał ją zapytać, czy ktoś ma to pojęcie, ale zrezygnował. Z pewnością to jej spektakl

i zamierzała odegrać go po swojemu.

Wspinali się w strugach deszczu, on szedł po śladach jej stóp. Grunt był rozmiękły, skały śliskie.

- Czy idziemy na szczyt? - znowu zapytał.

Odwróciła się do niego.

- A gdzieżby indziej?

Próbował sobie przypomnieć szczegóły na temat Góry Krzyża, którymi uraczył ich przewodnik podczas autokarowej wycieczki. Góra liczyła sobie ponad pięćset metrów wysokości, na jej szczycie znajdował się krzyż postawiony w latach trzydziestych przez miejscowych parafian. Chociaż nie był związany z objawieniami, wejście na szczyt góry stanowiło część „doświadczenia z Medjugorie”. Ale tego wieczora nikt nie wybierał się na szczyt. On natomiast nie był specjalnie wniebowzięty faktem, że w środku burzy z piorunami włązi na ponadpółkilometrową górę. Jasna wydawała się jednak niczym niezrażona, on zaś, o dziwo, czerpał siłę z jej odwagi.

Czy była to wiara?

Podchodzenie pod szczyt utrudniały rwące strugi deszczowej wody spływającej w dół. Jego ubranie przemokło do suchej nitki, buty utaplane były w błocie, a jedyne światło rozjaśniające drogę dawały błyskawice. Otworzył usta i pozwolił, by krople deszczu padały na jego język. Znow nad ich głowami trzasnął piorun. Wyglądało na to, że epicentrum burzy znajduje się bezpośrednio nad nimi.

Po dwudziestu minutach uciążliwej wspinaczki dotarli na szczyt wzniesienia. Czuł ból w udach, a mięśnie łydek drżały z wysiłku.

Przed nim wyłonił się z ciemności zarys potężnego białego krzyża o wysokości około trzynastu metrów. Przy betonowym cokole leżały bukiety kwiatów rozrzucone teraz przez wichurę. Kilka wiązanek wiatr odrzucił nieco dalej.

- Przyjeżdżają tu z całego świata - powiedziała, wskazując na kwiaty. - Wchodzą na szczyt, składają dary i modlą się do Matki Boskiej. Ale ona nigdy nie ukazała się nikomu. A oni wciąż tu przychodzą. Ich wiara jest godna podziwu.

- Moja nie jest?

- W ojcu nie ma wiary. Dusza ojca jest zagrożona.

Ton jej głosu był rzeczowy. Jak żony mówiącej do męża, by wyniósł śmieci. Znow gdzieś obok rozległ się grzmot niczym uderzenie bębna basowego. Czekał na nieunikniony błysk pioruna i nagle niebo rozerwało się na strzępy w biało-niebieskim świetle. Postanowił stawić czoło Jaśnie.



- Cóż takiego się dzieje, by pokładać w tym wiarę? Nie ma pani pojęcia o religii.

- Znam jedynie Boga. Religia jest wymysłem człowieka. Można ją zmieniać, korygować lub całkowicie odrzucać. Zupełnie inaczej ma się sprawa z naszym Bogiem.

- Ale to człowiek odwołuje się do potęgi Boga, by uwiarygodnić wyznawaną religię.

- To nic nie znaczy. Ludzie tacy jak ojciec muszą to zmienić.

- Jak miałbym to uczynić? - zapytał.

- Nie tracąc wiary, kochając naszego Boga i czyniąc to, o co On prosi. Ojciec Święty usiłował to zmienić. Niech ojciec kontynuuje jego wysiłki.

- Nie mam już pozycji, która pozwoliłaby mi cokolwiek uczynić.

- Jest ojciec w takim samym położeniu, w jakim był Chrystus, On zaś zdołał zmienić wszystko.

- Dlaczego tu jesteś?

- Dzisiaj nastąpi ostatecznie objawienie Matki Boskiej. Powiedziała mi, żebym tu przysłała o tej porze i przyprowadziła ojca. Zostawi widoczny znak Swej obecności. Obiecała mi to, kiedy pojawiła się pierwszy raz, a teraz dotrzyma obietnicy. Niech ojciec uwierzy w tę chwilę teraz, nie później, kiedy wszystko będzie oczywiste.

- Jestem duchownym, Jasna, nie trzeba mnie nawracać.

- Ojciec wątpi, lecz nie robi nic, by odpędzić te wątpliwości. Potrzebuje nawrócenia bardziej niż ktokolwiek inny. Nadchodzi czas łaski. Czas pogłębionej wiary. Czas nawrócenia. To właśnie powiedziała mi dzisiaj Matka Boska.

- Co miałaś na myśli, mówiąc o Bambergu?

- Ojciec wie, co miałam na myśli.

- To nie jest odpowiedź. Proszę mi powiedzieć, co to ma znaczyć.

Deszcz stał się bardziej intensywny, a kolejne porywy wiatru smagały twarz Michenera niczym bicz. Zamknął oczy. Kiedy je otworzył, Jasna klęczała z dłońmi złożonymi do modlitwy. Wyglądała tak samo nieobecnie jak dziś po południu, spoglądając wysoko ku czarnemu niebu.

Ukląkł obok niej.

Wydawała się taka subtelna; nie była już pewnym siebie świadkiem objawień, który wiedział lepiej niż wszyscy inni. Spojrzał ku niebu, lecz nie dostrzegł niczego poza ciemnym zarysem konturów krzyża. Blask błyskawicy na chwilę rozjaśnił obraz. Potem ciemność znów pochłonęła betonowy krzyż.

- Tak, przypominam sobie - powiedziała ku mrokowi nocy

Grom ponownie przetoczył się po niebie.

Powinni stąd odejść, lecz nie zdecydował się, by jej przerwać. Dla niego może wizja nie była realna, ale dla niej na pewno tak.

- Umiłowana Pani, nie mam pojęcia - odpowiedziała wiatrowi.

Oślepiające światło błyskawicy znów dotarło do ziemi, a krzyż eksplodował gorącym, które ich ogarnęło.

Jego ciało oderwało się od ziemi i upadło do tyłu.

Czuł jak jego członki przenika osobliwe mrowienie. Uderzył głową w coś twardego. Przez chwilę czuł zawroty głowy, potem trzewia ogarnęły mdłości. Świat przed oczyma zawirował. Usiłował skoncentrować się i starał się nie tracić świadomości, ale nie miał szans.

W końcu wszystko pogrążyło się w ciszy.

WATYKAN

ŚRODA, 29 LISTOPADA 0:30

Valendrea zapiął sutannę i wyszedł z pokoju w Domu św. Marty. Jako sekretarz stanu otrzymał większe lokum, normalnie użytkowane przez prałatów, którzy zarządzali dormitorium dla seminarzystów. Podobnym przywilejem mógł się cieszyć jedynie kamerling oraz przewodniczący zgromadzenia kardynałów. Pomieszczenia nie zapewniały komfortu, do jakiego przywykł, ale z pewnością był to duży krok do przodu w porównaniu z czasami, kiedy konklawe oznaczało spanie na polowym łóżku i sikanie do wiaderka.

Droga z dormitorium do Kaplicy Sykstyńskiej prowadziła przez szereg strzeżonych przejść. Stanowiło to zmianę w porównaniu z ostatnim konklawe, kiedy kardynałów przewożono autobusem i eskortowano podczas podróży między dormitorium a kaplicą. Ponieważ wielu z purpuratów nie akceptowało posiadania przyzwoitki, postanowiono stworzyć w budynkach Watykanu zamknięty ciąg korytarzy, z którego mogli korzystać jedynie uczestnicy konklawe.

Podczas kolacji dał jasno do zrozumienia, że pragnie spotkać się później z trójką kardynałów i ci trzej czekali teraz na niego w Kaplicy Sykstyńskiej, po przeciwległej stronie ołtarza, nieopodal marmurowego wejścia. Po drugiej stronie, za zaplombowanym wejściem, znajdowali się szwajcarscy gwardziści, gotowi otworzyć wrota z brązu z chwilą, gdy biały dym uniesie się ku niebu. Na dobrą sprawę nikt nie spodziewał się, że chwila ta nadejdzie po północy, zatem kaplica stała się teraz bezpiecznym miejscem na dyskretną rozmowę.

Podszedł do trzech kardynałów i nie dał im szansy zabrania głosu.

- Mam tylko kilka rzeczy do powiedzenia - szepnął.

- Jestem świadom tego, co w poprzednich dniach wszyscy trzej mówiliście. Zapewnialiście mnie o swym poparciu, a potem w skrytości ducha zdradziliście mnie. Dlaczego, wiecie wyłącznie wy. Chcę jedynie, by czwarte głosowanie było ostatnim. Jeśli tak się nie stanie, za rok o tej porze żaden z was nie będzie członkiem tego kolegium.

Jeden z kardynałów zaczął mówić, lecz on podniósł prawą dłoń, uciszając go.

- Nie chcę słyszeć, że Eminencja głosował na mnie. Wszyscy trzej poparliście

Ngoviego, ale rankiem to się zmieni. Poza tym chcę, żebyście przed głosowaniem przekonali innych, którzy się wahają. Spodziewam się zwyciężyć w czwartej turze i od was zależy to, by tak się stało.

- To nierealne - odparł jeden z kardynałów.

- Za nierealne należy uznać to, w jaki sposób Eminencja wymknął się hiszpańskiemu wymiarowi sprawiedliwości za sprzeniewierzenie kościelnych funduszy. Najwyraźniej uznali Eminencję za złodzieja, tylko zabrakło im dowodów. Ja mam dowód, który przekazała mi bez oporu pewna młoda seniorita blisko zaznajomiona z Eminencją. Wy dwaj natomiast nie powinniście być tak bardzo z siebie zadowoleni. Mam podobne dowody w stosunku do każdego z was i wiercie mi, żadna z tych informacji nie jest dla was pochlebna. Wiecie, czego chcę. Zaczynjcie więc działać. Niech Duch Święty was natchnie. Wszystko mi jedno, jak to zrobicie, to po prostu musi się stać. Sukces zapewni wam pozostanie w Rzymie.

- A jeśli nie chcemy zostać w Rzymie? - zapytał jeden z trójki.

- Czy zatem Eminencja woli więzienie?

Obserwatorzy Watykanu uwielbiali spekulować na temat tego, co dzieje się podczas konklawe. Archiwisci dysponowali obfitością pamiątek opisujących pobożnych hierarchów, zmagających się z własnymi sumieniami. W trakcie ostatniego konklawe widział, jak kardynałowie spierali się o to, że w jego wypadku przeszkodą jest młody wiek, ponieważ Kościołowi nigdy nie służył dobrze zbyt długi pontyfikat. Pięć do dziesięciu lat to optymalny okres. Dłuższe zasiadanie na Piotrowym tronie wiązało się z problemami. W tym twierdzeniu było wiele prawdy. Autokracja i nieomyślność mogły tworzyć wybuchową mieszankę. Ale i jedno, i drugie mogło być również czynnikami prowadzącymi do zmian. Tron św. Piotra był najwyższym urzędem, a silnego papieża nie można było ignorować. Valendrea pragnął być takim właśnie zwierzchnikiem Kościoła i nie miał teraz zamiaru pozwolić, by trójka nic nieznaczących głupków zrujnowała te plany

- Chcę jedynie usłyszeć rano moje nazwisko powtarzane siedemdziesiąt sześć razy. Jeśli będę musiał dłużej czekać, dotkną was niemiłe konsekwencje. Moja cierpliwość została dzisiaj wystawiona na próbę. Nie radzę wam, by to się powtórzyło. Jeśli moja uśmiechnięta twarz nie pojawi się jutro po południu na balkonie Bazyliki św. Piotra, zanim powrócicie do swoich sal w Domu św. Marty, wasza reputacja zostanie zrujnowana.

Odwrócił się i wyszedł, nie dając im szansy na wypowiedzenie choćby słowa.

## MEDJUGORIE, BOŚNIA I HERCEGOWINA

Michenerowi świat wirował przed oczyma, spowity mgłą. W głowie ksiądz czuł łomotanie, a żołądek wywracał się na drugą stronę. Usiłował powstać, lecz nie dał rady. Żółć podchodziła mu do gardła, a widzenie wciąż pozbawione było ostrości.

Nadal leżał pod gołym niebem, teraz przesiąknięte do suchej nitki ubranie moczył jedynie drobny deszczyk. Piorun wysoko na niebie potwierdził, że nocna burza wciąż jeszcze szaleje. Przysunął zegarek blisko oczu, ale widział jedynie wirujące cyferki i nie zdołał nic odczytać na podświetlonej tarczy. Pomasaował dłonią czoło, potem wyczuł sporego guza z tyłu głowy.

Zastanowił się, co dzieje się z Jasną, i już miał ją zawołać po imieniu, kiedy na niebie pojawiło się jaskrawe światło. Pomyślał, że to kolejna błyskawica, których wiele rozbłysło wcześniej, ale tym razem jasność była mniejsza i przemieszczała się w sposób kontrolowany. Przyszło mu do głowy, że może to być helikopter, ale biało-niebieskiej zbliżającej się świetlnej plamy nie poprzedzał żaden dźwięk.

Świetlisty obraz zawisł przed nim, tuż nad ziemią. Ból głowy i mdłości wciąż nie pozwalały mu wstać na równe nogi, leżał więc na plecach oparty o skałę i spoglądał w górę.

Światło nabrało intensywności.

Emanowało ciepłem, które sprawiało mu przyjemność. Podniósł rękę, by przesłonić oczy, i przez szczeliny między palcami dostrzegł postać.

Postać kobiety.

Miała na sobie szarą suknię z jasnoniebieskim oblamowaniem. Biały welon przykrywał jej twarz i podkreślał długie włosy kasztanowego koloru. Jej oczy były pełne wyrazu, a kolory świetlanej postaci zmieniały się od białego przez błękit po jasne żółcie.

Rozpoznał tę twarz i suknię. Rzeźba, którą widział wcześniej w domu Jasny. Matka Boska Fatimska.

Intensywność światła zmalala i chociaż nie był w stanie skoncentrować wzroku dalej niż paręnaście centymetrów przed sobą, widział wyraźnie kobiecą postać.

- Powstań, ojcie Michener - powiedziała świetlana postać aksamitnym głosem.

- Ja... próbowałem... nie mogę - jękał się.

- Powstań.

Odepchnął się i stanął na nogi. Nie czuł już zawrotów głowy. Żołądkowe sensacje ustąpiły. Spojrzał ku światłu.

- Kim jesteś?

- Nie wiesz?

- Matką Boską?

- Wymawiasz te słowa, jakby były kłamstwem.

- Nie taka jest moja intencja.

- Stopień twojego nieposłuszeństwa jest duży. Widzę, dlaczego ty zostałeś wybrany.

- Wybrany do czego?

- Dawno temu powiedziałam dzieciom, że zostawię znak dla wszystkich, którzy nie dają wiary.

- Więc Jasna zna teraz dziesiątą tajemnicę...

Był zły na siebie, że zapytał o to. Nie dość, że doznawał halucynacji, to teraz wdawał się w dyskusję z wytworem własnej wyobraźni.

- Ona jest błogosławioną kobietą. Uczyniła to, o co prosiły niebiosy. Inni ludzie, którzy uważają siebie za pobożnych, nie mogą pochwalić się tym samym.

- Klemens XV?

- Tak, Colinie. Jestem jednym z nich.

Ten głos był niski, a postać przeobraziła się w Jakoba Volknera. Stał w uroczystym papieskim stroju - w ceremonialnej pelerynie, pasie, stule, mitrze i paliuszu - w szatach, w które odziano go na pogrzeb, z pastorałem w prawej dłoni. Widok ten zdumiał go. Co tu się działo?

- Jakob?

- Nie ignoruj dłużej woli nieba. Zrób to, o co prosiłem. Pamiętaj, pokorny sługa musi przekazywać słowa niebios.

Były to dokładnie te słowa, które wcześniej skierowała do niego Jasna. Ale dlaczego we własnych halucynacjach słyszał informacje, które już wcześniej znał?

- Jakie jest moje przeznaczenie, Jakobie?

Postać znów się przemieniła, tym razem w ojca Tibora. Duchowny wyglądał dokładnie tak, jak wtedy, gdy po raz pierwszy spotkali się w przytułku dla sierot.

- Masz być znakiem dla tego świata. Światłem przewodnim dla pokutników. Posłańcem, który ogłosi, że Bóg wciąż jest żywy

Zanim zdołał cokolwiek odpowiedzieć, postać Matki Boskiej pojawiła się ponownie.

- Zrób to, co nakazuje ci serce. Nie ma w tym nic złego. Ale nie porzucaj wiary, gdyż tylko ona ci pozostanie.

Świetlana postać zaczęła się unosić, przemieniła się w kulę światła, która stopniowo zniknęła w ciemnościach nocy. Im bardziej się oddalała, tym silniejszy ból głowy powracał. Gdy światło całkowicie zniknęło, świat zawirował, a żołądek Michenera pozbył się swej zawartości.

WATYKAN, 7:00

Śniadanie w sali jadalnej Domu św. Marty upływało w posępnej atmosferze. Niemal połowa kardynałów w milczeniu spożywała jajka, szynkę, owoce oraz chleb. Wielu zdecydowało się tylko na kawę lub sok, ale Valendra napełnił cały talerz potrawami ze szwedzkiego bufetu. Pragnął pokazać zebranych hierarchom, że wydarzenia wczorajszego dnia nie wywarły na nim żadnego wrażenia, a legendarny apetyt wciąż mu służy.

Wraz z grupą kardynałów zajął stół pod oknem. Pochodzili z różnych krajów, z Australii, Wenezueli, Słowacji, Libanu oraz Meksyku. Dwóch zaliczało się do jego zdecydowanych zwolenników, ale pozostała trójka, jak sądził, należała do grupy jedenastu purpuratów, którzy wciąż jeszcze nie zdecydowali, na kogo postawić. Widział, jak Ngovi wchodzi do jadalni. Pogrążony był w żywej rozmowie z dwójką kardynałów. Być może on również usiłował zademonstrować, że nie trapi go nawet cień niepokoju.

- Alberto - odezwał się jeden z kardynałów przy stole.

Skierował wzrok na Australijczyka.

- Nie trać dzisiaj wiary Modliłem się cały wieczór i czuję, że rankiem to się stanie.

Valendra zachował stoicki wyraz twarzy.

- Naszymi czynami kieruje wola Boża. Mam tylko nadzieję to, że Duch Święty będzie nam dzisiaj towarzyszył.

- Twoja kandydatura to logiczny wybór - odezwał się kardynał z Libanu, podnosząc głos bardziej niż to konieczne.

- Tak, to racja - padł głos innego kardynała przy innym stole.

Podniósł wzrok znad jajecznicy i zauważył, że to Hiszpan, z którym rozmawiał poprzedniego wieczora. Niski, korpulentny mężczyzna wstał z krzesła.

- Ten Kościół podupadł - kontynuował hiszpański hierarcha. - Nadeszła pora, by coś z tym zrobić. Przypominam sobie czasy, kiedy papieże cieszyli się szacunkiem i poważaniem. Kiedy rządy całego świata aż po Moskwę liczyły się z tym, co mówi Watykan. Teraz znaczymy tyle, co nic. Kapłanom zakazano angażować się w politykę. Biskupom nie wolno prezentować poglądów politycznych. Zadowoleni z siebie papieże prowadzą ten Kościół ku



upadkowi.

Kolejny kardynał wstał z miejsca. Tym razem był to brodaty mężczyzna z Kamerunu. Valendrea prawie go nie znał i zakładał, że należy on do zwolenników Ngoviego.

- Nie uważam Klemensa XV za papieża zadowolonego z siebie. Ludzie na całym świecie miłowali go, w krótkim czasie i tak wiele dokonał.

Hiszpan wznosił dłonie.

- Nie miałem zamiaru nikomu odbierać zasług. Nie jest to kwestia osobista. Chodzi o to, co jest najlepsze dla Kościoła. Na całe szczęście znajduje się wśród nas człowiek, który wzbudza szacunek świata. Kardynał Valendrea byłby wzorcowym papieżem. Dlaczego mamy zadowolić się czymś gorszym?

Valendrea skierował wzrok na Ngoviego. Jeśli ta uwaga uraziła kamerlinga, nie okazał tego w najmniejszym stopniu.

Nastąpił jeden z tych momentów, które później opisują historycy. Moment, w którym Duch Święty spływa z niebios i zsyła natchnienie na uczestników konklawe. Chociaż Konstytucja Apostolska zakazywała prowadzenia kampanii przed zwołaniem zgromadzenia, taki zakaz nie obowiązywał, gdy elektorzy byli zamknięci w Kaplicy Sykstyńskiej. Szczera dyskusja stanowiła nawet prawdziwy cel otoczonego tajemnicą zgromadzenia. Na Valendrei spore wrażenie wywarła taktyka przyjęta przez Hiszpana. Nie sądził, że tego durnia stać na tak efektowną grę pod publiczność.

- Nie uważam, by kardynał Ngovi był mniej wartościowym kandydatem - zaproponował kardynał z Kamerunu. - Jest człowiekiem Boga. Człowiekiem tego Kościoła. Osobą bez zarzutu. Byłby doskonałym papieżem.

- A Valendrea nie? - wyrwało się Francuzowi, który zerwał się na równe nogi.

Valendrea bawił się tym widokiem, gdy księżęta Kościoła, strojni w ceremonialne szaty, otwarcie spierali się ze sobą. We wszystkich innych sytuacjach każdy z nich ustąpiłby, żeby uniknąć konfrontacji.

- Valendrea jest młody. Jego właśnie potrzebuje ten Kościół. Ceremoniały i retoryka nie czynią z nikogo przywódcy. Chodzi o charakter człowieka, który poprowadzi wiernych. On udowodnił siłę charakteru. Służył wielu papieżom...

- O to mi właśnie chodzi - przerwał Kameruńczyk.

- Twój kandydat nigdy nie kierował diecezją. Ilu grzeszników wyspowiadał? Ile ceremonii pogrzebowych poprowadził? Ilu parafian pocieszył? Te doświadczenia duszpasterskie są niezbędne, by zasiąść na tronie św. Piotra.

Odwaga Kameruńczyka budziła podziw. Valendrea nie był świadom tego, że tak

mocny charakter może kryć się pod purpurową szatą. Zupełnie intuicyjnie ten człowiek poruszył temat kwalifikacji „duszpasterskich”, których tak bardzo się obawiał. Zapisał sobie w myśli, że tego kardynała należy mieć na oku w następnych latach.

- Jakież ma to znaczenie? - zapytał Francuz. - Papież nie jest duszpasterzem. To definicja, którą lubią podpinać uczeni. Wymówka, którą tłumaczymy fakt oddania głosu na tego kandydata, a nie innego. Nie znaczy to nic. Papież jest administratorem. Musi kierować tym Kościołem, musi też rozumieć Kurię, jeśli ma robić to dobrze. Musi wiedzieć, jak Kuria działa. Valendrea zna to lepiej niż ktokolwiek z nas. Mieliliśmy już papieży, którzy byli duszpasterzami. Dajcie mi przywódcę.

- Być może on zna funkcjonowanie Kurii aż za dobrze - głos zabrał kardynał archiwista.

Valendrea niemal się skrzywił. Do dyskusji włączył się najstarszy członek kolegium elektorów. Jego opinia mogła wiele znaczyć dla tych jedenastu wciąż niezdecydowanych.

- Wyjaśnij, co masz na myśli - zażądał Hiszpan.

Archiwista pozostał na krześle.

- Kuria już teraz kontroluje zbyt wiele. Wszyscy narzekamy na biurokrację, lecz nie robimy nic, by temu przeciwdziałać. Dlaczego? Ponieważ to zadowala nasze potrzeby. Stawia mur między nami a tym, czego sobie nie życzymy. Tak łatwo zatem zwałać winę za wszystko na Kurię. Dlaczego papież, który jest głęboko zakorzeniony w tej instytucji, miałby stanowić zagrożenie dla niej? Tak, powinni nastąpić zmiany, wszyscy papieże się z tym zgadzali, ale żaden nie rozwiązał Kurii ani jej nie zreformował.

Wzrok starego człowieka zatrzymał się na watykańskim sekretarzu stanu.

- Zwłaszcza nie zrobi tego papież, który jest wytworem tego systemu. Wszyscy musimy postawić sobie pytanie, czy Valendrea zdobędzie się na taką odwagę? - zapytał i przerwał na moment. - Nie sędzę.

Valendrea pociągnął łyk kawy Odstawił filiżankę na stół.

- Najwidoczniej, Eminencjo, zdecydowałeś już, na kogo oddasz głos - powiedział do archiwisty beznamiętnym głosem.

- Chcę, żeby by mój ostatni głos się liczył.

Skinął głową w odruchowym geście.

- To twoje prawo, Eminencjo. I nie mam zamiaru w nie ingerować.

Ngovi wyszedł na środek pomieszczenia.

- Chyba już wystarczy tej debaty Skończmy posiłek i udajmy się do kaplicy. Tam możemy podjąć bardziej szczegółową dyskusję.

Nikt z zebranych nie zaproponował.

Valendra był bardzo zadowolony ze spektaklu, który przed chwilą rozegrał.

Odrobina prezentacji poglądów tylko mu pomoże.

## MEDJUGORIE, BOŚNIA I HERCEGOWINA 9:00

Katerina zaczynała się martwić. Minęła cała godzina, odkąd obudziła się i zauważyła zniknięcie Michenera. Burza już przeszła, a poranek wstawał ciepły, lecz pochmurny. W pierwszej chwili pomyślała, że zszedł na dół napić się kawy, ale nie znalazła go w sali jadalnej, do której zajrzała kilka minut temu. Zapytała recepcjonistkę, ale kobieta nic nie wiedziała. Podejrzewając, że mógł się wybrać na spacer do kościoła św. Jakuba, postanowiła tam właśnie się udać. Lecz tutaj również go nie znalazła. Było nieprawdopodobne, żeby postanowił wyjechać, nie mówiąc jej, dokąd się wybiera, poza tym jego torba podróżna, portfel oraz paszport wciąż znajdowały się w pokoju.

Stała teraz na ruchliwym placu przed kościołem i zastanawiała się, czy nie podejść do któregoś z żołnierzy z prośbą o pomoc. Autobusy dowoziły już nowe grupy pielgrzymów. Na ulicach robiło tłoczno, a sklepikarze szykowali witryny.

Wieczór był bardzo miły, rozmowa w restauracji działała ożywczo, a to, co stało się później - jeszcze bardziej. Podjęła już decyzję, że niczego nie powie Alberto Valendrei. Przyjechała do Bośni, żeby być razem z Michenerem, nie zaś działać jako szpieg. Niech Ambrosi i Valendrea myślą o niej, co chcą. Cieszyła się, że tu jest. Na dobrą sprawę przestało jej również zależeć na dziennikarskiej karierze. Pojedzie do Rumunii i będzie się opiekować dziećmi. Sprawí, że jej rodzice będą dumni. Sama też będzie dumna. Chociaż raz zrobi coś dobrego.

Przez wszystkie te lata czuła urazę do Michenera, lecz teraz zdała sobie sprawę, że wina leżała również po jej stronie. Z tym że jej wady były większe. Michener kochał Boga i swój Kościół. Ona kochała tylko samą siebie. Teraz jednak miało to ulec zmianie. Dopilnuje tego. W trakcie kolacji Michener narzekał, że nigdy nie wybawił żadnej duszy. Być może się mylił. Być może jej dusza będzie pierwszą przezeń ocaloną.

Przeszła na drugą stronę ulicy i sprawdziła w biurze informacji turystycznej. Nikt nie widział tam osoby odpowiadającej opisowi Michenera. Ruszyła chodnikiem, zaglądając do sklepów w nadziei, że wybrał się tam na rekonesans, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszkają inni widzący. Kierowana impulsem, ruszyła w tę samą stronę, w którą poszli wczoraj, mijając

te same domy z białymi tynkami i dachami z czerwonej dachówki, do miejsca, gdzie mieszkała Jasna.

Dom był zamknięty, więc zapukała do drzwi.

Nikt nie odpowiadał.

Cofnęła się do ulicy. Okiennice były zamknięte. Odczekała kilka chwil na jakiś znak życia ze środka, ale niczego się nie doczekała. Zauważyła, że samochód Jasny nie stoi zaparkowany przy domu.

Ruszyła z powrotem do hotelu.

Z domu po drugiej stronie ulicy wybiegła kobieta, wykrzykując coś po chorwacku.

- To okropne, takie okropne. Chryste, pomóż nam.

Jej zachowanie było niepokojące.

- Co się stało? - zapytała najlepszą chorwacczyną, na jaką było ją stać.

Starsza kobieta zatrzymała się. Z jej oczu wyczierała panika.

- Chodzi o Jasną. Znaleźli ją na górze. Piorun uszkodził krzyż i zranił ją.

- Czy wszystko z nią w porządku?

- Nie wiem. Teraz właśnie się nią zajmują.

Kobieta była zrozpaczona w stopniu bliskim hysterii. Z jej oczu płynęły łzy. Nie przestawała się żegnać i ścisła kurczowo różaniec, w przerwach między szlochami mamrocząc *Zdrowaś Mario*.

- Matko Jezusa, zbaw nas. Nie pozwól jej umrzeć. Ona jest błogosławiona.

- Czy aż tak z nią źle?

- Z ledwością oddychała, kiedy ją znaleźli.

Pewna myśl nasunęła się jej do głowy.

- Czy była sama?

Kobieta zdawała się nie słyszeć jej pytania i nie przestawała mamrotać modlitw, błagając Boga, by zbawił Jasną.

- Czy była sama? - zapytała powtórnie.

Teraz kobieta ją usłyszała i zdawała się zastanawiać nad odpowiedzią.

- Nie. Był tam jakiś mężczyzna. Również w ciężkim stanie. Jak i ona.

WATYKAN, 9:30

Valendra szedł schodami w kierunku Kaplicy Sykstyńskiej w przekonaniu, że papieski tron jest już w jego zasięgu. Na drodze stał mu jedynie kardynał z Kenii, z uporem broniący poronionej polityki papieża samobójcy. Gdyby to miało zależeć od niego, jeszcze dziś ciało Klemensa zostałoby usunięte z krypty pod Bazyliką św. Piotra i odesłane do Niemiec. Może zdoła dopiąć tego celu, skoro Klemens w swoim testamencie - którego treść opublikowano przed tygodniem - wyraził szczere pragnienie, by pochowano go w Bambergu. Gest ten zinterpretowano by jako hołd oddany przez Kościół zmarłemu papieżowi, z pewnością spotkałby się z pozytywną reakcją, a przy okazji uwolniłby wyświęconą kryptę od słabej duszy

Wciąż jeszcze cieszył się spektaklem, którego świadkiem był w trakcie śniadania. Wszystkie wysiłki Ambrosiego poczynione w ostatnich kilku latach wreszcie zaczynały przynosić pożądane owoce. Urządzenia podsłuchowe były pomysłem Paola. On początkowo niepokoił się możliwością ich wykrycia, ale Ambrosi miał rację. Teraz Paola należy nagrodzić. Szkoda, że nie mógł wziąć go ze sobą na konklawe, ale Ambrosi został na zewnątrz z wyraźną instrukcją, by usunąć wszystkie magnetofony oraz urządzenia podsłuchowe w trakcie trwania papieskich wyborów. Była to idealna pora na wykonanie tego zadania, ponieważ Watykan przechodził w stan hibernacji, wszystkie oczy i uszy kierowały się na Kaplicę Sykstyńską.

Był już blisko szczytu wąskich marmurowych schodów. Na górze stał Ngovi, najwyraźniej na niego czekając.

- Sądny dzień, Maurice - odezwał się, gdy stawiał stopę na ostatnim stopniu.
- To tylko jeden z możliwych punktów widzenia.

Najbliższy z kardynałów był oddalony blisko piętnaście metrów, a po schodach za nim nie wchodził nikt. Większość purpuratów znajdowała się już wewnątrz kaplicy. Czekał z wejściem na ostatni moment.

- Nie będę tęsknił za twoimi zagadkami. Twoimi i Klemensa.
- Mnie interesują bardziej odpowiedzi na te zagadki.

- Życzę ci wszystkiego najlepszego w Kenii. Raduj się tamtejszym skwarem i spiekotą.

Ruszył dalej.

- Nie wygrasz - rzucił Ngovi.

Obrócił się. Nie podobał mu się zadowolony wyraz twarzy Afrykanina, lecz nie powstrzymał się przed zadaniem pytania.

- Dlaczego?

Ngovi nie odpowiedział. Po prostu przecisnął się obok niego i wszedł do kaplicy

\*

Kardynałowie zajęli wyznaczone im miejsca. Ngovi stanął przy ołtarzu, jego sylwetka była ledwie widoczna na tle chaotycznej kolorowej wizji *Sądu Ostatecznego*.

- Zanim zaczniemy głosowanie, pragnę wygłosić oświadczenie.

Wszyscy kardynałowie w liczbie stu trzynastu zwrócili głowy w stronę Ngoviego. Valendra głęboko westchnął. Nie mógł jednak nic zrobić. Kamerling wciąż dysponował władzą.

- Niektórzy z was sądzą, że ja obejmę schedę po naszym ukochanym zmarłym Ojcu Świętym. Chociaż wasze zaufanie stanowi dla mnie zaszczyt, muszę odmówić. Jeśli zostanę wybrany, nie przyjmę tiary. Wiedźcie o tym i stosownie do tego oddajcie głosy.

Ngovi zszedł z ołtarza i zajął swoje miejsce wśród kardynałów.

Valendra zdał sobie sprawę z faktu, że czterdziestu trzech hierarchów popierających Ngoviego przejdzie teraz na jego stronę. Musieli przystąpić do zwycięskiego obozu. Ponieważ ich koń wypadł z toru, musieli obdarzyć swoim oddaniem kogoś innego. Prawdopodobieństwo pojawienia się trzeciego kandydata w tak późnej fazie elekcji było niewielkie, Valendra szybko więc podliczył swoje szanse. Musiał jedynie utrzymać obecne poparcie w liczbie pięćdziesięciu dziewięciu kardynałów oraz zdobyć niewielką frakcję bloku Ngoviego, pozbawionego teraz przywódcy

A to powinno być całkiem łatwe.

Chciał zapytać Ngoviego o powód. Jego gest pozbawiony był sensu. Chociaż wcześniej kamerling zaprzeczał, jakoby pragnął papieskiej tiary, ktoś jednak postarał się o poparcie dla Afrykanina w liczbie czterdziestu trzech głosów, on zaś był, do diabła, pewien, że nie maczał w tym palców Duch Święty. To bitwa między ludźmi, zorganizowana przez ludzi i przez nich prowadzona. Jeden lub więcej otaczających go hierarchów to z pewnością jego wrogowie, choć póki co zakonspirowani. Dobrym kandydatem na prowodyra wydawał się kardynał archiwista, który posiadał zarówno pozycję, jak i wiedzę. Valendra miał

nadzieję, że siła Ngowiego nie jest jednoznaczna z odrzuceniem jego kandydatury. Potrzebował lojalności i poparcia w latach, które miał przed sobą, a dysydenci powinni otrzymać lekcję. Będzie to pierwsze zadanie Ambrosiego. Wszyscy muszą zrozumieć, jaka jest cena za oddanie głosu na niewłaściwego kandydata. Musiał jednak oddać to, co należy, kardynałowi z Afryki, który siedział naprzeciw niego. „Nie wygrasz?”. Nie. Ngovi po prostu dawał mu do ręki papieską godność. Ale tym się nie przejmował.

Zwycięstwo jest zwycięstwem.

Głosowanie trwało jeszcze godzinę. Po zaskakującym oświadczeniu Ngowiego wszyscy zdawali się niepokoić o końcowy rezultat konklawe.

Valendrea nie zapisywał oddanych głosów, sumował tylko w myślach każde powtórzenie swego nazwiska. Gdy doszedł do siedemdziesięciu sześciu, przestał liczyć. Dopiero gdy członkowie komisji skrutacyjnej ogłosili jego wybór przy liczbie głosów sto dwa, skoncentrował wzrok na tym, co dzieje się przy ołtarzu. Wiele razy zastanawiał się, jak będzie czuł się w tym momencie. Teraz żaden kardynał nie mógł już sprzeciwić się jego woli. Odtąd będą się do niego zwracać „Ojczy Święty” i aż po ostatni dzień życia inni troszczyć się będą o jego potrzeby. W tym momencie wielu kardynałów płakało lub wpadało w trwożę. Niektórzy wybiegali z kaplicy, z krzykiem protestu na ustach. Zdał sobie sprawę, że w tej chwili oczy wszystkich kierują się ku jego osobie. Nie był już kardynałem Alberto Valendrea, biskupem Florencji, sekretarzem stanu Stolicy Apostolskiej.

Był papieżem.

Ngovi podszedł do ołtarza. Valendrea pojął, że Afrykanin szykuje się do wykonania ostatniego obowiązku kamerlinga. Po chwili modlitwy Ngovi poszedł w milczeniu do niego.

- Czy ty, wielbny Kardynale, przyjmujesz wybór na papieża, przeprowadzony zgodnie z prawem kanonicznym?

Te słowa wypowiedano do zwycięzców od stuleci.

Spojrzał w świdrujące oczy Ngowiego i usiłował wyczuć, o czym myśli ten czarnoskóry starzec. Dlaczego zrezygnował z kandydowania, wiedząc, że człowiek, którym pogardza, najprawdopodobniej zasiądzie na papieskim tronie? O ile wiedział, Nigeryjczyk był gorliwym katolikiem. Człowiekiem, który zrobiłby wszystko, co konieczne, by chronić Kościół. Z pewnością nie był tchórzem. A jednak wycofał się z walki, z której mógł wyjść zwycięsko.

Odsunął od siebie te niepokojące myśli i odpowiedział mocnym głosem.

- Przyjmuję.

Po raz pierwszy od kilku dekad odpowiedź na to pytanie padła w języku włoskim.



Kardynałowie powstali z miejsc i zaczęli wiwatować.

Żałoba po zmarłym papieżu ustąpiła miejsca radości z wyboru nowego zwierzchnika Kościoła. Valendrea wyobraził sobie, że za drzwiami kaplicy obserwatorzy słyszą hałas, pierwszy sygnał, że jakaś decyzja została podjęta. Patrzył, jak jeden z członków komisji skrutacyjnej niesie kartki z głosami w kierunku pieca. W ciągu kilku minut biały dym uniesie się na tle porannego nieba, a na placu wybuchną gromkie brawa.

Owacje ucichły. Musiało paść jeszcze jedno pytanie.

- Jakie imię przybierzesz? - zapytał po łacinie Ngovi.

W kaplicy zapanowało milczenie.

Wybór imienia w dużym stopniu wskazywał na charakter przyszłego pontyfikatu. Jan Paweł I sprecyzował, co chce po sobie zostawić, dobierając imiona dwóch bezpośrednich poprzedników, przesłanie to wskazywało na jego nadzieję kontynuowania zarówno dobroci Jana, jak i surowości Pawła. Jan Paweł II przekazał podobne przesłanie, kiedy obrał podwójne imię swego bezpośredniego poprzednika. Przez wiele lat Valendrea zastanawiał się jakie imię powinien przyjąć, rozważając wiele spośród najbardziej popularnych - Innocenty, Benedykt, Grzegorz, Juliusz, Sykstus. Jakob Volkner zdecydował się na Klemensa z uwagi na swe niemieckie pochodzenie. Valendrea wszelako pragnął, by imię stanowiło niedwuznaczny przekaz, iż powróciło imperialne papieństwo.

- Piotr II.

Zgromadzeni stali w osłupieniu. Wyraz twarzy Ngowiego nie zmienił się ani odrobinę. Spośród dwustu sześćdziesięciu siedmiu zwierzchników Kościoła dwudziestu trzech wybrało imię Jan, sześciu Paweł, trzynastu Leon, dwunastu Pius, ośmiu Aleksander. Było też wiele innych imion.

Imię Piotr nosił tylko jeden.

Pierwszy papież. „Ty jesteś Piotr, czyli Skala, i na tej Skale zbuduję Kościół mój”.

Jego doczesne szczątki spoczywały bardzo blisko, w krypcie największej świątyni chrześcijaństwa. Piotr był pierwszym świętym w Kościele katolickim i najbardziej czczonym. Od dwóch tysięcy lat nikt z jego następców nie wybrał tego imienia.

Valendrea powstał z tronu.

Czas gry pozorów się skończył. Wszystkie rytuały odprawiono zgodnie z literą tradycji i obyczaju. Jego wybór był potwierdzony, przyjął go formalnie i oznajmił, jakie imię wybiera. Był teraz biskupem Rzymu, Namiestnikiem Jezusa Chrystusa, Księciem Apostołów, *Pontifex Maximus* dysponującym najwyższymi prawami w łonie Kościoła powszechnego, arcybiskupem i metropolitą Prowincji Rzymskiej, prymasem Włoch, patriarchą Zachodu.

Sługą Sług Bożych.

Spojrzał na kardynałów i powtórzył, chcąc się upewnić, że wszyscy dobrze zrozumieli.

- Wybieram imię Piotr II - oświadczył po włosku.

Nikt nie odezwał się nawet słowem.

Wtedy jeden z trójki kardynałów, z którymi rozmawiał poprzedniego wieczora, zaczął klaskać. Powoli dołączyli inni. Wkrótce kaplica rozbrzmiewała gromkimi owacjami. Valendrea rozkoszował się absolutnym zwycięstwem, którego nikt nie był w stanie mu odebrać. Lecz euforię zakłócały dwie rzeczy

Uśmiech, który powoli pojawił się na ustach Maurice'a Ngovi, oraz fakt, że kamerling dołączył się do owacji.

## MEDJUGORIE, BOŚNIA I HERCEGOWINA 11:00

Katerina usiadła przy łóżku i patrzyła na Michenera. Świadomość, że zabrano go do szpitala nieprzytomnego, wciąż nie opuszczała jej myśli. Wiedziała teraz, co znaczyłaby dla niej utrata tego człowieka.

Nienawidziła siebie jeszcze bardziej za to, że go oszukiwała. Chciała wyjawić Michenerowi prawdę. Miała tylko nadzieję, że zdoła jej wybaczyć. Nienawidziła siebie za to, że przyjęła propozycję Valendrei. Być może jednak potrzebowała bodźca, ponieważ jej duma i gniew w innym wypadku mogły nie dopuścić do ponownego odkrycia Michenera. Pierwsze spotkanie na placu trzy tygodnie temu okazało się katastrofą. Natomiast propozycja Valendrei z pewnością ułatwiła bieg spraw, lecz nie stanowiło to usprawiedliwienia.

Michener zamrugał oczyma.

- Colinie.

- Kate?

Usiłował skupić wzrok.

- Jestem tu.

- Słyszę cię, ale nie widzę. Jakbym patrzył pod wodą. Co się stało?

- Piorun. Uderzył w krzyż na górze. Ty i Jasna byliście zbyt blisko.

Podniósł dłoń i potarł czoło. Jego palce delikatnie macały zadrapania i skaleczenia.

- Czy nic jej nie jest?

- Wydaje się, że nie. Podobnie jak ty straciła przytomność. Co właściwie tam robiliście?

- Później o tym porozmawiamy.

- Oczywiście. A teraz napij się trochę wody. Lekarz powiedział, że musisz pić.

Przystawiła kubek do jego ust, on zaś upił kilka łyčzków.

- Gdzie jestem?

- To miejscowa izba chorych, którą rząd prowadzi dla pielgrzymów.

- Czy powiedzieli, co mi jest?

- Wykluczyli wstrząśnienie mózgu. Byłeś po prostu zbyt blisko wysokiego napięcia.

Odrobinę bliżej i oboje bylibyście martwi. Nic sobie nie połamałeś, ale z tyłu głowy masz potężnego guza i rozcięcie.

Drzwi otworzyły się i wszedł brodaty mężczyzna w średnim wieku.

- Jak się czuje nasz pacjent? - zapytał po angielsku. - Jestem lekarzem, który ojca opatrzył. Jak się ojciec czuje?

- Jakby zeszła po mnie lawina odparł Michener.

- To zrozumiałe. Ale szybko się ojciec wykaraska. Drobna rana, ale kości czaszki całe. Zalecam kompleksowe badanie po powrocie do domu. Prawdę mówiąc, miał ojciec sporo szczęścia.

Po pobieżnym badaniu i udzieleniu kilku rad doktor wyszedł z sali.

- Skąd on wie, że jestem księdzem? - zapytał Michener.

- Musiałam podać twoje dane. Cholernie mnie przestraszyłeś.

- Jakież wieści z konklawe? - zapytał. - Słyszałaś coś?

- Dlaczego mnie nie dziwi, że to pierwsza rzecz, która przychodzi ci na myśl?

- Nie ciekawi cię to?

Szczerze mówiąc również ją to interesowało.

- Godzinę temu nie było jeszcze rozstrzygnięcia.

Wyciągnęła rękę i chwyciła jego dłoń. Odwrócił do niej głowę.

- Chciałbym cię zobaczyć - wyznał.

- Kocham cię, Colinie.

Poczuła się lepiej, powiedziawszy te słowa.

- Ja ciebie też, Kate. Powinienem wyznać ci to wiele lat temu.

- Tak, powinienes.

- Wiele rzeczy powinienem zrobić inaczej niż zrobiłem. Wiem tylko, że pragnę, byś stała się częścią mej przyszłości.

- A co z Watykanem?

- Zrobiłem to, co przyrzekłem zrobić. Teraz już po wszystkim. Zamierzam pojechać do Rumunii razem z tobą.

Poczuła, jak jej oczy wilgotnieją. Cieszyła się, że Colin nie może zobaczyć jej łez. Otarła je.

- Będziemy tam czynić dobro - powiedziała cicho, starając się, by jej głos nie zadrżał.

Ścisnął mocniej jej rękę.

A ona rozkoszowała się tym dotykiem.

WATYKAN, 11:45

Valendrea przyjął gratulacje od kardynałów, potem opuścił Kaplicę Sykstyńską i skierował się do miejsca zwanego Komnatą Łez. Tu, w pomieszczeniu o pobielonych ścianach, wisiały już szaty przygotowane przez dom krawiecki Gammarellich, powieszono równo w rzędach. Sam Gammarelli stał w pełnej gotowości.

- Gdzie jest ojciec Ambrosi? - zapytał jednego z obecnych księży.

- Tutaj, Ojciec Święty - odparł Ambrosi, wchodząc do pomieszczenia.

Spodobało mu się brzmienie tych słów, wypowiedziane ustami jego akolity

Tajemnica konklawe skończyła się z chwilą, gdy opuścił kaplicę. Główne drzwi zostały otworzone, gdy tylko z dachu uniosły się smugi białego dymu. Do tej chwili imię Piotr II powtarzano już na całym pałacu. Ludzie dziwili się jego wyborowi, eksperci być może wpadli w zdumienie. Niektórzy z nich mogli nawet na chwilę zaniemówić.

- Od teraz jesteś osobistym sekretarzem papieża - oznajmił Valendrea, gdy zdejmował przez głowę szkarłatną szatę. - To moja pierwsza decyzja.

Uśmiech pojawił się na jego twarzy, gdy wypełnił się pierwszy punkt ich umowy.

Ambrosi pochylił głowę, przyjmując zaszczyt.

Wskazał gestem szaty, które poprzedniego dnia weryfikował.

- Ten komplet powinien pasować.

Mistrz krawiecki sięgnął po wybrany strój i zaprezentował ubiór, wymawiając słowa „*Santissimo Padre*”.

Przyjął to pozdrowienie przeznaczone wyłącznie dla papieża i obserwował, jak składano jego kardynalskie szaty. Wiedział, że zostaną oddane do czyszczenia, a potem złożone w pudle, gdyż zwyczaj nakazywał, by po jego śmierci przekazano je najstarszemu wtedy członkowi rodu Valendrea.

Przywdział teraz białą sutannę z płótna i zapinał guziki. Gammarelli przyklęknął i zaczął zszywać fastrygę, posługując się igłą i nitką. Szew nie był perfekcyjny, ale dostatecznie dobry na kilka następnych godzin. Do tej pory gotowy będzie już kompletny strój uszyty na jego miarę.

Sprawdził, czy wszystko dobrze pasuje.

- Nieco za ciasno. Proszę poprawić.

Gammarelli rozerwał szew i zaczął zszywać na nowo.

- Proszę dopilnować, żeby nitka była dostatecznie mocna.

Ostatnia rzecz, której potrzebował, to spartaczone szycie.

Kiedy krawiec dokończył, Valendrea usiadł na krześle. Jeden z księży ukląkł przed nim i zaczął zdejmować mu buty oraz skarpetki. Już się rozkoszował faktem, że od tej pory niewiele rzeczy będzie musiał robić samodzielnie. Obok czekał w gotowości para białych skarpetek i czerwone skórzane buty. Sprawdził rozmiar. Idealnie dopasowane. Dał znać gestem, żeby pantofle założono mu na stopy.

Wstał.

Podano mu białe *zucchetto*. W dawnych czasach, kiedy kościelni hierarchowie golili głowy, ta czapka chroniła gołą skórę zimą. Teraz stanowiła istotną część stroju kościelnych dostojników. Od XVIII wieku to nakrycie głowy zszywano z ośmiu kawałków białego jedwabiu. Wziął w palce krawędzie czapki i niczym cesarz przyjmujący koronę założył ją na głowę.

Ambrosi uśmiechnął się z aprobatą.

Nadeszła pora, by pokazać się światu, lecz wcześniej musiał wypełnić jeszcze jeden obowiązek.

\*

Opuścił salę garderobianą i ponownie wkroczył do Kaplicy Sykstyńskiej. Kardynałowie stali w wyznaczonych im miejscach. Papieski tron ustawiono przed ołtarzem. Poszedł paradnym krokiem prosto do niego, usiadł i odczekał pełne dziesięć sekund, zanim zabrał głos.

- Usiądźcie.

Rytuał, który miał się teraz odbyć, stanowił nieodzowny element procedury wyborów, opisanej przez prawo kanoniczne. Każdy z kardynałów miał podejść tu, przyklęknąć i objąć nowego papieża.

Dał znak gestem seniorowi spośród kardynałów biskupów, jednemu ze swoich zwolenników, który powstał i rozpoczął ceremoniał. Jan Paweł II odrzucił wielowiekową tradycję, wedle której papież siedział przed gronem książąt Kościoła, i zarządził, że papież pozdrawia kolegium kardynalskie na stojąco, lecz teraz nadeszła nowa epoka i każdy musiał zacząć się do tego przyzwyczajać. Na dobrą sprawę powinni być z tego zadowoleni - wieki temu elementem rytuału był pocałunek składany na papieskim bucie.

Siedział na tronie i podawał pierścień do rytualnego pocałunku.

Ngovi pojawił się mniej więcej w połowie orszaku. Ukląkł i sięgnął po podany pierścień. Valendrea zauważył, że jego usta nie dotknęły złotego klejnotu. Potem Ngovi powstał i odszedł.

- A gratulacje? - zapytał Valendrea.

Ngovi zatrzymał się i odwrócił.

- Niech Twoje panowanie będzie takie, na jakie zasłużyłeś.

Zamierzał dać temu sukinsynowi lekcję pokory, lecz nie było to właściwe miejsce ani czas. Być może Ngoviemu właśnie o to chodziło, o sprowokowanie go poprzez okazanie arogancji. Zdołał uspokoić Wzburzone emocje.

- Uznam to za życzenia pomyślności - odparł świeżo obrany papież.

- Nic innego nie miałem na myśli.

Kiedy ostatni kardynał oddalił się od ołtarza, Valendrea powstał.

- Dziękuję wam wszystkim. Uczynię wszystko, co w mej mocy, dla dobra Kościoła powszechnego. Teraz, jak sądzę, nadeszła pora, by pokazać się światu.

Stąpił środkowym przejściem przez marmurową bramę i wyszedł z kaplicy głównym wejściem. Skierował kroki ku bazylice, mijając po drodze Komnaty Królewską i Księżęcą. Lubił ten szlak, ozdobiony monumentalnymi malowidłami ściennymi, które jednoznacznie potwierdzały supremację Papiestwa nad władzą doczesną.

Wszedł do środkowej loggii.

Od chwili wyboru upłynęła niemal godzina, plotki rozprzestrzeniały się teraz z szybkością epidemii. Z Kaplicy Sykstyńskiej z pewnością wyciekło dostatecznie dużo sprzecznych informacji, teraz więc nikt nie był niczego pewien. To właśnie mu odpowiadało. Chaos i zamęt stanowiły efektywną broń, pod warunkiem że on był źródłem chaosu. Już sam wybór imienia powinien wywołać sporo spekulacji. Nawet wielcy papieże wojownicy czy uświęceni dyplomaci, którzy zdołali zwyciężyć na konklawe w ciągu ostatnich stu lat, nie zdobyli się na to posunięcie.

Doszedł do pomieszczenia wychodzącego na balkon. Nie mógł jednak jeszcze wyjść na zewnątrz. Pierwszy, zgodnie z tradycją, powinien pokazać się kardynał archiwista, najstarszy wśród kardynałów diakonów, potem nowo obrany papież, za nim zaś przewodniczący zgromadzenia kardynałów oraz kamerling.

Przeszedł przez próg i zbliżył się do kardynała archiwisty.

- Powiedziałem ci, Eminencjo, że będę cierpliwy. A teraz spełnij ostatni obowiązek - wyszeptał.

Oczy starego człowieka nie zdradziły niczego. Z pewnością znał już swoje przeznaczenie.

Nie odzywając się słowem, kardynał archiwista wyszedł na balkon.

Pół miliona zebranych ludzi wzniosło gromkie okrzyki.

Watykański archiwista podszedł do mikrofonu przymocowanego przed balustradą.

- *Annuntio vobis gaudium magnum* - oświadczył.

Oświadczenie to wypowiedziano po łacinie, ale Valendrea doskonale rozumiał te słowa.

Mamy papieża.

Tłum znów eksplodował radosną owacją. Nie widział zgromadzonych ludzi, ale czuł ich obecność. Kardynał archiwista ponownie przemówił do mikrofonu.

- *Cardinalem Sanctae Romanae Ecclesiae...* Valendrea.

Wrzawa sięgnęła zenitu. Włoch ponownie zasiadł na tronie św. Piotra. Okrzyki „Viva, Viva” przybierały na sile.

Kardynał archiwista przerwał na moment i obejrzał się. Valendrea dostrzegł lodowaty wyraz jego twarzy. Starzec z pewnością nie aprobował tego, co za chwilę miał powiedzieć. Obrócił się ponownie do mikrofonu.

- *Qui sibi nomen imposuit...*

Słowa odbiły się echem. Który obrał imię...

- *Petrus II.*

Echo znów odbiło się po rozległym placu, jak gdyby posągi wieńczące kolumnady rozmawiały ze sobą i pytały się nawzajem w zdumieniu, czy na pewno dobrze dosłyszały. Ludzie natomiast, najpierw usłyszeli to imię, dopiero potem zaczęli rozumieć.

Wrzawa znów sięgnęła zenitu.

Valendrea ruszył ku wyjściu, ale zauważył, że podąża za nim tylko jeden kardynał. Obrócił się. Ngovi pozostał w miejscu.

- Nie idziesz?

- Nie idę.

- To twój obowiązek jako kamerlinga.

- To moja hańba.

Valendrea cofnął się o krok w stronę niszy

- Ścierpiałem już twoją bezczelność w kaplicy. Nie wystawiaj mnie na próbę ponownie.

- Cóż możesz mi zrobić? Kazesz mnie uwięzić? Dokonasz zaboru mojego mienia?



Pozbawisz mnie tytułów i godności? To nie średniowiecze.

Drugi z kardynałów był najwyraźniej zakłopotany. Należał do gorliwych popleczników, a zatem on jako papież powinien okazać, że posiada władzę.

- Zajmę się tobą później, Ngovi.

- A Pan zajmie się tobą.

Afrykanin obrócił się i odszedł.

Nie miał zamiaru pozwolić, by ta wiekopomna chwila legła w gruzach. Spojrzał na drugiego z kardynałów.

- Idziemy, Eminencjo?

Wyszedł na słońce z ramionami wzniesionymi do góry w geście ciepłego powitania rzesz, które znów wznosiły gromkie okrzyki poparcia.

## MEDJUGORIE, BOŚNIA I HERCEGOWINA 12:30

Michener czuł się lepiej. Widział już wyraźnie, bóle głowy w końcu ustały, podobnie jak mdłości. Zorientował się, że znajduje się w pomieszczeniu szpitalnym, które stanowi część większej sali odgródzonej parawanem, ściany z pustaków miały kolor bladożółty. W oknie wisiały firany, które przepuszczały światło, ale nie pozwalały wyjrzeć na zewnątrz, szyby pomalowane były grubą warstwą farby.

Katerina wyszła, by sprawdzić, jak się czuje Jasna. Lekarz nic na ten temat nie wspomniał, on zaś miał nadzieję, że nic jej nie grozi.

Drzwi się otworzyły.

- Wszystko z nią w porządku - oznajmiła Katerina. - Najwyraźniej oboje znaleźliście się zbyt blisko pioruna. Ma jedynie parę guzów na głowie.

Stała przy łóżku.

- Mam jeszcze parę wieści.

Spojrzał na nią, zadowolony, że może widzieć jej śliczną twarz.

- Valendrea został papieżem. Widziałam to w telewizji. Właśnie skończył orędzie do tłumów zebranych na placu św. Piotra. Apelował o powrót do korzeni Kościoła. Na potwierdzenie tego, wybrał imię Piotr II.

- Opcja rumuńska staje się coraz bardziej realna.

Uśmiechnęła się do niego.

- Zatem powiedz mi, czy wspinaczka na szczyt góry była tego warta?

- Co masz na myśli?

- Bez względu na to, co robiliście tam na górze ostatniego wieczora.

- Zazdrosna?

- Raczej zainteresowana.

Zdał sobie sprawę, że winien jej jest jakieś wyjaśnienie.

- Obiecała, że wyjawia mi dziesiątą tajemnicę.

- W środku burzy?

- Nie wymagaj ode mnie, bym odpowiadał racjonalnie. Obudziłem się, a ona stała na

ulicy i czekała na mnie. Czulem się trochę nieswojo, ale jakiś impuls kazał mi iść.

Zdecydowałem, że nie opowie jej o halucynacjach, których doświadczył, ale miał w pamięci szczegóły tej wizji, jak uparty sen. Wedle słów lekarza, przez kilka godzin pozostawał nieprzytomny. Cokolwiek więc widział i słyszał, musiało być jedynie manifestacją tego, co przeżył w ciągu kilku ostatnich miesięcy. A posłańcy z niebios byli ludźmi, którzy mocno tkwili w jego myślach. Ale skąd wzięła się postać Matki Boskiej? Prawdopodobnie był to tylko wizerunek, który widział wczoraj w domu Jasny

A może jednak?

- Posłuchaj, nie wiem, co miała na myśli Jasna. Powiedziała mi, że jeśli chcę poznać tajemnicę, muszę pójść razem z nią. No więc poszedłem.

- Nie powziąłeś przekonania, że sytuacja była nieco dziwna?

- Wszystko, co tu się dzieje, jest dziwne.

- Ona tu idzie.

- Co masz na myśli?

- Jasna wybiera się tu porozmawiać z tobą. Szykowali ją, gdy wychodziłam z jej pokoju.

Drzwi otworzyły się i do wąskiego pomieszczenia wjechał szpitalny wózek pchany przez starszą kobietę. Jasna wyglądała na zmęczoną, głowę i prawą rękę miała zabandażowane.

- Chciałam zobaczyć, czy z ojcem wszystko w porządku - przemówiła słabym głosem.

- To samo pomyślałem o pani.

- Zabrałam ojca na wspinaczkę, ponieważ tak poleciła mi Matka Boska. Nie chciałam wyrządzić ojcu krzywdy.

Po raz pierwszy jej słowa brzmiały ludzko.

- Nie obwiniam pani o nic. Sam podjąłem decyzję.

- Powiedziano mi, że na krzyżu pojawił się trwały ślad. Poczerniała smuga na całej długości.

- Czy to ma być ten pani znak dla ateistów? - zapytała Katerina z odrobiną ironii w głosie.

- Nie mam pojęcia - odparła Jasna. - Być może ten przekaz dla wiernych wszystko wyjaśni

- Katerina najwyraźniej nie zamierzała odpuścić.

Chciał poprosić ją, by przystopowała, ale wiedział, że jest mocno poruszona i pragnie wyładować frustrację na najłatwiejszym celu.

- Matka Boska przyszła po raz ostatni.

Przyglądał się badawczo kobiecie siedzącej przed nim. Jej twarz posmutniała, oczy miała przymknięte, wyraz twarzy był inny niż wczoraj. Przez dwadzieścia kilka lat rozmawiała rzekomo z Matką Boską, bez względu na to, czy doświadczenie to było rzeczywiste, czy nie, dla niej było bardzo ważne. Teraz wszystko to miało odejść, a ból związany z tą stratą wydawał się oczywisty. Wyobraził sobie, że jest podobny do bólu po śmierci ukochanej osoby - głos, którego nigdy więcej nie usłyszy, słowa otuchy i pociechy utracone na zawsze, tak jak jego rodzice i Jakob Volkner.

Nagle ogarnęło go przygnębienie.

- Matka Boska wyjawiała mi wczoraj na szczycie góry dziesiątą tajemnicę.

Przypomniał sobie fragmenty jej słów, które usłyszał w trakcie burzy. „Pamiętam. Wiem, że mogę. Umiłowana Pani, nic o tym nie wiem”.

- Zapisałam jej słowa - powiedziała i podała mu kartkę papieru. - Matka Boska kazała mi oddać to ojcu.

- Czy powiedziała coś jeszcze?

- Wtedy właśnie zniknęła.

Jasna dała znać gestem starszej kobiecie stojącej z tyłu za wózkiem.

- Wracam do swojego pokoju. Niech ojciec szybko zdrowieje. Będę się za ojca modlić.

- Ja za ciebie też, Jasna - odparł, i rzeczywiście taki miał zamiar.

Opuściła na wózku jego pokój.

- Colinie, ta kobieta to oszustka, nie widzisz tego? - przemówiła Katerina podnosząc głos.

- Nie wiem, kim ona jest, Kate. Jeśli jest oszustką, to bardzo dobrą. Wierzy w to, co mówi. A nawet, jeśli to oszustka, jej przekręty dobiegły właśnie końca. Nastąpił kres objawień.

Wskazała na kartkę papieru.

- Zamierzasz to przeczytać? Tym razem nie ma papieskiego polecenia, które by tego zakazywało.

To prawda. Rozłożył kartkę, lecz skupienie wzroku na literach sprawiło, że rozboleła go głowa. Przekazał jej zapisany papier.

- Nie mogę. Przeczytaj to na głos.

WATYKAN, 13:00

Valendrea stał w sali audiencyjnej i przyjmował gratulacje od personelu Sekretariatu Stanu. Ambrosi już wcześniej wyraził pragnienie, by wielu spośród duchownych oraz większość sekretarzy papieskiego biura usunąć ze stanowisk. Nie spierał się z nim. Jeśli oczekiwał od Ambrosiego, że będzie się troszczył o każdą jego potrzebę, powinien przynajmniej pozwolić mu na dobranie podwładnych.

Ambrosi nie opuszczał go od rana, stojąc pokornie w głębi pokoju, kiedy on z balkonu wygłaszał orędzie do rzesz zgromadzonych na placu św. Piotra. Świeżo nominowany osobisty sekretarz zajął się potem przeglądem relacji radiowych i telewizyjnych, które - jak zrelacjonował - w większości miały ton pozytywny, zwłaszcza w odniesieniu do imienia, które Valendrea obrał. Większość komentatorów zgadzała się co do jednego: ten pontyfikat będzie znaczący. Valendrea wyobraził sobie, że nawet Tom Kealy na chwilę zająknął się, gdy z jego ust padło imię Piotr II. Podczas jego pontyfikatu nie będzie już księży wydających bestsellerowe książki. Duchowni będą postępować tak, jak im się każe. Jeśli nie, wylądują na bruku - zaczynając od Kealy'ego. Wcześniej już polecił Ambrosiemu, by nałożono na tego idiotę karę suspensy przed końcem tygodnia.

Zmian szykowało się dużo więcej.

Papieska tiara znów miała być przywrócona, a także ceremonialna koronacja. Jego wejście miały oznamiać fanfary. Wachlarze i obnażone szable znów miały towarzyszyć mu podczas liturgii. Powróci także przenośny tron. Paweł VI zmienił większość tych rzeczy - kilka błędnych decyzji w ogólnie trafnym osądzie lub być może reakcja na specyfikę epoki - ale Valendrea zamierzał naprawić wszystkie te błędy

Minęli go ostatni jego sympatycy, dał więc znak Ambrosiemu, który podszedł bliżej.

- Mam coś do zrobienia - wyszeptał. - Skończ to.

Ambrosi odwrócił się do zebranych.

- Proszę o uwagę, Ojciec Święty jest głodny. Od śniadania nie miał nic w ustach, a wszyscy przecież dobrze wiemy, jak papież lubi jeść.

Na sali rozległy się gromkie śmiechy.

- Tym spośród was, którzy nie mieli sposobności porozmawiać z papieżem, zaaranżuję spotkanie później w ciągu dnia.

- Niech Bóg pobłogosławi was wszystkich - powiedział Valendrea.

Podążył za Ambrosim, który wyszedł z sali i zmierzał do jego biura w Sekretariacie Stanu. Papieskie apartamenty zostały rozplombowane pół godziny wcześniej, a wiele z jego rzeczy osobistych przenoszono teraz z pomieszczeń na drugim piętrze do papieskich pokoi na piętrze trzecim. W następnych dniach zamierzał złożyć wizyty w muzeach oraz przeglądnać zawartość magazynów w piwnicy. Już wcześniej dostarczył Ambrosiemu listę sprzętów i przedmiotów, które zażyczył sobie na wystrój apartamentu. Odczuwał dumę z poczynionych planów. Większość z decyzji podjętych w ciągu kilku ostatnich godzin została przemyślana już dawno temu. Ich rezultatem był wizerunek zdecydowanego papieża, który czyni właściwe rzeczy we właściwy sposób.

Gdy znalazł się w swoim biurze i zamknął drzwi, zwrócił się do Ambrosiego.

- Wezwij kardynała archiwistę. Każ mu stawić się przy Riservie w ciągu piętnastu minut.

Ambrosi uklonił się i wyszedł.

Valendrea wszedł do łazienki przylegającej do biura. Wciąż jeszcze nie wygasła w nim złość wywołana arogancją Ngoviego. Afrykańczyk miał rację. Niewiele mógł mu zrobić poza wysłaniem na placówkę z daleka od Rzymu. Ale to nie byłoby zbyt roztropne. Kamerling, którego obowiązki miały niedługo dobiec końca, zebrał zaskakująco duże poparcie. Pozbycie się go naprędce stanowiłoby przejaw głupoty. Należało zachować cierpliwość. Nie oznaczało to jednak wcale, że Maurice Ngovi uzyska jego przebaczenie.

Ochlapał twarz wodą i wytarł ręcznikiem.

Drzwi od biura otworzyły się i Ambrosi powrócił.

- Archiwista już czeka.

Rzucił ręcznik na marmurowy blat.

- Dobrze, chodźmy.

Wypadł niczym burza z biura i zjechał windą na parter. Zdumione spojrzenia mijanych szwajcarskich gwardzistów świadczyły o tym, że nie nawykli do pojawiania się papieża bez wcześniejszego uprzedzenia.

Wszedł do archiwum.

Czytelnie oraz sale, w których zgromadzono zbiory, były puste. Od chwili śmierci Klemensa nikt nie miał pozwolenia na korzystanie z tego przybytku. Wszedł do głównego korytarza i kroczył po mozaikowej podłodze w kierunku żelaznej kraty. Kardynał archiwista

stał przed nią. Oprócz nich dwóch i Ambrosiego nie było nikogo.

Podszedł do starego człowieka.

- Nie muszę chyba mówić, że twoje usługi nie będą już potrzebne. Na twoim miejscu przeszedłbym na emeryturę. Zniknij stąd do końca tygodnia.

- Moje biurko jest już posprzątane.

- Nie zapomniałem twojego komentarza z dzisiejszego ranka przy śniadaniu.

- Proszę, nie czyn tego. Kiedy obaj staniemy przed Panem, poproszę, byś powtórzył te słowa.

Kusiło go, by wymierzyć pyskatemu Włochowi policzek. Powstrzymał się jednak.

- Czy sejf jest otwarty?

Stary człowiek przytaknął.

- Zaczekaj tu - rzucił do Ambrosiego.

Przez tak długi czas inni dysponowali władzą nad Riservą. Paweł VI. Jan Paweł II. Klemens XV. Nawet ten irytujący archiwista. Aż do tej chwili.

Wpadł do środka. Sięgnął do szuflady, dostrzegł drewnianą kasetkę, wyciągnął ją i przeniósł na ten sam stół, przy którym niemal trzy dekady temu siedział Paweł VI.

Otworzył wieko i zobaczył dwie złożone razem kartki papieru. Jedna, z pewnością starsza, zawierała pierwszą część tajemnicy fatimskiej - spisanej ręką siostry Łucji - na odwrocie kartki widniał watykański herb umieszczony tam w 2000 roku, kiedy tajemnicę ujawniono światu. Druga kartka, nowsza, zawierała tłumaczenie na włoski, sporządzone przez ojca Tibora w 1960 roku. Ta również opatrzona była papieskim herbem.

Ale powinna tu być jeszcze jedna kartka.

Faksymile przesłane przez ojca Tibora, które Klemens osobiście umieścił w kasetce. Lecz gdzie ono było? Przyszedł tu, by dokończyć rozpoczęte dzieło. By chronić Kościół i ocalić jego czystość.

Ale dokument zniknął.

Wybiegł z Riservy i rzucił się w stronę archiwisty. Chwycił sutannę starego człowieka. Targał nim niepohamowany gniew. Twarz kardynała wyrażała niewypowiedziany szok.

- Gdzie to jest? - wyrzucił z siebie.

- Co... masz... na myśli? - wyjąkał starzec.

- Nie jestem w nastroju do żartów. Gdzie to jest?

- Niczego nie dotykałem. Przysięgam przed Bogiem.

Zorientował się, że archiwista mówi prawdę. Nie on był przyczyną problemu. Zwolnił

uchwyt, a kardynał odsunął się, najwyraźniej przestraszony nagłą napaścią.

- Wynoś się stąd - polecił archiwście.

Starzec pośpiesznie pokuśtykał na zewnątrz.

Myślał intensywnie. Klemens. W tamten piątkowy wieczór, kiedy papież pozwolił mu zniszczyć połowę tego, co nadesłał mu Tibor.

„Chciałem, żebyś wiedział, co cię czeka.”

„Dlaczego nie powstrzymałeś mnie przed spaleniem dokumentu?”

„Sam się przekonasz, Alberto.”

A kiedy zażądał wydania drugiego dokumentu - przekładu Tibora.

„Nie, Alberto. Ono pozostanie w kasetce.”

Powinien wtedy odepchnąć drania i zrobić to, co musiał zrobić, bez względu na obecność nocnego prefekta.

Teraz rozumiał to dobrze

Tłumaczenia nie było jednak w kasetce. Czy kiedykolwiek istniało? Tak, na pewno. Bez wątplenia. A Klemens chciał, żeby on o tym wiedział.

Teraz musiał to znaleźć.

Odwrócił się do Ambrosiego.

- Jedź do Bośni. Sprowadź tu Colina Michenera. Żadnych tłumaczeń i żadnych wymówek. Chcę go tu widzieć jutro. Przekaż mu, że jeśli się nie zgodzi, wydam polecenie wystawienia nakazu aresztowania.

- Pod jakim zarzutem, Ojczy Świąty? - zapytał Ambrosi, niemal rzeczowo. - Żeby mógł go poinformować, jeśli zapyta.

Zastanowił się przez chwilę.

- Współdział w zamordowaniu ojca Andrieja Tibora - odparł.



# CZEŚĆ CZWARTA

## MEDJUGORIE, BOŚNIA I HERCEGOWINA 18.00

Katerina poczuła ucisk w żołądku na widok ojca Ambrosiego wchodzącego do szpitala. Natychmiast zauważyła też nowe elementy zdobiące sutannę z czarnej wełny - purpurową lamówkę oraz czerwony pas, wskazujący na wyniesienie go do godności monsignore'a. Najwyraźniej Piotr II nie marnował czasu rozdzielając łupy.

Michener leżał na swojej sali. Wyniki wszystkich badań były dobre, a lekarz przewidywał wypisanie go nazajutrz. Zaplanowali wylecieć do Bukaresztu około południa. Ale obecność Ambrosiego tu w Bośni mogła oznaczać wyłącznie kłopoty

Ten dostrzegł ją i podszedł.

- Powiedziano mi, że ojciec Michener nieomal otarł się o śmierć.

Czuła odrazę do jego udawanej troski, która z pewnością była jedynie pozą.

- Pieprz się, Ambrosi - odparła ściszym głosem. - To źródelko już wyschło.

Potrząsnął głową w geście udawanej odrazy.

- Miłość rzeczywiście potrafi wszystko pokonać. Ale to bez znaczenia. Tym razem niczego od ciebie już nie chcemy

Ale ona chciała czegoś od niego.

- Nie chcę, żeby Colin dowiedział się czegokolwiek na temat mnie i ciebie.

- Jestem pewien, że pani sobie tego nie życzy

- Sama mu o tym powiem. Czy to jasne?

Nie raczył odpowiedzieć.

Dziesiąta tajemnica spisana ręką Jasny tkwiła w jej kieszeni. O mały włos nie wyciągnęła i nie rzuciła tych słów w Ambrosiego. Wola nieba z pewnością nie interesowała tego aroganckiego dupka. Czy przesłanie rzeczywiście pochodzi od Matki Boskiej, czy też jest jedynie wymysłem kobiety przekonanej o tym, że wybrały ją niebiosa, nikt nigdy nie zdoła rozstrzygnąć. Choć prawdę mówiąc, zastanawiała się, jak Kościół i Alberto Valendrea zamierzają wytłumaczyć treść dziesiątego sekretu, zwłaszcza po oficjalnym zaakceptowaniu poprzednich dziewięciu sekretów z Medjugorie.

- Gdzie jest Michener? - zapytał Ambrosi obojętnym tonem.

- Czego od niego chcesz?

- Ja nie chcę niczego, ale mój papież wręcz przeciwnie.

- Zostawcie go w spokoju.

- No, no. Lwica pokazuje pazury.

- Wynoś się stąd, Ambrosi.

- Obawiam się, że nie możesz mi mówić, co mam robić. Słowo papieskiego sekretarza, jak mniemam, znaczy tu o wiele więcej niż słowa bezrobotnej dziennikarki - odparł i usiłował ją ominąć.

Szybko zastąpiła mu drogę.

- Mówię poważnie, Ambrosi. Odejdź. Powiedz Valendrei, że Colin postanowił rozstać się z Watykanem.

- Wciąż jest kapłanem Kościoła katolickiego i podlega władzy papieża. Uczyni to, co mu się każe, w przeciwnym razie spotkają go poważne konsekwencje.

- Czego chce Valendrea?

- Dlaczego nie pójdziemy do Michenera? - zapytał Ambrosi. - Wyjaśnię mu osobiście. Zapewniam, że warto tego posłuchać.

Weszła do szpitalnej sali, a w ślad za nią Ambrosi. Michener siedział na łóżku, jego twarz wykrzywił grymas na widok gościa.

- Przywożę pozdrowienia od Piotra II - zaczął Ambrosi. - Dowiedzieliśmy się o tym, co tu się stało...

- I musiał ojciec tu przylecieć i przekazać wyrazy głębokiej troski.

Wyraz twarzy Ambrosiego nie zmienił się ani odrobinę. Katerina zastanawiała się, czy urodził się z tą zdolnością, czy też opanował ją po mistrzowsku przez lata spędzone na oszukiwaniu innych.

- Zdajemy sobie sprawę, dlaczego jest ojciec w Bośni - podjął Ambrosi. - Przysłano mnie tu, bym upewnił się, czy ojciec zdołał dowiedzieć się czegokolwiek od widzających?

- Zupełnie niczego.

Łatwość, z którą Michener skłamał, zrobiła wrażenie na Kate.

- Czy muszę iść i dowiedzieć się, czy słowa ojca są prawdą?

- Niech ojciec robi, co mu się podoba.

- Po mieście krążą pogłoski, że wczoraj wieczorem jedna z widzających, Jasna, poznała treść dziesiątej tajemnicy i że objawienia dobiegły końca. Tutejszy proboszcz jest z tego powodu głęboko zrozpaczony.

- Koniec pielgrzymujących turystów? Koniec szerokiego strumienia pieniędzy? -

Katerina nie mogła się powstrzymać.

Ambrosi spojrział na nią.

- Być może powinna pani poczekać na zewnątrz. To jest sprawa Kościoła.

- Ona nigdzie nie pójdzie - sprzeciwił się Michener. - Uwzględniając to, co ojciec i Valendrea z pewnością uczynili w ciągu ostatnich dwóch dni, jest ojciec na pewno zaniepokojony tym, co stało się tu w Bośni? Dlaczego?

Ambrosi założył ręce z tyłu na plecy.

- To ja zadaję pytania.

- W takim razie słucham.

- Ojciec Święty poleca ci powrócić do Rzymu.

- Wiesz, co możesz przekazać Ojcu Świętemu.

- Cóż za brak poszanowania. My przynajmniej otwarcie nie szkalujemy Klemensa XV  
Rysy twarzy Michenera stężały.

- Czy to ma wyrzucić na mnie wrażenie? Robicie przecież wszystko, by zniszczyć to, czego on dokonał.

- Spodziewałem się, że będziesz sprawiał trudności.

Ton Ambrosiego martwił Katerinę. Przybysz zdawał się być bardzo z siebie zadowolony.

- Mam obowiązek poinformować cię, że jeśli odmówisz dobrowolnego przyjazdu, rząd włoski wystawi nakaz aresztowania.

- O czym ty bredzisz? - zapytał Michener.

- Nuncjusz papieski w Bukareszcie poinformował Jego Świątobliwość o twoim spotkaniu z ojcem Tiborem. Był zdumiony faktem, że nie brał udziału w poczynaniach twoich oraz Klemensa. Władze Rumunii są zainteresowane rozmową z tobą. Podobnie jak my, są zaintrygowane tym, czego leciwy papież mógł chcieć od starego księdza.

Katerina poczuła uścisk w gardle. Sprawa zaczynała wyglądać poważnie. A jednak Michener pozostał niewzruszony

- Kto stwierdził, że Klemens chciał rozmawiać z ojcem Tiborem?

Ambrosi wzruszył ramionami.

- Ojciec? Klemens? Kogo to obchodzi? Liczy się tylko to, że pojechałeś tam, by spotkać się z nim, a teraz rumuńska policja pragnie z tobą porozmawiać. Stolica Apostolska może zablokować te wysiłki albo wesprzeć je. Którą opcję wybierasz?

- Bez różnicy.

Ambrosi odwrócił się i spojrział na Katerinę.

- A pani? Czy pani robi to różnicę?

Zdała sobie, że ten dupek w sutannie rozgrywa partię sięgając po asa w rękawie. Spraw, by Michener pojechał do Rzymu, albo dowie się właśnie teraz, jakim sposobem tak łatwo odnalazłaś go w Bukareszcie i w Rzymie.

- Co ona ma z tym wspólnego? - zapytał odruchowo Michener.

Ambrosi zastanawiał się przez okropnie długą chwilę. Chciała wymierzyć mu policzek, podobnie jak w Rzymie, ale powstrzymała się.

Ambrosi znów obrócił się do Michenera.

- Zastanawiałem się jedynie, co ona o tym sądzi. Jak wiem, jest z pochodzenia Rumunką i zna mechanizmy działania tamtejszej policji. Wyobrażam sobie, że ich techniki prowadzenia śledztwa to coś, czego lepiej unikać.

- Może mi ojciec łaskawie wyjaśnić, skąd tyle wie na jej temat?

- Ojciec Tibor rozmawiał z papieskim nuncjuszem w Bukareszcie. Wspomniał też o pani Lew, która była obecna przy waszej rozmowie. Postanowiłem po prostu dowiedzieć się o niej trochę więcej.

Była pod wrażeniem wyjaśnienia, które przedstawił Ambrosi. Gdyby nie znała prawdy, uwierzyłaby w jego słowa.

- Niech ojciec nie miesza jej do tego - ostrzegł Michener.

- Wrócisz do Rzymu?

- Tak, wrócę.

Ta odpowiedź ją zaskoczyła.

Ambrosi przytaknął z aprobatą.

- W Splicie czeka na was samolot. Kiedy zamierzasz opuścić szpital?

- Jutro rano.

- Bądźcie gotowi o siódmej - dodał na zakończenie Ambrosi, podchodząc do drzwi. - Będę modlił się za ciebie dziś wieczorem. - Przerwał na chwilę. - Za twoje szybkie ozdrowienie. - Potem wyszedł.

- Jeśli on zamierza modlić się za mnie, wpadłem w prawdziwe tarapaty - skomentował Michener, gdy drzwi się zamknęły.

- Dlaczego zgodziłeś się na powrót? To, co mówił o Rumunii, było blefem.

Michener przesunął się na łóżku, ona zaś pomogła mu wygodniej się ułożyć.

- Muszę porozmawiać z Ngovim. Powinien poznać słowa przekazane przez Jasnę.

- Ale po co? Nie możesz wierzyć w to, co ona napisała. Ten sekret to brednie.

- Być może. Ale to jest dziesiąta tajemnica z Medjugorie, bez względu na to, czy w to

wierzymy, czy nie. Muszę przekazać to Ngoviemu.

Poprawiła poduszki.

- Słyszałeś kiedyś o faksach?

- Nie chcę się z tobą spierać na ten temat, Kate. Poza tym jestem ciekaw, co kryje się za tym, że Valendrea przysłał tu swojego emisariusza. Najwyraźniej stawka jest duża i sędzę, że wiem, o co chodzi.

- O trzecią tajemnicę fatimską?

Przytaknął.

- Ale to wszystko nie ma sensu. Trzecia tajemnica od dawna jest znana światu.

Przypomniała sobie, co ojciec Tibor pisał w liście do Klemensa. „Zrób tak, jak nakazuje Madonna... Na ile jeszcze nietolerancji pozwolą niebiosy?”

- To wszystko wydaje się pozbawione logiki - dodał Michener.

Ciekawiła ją jedna rzecz.

- Czy ty i Ambrosi zawsze byliście wrogami?

Skinął głową.

- Dziwię się, że taka kreatura została duchownym. Gdyby nie Valendrea, nigdy nie trafiłby do Rzymu. Dobrali się jak w korcu maku - skomentował, przerwał na chwilę, jak gdyby coś rozważając. - Wyobrażam sobie, że szykują się poważne zmiany

- To już nie twój problem - odparła w nadziei, że nie chodzi mu po głowie zmiana planów na temat ich przyszłości.

- Nie martw się. Nie zamierzam zmienić postanowień. Ale zastanawiam się, czy władze Rumunii rzeczywiście interesują się moją osobą.

- Co masz na myśli?

- To może być zasłona dymna.

Wyglądała na zdziwioną.

- Klemens przesłał mi e-maila tej nocy, kiedy zmarł. Informował mnie w nim, że Valendrea mógł wykraść część oryginalnego tekstu trzeciego sekretu dawno temu, kiedy pracował dla Pawła VI.

Słuchała z rosnącym zainteresowaniem

- Klemens i Valendrea byli razem w Riservie dzień wcześniej przed tym, gdy papież zmarł. Valendrea następnego dnia udał się w nieplanowaną podróż poza Rzym.

Natychmiast pojęła znaczenie tego faktu.

- Tej soboty, kiedy ojciec Tibor został zamordowany?

- Wystarczy połączyć punkty, a powstanie obrazek.

Przez myśli przebiegła jej scena, jak Ambrosi dusi kolanem jej tors, a jego oślisze dłonie zaciskały się na jej szyi. Czy Valendrea i Ambrosi byli zamieszani w zabójstwo Tibora? Pragnęła opowiedzieć Michenerowi o tym, co wie, ale zdała sobie sprawę, że jej wyjaśnienie sprowokowałoby postawienie większej liczby pytań, na które ona nie zdołałaby odpowiedzieć.

- Czy Valendrea może być zamieszany w śmierć ojca Tibora? - zapytała.

- Trudno powiedzieć. Ale z pewnością jest do tego zdolny. Podobnie jak Ambrosi. Myślę jednak, że Ambrosi blefuje. Ostatnią rzeczą, jakiej życzyłby sobie Watykan, jest przyciąganie uwagi. Mogę się założyć, że nowy papież zrobi wszystko, co możliwe, by utrzymać światła jupiterów z dala od własnej osoby.

- Ale Valendrea może skierować te jupitery na kogoś innego.

Michener zdawał się rozumieć.

- Na przykład na mnie.

Przytaknęła.

- A najlepiej zwalić winę na byłego współpracownika.

\*

Valendrea przywdział białą sutannę, którą dom krawiecki Gammarelli uszył w ciągu popołudnia. Tego ranka nie pomylił się - jego miarę już wzięto i dzięki temu łatwo było uszyć odpowiednie szaty w krótkim czasie. Szwaczki wykonały swoją pracę doskonale. Podziwiał rezultaty i zapisał w pamięci, by polecić Ambrosiemu przesłanie oficjalnych podziękowań.

Nie miał kontaktu z Paolem od momentu, gdy ten wyruszył do Bośni. Ale też nie wątpił, że jego przyjaciel wypełni powierzoną misję. Ambrosi wiedział, jaka jest stawka w tej grze. Wyjaśnił mu wszystko tamtej nocy w Rumunii. Colin Michener musi powrócić do Rzymu. Klemens XV sprytnie przewidział ruchy - musiał to przyznać Niemcowi - i najwyraźniej doszedł do wniosku, że Valendrea przejmie po nim schedę, zatem z premedytacją usunął przesłany niedawno przekład Tibora, wiedząc że trudno będzie rozpocząć pontyfikat z katastrofą nad głową.

Ale gdzie to mogło być?

Michener z pewnością to wiedział.

Zadzwoił telefon.

Był teraz w sypialni na drugim piętrze papieskiego pałacu. Apartamenty papieskie wciąż jeszcze szykowano.

Telefon zadzwonił ponownie.

Zastanawiał się nad tym, kto może dzwonić. Dochodziła ósma wieczorem.

Przymierzał szaty na swoją pierwszą oficjalną kolację, która miała być uroczystością dziękczynną z udziałem kardynałów, i polecił, by nikt mu nie przeszkadzał.

Kolejny dzwonek.

Podniósł słuchawkę.

- Ojcie Świąty, dzwoni ojciec Ambrosi i prosi, żebym go połączył. Twierdzi, że to ważne.

- Połącz.

Ze słuchawki dobiegło kilka kliknięć, a potem głos Ambrosiego.

- Zrobiłem to, o co prosiłeś.

- I jaka jest reakcja?

- Będzie w Rzymie jutro.

- Jak on się czuje?

- Nie doznał poważnych obrażeń.

- A towarzyszka jego podróży?

- Jak zwykle jest czarująca.

- Póki co dopilnuj, żeby była szczęśliwa.

Ambrosi opowiedział, jak zaatakowała go w Rzymie. Wtedy stanowiła najlepsze dojście do Michenera, teraz sytuacja uległa zmianie.

- Jeśli chodzi o mnie, nic jej nie grozi.

- W takim razie do jutra - odparł. - Bezpiecznej podróży.



WATYKAN

CZWARTEK, 30 LISTOPADA 13.00

Michener siedział na tylnej kanapie watykańskiego auta, Katerina obok niego. Ambrosi siedział z przodu i to jego polecenie utorowało im drogę przez Łuk Dzwonów na zaciszny dziedziniec św. Damazego. Otaczał ich labirynt wiekowych budynków, które odcinały dostęp słonecznym promieniom i sprawiały, że chodnik nabierał odcienia indygo.

Po raz pierwszy poczuł się nieswojo, przebywając w obrębie murów Watykanu. U władzy byli teraz ludzie posługujący się intrygami. Wrogowie. Musiał zachować ostrożność, baczyć na słowa i jak najszybciej przewidzieć to, co się wydarzy.

Samochód zatrzymał się i wysiedli.

Ambrosi zaprowadził ich do salonu, którego trzy ściany stworzone były z witraży. W pomieszczeniu tym od stuleci papieże przyjmowali gości pod imponującymi szklanymi kompozycjami. Podążali za Ambrosim labiryntem loggii i galerii, których ściany obwieszane były kandelabrami i gobelinami, przedstawiającymi wizerunki papieży przyjmujących hołd od cesarzy i królów.

Michener wiedział, dokąd zmierzają. Ambrosi zatrzymał się przed brązowymi drzwiami do papieskiej biblioteki, którą zwiedzili między innymi Gorbaczow, Mandela, Carter, Jelcyn, Reagan, Clinton, Rabin i Arafat.

- Pani Lew będzie uprzejma zaczekać w loggii przed nami, kiedy ty udasz się na spotkanie - wyjaśnił Ambrosi. - Nikt pani nie będzie tu przeszkadzał.

Katerina, o dziwo, nie sprzeciwiała się wykluczeniu ze spotkania i odeszła z Ambrosim.

Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Trzy okna z szybami oprawionymi w ołów wpuszczały światło padające na półki z książkami liczące sobie pięćset lat. Valendrea siedział za biurkiem, tym samym, za którym od tylu lat zasiadali papieże. Obraz przedstawiający Madonnę zdobił ścianę znajdującą się za nim. Tapicerowany fotel stał pod kątem do biurka, ale Michener wiedział, że przywilej zasiadania przed papieżem przypada jedynie głowom państw.

Valendrea obszedł biurko. Papież wyciągnął rękę dłonią do dołu i Michener zrozumiał, co powinien uczynić. Spojrzał głęboko w oczy Toskańczyka. Był to moment okazania pokory. Zastanawiał się, co uczynić, ale doszedł do wniosku, że dyskrecja będzie lepszą taktyką, przynajmniej do czasu, kiedy dowie się, do czego dąży ten demon zła. Ukląkł i pocałował pierścień, zauważył przy tym, że watykańscy jubilerzy wykonali już nowy klejnot.

- Powiedziano mi, że Klemens miał przyjemność odebrać taki pocałunek od Jego Eminencji kardynała Bartolo w Turynie. Przekażę kardynałowi wiadomość, że szanujesz kościelny protokół.

Michener powstał.

- Czego chcesz? - zapytał, nie dodając tradycyjnego „Ojcze Święty”.

- Jak twoje obrażenia?

- Na pewno cię nie obchodzą.

- Z czego tak właśnie wnioskujesz?

- Z szacunku, który mi okazywałeś przez trzy lata.

Valendrea wrócił za biurko.

- Zakładam, że usiłujesz mnie sprowokować. Ale zignoruję twój ton.

- Czego chcesz? - zapytał ponownie.

- Chcę tego, co Klemens zabrał z Riservy.

- Nie miałem pojęcia, że cokolwiek zginęło.

- Nie jestem w nastroju do żartów. Klemens powiedział ci wszystko.

Przypomniał sobie słowa Klemensa. „Pozwoliłem, by Valendrea przeczytał to, co było w kasetce z tajemnicą fatimską... W 1978 roku usunął z Riservy część przesłania, stanowiącego trzecią tajemnicę.”

- Odnoszę wrażenie, że jesteś złodziejem.

- Śmiałe słowa kierujesz do swojego papieża. Czy możesz je udowodnić?

Nie zamierzał chwycić przynęty. Niech ten sukinsyn zastanawia się, ile on wie.

Valendrea ruszył w jego kierunku. Sprawiał wrażenie zadowolonego z siebie, odziany w białą sutannę i piuskę, która niemal niknęła w gęstwinie włosów.

- Ja nie pytam, Michener. Ja nakazuję ci wyjawić, gdzie znajduje się ten dokument.

W tym poleceniu brzmiała nuta desperacji, która sprawiła, że zastanowił się, czy zawilości e-maila Klemensa były czymś więcej niż tylko wynurzeniami przygnębionej duszy gotowej na śmierć.

- Do tej pory nie wiedziałem, że cokolwiek zginęło.

- I ja mam w to uwierzyć?

- Wierz sobie, w co chcesz.

- Kazałem przeszukać papieskie apartamenty i rezydencję Castel Gandolfo. Rzeczy osobiste Klemensa są teraz w twoim posiadaniu. Chcę je sprawdzić.

- Czego właściwie szukasz?

Valendrea mierzył go podejrzliwym wzrokiem.

- Nie jestem w stanie rozstrzygnąć, czy mówisz prawdę, czy nie.

Wzruszył ramionami.

- Zaufaj mi, mówię prawdę.

- W porządku. Ojciec Tibor stworzył kopię trzeciej tajemnicy fatimskiej spisanej przez siostrę Łucję. Następnie przesłał Klemensowi faksymile zarówno oryginału bogobojnej siostry, jak i własnego przekładu. Ta kopia przekładu zniknęła teraz z Riservy.

Michener zaczął wreszcie rozumieć.

- A więc w 1978 roku zabrałeś część trzeciego sekretu.

- Po prostu chcę odzyskać to, co księżulo sobie zmyślił. Gdzie są rzeczy Klemensa?

- Meble przekazałem organizacji charytatywnej. Reszta jest w moim posiadaniu.

- Czy już je przeglądałeś?

Skłamał.

- Oczywiście.

- I nie dowiedziałeś się niczego od ojca Tibora?

- A uwierzysz w moją odpowiedź?

- Dlaczego miałbym ci uwierzyć?

- Ponieważ jestem takim miłym gościem.

Valendrea zamilkł na chwilę. Michener również nic nie mówił.

- Czego dowiedziałeś się w Bośni?

Zwrócił uwagę na zmianę tematu.

- Że nie powinno się wchodzić na szczyt góry podczas burzy.

- Rozumiem teraz, dlaczego Klemens tak bardzo cię cenił. Cięty dowcip i błyskotliwy intelekt - odparł papież, i po chwili dodał: - A teraz odpowiedz na moje pytanie.

Sięgnął do kieszeni, wyciągnął kartkę zapisaną przez Jasną i przekazał ją papieżowi.

- To jest dziesiąta tajemnica z Medjugorie.

Valendrea wziął pismo i pogрузzył się w lekturze. Toskańczyk odetchnął głęboko, a jego wzrok przesłakiwał ostentacyjnie z kartki na twarz Michenera. Z ust papieża wydobył się cichy jęk, potem bez ostrzeżenia Valendrea rzucił się do przodu i chwycił obiema dłońmi za poły sutanny Michenera, nie wypuszczając kartki z rąk. Wpatrywał się w niego oczyma, w

których szalała furia.

- Gdzie jest kopia tłumaczenia ojca Tibora?

Był wstrząśnięty nagłym atakiem, ale zachował spokój.

- Sądziłem, że słowa Jasny są bez znaczenia. Dlaczego tak bardzo cię poruszyły?

- Jej brednie nic nie znaczą. Chcę odzyskać faksymile ojca Tibora...

- Jeśli te słowa nic nie znaczą, dlaczego rzuciłeś się na mnie?

Valendrea zrozumiał sytuację i zwolnił uchwyt.

- Tłumaczenie Tibora jest własnością Kościoła. Chcę, żeby wróciło na miejsce.

- W takim razie musisz wysłać szwajcarskich gwardzistów, żeby je odnaleźli.

- Masz czterdzieści osiem godzin, by je tu przynieść albo każę cię aresztować.

- Pod jakim zarzutem?

- Kradzieży własności Watykanu. Przekażę cię również rumuńskiej policji. Chcę dowiedzieć się więcej na temat twojej wizyty u ojca Tibora.

Słowa te brzmiały władczo.

- Jestem pewien, że oni również zechcą porozmawiać o twojej wizycie.

- Jakiej wizycie?

Chciał dać Valendrei do zrozumienia, iż wie dużo więcej niż w rzeczywistości.

- Opuściłeś Watykan tego dnia, kiedy zamordowano Tibora.

- Wydaje się, że znasz odpowiedzi na wszystko, w takim razie powiedz mi, dokąd się udałem.

- Wiem dostatecznie dużo.

- Czy rzeczywiście sądzisz, że twój blef skutkuje? Zamierzasz wmieszać papieża w śledztwo w sprawie morderstwa? W ten sposób daleko nie zajdziesz.

Spróbował kolejnego blefu.

- Nie byłeś sam.

- Czyżby? Opowiedz mi więcej.

- Zaczekam do czasu, gdy przesłucha mnie policja. Rumuni z pewnością będą zafascynowani. Mogę to zagwarantować.

Twarz Valendrei oblała się rumieńcem.

- Nie masz pojęcia, co jest stawką w tej grze. To jest bardziej istotne, niż jesteś w stanie sobie wyobrazić.

- Mówisz podobnie jak Klemens.

- W tym względzie miał rację - odparł Valendrea i na chwilę skierował wzrok gdzie indziej. - Czy Klemens powiedział ci, dlaczego patrzył tak obojętnie, kiedy ja paliłem część

tego, co przesłał ojciec Tibor? Stał tam w Riservie i pozwolił mi, bym to zniszczył. Chciał też, żebym wiedział, co jeszcze przesłał ojciec Tibor: faksymile przekładu pełnego tekstu siostry Łucji. Ten dokument znajdował się również tam w kasetce. Ale teraz go nie ma. Klemens nie chciał, by ten dokument został zniszczony. To wiem na pewno. *Przekazał go zatem tobie.*

- Dlaczego to tłumaczenie jest tak ważne?

- Nie zamierzam tego wyjaśniać. Po prostu chcę, by ten dokument wrócił na swoje miejsce.

- Skąd wiesz, że w ogóle tam był?

- Nie wiem. Ale od tamtego piątkowego wieczora nikt więcej nie wchodził do archiwum, a Klemens po dwóch dniach był już martwy.

- Podobnie jak ojciec Tibor.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Cokolwiek zechcesz przez to rozumieć.

- Zrobię wszystko, co będę musiał, by odzyskać ten dokument.

W słowach tych zabrzmiała pogroźka.

- Nie wątpię - odparł i poczuł, że musi stąd wyjść. - Czy jestem wolny?

- Wynoś się. Ale lepiej dla ciebie, żebym za dwa dni znów cię zobaczył, bo mój następny posłaniec nie bardzo ci się spodoba.

Zastanawiał się, co te słowa znaczą. Policję? Kogoś innego? Trudno powiedzieć.

- Czy zastanawiałeś się choć raz, w jaki sposób Katerina Lew odnalazła cię w Rumunii? - zapytał obojętnym tonem Valendrea, gdy Michener dochodził do drzwi.

Czy dobrze słyszał? Skąd papież wiedział cokolwiek o Katerinie?

Zatrzymał się i obejrzał.

- Była tam, ponieważ zapłaciłem jej za śledzenie twoich poczynąń.

Stanął jak wryty, ale nie odezwał się.

- W Bośni było to samo. Pojechała tam, by mieć cię na oku. Poradziłem jej, żeby wykorzystała swoje zdolności do odzyskania twojego zaufania, i tego dokonała.

Rzucił się w stronę Valendrei, ale on wyciągnął mały czarny przekaźnik.

- Wystarczy nacisnąć, a wbiegną tu gwardziści. Fizyczna napaść na papieża to poważne przestępstwo.

Michener stanął i starał się opanować drzenie.

- Nie jesteś pierwszym mężczyzną oszukany przez kobietę. Ona jest sprytna, ale mówię to tylko dlatego, by cię ostrzec. Uważaj na to, komu ufasz. Może nie zdajesz sobie

sprawy, ale kiedy wszystko to się skończy, może okaże się, że jestem jedynym twoim przyjacielem.

Michener wyszedł z biblioteki. Na zewnątrz czekał Ambrosi, ale nie odprowadził go do loggii przy froncie, informując jedynie, że samochód i kierowca zabiorą go i zawiozą tam, dokąd sobie zażyczy.

Katerina siedziała w pojedynkę na sofie z obiciem przetkanym złotą nitką. Usiłował zrozumieć, jakimi motywami kierowała się. Już wcześniej zastanawiał się, w jaki sposób znalazła go w Bukareszcie, a potem pojawiła się nieoczekiwanie w jego mieszkaniu w Rzymie. Chciał wierzyć, że wszystko między nimi było szczere, ale teraz nie mógł odeprzeć myśli, że była to tylko gra zaplanowana po to, by rozbudzić w nim uczucia i osłabić jego czujność. Przedtem obawiał się urządzeń podsłuchowych oraz szpiegów w gronie papieskich sług. Teraz okazało się, że jedyna osoba, której zaufał, stała się idealnym emisariuszem jego wroga.

W Turynie Klemens go ostrzegł. „Nie masz pojęcia o głębi osobowości takich postaci, jak Alberto Valendrea. Myślisz, że jesteś w stanie podjąć walkę z Valendrea? Nie, Colinie. Nie stanowisz dla niego zagrożenia. Jesteś zbyt przyzwyczajony i zbyt ufny”

Gdy podchodził do Kateriny, poczuł ucisk w gardle. Być może pełen cierpienia wyraz twarzy zdradził jego myśli.

- Powiedział ci o mnie? - zapytała głosem, z którego przebijał smutek.

- Spodziewałaś się tego?

- Wczoraj niemal to zrobił Ambrosi. Domyśliłam się, że Valendrea się przed tym nie powstrzyma. Nie mają już ze mnie żadnego pożytku.

Szarpały nim głębokie emocje.

- Nie powiedziałam im niczego, Colinie. Absolutnie niczego. Wzięłam pieniądze od Valendrei, pojechałam do Rumunii, a potem do Bośni. To prawda. Zrobiłam tak, ponieważ tego chciałam. Lecz nie dlatego, że oni żądali tego ode mnie. Wykorzystałam ich, tak jak oni wykorzystali mnie.

Słowa te brzmiały wiarygodnie, lecz nie na tyle, by załagodzić jego ból.

- Czy prawda nic dla ciebie nie znaczy? - zapytał spokojnym głosem.

Zagryzła wargę, on zaś zauważył, że jej prawa ręka drży. Gniew, który był jej zwykłą reakcją w sytuacjach konfrontacji, tym razem się nie pojawił.

- Zaufałem ci, Kate - dodał, nie słysząc odpowiedzi z jej strony. - Mówiłem ci rzeczy, których nie wyjawiałbym nikomu i nigdy.

- Nie pogwałciłam twojego zaufania.

- Jak mam ci wierzyć? - zapytał, chociaż bardzo chciał jej wierzyć.

- Co powiedział ci Valendrea?

- Dostatecznie dużo, żebyśmy przeprowadzili tę rozmowę.

Czuł narastające odrętwienie. Jego rodzice odeszli, podobnie jak Jakob Volkner. Teraz zdradziła go Katerina. Po raz pierwszy w życiu był zupełnie sam i poczuł nagle całe brzemie tego, że był niechcianym dzieckiem, urodzonym w przytułku i odebranych siłą od matki. Zupełnie się teraz pogubił; Nie miał dokąd pójść. Sądził wcześniej, że po śmierci Klemensa kobieta, która stoi przed nim, będzie treścią jego przyszłości. Pragnął nawet odrzucić minione dwadzieścia pięć lat własnego życia, by zyskać szansę pokochania jej i zaznania jej miłości.

Lecz jak to było możliwe teraz?

Nastąpiła chwila milczenia. Krępującego i pełnego napięcia.

- W porządku, Colinie - powiedziała na koniec. - Zrozumiałam. Odchodzę.

Obróciła się, by wyjść.

Kiedy się oddalała, obcasy jej butów stuknęły po marmurowej posadzce. Chciał powiedzieć jej, żeby została. „Nie odchodź. Zatrzymaj się”. Nie był jednak w stanie wydusić z siebie słowa.

\*

Ruszył w przeciwnym kierunku i zszedł na parter. Nie miał zamiaru korzystać z auta, które zaoferował mu Ambrosi. Nie chciał już niczego, pragnął jedynie, by pozostawiono go samego.

Znajdował się w obrębie watykańskich murów pozbawiony przywilejów, bez eskorty, ale jego twarz była na tyle znana, że nikt ze Szwajcarów nie zakwestionował jego obecności. Doszedł do końca długiej loggii, pełnej globusów i planisfer. Przy wejściu po drugiej stronie stał Maurice Ngovi.

- Dowiedziałem się, że tu jesteś - rzekł, podchodząc do niego. - Wiem też, co stało się w Bośni. Nic ci nie jest?

Pokręcił głową.

- Zamierzałem zobaczyć się z tobą później.

- Musimy porozmawiać.

- Gdzie?

Ngovi zdawał się rozumieć aluzję i wskazał gestem, by podążył za nim. Szli w



milczeniu w stronę archiwum: Czytelnie były znów pełne kleryków i dziennikarzy. Ngovi odnalazł kardynała archiwistę i we trójkę udali się do jednego z pomieszczeń czytelnicy. Gdy znaleźli się wewnątrz za zamkniętymi drzwiami, głos zabrał Ngovi

- Sądzę, że to miejsce jest dostatecznie dyskretne.
  - Wydawało mi się, że będziesz już bezrobotny - powiedział Michener do archiwisty
  - Polecono mi zabrać rzeczy do końca tygodnia. Mój następca ma tu przybyć pojutrze.
- Michener wiedział, ile ta funkcja znaczy dla starego człowieka.
- Przykro mi. Ale sądzę, że to lepiej dla ciebie.
  - Czego nasz papież chciał od ciebie? - zapytał Ngovi.

Michener zasiadł na jednym z krzeseł.

- On uważa, że posiadam dokument, który rzekomo znajdował się w Riservie. Chodzi o tekst odnoszący się do trzeciej tajemnicy fatimskiej. Ojciec Tibor przesłał go Klemensowi. Jakieś faksymile czy przekład. Nie mam pojęcia, o czym on mówi.

Ngovi rzucił archiwistę zagadkowe spojrzenie.

- O co chodzi? - chciał wiedzieć Michener.

Kamerling powiedział mu o wczorajszej wizycie Valendrei w Riservie.

- Zachowywał się jak szaleniec - dodał archiwista. - Nieustannie mówił coś o dokumencie, który zniknął z kasetki. Naprawdę byłem przerażony. Niech Bóg ma w opiece ten Kościół.

- Czy Valendrea wyjaśnił cokolwiek? - tym razem zapytał Ngovi.

Starzec powtórzył słowa papieża.

- W tamten piątkowy wieczór - kontynuował kardynał archiwista - kiedy Klemens i Valendrea byli razem w Riservie, coś zostało spalone. Znaleźliśmy popiół na podłodze.

- Klemens nic ci o tym nie mówił? - zapytał Michener.

Archiwista pokręcił głową.

- Ani słowa.

Coraz więcej elementów łączyło się ze sobą, ale wciąż istniał problem.

- To wszystko wydaje się dziwaczne. Siostra Łucja osobiście zweryfikowała w 2000 roku autentyczność trzeciej tajemnicy, zanim Jan Paweł objawił ją całemu światu.

Ngovi przytaknął.

- Oryginalny dokument został zabrany w kasetce z Riservy i przewieziony do Portugalii, ona zaś potwierdziła, że to ten sam dokument, który napisała własnoręcznie w 1944 roku. Ale, Colinie, w kasetce znajdowały się tylko dwie kartki papieru. Byłem przy tym, jak kasetkę otwierano. W środku znajdowało się oryginalne pismo oraz przekład na język

włoski. I nic poza tym.

- Jeśli dokument nie był kompletny, dlaczego nic nie powiedziała? - zdziwił się Michener.

- Była już bardzo stara i słabowita - odparł Ngovi. - Przypominam sobie, że tylko pobieżnie spojrzała na kartkę i przytaknęła. Mówiono mi, że wzrok miała już bardzo słaby i prawie w ogóle nie słyszała.

- Maurice poprosił mnie, bym to sprawdził - odezwał się kardynał archiwista - Valendrea i Paweł VI byli w Riservie 18 maja 1978 roku. Po godzinie Valendrea powrócił, na wyraźne polecenie Pawła i pozostał tam przez piętnaście minut.

Ngovi przytaknął.

- Wydaje się, że pismo, które ojciec Tibor przesłał Klemensowi, otworzyło drzwi zdaniem Valendrei od dawna zamknięte.

- I być może Tibor zapłacił za to życiem - skomentował Michener i przez chwilę się zastanawiał. - Valendrea nazwał, co zginęło, jako faksymile tłumaczenia. Tłumaczenia czego?

- Colinie - odparł Ngovi - najwyraźniej trzecia tajemnica fatimska zawierała więcej treści niż ta, którą poznaliśmy

- I Valendrea jest przekonany, że ja tę resztę posiadam.

- Czy tak jest w istocie? - zapytał Ngovi.

Pokręcił głową.

- Gdybym to miał, oddałbym mu ten cholerny dokument. Mam już tego dość i zamierzam zrzucić sutannę.

- Masz jakieś podejrzenia odnośnie do tego, co Klemens zrobił z kopią tłumaczenia ojca Tibora?

Na dobrą sprawę nie zastanawiał się nad tym.

- Nie mam pojęcia. Wykradzenie dokumentu pasuje mi do Klemensa.

Podobnie zresztą jak samobójstwo, ale wiedział, że nie powinien mówić tego na głos. Archiwista nic nie wiedział o samobójstwie poprzedniego papieża. Po wyrazie twarzy Kenijczyka wyczuł, że myśli on o tym samym.

- Jak było w Bośni? - zapytał Ngovi.

- Jeszcze dziwniej niż w Rumunii.

Pokazał im kartkę z przesłaniem zapisanym ręką Jasny. Wcześniej przekazał Valendrei kopię, zachowując dla siebie oryginał.

- Nie możemy dawać temu zbyt dużej wiary - skomentował kamerling, wskazując na słowa Jasny. - Medjugorie jest raczej imprezą towarzyszącą niż religijnym doświadczeniem.

Dziesiąty sekret może być po prostu wytworem wyobraźni widzącej i szczerze mówiąc, kiedy to czytam, poważnie się zastanawiam, czy rzeczywiście tak nie jest.

- Pomyślałem sobie to samo - dodał Michener. - Jasna wzięła sobie, że jej przeżycia są realne i stała się zakładniczką tych wizji. Ale Valendrea zareagował bardzo gwałtownie, gdy przeczytał te słowa.

Opowiedział im, co stało się przed chwilą.

- W taki sam sposób zachowywał się w Riservie - dodał archiwista. - Szaleniec.

Michener mierzył Ngoviego przenikliwym wzrokiem.

- Co tu się dzieje, Maurice?

- Sam się w tym pogubiłem. Przed laty jako biskup spędziłem trzy miesiące, studiując wraz z innymi tekst trzeciej tajemnicy na polecenie Jana Pawła. Jej treść była bardzo różna od pierwszych dwóch sekretów. Te pierwsze były precyzyjne i szczegółowe, natomiast trzecia tajemnica miała raczej charakter przypowieści. Jego Świątobliwość był zdania, że w kwestii interpretacji pożądane były wskazówki ze strony Kościoła. Zgodziłem się z tym zdaniem. Ale nigdy nie sądziliśmy, że przesłanie to jest nie kompletne.

Ngovi wskazał leżący na stole gruby wolumin okazałych rozmiarów. Ogromny manuskrypt był bardzo stary. Jego karty liczyły sobie tyle lat, że wyglądały jak zwęglone. Okładkę zdobił napis otoczony kolorowymi rycinami, przedstawiającymi wizerunki niegdysiejszych papieży i kardynałów. Słowa LIGNUM VITAE zapisane wyblakłym szkarłatnym atramentem, były ledwo widoczne.

Ngovi usiadł na jednym z krzeseł.

- Co wiesz o świętym Malachiaszu?

- Dostatecznie dużo, by powątpiewać w jego istnienie.

- Zapewniam cię, że jego prorocтва są prawdziwe. Ten wolumin został opublikowany w Wenecji w 1595 roku przez dominikanina i historyka Arnolda Wiona, zawiera wszystkie prorocтва zapisane przez świętego Malachiasza.

- Maurice, te wizje pochodzą z połowy dwunastego stulecia. Upłynęło czterysta lat, zanim zaczął je spisywać. Słyszałem wszystkie te opowieści. Kto wie, co przepowiedział Malachiasz. Jego własne słowa nie zdołały przetrwać.

- Ale dokumenty z przepowiedniami Malachiasza znajdowały się tu już w tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym piątym roku - oznajmił archiwista. - Nasze rejestry to potwierdzają. A zatem Wion miał najprawdopodobniej dostęp do nich.

- Jeśli księga Wiona przetrwała, dlaczego nie przetrwał tekst Malachiasza?

Ngovi wskazał księgę.

- Nawet jeśli relacja Wiona jest zafalszowana i nie są to przepowiednie Malachiasza, tylko jego, nie zmienia to faktu, że są niesłychanie trafne. Zwłaszcza jeśli uwzględnimy wydarzenia kilku ostatnich dni.

Ngovi podał mu trzy kartki zapisane pismem maszynowym. Michener przejrzał ich treść i zauważył, że stanowią podsumowanie faktów.

Malachiasz był Irlandczykiem, urodził się w 1094 roku. W wieku dwudziestu pięciu lat został księdzem, a mając lat trzydzieści, otrzymał biskupią sakrę. W 1139 roku opuścił Irlandię i wyruszył do Rzymu, gdzie przekazał raport na temat swojej diecezji papieżowi Innocentemu II. Podczas pobytu w Rzymie doznał niezwykłych wizji odnoszących się do przyszłości, poznał długą listę ludzi, którzy mieli zasiadać kolejno na tronie Piotrowym i rządzić Kościołem. Przełał te wizje na pergamin i podarował rękopis Innocentemu. Papież zapoznał się z treścią dokumentu i zamknął go w archiwum, gdzie pozostał aż do 1595 roku, kiedy to Arnold Wion ponownie zapisał listę przyszłych papieży, przewidzianych przez Malachiasza, wraz z profetycznymi dewizami, zaczynającą się od Celestyna II w 1143 roku, a kończącą się po kolejnych stu jedenastu papieżach na tym, który miał być ostatni.

- Nie ma dowodu, że Malachiasz doznał tych wizji - Michener nie krył sceptycyzmu. - O ile sobie przypominam, to wszystko dodano do tej opowieści pod koniec dziewiętnastego stulecia ze źródeł niebezpośrednich.

- Przeczytaj kilka z tych dewiz - powiedział cicho Ngovi.

Spojrzał ponownie na kartki trzymane w dłoniach. Zgodnie z przepowiednią, osiemdziesiąty pierwszy papież został opatrzony dewizą „Lilia i Róża”. Urban VIII, który zasiadał na Piotrowym tronie w tym czasie, pochodził z Florencji i posługiwał się symbolem czerwonej lilii. Był również biskupem Spoleto, którego symbolem z kolei była róża. Dziewięćdziesiątym czwartym papieżem, zgodnie z przepowiednią, miał być ten zwany „Różą Umbrii”. Klemens XIII, zanim został papieżem, był gubernatorem Umbrii. Dewizą „Apostolski Wędrowiec” obdarzono dziewięćdziesiątego szóstego papieża. Pius VI zakończył żywot, jako błakający się więzień francuskich rewolucjonistów. Sto drugi na tronie Piotrowym był Leon XIII. Przypisano mu dewizę o treści „Światło na Niebie”. Papież Leon własną ręką wskazał kometę na niebie. Jan XXIII miał być zgodnie z przepowiednią „Pasterzem i Żeglarzem”. To trafna dewiza, ponieważ sam określił siebie mianem pasterza, a Sobór Watykański II, który zwołano za jego pontyfikatu, miał symbol krzyża i statku. Poza tym jeszcze przed wyniesieniem, Jan był patriarchą Wenecji, stolicy średniowiecznej morskiej potęgi.

Michener podniósł wzrok.

- Interesujące, ale co jedno z drugim ma wspólnego?

- Klemens był sto jedenastym papieżem. Malachiasz określił go dewizą „Chwała Oliwna”. Czy przypominasz sobie Ewangelię św. Mateusza, rozdział 24, w którym opisane zostały oznaki końca świata?

- Przypominam sobie. Jezus opuścił świątynię i odszedł, kiedy jego uczniowie zachwycali się pięknem budowli. Lecz on rzekł do nich: „Zaprawdę powiadam wam, nie zostanie tu kamień na kamieniu, który by nie był zwalony”. A później, już na Górze Oliwnej uczniowie błagali Jezusa, by powiedział im, kiedy to ma się zdarzyć i jakie będą oznaki końca świata.

- Chrystus przepowiedział dokładnie, kiedy to się stanie. Ale Maurice, nie możesz poważnie brać przepowiedni, że koniec świata jest już bliski.

- Być może nie w sensie kataklizmu, ale bliski jest wyrazisty kres i nowy początek. Według prorocstwa Klemens miał być prekursorem tego wydarzenia. Ale to nie wszystko. Malachiasz przypisał papieżom dewizy, zaczynając od roku 1143 i kończąc na sto dwunastym, którym jest obecny papież. W 1139 roku Malachiasz przewidział, że przybierze on imię *Petrus Romanus*.

Piotr Rzymianin.

- Ale w tym myśleniu kryje się błąd - argumentował Michener. - Niektórzy twierdzą, że Malachiasz nigdy nie przewidział pontyfikatu Piotra. Wymieniono go dopiero w publikacjach z XIX wieku, poświęconych prorocstwom.

- Chciałbym, żeby tak było - odparł Ngovi.

Następnie założył bawełniane rękawiczki i ostrożnie otworzył ogromny manuskrypt. Stary pergamin aż trzeszczał z wysiłku.

- Przeczytaj to.

*W ostatniej fazie prześladowań Świętego Kościoła Rzymskiego na tronie zasiądzie Piotr Rzymianin, który będzie karmił swą trzodę pośród licznych udręk, po których w mieście siedmiu wzgórz straszliwy sędzia osądzi wszystkich ludzi.*

- Valendrea - kontynuował Ngovi - przybrał imię Piotr z własnej woli. Czy teraz rozumiesz, dlaczego jestem tak bardzo zaniepokojony? To są słowa Wiona, być może również Malachiasza, zapisane przed wiekami. Kim jesteśmy, by je kwestionować? Być może Klemens miał rację. Zadajemy zbyt wiele pytań i robimy to, co sprawia nam przyjemność, nie to, co powinniśmy robić.

- Jak wytłumaczysz - głos zabrał kardynał archiwista - że ten wolumin liczy sobie pięćset lat, a dewizy zostały przypisane wszystkim papieżom, którzy od tamtej pory zasiadali na Piotrowym tronie? Dziesięć lub dwadzieścia procent trafnych określeń można uznać za przypadek, ale dziewięćdziesiąt procent to coś więcej. Jedynie w wypadku około dziesięciu procent zdań trudno dopatrzeć się jakiegokolwiek związku z faktami. Zdecydowana większość dewiz okazała się zadziwiająco trafna. Ostatni z papieży, Piotr, występuje jako sto dwunasty z kolei. Zadrżałem z trwogi, kiedy oznajmił, że przybiera to imię.

Zbyt wiele działo się zbyt szybko. Najpierw rewelacje związane z Kateriną. Teraz pojawiła się zniecka wizja bliskiego już końca świata. „Po których w mieście siedmiu wzgórz straszliwy sędzia osądzi wszystkich ludzi.” Rzym od wieków nazywano miastem siedmiu wzgórz. Skierował wzrok na Ngoviego. Na twarzy leciwego hierarchy malowała się głęboka troska.

- Colinie, musisz odnaleźć kopię tłumaczenia ojca Tibora. Jeśli Valendrea jest przekonany o niezwykłym znaczeniu tego dokumentu, to my również powinniśmy traktować to w taki sam sposób. Znałeś Jakoba lepiej niż ktokolwiek inny. Znajdź jego kryjówkę - Ngovi zamknął manuskrypt. - To może być ostatni dzień, kiedy dysponujemy dostępem do archiwum. Do władzy doszli ludzie cierpiący na syndrom oblężonej twierdzy. Valendrea pozbywa się wszystkich dysydentów. Chciałem, żebyś zobaczył to na własne oczy, żebyś zrozumiał rangę sprawy. Słowa widzącej z Medjugorie są kwestią do dyskusji, ale to, co przelała na papier siostra Łucja i co przetłumaczył ojciec Tibor, to zupełnie inna sprawa.

- Nie mam najmniejszego pojęcia, gdzie może znajdować się ten dokument. Nie jestem nawet w stanie wyobrazić sobie, że Jakob wyniósł coś z Watykanu.

- Jestem jedyną osobą, która zna kombinację numerów zamka - wtrącił archiwista. - Otwierałem sejf wyłącznie dla Klemensa.

Poczuł w głowie pustkę, gdy myślami powrócił do zdrady Kateriny. Jeśli zajmie się czymś innym, nawet przez chwilę, z pewnością zmniejszy to udrękę.

- Zobaczę, co da się zrobić, Maurice. Ale nawet nie wiem, od czego powinienem rozpocząć.

Na twarzy kamerlinga wciąż malowała się powaga.

- Colinie, nie zamierzam dramatyzować bardziej niż to konieczne. Ale los Kościoła zdaje się być teraz w twoich rękach.

15.30

Valendrea przeprosił tłum gości zebranych w sali audiencyjnej, którzy przybyli złożyć mu gratulacje. Delegacja przyjechała z Florencji z życzeniami wszystkiego najlepszego. Zanim wyszli, zapewnił ich, że w pierwszą podróż poza Watykan wybierze się do Toskanii.

Ngovi oczekiwał go na trzecim piętrze. Jego osobisty sekretarz opuścił salę audiencyjną przed półgodziną, Valendrea był ciekaw, dlaczego.

- Ojciec Święty - przemówił Ambrosi - po wyjściu od ciebie Michener spotkał się z Ngovim i kardynałem archiwistą.

Zrozumiał teraz, że sprawa jest pilna.

- O czym rozmawiali?

- Siedzieli w jednym z pomieszczeń czytelni za zamkniętymi drzwiami. Kapłan, który służy mi w archiwum zdołał dowiedzieć się jedynie, że wzięli ze sobą bardzo stary wolumin, pozostający wyłącznie do dyspozycji archiwisty.

- Który?

- *Lignum Vitae*.

- Proroctwa Malachiasza? Chyba sobie żartujesz. To przecież nonsens. A mimo to szkoda, że nie znamy słów, które tam padły.

- Jestem w trakcie ponownego montażu urządzeń podsłuchowych. Ale to musi potrwać.

- Kiedy Ngovi zamierza opuścić Watykan?

- Jego biuro jest już sprzątnięte. Powiedziano mi, że odlatuje do Afryki za kilka dni. Póki co wciąż zajmuje swój apartament.

I wciąż pełni obowiązki kamerlinga. Valendrea musiał zdecydować, kto zostanie jego następcą. Rozważał trzy kandydatury spośród kardynałów, którzy nie wycofali swego poparcia w trakcie konklawe.

- Przyszły mi na myśl rzeczy osobiste Klemensa. Faksymile z tłumaczeniem ojca Tibora musi być wśród nich. Volkner mógł być pewien, że nikt inny poza Michenerem nie będzie przeglądał jego rzeczy.

- Co chcesz przez to powiedzieć, Ojciec Święty?

- Nie sądzę, żeby Michener cokolwiek nam przyniósł. On nami gardzi. Nie, z pewnością przekaże to Ngoviemu. Nie możemy do tego dopuścić.

Obserwował, jak zareaguje Ambrosi. Stary przyjaciel nie zawiódł go.

- Zamierzasz uprzedzić ich działania? - zapytał sekretarz.

- Musimy zademonstrować Michenerowi, że traktujemy sprawę bardzo poważnie. Lecz tym razem nie będziesz to ty, Paolo. Zadzwoń do naszych przyjaciół i zapewnij wsparcie z ich strony

\*

Michener wszedł do mieszkania, z którego korzystał od śmierci Klemensa. Przez kilka ostatnich godzin wałęsał się po ulicach Rzymu. Przed półgodziną rozbolała go głowa, był to jeden z tych ataków, przed których nawrotami ostrzegał go lekarz w Bośni. Poszedł więc od razu do łazienki i łyknął dwie aspiryny. Lekarz zalecił mu również wykonanie kompleksowych badań po powrocie do Rzymu, ale teraz akurat nie było na to czasu.

Rozpiął sutannę i rzucił ją na łóżko. Zegar na stoliku nocnym wskazywał osiemnastą trzydzieści. Wciąż czuł na sobie zaciśnięte dłonie Valendrei. Niech Bóg ma w opiece Kościół katolicki. Człowiek, który nie zna strachu, może okazać się niebezpieczny. Valendrea sprawiał wrażenie, że rzucał się do przodu, na oślep, nie bacząc na nic. Dzięki władzy absolutnej miał teraz nieograniczony wybór. I jeszcze ta rzekoma przepowiednia świętego Malachiasza. Wiedział, że powinien zignorować to, co niedorzeczne, ale w głębi duszy odczuwał trwogę. Czekały go kłopoty. Tego był pewien.

Włożył dzinsy oraz koszulę z przypinanymi wyłogami kołnierzyka, potem bez pośpiechu przeszedł do frontowego pokoju i usadowił się na sofie. Celowo nie zapalił żadnego światła.

Czy kilkadziesiąt lat temu Valendrea rzeczywiście wykradł coś z Risery? Czy ostatnio Klemens dopuścił się tego samego? Co tu się działo? Miał wrażenie, że rzeczywistość stanęła do góry nogami. Wszystko i wszyscy wokół niego wydawali się nieczyści. Jakby tego było mało, pewien biskup sprzed dziewięciuset lat jakoby przewidział, że koniec świata nadejdzie, gdy na papieskim tronie zasiądzie Piotr.

Masował skronie i starał się złagodzić ból. Przez okna wpadało do wnętrza mdłe światło ulicznych latarni. W półmroku pod parapetem wciąż stał dębowy kuferek Jakoba Volknera. Przypominał sobie, że pozostawał zamknięty od dnia, kiedy przywieziono wszystkie rzeczy z Watykanu. Kuferek był z pewnością miejscem, w którym Klemens mógł ukryć coś wartościowego. Nikt nie śmiał zajrzeć do środka.



Podszedł powoli do kufierka.

Wyciągnął rękę, zapalił jedną z lamp i spoglądał badawczo na zamek. Nie zamierzał niszczyć kufra, wyłamując zamek, usiadł więc ponownie i zastanowił się, co najlepiej zrobić.

O metr od niego stał karton, który zabrał z papieskich apartamentów w dzień po śmierci Klemensa. Znajdowały się w nim wszystkie rzeczy osobiste zmarłego papieża. Przyniósł do siebie pudło i zaczął szperać wśród zgromadzonych w nim przedmiotów, które jeszcze do niedawna zdobiły papieskie apartamenty. Większość z nich wiązała się z czułymi wspomnieniami - zegar ze Schwarzwaldu, pamiątkowe pióra i długopisy, zdjęcie w ramce przedstawiające rodziców Klemensa.

W dużej papierowej torbie znalazł osobistą Biblię Klemensa. Przesłano ją z Castel Gandolfo w dzień pogrzebu. Nie otwierał jej do tej pory, zdążył jedynie przywieźć ją do mieszkania i włożyć do pudła.

Podziwiał teraz białą skórzaną obwolutę, której poślaczane krawędzie popękały ze starości. Z nabożną niemal czcią otworzył okładkę. Zobaczył dedykację napisaną po niemiecku. Z OKAZJI ŚWIĘCEŃ KAPŁAŃSKICH. OD RODZICÓW, KTÓRZY TAK BARDZO CIĘ KOCHAJĄ.

Klemens rozmawiał z nim wielokrotnie o rodzicach. Za czasów Ludwika I Volknerowie należeli do bawarskiej arystokracji. Rodzina była nastawiona negatywnie do nazistów i nigdy nie popierała Hitlera, nawet w okresie jego największej chwały przed wybuchem wojny. Jednocześnie wykazali tyle roztropności, by swoje poglądy zachować dla siebie. Robili po cichu, co tylko mogli, by ratować Żydów z Bambergu. Ojciec Volknera przechował dorobek życia dwóch miejscowych rodzin. Niestety, po wojnie nikt nie zgłosił się po odbiór pieniędzy. W tej sytuacji cały majątek co do marki przekazano na rzecz państwa Izrael. Dar z przeszłości w nadziei na przyszłość.

Wizja z ostatniej nocy wróciła.

Twarz Jakoba Volknera.

„Nie ignoruj dłużej woli nieba. Zrób to, o co prosiłem. Pamiętaj, pokorny sługa musi przekazywać słowa niebios.”

„Jakie jest moje przeznaczenie, Jakobie?”

Odpowiedzi udzielił już wizerunek ojca Tibora.

„Masz być znakiem dla tego świata. Światłem przewodnim dla pokutników. Posłańcem, który ogłosi, że Bóg wciąż jest żywy”

Cóż to wszystko miało znaczyć? Czy była to rzeczywistość? Czy też wyłącznie urojenie mózgu rażonego piorunem?

Powoli wertował Biblię. Kartki były niczym aksamit. Na niektórych ze stron dostrzegł podkreślenia. Gdzieś na marginesie widniały zapiski. Zwrócił uwagę na podkreślone ustępy.

Dzieje Apostolskie 5,29. „Trzeba bardziej słuchać Boga niż ludzi.”

List św. Jakuba 1,27. „Religijność czysta i bez skazy wobec Boga i Ojca wyraża się w opiece nad sierotami i wdowami w utrapieniach i w zachowaniu siebie samego nieskalanym od wpływów świata.”

Ewangelia według św. Mateusza 5,19. „Ktokolwiek więc zniósłby jedno z tych przykazań, choćby najmniejszych, i uczyłby tak ludzi, ten będzie najmniejszy w królestwie niebieskim.”

Ewangelia według św. Mateusza 15,3 i 6. „Dlaczego i wy przestępujecie przykazanie Boże dla waszej tradycji? I tak ze względu na waszą tradycję znieśliście przykazanie Boże”.

Księga Daniela 4,23. „Pozostawię ci królestwo, skoro uznasz, że Niebo sprawuje władzę.”

Ewangelia według św. Jana 8,18. „Ja nic od siebie nie czynię, ale to mówię, czego Mnie Ojciec nauczył.”

Interesujące wybory Kolejne przekazy ze strony papieża, którego dusza była chora? A może jego ręką kierował po prostu przypadek.

Z książki wystawały cztery kolorowe kapitałki jedwabiu, splecione ze sobą do trzech czwartych wysokości. Sięgnął po frędzle i przewrócił zakreślone strony

W grubą oprawę wciśnięty był cienki, srebrny kluczyk. Czy Klemens uczynił to celowo? Biblię znaleziono w Castel Gandolfo na nocnym stoliku obok łóżka papieża. Klemens zapewne zakładał, że książki nie będzie wertował nikt inny poza Michenerem.

Wyciągnął kluczyk, nie miał wątpliwości, co nim otworzy.

Wsunął kluczyk do zamka kuferka. Zapadki ustąpiły, a wieko dało się podnieść.

W środku były koperty. Ponad setka, każda zaadresowana kobiecym charakterem pisma do Klemensa. Adresy były różne. Monachium, Kolonia, Dublin, Kair, Kapsztad, Warszawa, Rzym. Wszystkie placówki, do których wysyłano Volknera. Adres zwrotny na wszystkich kopertach był zawsze ten sam. Zajmując się korespondencją Jakoba, znał osobę nadawcy od ponad ćwierćwiecza. Była to Irma Rahn, przyjaciółka z lat dzieciństwa. Nigdy specjalnie o nią nie wypytywał, a Klemens ograniczył się do komentarza o wspólnym dorastaniu w Bambergu.

Klemens korespondował regularnie z kilkoma przyjaciółmi z dawnych lat. Ale wszystkie listy w kuferku zostały nadane przez Irmę Rahn. Dlaczego Klemens pozostawił tę

osobliwą schedę? Dlaczego po prostu nie zniszczył listów? Ich istnienie mogłoby zostać opacznie zrozumiane, zwłaszcza przez wrogów pokroju Valendrei. Najwyraźniej jednak Klemens doszedł do przekonania, że warto było podjąć to ryzyko.

Ponieważ listy należały teraz do niego, otworzył jedną z kopert, wyciągnął kartkę papeterii i zaczął czytać.

*Jakobie,*

*Me serce wciąż boleje z powodu wieści z Warszawy. Twoje nazwisko wymieniono wśród osób obecnych w tłumie. Komunistom nie mogłoby przytrafić się nic lepszego, niż biskup, który pada ofiarą zamieszek. Odetchnęłam z ulgą, otrzymawszy list od Ciebie, i wielce się rozradowałam na wieść, że jesteś cały i zdrowy. Pragnę, żeby Jego Świątobliwość wyznaczył Ci stanowisko w Rzymie, gdzie na pewno byłbyś bezpieczny. Zdaję sobie sprawę, że nigdy nie złożysz takiej prośby, ale modłę się do naszego Pana, by tak się stało. Mam nadzieję, że zdołasz przyjechać do domu na święta Bożego Narodzenia. Wspaniale byłoby spędzić Gwiazdkę blisko Ciebie. Jeśli istnieje taka możliwość, daj mi znać. Jak zawsze czekam z utęsknieniem na Twój kolejny list i wiedz, mój drogi Jakobie, że bardzo Cię Kocham.*

*Jakobie,*

*Byłam dzisiaj na grobie Twoich rodziców. Zagrabiłam trawę i umyłam pomnik. Zostawiłam bukiet lilii z Twoim imieniem. Jaka szkoda, że nie dane im było doczekać Twojej chwały. Arcybiskup Kościoła świętego, być może nawet pewnego dnia kardynał. Te Twoje dokonania to wyraz uznania dla nich. Twój i moi rodzice wycierpieli tak wiele, po prawdzie nawet zbyt wiele. Modłę się każdego dnia o zbawienie dla Niemiec. Być może dzięki takim ludziom jak ty nasze dziedzictwo przeistoczy się w coś dobrego. Żywię nadzieję, iż pozostajesz w dobrym zdrowiu. Ja czuję się dobrze. Stwórca obdarzył mnie silną konstytucją. Trzy następne tygodnie spędzę być może w Monachium. Jeśli tak się stanie, dam Ci znać. Moje serce tęskni za Twoim widokiem. Twoje ciepłe słowa z ostatniego listu wciąż dodają mi otuchy. Uważaj na siebie, Jakobie. Kocham Cię, teraz i na wieki.*

*Jakobie,*

*Jego Eminencja Kardynał. Tytuł, na który tak bardzo zasługujesz. Niech Bóg pobłogosławi Jana Pawła II za to, że w końcu Cię wyniósł do tej godności. Jeszcze raz dziękuję, że pozwoliłeś mi uczestniczyć w konsystorzach. Z pewnością nikt nie wiedział, kim jestem. Usiadłam z boku i z nikim nie dzieliłam się myślami. Widziałam Colina Michenera, był bardzo dumny. Jest taki, jak go opisałeś, przystojny młody mężczyzna. Spraw, by stał się*

*synem, którego zawsze pragnęliśmy. Ukształtuj go, jak Twój ojciec ukształtował Ciebie. Poprzez niego pozostaw swoje dziedzictwo. Nie ma w tym nic złego, żaden ze ślubów, które złożyłeś Kościołowi i Bogu, nie zabrania tego. Wciąż mam łzy w oczach, gdy w pamięci przywołuję scenę, w której papież nakłada na Twoją głowę purpurowy kapelusz. Nigdy w życiu nie odczuwałam takiej dumy. Kocham Cię, Jakobie, i żywię jedynie nadzieję, że nasza więź jest źródłem siły. Uważaj na siebie, mój ukochany i nie zwlekaj z odpisaniem.*

*Jakobie,*

*Przed kilkoma dniami zmarł Karl Haigl. Na pogrzebie przywołałam w myślach czasy, kiedy wszyscy troje byliśmy dziećmi i bawiliśmy się razem nad rzeką w ciepły letni dzień. Był takim szlachetnym człowiekiem. Gdyby nie Ty, moje serce byłoby zapewne dla niego. Przypuszczam nawet, że o tym wiesz. Jego żona odeszła przed paroma laty, więc pozostał sam na świecie. Jego dzieci okazały się egoistami i niewdzięcznikami. Co się stało z naszą młodzieżą? Czy przestała doceniać własne korzenie? Wielokrotnie zanosilał mu wieczorny posiłek, siadywaliśmy wtedy i rozmawialiśmy. Tak bardzo Cię podziwiał. Mały, wychudzony Jakob wyrósł na kardynała Kościoła katolickiego. Jest teraz sekretarzem stanu. O krok od papieskiej godności. Bardzo chciał się z Tobą zobaczyć i wielka szkoda, że mu się to nie udało. Bamberg nie zapomniał swego biskupa, ja zaś wiem, że jego biskup nie wymazał z pamięci miasta swej młodości. W ostatnich dniach modliłam się żarliwie za Ciebie, Jakobie. Papież niedomaga. Wkrótce zostanie wybrany kolejny następca św. Piotra. Prosiłam Pana, by miał Cię w swej pieczy. Może rozważy prośbę starej kobiety, która miłuje równie głęboko swego Boga, jak i swego kardynała. Uważaj na siebie.*

*Jakobie,*

*Widziałam Cię w telewizji, gdy pojawiałeś się na balkonie Bazyliki św. Piotra. Duma i miłość przepelniły mnie w stopniu, którego nie da się opisać. Mój Jakob jest teraz Klemensem. Wybór tego imienia świadczy o wielkiej mądrości. Gdy o tym usłyszałam, przypomniał mi się moment, kiedy ty i ja poszliśmy do katedry i odwiedziliśmy grobowiec. Pamiętam, jak wyobrażałeś sobie Klemensa II. Niemca wyniesionego na tron Piotrowy. Już wtedy dostrzegłam wizję w Twoich oczach. W jakimś sensie stanowił część Ciebie. Teraz, jako Klemens XV, jesteś głową Kościoła. Drogi Jakobie, bądź mądry i bądź dzielny. Pod Twoimi rządami Kościół zmieni się albo upadnie. Spraw, by wierni wspominali Klemensa XV z dumą. Pielgrzymka do Bambergu byłaby cudownym pomysłem. Postaraj się zaplanować ją w przyszłości. Tak długo Cię nie widziałam. Kilka chwil, nawet pośród tłumów, w zupełności*

*by mi wystarczyło. Póki co, niech to, co nas łączy, ogrzeje Twoje serce i ukoji Twoją duszę.*

21.00

Katerina zbliżyła się do budynku, w którym mieszkał Michener. Na spowitej mrokiem ulicy nie było nikogo, po obu stronach stały zaparkowane auta. Z otwartych okien dobiegały ją strzępy zdawkowych rozmów, piski dzieci oraz urywki muzyki. Pogłos ulicznego gwaru dobiegał z bulwaru pięćdziesiąt metrów za nią.

W mieszkaniu Michenera paliło się światło. Weszła do jednej z bram po drugiej stronie ulicy, skryta bezpiecznie w cieniu, i spoglądała na drugie piętro.

Powinni porozmawiać. Colin musi zrozumieć. Nie zdradziła go. Nie wyjawiała Valendrei niczego. Ale z pewnością nadużyła jego zaufania. Nie był wzburzony w stopniu, jakiego się spodziewała, raczej zraniony, ale tym gorzej się czuła. Czy ona się kiedyś zmieni? Dlaczego wciąż popełnia te same błędy? Czy chociaż raz nie może postąpić właściwie, kierując się szlachetnymi pobudkami? Potrafiła przecież czynić dobro, lecz nieustannie coś stawało jej na drodze.

Stała w mroku, znajdując ukojenie w samotności, w pełni świadoma, co musi teraz zrobić. Nie dostrzegła żadnego ruchu w oknie na drugim piętrze, zaczęła się zastanawiać, czy Michener w ogóle jest u siebie.

Zbierała w sobie odwagę, by przejść przez ulicę, kiedy z bulwaru skręciło auto i powoli podjechało pod budynek. Reflektory oświetlały jezdnię daleko do przodu, więc przytuliła się do ściany, niknąc w ciemności.

Światła zgasły i samochód się zatrzymał.

Czarny mercedes coupe.

Tylne drzwi otworzyły się, z auta wysiadł mężczyzna. W świetle lampki rozjaśniającej wnętrze samochodu dostrzegła wysoką sylwetkę oraz chudą twarz z długim, spiczastym nosem. Mężczyzna miał na sobie luźny szary garnitur. Blask jego ciemnych oczu nie spodobał się jej. Widywała już takich mężczyzn. Dwaj inni mężczyźni pozostali w aucie, jeden za kierownicą, drugi na tylnym siedzeniu. Instynktownie wyczuła kłopoty. Z pewnością przysłał ich Ambrosi.

Wysoki mężczyzna wszedł do budynku, w którym mieszkał Michener.

Mercedes ruszył z miejsca i zatrzymał się w głębi uliczki. W pokoju Colina wciąż paliło się światło.

Nie było czasu na wzywanie policji.

Wyszła z bramy i szybko przeszła przez ulicę.

\*

Michener skończył czytać ostatni list i spoglądał na koperty rozrzucone wokół siebie. W ciągu ostatnich dwóch godzin przeczytał każde słowo napisane przez Irmę Rahn. Z pewnością kuferek nie zawierał całej korespondencji. Być może Volkner zachował jedynie listy, które znaczyły dla niego więcej. Ostatni był opatrzony datą sprzed dwóch miesięcy - kolejna epistoła pełna utyskiwań nad słabnącym stanem zdrowia Klemensa, Irma zmartwiona tym, co widziała w telewizji, nakłaniała go do większej troski o zdrowie.

Przebiegł myślą przez wszystkie te lata i zrozumiał teraz komentarze, które padały z ust Volknera, zwłaszcza gdy rozmawiali o Katerinie.

„Czy sądzisz, że jesteś jedynym kapłanem, który uległ pokusie? I czy tak naprawdę uczyniłeś coś złego? Czy czułeś się z tym źle, Colinie? Czy twoje serce mówiło, że czynisz zło?”

I tuż przed jego śmiercią. Dziwne stwierdzenie Klemensa, kiedy wypytywał go o Katerinę i Trybunał.

„Dobrze, że leży ci to na sercu. Ona jest częścią twojej przeszłości. Częścią, której nie powinienes zapomnieć.” Wtedy był przekonany, że stary przyjaciel jedynie go pociesza. Teraz zrozumiał, że kryło się za tym coś więcej.

„Ale nie znaczy to wcale, że nie możecie być przyjaciółmi. Dzielcie się ze sobą słowami i uczuciami. Doświadczaj bliskości, którą może zaoferować ktoś, komu bardzo zależy na tobie. Kościół z pewnością nie zabrania tego rodzaju przyjemności.”

Przywołał w pamięci pytania, które Klemens postawił mu w Castel Gandolfo, na kilka godzin przed samobójczą śmiercią. „Dlaczego kapłanom nie wolno się żenić? Dlaczego muszą żyć w cnocie? Jeśli mogą żenić się inni, dlaczego nie duchowni?”

Wciąż się zastanawiał, jak daleko zaszedł ten związek. Czy papież złamał przysięgę życia w celibacie? Czy dopuścił się tego samego, o co oskarżono Toma Kealy? Nic w treści listów nie wskazywało na taki rozwój wypadków, ale to nie świadczyło o niczym. W końcu kto by przelewał takie rzeczy na papier?

Rozparł się na sofie i przetarł oczy. Kopii tłumaczenia ojca Tibora nie było w kufierku. Sprawdził w każdej kopercie, przeczytał każdy list, na wypadek gdyby Klemens ukrył dokument w jednym z nich. Nie natrafił jednak nawet na mglistą wzmiankę o Fatimie.



Oznaczało to, że po raz kolejny zabrnął w ślepią uliczkę. Znów znalazł się w punkcie wyjścia, pominąwszy poznanie prawdy o Irmie Rahn. „Niech ojciec nie zapomni o Bambergu.”

Te słowa skierowała do niego Jasna. Co Klemens napisał do niego w ostatniej wiadomości? „Jeśli chodzi o mnie, wołałbym świętość Bambergu, uroczego miasta nad rzeką i katedry, którą tak ukochałem. Żałuję jedynie, że nie udało mi się popatrzeć na to piękno jeszcze raz. Może jednak moja spuścizna nadal tam będzie.”

I jeszcze popołudnie spędzone w solarium w Castel Gandolfo i słowa wyszeptane przez Klemensa.

„Pozwoliłem Valendrei przeczytać treść tego, co znajduje się w kasetce z tajemnicą fatimską.”

„Co tam jest?”

„Część tekstu, który przesłał mi ojciec Tibor.”

Część? Dopiero teraz wychwytił aluzję.

Przez myśli przebiegła mu znów podróż do Turynu oraz surowe komentarze Klemensa na temat jego lojalności i zdolności. Oraz koperta. „Chciałbym, żebyś teraz wysłał pocztą ten list”. Był zaadresowany do Irmie Rahn. Wtedy nie zwróciło to jego uwagi. W ciągu minionych lat wielokrotnie przysyłał listy do niej. Ale prośba, by wysłać list z Turynu i na dodatek osobiście, była osobiwa.

Poprzedniego wieczora Klemens kolejny raz udał się do Risery. On i Ngovi czekali na zewnątrz, gdy papież studiował zawartość kasetki. Miał doskonałą sposobność, by coś z niej zabrać. Co oznaczało, że kiedy kilka dni później papież znalazł się tam z Valendrą, kopii tłumaczenia już nie było. Przypomniał sobie wcześniejszą rozmowę z Valendrą.

„Skąd wiesz, że to tam było?”

„Nie wiem. Ale nikt nie powrócił do archiwum po tamtym wieczorze w piątek, a Klemens dwa dni później już nie żył.”

Drzwi mieszkania otworzyły się z impetem.

Pokój oświetlony był tylko jedną lampą. W cieniu dostrzegł wysokiego, szczupłego mężczyznę, który rzucił się w jego kierunku. Poczuli, jak jego ciało odrywa się od podłogi, a po chwili pięść napastnika wylądowała na jego brzuchu.

Na chwilę stracił dech.

Napastnik wymierzył drugi cios w klatkę piersiową i Michener poleciał na plecy w stronę łóżka. Szok był tak wielki, że wprost go sparaliżował. Nigdy wcześniej nie toczył walki. Instykt podpowiadał mu, by podnieść ręce i zasłonić się, ale mężczyzna znów walnął go w żołądek; po tym ciosie Colin zwałił się na łóżko.

Dyszał ciężko i wpatrywał się w ciemną sylwetkę, zastanawiając się, co nastąpi za chwilę. Mężczyzna wyciągnął coś z kieszeni. Czarny prostokąt, długości około piętnastu centymetrów, z błyszczącymi metalowymi końcami, wystającymi jak czubki pincety. Między końcówkami pojawił się nagły błysk światła.

Paralizator.

Szwajcarscy gwardziści mieli je na wyposażeniu, żeby móc chronić papieża bez użycia broni palnej. On i Klemens byli przy prezentacji tej broni. Powiedziano im wtedy, że bateria o napięciu dziewięciu wolt wytwarzała prąd, którego napięcie wynosi dwieście tysięcy wolt, powodując krótkotrwały paraliż. Patrzył, jak niebiesko-biała elektryczna iskra z głośnym trzaskiem przeskakuje między elektrodami.

Na ustach mężczyzny pojawił się uśmiech.

- A teraz się zabawimy - powiedział po włosku.

Michener zebrał wszystkie siły, odbił się i kopnął z całej siły wyciągniętą prawą dłoń napastnika. Paralizator poszybował przez powietrze w kierunku otwartych drzwi wejściowych.

Mężczyznę najwyraźniej zaskoczył niespodziewany kontratak, ale szybko się pozbierał i uderzył Michenera w twarz wierzchem dłoni, skutkiem czego ten drugi upadł na łóżko.

Sięgnął do drugiej kieszeni. Michener usłyszał trzask i zobaczył nóż. Napastnik uniósł broń i rzucił się do przodu. Colin zasłonił się ramionami, zastanawiając się bezwiednie jakie to uczucie, kiedy otrzymuje się cios nożem.

Niedane mu było jednak poznać tego uczucia.

Znow usłyszał trzask elektrycznego wyładowania, a twarz mężczyzny wykrzywił grymas bólu. Wywrócił do góry białka oczu, jego ręce zrobiły się bezwładne, a ciałem wstrząsnęły głębokie dreszcze. Nóż wypadł z dłoni, gdy mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Po chwili napastnik osunął się na podłogę.

Michener usiadł.

Za nieprzytomnym mężczyzną stała Katerina. Odrzuciła na bok paralizator i podbiegła do ukochanego.

- Nic ci nie jest?

Trzymał się za obolały żołądek, chwytając powietrze.

- Colinie, jesteś cały?

- Kim do diabła jest... ten tu?

- Nie ma czasu. Na dole jest jeszcze dwóch.

- O czym ty... wiesz, czego ja nie wiem?

- Wytlumaczę ci później. Musimy uciekać.

Jego umysł znów pracował na wysokich obrotach.

- Weź moją torbę. Jest... tam. Nie opróżniałem jej od powrotu z Bośni.

- Wybierasz się gdzieś?

Nie chciał jej odpowiadać, ona zaś zdawała się rozumieć jego milczenie.

- Nie zamierzasz mi powiedzieć - szepnęła.

- Skąd się tu... wzięłaś?

- Przyszedłem z tobą porozmawiać. Spróbować ci wytłumaczyć. Ale zjawił się ten facet i jeszcze dwóch, którzy zostali na dole.

Usiłował powstać z łóżka, ale ostry ból zmusił go do pozostania w miejscu.

- Nieźle oberwałeś.

Zakaszał, z trudem wciągając powietrze do płuc.

- Wiedziałaś, że ten gość idzie tutaj?

- Nie mogę uwierzyć, że pytasz mnie o to.

- Odpowiedz.

- Szłam porozmawiać z tobą i usłyszałam paralizator. Widziałam, jak wytrącasz go nogą, potem dostrzegłam nóż. Podniosłam więc paralizator z podłogi i zrobiłam, co mogłam. Sądziłam, że okażesz wdzięczność.

- Jestem wdzięczny. Powiedz mi, co wiesz.

- Ambrosi zaatakował mnie, gdy spotkaliśmy się w Bukareszcie tamtego wieczora. Dał mi do zrozumienia, że jeśli nie będę współpracować, słono za to zapłacę - wyjaśniła i wskazała gestem sylwetkę na podłodze. - Zakładałam, że ten człowiek jest z nim w jakiś sposób powiązany. Nie wiem jednak, czego mógł od ciebie chcieć.

- Domyślałam się, że Valendrea był niezadowolony z naszej dzisiejszej rozmowy i zdecydował się sięgnąć po argument siły. Uprzedził, że jego następny posłaniec mi się nie spodoba.

- Musimy uciekać - powtórzyła.

Ruszył po torbę podróżną i wrzucił do niej parę sportowych butów. Ból w trzewiach sprawił, że w oczach stanęły mu łzy

- Kocham cię, Colinie. To, co zrobiłam, było złe, ale uczyniłam to ze słuszných pobudek - wyznała, szybko wyrzucając z siebie słowa, czując, że musi to powiedzieć.

Spojrzał na nią.

- Trudno spierać się z kimś, kto przed chwilą uratował mi życie.

- Nie chcę się spierać.

On również nie chciał. Być może nie powinien być tak bardzo przekonany o własnej racji. On także nie był wobec niej szczery do końca. Schylił się i sprawdził puls nieprzytomnego napastnika.

- Kiedy się ocknie, będzie pewnie nieźle wkurzony. Nie chciałbym być w pobliżu.

Ruszył ku drzwiom mieszkania i dostrzegł porozrzucane na podłodze listy i koperty. Należałoby je zniszczyć. Skierował się ku nim.

- Colinie, musimy wynieść się stąd, zanim tamci dwaj zdecydują się wejść na górę.

- Muszę to zabrać...

Do jego uszu dobiegł odgłos stóp wchodzących na schody dwa piętra poniżej.

- Colinie, nie mamy czasu.

Chwycił kilka garści listów i wrzucił do torby, ile się dało, ale zdołał zebrać ich może z połowę. Zerwał się na równe nogi i wymknęli się przez otwarte drzwi. Wskazał palcem w górę i ruszyli na palcach na trzecie piętro, słysząc kroki zbliżające się z dołu. Ból w boku utrudniał wchodzenie, ale adrenalina zrobiła swoje.

- Jak się stąd wydostaniemy? - zapytała szeptem.

- Z tyłu budynku jest druga klatka schodowa. Prowadzi na podwórze. Idź za mną.

Skradali się po korytarzu, mijając zamknięte drzwi mieszkań i oddalając się od frontowej strony domu. Dotarli do schodów w chwili, gdy dwaj mężczyźni pojawili się o jakieś piętnaście metrów za nimi.

Przeskakiwał po trzy stopnie naraz, nie zważając na elektryzujący ból rozrywający trzewia. Torba podróżna obijając się o klatkę piersiową tylko wzmagala jego cierpienia. Zakręcili na podeście schodów, dotarli do parteru i wybiegli z budynku.

Na podwórzu stały zaparkowane liczne auta, mijali je więc, biegnąc zygzakiem. Pokazywał drogę, gdy wybiegali przez zwieńczone łukiem wejście na ruchliwy bulwar. Samochody pędziły w obu kierunkach, a na chodnikach tłoczyli się ludzie. Dzięki Bogu mieszkańcy Rzymu lubili wieczorami wychodzić na miasto.

Zauważył taksówkę przytuloną do krawężnika jakieś piętnaście metrów dalej.

Chwycił Katerinę za dłoń i popędził prosto w stronę usmolonego auta. Obejrzał się jeszcze przez ramię i dostrzegł, że prześladowcy wybiegają z podwórza.

Zauważyli uciekinierów i ruszyli pędem za nimi.

Dobiegł do taksówki i otworzył z impetem tylne drzwi. Wskoczyli do środka.

- Proszę jechać. Szybko! - wykrzyknął po włosku.

Samochód ruszył gwałtownie z miejsca. Przez tylną szybę widział, że mężczyźni

zrezygnowali z pościgu.

- Dokąd się udamy? - zapytała Katerina.

- Masz przy sobie paszport?

- Tak, w torebce.

- Na lotnisko - powiedział do taksówkarza.

23.40

Valendrea klęczał przed ołtarzem w kaplicy, której wzniesienie osobiście zlecił umiłowany przez niego Paweł VI. Klemens korzystał z niej niechętnie, preferując mniejszą kapliczkę w głębi korytarza, lecz on zamierzał odprawiać codzienną poranną mszę w bogato zdobionym pomieszczeniu. Miał być to czas, który blisko czterdziestka specjalnych gości mogła spędzać ze swym papieżem. Później jeszcze kilka minut na rozmowę i wspólną fotografię, co miało cementować ich lojalność. Klemens nigdy nie korzystał z tego typu przywilejów swego urzędu - jeszcze jeden przykład jego błędnej polityki - ale Valendrea zamierzał wykorzystywać do maksimum sztukę zdobywania popleczników, którą papieże uprawiali od setek lat.

Służba udała się już na spoczynek, Ambrosi natomiast troszczył się o Colina Michenera. Valendrea był wdzięczny za chwilę samotności, gdyż odczuwał potrzebę pomodlenia się do Boga. Wiedział, że Stwórca go słucha.

Zastanawiał się, czy powinien odmówić tradycyjne *Ojcze nasz* lub inną z modlitw, ale w końcu zdecydował, że szczerą rozmowa będzie bardziej odpowiednia. Poza tym był najwyższym zwierzchnikiem apostolskiego Kościoła. Jeśli on nie miał prawa do szczerzej rozmowy z Panem, to któż inny je miał?

To, co wcześniej przydarzyło się Colinowi Michenerowi - fakt, że dane mu było poznać tekst dziesiątej tajemnicy z Medjugorie - było znakiem niebios. Z pewnością z jakiegoś konkretnego powodu zyskał sposobność poznania zarówno tajemnicy z Medjugorie, jak i z Fatimy. Zamordowanie ojca Tibora było w pełni usprawiedliwione. Wprawdzie jedno z Przykazań Bożych zakazywało zabijania, ale w ciągu stuleci papieże w imię Boga skazywali na śmierć miliony. On nie stanowił więc wyjątku. Święty Kościół Rzymski znalazł się w poważnym zagrożeniu. Choć Klemens XV opuścił ziemski padół, jego protegowany żył i przejął dziedzictwo. Valendrea nie mógł pozwolić sobie na to, by ryzyko przekroczyło już i tak niebezpieczną wielkość. Sprawa wymagała definitywnego rozwiązania. Colina Michenera należało potraktować z pełną bezwzględnością, podobnie jak ojca Tibora.

Złożył ręce do modlitwy i podniósł wzrok na umęczone oblicze Chrystusa z

krucyfiksu. Z nabożną czcią błagał Syna Bożego o wskazanie drogi. Wybór jego osoby na tron Piotrowy miał z pewnością głębsze przyczyny. Z pełną determinacją obrał też imię Piotr. Jeszcze do dzisiejszego popołudnia uważał, że jedno i drugie jest rezultatem jego osobistych ambicji. Teraz jednak wiedział więcej. Był kolejnym ogniwiem łańcucha. Piotrem II. Patrząc z własnej perspektywy, mógł uczynić tylko jedno. Dziękował Wszechmogącemu za to, że dał mu siły, by dokonać tego, czego należało dokonać.

- Ojciec Święty

Przeżegnał się i wstał z klęcznika. W wejściu słabo oświetlonej kaplicy pojawiła się sylwetka Ambrosiego. Na twarzy swego sekretarza dostrzegł zmartwienie.

- Co z Michenerem?

- Uciekł. Razem z Kateriną Lew. Ale znaleźliśmy coś.

\*

Valendrea przeglądał sekretne listy i wciąż nie mógł wyjść z podziwu. Klemens XV miał kochankę. Wprawdzie nic nie wskazywało na fakt, iż dopuścił się grzechu nieczystości, ale złamanie ślubów kapłańskich to grzech śmiertelny, a jego ciężar nie budził wątpliwości.

- Nie posiadam się ze zdumienia - powiedział do Ambrosiego, podnosząc wzrok.

Siedzieli w bibliotece. Przywołał w myślach słowa Klemensa, które padły z jego ust przed miesiącem, kiedy papież dowiedział się o tym, że Trybunał zaproponował ojcu Kealy kilka wyjść do wyboru. „Być może powinniśmy wysłuchać przeciwnego punktu widzenia.” Teraz rozumiał, dlaczego Volkner gotów był skłonić się ku tym poglądom. Najwidoczniej Niemiec nie traktował celibatu z należytą powagą. Rzucił spojrzenie w kierunku Ambrosiego.

- Te listy mogą mieć równie ważne konsekwencje, co samobójstwo. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy z faktu, że Klemens ma tak skomplikowaną osobowość.

- I najwidoczniej bardzo przenikliwą - dodał Ambrosi. - Usunął z Riservy dokument przesłany przez ojca Tibora, nie mając wątpliwości co do twoich przyszłych poczynań, Ojciec Święty.

Nie przejął się specjalnie wzmianką na temat zdolności przewidywania zmarłego i nie skomentował tego.

- Zniszcz te listy - wydał polecenie.

- Czy nie powinniśmy ich przechować?

- Nigdy nie będziemy mogli posłużyć się nimi, chociaż bardzo bym tego chciał. Pamięć Klemensa nie może zostać splamiona. Zdyskredytowanie Volknera byłoby równoznaczne ze zdyskredytowaniem tego urzędu, a na to nie mogę pozwolić. Szargając pamięć zmarłego, splamilibyśmy sami siebie. Porwij je na strzępy - powtórzył polecenie i

zapytał o to, co rzeczywiście chciał wiedzieć. - Dokąd udali się Michener i pani Lew?

- Nasi przyjaciele ustalają to w korporacji taksówkowej. Wkrótce powinniśmy wiedzieć.

Wcześniej sądził, że skrytka Klemensa znajduje się w jego osobistym kuferku. Lecz uwzględniając to, czego dowiedział się o osobowości niedawnego wroga, Niemiec z pewnością okazał się dużo sprytniejszy. Podniósł jedną z kopert i przeczytał adres zwrotny IRMA RAHN, HINTERHOLZ 19, BAMBERG, DEUTSCHLAND.

Dosłyszał cichy dzwonek i Ambrosi wyciągnął telefon komórkowy z kieszeni sutanny. Po krótkiej rozmowie papieski sekretarz wyłączył aparat.

Valendrea wciąż wpatrywał się w kopertę.

- Niech zgadnę. Pojechali na lotnisko.

Ambrosi przytaknął.

Podał kopertę swemu totumfackiemu.

- Znajdź tę kobietę, Paolo, a znajdziesz to, czego szukamy, Zastaniesz tam zapewne Michenera oraz panią Lew. Są teraz w drodze do niej.

- Skąd masz tę pewność?

- Nigdy nie można być pewnym niczego, ale jest to założenie prawdopodobne. Zajmij się tym zadaniem osobiście.

- Czy to nie nazbyt ryzykowne?

- To ryzyko, które musimy podjąć. Jestem pewien, że zdołasz skutecznie ukryć swoją obecność.

- Oczywiście, Ojczy Świąty.

- Życzę sobie, żeby tłumaczenie Tibora zostało zniszczone z chwilą, kiedy je odnajdziesz. Nieważne jak, po prostu zrób to, Paolo. Liczę, że sobie z tym poradzisz. Jeśli ktokolwiek, naprawdę ktokolwiek: ta kobieta Klemensa, Michener, Lew, obojętnie kto przeczyta te słowa lub pozna je, zabij ich. Nie wahaj się ani chwili, po prostu wyeliminuj ich.

Na twarzy papieskiego sekretarza nie drgnął nawet jeden mięsień. W jego oczach dostrzegł żarliwy blask, jak w oczach drapieżnego ptaka. Valendrea wiedział o tarcich między Ambrosim a Michenerem - nawet podsycił ich wzajemną niechęć, gdyż nic bardziej nie gruntuje lojalności niż wspólna nienawiść. Najbliższe godziny mogły więc przynieść jego staremu przyjacielowi nad wyraz wiele przyjemności.

- Nie rozczaruję ciebie, Ojczy Świąty - powiedział cicho Ambrosi.

- Nie powinienes przejmować się rozczarowaniem z mojej strony. Wypełniamy misję zleconą przez Pana, a stawka jest wysoka. Naprawdę wysoka.



BAMBERG, NIEMCY

PIĄTEK, 1 GRUDNIA 10:00

Michener spacerował po brukowanych uliczkach i szybko zrozumiał, skąd wzięła się miłość Jakoba Volknera do Bambergu. Nigdy jeszcze tu nie był. Kilka wcześniejszych wizyt w rodzinnym mieście Volkner zawsze odbywał w pojedynkę. Na następny rok planowane były odwiedziny także i tu, w ramach papieskiej pielgrzymki do Niemiec, obejmującej wiele miast. Klemens opowiadał mu, jak bardzo pragnie odwiedzić grób rodziców, odprawić mszę w katedrze i spotkać się z dawnymi przyjaciółmi. Tym bardziej więc zagadkowe stawało się jego samobójstwo, ponieważ przygotowania do papieskiej pielgrzymki były już poważnie zaawansowane, kiedy Klemens umarł.

Bamberg leżał w miejscu, gdzie schodziły się bystre wody rzeki Regnitz z meandrującym Menem. Kościelna część miasta miała ulokowaną się na wierzchołkach wzgórz, w jej skład wchodziły zamek królewski, zespół klasztorny oraz katedra. Zalesione grzbiety gór stanowiły niegdyś siedzibę książąt-biskupów. Niżej, przytulona do zboczy, oparta o brzeg rzeki Regnitz, znajdowała się świecka część grodu, gdzie kwitły rzemiosło i handel. Symboliczną granicę obu tych części stanowiła rzeka, nad którą przed wiekami miejscowi patrycjusze wzniesli ratusz z muru pruskiego, ozdobiony freskami o jaskrawych barwach. *Rathaus* usytuowano na wyspie, między dwoma społecznymi klasami. Brzegi rzeki spinał most, przecinający ratusz na pół i łączący ze sobą oba światy.

Wraz z Kateriną odbyli lot z Rzymu do Monachium i spędzili noc w pobliżu lotniska. Tego ranka wynajęli samochód i pojechali na północ do środkowej Bawarii, przez Wyżynę Frankońską. Droga zajęła im niemal dwie godziny. Stali teraz na Maxplatz, na którym rozłożyło się zatłoczone targowisko. Inni przedsiębiorcy zajęci byli szykowaniem bożonarodzeniowego jarmarku, którego otwarcie planowano na popołudnie. Zimne powietrze spowodowało, że miał spierzchnięte usta, słońce wyglądało sporadycznie zza chmur, śnieg zbierał się na chodnikach. Ani on, ani Katerina nie byli przygotowani na tak nagłą zmianę temperatury, weszli więc do jednego ze sklepów i kupili płaszcze, rękawiczki oraz skórzane botki.

Po lewej stronie wznosił się kościół św. Marcina, rzucający długi cień na zatłoczony plac. Michener uznał, że rozmowa z tutejszym proboszczem może okazać się pomocna. Jak się okazało, kapłan znał Irmę Rahn i uczynnie sugerował, żeby poszukać jej w kościele parafialnym pod wezwaniem św. Gangolfą, oddalonym o cztery przecznice po drugiej stronie kanału.

Znaleźli ją, gdy zajmowała się jedną z bocznych kaplic, poniżej ukrzyżowanego Chrystusa, spoglądającego na dół wzrokiem pełnym smutku. Powietrze przeniknięte było aromatem kadzidła i zapachem pszczelego wosku. Irma była kobietą o drobnej sylwetce, blada cera oraz nieco surowe rysy twarzy wciąż kryły w sobie ślady urody, którą musiała promienieć w latach młodości. Gdyby nie wiedział, że dobiega osiemdziesiątki, przysięgłby, że ma nie więcej niż sześćdziesiąt lat.

Obserwowali ją, jak nabożnie przyklęka za każdym razem, kiedy przechodzi przed krucyfiksem. Michener patrzył przez otwartą żelazną bramę. Ogarnęło go osobliwe uczucie. Czy zamierzał wkroczyć na teren, na którym nie powinien postawić nogi? Odrzucił jednak tę myśl. W końcu to Klemens poprowadził go tym szlakiem.

- Pani Irma Rahn? - zapytał po niemiecku.

Spojrzała na niego. Siwe włosy opadały jej na ramiona.

Na ziemistej cerze nie dostrzegł śladu makijażu. Pomarszczony podbródek był zaokrąglony i delikatny, oczy spoglądały wzrokiem smutnym i współczującym.

Podeszła bliżej.

- Zastanawiałam się, ile czasu upłynie, zanim ojciec się tu zjawi.

- Skąd pani wie, kim jestem? Nigdy się nie spotkaliśmy

- Ale ja znam ojca.

- Spodziewała się pani, że tu przyjadę.

- Ależ tak. Jakob pisał, że ojciec przyjedzie. On nigdy się nie mylił... zwłaszcza w odniesieniu do ojca.

Wtedy zrozumiał.

- W ostatnim liście. Tym wysłanym z Turynu. Prawda, że wspomniał w nim o mnie?

Przytaknęła.

- Ma pani to, po co przyjechałem?

- To zależy. Przyjeżdża ojciec w swoim imieniu czy w czyimś?

Dziwne pytanie, ale rozważył odpowiedź.

- Przybyłem w imieniu mego Kościoła.

Uśmiechnęła się ponownie.

- Jakob przewidział, że taka będzie odpowiedź ojca. Znał ojca bardzo dobrze.

Wskazał gestem Katerinę i przedstawił ją. Na ustach starszej pani rozbrzmiał uprzejmy uśmiech i obie kobiety wymieniły uścisk dłoni.

- Bardzo mi miło poznać panią. Jakob uprzedzał, że pani również może przyjechać.

WATYKAN, 10:30

Valendrea wertował stronice dzieła *Lignum Vitae*. Archiwista stał naprzeciw niego. Poleciał leciwemu kardynałowi stawić się na trzecim piętrze i przynieść ze sobą wolumin. Pragnął na własne oczy zobaczyć to, co tak bardzo interesowało Ngoviego i Michenera.

Znalazł w prorocत्वach Malachiasza ustęp poświęcony Piotrowi Rzymianinowi, umieszczony pod koniec dzieła Arnolda Wiona, liczącego tysiąc osiemset stron.

*W ostatniej fazie prześladowań Świętego Kościoła Rzymskiego na tronie zasiądzie Piotr Rzymianin, który będzie karmił swą trzodę pośród licznych udręk, po których w mieście siedmiu wzgórz straszliwy sędzia osądzi wszystkich ludzi.*

- Czy ty naprawdę wierzysz w te brednie? - zapytał archiwistę.

- Jesteś sto dwunastym papieżem na liście Malachiasza. Ostatnim, którego wymienia; przepowiedział też imię, które sobie wybrałeś.

- A zatem Kościół stoi u progu apokalipsy? „W mieście siedmiu wzgórz straszliwy sędzia osądzi wszystkich ludzi.” Wierzysz w to? Nie możesz być aż takim ignorantem.

- Rzym leży na siedmiu wzgórzach. Określenia tego używa się od czasów starożytnych. Poza tym nie podoba mi się twój ton.

- Nie obchodzi mnie, co ci się nie podoba. Chcę jedynie wiedzieć, o czym dyskutowaliście ty, Ngovi i Michener.

- Niczego nie dowiesz się ode mnie.

Papież wskazał na manuskrypt.

- W takim razie powiedz mi, dlaczego wierzysz w to proroctwo.

- Jak gdyby to, co myślę, miało jakiegokolwiek znaczenie.

Wstał zza biurka.

- Ma znaczenie i to bardzo duże, Eminencjo. Potraktuj to jako ostatnią posługę wobec Kościoła. To twój ostatni dzień, jak sędzę.

Twarz starca nie zdradzała nawet odrobiny żalu, który zapewne odczuwał. Kardynał

służył w Watykanie od blisko pięćdziesięciu lat i z pewnością przeżył tu wiele chwil radości i smutku. To on jednak w czasie konklawe organizował poparcie dla Ngoviego - co stało się oczywiste wczoraj, kiedy purpuraci w końcu przemówili - i uczynił to w mistrzowski sposób. Szkoda, że nie przystąpił do zwycięskiej partii.

Równie niepokojąca była też dyskusja o prorocत्वach Malachiasza, która w ostatnich dniach odbyła się na łamach prasy. Tego właśnie człowieka podejrzewał o to, że stanowił źródło informacji dla tych artykułów, chociaż żaden z dziennikarzy nie wymienił nazwisk, używając formułki „anonimowy dostojnik Watykanu”. Przepowiednie Malachiasza nie były niczym nowym - zwolennicy spiskowej teorii dziejów od dawna się na nie powoływali - ale reporterzy zaczęli teraz dostrzegać konkretne powiązania. Sto dwunasty zwierzchnik Kościoła przybrał imię Piotr II. Jakim cudem mnich żyjący w XI wieku czy też kronikarz z szesnastego stulecia mógł wiedzieć, co się wydarzy w przeszłości? Przypadek? Być może, ale taka przypadkowość była mocno wątpliwa.

W zasadzie Valendrea zastanawiał się nad tym samym. Zdaniem niektórych przybrał to imię, wiedząc, co znajduje się w watykańskich archiwach. Ale on od zawsze skłaniał się ku imieniu Piotr, odkąd tylko zdecydował, że będzie dążyć do zdobycia papieskiej tiary, jeszcze za pontyfikatu Jana Pawła II. Nigdy nikomu tego nie wyjawiał, nawet Ambrosiemu. Nigdy też nie czytał prorocत्व Malachiasza.

Świdrował wzrokiem archiwistę, czekając, aż padnie odpowiedź na zadane pytanie.

- Nie mam nic do powiedzenia - odparł w końcu kardynał.

- W taki razie może pokusisz się o jakieś domysły, gdzie może znajdować się zagubiony dokument?

- Nic nie wiem o brakującym dokumencie. Wszystkie zbiory z katalogu są na miejscu.

- Ten dokument nie został wpisany do katalogu. Klemens umieścił go w sejfie w Riservie.

- Nie biorę odpowiedzialności za to, o czym nie wiem.

- Czyżby? W takim razie powiedz mi to, o czym wiesz. O czym rozmawialiście, kiedy spotkałeś się z kardynałem Ngovim i monsignore Michenerem.

Archiwista nie odpowiedział.

- Ponieważ milczysz, wnioskuję, że tematem rozmowy był zaginiony dokument oraz że jesteś zamieszany w jego zaginięcie.

Zdał sobie sprawę, że ten cios może rozedrzeć serce starego człowieka, gdyż sprawowanie pieczy nad dokumentami Kościoła jest jego obowiązkiem. Zaginięcie któregoś z nich mogło na zawsze splamić jego kadencję.

- Nie czyniłem niczego poza otwieraniem Risery na polecenie Jego Świątobliwości Klemensa XV.

- A ja wierzę w to, Eminencjo. Jestem przekonany, że to Klemens, nikogo nie wtajemniczając, wykradł ten dokument. Pragnę jedynie go odnaleźć.

Powiedział to łagodniejszym tonem, dając do zrozumienia, że przyjmuje do wiadomości przedstawione tłumaczenie.

- Ja również pragnąłbym... - zaczął archiwista, potem przerwał, jakby chciał powiedzieć więcej, niż powinien.

- Mów dalej. Powiedz mi, Eminencjo.

- Jestem wstrząśnięty tak samo jak ty, Ojczy Świąty, że coś mogło zaginąć. Ale nie mam pojęcia, kiedy to się stało ani kiedy mogło się stać.

Z tonu jego wypowiedzi wynikało niezbicie, że taka jest jego wersja i zamierza przy niej obstawać.

- Gdzie jest Michener?

W zasadzie znał odpowiedź, ale uznał, że weryfikacja jego wiedzy ukołi w nim niepokój, że być może Ambrosi podąża mylnym tropem.

- Nie wiem - odparł archiwista lekko drżącym głosem.

Na koniec zapytał o to, co rzeczywiście chciał wiedzieć.

- A Ngovi? Czym się interesuje?

Przez twarz starego kardynała przemknął wyraz zrozumienia.

- Czujesz przed nim strach, prawda?

Nie dał po sobie poznać, że ten komentarz go dotknął.

- Przed nikim nie czuję strachu. Po prostu zastanawiam się, dlaczego kamerling tak bardzo interesuje się Fatimą.

- Nigdy nie powiedziałem, że się interesuje.

- Ale dyskutowaliście o tym w trakcie wczorajszego spotkania, prawda?

- Tego też nie powiedziałem.

Powrócił wzrokiem do księgi, co miało być delikatnym znakiem, że upór starca wcale go nie drażni.

- Eminencjo, zwolniłem cię z pełnionych obowiązków. Z równą łatwością mogę powołać cię ponownie. Czyż nie pragniesz złożyć swych kości tu, w Watykanie, jako kardynał archiwista Kościoła katolickiego? Czy nie pragnąłbyś zobaczyć, jak zaginiony dokument powraca na miejsce? Czy obowiązki nie znaczą dla ciebie więcej niż osobista uraza do mnie?

Stary człowiek przeniósł ciężar ciała na drugą nogę. Jego milczenie sugerowało, że zastanawia się nad złożoną propozycją.

- Czego tak naprawdę żądasz? - zapytał wreszcie.

- Powiedz mi, gdzie zniknął Michener.

- Dziś rano powiedziano mi, że udał się do Bambergu. - odparł głosem pełnym rezygnacji.

- Zatem wcześniej skłamałeś przede mną?

- Zapytałeś, czy wiem, gdzie się znajduje. A ja nie wiem. Wiem tylko to, co mi powiedziano.

- Jaki jest cel tej podróży?

- Może tam być dokument, którego szukasz.

W końcu coś nowego.

- A Ngovi?

- Czeką na telefon od ojca Michenera.

Zacisnął dłonie na krawędziach księgi. Nie fatygował się z zakładaniem rękawiczek. Jakże to miało znaczenie? Do jutra manuskrypt obróci się w popiół. Pora, by przejść do najważniejszej kwestii.

- Ngovi pragnie dowiedzieć się, jaka treść kryje się w zaginionym dokumencie?

Starzec skinął głową, jakby szczerłość sprawiała mu prawdziwy ból.

- Pragnę poznać to, co Wasza Świątobliwość najprawdopodobniej już wie.

BAMBERG, 11:00

Michener i Katerina podążali za Irmą Rahn przez Maxplatz, potem za rzekę i dotarli do czteropiętrowego zajazdu. Szyld z kutego żelaza obwieszczał, że przybytek nosi nazwę KÖNIGSHOF, widniała też na nim data 1614 - rok wzniesienia budynku, jak wyjaśniła Irma.

Zajazd znajdował się w posiadaniu jej rodziny od wielu pokoleń, odziedziczyła go po ojcu, po tym jak jej brat zginął w trakcie drugiej wojny światowej. Po obu stronach stały dawne domy rybaków. Pierwotnie budowla służyła za młyn, koło z łopatami odpadło już przed wiekami, ale czarny mansardowy dach, żelazne balkony oraz barokowe ornamenty zdołały przetrwać. Jej pomysłem była tawerna i restauracja. Wprowadziła ich do środka, gdzie usiedli przy pustym stole obok okna dzielonego na dwanaście szyb. Na zewnątrz chmury zasnuły przedpołudniowe niebo. Wyglądało na to, że znów spadnie śnieg. Gospodyni postawiła przed każdym z nich kufel piwa.

- Otwieramy lokal dopiero w porze kolacji - wyjaśniła Irma. - Wtedy wszystkie miejsca przy stołach są zajęte. Nasza kuchnia cieszy się sporą popularnością.

Michener chciał dowiedzieć się jednej rzeczy

- Gdy byliśmy w kościele, powiedziała pani, że Jakob wspominał, iż Katerina i ja możemy pojawić się tutaj. Czy to przypuszczenie zostało wyrażone w ostatnim liście od niego?

Przytaknęła.

- Napisał, że bym spodziewała się wizyty ojca, i uprzedził, że być może ta przemiła dama będzie ojcu towarzyszyła. Mój Jakob był obdarzony intuicją, zwłaszcza w odniesieniu do ciebie, Colinie. Czy mogę zwracać się tak do ojca? Wydaje mi się, że znam ciebie dostatecznie dobrze.

- Będzie to dla mnie prawdziwy zaszczyt.

- A ja mam na imię Katerina.

Obdarzyła ich oboje ciepłym uśmiechem, który spodobał się Michenerowi.

- Co jeszcze napisał Jakob? - zapytał.

- Opowiedział mi o dylemacie, który cię trapi. O twoim kryzysie wiary. Ponieważ tu



jesteś, zakładam, że przeczytałeś moje listy.

- Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, jak silna więź was łączy.

Za oknem dostrzegł sunącą na północ barkę, której silnik pyrkał łagodnie.

- Mój Jakob był cudownym człowiekiem. Poświęcił całe życie dla dobra innych.

Oddał się Bogu.

- Ale najwyraźniej nie do końca - wtrąciła Katerina.

Michener czekał na chwilę, kiedy jego przyjaciółka podejmie ten temat. Ostatniej nocy przeczytała listy, które zdołał uratować, i była zszokowana intensywnością osobistych uczuć Volknera.

- Czułam do niego urazę - dodała Katerina beznamiętnym głosem. - Oczyma wyobraźni widziałam, jak zmusza Colina do dokonania wyboru, jak nakłania go, by Kościół zajął pierwsze miejsce. Ale myliłam się. Teraz zdałam sobie sprawę, że spośród wszystkich ludzi, on jeden mógł zrozumieć, co naprawdę czuje Colin.

- I tak było. Pisał mi o bólu, który targał Colinem. Pragnął wyjawić mu prawdę, pokazać, że nie jest sam, ale ja mu zabroniłam. Czas nie był odpowiedni. Nie chciałam, by ktoś o nas wiedział. To była nasza intymna sprawa - wyjaśniła Irma i spojrzała na niego. - Pragnął, żebyś pozostał duchownym. Potrzebował twojego wsparcia, by dokonać zmian. Sądzę, że wiedział już wtedy, iż któregoś dnia ty i on pójdziecie nową drogą.

Michener czuł, że musi coś powiedzieć.

- On usiłował przeprowadzić zmiany. Nie dążył do konfrontacji, lecz kierował się racjonalnymi argumentami. Był człowiekiem pokoju.

- Przede wszystkim jednak, Colinie, był człowiekiem - głos starszej pani zadrzał pod koniec tej kwestii, jak gdyby na chwilę cofnęła się pamięcią i nie chciała utracić tej chwili. - Po prostu człowiekiem, słabym i grzesznym, jak my wszyscy.

Katerina przełożyła rękę ponad stołem i uściśniła dłoń starszej pani. W oczach obu kobiet zalśniły łzy.

- Kiedy zrodziła się więź między wami? - zapytała Katerina.

- Kiedy byliśmy dziećmi. Już wtedy wiedziałam, że go kocham i że będę go kochać zawsze - wyznała, potem zagryzła wargę. - Wiedziałam też, że nigdy go nie posiadę. A przynajmniej nie do końca. Już wtedy pragnął przywdziać sutannę. A jednak w jakimś sensie wystarczało mi to, że jego serce należy do mnie.

Chciał dowiedzieć się jeszcze czegoś, choć nie miał pojęcia, z czego wypływa ta chęć. W końcu nie była to jego sprawa. Ale czuł, że ma prawo zadać jedno pytanie.

- Czy wasz związek nigdy nie został skonsumowany?

Przez kilka sekund wymieniali spojrzenia, potem na jej ustach pojawił się lekki uśmiech.

- Nie, Colinie. Twój Jakob nigdy nie złamał przysięgi danej Kościołowi. To było nie do pomyślenia, zarówno dla mnie, jak i dla niego - odpowiedziała i spojrzała na Katerinę. - Wszyscy powinniśmy osądzać siebie przez pryzmat czasów, w których żyjemy. Jakob i ja pochodzimy z innej epoki. Dostatecznym złem była już nasza wzajemna miłość. Posunięcie się choćby o krok dalej było nie do pomyślenia.

Przypomniał sobie słowa Klemensa wypowiedziane w Turynie. „Poskromiona miłość nie należy do przyjemności.”

- Żył tu pani samotnie przez wszystkie te lata?

- Mam rodzinę, tę gospodę, przyjaciół oraz Boga. Zaznałam miłości człowieka, który całkowicie dzielił siebie ze mną. Nie w sensie fizycznym, ale w każdej innej sferze. Niewielu może pochwalić się tym samym.

- Czy fakt, że nie możecie być razem, nigdy nie stanowił problemu? - zapytała Katerina. - Nie chodzi mi o życie erotyczne. Mam na myśli fizyczną bliskość, życie blisko siebie. To chyba było bardzo trudne...

- Wolałabym, żeby sprawy potoczyły się inaczej. Ale nie miałam na to żadnego wpływu. Jakob wcześniej rozpoznał w sobie powołanie. Wiedziałam o tym i nie uczyniłam nic, by temu przeszkodzić. Kochałam go na tyle, że byłam gotowa dzielić się nim... nawet z niebem.

Jakaś kobieta w średnim wieku przecisnęła się przez uchylne drzwi i wymieniła parę słów z Irmą. Chodziło o targ i niezbędne zakupy. Za oknem nurtem rzeki o szarobrązowej toni przemknęła kolejna barka. Pojedyncze płatki śniegu przywarły do szyby.

- Czy ktoś o was wiedział? - zapytał Michener, gdy kobieta już wyszła.

Irma pokręciła głową.

- Żadne z nas nigdy o tym nie rozmawiało. Wielu ludzi w mieście wiedziało, że Jakob i ja przyjaźniliśmy się w latach dzieciństwa.

- Jego śmierć musiała być dla pani prawdziwym ciosem - dodała Katerina.

Westchnęła.

- Nawet nie wyobrażacie sobie, jak wielkim. Wiedziałam, że nie wygląda najlepiej. Widziałam go w telewizji. Zdałam sobie sprawę, że to jedynie kwestia czasu. Oboje się zestarzeliliśmy. Ale jego kres nadszedł tak nagle. Wciąż wyczekuję na list od niego w skrzynce pocztowej, jak tyle razy wcześniej - jej głos przycichł i drżał od emocji. - Mój Jakob opuścił ziemski padół, wy zaś jesteście pierwszymi ludźmi, z którymi rozmawiam o nim. Pisał mi, że

mogę wam zaufać. I że dzięki waszej wizycie uzyskam spokój. Miał rację. Wystarczyło, że porozmawiałam o tym, a już czuję się lepiej.

Zastanawiał się, co ta delikatna kobieta by pomyślała, gdyby dowiedziała się, że Volkner odebrał sobie życie. Czy miała prawo wiedzieć? Otworzyła przed nimi serce, on zaś czuł zmęczenie nieustannym kłamaniem. Pamięci Klemensa z jej strony nie groziło nic.

- On odebrał sobie życie.

Przez długi czas Irma nie odezwała się nawet słowem.

- Papież odebrał sobie życie? - zapytała Katerina.

Skinął głową.

- Pigułki nasenne. Napisał, iż Matka Boska zażądała, żeby sam przerwał nitkę swego życia. Miała to być pokuta za nieposłuszeństwo. Wyznał, że zbyt długo ignorował wolę niebios.

Irma wciąż się nie odzywała. Spoglądała jedynie na niego żarliwym wzrokiem.

- Wiedziała pani? - zapytał.

Przytaknęła.

- Dowiedziałam się o tym dopiero ostatnio... we śnie. Powiedział mi, że wszystko jest już w porządku. Otrzymał przebaczenie. Tak czy inaczej, dołączył do Stwórcy Nie bardzo rozumiałam, co ma na myśli.

- Czy doznałeś jakiejś wizji na jawie? - chciał wiedzieć.

Pokręciła głową.

- Jedynie we snach - jej głos był odległy - Wkrótce do niego dołączę. Tylko to utrzymuje mnie przy życiu. Na wieczność Jakob i ja będziemy razem. Zapewnia mnie o tym we śnie.

Spojrzała na Katerinę.

- Pytałaś mnie, jak to jest być z dala od ukochanego. Te lata rozłąki są niczym wobec wieczności. Jednego nie można mi odmówić. Jestem cierpliwą kobietą.

Postanowił nakierować ją w końcu na temat, który ich tu sprowadził.

- Irma, gdzie jest to, co przesłał ci Jakob?

Wpatrywała się we wnętrze kufła z piwem.

- Mam kopertę, którą Jakob polecił ci przekazać.

- Potrzebuję jej.

Irma wstała od stołu.

- Znajduje się obok w moim mieszkaniu. Wrócę za chwilę.

Starsza pani wyszła z gospody ciężkim krokiem.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi o Klemensie? - zapytała Katerina, gdy drzwi się zamknęły

Jej lodowaty ton odpowiadał temperaturze na zewnątrz.

- Sądzę, że odpowiedź jest oczywista.

- Kto jeszcze wie?

- Tylko parę osób.

Wstała od stołu.

- Zawsze to samo, prawda? Watykan roi się od sekretów - powiedziała, wkładając płaszcz i kierując się do wyjścia.

- Wydaje się, że jest to coś, z czym dobrze się czujesz.

- Tak samo jak ty. - Wiedział, że nie powinien tego powiedzieć.

Zatrzymała się.

- To muszę ci przyznać. Zasłużyłam na to. Ale jakie ty masz wytłumaczenie?

Nie odpowiedział, ona zaś skierowała się do wyjścia.

- Dokąd się wybierasz?

- Na spacer. Jestem pewna, że ty i kochanka Klemensa macie sobie dużo więcej do powiedzenia w sprawach, które mnie nie dotyczą.

Myśli Kateriny wirowały bez ładu i składu. Michener nie ufał jej, o czym świadczyło ukrycie przez niego faktu samobójstwa Klemensa. Valendrea z pewnością o tym wiedział - inaczej Ambrosi żądałby od niej, by dowiedziała się, jak zmarł Jakob Volkner. O co w tym wszystkim chodziło? Zaginione dokumenty. Widzący rozmawiający z Matką Boską. Papież, który odbiera sobie życie, a wcześniej potajemnie kocha się przez dziesiątki lat w pewnej kobiecie. Nikt przy zdrowych zmysłach nie dałby temu wiary

Wyszła z zajazdu, zapięła płaszcz i zdecydowała się pójść z powrotem w stronę Maxplatz, aby po drodze pozbyć się frustracji. Ze wszystkich stron dobiegały odgłosy dzwonów, które wybijały południe. Strząsnęła z włosów intensywnie sypiący śnieg. Powietrze było chłodne, suche i posępne, zupełnie jak jej nastrój.

Irma Rahn pomogła jej zrozumieć. Podczas gdy ona sama przed laty zmusiła Michenera do dokonania wyboru, odpychając go tym samym od siebie i raniąc oboje, Irma podążyła mniej egoistyczną ścieżką, która odzwierciedlała miłość, nie posiadanie. Być może staruszka miała rację. Nie chodziło o więź fizyczną. Liczyło się jedynie to, że posiadała jego serce i duszę.

Zastanawiała się, czy ona i Michener również byliby w stanie znaleźć satysfakcję w podobnym związku. Prawdopodobnie nie. Czasy były inne. Ale przyjechała tu, razem z tym samym mężczyzną, najwyraźniej podążając tą samą krętą ścieżką miłości utraconej, potem odnalezioną, potem wystawioną na próbę, potem... oto było pytanie. Co potem?

Szła dalej, dotarła na główny plac, przeszła na drugą stronę kanału, aż dostrzegła cebulaste kopuły podwójnych wież kościoła św. Gangolfa.

Życie było takie skomplikowane.

Wciąż miała w oczach mężczyznę, który stał nad Michenerem z nożem w ręku. Później zasugerowała, by udać się na policję, ale Colin odrzucił ten pomysł. Teraz wiedziała, dlaczego. Nie mógł ryzykować ujawnienia papieskiego samobójstwa. Jakob Volkner znaczył dla niego bardzo wiele. Być może nawet zbyt wiele. Rozumiała teraz, dlaczego pojechali do Bośni - szukając odpowiedzi na pytania, które pozostawił jego stary przyjaciel. Nie ulegało wątpliwości, że ten rozdział jego życia nie może zostać zamknięty, ponieważ zakończenie dopiero zostanie napisane. Zastanawiała się, czy to kiedykolwiek nastąpi.

Spacerowała dalej, aż w końcu znalazła się przy tylnym wejściu do kościoła św. Gangolfa. Skusilo ją ciepłe powietrze dobiegające z wnętrza. Weszła do środka i dostrzegła wciąż otwarte wejście do bocznej kaplicy, którą wcześniej sprzątała Irma. Przeszła obok niej i zatrzymała się przy następnej. Posąg Matki Boskiej kołyszącej w ramionach dzieciątka Jezus spoglądał na dół pełnymi miłości oczyma dumnej matki. Z pewnością był to średniowieczny wizerunek - przedstawiający kobietę rasy białej w typie aryjskim - ale ten właśnie rodzaj postaci świat darzył czcią. Maria żyła w Izraelu, w miejscu, gdzie słońce świeciło ostro, a ludzie mieli śniadą skórę. Mogła mieć arabskie rysy, czarne włosy oraz korpulentne ciało. Lecz katolicy w Europie nigdy nie zaakceptowaliby takiego wizerunku. Opracowano zatem typowy i bliski im portret kobiety - którego Kościół trzymał się od wieków.

Czy była dziewicą? Czy Duch Święty umieścił w jej łonie nasienie, z którego powstał Syn Boży? Nawet jeśli była to prawda, decyzja o tym należała wyłącznie do niej. Sama zgodziła się na ciążę. Dlaczego więc Kościół tak bardzo sprzeciwiał się aborcji i kontroli urodzin? Kiedy kobieta traci możliwość wyboru, czy zamierza urodzić dziecko? Czy to nie Maria ustaliła to prawo? A gdyby odmówiła? Czy wtedy również wymagano by od niej, by donosiła ciążę z boskim dzieckiem?

Zmęczyło ją odpowiadanie na te zagadki. Zbyt wiele z nich pozostawało bez odpowiedzi. Odwróciła się, by wyjść.

Metr przed nią stał Ambrosi.

Jego widok przeraził ją.

Skoczył do przodu, obrócił ją i pchnął do wnętrza kaplicy z Matką Boską. Popchnął ją na kamienną ścianę, wykręcając jednocześnie do tyłu lewą rękę. Drugą ręką szybkim ruchem ścisnął ją za szyję. Przycisnął jej twarz do kamienia o ostrej krawędzi.

- Zastanawiałem się, jak rozdzielić ciebie i Michenera. Ale załatwiłaś to za mnie. - Mocniej wykręcił jej rękę. Otworzyła usta i zamierzała krzyczeć. - No, no. Nie rób tego. Poza tym nikt tutaj cię nie usłyszy.

Starła się oswobodzić, pomagając sobie nogami.

- Stój spokojnie. Moja cierpliwość do ciebie już się wyczerpała.

Odpowiedziała jeszcze mocniejszym szarpnięciem.

Ambrosi odciągnął ją od ściany i owinał rękę wokół jej szyi. Powietrze przestało płynąć tchawicą. Usiłowała zwolnić uścisk, wbijając paznokcie w jego skórę, ale brak tlenu spowodował, że świat przez nią nagle zawirował.

Otworzyła usta, by krzyknąć, ale zabrakło jej powietrza.

Wywróciła białkami oczu.

Zanim ogarnęła ją ciemność, dostrzegła jeszcze żalosne spojrzenie Matki Boskiej, która nie wyciągnęła do niej pomocnej dłoni w potrzebie.

Michener obserwował Irmę, gdy wyglądała przez okno w kierunku rzeki. Wróciła wkrótce po wyjściu Kateriny i przyniosła znaną mu już niebieską kopertę, która leżała teraz na stole.

- Mój Jakob odebrał sobie życie - powiedziała szeptem do samej siebie. - Jakie to smutne.

Spojrzała na niego.

- Ale mimo to pochowano go w krypcie Bazyliki św. Piotra. W poświęconej ziemi.

- Nie mogliśmy wyjawić światu tego, co się wydarzyło.

- O to właśnie miał pretensję do Kościoła. Prawda jest taką rzadkością. To ironia losu, że jego niepokalana pamięć zależy od kłamstwa.

Co zresztą nie wydawało się takie wyjątkowe. Podobnie jak w wypadku Jakoba Volknera, również u podstaw całej kariery Michenera legło zatajenie prawdy. Dziwne, jak ich losy upodobniły się do siebie.

- Czy zawsze cię kochał?

- Chodzi ci o to, czy były inne? Nie, Colinie. Byłam tylko ja.

- Mogłoby się wydawać, że wam obojgu przydałoby się poczynienie jakiegoś ruchu.

Czy nigdy nie pragnęłaś mieć męża, dzieci?

- Dzieci tak. Tego właśnie żałuję w życiu. Ale od wczesnej młodości wiedziałam, że pragnę należeć do Jakoba, on zaś odwzajemniał moje uczucia. Na pewno zdawałaś sobie sprawę, że jesteś jego synem pod każdym względem.

Na tę myśl w oczach stanęły mu łzy

- Czytałam, że to ty znalazłaś jego ciało. Musiał to być dla ciebie prawdziwy wstrząs.

Nie chciał powracać myślami do obrazu zwłok Klemensa spoczywających na łożku i zakonnicy obmywających jego ciało do pogrzebu.

- Był niezwykłym człowiekiem. Ale teraz czuję się, jakby był kimś obcym.

- Nie ma potrzeby patrzeć na to w ten sposób. Po prostu jakaś część jego duszy zawsze była samotna. Jestem pewna, że są w tobie sfery, których on nigdy nie poznał.

Jakie to prawdziwe.

Wskazała kopertę.



- Nie potrafiłam przeczytać tego, co mi przesłał.

- Próbowalas?

Przytaknęła.

- Otworzyłam kopertę. Byłam ciekawa. Ale dopiero po śmierci Jakoba. Dokument jest napisany w innym języku.

- Po włosku.

- Powiedz mi, co to jest.

Powiedział jej, a ona słuchała ze zdumieniem. Musiał jej również wyjawić, że poza Alberto Valendrea nie pozostał już nikt żywy, kto znałby treść dokumentu w kopercie.

- Wiedziała, że coś trapi Jakoba. Jego listy w ostatnich miesiącach były przygnębiające, a nawet cyniczne. To do niego nie pasowało. Ale nie mógł mi nic wyjawić.

- Ja również usiłowałem wyciągnąć to z niego, ale nie powiedział nawet słowa.

- To typowe dla niego.

Usłyszał, jak otwierają się frontowe drzwi budynku, potem rozległo się trzaśnięcie. Następnie na deskach podłogi zaskrzypiały kroki. Restauracja znajdowała się na tyłach budynku za niewielkim korytarzem i klatką schodową prowadzącą na górę. Przypuszczał, że to powraca Katerina.

- Czym mogę służyć? - zapytała Irma.

Spoglądał w stronę rzeki, odwrócony od wejścia. Kiedy się odwrócił, dostrzegł Paola Ambrosiego oddalonego zaledwie o metr. Włoch ubrany był w luźne czarne dżinsy oraz czarną koszulę. Szary płaszcz sięgał kolan, a kasztanowy szal chronił szyję.

Michener wstał.

- Gdzie jest Katerina?

Ambrosi nie odpowiedział. Colinowi ani trochę nie spodobał się zadowolony wyraz twarzy tego łotra. Ruszył gwałtownie do przodu, ale nieproszony gość wyciągnął pistolet z kieszeni płaszcza. Zatrzymał się w pół kroku.

- Kto to jest? - zapytała Irma.

- Zwiastun kłopotów.

- Jestem ojciec Paolo Ambrosi. A pani to zapewne Irma Rahn.

- Skąd ojciec zna moje nazwisko?

Michener stanął między nimi w nadziei, że Ambrosi nie dostrzeże koperty na stole.

- Czytał twoje listy. Nie zdążyłem zabrać ich wszystkich ostatniego wieczora w Rzymie.

Przyłożyła dłoń do ust i głęboko westchnęła.

- Czy papież też wie?

Wskazał gestem na Ambrosiego.

- Jeśli ten sukinsyn już wie, to wie też Valendrea.

Starsza pani się przeżegnała.

Spojrzał na Ambrosiego i zrozumiał.

- Powiedz mi, gdzie jest Katerina.

- Jest bezpieczna, póki co. Ale wiesz, czego chcę.

- Skąd wiesz, że to znajduje się w moim posiadaniu?

- Masz to ty albo ta kobieta.

- Sądziłem, że Valendrea kazał tego szukać mnie.

Miał nadzieję, że Irma nie wtrąci się do dyskusji.

- A odbiorcą przesyłki, którą przywieziesz, będzie kardynał Ngovi.

- Nie wiem, co powinienem uczynić.

- Zakładam, że jednak wiesz.

Czuł ochotę, by wybić Ambrosiemu z głowy wszelką arogancję, ale to on wciąż trzymał go na muszce.

- Czy Katerinie coś grozi? - zapytała Irma.

- Nic jej nie jest - odparł Ambrosi.

- Mówiąc szczerze, Ambrosi - odezwał się Michener - Katerina to twój problem. Była twoim szpiegiem. Już mi na niej nie zależy.

- Jestem pewien, że będzie załamana, kiedy to usłyszy.

Wzruszył ramionami.

- Sama wmieszała się w tę kabałę i sama musi się z tego wykaraskać.

Zastanawiał się, czy w ten sposób nie zagraża bezpieczeństwu Kateriny, ale wiedział, że najmniejsza oznaka słabości może pociągnąć za sobą oplakane skutki.

- Chcę dostać tłumaczenie Tibora - oznajmił Ambrosi.

- Nie mam go.

- Ale Klemens przysłał tu ten dokument. Mam rację?

- Tego jeszcze nie wiem.

Musiał grać na zwłokę.

- Mogę go jednak odnaleźć. Jest jeszcze coś - dodał i wskazał na Irmę. - Kiedy się tego podejmę, chcę, żeby ta dama odeszła wolno. Ona nie ma z tym nic wspólnego.

- Klemens ją w to wmieszał, nie ja.

- Jeśli chcesz zdobyć ten dokument, taki jest mój warunek. W przeciwnym razie

przekażę go prasie.

W chłodnym zachowaniu Ambrosiego dostrzegł ożywienie. Włoch niemal się uśmiechnął. Michener dobrze go rozpracował, Valendrea przysłał swego pachołka po to, by zniszczył informację, nie zaś ją odzyskać.

- Nie będzie w to wmieszana - zgodził się Ambrosi - pod warunkiem że nie przeczytała tekstu.

- Nie zna włoskiego.

- Ale ty znasz. Pamiętaj więc o moim ostrzeżeniu. Znacznie ograniczysz mi możliwości manewru, jeśli zignorujesz moje zalecenia.

- Skąd będziesz wiedział, Ambrosi, czy to przeczytałem?

- Zakładam, że treść dokumentu jest tak szokująca, iż trudno ją zaakceptować. Poprzedni papież ją odrzucili. Niech tak więc pozostanie, Michener. To już cię nie dotyczy

- Jak na coś, co mnie nie dotyczy, tkwię w tym po same uszy. Podobnie jak emisariusz, którego posłałeś wczorajszego wieczora.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Na twoim miejscu powiedziałbym to samo.

- Co z Klemensem? - zapytała Irma, z błaganiem w głosie, najwyraźniej wciąż myśląc o listach.

Ambrosi wzruszył ramionami.

- Jego pamięć jest w waszych rękach. Nie życzę sobie, by mieszała się w to prasa. Jeśli jednak do tego dojdzie, będziemy w stanie doprowadzić do pewnych przecieków, które zniszczą pamięć jego... oraz pani.

- Wyjawicie światu, w jaki sposób umarł? - zapytała zszokowana.

Ambrosi rzucił Michenerowi szybkie spojrzenie

- Ona wie?

Przytaknął.

- Podobnie jak ty, z tego co widać.

- Dobrze. To ułatwi sprawę. Tak, jesteśmy w stanie wyjawić to światu, lecz nie w sposób bezpośredni. Pogłoski uczynią o wiele więcej zła. Ludzie wciąż wierzą, że świętej pamięci Jan Paweł I został zamordowany. Kilka listów, które sobie pozostawiliśmy, w zupełności wystarczy. Jeśli cenicie jego pamięć, o czym jestem głęboko przekonany, będziecie ze mną współpracować w tej sprawie i nic nigdy nie ujrzy światła dziennego.

Irma nie odpowiedziała, ale po jej policzkach spłynęły łzy

- Niech pani nie płacze - podjął Ambrosi. - Ojciec Michener zrobi to, co do niego

należy. Zresztą jak zawsze.

Papieski wysłannik ruszył w stronę drzwi, po chwili się zatrzymał.

- Powiedziano mi, że dzisiaj wieczorem nastąpi odsłonięcie żłobków, z których słynie Bamberg. We wszystkich kościołach szopki są już gotowe. Msza zostanie odprawiona w katedrze. Zbierze się tam dużo wiernych. Początek o ósmej wieczorem. Może dołączymy do wiernych o siódmej i wymienimy to, co mamy, na to, co pragniemy mieć.

- Nie powiedziałem, że chcę czegokolwiek od ciebie.

Ambrosi odpowiedział irytującym uśmiechem.

- Ale przyjdiesz. Wieczorem. Do katedry.

Wskazał gestem na okno i budynek wieńczący szczyt wzgórza po drugiej stronie rzeki.

- Będzie tam spory tłum, wszyscy więc będziemy czuli się pewniej. Albo, jeśli sobie życzyście, możemy dokonać wymiany teraz.

- O siódmej w katedrze. A teraz wynoś się stąd.

- Pamiętaj, co powiedziałem, Michener. Zostaw kopertę zalakowaną. Wyświadczyć tę uprzejmość sobie, pani Lew oraz pani Rahn.

Po tych słowach Ambrosi wyszedł.

Irma siedziała, cicho szlochając.

- Ten człowiek jest diabłem - przemówiła w końcu.

- On i nasz nowy papież.

- Czy on jest powiązany z Piotrem?

- To jego osobisty sekretarz.

- Co tu się dzieje, Colinie?

- Żeby to wiedzieć, muszę przeczytać zawartość koperty - odparł, ale wiedział też, że powinien ją chronić.

- Chcę, żebyś wyjechała. Nie zamierzam cię w nic wtajemniczać.

- Dlaczego pragniesz ją otworzyć?

Trzymał kopertę w dłoni.

- Muszę dowiedzieć się, co jest tak ważne.

- Ten człowiek dał jasno do zrozumienia, że nie powinieneś tego czynić.

- Do diabła z Ambrosim - odparł tonem, którego surowość zaskoczyła nawet jego.

Irma sprawiała wrażenie, jakby zastanawiała się nad jego kłopotliwą sytuacją.

- Dopilnuję, żeby nikt ci nie przeszkadzał.

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Zawiasy lekko zaskrzypiały, jak te w watykańskim

archiwum w tamten deszczowy poranek przed miesiącem, kiedy ktoś go obserwował.

Z pewnością był to Paolo Ambrosi.

Z dali dobiegł go przytłumiony odgłos hejnałowej trąbki. Nad rzeką rozległo się bicie dzwonów, obwieszczających godzinę pierwszą po południu.

Usiadł i otworzył kopertę.

Wewnątrz znajdowały się dwie kartki papieru, jedna niebieska, druga jasnobrązowa. Zaczął lekturę od niebieskiej stronicy, zapisanej dłonią Klemensa.

*Colinie, teraz wiesz już z pewnością, że Matka Boska przekazała coś więcej. Powierzam Jej słowa tobie. Okaż mądrość, robiąc z nich użytek.*

Drżącymi rękoma odłożył na bok jasnoniebieską kartkę. Klemens najwidoczniej był przekonany, że on dotrze do Bambergu i że pozna zawartość koperty

Rozłożył kartkę jasnobrązową.

Atrament był niebieski, papier szeleszczący i nowy. Przejrzał włoski przekład, którego znaczenie przemknęło niczym błyski przez jego umysł. Przy drugim czytaniu skorygował język. Po trzecim razie wiedział już wszystko, co siostra Łucja przelała na papier w 1944 roku - w drugiej części trzeciej tajemnicy, objawionej jej przez Matkę Boską - a ojciec Tibor przetłumaczył tamtego dnia 1960 roku.

*Zanim Pani się oddaliła, oznajmiła, że jest jeszcze jedno przesłanie, które Pan pragnie przekazać tylko mnie oraz Hiacyncie. Powiedziała nam, że jest Matką Bożą i poprosiła, żebyśmy ogłosiły to przesłanie całemu światu w odpowiednim czasie. Kiedy będziemy to czynić, natrafimy na wielkie opory. Posłuchajcie i baczcie na moje słowa, takie było Jej polecenie. Ludzie muszą zmienić się na lepsze. Zgrzeszyli i zdeptali dar, który otrzymali. Moje dziecko, powiedziała Pani, małżeństwo to stan uświęcony. Miłość nie zna granic. To co czuje serce, jest prawdziwe, bez względu na to, wobec kogo i dlaczego to czuje, Bóg zaś nie określił granic tego, co tworzy trwałą więź. Wiedźcie, że jedyną miarą miłości jest odczuwane szczęście. Wiedźcie też, że kobiety są w równym stopniu częścią Bożego Kościoła, co mężczyźni. Powołania kapłańskie do służby Panu nie są wyłącznym przywilejem mężczyzn. Księżom oddanym Bogu nie należy zabraniać miłości i życiowej towarzyski, nie wolno im odbierać radości z posiadania dzieci. Służenie Bogu nie oznacza rezygnacji z podążania za głosem serca. Duchowni powinni czerpać z życia w każdej sferze. I na koniec, powiedziała Pani, wiedźcie, że wasze ciała należą do was. Tak jak Bóg powierzył mi Swego Syna, Pan*

*powierza wam i wszystkim kobietom ich nienarodzone dzieci. Do was należy wybór, co będzie najlepsze. Idźcie, moje dzieci i głoscie chwałę tych słów. W tej misji zawsze będę przy waszym boku.*

Nie mógł pohamować drżenia rąk. I nie chodziło przy tym o jakież prowokacyjne słowa siostry Łucji. Coś innego wzbudziło w nim ten stan.

Sięgnął do kieszeni i znalazł w niej przesłanie zapisane przez Jasną dwa dni temu. Słowa Matki Boskiej przekazane widzącej na szczycie góry w Bośni. Dziesiąty sekret z Medjugorie. Rozwinął kartkę i przeczytał przesłanie kolejny raz.

*Nie lękajcie się, jestem Matką Bożą, która do was przemawia i prosi was, żebyście ogłosili to przesłanie całemu światu. Kiedy będziecie to czynić, natraficie na wielkie opory. Posłuchajcie i baczcie na moje słowa. Ludzie muszą zmienić się na lepsze. Wnosząc pokorne prośby, muszą błagać o przebaczenie za grzechy już popełnione oraz za te, których się dopuszczają. Ogłoszcie w moim imieniu, że wielka kara spadnie na rodzaj ludzki, nie dzisiaj, nie jutro, ale już wkrótce, jeśli moje słowa będą dalej ignorowane. Objawiłam to wcześniej błogosławionym dzieciom w La Salette i później w Fatimie, a dzisiaj powtarzam to wam, ponieważ rodzaj ludzki zgrzeszył i podeptał dar otrzymany od Boga. Nadejdzie pora wszystkich pór i koniec wszelkich końców, jeśli rodzaj ludzki nie nawróci się. Jeśli wszyscy pozostaną tacy, jacy są teraz, albo zmienią się na gorsze, wielcy i potężni zostaną unicestwieni wraz z małymi i słabymi.*

*Rozważcie te słowa. Dlaczego prześladowani mają być mężczyzna lub kobieta, którzy kochają inaczej niż inni? Takie prześladowania nie są po myśli Pana. Wiedźcie, że w stadło małżeńskie mogą wstępować wszyscy bez ograniczeń. Każdy opór wobec tego jest przejawem ludzkiej nietolerancji, nie głosem Pana. Bóg wysoko ceni kobiety. Ich boska posługa zbyt długo była zakazana, a ta nierówność nie cieszy niebios. Kapłani Chrystusa winni być szczęśliwi i czerpać obficie z życia. Nie powinno się im zabraniać radości przeżywania miłości i płodzenia dzieci. Ojciec Święty uczyni dobro, jeśli to zrozumie. Ostatnie z mych słów są najważniejsze. Wiedźcie, że zostałam Matką Boga ze świadomego wyboru. Do kobiety należy wybór, czy pragnie mieć potomka i nikomu nie wolno w tę decyzję ingerować. Idźcie teraz i ogłoszcie moje słowa przed światem i obwieszczajcie dobroć Pana, ale pamiętajcie, że zawsze będę przy waszym boku.*

Zsunął się z krzesła i upadł na kolana. Wnioski z lektury były jednoznaczne. Dwa

przesłania. Jedno spisane przez portugalską zakonnice w 1944 roku - kobietę mało wykształconą i słabo władającą językiem, przetłumaczone przez księdza w 1960 roku - stanowiło podsumowanie tego, co obwieściła Matka Boska 13 lipca 1917 roku, kiedy zstąpiła z niebios. Drugie przesłanie zostało przelane na papier przed dwoma dniami - przez widzącą, która doświadczyła tysięcy objawień - był to zapis słów przekazanych jej na szczycie góry podczas burzy, kiedy Matka Boska objawiła się jej po raz ostatni.

Oba wydarzenia oddzielało od siebie prawie sto lat.

Pierwsze przesłanie przechowywano w Watykanie w zalakowanej kopercie, z jego treścią zapoznali się jedynie papież i bułgarski kapłan, który dokonał przekładu. Żaden z nich nigdy nie poznał widzącej, która spisała to drugie przesłanie. Osoba, której powierzono drugie przesłanie, nie miała żadnej sposobności, by poznać treść pierwszego. A przecież treść obu była w zasadzie identyczna - a wspólnym mianownikiem stał się posłaniec, który je przekazał.

Maria, Matka Boga.

Przez dwa tysiące lat ci, którzy wątpili, pragnęli dowodu na potwierdzenie istnienia Boga. Czegoś namacalnego, co potwierdzałoby, bez cienia wątpliwości, że On był żywą istotą, świadomą istnienia świata i obecną w każdej jego sferze. W grę nie wchodziła przypowieść ani metafora. Chodziło o władcę niebios, stwórcę człowieka i autora stworzenia świata. Michener przywołał w myślach własną wizję z udziałem Madonny.

„Co jest moim przeznaczeniem, Jakobie?” - zapytał.

„Masz być znakiem dla tego świata. Światłem przewodnim dla pokutników. Posłańcem, który ogłosi, że Bóg wciąż jest żywy.”

Wtedy uznał to za halucynacje. Teraz wiedział, że wizja była realna.

Przeżegnał się i po raz pierwszy zaczął się modlić, mając pewność, iż Bóg go słucha. Prosił o przebaczenie dla Kościoła oraz ludzkiej głupoty, zwłaszcza własnej. Jeśli Klemens miał rację, a przecież teraz nie miał żadnych powodów, by wątpić w jego słowa, w 1978 roku Alberto Valendrea wykradł drugą część trzeciej tajemnicy, przeczytaną chwilę wcześniej. Wyobraził sobie, co musiał pomyśleć Valendrea, kiedy po raz pierwszy ujrzał te słowa. Dwa tysiące lata nauczania prowadzonego przez Kościół odrzucone przez niepiśmienne portugalskie dziecko. Kobiety mogą nosić sutanny? Księża mogą się żenić i mieć dzieci? Homoseksualizm nie jest grzechem? Macierzyństwo jest kwestią wolnego wyboru kobiety? Wczoraj Valendrea, kiedy czytał przesłanie z Medjugorie, natychmiast zdał sobie sprawę z tego, co wiedział teraz także Michener.

Wszystko to było Słowem Bożym.

Znów przyszyły mu na myśl słowa Matki Boskiej. „Ale nie porzucaj wiary, gdyż tylko ona ci pozostanie.”

Zacisnął powieki. Klemens miał rację. Syn człowieczy był głupcem. Niebo usiłowało poprowadzić rodzaj ludzki we właściwym kierunku, lecz bezmyślni ludzie ignorowali każdy wysiłek niebios. Przywołał w pamięci fakt zaginięcia maryjnego przesłania przekazanego dzieciom z La Salette. Czy przed ponad wiekiem inny papież dopuścił się tego samego, co później uczynił Valendrea? Mogło to wyjaśniać, dlaczego Madonna objawiała się później jeszcze w Fatimie i potem w Medjugorje. Podejmowała kolejną próbę. Ale Valendrea nie dopuścił do publicznego ujawnienia treści tych przesłań, niszcząc materialne dowody. Klemens przynajmniej spróbował. „Matka Boska powróciła i oświadczyła, że mój czas nadszedł. Towarzyszył jej ojciec Tibor. Spodziewałem się, że zabierze mnie ze sobą, lecz Ona powiedziała, że muszę własną ręką przerwać swój żywot. Ojciec Tibor oznajmił, że jest to mój obowiązek, pokuta za okazane nieposłuszeństwo. Później wszystko miało stać się jasne. Zastanawiałem się, co spotka moją duszę, ale powiedziano, że Pan już czeka. Zbyt długo ignorowałem Jego wolę. Tym razem tego nie uczynię.” Te słowa nie były rojeniami obłąkanej duszy czy listem samobójcy, człowieka niezrównoważonego. Teraz zrozumiał, dlaczego Valendrea nie mógł dopuścić do tego, żeby porównać odtworzoną kopię przekładu ojca Tibora z przesłaniem przekazanym przez Jasną.

Konsekwencje były wręcz druzgocące.

*„Powołania kapłańskie do służby Panu nie są wyłącznym przywilejem mężczyzn.”* Stanowisko Kościoła w kwestii kapłaństwa kobiet było nieugięte. Od czasów cesarstwa rzymskiego papieże zwoływali zgromadzenia hierarchów, na których potwierdzano przyjętą tradycję. Chrystus był mężczyzną, a zatem duchownymi również byli mężczyźni.

*„Kapłani Chrystusa winni być szczęśliwi i czerpać obficie z życia. Nie powinno się im zabraniać radości przeżywania miłości i płodzenia dzieci”* Celibat był dogmatem wymyślonym przez człowieka i przez człowieka egzekwowanym. Chrystus miał ponoć żyć w celibacie. Zatem jego księża również powinni.

*„Dlaczego prześladowani mają być mężczyzna lub kobieta, którzy kochają inaczej niż inni?”* Księga Rodzaju opisuje, że kobieta i mężczyzna łączą się w jedno ciało, by przekazać życie potomstwu, a zatem Kościół od dawna naucza, że grzechem jest zjednoczenie ciała, którego rezultatem nie jest poczęcie.

*„Tak jak Bóg powierzył mi Swego Syna, Pan powierza wam i wszystkim kobietom ich nienarodzone dzieci. Do was należy wybór, co będzie najlepsze”* Kościół stanowczo i konsekwentnie przeciwstawiał się kontroli urodzin pod każdą postacią. Kolejni papieże



wydawali dekryty stanowiące, że płód posiada duszę i jest istotą ludzką zasługującą na życie. Życie płodu należało ratować nawet kosztem życia matki.

Najwyraźniej ludzkie wyobrażenie o Słowie Bożym odbiegało dalece od samego Słowa. Co gorsza, przez całe stulecia proklamowano nieugięte stanowisko wobec Boskiego posłania, które później opatrzone dogmatem papieskiej nieomyślności. Teraz dogmat ten okazał się fałszem, bowiem żaden z papieży nie uczynił tego, czego żądały od nich niebios. Jakie były słowa Klemensa? „Jesteśmy jedynie ludźmi, Colinie. Niczym więcej. Nie jestem bardziej nieomyślny niż ty. A mimo to ogłaszamy siebie książętami Kościoła. Pobożnymi kapłanami, których jedyną troską jest sprawianie przyjemności Bogu, choć w rzeczywistości sprawiamy przyjemność sobie.” Klemens miał rację. Niech Bóg błogosławi jego duszę, bowiem miał rację.

Po lekturze kilku linijek, zapisanych przez błogosławione kobiety, błędy popełniane przez Kościół od dwóch tysięcy lat stały się oczywistością. Znowu pogrążył się w modlitwie, tym razem dziękując Bogu za cierpliwość. Wnosił błagania do Pana, by wybaczył rodzajowi ludzkiemu, potem poprosił Klemensa, żeby miał nad nim pieczę w ciągu najbliższych godzin.

Absolutnie nie mógł dopuścić do tego, żeby tłumaczenie ojca Tibora wpadło w łapska Ambrosiego. Matka Boska oznajmiła mu, iż on jest znakiem dla świata. Światłem przewodnim dla pokutników. Posłańcem, który ma ogłosić, że Bóg jest żywy. Jeśli ma tego dokonać, potrzebuje pełnego tekstu trzeciej tajemnicy fatimskiej. Uczeni powinni przebadąć ten dokument, wyeliminować z niego to, co nie da się wyjaśnić, pozostawiając tylko jeden wniosek.

Ale zatrzymanie słów ojca Tibora stwarzało realne zagrożenie dla Kateriny

Ponownie pogrążył się w modlitwie, tym razem oczekując wskazówki.

16:30

Katerina usiłowała uwolnić ręce i nogi z grubej taśmy. Ręce miała spętane na plecach, leżała na twardym materacu, na który narzucono szorstką kapę, przesyconą zapachem farby. Przez jedyne okno widziała nadchodzący zmierzch. Usta również miała zaklejone, więc zmuszała się do zachowania spokoju i oddychała powoli przez nos.

Nie miała pojęcia, jak znalazła się w tym miejscu. Pamiętała jedynie, że Ambrosi dusił ją, a potem świat przemienił się w ciemność. Ocknęła się jakieś dwie godziny temu. Jedyne dźwiękami, jakie zdołała usłyszeć, były sporadyczne odgłosy dobiegające z ulicy. Odnosiła wrażenie, że znajduje się na wyższej kondygnacji, być może w jednym z barokowych budynków usytuowanych przy zabytkowych uliczkach Bambergu w pobliżu kościoła św. Gangolfa. Ambrosi nie mógł przenieść jej daleko. Zimne powietrze wysuszyło jej nozdrza, cieszyła się, że nie zdjął z niej płaszcza.

W kościele przez moment pomyślała, że jej życie dobiega kresu. Najwyraźniej jednak więcej była warta jako żywa - z pewnością Ambrosi pragnął posłużyć się nią jako kartą przetargową, z której pomocą wymusi na Michenerze wydanie tego, na czym mu zależy.

Tom Kealy miał rację co do Valendrei, ale mylił się w ocenie jej zdolności radzenia sobie w pojedynkę. Pasja tych mężczyzn przekraczała wszystko, co do tej pory poznała. Valendrea oświadczył na posiedzeniu Trybunału, że Kealy został opętany przez diabła. Jeśli miało to być prawdą, Kealy i Valendrea znaleźli się w tej samej ekipie.

Usłyszała, jak drzwi zewnętrzne otwierają się, potem zamykają. Dobiegły ją odgłosy zbliżających się kroków. Drzwi pokoju otworzyły się i do środka wszedł Ambrosi, ściągając rękawiczki.

- Wygodnie? - zapytał.

Śledziła wzrokiem jego ruchy. Ambrosi rzucił płaszcza na krzesło i usiadł na łóżku.

- Pewnie w kościele byłaś przekonana, że umierasz. Życie to taki wspaniały dar, nieprawdaż? Oczywiście nie jesteś w stanie udzielić odpowiedzi, ale to w niczym nie przeszkadza. Lubię sam odpowiadać na swoje pytania.

Najwyraźniej był bardzo z siebie zadowolony

- Życie jest zaiste darem, a ciebie nim obdarzyłem. Mogłem cię zabić, pozbywając się przy tym problemu, który dla mnie stanowisz.

Leżała w absolutnym bezruchu. Jego wzrok przesunął się po jej ciele.

- Michener cieszył się urokami twego ciała, prawda? Zaznawał rozkoszy, jestem tego pewien. Co powiedziałaś mi wtedy w Rzymie? Sikasz na siedząco, więc nie powinienem się tobą interesować. Sądziś, że nie potrafię pożądać kobiety? Uważasz, że nie wiem, jak to się robi? Ponieważ jestem księdzem? Albo dlatego, że jestem pedziem?

Zastanawiała się, czy ten spektakl ma przynieść korzyść jej czy jemu.

- Twój kochanek oznajmił, że ma zupełnie gdzieś to, co się z tobą stanie.

Wypowiadał te słowa z nieskrywaną radością.

- Nazwał cię moim szpiegiem. Stwierdził, że stanowisz mój problem, nie jego. Być może ma rację. W końcu to ja cię wynająłem.

Starła się nie okazywać w oczach trwogi.

- Sądziś, że to Ojciec Święty sięgnął po twoją pomoc? Nie, to ja dowiedziałem się o tobie i Michenerze. To ja pierwszy rozważyłem taką możliwość. Gdyby nie ja, Piotr nie wiedziałby o niczym.

Nagłym ruchem szarpnął ją i zerwał taśmę z jej twarzy. Zanim zdołała wydać z siebie dźwięk, przyciągnął ją do siebie i przycisnął swoje wargi do jej ust. Dotyk jego języka przyprowadził ją o torsje, usiłowała cofnąć się, lecz on obejmował ją kurczowo. Przechylił jej głowę na bok i chwycił za włosy, wysysając oddech z jej płuc. Poczula smak piwa. W końcu zacisnęła zęby na jego języku. Cofnął się, lecz ona rzuciła się za nim, chwytając za dolną wargę i rozgryzając ją do krwi.

- Ty pieprzona suko - wykrzyknął, rzucając ją na łóżko.

Wypluła z ust jego ślinę, jakby pozbywała się zła. Pochylił się do przodu i uderzył ją w twarz wierzchem dłoni. Cios sprawił piekący ból, poczuła też krew. Uderzył ją jeszcze raz z taką siłą, że walnęła głową o ścianę tuż nad krawędzią łóżka.

Pokój zawirował jej przed oczyma.

- Powinienem cię zabić - wymamrotał.

- Pierdol się - zdoła syknąć, obróciła się na plecy, ale wciąż kręciło się jej w głowie.

Przycisnęła rękaw koszuli do krwawiącej wargi.

Z jej ust sączyła się strużka krwi. Wtuliła twarz w koc. Na tkaninie pojawiły się czerwone plamy

- Lepiej dla ciebie, żebyś mnie zabił. Jeśli tego nie zrobisz, zabiję cię przy pierwszej sposobności.

- Nie doczekasz się tej sposobności.

Zdała sobie sprawę, że jest bezpieczna do chwili, kiedy Ambrosi nie zdobędzie tego, czego pragnie. Colin postąpił słusznie, wmawiając temu idiocie, że ona nie jest nikim ważnym.

Podszedł znowu do łóżka, wciąż przyciskając zranioną wargę.

- Mam tylko nadzieję, że twój ukochany zignoruje to, co mu powiedziałem. Zamierzam nacieszyć się widokiem was dwojga, jak będziecie umierać.

- Wielkie słowa, mały człowieczku.

Rzucił się do przodu, obrócił ją na plecy i usiadł na niej okrakiem. Wiedziała jednak, że jej nie zabije. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

- Co jest, Ambrosi? Nie wiesz, co się dalej robi?

Targnęła nim gniew. Prowokowała go, ale niech ją diabli.

- Powiedziałem Piotrowi po powrocie z Rumunii, żeby zostawił cię w spokoju.

- Więc to dlatego jego fagas bije mnie bez pardonu?

- Powinnaś dziękować losowi, że ograniczam się jedynie do tego.

- Może Valendrea byłby zazdrosny. Czy nie powinniśmy zachować tego między nami?

Szyderstwo spowodowało, że znów poczuła ucisk na szyi. Nie na tyle mocny, by przestała oddychać, ale na tyle silny, by zrozumiała, że powinna zamilknąć.

- Jesteś odważny wobec kobiety ze związanymi rękoma i nogami. Rozwiąż mnie i przekonamy się, czy nadal będziesz taki odważny.

Ambrosi przekręcił ją ponownie na brzuch.

- Nie jesteś tego warta. Zostało nam zaledwie parę godzin. Wybieram się na kolację, zanim załatwię te sprawy - wyjaśnił i spojrział na nią świdrującym wzrokiem. - Definitywnie.

WATYKAN, 18:30

Valendrea spacerował po ogrodach i cieszył się niezwykle łagodnym grudniowym wieczorem. Pierwsza sobota jego pontyfikatu była pracowitym dniem. Rankiem odprawił mszę, potem przyjął procesję ludzi, którzy przybyli do Rzymu, by złożyć mu najlepsze życzenia. Popołudnie rozpoczęło się od zgromadzenia kardynałów. W mieście wciąż jeszcze przebywało ich blisko osiemdziesięciu, w trakcie spotkania trwającego niemal trzy godziny przedstawił im najważniejsze zamierzenia. Padały zwyczajowe pytania, tym razem jednak miał sposobność ogłosić, że wszystkie nominacje podjęte przez Klemensa XV pozostają w mocy tylko przez następny tydzień. Jedynym wyjątkiem jest pozycja kardynała archiwisty, który zrezygnował wcześniej, jak wyjaśnił papież, z uwagi na zły stan zdrowia. Nowym opiekunem archiwum miał zostać purpurat z Belgii, który zdążył już wyjechać do domu, ale teraz jest ponownie w drodze do Rzymu. Poza tą jedną, nie podjął jeszcze decyzji personalnych i zamierzał zająć się tym dopiero po weekendzie. Dostrzegł wiele spojrzeń oczekujących teraz od niego wywiązania się z obietnic złożonych przed konklawe, ale nikt nie zakwestionował jego publicznego oświadczenia. I to właśnie mu się spodobało.

Przed nim stał kardynał Bartolo, w miejscu uzgodnionym, jeszcze zanim zaczęło się spotkanie z kardynałami.

Prefekt Turyńskiego Całunu upierał się przy tym, by dzisiaj porozmawiali. Wiedział, że Bartolo miał obiecane stanowisko sekretarza stanu, a teraz najprawdopodobniej hierarcha zamierza domagać się dotrzymania obietnicy. Stanowisko to obiecał mu Ambrosi, lecz Paolo doradzał Valendrei, by jak najdłużej zwlekać z wyborem konkretnego kandydata. W końcu Bartolo nie był jedynym purpuratem, któremu obiecano to stanowisko. Tym, którzy przegrają rywalizację, należeć się będzie wyjaśnienie, dlaczego się nie nadają - dostatecznie dobrze uzasadnione, by ukoić ich ból i nie dopuścić do odwetu z ich strony. Niektórym z nich z pewnością należy zaoferować alternatywne posady, lecz zdawał sobie sprawę, że stanowisko sekretarza stanu było warte więcej niż zakusy kardynała seniora.

Bartolo stał w pobliżu Pasetto di Borgo. Średniowieczna alejka wychodziła za mury Watykanu i wiodła do pobliskiego Zamku Anioła, fortyfikacji, w której niegdyś papież

chronili się przed najeźdźcami.

- Eminencjo - pozdrowił rozmówcę Valendrea, podchodząc.

Bartolo pochylił w ukłonie brodatą głowę.

- Ojcie Świąty - odparł starzec, uśmiechając się. - Prawda, że podoba ci się brzmienie tych słów? Przyznaj, Alberto.

- Rzeczywiście są miłe dla ucha.

- Unikasz mnie.

Udał zdziwionego tym spostrzeżeniem.

- Ależ skąd.

- Znam cię nazbyt dobrze. Nie jestem jedynym purpuratem, któremu obiecałeś stołek sekretarzu stanu.

- Trudno pozyskać głosy Musimy robić to, co musimy - starał się utrzymać rozmowę w lekkim nastroju, ale zorientował się, że Bartolo nie jest naiwny

- Osobiście zapewniłem ci co najmniej dwanaście głosów.

- Które, jak się okazało, nie były potrzebne,

Mięśnie na twarzy Bartola stężały.

- Wyłącznie dlatego, że Ngovi się wycofał. Gdyby walka trwała dalej, ten tuzin głosów miałby znaczenie rozstrzygające.

Starzec mówił coraz wyższym głosem, przez co jego słowa traciły moc i brzmiały już niemal niczym błaganie. Valendrea zdecydował się przejść do rzeczy

- Gustavo, jesteś już zbyt stary na urząd sekretarza. To stanowisko wymaga dużo wysiłku. Wiąże się z licznymi podróżami.

Bartolo wpatrywał się w niego. Ten człowiek mógł stać się sojusznikiem, którego trudno ulokować we właściwym miejscu. Kardynał z Turynu rzeczywiście zapewnił mu sporo głosów, co potwierdzały urządzenia podsłuchowe. Był też jego poplecznikiem od samego początku. Ale Bartolo cieszył się reputacją obiboka o kiepskim wykształceniu, bez dyplomatycznego doświadczenia. Wybór jego osoby na ważne stanowisko, a zwłaszcza tak istotne, nie spotkałby się z uznaniem. Była jeszcze trójka kandydatów, którzy harowali równie ciężko, lecz mieli znakomite wykształcenie i wielkie uznanie wśród kardynałów. Mimo to Bartolo oferował jedną rzecz, której nie dawali tamci. Absolutne posłuszeństwo. To zaś był argument nie do pogardzenia.

- Gustavo, gdybym miał rozważyć twoją nominację, to jedynie pod pewnymi warunkami - oznajmił, sondując grunt i sprawdzając gotowość purpurata do ustępstw.

- Słucham.

- Zamierzam osobiście kierować polityką zagraniczną. Każdą decyzję będę podejmował ja, nie ty. Musiałbyś robić dokładnie to, co ci polecę.

- Jesteś papieżem.

Odpowiedź padła szybko, co wskazywało na silną żądzę objęcia stanowiska.

- Nie będę tolerował oporów ani działań na własną rękę.

- Alberto, noszę sutannę od blisko pięćdziesięciu lat i zawsze robiłem to, co nakazywali papieże. Uklęknąłem nawet i pocałowałem pierścień Jakoba Volknera, człowieka, którym pogardzałem. Nie widzę żadnej przyczyny, dla której miałbyś wątpić w moją lojalność.

Pozwolił, żeby surowy wyraz twarzy ustąpił miejsca uśmiechowi.

- Nie podaję niczego w wątpliwość. Pragnę po prostu, by reguły były jasne.

Ruszył powoli ścieżką, Bartolo podążył za nim. Wskazał w górę.

- Niegdyś papieże czmychali tą ścieżką z Watykanu. Kryli się jak dzieci bojące się ciemności. Ta myśl przyprawia mnie o mdłości.

- Obce armie nie okupują już Watykanu.

- Nie ma tu żołnierzy, ale wrogie armie wciąż dokonują inwazji. Dzisiaj niewierni przybywają tu pod przykrywką reporterów i felietonistów. Przynoszą ze sobą kamery i notebooki i usiłują podkopać fundamenty Kościoła, wspomagani przez liberałów i dysydentów. Czasami, Gustavo, nawet papieże byli ich sojusznikami, jak choćby Klemens XV.

- Jego śmierć to błogosławieństwo.

Spodobało mu się to, co usłyszał, wiedział też, że nie jest to komunał.

- Zamierzam przywrócić papiestwu blask i splendor. Papież ściąga milionowe rzesze w każdym zakątku globu, w którym się pojawi. Rządy powinny czuć respekt przed tym potencjałem. Chcę też przejść do annałów jako papież, który podróżował najwięcej w dziejach Kościoła.

- By tego dokonać, będziesz potrzebować stałej asysty ze strony sekretarza stanu,.

Podeszli kawałek dalej.

- To samo sobie pomyślałem, Gustavo.

Valendrea spojrział ponownie na wyłożone cegłami przejście i wyobraził sobie, jak po raz ostatni zwierzchnik Kościoła uciekał tędy z Watykanu przed niemieckimi najemnikami szturmującymi Rzym. Pamiętał dokładną datę - 6 maja 1527 roku. Zginęło wtedy stu sześćdziesięciu siedmiu szwajcarskich gwardzistów stojących na straży papieża. Następca Piotra z ledwością zdołał zbiec sekretnym korytarzem, zrzucając białą szatę, żeby nikt go

nie rozpoznał.

- Nigdy nie ucieknę z Watykanu - dał jasno do zrozumienia kardynałowi Bartolo oraz otaczającym go murom.

Poczuł nagle znaczenie tej chwili i postanowił nie zastosować się do rady Ambrosiego.

- W porządku, Gustavo, ogłoszę twoją nominację w poniedziałek. Będiesz moim sekretarzem stanu. Służ mi dobrze.

Twarz starego człowieka promieniała.

- Znajdziesz we mnie pełne oddanie.

Bartolo uznał, że stał się najbardziej lojalnym sojusznikiem nowego papieża.

Ambrosi dzwonił dwie godziny wcześniej i poinformował Valendrę, że kopia tłumaczenia ojca Tibora powinna znaleźć się w jego posiadaniu o siódmej wieczorem. Jak dotąd wszystko wskazywało na to, że nikt nie czytał dokumentu. Raport bardzo go zadowolił.

Spojrzał na zegarek. Szósta pięćdziesiąt po południu.

- Odbiegłeś gdzieś myślami, Ojczy Święty?

- Nie, Eminencjo, zastanawiałem się jedynie na inną kwestię, która w tej chwili jest rozwiązywana.



BAMBERG, 18:50

Michener wspinał się stromą uliczką w kierunku katedry św. Piotra i Jerzego, aż wszedł na podłużny, równie stromy plac. Poniżej, tam gdzie leżało miasto ozdobione plamkami świateł, rozciągał się krajobraz dachów z wypalanej gliny oraz kamiennych wież. Z ciemnego nieba znów zaczął padać gęsty, wirujący śnieg, lecz nie zniechęciło to tłumów zmierzających w stronę kościoła, którego cztery strzeliste wieże pograżone były w niebieskawej poświacie.

Celebrowanie adwentu w kościołach i na placach Bambergu było tradycją liczącą już ponad czterysta lat i polegało na odtwarzaniu scen z betlejemskiej stajenki. Dowiedział się od Irmy Rahn, że uroczysta procesja rozpoczynała się zawsze w katedrze, gdzie biskup błogosławi zgromadzonych, a potem wszyscy idą do miasta, by podziwiać doroczne dziękczynne ofiary. Wielu wiernych przybywa z całej Bawarii, Irma ostrzegła więc, że ulice będą zatłoczone i głośnie.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta.

Rozejrzał się dookoła i obserwował całe rodziny zmierzające ku wejściu do katedry; dzieciaki rozmawiały o nieustannie padającym śniegu, Bożym Narodzeniu i Świętym Mikołaju. Po prawej stronie dostrzegł grupę ludzi skupioną wokół kobiety opatulonej w grubym wełnianym płaszczu. Przysiadła ona na murku i opowiadała o katedrze oraz Bambergu. Najwidoczniej była to jakaś wycieczka.

Zastanawiał się, co pomyśleliby sobie ludzie, gdyby wiedzieli tyle, ile on wie teraz. To nie człowiek stworzył Boga.

Wręcz przeciwnie, zgodnie z tym, co teologowie i święci głosili od początku dziejów, Bóg był od zawsze, obserwował z góry, wielokrotnie zadowolony, kiedy indziej zawiedzony, czasami nawet rozgniewany. Najstarsze z zaleceń wydawało się najbardziej trafne. Służcie Mu godnie i wiernie.

Ciągle odczuwał trwogę na myśl o pokucie, którą będzie musiał odprawić za grzechy. Być może obecna misja stanowiła jej część. Poczul jednak ogromną ulgę na wieść, że jego miłość do Kateriny nigdy nie była czymś grzesznym, przynajmniej z punktu widzenia niebios. Jak wielu księży musiało opuścić szeregi Kościoła, dopuściwszy się podobnego błędu? Jak

wielu dobrych ludzi umarło w przekonaniu, że zgrzeszyli?

Zamierzał już ominąć grupę turystów, kiedy słowa wypowiedziane przez przewodniczkę przyciągnęły jego uwagę.

- ...miasto siedmiu wzgórz.

Zamarł w bezruchu.

- W dawnych czas tak nazywano Bamberg. Określenie to odnosi się do siedmiu wzgórz usytuowanych po obu stronach rzeki. Trudno to obecnie dostrzec, ale mamy tu siedem wzniesień, a na każdym z nich dawniej znajdowała się sadyba księcia, biskupa albo kościoł. W czasach Henryka II Świętego, kiedy miasto stało się stolicą Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, analogia w nazwie przyczyniła się do zbliżenia tego ośrodka politycznego z centrum religijnym w Rzymie, które było drugim miastem położonym na siedmiu wzgórzach.

*„W ostatniej fazie prześladowań Świętego Kościoła Rzymskiego na tronie zasiądzie Piotr Rzymianin, który będzie karmił swą trzodę pośród licznych udręk, po których w mieście siedmiu wzgórz straszliwy sędzia osądzi wszystkich ludzi”* W jedenastym stuleciu miał to przepowiedzieć św. Malachiasz. Wcześniej Michener był przekonany, że miasto siedmiu wzgórz z proroctwa to Rzym. Nie miał pojęcia, że Bamberg również tak nazywano.

Zamknął oczy i ponownie pogrążył się w modlitwie. Czy był to kolejny znak od niebios? Wskazówka, odnosząca się do tego, co ma się zdarzyć?

Spojrzał na portal katedry w postaci ostro zwieńczonego łuku. Tympanon, skąpany w jaskrawym świetle, przedstawiał postać Chrystusa na Sądzie Ostatecznym. Maria i Jan, usadowieni u jego stóp, wznosili modły za dusze wstające z grobów. Błogosławione dusze przesuwały się w kierunku Marii ku niebiosom, natomiast potępionych ściągały do piekieł diabły o twarzach wykrzywionych satanicznym śmiechem. Czy dwa tysiące lat arogancji chrześcijan doprowadziło do tej nocy - do miejsca, do którego miał dotrzeć rodzaj ludzki, jak przepowiedział to irlandzki święty przed niemal tysiącem lat?

Wciągnął w płuca zimne powietrze, zebrał w sobie siły i zaczął przepychać się w stronę nawy głównej, pomagając sobie łokciami. W środku ściany z piaskowca pogrążone były w łagodnej poświacie. Zwrócił uwagę na sklepienie z masywnym żebrowaniem, grube filary, liczne rzeźby oraz wysokie okna. Za nim znajdował się chór. Drugi kraniec nawy głównej zwieńczał ołtarz. Z tyłu za ołtarzem znajdował się grobowiec Klemensa II, jedyne papieża pochowanego na niemieckiej ziemi, imiennika Jakoba Volknera.

Zatrzymał się przy marmurowej chrzcielnicy i zamoczył palce w święconej wodzie. Przeżegnał się i odmówił kolejną modlitwę w intencji tego, co zamierzał zrobić.

Rozejrzał się dookoła po zebranych tłumie, który wypełnił rzędy długich ławek.

Ministranci w komżach zajęci byli przygotowaniami sanktuarium do uroczystości. Wysoko po lewej dostrzegł Katerinę przy potężnej kamiennej balustradzie. Obok niej stał Ambrosi, w tym samym ciemnym płaszczu i szaliku, co wcześniej. Po lewej i prawej stronie balustrady biegły bliźniacze schody, na których tłoczyli się ludzie. Pośrodku między schodami znajdował się cesarski grób. Klemens opowiadał kiedyś o nim - dzieło Riemenschneidera, liczne rzeźby przedstawiające Henryka II i jego małżonkę. Ich doczesne szczątki spoczywały w tym grobowcu od pięciuset lat.

Zdał sobie sprawę, że Ambrosi trzyma Katerinę na muszce, ale nie sądził, żeby papieski sekretarz zaryzykował użycie broni wewnątrz świątyni. Zastanawiał się, czy gdzieś w tłumie ukryte są posiłki. Stał nieruchomo, gdy obok niego przeciskali się coraz to nowi wierni.

Ambrosi gestem nakazał mu wejść na górę schodami po lewej stronie.

Nie ruszył się z miejsca.

Ambrosi powtórzył gest.

Pokręcił głową.

Wzrok Ambrosiego nabrał surowego wyrazu.

Michener wyciągnął kopertę z kieszeni i pokazał ją człowiekowi, z którym miał tyle porachunków. Po minie przeciwnika domyślił się, że rozpoznał tę samą kopertę, która wcześniej tego dnia leżała niewinnie na stole w restauracji.

Ponownie pokręcił głową.

Potem przypomniał sobie, że Katerina mówiła, iż Ambrosi umie czytać z ust i wykorzystał tę umiejętność podczas ich spotkania na placu św. Piotra, gdy posłała pod jego adresem niecenzuralny epitet.

- Pieprz się, Ambrosi - wyszeptał.

Z tego co widział, papieski sekretarz zrozumiał go.

Schował kopertę do kieszeni i skierował się do wyjścia, żywiąc nadzieję, że nie będzie żałował tego, co niebawem się stanie.

\*

Katerina patrzyła, jak Michener mówi coś szeptem, a potem kieruje się do wyjścia. Nie stawiała oporu w drodze do katedry, ponieważ Ambrosi oznajmił, iż nie jest sam i że jeśli nie pojawią się na miejscu o siódmej wieczorem, Michener zginie. Powątpiewała w istnieniu pomocników, ale bardzo chciała dotrzeć do kościoła i tam zaczekać na nadarzącą się sposobność. W chwili gdy Ambrosi pojął, że Michener wystrychnął go na dudka, zignorowała pistolet uwierający ją w bok i wbiła lewy obcas w stopę duchownego. Następnie odepchnęła

go z całych sił i kopnięciem wytrąciła z jego dłoni pistolet, który z łoskotem spadł na kamienną posadzkę.

Dała susa w stronę broni; kobieta obok zaczęła głośno krzyżeć. Katerina wykorzystała zamieszanie, chwyciła pistolet i skoczyła ku schodom, zauważając kątem oka, jak zupełnie zaskoczony Ambrosi podnosi się.

Na stopniach schodów ludzie stali w zbitej ciżbie. Przez chwilę usiłowała przeciskać się między nimi, potem postanowiła przeskoczyć przez poręcz na cesarski grobowiec. Wylądowała na kamiennym wizerunku kobiety leżącej obok mężczyzny w uroczystych szatach, potem zeskoczyła na podłogę. Wciąż trzymała w dłoni pistolet. Wrzawa wokół niej narastała. Ludzi zebranych w kościele ogarniała panika. Przepisnęła się przez tłum zgromadzony przy wejściu i znalazła się na wieczornym chłodzie.

Wsunęła pistolet do kieszeni, szukając wzrokiem Michenera. Dostrzegła go jak zbiegał w dół uliczką prowadzącą do centrum miasta. Tumult z tyłu ostrzegł ją, że Ambrosi również przedziera się na zewnątrz.

Ruszyła biegiem.

\*

Kiedy Michener biegiem ruszył w dół krętą uliczką, wydawało mu się, że dostrzega Katerinę. Ale nie mógł się zatrzymać. Musiał biec dalej. Jeśli to Katerina biegła za nim, z pewnością podążał za nią Ambrosi, nadal więc sadył wielkimi susami, mijając po drodze kolejnych ludzi zmierzających w górę do katedry

Dobiegł do końca i pospiesznie ruszył dalej w kierunku mostu przy ratuszu. Dotarł na drugi brzeg przez bramę rozdzielającą wiekową budowlę z muru pruskiego i wbiegł na zatłoczony Maxplatz. Zwolnił i odważył się spojrzeć za siebie.

Katerina znajdowała się z tyłu o jakieś pięćdziesiąt metrów i zdążała w jego kierunku.

\*

Katerina była bliska łez i chciała zawołać Michenera, żeby się zatrzymał, lecz on oddalał się w równomiernym tempie, zmierzając w stronę miasta i zatłoczonego bożonarodzeniowego jarmarku. Wciąż miała w kieszeni pistolet, a Ambrosi doganiał ją powoli. Rozglądała się za policjantem, za jakimkolwiek stróżem prawa, lecz wyglądało na to, że ten radosny wieczór jest świętem państwowym. Nie widziała żadnych mundurowych.

Musiała zaufać Michenerowi, że wie, co robi. Celowo popisywał się przed Ambrosim, najwyraźniej przekonany, że porywacz nie wyrządzi jej krzywdy w tłumie ludzi. Treść, która kryła się w przekładzie ojca Tibora, była najwidoczniej na tyle ważna, iż Michener nie chciał, by dokument wpadł w ręce Ambrosiego i Valendrei. Ale zastanawiała się jednocześnie, czy

treść ta warta jest ryzyka, które Colin zdecydował się podjąć w tej grze o niewątpliwie wysoką stawkę.

Daleko przed nią Michener zmieszał się tłumem zebranych wokół kramów wypełnionych gwiazdkowymi towarami. Kolorowe światełka rozjaśniały targowisko pod gołym niebem tak silnie, że było tu jasno niemal jak w dzień. Powietrze przenikał aromat kiełbasek z różną oraz piwa.

Kiedy otoczyli ją ludzie, zwolniła, dostosowując się do nich.

\*

Michener szedł pospiesznie między imprezującymi turystami, lecz nie na tyle szybko, by ściągnąć na siebie uwagę. Stoiska rozciągały się na dystansie blisko stu metrów przy krętej brukowanej ulicy. Po obu stronach ulicy stały domy z muru pruskiego, zmuszając ludzi i kramy do pomieszczenia się na wąskiej przestrzeni.

Dotarł do ostatniej budki, gdzie tłok był już znacznie mniejszy.

Znów ruszył biegiem; uderzające o bruk gumowe podeszwy dawały charakterystyczny odgłos. Oddalił się od gwarne go jarmarku, skierował w stronę kanału, przebiegł przez most i znalazł się w dużo spokojniejszej części miasta.

Usłyszał za sobą odgłosy spiesznych kroków. Przed nim widniał kościół św. Gangolfa. Wszystkie atrakcje pozostały za nim, w obrębie Maxplatz oraz po drugiej stronie rzeki w pobliżu katedry, wobec czego liczył, że następnych kilkanaście minut spędzi w miarę dyskretnie.

Żywił też nadzieję, że nie kusi losu.

\*

Katerina dostrzegła, jak Michener wchodzi do kościoła św. Gangolfa. Co on tu robił? To nie miało sensu. Ambrosi wciąż ją ścigał, lecz Colin celowo wbiegł prosto do wnętrza świątyni. Z pewnością wiedział, że ona biegnie za nim, a jej tropem podąża prześladowca.

Spojrzała na budynki dookoła. Światło paliło się w nielicznych oknach, ulica przed nią była pusta. Ruszyła pospiesznie ku drzwiom kościoła, otworzyła je z impetem i wskoczyła do środka. Oddychała płytko.

- Colinie.

Brak odpowiedzi.

Zawołała jeszcze raz. Znów odpowiedziała jej cisza.

Pobiegła truchtem nawą główną w stronę ołtarza, mijając puste ławki, których kontury rysowały się w mrocznym wnętrzu. Nawę oświetlało jedynie kilka lamp. W kościele najwyraźniej nie odbywała się żadna z części tegorocznych uroczystości.

- Colinie.

W jej głosie pobrzmiewała już desperacja. Czy on tu był? Dlaczego nie odpowiadał? Czy wyszedł innymi drzwiami? Czy znalazła się osamotniona w pułapce?

Za nią otworzyły się drzwi.

Zanurkowała między ławki i, przykucnąwszy, starała się odejść po chropawych kamieniach na drugi koniec nawy.

Zatrzymała się, słysząc kroki.

\*

Michener dostrzegł męską postać wchodzącą do kościoła. W smudze światła rozpoznał twarz Paola Ambrosiego. Kilka chwil wcześniej weszła tu Katerina i zawołała go po imieniu, lecz on z rozmysłem się nie odzywał. Teraz przykucnęła między rzędami ławek.

- Szybko biegasz, Ambrosi - zawołał.

Jego głos odbił się od ścian, echo sprawiło, że trudno było zlokalizować miejsce, w którym stał. Obserwował, jak Ambrosi rusza w prawo, w stronę konfesjonałów, obracając głowę na boki, żeby uszy łatwiej wychwyciły źródło głosu. Miał nadzieję, że Katerina nie zdradzi swej obecności.

- Dlaczego wszystko utrudniasz, Michener? - zapytał papieski posłaniec. - Wiesz, czego chcę.

- Powiedziałeś mi wcześniej, że sprawy ulegną zmianie, jeśli przeczytam te słowa. Przynajmniej raz nie myliłeś się.

- Nigdy nie możesz się podporządkować?

- A ojciec Tibor? Czy on się podporządkował?

Ambrosi zbliżał się do ołtarza. Duchowny posuwał się ostrożnymi krokami, wciąż usiłując wypatrzeć w półmroku miejsce, w którym znajduje się Michener.

- Nigdy nie rozmawiałem z Tiborem - odparł Ambrosi.

- Jestem pewien, że rozmawiałeś.

Michener spoglądał w dół na Ambrosiego z ambony wysokiej na dwa i pół metra.

- Pokaż się tylko, Michener. Rozwiążmy tę sprawę.

Gdy Ambrosi odwrócił się doń na moment plecami, Michener zeskoczył. Upadli razem za ziemię i potoczyli się po posadzce.

Ambrosi odepchnął się i zerwał na równe nogi.

Michener również podnosił się z posadzki.

Ruch po prawej stronie przyciągnął jego uwagę. Dostrzegł Katerinę pędzącą w jego kierunku z pistoletem w dłoni. Ambrosi odbił się od ławki, wyskoczył w jej stronę i uderzył

nogą w jej tors, przewracając ją na ziemię. Michener usłyszał głucho uderzenie czaszki o kamienną posadzkę. Włoch zniknął za ławką, po chwili pojawił się, ściskając broń w dłoni. Przyciągnął do siebie bezwładne ciało Kateriny i przystawił lufę pistoletu do jej szyi.

- Okay, Michener. Wystarczy

Nie ruszył się z miejsca.

- Daj mi tłumaczenie ojca Tibora.

Michener zrobił kilka kroków w ich stronę i wyciągnął kopertę z kieszeni.

- Rzuć ją na podłogę i odsuń się - polecił Ambrosi i odbezpieczył pistolet. - Nie przeciągaj struny, Michener. Mam w sobie dostatecznie dużo siły, by dopiąć celu, gdyż Bóg daje mi siłę.

- Być może Pan wystawia cię na próbę i chce przekonać się, na co cię stać?

- Zamknij się. Nie potrzebuję wykładu z teologii.

- Być może w tej chwili jestem najbardziej odpowiednią do tego osobą na ziemi.

- Czy chodzi o te słowa? - W głosie Ambrosiego dało wyczuć się lekkie zdziwienie, jak u ucznia zadającego pytanie nauczycielowi. - Czy dzięki nim zyskałeś odwagę?

Wyczuł szansę.

- O co chodzi, Ambrosi? Czy Valendrea nie powiedział ci wszystkiego? Masz pecha. Zachował dla siebie to, co najlepsze.

Ambrosi chwycił mocniej Katerinę.

- Po prostu rzuć kopertę i cofnij się.

Determinacja w oczach papieskiego sługusa wskazywała, że spełni on groźbę. Rzucił więc kopertę na podłogę.

Ambrosi puścił Katerinę i przesunął ją w kierunku Michenera.

Chwycił ją i przekonał się, że wciąż jest półprzytomna po uderzeniu głową o posadzkę.

- Nic ci nie jest? - zapytał.

Spoglądała na niego szklistym wzrokiem, ale przytaknęła.

Ambrosi sprawdzał zawartość koperty.

- Skąd możesz wiedzieć, że tego właśnie pragnie Valendrea? - zapytał.

- Nie wiem. Ale otrzymałem jednoznaczne instrukcje. Zdobyć, co zdołam, i wyeliminować świadków.

- A jeśli sporządziłem kopię?

Ambrosi wzruszył ramionami.

- Podejmujemy to ryzyko. Ale, na szczęście dla nas, nie będzie cię tutaj, gdybyś

zechciał złożyć zeznanie. - Wymierzył w nich z pistoletu. - Ta część naprawdę sprawi mi przyjemność.

Z mroku wyłoniła się jakaś postać i powoli podeszła od tyłu do Ambrosiego. Kroczyła bezszelestnie. Był to mężczyzna ubrany w czarne spodnie oraz luźną czarną marynarkę. W dłoni trzymał pistolet, który teraz przystawił do prawej skroni Ambrosiego.

- Zapewniam cię, ojcie - odezwał się kardynał Ngovi - że mnie również ta część sprawi najwięcej przyjemności.

- Co Eminencja tutaj robi? - zapytał Ambrosi, nie mogąc ukryć zdziwienia w głosie.

- Przyjechałem porozmawiać z tobą. Opuść więc broń i odpowiedz na kilka pytań. Potem będziesz mógł odejść wolno.

- Chcecie dopaść Valendrę, prawda?

- Dlatego właśnie wciąż jeszcze żyjesz.

Ambrosi rozważał możliwości manewru. Michener wstrzymał oddech; kiedy wcześniej zadzwonił do Ngoviego, liczył na instynkt samozachowawczy papieskiego sekretarza. Zakładał, że Ambrosi, mimo ogromnej lojalności, gdy będzie musiał wybrać między papieżem a własnym bezpieczeństwem, w praktyce nie będzie miał żadnego wyboru.

- To koniec, Ambrosi - podjął i wskazał na kopertę. - Przeczytałem ten dokument. Kardynał Ngovi również zapoznał się z jego treścią. Teraz zna go już zbyt wielu. Nie wygrasz w tym starciu.

- Co takiego jest tyle warte? - zapytał Ambrosi tonem, w którym dało się wyczuć gotowość rozpatrzenia ich propozycji.

- Opuść broń, a się dowiesz.

Znów na moment zapadła cisza. W końcu Ambrosi opuścił dłoń. Ngovi chwycił pistolet i cofnął się, wciąż celując swoją broń we Włocha.

Ambrosi spojrzał na Michenera.

- Posłużyłeś za przynętę? Chodziło ci o to, żebym podążył za tobą?

- Coś w tym rodzaju.

Ngovi wysunął się do przodu.

- Mamy parę pytań. Jeśli na nie odpowiesz, obejdzie się bez policji i bez aresztowania. Po prostu znikniesz. To dobra propozycja, uwzględniając...

- Uwzględniając co?

- Zabójstwo ojca Tibora.

Ambrosi zachichotał.

- To blef i zdajecie sobie z tego sprawę. Zależy wam na obaleniu Piotra II.



Michener powstał.

- Nie, zależy nam na tym, żebyś to ty przyczynił się do obalenia Valendrei. Co zresztą nie powinno mieć znaczenia. Gdyby role się odwróciły, on z pewnością uczyniłby to samo.

Nie ulegało wątpliwości, że człowiek, który stał przed nim, jest zamieszany w śmierć ojca Tibora. Ambrosi natomiast był dostatecznie bystry, by pojąć, że zasady gry uległy teraz zmianie.

- W porządku - odparł. - Pytajcie.

Kardynał sięgnął do kieszeni marynarki.

Wyciągnął z niej dyktafon.

\*

Michener pomógł Katerinie wejść do zajazdu Königshof. Przy drzwiach frontowych czekała na nich Irma Rahn.

- Czy wszystko poszło zgodnie z planem? - zapytała Michenera. - Od godziny siedzę jak na szpilkach.

- Wszystko poszło dobrze.

- Chwała Bogu. Tak bardzo się niepokoiłam.

Katerina wciąż jeszcze była zamroczona, ale czuła się lepiej.

- Zabiorę ją na górę - zadeklarował.

Pomógł jej wspiąć się na pierwsze piętro. Kiedy tylko weszli do pokoju, Katerina nie zdołała dłużej powstrzymać ciekawości.

- Cóż, na Boga, robi tutaj Ngovi?

- Zadzwoiłem do niego przed południem i poinformowałem o tym, czego się dowiedziałem. Natychmiast przyleciał do Monachium i dotarł tu na chwilę przed tym, jak ruszałem do katedry. Moim zadaniem było zwabić Ambrosiego do kościoła św. Gangolfa. Potrzebne było nam miejsce oddalone od zgiełku i tłumu. Poradziłem Ngoviemu, żeby porozmawiał z proboszczem. Nie wie nic poza tym, że watykańscy dostojnicy musieli na chwilę skorzystać z jego kościoła.

Wiedział, co Katerina sobie pomyślała.

- Posłuchaj, Kate. Ambrosi nikogo by nie skrzywdził, dopóki nie dostałby do rąk przekładu ojca Tibora. Do tego czasu nie mógł być niczego pewien. Musieliśmy wykorzystać tę szansę.

- Więc posłużyłam za przynętę?

- Ty i ja. Sprowokowanie go było jedynym sposobem obrócenia go przeciwko Valendrei.

- Ngovi okazał się dzielnym człowiekiem.
- Wychował się na ulicach Nairobi. Wie, jak sobie radzić w razie konieczności.

W kościele spędzili razem z Ambrosim ponad pół godziny, nagrywając to, co chcieli wykorzystać następnego dnia. Ona słuchała i wiedziała teraz o wszystkim, z wyjątkiem drugiej części trzeciej tajemnicy fatimskiej. Wyciągnął kopertę z kieszeni.

- Oto dokument, który ojciec Tibor przesłał Klemensowi. To kopia, którą wręczyłem Ambrosiemu. Oryginał posiada kardynał Ngovi.

Przeczytała tekst, potem pokusiła się o komentarz.

- Te słowa są podobne do tych, które zapisała Jasna. Zamierzałeś wręczyć Ambrosiemu dziesiąte przesłanie z Medjugorie?

Pokręcił głową.

- To nie są słowa zapisane przez Jasnę. To tekst przesłania Matki Boskiej z Fatimy, zapisany przez Łucję dos Santos w 1944 roku i przetłumaczony na język włoski przez ojca Tibora w 1960 roku.

- Nie mówisz tego poważnie. Zdajesz sobie sprawę, jakie znaczenie ma fakt, że oba teksty są niemal identyczne?

- Zdaję sobie sprawę od dzisiejszego przedpołudnia.

Mówił cichym, spokojnym głosem i pozwolił jej w pełni pojąć wszelkie implikacje. Wielokrotnie rozmawiali o tym, że brakuje jej wiary. On jednak nigdy nie czuł się tym, który miałby ją osądzać, zważywszy własne potknięcia. „*Po których w mieście siedmiu wzgórz straszliwy sędzia osądzi wszystkich ludzi.*” Być może Katerina była pierwszą osobą z wielu, które osądzą same siebie.

- Wygląda na to, że Pan znów tu powrócił - oznajmił.

- To niewiarygodne. Ale jak inaczej to wytłumaczyć? Jak to możliwe, że oba te przesłania są identyczne w treści?

- To niemożliwe, jeśli uwzględni się, co wiemy ty i ja. Ale sceptycy ogłoszą, iż sprokurowaliśmy przekład ojca Tibora, dopasowując go do treści przesłania Jasny. Stwierdzą, że wszystko to jest fałszerstwem. Oryginały zaginęły, a ci, którzy je spisali lub czytali, już nie żyją. Tylko my więc znamy prawdę.

- Nadal zatem pozostanie to kwestią wiary. Ty i ja wiemy, co się wydarzyło. Ale wszyscy inni będą po prostu musieli uwierzyć nam na słowo - dodała i pokręciła głową. - Wygląda na to, że przeznaczeniem Boga jest zawsze kryć się w mrokach tajemnicy.

Już wcześniej zastanawiał się nad tym aspektem. W Bośni na szczycie góry Matka Boska objawiła mu, że ma stać się znakiem dla tego świata. Światłem przewodnim dla

pokutników. Posłańcem, który ogłosi, że Bóg wciąż jest żywy. Lecz równie istotne były inne słowa Madonny. „*Ale nie porzucaj wiary, gdyż tylko ona ci pozostanie.*”

- To jest pocieszenie - dodał. - Przed laty zgrzeszyłem ciężko, łamiąc kapłańskie śluby. Kochałem cię, ale w duchu czułem, że popełniam grzech. Teraz wiem, że nie zgrzeszyłem. Przynajmniej nie w oczach Boga.

W wyobraźni usłyszał znów głos Jana XXIII zwołującego Sobór Watykański II. Jego błagalne prośby do tradycjonalistów i zwolenników postępu, by pracowali w zgodzie i harmonii, żeby „ziemskie miasto mogło znów przypominać niebiańskie miasto, w którym rządzi prawda”. Dopiero teraz zrozumiał, co wielki papież miał naprawdę na myśli.

- Klemens usiłował zrobić, co było w jego mocy - dodała Katerina. - Przykro mi, że wcześniej źle go osądzałam.

- Sądzę, że on rozumie.

Uśmiechnęła się.

- Co teraz?

- Wracamy do Rzymu. Ngovi i ja mamy jutro umówioną audiencję.

- A potem?

Wiedział, o co pyta.

- Do Rumunii. Tamte dzieci czekają na nas.

- Myślałam, że będziesz się wahał.

Wskazał na niebo.

- Uważam, że jesteśmy Mu to winni. Nie sądzisz?

WATYKAN,

SOBOTA, 2 GRUDNIA 11:00

Michener i Ngovi szli w kierunku papieskiej biblioteki. Przez wysokie okna po obu stronach szerokiego korytarza bez trudu wpadało jaskrawe światło słońca. Mieli na sobie duchowne szaty, Ngovi purpurową, Michener czarną.

Kontakt z biurem papieża nawiązali wcześniej, przekazując asystentowi Ambrosiego zamiar bezpośredniej rozmowy z papieżem; Ngovi zażądał audiencji. Tematu spotkania nie podano, lecz Michener liczył na to, że w sytuacji, gdy Ambrosi przepadł bez wieści, Valendrea zrozumie, z jakiego powodu kamerling chce z nim rozmawiać. Taktyka ta najwyraźniej zadziałała. Papież wydał osobiście zgodę na ich wejście do pałacu i wyznaczył audiencję na kwadrans później.

- Czy załatwicie swoją sprawę w wyznaczonym czasie? - zapytał asystent Ambrosiego.

- Mam taką nadzieję - odparł Ngovi.

Valendrea kazał im na siebie czekać blisko pół godziny. Wreszcie zbliżyli się do biblioteki i weszli do środka, zamykając za sobą drzwi. Papież stał przed oknem z witrażem, jego sylwetka odziana w białą sutannę skąpana była w promieniach słońca.

- Muszę przyznać, że rozbudziliście moją ciekawość, składając prośbę o audiencję. Wy dwaj jesteście ostatnimi ludźmi, których obecności spodziewałbym się tutaj w sobotnie przedpołudnie. Sądziłem, Maurice, że jesteś już w Afryce. A ty, Michener, powinieneś być w Niemczech.

- Po części racja - odpowiedział Ngovi. - Obaj byliśmy w Niemczech.

Na twarzy Valendrei pojawił się wyraz zdziwienia.

Michener postanowił przejść od razu do sedna.

- Ambrosi nie skontaktuje się z tobą.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Ngovi wyciągnął dyktafon z kieszeni sutanny i włączył urządzenie. Bibliotekę wypełnił głos Ambrosiego, który wyjawiał szczegóły dotyczące śmierci ojca Tibora, urzędzeń

podsluchowych, sekretnych danych na temat kardynałów oraz szantaży, z pomocą których zdobywano głosy na konklawe. Valendrea słuchał z niezmałym spokojem, gdy jego grzechy wychodziły na jaw. Potem Ngovi wyłączył dyktafon.

- Czy trzeba coś dodać?

Papież nie odpowiedział.

- Jesteśmy w posiadaniu pełnego tekstu trzeciej tajemnicy fatimskiej oraz dziesiątej tajemnicy z Medjugorie - wyjaśnił Michener.

- Byłem przekonany, że to ja posiadam sekret z Medjugorie.

- To kopia. Teraz już wiem, dlaczego zareagowałeś tak gwałtownie, przeczytawszy przesłanie spisane przez Jasną.

Valendrea sprawiał wrażenie roztrzęsionego. Po raz pierwszy ten zawzięty człowiek stracił panowanie nad sobą.

Michener podszedł bliżej.

- Chciałeś ukryć te słowa przed światem.

- Pragnął tego nawet twój Klemens - odparł wyzywająco Valendrea.

Michener pokręcił głową.

- Wiedział, co zamierzasz zrobić, i przewidująco umieścił przekład Tibora daleko stąd. Zrobił więcej niż ktokolwiek inny. Poświęcił własne życie. Jest lepszy od każdego z nas. Wierzył w Boga... nie mając dowodu - przekonywał, coraz bardziej się ekscytując. - Wiedziałeś, że Bamberg nazywano miastem siedmiu wzgórz? Pamiętasz prorocstwo Malachiasza? „*Po których w mieście siedmiu wzgórz straszliwy sędzia osądzi wszystkich ludzi.*”

Wskazał na dyktafon.

- Dla ciebie straszliwym sędzią jest prawda.

- Na taśmie są jedynie brednie człowieka zmuszonego do zeznań - Valendrea nie tracił rezonu. - Nie dowodzą one niczego.

Na Michenerze nie zrobiło to wrażenia.

- Ambrosi opowiedział nam o twojej podróży do Rumunii i podał dostateczną liczbę szczegółów, by wszcząć śledztwo i wnieść oskarżenie, zwłaszcza w kraju byłego bloku komunistycznego, gdzie wystarczą nawet poszlakowe dowody

- Błefujesz.

Ngovi wyciągnął z kieszeni drugi dyktafon.

- Pokazaliśmy Ambrosiemu tekst tajemnicy fatimskiej, a potem sekret z Medjugorie.

Nie musieliśmy tłumaczyć znaczenia tych słów. Nawet człowiek tak pozbawiony zasad

moralnych jak Ambrosi zrozumiał, że czeka go więzienie. Od tej chwili zaczął udzielać odpowiedzi dobrowolnie. Błagał, bym wysłuchał jego spowiedzi.

- Będzie z niego dobry świadek - triumfował Michener.
- Przekonasz się, że istnieje władza wyższa od twojej.

Valendrea chodził po pomieszczeniu, potem skierował się do regału z książkami. Wyglądał jak zwierzę badające klatkę, w której zostało zamknięte.

- Papież ignorowali Boga od długiego czasu. Przesłanie z La Salette zniknęło z archiwum ponad sto lat temu. Idę o zakład, że Matka Boska objawiła tamtym dzieciom te same rzeczy.

- Tamtym ludziom można wybaczyć - przemówił Ngovi. - Uważali przesłanie za słowa widzących, nie za objawianie Matki Boskiej. Swoje nieposłuszeństwo argumentowali ostrożnością. Brakowało im dowodu, w którego posiadaniu jesteś ty. Wiedziałeś, że słowa pochodzą z niebios, a mimo to usiłowałeś zabić Michenera i Katerinę Lew, żeby tylko boskie przesłanie nie ujrzało światła dnia.

W oczach Valendrei zabłyśły iskry gniewu.

- Ty świętoszkowaty dupku. Cóż miałem uczynić? Pozwolić, by Kościół legł w gruzach? Nie zdajesz sobie sprawy z konsekwencji ujawnienia tych słów? Idee głoszone od dwóch tysięcy lat okazałyby się fałszem.

- Nie mamy prawa manipulować losami Kościoła - oznajmił Ngovi. - Słowo Boże jest własnością Boga, najwyraźniej Jego cierpliwość dobiegła końca.

Valendrea pokręcił głową.

- Naszym obowiązkiem jest troska o ten Kościół. Ilu katolików słuchałoby słów Rzymu, gdyby wiedzieli, że kłamiemy? Nie mówimy tu o sprawach błahych. Celibat? Kobiety w sutannach? Aborcja? Homoseksualizm? Nawet istota papieskiej nieomylności?

Ngovi sprawiał wrażenie nieporuszonego tymi lamentami.

- Przejmowałbym się bardziej wyjaśnieniem przed Bogiem, dlaczego ignorowałem Jego polecenia.

Michener spojrzał na Valendrę.

- Kiedy w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym roku wróciłeś do Riservy, nie było tam dziesiątego sekretu z Medjugorie. Lecz ty wykradłeś część fatimskiego posłania. Skąd wiedziałeś, że słowa siostry Łucji są prawdziwe?

- Dostrzegłem trwogę w oczach Pawła, kiedy je czytał. Skoro ten człowiek był przerażony, to coś w tym było. Tamtej nocy w Riservie, kiedy Klemens powiedział mi o przesłanej kopii tłumaczenia ojca Tibora, a potem pokazał drugą część oryginalnego tekstu

przesłania, poczułem się, jakby szatan powrócił.

- W pewnym sensie dokładnie tak się stało - skomentował Michener.

Valendrea wbił w niego wzrok.

- Jeśli Bóg istnieje, to szatan również.

- Który z nich zatem ponosi winę za śmierć ojca Tibora? - zapytał papież wyzywającym tonem. - Czy prawda miała być wyjawiona w imię Boga? A może jednak to szatan pragnął, by prawda ujrzała światło dnia? Obaj dążyli do tego samego celu, czyż nie tak? -

- Dlatego właśnie zabiłeś ojca Tibora? By do tego nie dopuścić? - nie dawał za wygraną Michener.

- Każdy religijny ruch ma swych męczenników. - Ze słów Valendrei nie przebijał choćby cień wyrzutów sumienia.

Ngovi wysunął się do przodu.

- Zdaje się, że będziemy mieli kolejnego.

- Zdołałem już pojąć, o co wam chodzi. Zamierzacie wnieść oskarżenie przeciwko mnie?

- W żadnym razie - odparł Ngovi.

Michener podał Valendrei małą fiolkę barwy karmelowej.

- Spodziewamy się, że dołączysz do listy męczenników.

Valendrea uniósł brwi kompletnie zaskoczony

- To te same tabletki nasenne - tłumaczył Michener - które połknął Klemens. Więcej niż trzeba, by przerwać nić życia. Jeśli rankiem twoje ciało zostanie znalezione martwe, wyprawią ci papieski pogrzeb i pochowają w krypcie pod Bazyliką św. Piotra z wszelkimi honorami. Twój pontyfikat będzie krótki, lecz zostaniesz zapamiętany, podobnie jak Jan Paweł I. Jeśli jednak jutro nadal będziesz żył, powiadomimy o wszystkim zgromadzenie kardynałów. Wtedy przejdziesz do historii jako pierwszy papież, który stanął przed sądem.

Valendrea nie wziął fiołki.

- Chcecie, żebym się zabił?

Michener nawet nie mrugnął.

- Możesz odejść z tego świata jako papież pełen chwały albo jako skompromitowany przestępca. Osobiście wolę tę drugą opcję, mam zatem nadzieję, że nie wystarczy ci odwagi, by pójść śladem Klemensa.

- Mogę podjąć z wami walkę.

- Przegrasz ją. Uwzględniając to, co wiemy, zapewne znajdzie się w kolegium

kardynalskim wielu, którzy chętnie zobaczą twój upadek. Dowody są niezbita. Twój wspólnik będzie głównym oskarżycielem. Nie masz szansy na zwycięstwo.

Valendrea wciąż nie odbierał fiołki. Michener wysypał więc jej zawartość na stół, potem spojrzał na papieża.

- Wybór należy do ciebie. Jeśli kochasz swój Kościół tak bardzo, jak twierdzisz, poświęć swe życie dla jego dobra. Nie wahałeś się nawet chwili, odbierając życie ojcu Tiborowi. Przekonajmy się, czy równie łatwo sam pożegnasz się ze światem. Straszliwy sędzia już osądził i wydał wyrok śmierci.

- Żądacie ode mnie, bym uczynił to, co jest nie do pomyślenia - nie dawał za wygraną Valendrea.

- Żądam jedynie tego, żebyś oszczędził Kościołowi ponizenia związanego z usunięciem ciebie siłą.

- Jestem papieżem. Nikt nie może mnie usunąć.

- Z wyjątkiem Boga. I w pewnym sensie On to właśnie czyni.

Valendrea obrócił się do Ngoviego.

- Zostaniesz następnym papieżem, tak?

- Prawie na pewno.

- Mogłeś wygrać wybory w tym konklawe, nie myłę się?

- Prawdopodobieństwo było duże.

- Dlaczego więc się wycofałeś?

- Ponieważ Klemens tak nakazał.

Valendrea stał jak osłupiały.

- Kiedy?

- Na tydzień przed śmiercią. Przewidział wtedy, że między tobą a mną dojdzie do starcia w tej walce. Ale powiedział, że ty powinieneś wygrać.

- Dlaczego, na Boga, dałeś posłuch jego słowom?

Wyraz twarzy Ngoviego zrobił się bardziej surowy.

- Był moim papieżem.

Valendrea kręcił z niedowierzaniem głową.

- I miał rację.

- Zamierzasz uczynić to, co nakazała Matka Boska?

- Zniosę wszystkie dogmaty sprzeczne z Jej przesłaniem.

- Wywołasz rewoltę.

Ngovi wzruszył ramionami.



- Ci, którzy się z tym nie zgodzą, będą mogli odejść i założyć własny kościół. Wybór należy do nich. Z mojej strony nie napotkają oporu. Ale ten Kościół będzie postępował zgodnie z Jej słowami.

Oblicze Valendrei wyrażało niedowierzenie.

- Sądźcie, że to będzie takie łatwe? Kardynałowie nigdy się na to nie zgodzą.

- To nie jest demokracja - pozbawił go złudzeń Michener.

- Nikt zatem nie pozna prawdziwej treści obu przesłań?

Ngovi zaprzeczył ruchem głowy.

- To nie jest konieczne. Sceptycy twierdziliby, że przekład ojca Tibora powstał na podstawie przesłania z Medjugorie. Ogromne znaczenie tego przesłania wywołałoby wyłącznie falę krytyki. Siostra Łucja i ojciec Tibor opuścili już ziemski padół. Nikt więc nie będzie w stanie niczego zweryfikować. Świat nie musi wiedzieć, co się wydarzyło. Prawdę znamy my trzej i jedynie to się liczy Ukryję te słowa. Taka będzie moja wola i mój czyn. Wezmę na siebie pochwały i krytykę.

- Następny papież unieważni to, co ty wprowadzisz - wymamrotał Valendrea.

Ngovi znów zaprzeczył ruchem głowy.

- Tak mało w tobie wiary - powiedział Afrykańczyk i ruszył w kierunku drzwi. - Rano będziemy czekać na wiadomość. Zależnie od jej treści, jutro rano zobaczymy się lub nie.

Michener zawahał się, zanim ruszył za Ngovim.

- Nawet szatan nie zdołałby się z tobą równać - rzucił.

Wyszedł, nie czekając na odpowiedź.

23:30

Valendrea spoglądał na pastylki rozsypane na biurku. Przez kilkadziesiąt lat marzył o papieskiej tiarze i całe dorosłe życie poświęcił osiągnięciu tego celu. Teraz zasiadał na tronie Piotrowym. Jego pontyfikat powinien trwać dwadzieścia lat lub więcej. On miał stać się nadzieją na przyszłość, powracając do tradycji przeszłości. Zaledwie wczoraj przez ponad godzinę rozwodził się nad szczegółami koronacji; ceremonia miała odbyć się za niecałe dwa tygodnie. Zdążył już zwiedzić watykańskie muzeum, osobiście oglądając stroje, które jego poprzednicy przeznaczali do muzealnej ekspozycji, zlecił też przygotowanie szat na tę uroczystość. Pragnął, by chwila, kiedy duchowy przywódca miliarda ludzi oficjalnie przejmie władzę, była spektaklem, który każdy katolik obejrzy z dumą.

Zastanawiał się już nad tekstem homilii. Miała odwoływać się do tradycji. Odrzucać wszelkie innowacje i powracać do uświęconej przeszłości. Kościół mógł być i powinien być orędownikiem zmian. Nadszedł kres bezsilnych słów potępienia, ignorowanych przez głowy państwa. Religijny zapal miał odtąd służyć tworzeniu nowej polityki międzynarodowej, która wypływałaby z niego samego, jako Namiestnika Chrystusowego. Papieża.

Powoli policzył pastylki rozsypane na biurku. Dwadzieścia osiem.

Jeśli je połknie, przejdzie do historii jako papież zasiadający na tronie cztery dni. Będzie postrzegany jako niespełniony przywódca, którego Bóg zbyt szybko zawezwał do siebie. Nagła śmierć wymagała jakiegoś uzasadnienia. Jan Paweł I był niewiele znaczącym kardynałem. Teraz darzono go szacunkiem wyłącznie dlatego, że zmarł zaledwie trzydzieści trzy dni po konklawe. Ledwie garstka zwierzchników Kościoła zasiadała na tronie krócej, prawie wszyscy dłużej, ale żaden nie znalazł się pod przymusem w takiej sytuacji jak on teraz.

Rozważał w myślach zdradę Ambrosiego. Nigdy nie sądził, że Paolo może okazać się do tego stopnia nielojalny. Spędzili razem wiele lat. Być może Ngovi i Michener nie docenili jego starego przyjaciela. Być może Ambrosi miał przejąć po nim schedę, miał stać się człowiekiem, który zapewni, że świat nigdy nie zapomni o Piotrze II. Miał tylko nadzieję, iż pewnego dnia Ngovi pożałuje, że puścił wolno Paolo Ambrosiego.

Ponownie spojrzął na tabletki. Przynajmniej nie będzie bolało. Ngovi dopilnuje również, żeby nie przeprowadzono sekcji zwłok. Afrykanin wciąż pełnił obowiązki kamerlinga. Oczyma wyobraźni zobaczył, jak łotr stoi nad jego ciałem, uderza go delikatnie srebrnym młotkiem i trzykrotnie zadaje pytanie, czy jest martwy

Był pewien, że jeśli jutro wciąż będzie żył, Ngovi nie zawaha się z wniesieniem oskarżenia. Wprawdzie przez całe stulecia nie obalano papieży, ale wmieszenie jego osoby w sprawę o zabójstwo byłoby równoznaczne z niemożnością dalszego zasiadania na tronie Piotrowym.

To właśnie niepokoiło go najbardziej.

Jeśli zrobi to, czego żądali Ngovi i Michener, już wkrótce odpowie za popełnione grzechy. Jak się z nich wytłumaczy?

Dowód na istnienie Boga oznaczał tyle, że istniała niezmierna siła zła, która wiodła na manowce rodzaj ludzki. Życie doczesne zdawało się nieustannym przeciąganiem między dwoma ekstremami. W jaki sposób miał usprawiedliwić swoje grzechy? Czy zyska przebaczenie, czy jedynie potępienie? Wciąż wierzył, nawet w obliczu wszystkiego, co teraz wie, że kapłanami powinni być tylko mężczyźni. Kościół Boży założyli mężczyźni, w obronie tej instytucji przelewano męską krew. Włączenie kobiet w sprawy tak zdecydowanie męskie wydawało się świętokradztwem. Żony i dzieci odciągałyby jedynie od pełnionej misji. Zabijanie zaś nienarodzonych dzieci wydawało się rzeczą nie do przyjęcia. Rolą kobiety było wydawanie potomstwa, bez względu na to, jak doszło do poczęcia. Nie ma znaczenia, czy ciąża jest chciana, czy też nie. Jak to możliwe, by Bóg życzył sobie tego wszystkiego?

Przesunął pigułki rozsypane na biurku.

Kościół stał przed zmianami. A zmienić się miało wszystko. Ngovi z pewnością doprowadzi do zwycięstwa ekstremistów. Od tej myśli zebrało mu się na mdłości.

Wiedział, co go czeka. Będzie musiał zdać sprawę ze swoich uczynków, ale nie miał zamiaru uchylać się przed tą powinnością. Spojrzy w oczu Panu i zda Mu sprawę z tego, co uczynił, w przekonaniu, że ma słuszość. Jeśli zostanie skazany na piekło, zapewne spotka tam naprawdę dobrane towarzystwo. Nie był pierwszym papieżem, który przeciwstawił się niebu.

Wyciągnął dłoń i podzielił tabletki na cztery grupki po siedem sztuk. Pierwsze siedem wzięł w dłoń i balansował nimi.

W ostatnich chwilach życia przychodził szczególny ogląd rzeczywistości.

Jego pamięci wśród bliźnich nic nie zagrozi. Był Piotrem II, papieżem Świętego Kościoła Rzymskiego. Nikt nie mógł mu tego odebrać. Nawet Ngovi i Michener będą musieli

publicznie czcić jego pamięć.

Ten aspekt przyniósł mu ukojenie.

I nagły przyływ odwagi.

Wrzucił tabletki do ust i sięgnął po szklankę z wodą. Następnie wziął z biurka kolejne siedem pastylek i też połknął.

Kiedy wciąż miał jeszcze w sobie odwagę, sięgnął po resztę tabletek i połknął je popijając resztą wody.

„Mam nadzieję, że nie wystarczy ci odwagi, by pójść śladem Klemensa”.

Pieprz się, Michener.

Przeszedł przez pokój do połączanego klęcznika ustawionego przed portretem Chrystusa. Ukłąkł, przeżegnał się i poprosił, by Bóg mu przebaczył. Pozostał na kolanach przez około dziesięć minut, do chwili, kiedy poczuł, że głowa zaczyna mu opadać. Fakt, że został powołany przez Boga w trakcie modlitwy, powinien być zaliczony po stronie dobra.

Senność stała się kusząca i przez chwilę Valendra walczył z impulsem, by się poddać. Gdzieś w głębi duszy odczuwał ulgę, że nie będzie utożsamiany z Kościołem sprzeciwiającym się wszystkiemu, w co wierzył. Może lepiej będzie, jeśli spocznie na wieki w krypcie pod bazyliką, jako ostatni papież Kościoła wiernego tradycji. Wyobraził sobie tłumy Rzymian gromadzących się jutro na placu, pogrążonych w bólu i rozpacz z powodu utraty ukochanego *Santissimo Padre*. Miliony zjawią się na jego pogrzebie, a prasa na całym świecie będzie pisać o nim z szacunkiem i poważaniem. Później pojawią się publikacje książkowe poświęcone jego osobie. Żywił nadzieję, że tradycjoniści wykorzystają jego postać do przeciwstawienia się Ngoviemu. Wciąż przecież tu był. Myśl ta sprawiła mu przyjemność.

Mięśnie same układały się do snu i nie był już w stanie dłużej walczyć z sennością, poddał się więc temu, co nieuniknione, i upadł na podłogę.

Spojrzał na sufit i pozwolił, by tabletki zadziałały w pełni. Pokój zawirował. Valendra przestał stawiać opór słabnącej świadomości.

Puścił za to myślom wodze w nadziei, że Bóg rzeczywiście jest miłosierny.

NIEDZIELA, 3 GRUDNIA 13.00

Michener i Katerina szli za tłumem zmierzającym na plac św. Piotra. Dookoła nich kobiety i mężczyźni nawet nie próbowali powstrzymać łez. Wielu ścisnęło w dłoniach różańce. Dzwony bazyliki biły na znak żałoby.

Komunikat ogłoszono przed dwoma godzinami, suche oświadczenie w stylu typowym dla Watykanu. Stwierdzano w nim, że Ojciec Święty nocą opuścił ziemski padół. Wezwano kamerlinga, kardynała Marurice'a Ngovi, a papieski lekarz stwierdził, że przyczyną zgonu Alberto Valendrei był rozległy zawał serca. Odbył się odpowiedni rytuał z użyciem srebrnego młotka, ogłoszono też sediswakancję, czyli stan, w którym Stolica Apostolska pozbawiona jest zwierzchnika. I znów wezwano kardynałów do Rzymu.

Michener nie poinformował Kateriny o wydarzeniach poprzedniego dnia. Uznał, że tak będzie lepiej. W pewnym sensie był mordercą, chociaż wcale tak się nie czuł. Zawładnęło nim dojmujące poczucie żałoby. Zwłaszcza w odniesieniu do osoby ojca Tibora. Jedno zło naprawiano innym, kierując się opacznie pojmowanym zadośćuczynieniem, co było skutkiem niezwykłych okoliczności z kilku ostatnich tygodni.

Za piętnaście dni zostanie zwołane konklawe i kolejny papież zasiądzie na tronie. Dwieście sześćdziesiąty dziewiąty następca Piotra Rybaka i pierwszy, którego nie obejmie prorocstwo Malachiasza. Straszliwy sędzia już osądził. Grzesznicy zostali ukarani. Teraz spełnienie woli niebios spadnie na barki Maurice'a Ngovi. Było niemal pewne, że to on zostanie papieżem. Wczoraj, kiedy opuszczali papieski pałac, kamerling poprosił go, żeby został w Rzymie i wziął udział w przygotowaniach do konklawe. Odmówił mu jednak, oznajmiając, iż wraz z Kateriną wyjeżdżają do Rumunii. Michener pragnął dzielić z nią resztę życia, co Ngovi zrozumiał, życzył mu wszystkiego najlepszego i oświadczył, że drzwi Watykanu zawsze pozostaną dla niego otwarte.

Ludzie wciąż sunęli do przodu i wypełniali rozległy plac w obrębie kolumnady Berniniego. Nie był pewien, dlaczego tu przyszedł, ale coś go tu wzywało, poczuł też w sobie spokój, którego nie zaznał od długiego czasu.

- Ci ludzie nie mają pojęcia, kim był Valendrea - szepnęła Katerina.

- W ich oczach był papieżem. Włochem. Nigdy nie zdołamy ich przekonać, że było inaczej. Jego pamięć pozostanie nieskalana.

- Nigdy mi nie wyjawisz, co wydarzyło się wczoraj, prawda?

Poprzedniego wieczora przyłapał ją na tym, że przygląda mu się badawczo. Zdawała sobie sprawę z faktu, że spotkanie z Valendrą było bardzo ważne, lecz on nie zgodził się na wyjawienie szczegółów, ona zaś nie naciskała.

Zanim zdążył odpowiedzieć na jej pytanie, starsza kobieta stojąca w pobliżu jednej z fontann upadła na ziemię zdjeta spazmem bólu. Kilka osób ruszyło jej z pomocą, gdy nieszczęsna niewiasta lamentowała, że Bóg wezwał do siebie takiego dobrego papieża. Michener obserwował niepohamowany szloch kobiety, którą dwóch mężczyzn odprowadzało do cienia.

Ekipy telewizyjne rozeszły się po placu i przeprowadzały wywiady z przypadkowymi ludźmi. Wkrótce światowe agencje znów zaczną dywagować nad tym, jakie decyzje podejmie kolegium kardynałów zamkniętych w Kaplicy Sykstyńskiej.

- Sądzę, że Tom Kealy znowu się pojawi - zawyrokował.

- To samo przyszło mi do głowy. Człowiek, który zna wszystkie odpowiedzi.

Posłała mu uśmiech, którego znaczenie w pełni zrozumiał.

Zbliżyli się do bazyliki i wraz z resztą żałobników zatrzymali się przed barierkami. Drzwi świątyni były zamknięte, wiedział, że jej wnętrze szykowane jest na kolejną uroczystość pogrzebową. Balkon udrapowano czarną tkaniną. Michener spojrział na prawo. Okienne papieskiej komnaty sypialnej były zamknięte. Za nimi kilka godzin temu znaleziono ciało Alberto Valendrei. Z doniesień agencji informacyjnych wynikało, że papież pogrążony był w modlitwie, kiedy serce odmówiło mu posłuszeństwa. Zwłoki leżały na podłodze pod obrazem Chrystusa. Ostatnia zuchwałość Valendrei wzbudziła w nim wesołość.

Ktoś chwycił go za ramię.

Odwrócił się.

Człowiek stojący przed nim miał brodę, zakrzywiony nos oraz gęstą czuprynę rudych włosów.

- Powiedz mi, padre, co teraz zrobimy? Dlaczego Pan wezwał do siebie Ojca Świętego? Jak należy to tłumaczyć?

Michener doszedł do wniosku, że to czarna sutanna, którą ma na sobie, sprowokowała nieznanego do zadania pytania. W myślach szybko sformułował odpowiedź.

- Czy zawsze musi kryć się w tym jakieś znaczenie? Czy nie możesz przyjąć tego, co uczynił Bóg, nie zadając pytań?

- Piotr byłby wielkim papieżem. Wreszcie Włoch znów zasiadł na papieskim tronie. Wiązaliśmy z tym tyle nadziei.

- W łonie Kościoła wielu jest takich, którzy mogą być wielkimi papieżami. Nie muszą być urodzeni we Włoszech - odparł, a rozmówca zmierzył go osobliwym wzrokiem. - Liczy się jedynie ich oddanie Bogu.

Wiedział, że spośród tysięcy zgromadzonych wokół nich, jedynie on i Katerina rozumieją w pełni znaczenie tych słów Bóg żył. Był tutaj. I słuchał.

Spojrzał na monumentalną fasadę bazyliki. Pomimo całej swej wspaniałości, składała się tylko z kamieni i zaprawy murarskiej. Czynniki atmosferyczne i czas doprowadzą w końcu do jej zniszczenia. Ale to, co symbolizowała, znaczenie, które niosła, było wieczne. *„Ty jest Piotr, czyli Skala, i na tej Skale zbuduję Kościół mój.”*

Odwrócił się do mężczyzny, który znów się odezwał.

- To koniec, ojcie. Papież nie żyje. Wszystko dobiegło końca, zanim zdążyło się zacząć.

Nie zamierzał pogodzić się z tymi słowami, nie chciał zaakceptować defetyzmu, który z nich przebijał.

- Jesteś w błędzie. Nic nie dobiegło końca - uśmiechnął się dodając nieznanemu otuchy. - Tak naprawdę to dopiero początek.

# SŁOWO OD AUTORA

Zbierając materiały do powieści, niżej podpisany odbył podróż do Włoch i Niemiec. Książka ta wyrasta jednak z edukacji katolickiej z okresu dzieciństwa oraz trwającej całe życie fascynacji Fatimą. Od ponad dwóch tysięcy lat do maryjnych objawień dochodzi z zadziwiającą regularnością. W epoce współczesnej najbardziej znanymi stały się cudowne wizje z La Salette, Lourdes, Fatimy i Medjugorie, chociaż innych, mniej znanych doświadczeń tego typu jest bez liku. Podobnie jak w dwóch poprzednich powieściach, również i w tej załączone dane faktograficzne spełniają dwójaki cel: uczą i bawią. W porównaniu z dwoma pierwszymi tytułami, w tym tomie fabuła jeszcze bardziej trzyma się rzeczywistości.

Sceny rozgrywające się w Fatimie, przedstawione w prologu, zostały oparte na relacjach naocznych świadków, w pierwszym zaś rzędzie samej Łucji, która opublikowała własną wersję tych zdarzeń w pierwszej połowie XX wieku. Fikcją są jedynie słowa rzekomej drugiej części tajemnicy fatimskiej, zamieszczone w rozdziale 65.

Wczesne odejście z tego świata Franciszka i Hiacynty oraz nad wyraz osobliwa historia trzeciej tajemnicy fatimskiej - fakt, że trzymano ją w Watykanie w zalakowanej kopercie aż do maja 2000 roku i znali ją jedynie papieże - to również prawda, jak również zakaz publicznego wypowiedania się na temat Fatimy wydany siostrze Łucji przez Kościół. Autor stwierdza ze smutkiem, że siostra Łucja zmarła w lutym 2005 roku, w wieku dziewięćdziesięciu siedmiu lat, na krótko przed ukazaniem się tej powieści.

Objawienia maryjne w La Salette, do których doszło w 1846 roku, wspomniane w rozdziałach 19. i 42., zostały przedstawione zgodnie z relacjami źródłowymi - podobnie jak losy dwójga świadków objawień, ich kąśliwe komentarze publiczne oraz cierpkie komentarze papieża Piusa IX. Ta konkretna wizja maryjna należy do najbardziej osobliwych i otoczona jest atmosferą skandalu oraz wątpliwości. Części objawienia były sekretne, oryginalne relacje widzących nie zachowały się w watykańskim archiwum, co dodatkowo pograża w mroku prawdę o wydarzeniach w alpejskiej wiosce we Francji.

Pod tym względem Medjugorie jest nieco podobne, chociaż samo w sobie stanowi niepowtarzalny wyjątek wśród maryjnych objawień. W tym wypadku nie mamy bowiem do czynienia z pojedynczym zdarzeniem czy choćby z serią kilku wizji rozłożonych w czasie na



kilka miesięcy. W Medjugorie liczba objawień sięgnęła kilku tysięcy w okresie ponad dwudziestu lat. Kościół wciąż jeszcze nie uznał formalnie maryjnych wizji za prawdziwe, lecz mimo tego ta osada w Bośni stała się popularnym celem pielgrzymek. Jak wspomniano w rozdziale 38., wśród objawień z Medjugorie dziesięć również objętych jest tajemnicą. Autor nie był w stanie oprzeć się włączeniu tego wątku do fabuły; to, co dzieje się w rozdziale 65., w którym dochodzi do porównania dziesiątego sekretu z Medjugorie z drugą częścią trzeciej tajemnicy fatimskiej, przeistacza się w rezultacie w doskonały i niezbity dowód istnienia Boga. Wszelka wiara w Boga, jak komentuje Michener w rozdziale 69., mimo istnienia tego dowodu, w ostatecznym rozrachunku jest wyłącznie (sic!) kwestią wiary.

Proroctwa przypisywane św. Malachiaszowi, opisane szczegółowo w rozdziale 56., są prawdziwe. Trafność dewiz nawiązujących do przewidzianych w XII wieku następców Piotra jest wręcz zdumiewająca. Ostatnie proroctwo, odnoszące się do sto dwunastego papieża, który ma przybrać imię Piotr II i do którego odnosi się dewiza ze słowami *"W mieście siedmiu wzgórz straszliwy sędzia osądzi wszystkich ludzi."*, jest również prawdziwe. Papież Jan Paweł II to sto dziesiąty zwierzchnik Kościoła na proroczej liście stworzonej przez irlandzkiego mnicha. Po dwóch kolejnych pontyfikatach przekonamy się, czy Malachiaszowa przepowiednia się spełni. Niemiecki Bamberg, podobnie jak Rzym, określano kiedyś mianem miasta siedmiu wzgórz. Niżej podpisany dowiedział się o tym w trakcie podróży po Niemczech. Zwiedzając to miasto, podjął nieodwołalną decyzję, że to urocze miejsce zostanie wplecione w fabułę powieści.

Ośrodki urodzeń w Irlandii, opisane w rozdziale 15., także istniały w rzeczywistości, choć jest to rzeczywistość przygnębiająca, pełna cierpienia i bólu. Tysiące dzieci odebrano biologicznym matkom i oddano do adopcji daleko od ojczyzny. Wiele spośród tych dzieci wiedziało niewiele lub nawet nic o swoim pochodzeniu. Dzieci te, teraz już dorosłe, przeżywają udręki, nie znając swoich korzeni, podobnie jak Colin Michener. Na szczęście ośrodki te już nie istnieją.

Równie przygnębiające są losy rumuńskich sierot, opisane w rozdziale 14. Tragedia, która dotknęła te dzieci, nie dobiegła jeszcze kresu. Choroby, ubóstwo i rozpacz - nie wspominając już o wykorzystywaniu tych dzieci przez pedofilów z całego świata - wciąż dziesiątkują te nieszczęsne i niewinne dusze.

Wszelkie kościelne ceremonie i rytuały przedstawiono zgodnie ze stanem rzeczywistym, poza dawnym ceremoniałem związanym ze zgonem papieża, opisanym w rozdziałach 30. i 71., w trakcie którego srebrnym młotkiem stukano w czoło zmarłego. Rytuał ten odszedł już do historii, ale jego dramatyzmowi trudno się oprzeć.

Podziały w łonie Kościoła katolickiego na konserwatystów i liberałów, Włochów i nie-Włochów, Europejczyków i resztę świata są prawdziwe. Obecnie Kościół zмага się z tymi podziałami, a konflikt ten stanowi naturalną kanwę indywidualnych dylematów, z którymi zmagają się Klemens XV oraz Alberto Valendra.

Cytaty zaczerpnięte z Biblii, przedstawione w rozdziale 57., są rzecz jasna prawdziwe i tworzą interesujący kontekst, nawiązując do fabuły powieści. Autentyczne są również słowa Jana XXIII, wypowiedziane w trakcie sesji otwierającej sobór watykański II. Nadzieja papieża na nadejście reform - żeby „ziemskie miasto mogło znów przypominać niebiańskie miasto, w którym rządzi prawda” - jest fascynująca, jeśli uświadomimy sobie, iż był pierwszym papieżem, który odważył się zapoznać z treścią trzeciej tajemnicy fatimskiej.

A tę ogłoszono światu w maju 2000 roku. Wyjaśnieniem niechęci Kościoła wobec wcześniejszego opublikowania treści sekretu mógł być potencjalny zamach na papieża, o czym w rozdziale 17 dyskutowali kardynałowie Ngovi i Valendra. W ujęciu ogólnym jednak zagadki i metafory zawarte w trzeciej tajemnicy fatimskiej są zdecydowanie bardziej tajemnicze niż złowróżbne. Z tej też przyczyny wielu obserwatorów wysunęło hipotezę, że być może ma ona ciąg dalszy.

Wśród instytucji stworzonych przez człowieka Kościół katolicki jest strukturą wyjątkową. Nie tylko zdołał przetrwać ponad dwa tysiące lat, ale wciąż się rozwija i dobrze prosperuje. Wielu jest jednak takich, którzy zastanawiają się, jakie będą losy katolickiej wspólnoty w dopiero co rozpoczętym stuleciu. Niektórzy, podobnie jak Klemens XV, pragną fundamentalnych zmian w łonie Kościoła. Inni, których uosobieniem może być Alberto Valendra, pragną powrotu do korzeni. Być może jednak kwestię tę ujął najtrafniej Leon XXIII, który w 1881 roku wypowiedział znamienne słowa:

„Ten Kościół potrzebuje wyłącznie prawdy”.